

CATHERINE
GASKIN

DZIEDZICTWO
TILSITÓW

Przekład
Małgorzata Ławacz



**KSIĘGA
PIERWSZA**

Rozdział pierwszy

Słońce docierało tylko do odległego zakątka ogrodu; w tym miejscu Ginny zeszła z krzążanka, idąc w stronę ławki, na której siedziała Matka Angela. Promienie musnęły jej bladożłote włosy, po czym znów objął ją cień. Szła powoli — wysoka szczupła dziewczyna, prosta jak struna, o wdzięcznych, pełnych gracji ruchach. Komuś obeznanemu z końmi mogło to przypominać taneczne stąpanie młodej klaczy. Jak dotąd, pomyślała Matka Angela, zachowuje się nienagannie.

— Wielebna Matka chciała mnie widzieć?

Wykonała zwyczajowe, pełne szacunku dygnięcie, jakim uczennice powinny witać nauczycieli. Nie wyglądała na dziewczynę, która ledwo wczoraj dostała świadectwo ukończenia szkoły. Matka Angela popatrzyła na nią, usiłując zwalczyć ogarniające ją rozbawienie. Jakże często obserwowała tę zmianę u swoich uczennic. U większości z nich następowała ona stopniowo; Ginny odmieniła się w jednej chwili.

— Widzę, że jesteś przygotowana do jutrzejszego wyjazdu, Ginny?

— Tak, Matko. — Przebrała się już z przepisowej bluzki i spódnicy w bawełnianą sukienkę w paski, uwydatniającą jej wysokie, jędrne piersi. Jasne włosy z zakrywającą czoło grzywką upięte były w węzeł nad karkiem. Zapewne niebawem się rozsypią, pomyślała Matka Angela, chociaż jak dotąd Ginny bywała porządnie uczesana. Jutro, w taksówce wiozącej ją na lotnisko, sięgnie po pomadkę i umaluje sobie usta. One wszystkie tak robią, myśląc, że zakonnice o niczym nie wiedzą. Po każdym wakacjach dziewczęta wracały uczesane jak modne w tym akurat sezonie gwiazdy filmowe. Kiedyś Matka Angela musiała nawet wydać ścisłe polecenia w tej kwestii — z powodu popularności uczesania niejkiej Brigitte Bardot. Dziewczęta naśladowały wszystko bezkrytycznie i z entuzjazmem właściwym ich wiekowi.

Większość mieszkanek Puerto Rico wychodziła za mąż tuż po ukończeniu szkoły; dojrzewały na oczach zakonnice. Ginny miała zupełnie inny temperament.

— Siadaj, Ginny. Musze porozmawiać z tobą o Isobel Tilsit. Szkoda że mnie tu nie było, kiedy przyjechała, ale musiałam po południu odwiedzić szkołę w Barraquitas. A ona rano wyjechała z San Juan do Londynu, jak mi powiedziała Matka Lucia...

Ginny skinęła tylko głową. Jaka ona piękna, pomyślała Matka Angela. Jasna blondynka, jak jej matka, ale brwi jak jaskółcze skrzydła, rzęsy i szare oczy ma po Tilsitach. Ma taki harmonijny układ kostny twarzy — na pewno ładnie się zestarzeje. Na razie jednak była młodziutka i po raz pierwszy w życiu zbuntowana. Spoglądała powściągliwie, ale czujnie.

— Opowiedz mi o swojej ciotce.

Ginny pokręciła głową.

— Wcale nie uważam jej za ciotkę. Zwraçałam się do niej „panno Tilsit”. Byłam chyba bardzo nieuprzejma.

— Opowiedz.

Dziewczyna odwróciła wzrok. Patrzyła na wierzchołki drzew, poruszone łagodnym podmuchem. Zakonnica cierpliwie czekała; czuła, że za chwilę słowa popłyną. Spokój i intymność tego miejsca wyzwalały w dziewczętach naturalną ufność. Ogród pomagał przełamywać bariery między uczennicami a nauczycielkami. Była pewna, że i Ginny, chociaż zagniewana i zbuntowana po niedawnych przeżyciach, potrafi się przed nią otworzyć. Matka Angela czekała spokojnie, gotowa ją wysłuchać.

2

Koniec szkolnych rygorów miał być początkiem poznawania prawdziwego życia. Kiedy Ginny wspominała ostatni dzień w klasztorze w San Juan, myślała o tych dwóch sprawach jednocześnie. Co do pierwszej nie miała wątpliwości — powiedziano jej, że od tej pory będzie przestrzegać swojej własnej dyscypliny. Na poznawanie życia czekała natomiast z upragnieniem, chociaż zakonnice w klasztorze Santa Maria tego tematu prawie nie poruszały. Ginny zdawała sobie sprawę, że wyrosła z klasztornej mundurka; świat zewnętrzny wabił ją coraz bardziej natarczywie. Ostatni dzień w szkole miał być dla niej pamiętny również z innego powodu — tego dnia uświadomiła sobie, co dla niej znaczy nosić nazwisko Tilsit. To też był początek poznawania życia.

Wszystko inne kończyło się tego właśnie popołudnia. Poprzedniego dnia wręczono im dyplomy, a młodsze klasy rozpuszczono do domów. Ostatnie poranne nabożeństwo dla abiturientek miało szczególnie uroczysty charakter. Ginny nie była wprawdzie katoliczką, ale kłęcząc w głębi kaplicy bardzo pragnęła w nim uczestniczyć; oczekiwała jakiegoś doznania, które pozwoliłoby rozładować ciężące jej napięcie. Szaty liturgiczne miały tego ranka barwę zieloną — kolor nadziei, kolor domu. Kazanie Ojca Garcii było pełne uczucia, ale brzmiał w nim niepokój. Teraz ani on, ani zakonnice nie bardzo

wiedzieli, jak traktować dziewczęta. A co z dyscyplina? Po mszy podano śniadanie. Było odświętnie i wesoło, jak na przyjęciu, chociaż zakonnice wydawały się nieco przygaszone. Oto na zawsze żegnały się z dziewczętami. Następnego dnia przybędą po nie rodzice, a później szkoła całkiem opustoszeje.

Kiedy Ginny spakowała już swoje rzeczy, wzięła książkę i poszła do ogrodu. Nie otworzyła jej jednak, tylko położyła obok na ławce. Wieczorem odda książkę do biblioteki, cóż z tego, że nie przeczytana? Żegnaj, szkolna dyscyplino! Jutro rano przyjedzie ojciec; odbędą ostatnią rozmowę z Wielebną Matką — dłuższą niż inni rodzice, gdyż John Tilsit znał Wielebną Matkę z czasów ich młodości w Anglii. I już będzie po wszystkim. Z klasy na górze dobiegło ją głucho trzaśnięcie pokrywy ławki opróżnianej z książek i wybuch nerwowego śmiechu. Bardzo młodzieńczego śmiechu. Usłyszała, jak ktoś biegnie po balkonie na drugim piętrze. Zazwyczaj było to surowo zabronione. Oparła się o rozgrzaną słońcem ścianę, przymykając leniwie oczy i wdychając zapachy kwitnącego ogrodu. Jego kolory przechowywała pod powiekami, jakby nigdy nie miały wyblaknąć. Całe Puerto Rico tonie w barwach kwiatów, w bujności zieleni. Tutaj, na dziedzińcu, w samym środku starego San Juan, rosła wysoka poincjana, obsypany białymi kwiatami uroczyn, a po murze pięta się płomieniem szkarłatna bugenwilia. Kilka lat temu, kiedy Ginny tu przybyła, nie mogła objąć grubej łodygi bugenwili dziecinną rączką; teraz ręce jej urosły, a łodyga nie pogrubiała. Pnącze było starsze niż Siostra Aloysius, najstarsza zakonnica w klasztorze; ale oczywiście nie tak wiekowe jak mur, po którym się pięło. Nikt dokładnie nie wiedział ile lat liczy sobie klasztor Santa Maria. Niektóre jego fragmenty pochodziły jeszcze sprzed huraganu, jaki prawie dwieście lat temu zniszczył wszystkie dokumenty dotyczące budowy.

Czas Ginny upływał mierzony różnymi drobnymi sprawami, właściwie bez znaczenia. Na przykład awansowanie do seniorek — uzyskała w ten sposób prawo do korzystania z górnego ogrodu, gdzie zawsze dał wiatr od portu. Widać było stamtąd La Fortaleza — rezydencję gubernatora, a dalej wejście do portu i Isla de Cabras Catano, na przeciwległym brzegu zaś niewyraźne zarysy gór na horyzoncie. Można też było sobie pooglądać coś zupełnie innego. Na plaży w dole często kręcili się szczupli, zgrabni portorykańscy chłopcy, którzy kiwali do niej rękami, a nawet gwizdali na jej widok. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, stało się również jakąś miarą czasu. Ginny, ze swymi jasnymi, prostymi włosami, wyróżniała się zdecydowanie w szeregu ciemnowłosych dziewcząt o oliwkowej karnacji, które razem z nią oblegały murek ogrodu i od czasu do czasu zdobywały się na to, by też pomachać chłopcom. *El Yanqui*, zawołał kiedyś w jej kierunku jeden z nich. Nie była Amerykanką, ale on o tym nie wiedział. W takich wypadkach prawie zawsze pojawiała się któraś z zakonnice i nakazywała uczennicom natychmiast odejść od muru; za karę przez tydzień nie wolno im było korzystać z górnego ogrodu. Ale jutro, myślała Ginny, wszystko to stanie się dla mnie przeszłością.

Będę mogła zacząć się uczyć, jak postępować z takimi szczupłymi, zgrabnymi chłopcami. Jak się zachować w świecie mężczyzn.

— Ginny!

Otworzyła oczy. To była Luiza, piękna siedemnastoletnia Portorykanka o bujnych kształtach. Ta dziewczyna wiedziała instynktownie, jak postępować z mężczyznami; za rok od tej chwili będzie już kobietą zamężną.

— Obudź się — powiedziała z uśmiechem. — Siedzisz na tym słońcu jak jaszczurka. O czym myślisz?

— O mężczyznach — odparła Ginny bez namysłu.

Luiza zachichotała. — I pomyśleć, że tata zawsze stawia mi ciebie za przykład! „Popatrz na Virginie, jest taka opanowana i taktowna, nie ma głowy nabitej głupstwami”. A ty mi mówisz: „O mężczyznach”! — Znow zachichotała, kołysząc zmysłowo pełnymi biodrami. — Nie jesteś jedną z nas, więc tata nie ma pojęcia, co w tobie tkwi, wie tylko, że pięknie mówisz po angielsku. — Wydęła pełne usta naśladując go. — A przynajmniej tak mu się wydaje.

Patrząc na nią Ginny stwierdziła, że jest z siebie niezadowolona. Dotychczasowe podekscytowanie ustąpiło nagłej depresji. Tyle jeszcze musi nadrobić, tyle się nauczyć, podczas gdy takie dziewczęta jak Luiza zdają się wiedzieć wszystko. A ona, starsza od Luizy o całe osiemnaście miesięcy, jest w porównaniu z nią zupełnie zielona, jeśli chodzi o znajomość mężczyzn. Może dlatego, że zbyt długo trzymali ją na St. Nicolaas, gdzie na te rzeczy patrzono zupełnie inaczej; może trochę dlatego, że była jedynaczką. Ale przede wszystkim zawdzięcza to własnej niedojrzałości.

— Nie słuchaj taty, Luizo. On po prostu chciałby, żebyś mając dwadzieścia lat, była już mężatką z kilkorgiem dzieci.

Twarz Luizy rozjaśniło zadowolenie.

— Zobaczmy... — powiedziała, jakby nie miała na ten temat wątpliwości. — Na razie idź lepiej posłuchać, co powie twój tata. Zdaje się, że przyjechał. Matka Lucia mówi, że masz gościa.

Ginny wyprostowała się gwałtownie.

— Już jest? Miał się zjawić dopiero jutro. — Zerwała się na nogi i zaczęła wpychać bluzkę za pasek spódnicy.

Luiza wzruszyła ramionami.

— Matka Lucia nie powiedziała, że to twój ojciec, ale pospiesz się. — Pokręciła głową, patrząc na wysiłki Ginny. — Zostaw to, i tak nic nie poradzisz. — Z niesmakiem zmierzyła wzrokiem przepisową spódnicę i bluzkę. — On i tak nie będzie... co robisz? — zaprotestowała, bo Ginny wcisnęła jej książkę do ręki.

— Zwróć ją za mnie do biblioteki. Jeśli tata chce zdążyć na ostami samolot do St. Charles, będziemy się bardzo spieszyć, a ja jeszcze się nie skończyłam pakować.

— Dobrze, ale pod jednym warunkiem. Przyrowadź go, żeby ze mną porozmawiał, kiedy będzie na ciebie czekał. Bardzo mi się twój ojciec

podoba. Wygląda jak angielski gwiazdor filmowy. — Ostatnie zdanie musiała wyrzyczyć, bo Ginny była już w połowie dziedzica.

— Powtórzę mu to — pomachała ręką. Oczywiście nic nie powie, obie dobrze o tym wiedziały. John Tilsit spurpurowiałby z zakłopotania i złości, gdyby usłyszał coś takiego. Biegnać podcieniami krużganka i zatrzymując się poślizgiem na wypolerowanej podłodze z terakoty tuż przed wielkimi drzwiami, Ginny uświadomiła sobie, że Luiza chyba ma rację. Chociaż prawdopodobnie miał na sobie wytarty garnitur, który wkładał tylko na wizyty w San Juan, a wyglansowane do połysku buty były popękane, to na pewno wyróżniał się w tłumie rodziców. Niektórzy, jak na przykład Luiza, przepadali za nim, inni go unikali, uważając, że jest zanadto powściągliwy. Zawsze jednak zwracał na siebie uwagę. A Ginny bardzo go kochała i za wszelką cenę starała się mu to okazywać. Starannie poprawiła bluzkę i pociągnęła za łańcuszek dzwonka po drugiej stronie klasztornych drzwi.

Jak wiele budynków starej części San Juan, i klasztor, i szkoła zbudowane były na planie czworoboku; miały oddzielnie dziedzińce z ogrodem, otoczone trzema kondygnacjami galerii. Od ulicy gmach prezentował gładką fasadę z wyciętymi w niej wąskimi oknami zaopatrzonymi w okiennice i z trzema parami wielkich, rzeźbionych drzwi prowadzących na plac. Ze szkoły do klasztoru prowadziło przejście przez portyk kaplicy, ale uczennicom wolno było z niego korzystać tylko wtedy, gdy je wzywano. Ginny ogarnął uroczysty nastrój. Gdy weszła z blasku słońca w głęboki cień krużganka i stanęła przed wysokimi drzwiami, przeszedł ją lekki dreszcz. Miejsce to przypominało o dawnej władzy Hiszpanii nad Nowym Światem, Hiszpanii czasów Inkwizycji. A ona w dodatku nie była katoliczką. Gdy wchodziła do klasztoru, zawsze jej się to przypominało.

Za drzwi wyjrzała ciemna twarz Matki Lucii.

— Virginia! Musimy się pospieszyć, dziecko.

— Dobrze, Matko.

Zakonnica zamknęła drzwi i poszła przodem. Niemal bezgłośnie stąpała po kamiennej posadzce, słychać było jedynie klekot długiego drewnianego różańca u jej paska. Z obszernej kruchty prowadziły cztery pary drzwi — do szkoły, do klasztoru, jedno na ulicę i jedno do kaplicy. Hałasy uliczne, przefiltrowane przez grube mury, wydawały się odległe i niewyraźne; nikłe światło sączyło się przez wysoko umieszczone okna. Drzwi do kaplicy były szeroko otwarte; mijając je, Matka Lucia zatrzymała się, by przykleknąć przed ołtarzem i palącą się w nim czerwoną lampką. Ginny nie poszła za jej przykładem; przyjęte było, że niekatoliczki pochylały jedynie głowę na znak szacunku dla wiary pozostałych. Stara religia w Nowym Świecie stała się tolerancyjna. Ginny uświadomiła sobie, że będzie jej brak tej kaplicy. Witraże w oknach, zniszczone przez ten sam huragan, który zmiotł archiwa klasztorne, zostały zastąpione zwykłymi szybami. Jednak stalle w prezbiterium wyrzeźbiono w hebanie trzy wieki temu w Hiszpanii, a nad nimi wisiał oryginalny gobelin z siedemnastego wieku. Podobno agent Williama Randolpha Hearsta

próbował kiedyś kupić całą kaplicę, by przewieźć ją w częściach do San Simeon. Od tego czasu wpuszczano tu tylko wcześniej zapowiedzianych turystów. Ginny rozejrzała się myśląc z żalem, że w przyszłości, kiedy przyjedzie do San Juan, będzie musiała zadzwonić do klasztoru, by zobaczyć kaplicę. Wychowanki Santa Maria wracały tu, żeby pochwalić się pierścionkami zaręczynowymi, a później dziećmi. To również było częścią tutejszej tradycji.

Dobiegł ją świszczący szept Matki Lucii: — Pospiesz się, dziecko, szybciej. — Przytrzymała drzwi prowadzące do klasztoru. — Skierowałam tę panią do salonu pierwszego.

Ginny stanęła jak wryta.

— Panią?

— Pannę Tilsit. Jest w salonie pierwszym, Virginio.

Ginny nie drgnęła.

— To jakaś pomyłka, Matko. Nie istnieje żadna panna Tilsit. To na pewno moja mama.

Zmarszczki na starczej, ciemnej twarzy pogłębiły się jeszcze bardziej.

— To nie jest twoja matka, dziecko. Przecież ją znam. To twoja ciotka, panna Tilsit.

— Ale ja nie mam żadnej ciotki!

Matka Lucia była w podeszłym wieku, dlatego też jej jedynym obowiązkiem było siedzenie całymi dniami przy drzwiach klasztornych, a czas między dzwonkami wypełniała sobie czytaniem modlitewnika. Nie lubiła kłopotów, więc wydawała się teraz zakłopotana i zmieszana.

— Ależ ona tak właśnie się przedstawiła, Virginio. A Wielebna Matka wciąż jest w Barranquitas... Zaprowadziłam ją do pierwszego salonu i posłałam po ciebie. Ta pani jest Angielką, nie Amerykanką. Mówi zupełnie jak Wielebna Matka... — Pragnęła, by Ginny przypomniała sobie angielską ciotkę i zdjęła z niej odpowiedzialność za wpuszczenie obcej osoby na teren klasztoru. Lecz nagle uderzyła ją inna myśl. — *Madre mia!* A jeśli to złodziejka?

Powiewając czarnym welonem, przemknęła obok Ginny korytarzem w kierunku salonu. Rodziców i gości przyjmowano w jednym z trzech pokoi: salon pierwszy był większy niż inne — tu właśnie zatrzymywał się biskup, gdy składał swe doroczne wizyty. Stało tam kilka cennych mebli, dlatego właśnie Matka Lucia wpadła w panikę. Ginny — drobiąc pospiesznie, jak to było przyjęte w klasztorze — pobiegła za nią. Zakonnica pchnęła drzwi i otworzyła je na oścież, nie dbając o przyjęte zwyczaje. To, co zobaczyła, wyrwało jej okrzyk przerażenia.

— *Madre mia!* Wiedziałam! Złodziejka! — Drobna czarna figurka cofnęła się o krok cała drżąc. Ginny zajrzała jej przez ramię do środka.

Kobieta znajdująca się w pokoju powoli odwróciła się w ich stronę — była wysoka i szczupła, miała na sobie wełniany kostium i piłśniowy kapelus z rondem. Teraz stało się jasne, dlaczego Matka Lucia krzyknęła. Drzwiczki

od kredensu, w którym przechowywano drogocenną kolekcję antycznej porcelany, były otwarte, a kobieta trzymała właśnie jeden z talerzy w ręku.

— Dziecko, biegnij do kuchni i przyprowadź siostrę Urszulę i Dolores! Ja ją tu zamknę! Szybko! — W piskliwym, starczym głosie zakonnicy brzmiało podniecenie. Już miała zamknąć drzwi, kiedy usłyszała stanowczy głos, nie dopuszczający sprzeciwu. Matka Lucia zawahała się. Wsunęła głowę przez nie domknięte drzwi, a nad nią wyciągnęła szyję Ginny.

— Spokojnie! — Kobieta powoli odłożyła talerz na miejsce i strzepnęła niewidzialny kurz z rąk, spoglądając na nie zimnym wzrokiem.

— Mylicie się, po prostu go oglądałam... Zapewniam was, że nie jestem złodziejką. — Gdyby angielski był rodzimym językiem Matki Lucii, wczułaby w tonie nieznamomej sarkazm. Nie zauważyła tego jednak.

— Seniorita... — Zakonnicy plątał się język z zakłopotania. — Proszę zrozumieć... ta kolekcja jest nadzwyczaj cenna. Wielebna Matka przywiozła ją do klasztoru z Anglii. Dotykanie porcelany jest surowo zabronione. Wielebna Matka sama ją odkurza...

— I to niezbyt starannie, jak zauważyłam — ze zniecierpliwieniem przerwała kobieta. — Proszę się uspokoić, nic się przecież nie stało. A jeśli chodzi o wartość kolekcji... — W jej tonie pobrzmiwała teraz nutka rozbawienia. — Zaledwie jedna czy dwie rzeczy są coś warte; są tu też całkiem poślednie egzemplarze. — Mówiła z wielką pewnością siebie. Twarz miała ukrytą pod kapeluszem, jej sylwetka rysowała się ostro na tle wpadającego przez okno światła.

Zakonnica nie wiedziała, co robić. Wciąż stała bez ruchu w drzwiach. Lekko uniosła ramiona, jakby pytając, czy ją wzrok nie myli. Czyżby nie widziała nieznamomej z drogocenną porcelaną w ręku, a drzwiczki od kredensu czy nie były otwarte? Drzwiczki, których nigdy nie zamykano na klucz, bo było nie do pomyślenia, by ktoś zlekceważył zarządzenia Wielebnej Matki.

Spzoza jej pleców odezwała się Ginny. Wargi miała sztywne z wrażenia.

— Matko, na pewno wszystko jest w porządku. Ta pani to... — urwała. Nigdy jej przedtem nie widziała ani o niej nie słyszała. Ale nawet jeśli John Tilsit zdecydował się ignorować fakt jej istnienia — sposób mówienia, gesty, a nawet postawa, wszystko w tej kobiecie przypominało ojca.

— Wiem, kim jest ta pani — stwierdziła w końcu Ginny.

Zakonnica ustąpiła, choć bez przekonania. Najwyraźniej była wciąż zdumiona zuchwalstwem nieznamomej, która ośmieliła się otworzyć zamknięte drzwiczki i dotknąć drogocennej porcelany. Niechętnie puściła klamkę i usunęła się z drogi.

— Skoro tak mówisz... wszystko w porządku.

Kobieta skinęła głową, nie tyle w podziękowaniu, co na znak potwierdzenia słów Ginny.

— Chciałabym na chwilę zostać sama z moją bratanicą.

— Proszę bardzo — odpowiedziała Matka Lucia z lodowatą uprzejmością.

cia. Skinęła na Ginny, by weszła, po czym zwróciła się ponownie do gościa. - Czy napije się pani czegoś, panno Tilsit? — Powiedziała to bardzo z siebie zadowolona, jakby dając tej Angielce do zrozumienia, że chociaż ona nie potrafi się właściwie zachować, to zakonnice w Santa Maria potrafią. — Może herbaty? — Matka Lucia uważała, że herbatę należy proponować Anglikom o każdej porze dnia i nocy. Czyż jednym z dziwactw Wielebnej Matki nie było właśnie picie herbaty każdego popołudnia? I to niemrozonej, jak to robią wszyscy w tym klimacie, ale gorącej?

— Dziękuję, nie.

Zakonnica skłoniła się lekko, zamykając za sobą drzwi z przesadną uprzejmością. Ginny i kobieta zostały same.

— No cóż, zdaje się, że zrobiłam złe wrażenie. Nie bardzo wiadomo, jak się właściwie zachowywać w tych żeńskich klasztorach.

Ginny nie próbowała zaprzeczać. W tonie nieznamomej wyczuwała nutkę pogardy i kpiny z mateczki Lucii. Poczwała nagle potrzebę wystąpienia w obronie zakonnicy.

— Myślę, że reguły zachowania w klasztorach są takie same jak gdzie indziej.

Nieoczekiwanie kobieta zaśmiała się, odwracając twarz w kierunku światła. To, co zobaczyła Ginny, zaparło jej dech. Przez prawy policzek biegła sina, głęboka szrama, zachodząc aż na nos. Nie było to znamię, lecz blizna po zadanej niegdyś ranie. Jej widok na delikatnej, przezroczystej skórze był szokujący. Musiała powstać dawno temu; była zaleczona, ale nigdy nie zoperowana.

— Chcesz powiedzieć, że zachowałam się niewłaściwie? — zapytała kobieta. — *Touche*. — Wzruszyła ramionami. — A ta stara zakonnica chciała mi dać do zrozumienia, że byłam grubiańska? Cóż, chyba miała rację. — Gdyby nie blizna, jej twarz byłaby ładna, choć surowa. Poczucie humoru dodawało jej wdzięku, który jednak szybko zniknął. Teraz, kiedy Ginny zobaczyła ją wyraźniej, już nie wydawała się tak bardzo podobna do ojca.

— To był dla niej wielki szok. Tego kredensu — wskazała mebel — nie otwiera nikt poza Wielebną Matką. Nigdy dotąd nie widziałam go otwartego. W Puerto Rico nie ma zbyt wielu muzeów, więc to, co mamy, uważamy za bardzo wartościowe. Matka Lucia — my wszystkie — uwierzyłyśmy Wielebnej Matce, że kolekcja jest bezcenna. — Mimo woli uśmiechnęła się błado. Po początkowym zdumieniu poczuła podziw dla osoby, która miała odwagę wziąć do ręki legendarną porcelaną tylko dlatego, że ją zainteresowała, zamiast siedzieć tu i czekać cicho jak myszka. To właśnie była pewność siebie, coś, co Ginny tak bardzo chciała posiadać. — W każdym razie — dodała, jakby tłumacząc swój uśmiech — ucieszyłam się widząc porcelaną poza gablotą. Wyraźnie nabrała życia... — Zawahała się. — To znaczy... talerz dużo ładniej wyglądał w pani ręku niż przez szybę.

— Właśnie! — Ton był wciąż szorstki, choć jakby nieco cieplejszy. — Ale słusznie trzymają to za szkłem. Nic, co piękne, nie powinno znajdować się w zasięgu ręki głupców.

— Nie jestem pewna. — Ginny podeszła bliżej, dziwiąc się, że tak łatwo rozmawia jej się z tą kobietą, łatwiej niż z kimkolwiek innym. Tak jakby to nieporozumienie zmniejszyło różnicę wieku między nimi. Nie była przyzwyczajona, żeby dorośli uważnie słuchali, co ma do powiedzenia. — Szkoda że piękne rzeczy trzyma się w zamknięciu. Powinny być oglądane, a nawet, w miarę możliwości, używane.

— Nie przez wszystkich. Tylko przez tych, którzy wiedzą, z czym mają do czynienia.

— Ale jak mają się tego nauczyć? Uczymy się przecież na własnych błędach... — Ginny przerwała zmieszana, nie kończąc myśli. Z zaskoczeniem ujrzała wyraz aprobaty i zrozumienia na twarzy kobiety.

— Masz rację. — Mówiła wolno, z namysłem. — Jesteś jeszcze młoda. Masz czas, by nauczyć się właściwie oceniać ludzi. — Nagle odwróciła się od kredensu i podeszła do okna. — Mogłybyśmy usiąść? Tu, przy świetle, żebym cię mogła widzieć.

Ginny usłuchała jej. Kobieta najwyraźniej nawykła do wydawania poleceń. Usiadły zwrócone do siebie twarzami, w rzeźbionych fotelach z wysokimi oparciami, po obu stronach wysokich okien, otwartych na krużganek i otaczający go przyklasztorny ogród. Dolatywał tu lekki powiew z ogrodu; zapachy i barwy kwiatów wydawały się tu, wśród głębokiej ciszy, bardziej intensywne niż w ogrodzie szkolnym. Po zacięzionym krużganku naprzeciwko przechadzała się miarowo jedna z zakonnice czytając książeczkę do nabożeństwa. Odgłos kroków ledwo dochodził do ich uszu. Ginny czuła na sobie badawczy wzrok, uważny i wnikliwy. Kusiło ją, by wstać z miejsca, lecz zmusiła się do pozostania i nadal patrzyła przed siebie. Cisnęły jej się na usta różne pytania, ale nie wypowiedziała ich na głos. Kobieta oparła ręce na masywnych poręczach fotela; nad jej głową widniał wyrzeźbiony królewski herb Hiszpanii. Ginny miała chęć jej powiedzieć, że pasuje do tego fotela i nie musi czuć się w nim nieswojo. Purpurowa szrama stała się jakby mniej szokująca, gdyż kobieta całkowicie ją ignorowała.

Kiedy się wreszcie odezwała, jej słowa zabrzmiały jak werdykt.

— Jesteś niezwykle do niej podobna, to naprawdę zdumiewające. A zastanawiałam się, czy przypominasz ją choć trochę.

— Kogo?

— Jane, Jane Tilsit.

— Jane?

— Nie wiesz, o kim mówię? — Najwyraźniej ją to zdenerwowało. — Czy to możliwe, że nigdy ci o niej nie wspominał? Mówię o twojej prababce. Bardzo wybitnej osobie. — Pochyliła się nieco do przodu. — Żadne z nas nie jest tak do niej podobne jak ty. Nawet kolor włosów... chociaż twoje są jaśniejsze. Jesteś pewna, że ojciec nigdy nie mówił o twojej prababce Jane?

— Z całą pewnością. Nigdy nie słyszałam o rodzinie ojca. Tylko tyle, że przyjechał tu z Anglii. Myślałam, że nie mamy żadnej rodziny.

Skrzywiła wąskie, sine wargi, przez co blizna się zmarszczyła. — No

tak... Mogłam się tego domyślać. Kiedy opuszczał Anglię, zapowiedział, że nigdy tam nie wróci. O dziwo, dotrzymał słowa, chociaż nigdy nie miał silnego charakteru. Ale żeby wykreślić nas całkowicie... — Mlasnęła z dezaprobata. — Kto by przypuszczał, że będzie trzymał w tajemnicy przed swoim jedynym dzieckiem informację o rodzinie?

— Wiem dużo o mojej rodzinie. Dziadek Pieter van Meerten i pradziadek Heindrik wyjechali...

— To rodzina ze strony matki... ze strony holenderskiej — przerwała kobieta. Wzruszyła ramionami z lekceważeniem. — Nie ich mam na myśli... choć jeśli poślubić cudzoziemkę, to już lepiej Holenderkę niż Hiszpankę.

— My tu wszyscy jesteśmy cudzoziemcami — zauważyła Ginny.

— On tak uważa? To podobne do Johna. Zawsze mówił takie rzeczy — niepraktyczne i głupie. Zabierał głos w sprawach, których nie rozumiał, nie słuchał mądrzejszych od siebie. Nie miał racji i był uparty... bardzo uparty. Ale kto by pomyślał, że tak długo wytrzyma? Czekałam w Anglii ponad trzydzieści lat, żeby usłyszeć, jak przyznaje się do błędu. Zdecydował się jednak siedzieć cicho... No cóż, niech i tak będzie. Przeszło, minęło. On mnie już nie obchodzi.

Zamilkła i machnęła ręką, jakby tym oszczędnym gestem odpychała od siebie minione trzydzieści lat. Jej ręce, pomyślała Ginny, są zdumiewająco piękne: białe, z błękitnymi żyłkami, o długich palcach. Były chyba jej jedyną prawdziwie kobiecą cechą. Nawet gdyby nie ta blizna, miała rysy zbyt ostre, by można było uważać ją za piękną; nie czyniła zresztą żadnych wysiłków, żeby złagodzić wrażenie. Ubrana była okropnie — filcowy kapelusz mocno nasunięty na czoło i ukrywający krótkie, siwe włosy, sznurowane brązowe pantofle i staromodne rękawiczki, chyba sprzed dwudziestu lat. Ciepły, czerwcowy dzień nie skłonił jej do najmniejszego ustępstwa — nie zdjęła nawet żakietu z grubego tweedu. Wykrochmaloną bluzkę miała zapiętą pod samą szyję. Było doprawdy szokujące, że gorący klimat nie robi na niej żadnego wrażenia.

— Widzę — powiedziała wreszcie — że będziemy musieli zapoznać cię z historią rodziny. A jest z czym... sięga daleko wstecz.

— Podobnie jak dzieje van Meertensów.

Zignorowała to stwierdzenie.

— Nasz dramat polegał na tym, że Tilsitowie nie byli zbyt płodni. Żeby rodzina była silna, musi być liczna, wtedy można ignorować słabszych członków, a ród będą podtrzymywać najsilniejsi. Jane Tilsit miała tylko jedno dziecko, które przeżyło, a w moim pokoleniu jesteśmy jedynie ja i John. Teraz zostałam tylko ty.

— Tylko ja — powtórzyła Ginny, czując wagę tych słów. Przez moment miała wrażenie, że staje się własnością tej kobiety. Świadomość, że należy do czasów, miejsca i rodziny, o których istnieniu nie miała dotąd pojęcia, i że ma do odegrania rolę w historii tego rodu, oszołomiła ją. Isobel chciała, aby tak właśnie się poczuła. Gdyby to nie było takie ważne, nie siedziałyby teraz

tutaj, gotowa rozpocząć opowieść, którą John Tilsit wołał przemilczeć. Ginny czuła na sobie jej hipnotyzujący wzrok; cofnęła się w fotelu z wrażenia.

— Czy ojciec wie, że tu przyjechałaś?

— Nie... Już powiedziałam, że on nic mnie nie obchodzi. Jego czas się skończył.

— Przecież spotkasz się z nim. Jutro przyjeżdża do San Juan. Na zakończenie ostatniego semestru rodzice zawsze przyjeżdżają spotkać się z Wielebną Matką. A on odwiedza ją za każdym razem, gdy jest w San Juan, ponieważ znają się jeszcze z Anglii... — spojrzała pytająco na Isobel Tilsit; przyszło jej coś do głowy. — Pewnie i ty znasz Wielebną Matkę...?

— Kogo? Masz na myśli Dorothy Hamilton? Tak, znam ją, trochę... Słyszałam, że tutaj właśnie wylądowała. Jeszcze jedna osoba, która bezsensownie spędza życie daleko od miejsca, w którym powinna się znajdować. Ona także uchylała się od swoich zobowiązań. Przeszła na katolicyzm... a każdy wiedział, że mogła poślubić syna Cavendishów. Nie wątpię, że razem z twoim ojcem wspierali się w swoich fatalnych decyzjach. Jednak zostawmy to, nie ma to już znaczenia. Dla mnie teraz liczysz się tylko ty.

— Jutro po południu lecimy na St. Nicolaas — Ginny miała nadzieję, że zabrzmiało to stanowczo. Próbowwała zmobilizować się, by utemperować despotyzm ciotki.

— Mamy wystarczająco dużo czasu.

— A więc spotkasz się z ojcem?

Isobel wzruszyła ramionami.

— Może tak... może nie. Czy po trzydziestu latach ma to jakieś znaczenie? Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

— Po co w takim razie tu przyjechałaś?

Kobieta spojrzała na ogród ponad głową Ginny.

— To była długa podróż — powiedziała wolno. — Zwłaszcza dla kogoś, kto nie jest całkiem pewien, dlaczego to robi... nie, nie przerywaj mi. Długa podróż, podejmowana w pośpiechu, ponieważ nigdy nie wiadomo, czy lekarze, którzy zazwyczaj są zwykłymi głupcami, tym razem nie mieli racji. Powiedzieli, że przy stanie mojego serca nie powinnam brać na siebie zbyt wiele. Co za bzdury! Jakbym mogła zatrzymać się teraz, kiedy mam jeszcze tyle do zrobienia. Pomyślałam, że nadszedł czas, by skontaktować się z tobą. Próbowалаm cię odnaleźć, ale przez jedną głupią pomyłkę dopiero tydzień temu dowiedziałam się, że jesteś w Santa Maria na ostatnim semestrze.

— Mogłaś przecież odwiedzić mnie na St. Nicolaas — chłodno stwierdziła Ginny. — Ojciec nigdy by nie odmówił...

— Może i nie... Ale mówiłam już, że interesujesz mnie ty, a nie twój ojciec. Niepotrzebne mi jego pozwolenie na rozmowę z tobą. I nie wiem, czy odważyłby się spojrzeć mi w twarz... nawet teraz.

— Dlaczego miałyby się nie odważyć? Czy jest coś, czego by się bał... albo wstydził...?

Isobel Tilsit znów wzruszyła ramionami.

— To już jego sprawa. Nie muszę odpowiadać za niego... To, czym stał się John, zawdzięcza sam sobie. Wiedział, że jego cała przyszłość wiazała się z Anglią i ze mną. Wybrał jednak trudy życia z dala od domu... na jakiejś zapomnianej przez Boga holenderskiej wysepce. Jeżeli teraz tego żałuje, to nie moja wina.

— Ojcu niczego nie brakuje. — Ginny pochyliła się do przodu. — I nie ma czego żałować... jest na St. Nicolaas szczęśliwy. — W jej głosie zabrzmiała desperacja. Dlaczego użyła słowa „żałować”? I dlaczego powiedziała tej zgorzkniałej kobiecie, że ojciec jest szczęśliwy? Czy tak jest naprawdę? Po raz pierwszy w życiu zastanowiła się, co to znaczy „być szczęśliwym”. Nagle, po zaledwie kilku minutach spędzonych z Isobel Tilsit, zdała sobie sprawę, że kompletne milczenie ojca na temat przeszłości musi mieć jakiś powód, że to nie jest normalne. Wątpliwości, które zasiała w niej ciotka, zaczęły kiełkować.

— Czy naprawdę Johnowi niczego nie brakuje? Jesteś tego pewna?

— Oczywiście, że jestem! — wyrzuciła z siebie automatycznie. Więcej nic jednak nie powiedziała tej wścibskiej, niesympatycznej nieznajomej. Przed oczami stanęła jej twarz ojca, szczupła i mocno opalona, a często — teraz to sobie uprzytomniła — zatroskana i nieobecna. O czym myślał, kiedy siadywał na galerii swego domu — Oranje Huis — pykając bez końca fajkę, nie zwracając uwagi na lód rozpuszczający się w szklaneczce z drinkiem... o czym tak naprawdę myślał? Czy o cenie cukru i o ewentualnych żądaniach podwyżki płac przez sezonowych robotników w przyszłym roku? O książkach, które wertował w księgarniach San Juan, lecz nie kupował ich, bo go nie było stać? Może o wymianie belek stropowych w Oranje Huis, ponieważ zagnieździły się w nich termyty? A może myślał o sprawach, o których nie miała pojęcia ani ona, ani nawet matka? O czym myślał?... i czy rzeczywiście nie brakowało mu niczego? O to właśnie spytała ją ciotka, a Ginny nie знаła odpowiedzi.

Isobel Tilsit sama zaczęła odpowiadać na własne pytania. Kąciki jej ust wygięły się ironicznie ku górze, a szrama ściągnęła się nieco.

— Nie przychodzi ci do głowy, że mogę wiedzieć o nim wszystko?... O życiu, jakie prowadził przez minione lata? Sporo trudu mnie kosztowało zdobywanie o nim informacji, ale to siła przyzwyczajenia. Ponieważ byłam starsza, zawsze podejmowałam za niego decyzje i próbowałam robić to, co dla niego najlepsze. Oczywiście kiedy osiągnął pewien wiek, uznał, że sam wszystko wie lepiej — i to właśnie doprowadziło do najgorszego. Nigdy nie miał w sobie iskry Bożej, podobnie jak inni mężczyźni w naszej rodzinie. Rozumiesz, o czym mówię? — Jej ton był ostry jak brzytwa. — Kim się stał? Włóczył się po świecie, żeby w końcu zostać plantatorem trzciny. Niczym więcej!

Ginny poderwała się z fotela; poczuła, że twarz jej płonie. Przeraziła się, że nie zdoła powstrzymać łez, które napływały do oczu. Ciotka nie mogła zobaczyć takiej oznaki słabości.

— I co w tym złego, że jest plantatorem?

Kobieta niecierpliwie mlasnęła językiem w charakterystyczny dla niej sposób.

— Czyżby nie uczyli cię tutaj niczego? Historii? Ekonomii? Wyspy z plantacjami trzciny cukrowej były kopalniami złota, kiedy pracowali na nich niewolnicy. Bez nich wszystko upadło. Została tylko wyjąłowiona ziemia i idiotyczne przywiązanie mieszkańców do tego, co minęło. I żadnego kapitału, by zrobić coś sensownego w przyszłości. Twój ojciec podjął grę z góry przegraną, głupio inwestując w cukier. Musisz chyba o tym wiedzieć. Na pewno wiedziałaś, że pracuje ciężiej niż ci, których zatrudnia. I co z tego ma? Cena siły roboczej, nawozów i maszyn wciąż idzie w górę, a cena cukru wciąż się waha. Zbiera ochłapy tego, co dawno jest martwe. To takie podobne do niego ... zawsze był taki. Zawsze sięgał po coś, ponieważ akurat miał na to ochotę, a nie dlatego, że to było cokolwiek warte. Impulsywny, uparty... Samolubny, kapryśny chłopiec, który wyrósł na samolubnego, kapryśnego mężczyznę. Folgował swoim fanaberiom — i dokąd go doprowadziły? Przez ostatnie dwadzieścia lat balansuje na krawędzi bankructwa. Doskonale o tym wiem. Wiem o nim wszystko, nawet to, ile jest winien bankowi.

— To wcale nie znaczy, że wiesz o nim wszystko!

— Ale to właśnie liczy się w życiu większości ludzi. Ważne jest to, co człowiek zostawia... nie, nie mówię teraz o pieniądzech. Twój ojciec uchylił się od odpowiedzialności, nie wypełnił swojego obowiązku. Nie dokonał jak dotąd niczego, co miałyby jakąś wartość. On...

Ginny wstała, co sprawiło, że kobieta przerwała w pół słowa.

— Co to znaczy? Co chcesz zrobić?

Ginny przełknęła ślinę. Miała nadzieję, że głos jej nie zadrży, gdy wreszcie wypowie słowa, które desperacko układała w głowie. Nigdy dotąd tak bardzo nie pragnęła dowieść, że jest osobą zrównoważoną i pełną godności.

— Wychodzę. Przykro mi, że powiedziałaś to wszystko. Nie udaję, że te słowa nie padły, ale spróbuję o nich zapomnieć. Może nawet zapomnę o naszym spotkaniu. W końcu to tylko mała chwilka, a nigdy przedtem nie słyszałam o Isobel Tilsit. — Głos jej zadrżał. — I wolałabym nie słyszeć. — Wzięta głęboki oddech i powoli, licząc na odzyskanie równowagi, dodała: — Ale zanim stąd wyjdę, powiem ci coś o St. Nicolaas. Być może jest to wysepka zapomniana przez Boga, o której nikt nigdy nie słyszał. Ale my tutaj nie szpiegujemy naszych sąsiadów. Nie wpytyujemy o nich. Jeśli potrzebują pomocy, próbujemy jej im udzielić. I nie czekamy z tym trzydzieści lat. — Źle, nie to chciała powiedzieć. W każdym razie Isobel Tilsit i tak by jej nie zrozumiała.

— Siadaj! Mówisz głupstwa, położę to jednak na karb twojej młodości i ignorancji. Siadaj i porozmawiajmy rozsądnie.

Ginny pokręciła głową.

— Obawiam się, że jestem tak samo uparta, jak, według ciebie, ojciec. I tak samo głupia i nieodpowiedzialna. Nie mam zamiaru siadać. Wczoraj skończyłam szkołę i może jedyną mądrością, jaką tu zdobyłam, jest to, że teraz wiem, kiedy nie muszę robić tego, co mi każą.

Skierowała się do drzwi, nagle bardzo z siebie zadowolona. Odniosła niewielki, ale jednak triumf. Nie ustąpiła tej kobiecie, potrafiła pokazać, że ma zupełnie inne zdanie o ojcu.

— Virginio, zatrzymaj się! Nie wolno ci wyjść! Przyjechałam z tak daleka... jest już bardzo późno. Nie ma czasu na dąsy... Mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego.

— Czekala pani z tym zbyt długo, panno Tilsit. Jeśli było coś do powiedzenia, należało to zrobić dawno temu.

— Byłaś za młoda. Musiałam poczekać, aż dorośniesz i będziesz mogła sama podejmować decyzje... aż będziesz w stanie zrozumieć...

Ginny pokręciła głową. Jej triumf był doprawdy skromny, niewiele chyba wart, sądząc po twarzy Isobel Tilsit — zakłopotanej, o ustach drżących z bólu. Piękne ręce wyciągały się niepewnie w jej stronę w geście samotności i rozczarowania. Nie chciała na to dłużej patrzeć, więc szybko dodała: — Przykro mi, ale nie mogę zostać. Czy pani tego nie rozumie? Nie wiem, po co pani przyjechała i nie chcę wiedzieć. Na pewno nie po to, by zakończyć spór z moim ojcem. Chce pani ciągnąć to dalej, ale w jakim celu? Nie mogę tu stać i słuchać, jak pani mówi w ten sposób o moim ojcu, nie próbując go nawet zrozumieć, gardząc nim, nie licząc się z nim w najmniejszym stopniu. Proszę zrozumieć, że nie obchodzi mnie, co chciała mi pani powiedzieć. Jeśli nie miało to znaczenia trzydzieści lat temu, tym bardziej nie ma teraz.

Isobel Tilsit zdawała się zgadzać ze słowami Ginny. Opuściła rękę.

— Robisz błąd. — Jej twarz stężała i nabrała ostrości; pomarszczona, purpurowa szrama zdawała się krzyżeć. — Zapewniam cię, robisz wielki błąd.

— Ale to mój błąd. Niczyj inny. Tym razem nie jest to błąd mojego ojca, a wyłącznie mój! Do widzenia, panno Tilsit.

3

W ogrodzie zaczynało zmierzchać. Ginny odwróciła się do zakonnicy:

— Po co ona właściwie przyjechała? Co ją do tego skłoniło? Powiedziałam jej, że nie chcę wiedzieć, ale to oczywiście nieprawda.

— Nie wiem, Ginny. Nie wiem... — Matka Angela domyślała się, co skłoniło Isobel do tej podróży. Ponieważ jednak John Tilsit nigdy nie rozmawiał ze swoją córką o przeszłości, czuła się zobowiązana do respektowania jego woli. Dlatego nie odpowiedziała nic.

— Byłam wobec niej niegrzeczna — odezwała się znowu Ginny. — Zmartwi cię to, Matko... ale ona drwiła nawet z naszego klasztoru.

— Nie szkodzi. Jeśli uprzejmość i prawda nie mogą iść w parze, lepiej wybrać prawdę. Chociaż... — zakonnica uśmiechnęła się blado — odrobina grzeczności nigdy nie zaszkodzi.

— Na początku wydawało mi się, że ją polubiłam — ciągnęła Ginny. — Nie usiłowała od razu mnie przytulać i nie oczekiwała, że natychmiast

wyzwoli we mnie rodzinne uczucia. Ale tak okropnie przeraziła biedną Mateczkę Lucię i tak brzydko mówiła o ojcu... Była taka... sama nie wiem, jak to powiedzieć. W gruncie rzeczy nie chciałam odejść... chciałam zostać i wysłuchać, co ma do powiedzenia. Nie spotkałam dotąd nikogo, kto traktowałby mnie w ten sposób.

— Ludzie, którzy mają władzę, często wydają się nam w naturalny sposób atrakcyjni. Władza daje im pewien rodzaj magnetyzmu.

Ginny zmarszczyła brwi.

— Co powiedziałaś, Wielebna Matko?

— Nieważne. Głośno myślałam. No cóż... Nie wyobrażałam sobie, by Isobel mogła się zmienić. I wygląda na to, że się nie zmieniła. Znałam ją, oczywiście, w Anglii, w tym samym czasie co twojego ojca.

— Biedny ojciec! Tak mi się go zrobiło żal. Nigdy dotąd się tak nie czułam. No i jak ona mogła mówić w ten sposób o naszej porcelanie!

Matka Angela roześmiała się.

— Tak, Isobel zna się na porcelanie jak mało kto. Szkoda, że nie została na herbacie. Serwis do herbaty ma naprawdę muzealną wartość. I na pewno pozadrościłaby tych dwóch waz z Sevres, stojących w moim gabinecie. Zawsze o nich myślę, tak samo jak o gobelinach w kaplicy, kiedy pojawiają się tu różni przedsiębiorcy i zaczynają przekonywać, że klasztor wymaga nowego dachu. Tych kilka przedmiotów śmiało wystarczyłoby na opłacenie remontu. No, biegnij, Ginny. Czas na nieszpory.

Dziewczyna podniosła się z ociąganiem. Patrzyła na zakonnice z nadzieją, że usłyszy od niej coś, co pozwoli jej zrozumieć cel wizyty ciotki. Ściągnęła brwi, a na młodziutkiej twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

— Powiemy o tym ojcu? — zapytała, jakby wizyta Isobel Tilsit była ich wspólnym sekretem.

Matka Angela poczuła wzruszenie, że Ginny traktowała ją jak przyjaciółkę. Rzadko się zdarzało, aby uczennica opuszczająca Santa Maria rozumiała, że uczące ją zakonnice są również kobietami, a nie bezpłciowymi figurami przyobleczoneymi w czerń i otoczoneymi tajemnicą powołania. Pod czarnym habitem nie przestaje się przecież być kobietą. Matka Angela ucieszyła się, że Ginny była jedną z nielicznych, które o tym wiedziały.

— Tak, Ginny... powiemy mu. Nie będzie zadowolony, ale musimy to zrobić.

Kiedy dziewczyna odeszła, zakonnica nadal siedziała patrząc na pogłębiające się cienie pod drzewami, na łagodne hiszpańskie łuki krużganka rysujące się na ciemnym tle. W tej spokojnej chwili pozwoliła zmęczonemu ciału rozluźnić się. Oddychała ciepłym, wieczornym zapachem kwiatów; słuchała lekkiego postukiwania gałęzi poincjany o mur. Ogród był jej pociechą i radością; przychodziła tu zawsze, gdy nie musiała siedzieć za biurkiem. Tu było jej łatwiej rozwiązywać różne problemy. Czasem zastanawiała się, czy nie grzeszy dogadzając sobie i przychodząc tu tak często. Miała w sobie wrodzoną Anglikiem miłość do ogrodów; ogrody dawnej

Hiszpanii, jakie tu odkryła, były jednak o wiele bardziej odurzające i bujne niż te, które pamiętała z dzieciństwa. Tamte rozciągały się szeroko na dużej, otwartej przestrzeni, targane wiatrem, gdy od morza nadciągała burza. Te same wichry smagały oddalone o pięć mil mury ogrodu w Tilsit. John Tilsit... Przez wszystkie lata swego pracowitego życia rzadko go wspominała. Nie był jej specjalnie bliski, tkwił jednak w zakamarkach jej pamięci. Kiedy postanowiła wyjechać i wstąpić do zakonu w Kanadzie, John był jeszcze chłopcem — ileż to miał wtedy lat? Dobrze za to pamiętała Isobel — despotyczną, arogancką, przekonaną, że wszystkie sprawy muszą się toczyć pod jej dyktando. Matka Angela pamiętała również Jane Tilsit — legendarną Jane Tilsit; wówczas jeszcze żyła i dominowała nad wszystkimi. Listy, jakie w Kanadzie otrzymywała od rodziny, donosiły o kłótni, będącej tematem plotek w całym hrabstwie, o wyjeździe Johna do Indii Zachodnich. Kiedy John dowiedział się, że przeniesiono ją do klasztoru w Puerto Rico, odwiedził ją tam, nieśmiały i zakłopotany z powodu swojej sytuacji. Pełniła wówczas funkcję matki przełożonej w Santa Maria i już wiedziała, że zostanie tu na zawsze. Po pewnym czasie John zwrócił się do niej z prośbą, by przyjecha do przyklasztornej szkoły jego córkę, chociaż nie była katoliczką. „Może uznasz, że jest nieco niedojrzała — pisał — ale nie uważam, żeby była głupia. Na St. Nicolaas nauczyła się już wszystkiego, co było można, to znaczy niezbyt wiele. Przez ostatnie dwa lata udawałem, że jestem w stanie wypełnić luki w jej wykształceniu tym, co zapamiętałem z Winchester i starymi podręcznikami, które tu zdobyłem — zresztą, jak uważam, tendencyjnymi i staroświeckimi. Zachowuję się egoistycznie trzymając ją tutaj, ale nie wyobrażam sobie jej wyjazdu. Nauczyciel ze mnie żaden, a ona przejawia chęć do nauki. Potrzebuje dziewcząt w jej wieku i zachęty do rywalizacji”.

Gdy Ginny przyjechała do Santa Maria, była o dwa lata starsza od większości dziewcząt z klasy. Chociaż w nauce udało jej się nadrobić sporo straconego czasu, pod wieloma innymi względami wciąż pozostawała w tyle za koleżankami. To popołudnie, uznała Matka Angela, zmieniło Ginny. Choć wizyta Isobel Tilsit wyrządziła sporo złego, przyniosła także pewne korzyści. Wykrzeszała w dziewczynie iskrę buntu, zmusiła ją do zrozumienia, że nie jest już dzieckiem. Broniąc tak dzielnie ojca, tym samym odtrąciła Isobel. W ten sposób wkroczyła na drogę dorastania; zaraz potem porzuciła szkolny mundurek i dziecinne uczesanie. Były to drobniaki, lecz zakonnica, która obserwowała podobną ewolucję setek dziewcząt, doceniała zmiany zachodzące w Ginny. Nastąpiły one u niej dość późno, lecz ważne było, że zdecydowała się na nie świadomie i z rozmysłem.

Na razie więc wszystko układało się dobrze. Matka Angela czuła jednak, że to dopiero początek. Isobel nie podjęłaby tak dalekiej podróży, gdyby nie miała konkretnego celu. Zawsze ignorowała przedmioty i ludzi, dopóki ich nie potrzebowała. Fakt, że Ginny ją odtrąciła, nie miał dla niej większego znaczenia. Jeśli zajdzie potrzeba, postara się zdobyć to, o co jej chodziło. Zakonnica podejrzewała, że wie, po co Isobel tu przyjechała. Ten powód

wciąż był aktualny, reakcja Ginny niczego nie zmieniła. Isobel postanowiła dopiąć swego... ale czy nie jest za późno?

Niewykluczone, że Ginny znalazła się nagle w samym środku dawnej waśni między Johnem Tilsitem a jego siostrą. Może będzie musiała wybierać między nimi. Jakakolwiek będzie jej decyzja, Ginny musi ją podjąć sama, a w dodatku zrozumieć, dlaczego dokonuje takiego, a nie innego wyboru. A to wymaga wiedzy nie tylko o przedmiocie sporu, lecz także o życiu. Zakonnica popatrzyła na cichy, spokojny ogród. Noc szybko gęstniała pod drzewami i w głębi krzężanków. Matka Angela uświadomiła sobie, jak mało Ginny wie o normalnym świecie; zna tylko szkołę, klasztor i odludzie St. Nicolaas. Jak sprawić, żeby dziewczyna nauczyła się odróżniać dobro od zła? Żeby w krótkim czasie zrozumiała istotę władzy i chciwości? Jak uczynić ją bardziej odporną bez wyrabiania w niej podejrzliwości? Można mieć jedynie nadzieję, że Isobel wycofa się na następnych kilka lat. Trzeba się tylko modlić, by Ginny zyskała jeszcze trochę czasu.

Matka Angela podniosła się sztywno z ławki i przeszła przez ogród do kaplicy. W korytarzu skinęła głową Matce Lucii, siedzącej na swym zwykłym miejscu, czekającej, by za kilka minut zadzwonić na nieszpory. Podeszła do swego kłęcznika przed ołtarzem. Czując zmęczenie, ciężko osunęła się na kolana. Jej myśli podążały tym samym biegiem, co w ogrodzie. Wiele lat temu przekroczyła granice między modlitwą a nieustającym dialogiem z Chrystusem. Mówiła teraz do niego: — O, Panie... Ginny będzie potrzebowała pomocy... trzeba jej pomóc, i to szybko, zrozumieć świat zewnętrzny, taki inny niż klasztor i wyspa. Zrobiła już krok w dobrym kierunku, ale to wszystko mało; musi mieć czas, żeby nauczyć się bronić przed Isobel Tilsit. Daj jej ten czas, Panie... a najlepiej znajdź dla niej mężczyznę, który ją obroni.

Zadzwoniono na nieszpory i niemal natychmiast kaplica wypełniła się lekkimi krokami zakonnicy i klekotem drewnianych różańców. Jedna z nowicjuszek zapaliła świece. Matka Angela otworzyła modlitewnik i rozpoczęła głośno:

— *Deus in adiutorium meum intende...* Boże, racz mnie wysłuchać — powtórzyło za nią ponad trzydzieści zebranych w kaplicy zakonnicy.

— *Domine ad adjuvandum me festina...* O, Panie pośpiesz mi z pomocą.

— *Gloria Patri, et Filii...*

Słowa modlitwy płynęły z jej ust, lecz myślała co innego: „Jutro będę musiała wyjaśnić to wszystko Johnowi. Myślę, Panie, że bardzo go zdenerwuję”.

4

Nie tylko gniew dręczył Johna Tilsita, także strach. Podczas półgodzinnego lotu liniami Caribair na St. Charles, amerykańską wyspę, skąd wyczarterowany samolot miał zabrać ich na St. Nicolaas, bezskutecznie starał się zwalczyć oba

uczucia. Siedząc wygodnie w fotelu, próbował beztrzesko rozmawiać z Ginny. Oboje zdawali sobie sprawę, że udaje, więc szybko zrezygnował.

Ładowanie na St. Charles i odbiór bagaży na krótko go odprężyły. Poprzedniego dnia umówił się z pilotem, Harrym Parkerem, na lot do St. Nicolaas. Teraz trzeba było tylko poczekać na załatwienie niezbędnych formalności. Zatrzymał się przy nim na chwilę Albert de Kruythoff, wicegubernator St. Nicolaas, uprzedził, że poleci razem z nimi, po czym pospieszył na ostatnią konsultację z dwoma urzędnikami holenderskimi, czekającymi w kawiarni. John popatrzył za nim. Gdyby nie podniszczona teczka, jego chuderlawa postać w starym, białym garniturze w niczym nie przypominałaby osoby urzędowej. Ginny odeszła na chwilę, przemierzał więc halę lotniska sam, ćmiąc bez większej przyjemności trzecie tego dnia cygaro. Dookoła jaskrawiły się olbrzymie plakaty zachwalające hotele na St. Charles; ich sztuczna beztrzeska wydawała się kpić z jego niepokoju. Zastanawiał się, dlaczego jeszcze teraz, po trzydziestu latach, wciąż tak się boi Isobel. Co ona może mu zrobić? Szybko jednak odegnał te myśli. Oczywiście to nie on interesował Isobel — już dawno wymazała go ze swej pamięci. Teraz chciała tylko Ginny i to o nią się musiał bać. Cygaro nagle przestało mu smakować, więc wyrzucił je, wypalone do połowy. Zapalił fajkę — nie smakowała lepiej. Poczuł się stary, nieudolny i chory.

Harry Parker odszedł od stanowiska Caribairu, dając znak, że jest gotowy. John zapukał w szybę kawiarni, by uprzedzić de Kruythoffa, po czym rozejrzał się za Ginny. Dostrzegł ją za szklaną ścianą sklepiku z pamiątkami — jasnowłosa, w sukience w paski, wyglądała sładczynie w porównaniu z wystrojonymi kobietami oblegającymi ladę. W ostatnich minutach przed odlotem zawsze panował tu tłok. St. Charles było lotniskiem bezcłowym — perfumy, wyroby ze srebra, pozytywki i zegarki wyeksponowano specjalnie, by kusić oczy podróżnych. Już miał wejść do środka, lecz zatrzymał się. Uderzyło go znowu, podobnie jak wcześniej tego ranka, jak bardzo Ginny się zmieniła. Przez głowę przemknęła mu szybka myśl, czy przypadkiem nie jest zazdrosny o to, że jego złotowłosa dziewczynka gdzieś zniknęła. Lecz zaraz uznał się za sentymentalnego głupca i pchnął szeroko drzwi.

— Ginny, Harry Parker jest już gotowy. Chciałby zaraz lecieć.

Odwróciła się od lady.

— Dobrze, tatusiu, czekam tylko, żeby mi coś zapakowano. Będę za minutę.

Skinął głową.

— W takim razie idę łądować bagaże. Nie zwlekaj zbyt długo. — Podążył w kierunku waliz, ciesząc się, że za chwilę ruszają, że już niedługo wysiądą na swojej wyspie. Do tej pory myślał o St. Nicolaas nie tylko jak o azylu, ale także jako o kryjówe. Teraz zaklął w duchu na myśl, że Isobel nie zostawiła mu już żadnego miejsca, gdzie mógłby się schronić.

— Ginny będzie za chwilę — powiedział do pilota, gdy ten zaczął upychać bagaże do małej, czteroosobowej cessny. Albert de Kruythoff

podszedł do samolotu, z głową pochyloną do przodu w charakterystyczny dla niego sposób. Wcisnął pod jedno z siedzeń swoją teczkę i zaczął się sadowić, zginając nogi w pół, by zmieścić się w niewielkim fotelu. Westchnął, gdy wreszcie rozlokował się wygodnie.

— Wiesz, John, oni mówią, że w przyszłym roku będziemy musieli otworzyć na St. Nicolaas nową szkołę podstawową. — Skinął w kierunku lotniska, mając na myśli dwóch urzędników z Curacao. — Trzeba będzie wskrobać trochę pieniędzy.

Rozmowa ciągnęła się dalej — na temat trudności w zgromadzeniu odpowiedniej sumy, nikłej szansy uzyskania większej pomocy od Curacao, o różnych innych sprawach, którym należałoby poświęcić więcej uwagi. Harry Parker wtrącał od czasu do czasu uwagi o budżecie St. Charles, lecz de Kruythoff i John słuchali go tylko jednym uchem. St. Charles było posiadłością amerykańską, jednym z trzech ważnych przyczółków Stanów Zjednoczonych na Karaibach, stosunkowo bogatym dzięki turystyce. Natomiast St. Nicolaas było częścią Holenderskich Indii Zachodnich, mało ważnym dodatkiem do Curacao i Aruby. Kiedyś uprawiano tu trzcinę cukrową, potem o wyspie zapomniano i zaczęła podupadać. Władze ze wszystkich sił starały się wprowadzić jej mieszkańców w dwudziesty wiek, budować drogi i szkoły. Jednak trudno było ją porównywać z sąsiednią, amerykańską wyspą. St. Charles, widziana z odległości zaledwie kilku mil, jakie je dzieliły, wydawała się otoczona różową mgiełką dobrobytu. John nie mógł nie zauważyć protekcyjności w głosie Harry'ego Parkera. W pewnej chwili uświadomił sobie, że rozmawiają już dobre pięć minut, a Ginny wciąż się nie pojawiła.

Kiedy odwrócił się, by poszukać jej wzrokiem, wychodziła akurat z budynku. Pobiegła przez pole startowe taszcząc wielkie tekturowe pudło, które objęło jej nogi.

— Bardzo przepraszam, panie Parker..., panie de Kruythoff. Nie przypuszczałam, że to tak długo potrwa. Okropnie się guzdrali w sklepie.

John odebrał od niej paczkę.

— Mam nadzieję, że to nie perfumy, Ginny. Pachniesz jak sklep z upominkami.

Roześmiała się.

— To porcelana dla mamy, za niecałe pięć dolarów. — Wślizgnęła się na siedzenie obok pilota, a Harry Parker przechylił się przez nią, by zamknąć drzwi. — Powiedzieli, że w Nowym Jorku kosztowałyby z piętnaście dolarów.

Przyzwyczajeni byli do cen w dolarach, a nie w holenderskich guldenach. Położenie St. Nicolaas w pobliżu amerykańskich wysp, z dala od Curacao, sprawiało, że jej mieszkańcy cierpieli na coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. To, że wyspa oficjalnie pozostawała posiadłością holenderską, było w pewnym sensie anachronizmem.

— Co takiego kupiłaś Katrien za pięć dolarów? — zapytał John. Samolot zaczął się toczyć w kierunku pasa startowego. Harry Parker poklepał Ginny po ramieniu.

— Zapnij pasy, Ginny.

—Przepraszam. — Zrobiła, o co prosił. Kiedy już cessa ustawiła się na końcu pasa, Parker przystąpił do sprawdzania instrumentów pokładowych i przyspieszania obrotów każdego silnika z osobna. Hałas był ogłuszający. Ginny starała się przekrzyczeć wycie silników.

— Nie musisz jej mówić, że to kosztowało tylko pięć dolarów. Po prostu miałam akurat tyle pieniędzy. To jeden z tych angielskich kompletów do porannej herbaty. Wiesz, o czym mówię — pojedyncza filiżanka ze spodeczkiem i talerzykiem oraz dzbanek na herbatę, dzbanuszek do mleka i cukierniczka. To było takie... — zawahała się — takie wyjątkowe — tylko jedna filiżanka. Mama poczuje się jak królowa, pijąc na tarasie swoją poranną herbatę.

John spostrzegł, że Albert de Kruythoff kiwa głową potakująco. Pomyślał, że w oczach tego nieśmiałego, samotnego kawalera w średnim wieku postawna, jasnowłosa Katrien z jej wdzięcznymi, niespiesznymi ruchami może istotnie wyglądać jak królowa. Ginny wybrała dobre określenie dla matki.

Harry Parker rozmawiał z wieżą kontrolną. Już po chwili samolot pomknął wzdłuż długiego pasa startowego prowadzącego w kierunku morza. Nikt nie odezwał się słowem, dopóki nie poderwali się w powietrze i nie zobaczyli pod sobą zielonkawej wody. Wzniesli się na dwa tysiące stóp; cessa skręciła i wzięła kierunek wzdłuż linii brzegowej St. Charles, a następnie na wschód, ku St. Nicolaas. W dole została pełna życia, hałaśliwa wyspa, z amerykańską bazą okrętów podwodnych i nowymi nakładami destylacji słonej wody, których budowa i próbny rozruch kosztowały podobno rząd USA fortunę. Lecieli nad miasteczkiem Margretsted, którego uliczki biegły ku szczytom wzgórz, a potem w dół, do nadbrzeżnego bulwaru. Miasto i fort, którego działa skierowane były na wejście do portu, wyglądały jak trzysta lat temu, kiedy zbudowali je Duńczycy. Amerykanie, kiedy kupili od nich wyspę podczas pierwszej wojny światowej, założyli tu wodociągi i elektryczność, ale tego nie było widać. Jedynie kwadratowe bryły nowoczesnych budynków, wspinających się po wzgórzu, przypominały o współczesności.

John oderwał wzrok od rozciągających się w dole widoków. Na horyzoncie rysowała się St. Nicolaas, z każdą chwilą większa. Oślepił go blask zalanego słońcem morza. Na północ leżały Brytyjskie Wyspy Dziewicze. O te małe wysepki, zarośnięte trzcina cukrową, toczyli niegdyś wojny Hiszpanie, Anglicy i Holendrzy. Za swoje trzy wyspy Amerykanie zapłacili gotówką — tak postępują dzentelmeni, oczywiście jeśli mają pieniądze. John pomyślał, że miło byłoby mieć tyle pieniędzy, by kupować co się chce. Szybko jednak uznał, że robi się zgorzkniałym, zawistnym starcem. Znowu zwrócił uwagę na rozmowę w kabinie.

— ... skoro już wracasz do domu na dobre. — mówił Harry Parker — mogłabyś znaleźć pracę w St. Charles. Wszędzie tu potrzebują pomocników... na przykład w biurze albo w jakimś sklepie.

— No cóż... sama nie wiem.

Nieoczekiwanie wtrącił się Albert de Kruythoff: — Ginny pewnie będzie

chciała trochę побыć w domu po powrocie. — Jego cichy głos zabrzmiał niemal jak mowa obrończa. Holender skulił się w fotelu, jakby przestraszony własną śmiałością. Wobec kobiet był bardzo nieśmiały i nigdy dobrowolnie nie udzielał im żadnych rad.

Siedzący przed Johnem Harry Parker wzruszył ramionami. Wyraźnie lekceważył opinię de Kruythoffa, uważającego, że odludzie St. Nicolaas mogłoby być miejscem dla takiej dziewczyny jak Ginny. Jego gest sugerował, że de Kruythoff i St. Nicolaas zasługują na siebie nawzajem. — St. Nicolaas jest martwe — oświadczył Parker. — I zostanie martwe, póki nie zjadą się tu turyści. Do tego czasu młoda dziewczyna nie ma czego szukać na St. Nicolaas.

— Turyści! — John wypowiedział to słowo niemal szeptem. Mówić coś przeciwko turystyce na Karaibach było przestępstwem, lecz myśli, że turyści mogą zawładnąć St. Nicolaas, przeraziła go. Oczywiście, kiedyś musi to nastąpić, ale wtedy diabli wezmą drogocenną ciszę i spokój tej wyspy.

— Tak... nadchodzi kolej na St. Nicolaas. To chyba ostatnia nie odkryta przez świat wyspa na Karaibach.

John nachylając się do przodu wyjrzał przez ramię pilota w przestrzeń rozciągającą się przed dziobem cessny. Chciał przekonać się, choćby tylko na moment, że wyspa wciąż trwa w spokoju i mimo słów Parkera nic się tu nie zmieniło od wczorajszego wyjazdu. Była na swoim miejscu i wyglądała tak jak zawsze. Jak zwykle poczuł głęboką ulgę, że ma dokąd wrócić. Powiódł wzrokiem wzdłuż linii brzegowej, lśniącej pomarańczowo w zachodzącym słońcu. Popatrzył na dobrze mu znane zatoki i przybrzeżne wysepki, przepowiadając sobie w myśli ich nazwy — Creel, Wyspa Francuza, St. Eustacius; a tam, na samym krańcu, niewidoczna już z obniżającego lot samolotu, jego własna zatoczka, Oranje Cove. Wśród raf woda zmieniła kolor z granatowego na zielony, a lśniąca biała plaża zakręcała przy każdej prawie skałce. Przecinające wyspę pasmo wzgórz miało zbocza łagodniejsze niż te na St. Charles. Umożliwiało to uprawę trzciny cukrowej, dziś niezbyt już dochodową. Jego wzrok przyciągnęło wzniesienie Kronbergu, wygasłego wulkanu na północno-wschodnim krańcu wyspy, widocznego z każdej jej części. Wznosił się ponad stosunkowo niskimi wzgórzami na wysokość dwóch i pół tysiąca stóp i był charakterystycznym punktem Małych Antyli. St. Nicolaas, położona na skraju archipelagu, w miejscu gdzie Atlantyk łączy się z Morzem Karaibskim, wydała się Johnowi klejnotem migocącym wszystkimi kolorami tęczy, tak samo nierealna jak trzydzieści lat temu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Wtedy podróżowanie samolotem było na Karaibach rzadkością; szczyt Kronbergu dostrzegł z pokładu szkunera handlowego płynącego z Miami. Oznaczało to dla niego koniec dryfowania po Karaibach, od wyspy do wyspy. Były to kryzysowe lata trzydzieste, gdy cukier nie znaczył nic na światowych rynkach. Ziemia, którą tanio kupił od wdowy po plantatorze, mogła zapewnić skromne utrzymanie. Osiedlił się tutaj, niewiele wymagając od życia, ale z każdym rokiem czuł się tu coraz lepiej. Poślubił córkę sąsiada, z pochodzenia Holendra. Nie oczekiwał od

wyspy niczego poza tym, by nie była częścią Anglii, a od Katrien van Meerten — by nie przypominała mu w niczym kobiety, której niegdyś pragnął. Nieoczekiwanie i — jak uważał — niezasłużenie odnalazł tu spokój i szczęście.

Była jeszcze Ginny. Spoglądał teraz na nią, uśmiechniętą i beztroską, przysłuchującą się gadaniu Harry Parkera. Jedyne, co mógł jej zapewnić, to życie bez lęku i chciwości; do tej pory miał nadzieję, że mu się to udało. Nie chciał, aby odkryła jego obawy, że razem z Isobel zbliży się do niej świat pełen zagrożeń i nienawiści. Myśl o Isobel sprawiała, że czuł się tchórzem; serce przepełniał mu ból i gorycz wspomnień.

Łądowisko na St. Nicolaas było wyboiste i cessa podskoczyła kilka razy. Przy końcu pasa zakreśliła i pokołowała w kierunku małego, białego domku z falistej blachy, służącego za port lotniczy. Parker wskazał na czerwoną, stalową konstrukcję wznoszącą się obok i na pracujące w drugim końcu pasa startowego dwa pomarańczowe buldożery.

— Spójrz, Ginny. Zaczyna się.

— Co to takiego?

— Caribair otwiera w Nowy Rok połączenie z Puerto Rico. Wydłużają pas startowy, a tu zaczęli stawiać nowy budynek dla pasażerów.

— Nic nie wiedziałam — z jej głosu emanował młodzieńczy zapał.

— Rzecz jasna to dopiero pierwszy krok — powiedział Parker z przekonaniem. — Ale nie pojawią się tutaj turyści, jeśli nie będzie ich czym dowieźć.

Awionetka ostrożnie posuwała się po nierównym terenie, aż zatrzymała się przed budynkiem. Wyłączył silniki; w nagłej ciszy jego głos zabrzmiał jak wystrzał. — Załóżcie się, że za rok będą tu dwa hotele?

De Kruythoff wyciągnął długie ramię, by utworzyć drzwi.

— Może tu właśnie powinienem szukać pieniędzy na nową szkołę?

Czekali, aż Parker wyładuje bagaże. Tekturowy karton postawił u stóp Ginny.

— Nie chciałbym potłuc porcelany dla twojej mamy, lepiej weź ją sama.

— Może ja — zaproponował de Kruythoff.

John i de Kruythoff uzgodnili z Parkerem opłatę za przelot i podzielili ją między siebie. Holender chwycił swoją teczkę i pakunek Ginny.

— Zaniose go do samochodu, John. — Zwrócił się do dziewczyny: — W przyszłym tygodniu spodziewamy się wizyty gubernatora z Curacao. Jak zwykle urządzamy małe przyjęcie. Mam nadzieję, że przyjdiesz. — Powiedział to swoim zwykłym bezpretensjonalnym tonem, jakby to zaproszenie nie było dla Ginny niczym nadzwyczajnym, jakby nie podkreślało jej nowej dorosłości.

— Z radością, dziękuję.

— Świetnie. Dopisz twoje imię do zaproszenia dla Katrien i Johna.

Kiedy wkładali bagaże do volkwagena, cessa wystartowała w drogę powrotną. Dźwięk silnika słabł, aż ucichł zupełnie; wokoło zapanował spokój, a John poczuł się wreszcie bezpieczny.

Oranje Huis stał na wysokim cyplu nad zatoką. Z południowego krańca otaczającej budynek galerii rozciągał się widok na jedyne miasteczko na wyspie, Willemstad. Tilsitowie siadali zazwyczaj po północnej stronie, skąd widać było panoramę Oranje Cove. Okna wielkiego centralnego holu, używanego jako salon, wychodziły na zachód, na łańcuch Małych Antyli, wysp brytyjskich i amerykańskich. W nocy można było stąd dostrzec światła Margretsted, jarzące się nad St. Charles. W St. Nicolaas mówiono, że miejsce to zostało nazwane Oranje Huis wtedy, kiedy John Tilsit poślubił córkę Pietera van Meertena i tutaj zamieszkał — małżeństwo to obudziło wspomnienia unii angielsko-holenderskiej z czasów Wilhelma Orańskiego. Ten żarcik nie miał nic wspólnego z prawdą. Dom przodków Katrien van Meerten, zbudowany niewolniczą pracą ponad dwieście lat temu, zawsze nazywany był Oranje Huis. Był to budynek z kamienia i cegły, z marmurową posadzką w pokojach i na galerii; obszerne, wysokie pomieszczenia świadczyły o tym, że nie liczono się wówczas z kosztami. Z każdego pokoju wychodziły na galerię oszklone, podwójne drzwi; okna zaopatrzone były w ciężkie, drewniane okiennice na wypadek cyklonu. Teraz gnieździły się w nich termity, dlatego John wątpił, czy dach wytrzyma następny atak huraganu. Kiedy jednak wspominał o tym Katrien, uspokajała go, że przecież może to nastąpić dopiero za dwadzieścia lat. Martwił się jednak, że nie stać go na wymianę belek stropowych ani okiennic; zresztą przed żniwami powinien kupić także nową ciężarówkę, a na to również nie mógł sobie pozwolić. Żałował, że nie ma usposobienia swojej żony.

John Tilsit z namaszczeniem przyrządzał poncz na cześć powrotu córki. Katrien uniosła szklanę w jej kierunku. — Witaj w domu, Ginny. — Skinęła głową, a w oczach błysnęło zadowolenie ze zmiany, jaką zauważyła w dziewczynie. W duchu Katrien była przekonana, że Ginny już zbyt długo przebywa w szkole; przedtem jednak, przez półtora roku, które dziewczyna powinna była spędzić w Santa Maria, John trzymał ją na St. Nicolaas. Na to także matka nie miała wpływu. Katrien była realistką; zdawała sobie sprawę, że poślubiła człowieka zupełnie innego pokroju niż ona, więc nie upierała się bez potrzeby. Patrząc teraz na męża, na jego wzrok utkwiony w Ginny, uśmiechnęła się pod nosem.

Była wysoką, atrakcyjną blondynką, o jasnej karnacji i żywych rumieńcach. Powolność jej ruchów świadczyła, że urodziła się w tym klimacie i wiedziała, jak trzeba w nim żyć. Od czasu do czasu jeździła do Curacao i San Juan na zakupy; trzykrotnie była też w Miami. Jeden jedyny raz John wziął ją ze sobą do Nowego Jorku — spędziła tam niesamowity, oszałamiający tydzień. I to było wszystko, co wiedziała o świecie; co nieco przeczytała jeszcze w prenumerowanych przez siebie gazetach i czasopismach, które przychodziły z wielotygodniowym opóźnieniem. Nie miała w sobie nerwowo-

ści, jaką czasem zdradzali jej mąż i córka; była jak skała, o którą zawsze mogli się oprzeć. Jedyнным smutkiem jej życia było, że jej jedyne, poza Ginny, dziecko, synek, zmarło w niemowlęctwie. Chciała mieć więcej dzieci, zwłaszcza synów. Poza tym czuła się zadowolona z życia, nawet szczęśliwa, i wierzyła, że udało jej się uczynić szczęśliwym także męża. Nie zastanawiała się nad tym, że nie było mu łatwo osiągnąć to, co osiągnął. Jej zdaniem niewykorzystanie tego, co się posiada, byłoby głupią rozrzutnością.

— Tak tu spokojnie w porównaniu z San Juan — powiedziała Ginny. — Za każdym razem, gdy tu wracam, cisza aż dzwoni w uszach. San Juan chyba nigdy nie chodzi spać.

— Są gorsze miejsca niż San Juan — odparła Katrien, mając na myśli Nowy Jork. — W San Juan ludzie są tacy uprzejmi... Zawsze czuje się tam na ulicach zapach obieranych pomarańczy. Czasem marzę o takim urządzeniu, jakie mają sprzedawcy soku... Są takie pomysły. Widziałeś je, John?

— Tak. Naprawdę chciałybyś mieć coś takiego?

— Żartowałam tylko.

Kiedy tak siedzieli, zerwał się wietrzyk od morza, kołysząc drzewami w ogrodzie na zboczu poniżej domu. Ogród również był reliktem dawnych czasów — darmowej siły roboczej oraz bezgranicznej cierpliwości. Rozpocierał się na tarasach wyciętych w zboczu, na glebie przywiezionej w koszach uwiązanych na oślich grzbietach z żyźniejszych części wyspy. Był perełką sztuki ogrodniczej; zaplanowano go tak, by kontrolować erozję i zawartość wody w glebie. Teraz, kiedy już o niego nie dbano, panował tu zachwycający nieład, którego nigdy nie przewidział jego holenderski architekt. Kamienne urny i balustrady, wyłożone marmurem promenady popękały na skutek niewielkich trzęsień ziemi, nawiedzających wyspę. W szczelinach rosły chwasty, a dzikie wino pięło się po murach. Katrien, mimo nieustających wysiłków, nigdy ich nie pokonała — wycofywały się najwyżej na jakiś czas. Kwitły tu także rośliny, które — z uwagi na słone wiatry od morza — nie miały do tego prawa. U podnóża ogrodu wysoki mur chronił co bardziej delikatne uprawy. Mur rozsypywał się — gdy rok temu oderwał się spory kawał, Katrien nie wspomniała nawet o naprawie. Nie było na to pieniędzy. Oboje zdawali sobie również sprawę z tego, że stopniowo, niepostrzeżenie, lecz systematycznie, do tarasów i murów ogrodu zbliża się morze.

Katrien obserwowała Ginny sączącą drinka. Próbowwała wyczuć — jak to czyniła po każdym powrocie córki z San Juan — co się w niej zmieniło przez miesiące nieobecności. Ginny przechylona przez niską balustradę galerii wpatrywała się w zatokę. Owczarek niemiecki, Bo, którego miała od dwunastu lat, siedział u jej stóp. Od czasu do czasu kładł jej łeb na kolana, by upewnić się, że rzeczywiście wróciła. Zapadał zmierzch; ponad głową córki Katrien mogła dostrzec pianę niewysokich fal uderzających o brzeg. Na granatowiejącym niebie majaczył cypel po drugiej stronie zatoki. Stopniowo pojawiały się blade jeszcze gwiazdy. Ginny była odprężona, wyglądała na spokojną i szczęśliwą. Pogładziła czule psi łeb; tą samą czułością wydawała się obejmować także Katrien i Johna.

Nagle zeszytniała i wychyliła się do przodu, wypatrując czegoś w gęstniejącej ciemności.

— Co tam widać w dole? Jakby jakiś budynek...

— To nasz sąsiad, Jim MacAdam. Zaczął budować pawilony hotelowe na swojej części plaży. — John zawiadomił ją o tym niechętnie, jak gdyby sama myśl o tym była mu wstrętna.

— Nie! Nie na naszej plaży!

— Tak się składa, że to jego plaża, Ginny. Nie mogę go powstrzymać.

— Jego plaża? — powtórzyła. — Co to znaczy jego plaża? Kim jest ten Jim MacAdam? Nigdy o nim nie słyszałam!

— Pamiętasz Amerykanina, który kupił północny cypel od Katrien tuż przed wojną? Nie, oczywiście nie możesz tego pamiętać. To było przed twoim urodzeniem. Ten Amerykanin nigdy się tu potem nie pojawił i wydawało się, że nie ma żadnych planów co do tej ziemi, może najwyżej chciał tu postawić nieduży dom. Potrzebowaliśmy wtedy pieniędzy, ale każdego dnia spoglądałem w tamtą stronę wyobrażając sobie, że ktoś tam mieszka i żałowałem tej sprzedaży. Każdy dzień bez MacAdama na wyspie był dla mnie dniem łaski.

— Jesteś dla niego niesprawiedliwy — zaprotestowała Katrien. — Ma w końcu prawo...

— Pewnie, że ma. Dlatego jest mi tak ciężko, że sami mu sprzedaliśmy to prawo. Ten kawałek łądu nie nadaje się do uprawy trzciny, jest zbyt suchy i piaszczysty. Powinienem jednak znaleźć inny sposób na zdobycie pieniędzy. A teraz ceny ziemi poszły w górę i nigdy nie uda mi się go odkupić.

Ginny znowu odwróciła głowę i wbiła wzrok w ciemność, starając się rozpoznać zarys budynku.

— Duży ma być ten hotel? Ile pawilonów? — W jej głosie brzmiało zaskoczenie i złość. — Po prostu nie mogę uwierzyć, że będziemy stąd mieli widok na parasole plażowe i wszystkie te okropności.

— To będzie nieduży hotelik, myślę, że nie więcej niż sześć pawilonów — na początku. Ale planuje więcej i ma chęć na trzydzieści akrów wzgórza tuż za plażą. Teraz, kiedy na St. Charles rozkwita turystyka, a Castro zamknął Kubę, trudno się dziwić, że ludzie zaczynają odkrywać dalsze zakątki. Obawiam się, że to dopiero początek zmian i na St. Nicolaas pojawią się inni MacAdamowie. Jedyne, co może ich powstrzymać, to pieniądze.

— On nie ma pieniędzy?

— Nie buduje za własne pieniądze, wnosi tylko teren. Założył w Nowym Jorku konsorcjum, żeby zebrać kapitał na rozpoczęcie budowy. Potem na pewno zdobędzie resztę. Będzie się starał zachować kontrolę nad inwestycją i założę się, że mu się uda. Jest jednym z tych zdecydowanych młodych ludzi, trzymających się wytyczonego celu.

— Młodych? — zaśmiała się Ginny. — Mówiłeś, że kupił ziemię, zanim się urodziłam.

— To był jego ojciec, Ginny. To on kupił ziemię. Miał firmę budowlaną w Connecticut, ale zbankrutował, jak mi mówił Jim, a potem zaraz zmarł. Jim

skończył architekturę, ale wydaje mi się, że raczej jest budowniczym, jak ojciec. Buduje tutaj praktycznie sam. Dziwny facet...

— A ja lubię Jima MacAdama — powiedziała Katrien stanowczo. — Jest porządnym człowiekiem, a w dodatku przywozi na wyspę pieniądze. A tego tu bardzo potrzebujemy.

— Chyba masz rację — westchnął John. — Wyspa ich potrzebuje, a on rzeczywiście jest dość przyzwoitym facetem. W dodatku, co najzabawniejsze, uważa, że jesteśmy tak samo zachwyceni tą budową jak on. Siedzi tu, popija z nami drinki opowiadając o swoich planach, a ja nie mam serca, żeby mu powiedzieć, że mierzi mnie widok tej choleralnej budowy.

— I lepiej mu nie mów — wtrąciła Katrien — ponieważ wybrałam go na męża dla naszej córki.

— Mamo!

— Katrien!

Prawdziwy protest zabrzmiał jedynie w okrzyku Johna. W tonie Ginny czuło się rozbawienie i zaciekawienie. Katrien podniosła rękę, by uciszyć ich oboje.

— A dlaczegoż by nie? Czy dla Ginny to takie nieszczęście wyjść za męża?

— Jim MacAdam — stwierdził John sucho — ma po trzydziestce. Jest dla niej za stary i w ogóle nieodpowiedni.

Usta Katrien rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

— A o ile lat ja jestem młodsza od ciebie, Johnie Tilsit? Czyżby wokół Ginny kręciło się tak wielu młodzieńców odpowiednich do żeniaczki? To biedna wyspa i młodzi ludzie wyjeżdżają stąd, kiedy tylko mogą. A może to dlatego, że Jim jest Amerykaninem? Przecież zawsze mówiłeś, że podziwiasz amerykańską energię i zdecydowanie! A może nie jest dość dobry dla Ginny? Może lepiej sprowadzić dla niej Anglika? — Mówiła to żartobliwie, lecz z naciskiem.

— Dobrze wiesz, że to nie ma nic do rzeczy. — Johnowi zawsze wydawało się, że Katrien wyśmiewa się z niego, mówiąc takie rzeczy, zwłaszcza że oboje zdawali sobie sprawę, iż w jej słowach tkwiło ziarnko prawdy. — MacAdam już raz był żonaty, co nie rokuje dobrze dla Ginny.

— **Żona** Jima umarła — odpowiedziała dobitnie Katrien. — Myślę, że bardzo ją kochał... czuję, że tak właśnie było. Wcale się nie spieszy do powtórnego małżeństwa.

— Co za ulga. — Ginny podniosła się nagle, strącając łeb Bo z kolan. Oboje spojrzeli na nią zaskoczeni. Byli przyzwyczajeni do mówienia o niej podczas jej nieobecności, więc zupełnie zapomnieli, że siedzi tu i się przysłuchuje. — Mam nadzieję, że nie powiedzieliście mu, że macie córkę, która ma zamiar skłonić go do zmiany postanowienia. — Podeszła do tacy z napojami. — Oczywiście obejrzą go sobie — dodała z ironią w głosie — ale czy ja wiem... Nie sądzę, żebym mogła poślubić człowieka, który buduje hotele na naszej plaży.

GINNY mówiła lekkim tonem, lecz Katrien zauważyła, że stała się nagle sztywna i skrepowana. Postanowiła na razie nie mówić nic więcej o Jimie MacAdamie.

— Przyniosę jeszcze trochę lodu — powiedziała Ginny — już się kończy. — Od dziecka jej zadaniem było uzupełnianie lodu w kubełku, gdy Katrien i John siadywali o zmierzchu na werandzie. Kiedy wracała ze szkoły do domu, natychmiast podejmowała swoje obowiązki. Z kubełkiem w rękę zatrzymała się w drzwiach prowadzących do obszernego centralnego pokoju. Kuchnia mieściła się na tyłach domostwa, poza głównym budynkiem. Sypialnie ulokowano w czterech rogach. Dom miał wiele uroku, ale był też bardzo niefunkcjonalny. Ginny zwróciła się do matki:

— Powinniśmy kupić jeden z tych termosów do lodu, jakie produkują Amerykanie. Lód nie topiłby się tak szybko. Widziałam niedrogi, plastikowy, który moglibyśmy...

Jej ojciec jęknął głucho.

— Plastikowy! Cały świat zaczyna się zmieniać w jedną plastikową torbę. Już wolę patrzeć, jak lód topi się na moich oczach.

Ginny wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Konserwatysta! — Obcasy jej nowych pantofelków stukwały na marmurowej posadzce, kiedy przechodziła przez dom do kuchni. Ta sama myśl przyszła jednocześnie do głowy obojgu rodzicom, ale John odezwał się pierwszy:

— Dziwię się, że zakonnice pozwoliły jej kupić takie tandetne buty. Nie dość, że wyglądają śmiesznie, to może się w nich łatwo przewrócić.

— A co miały robić? Kazać jej chodzić w dziecinnych bucikach? One nie są ani głupie, ani oderwane od życia. Dziewczyny muszą nadażać za modą, a obcasy przestaną być dla nich niebezpieczne, kiedy nauczą się na nich chodzić. John... musimy pozwolić Ginny na jej własne pomyłki.

Skinął głową, i westchnął.

— Wiem... zachowuję się jak zdzieciniały starzec. Ale, Katrien, tak chciałbym ochronić ją przed... przed wszystkim.

Katrien nachyliła się ku niemu; ledwo mogli się widzieć w gęstniejącej ciemności.

— Nie możesz ochronić jej przed życiem. Ona musi sama przez to przejść. — Pomyślał, że to dziwne stwierdzenie w ustach kobiety, która niemal nie ruszała się z wyspy, a jej życie wydawało się, przynajmniej pozornie, monotonnym pasmem nieustannego spokoju. Czasami Katrien zaskakiwała głęboką mądrością, wypływającą nie tyle z doświadczenia, co z instynktu. Czuł się wtedy nieswojo i odczuwał do siebie żal, że przez minione lata nie słuchał jej uważniej, więcej się od niej nie nauczył, nie dzielił się z nią nękającymi go problemami; wtedy na pewno byłoby mu lżej żyć.

W zapadających ciemnościach spojrzął na żonę.

— Matka Angela twierdzi, że Ginny powinna iść na uniwersytet, i to nie w San Juan. Najlepiej na uniwersytet w Miami.

Dostrzegł potakujące skinienie Katrien i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak bardzo liczył na to, że żona nie wyrazi zgody, zamykając tym samym sprawę na dobre.

— Tak? — Zabrzmiało to bardziej jak aprobata niż jak pytanie.

— Chyba lepsze byłoby dla niej coś w rodzaju Vassar lub Radcliffe — kontynuował speszony. — Ale oczywiście te uczelnie nie wchodzi w rachubę ze względu na koszty. No i jest zbyt późno na składanie podań... Może tak samo jest w Miami — dodał z cieniem nadziei w głosie.

— Więc...? — Katrien upiła trochę ze szklaneczki, rozmyślnie go nie ponaglając. Jakby cały ten pomysł nie był dla niej zaskoczeniem. — Matka Angela uważa, że Ginny powinna wyjechać ze St. Nicolaas? Może ma i rację.

— Naprawdę tak uważasz? A czemu by to miało służyć?

Katrien wzruszyła ramionami.

— Kto wie? Czy to takie nieszczęście? Mogłaby nauczyć się paru pożytecznych rzeczy. Ona nie jest zbyt ambitna, ta nasza Ginny. Powinna dowiedzieć się czegoś więcej o świecie, choćby tego, że nie jest on tylko małą wyspą. Sądzę, że właśnie to miała Matka Angela na myśli. Świat zmienił się dużo bardziej, niż my tutaj. Ginny musi sama to odkryć; nie możemy jej w tym pomóc. Powinna poznać młodych mężczyzn, by wiedziała, jak wybrać tego właściwego.

Obrócił się ku niej, zdezorientowany i rozczarowany.

— Ale przecież jeszcze przed chwilą próbowałeś przekonać ją do Jima MacAdama.

— Nie dosłownie do Jima MacAdama — przerwała mu gestem ręki. — Nie rozumiesz... nie chodzi konkretnie o niego, choć to porządny człowiek i myślę, że pasowałiby do siebie. Miałam na myśli mężczyzn w ogóle. Ona musi przywyknąć do myśli o mężczyznach. Czy przyjrzałeś się swojej córce, John... tym razem? Jest już kobietą, i to piękną kobietą. Musi nauczyć się postępować sama ze sobą... i z innymi ludźmi. Łatwiej jej będzie, kiedy się znajdzie wśród dziewcząt w swoim wieku. Może w ten sposób lekcja będzie boleśniejsza, ale nauczy ją więcej.

— A czy nie lepiej, by uczyła się tego tutaj, gdzie może liczyć na naszą pomoc?

— Rodzice niewiele mogą pomóc własnym dzieciom — odparła Katrien spokojnie. — Chociaż bardzo ją kochamy, w pewnych sprawach jesteśmy zbyt staroświeccy. Moglibyśmy najwyżej otoczyć ją kokonem... albo szybko wydać za jakiegoś pocziwego Jima MacAdama.

— Cóż byłoby w tym złego?

— Dla Ginny bardzo dużo! Ocknęłaby się pewnego dnia z pretensją, że ją oszukaliśmy. Pierwszy lepszy turysta przekonałby ją, że się tu marnuje, a ona by mu uwierzyła, ponieważ nie zetknęła się z innym światem. Jeśli wyślemy ją stąd, będzie miała szansę dokonać wyboru, a przynajmniej zrozumieć, do czego mogłaby wrócić... jeżeli w ogóle będzie chciała wrócić. Nie chcę, by stała się rozczyrzona i nieszczęśliwa. Rozumiesz mnie, John?

— Nie! — wyrzucił z siebie. — Nie, nie rozumiem. Dlaczego miałyby być rozgoryczona i nieszczęśliwa? Przecież ty nie jesteś.

— Ginny jest tak samo twoim dzieckiem, jak moim — odpowiedziała łagodnie, a on nagle zrozumiał, jak ona go dobrze zna, ile wie o jego własnym rozgoryczeniu i poczuciu krzywdy, które przywiózł ze sobą na tę wyspę, a które ulatniały się stopniowo, całymi latami, tak że ledwo zauważył. Teraz, gdy mu o tym przypominała, zdał sobie sprawę, że został po nich tylko ślad goryczy. Miał wiele powodów, by być wdzięcznym Katrien. Szkoda, że nigdy nie znalazł czasu, żeby jej o tym powiedzieć.

Jej głos brzmiał łagodnie i spokojnie w zapadających ciemnościach: — Ginny nie jest mną, nie jest też tobą. Ma w sobie cechy nas obojga.

— Tak. — Był zadowolony, że żona nie może dostrzec jego twarzy, nie widzi jego bezsilnej paniki. Nie chciał, żeby Ginny nosiła w sobie częśćkę jego samego, obawiał się swojego psychicznego dziedzictwa. Dodał szybko: — Byłoby dla niej lepiej, gdyby odziedziczyła jedynie charakter swych zacnych holenderskich przodków...

Katrien roześmiała się głośnym gardłowym śmiechem.

— Zacnych? To nie jest akurat cecha, jaką chciałyby mieć młode dziewczęta. Życz jej po prostu, by była szczęśliwa, tak jak umie. My oboje niewiele możemy dla niej zrobić.

Zdał sobie sprawę, jak cennym darem była umiejętność Katrien pozostawiania rzeczy swojemu biegowi. Pomyślał, że może właśnie dlatego poprosił ją o rękę. Podziwiał ją za to, że potrafiła nie naciskać go, nie indagować; że nie usiłowała całkowicie go sobie podporządkować. A teraz on sam zaczyna przejawiać te wszystkie wady, których Katrien szczęśliwie była pozbawiona — owładnięty manią posiadania, zazdrosny, przerażony tym, że Ginny może wymknąć mu się prosto do Isobel. Chciał zatrzymać ją na wyspie blisko siebie, gdzie Isobel nie zdoła jej osiągnąć i gdzie cechy Tilsitów, przekazywane z pokolenia na pokolenie, mogą zaniknąć. Był przerażony. Odrzucał argumenty Katrien. Nie chciał wysyłać stąd Ginny. Chciał, by wyszła za męża, bezpiecznie wyszła za męża. Dotychczasowa wrogość wobec obcego, który zakłócił życie w Oranje Cove, nagle znikła. Niech to będzie Jim MacAdam czy ktokolwiek inny, byleby był silniejszy od Ginny i umiał z nią postępować. On, jej ojciec, nie mógł ochronić dziewczyny przed Isobel, ale mąż mógłby. W ciemności John otarł kropelki potu znad górnej wargi. Wysokie obcasy Ginny znowu zastukały po marmurze.

W wielkim centralnym salonie zapaliło się światło. Kolumny galerii położyły się cieniem na ogrodzie.

— Mamo, przyjdź na chwilę, dobrze? Chciałam ci coś pokazać.

— Co takiego? — Katrien powoli podnosiła się z krzesła.

— To niespodzianka.

Katrien skierowała się do oświetlonych drzwi; choć była mocno zbudowana, poruszała się lekko. Oślepią blaskiem zatrzymała się w drzwiach, po czym weszła do środka szybkim krokiem.

— A cóż to takiego?

— To dla ciebie — odezwała się Ginny. — Znalazłam to dziś po południu w St. Charles, gdy czekaliśmy na Harry'ego.

— Naprawdę dla mnie? Jakie to piękne!

Teraz i John podniósł się z miejsca i przeszedł wzdłuż galerii. Radość w głosie Katrien sprawiła mu prawdziwą przyjemność, podobnie jak myśl, że Ginny kupiła matce prezent za ostatnie, zaoszczędzone z kieszonkowego dolary. Dziwne, jak mało elementu rywalizacji istniało między tymi dwiema — matką i jej jedyną córką; żadna z nich nie wydawała się dążyć do dominacji. Ginny jest zbyt wielkoduszna, pomyślał, żeby być prawdziwą Tilsit. Trochę mu ulżyło. Ona się nie da. Nie ma powodu, by się o nią bać — Ginny z pewnością się nie da.

Podszedł do drzwi. Ginny w kuchni rozłożyła porcelanę na tacy, a teraz postawiła ją na stoliczku obok sofy. Katrien pochyliła się i uniosła czajniczek, radując się jego doskonałym, finezyjnym kształtem. John mocno oparł dłoń o framugę drzwi, próbując opanować drżenie ręki. Muszę się mylić, mówił do siebie; coś mi się przywidziało. Nie mylił się jednak. Ręka osunęła się i ruszył w kierunku stolika. Ginny spojrzała na niego z uśmiechem.

— Tato, co to za niebieskie kwiatki na obwódce? Czy to może angielskie kwiaty...? — reszta słów zamarła jej na ustach.

Poczuł wściekłość i strach. Znał na pamięć wzorek z niebieskich dzwonek: szlaczek na filiżance, podstawce, talerzyku i dzbanku. Widział go dawno temu, tego samego dnia, kiedy powstał jego projekt — zainspirował to swoim spontanicznym odruchem. Spacerował wtedy po lesie w Tilsit z Isobel i kobietą, którą kochał; zerwał kilka łądyżek i wręczył jej. Wiedział, że wkrótce zwiędną, ale chciał zobaczyć, jak je trzyma. Dotknęła miękko delikatnych dzwonek, zachwycona ich ulotnym pięknem.

— Czyż nie wyglądałyby pięknie na porcelanie? — zapytała.

Potem Isobel zaprojektowała wzór.

— Nie jest specjalnie oryginalny — stwierdziła — ale będzie ładnie wyglądać na serwisie domowym.

Poczuł wtedy, że coś mu ukradła — nie dla przyjemności, lecz z chciwości, a także dlatego, że w Tilsit wszystko należało do niej, nawet dzwonki. Patrzył teraz na rozstawioną porcelanę, czując ból i gniew nie do zniesienia.

Katrien spojrzała na jego twarz.

— John, co się stało?

— Niech to wszyscy diabli! Zabieraj to stąd! Nie chcę tego nigdy więcej widzieć!

Nie mógł się powstrzymać. W jednej sekundzie zmiotł ręką tacę ze stolika. Uderzyła ciężko o marmurową posadzkę, porcelana rozprysła się na

kawałki po całym pokoju. Wybiegając rozgniółł jeden z nich w progu. Nie słyszał za sobą głosów protestu, jedynie głuchą, pełną zdumienia ciszę. Zbiegł schodami z galerii w ciemność ogrodu.

Przez chwilę Ginny i Katrien nie były w stanie wydobyć głosu. Ginny wiedziała, że jej pytania nie znajdą odpowiedzi; szok i zaskoczenie na twarzy matki były równie wyraźne jak na jej własnej. Powoli schyliła się i podniosła kawałek leżący tuż przy nodze. Była to środkowa część spodeczka, na której stawiało się filiżankę. Odwróciła ją i odczytała znak producenta:

TILSIT
ANGLIA

I znak identyfikacyjny: duże, pochyłe T z przecinającą je kreską.

Rozdział drugi

Bo zbiegł po schodach w dół, a potem dróżką prowadzącą na plażę. Zapomniał o swoim wieku — w sposobie trzymania łba, w dziarskich podskokach przy boku Ginny wyglądał na młodego psiaka.

Był odpływ, drobne fale ledwo muskały brzeg. Jeszcze nie wstało słońce. Woda, pokryta szarym cieniem, wydawała się zimna. Kiedy jednak Ginny rzuciła pantofle i podeszła po mokrym piasku do brzegu, fala obmyła jej stopy przyjemnym ciepłem. Wśród kawałków drewna i wodorostów wyrzuconych przez morze znalazła odpowiedni patyk i rzuciła go psu. Bo skoczył do wody, złapał go i przyniósł z powrotem, otrząsając na Ginny wodę i prosząc o następny rzut. Bawiła się z nim, starając się nie patrzeć na rysy budynków mających na drugim krańcu plaży. Mniej więcej w połowie plaży linia brzegowa, znaczone pozostałościami po odpływie, zaczęła wyglądać inaczej. Wodorosty i drewniane szczątki zniknęły — widać było, że ktoś uporządkował to miejsce.

W cieniu kępy drzew ustawiono drewnianą ławkę. Ginny zorientowała się, że weszła na cudzy teren. Odwróciła się szybko. Rzuciła jeszcze raz patyk, ale Bo był już zmęczony i nie dawał rady dłużej zachowywać się jak szczeniak. Wyszła z wody i usiadła na piaszczystej wydmie naniesionej przez przyływ. Bo położył się obok, ciężko dysząc, z mokrą, zapiaszczoną łapą na jej szortach.

Od paru minut linia horyzontu zaczęła się rozjaśniać. Słońce nagle dotknęło grzbietu pagórka; za chwilę dotrze i tutaj, do zatoki. Dziewczyna podniosła wzrok ku domowi, by przekonać się, czy na galerii pojawiły się już jakieś oznaki życia, ale nie było widać nikogo. Tego ranka, pomyślała, mama wypije herbatę w kuchni rozmawiając z Wilhelminą, ich kucharką, udając, że nie ma czasu, by usiąść spokojnie na galerii. Będzie tak przez tydzień lub dwa, dopóki nie zatrze się wspomnienie roztrzaskanej o podłogę porcelany. Wtedy znowu weźmie herbatę na werandę w swojej starej filizance i nigdy więcej nie wspomni o porcelanie Tilsitów.

Katrien dała to wyraźnie do zrozumienia poprzedniej nocy. Posłała Ginny do kuchni po szczotkę i śmietniczkę i sama zebrała wszystkie potłuczone kawałki.

— Nigdy nie mów o tym przy nim, rozumiesz?

— Dlaczego? Chcę wiedzieć! To należało do Tilsitów — podesunęła Katrien okrucieństwo porcelany. — Czy to nasza rodzina?

— Nie wiem. Nigdy o nich nie słyszałam — i nie będę go o to pytać. Ty też nie.

— Niby dlaczego? Z jakiej racji tak po prostu rozbił prezent dla ciebie, mamo, i nie wytłumaczył się w dodatku? To nie w porządku...

Katrien oparła się o szczotkę.

— Ginny, wiesz już pewnie, że ludzie nie zawsze postępują tak jak trzeba... zwłaszcza wobec tych, których kochają. Jeśli twój ojciec nie chce niczego wyjaśniać, nie musi. I nie twoją sprawą jest go wypytywać.

— To znaczy, że masz zamiar zostawić to tak, nic mu nie mówiąc? Ja... ja nigdy bym tak nie postąpiła!

— Bo nie kochałaś jeszcze mężczyzny.

— Kocham przecież ojca!

Katrien uśmiechnęła się blado.

— Nie to miałam na myśli. — I wróciła do zamiatania.

Wkrótce potem usłyszały terkot starej motorówki Johna. Księżyc jeszcze nie pokazał się na niebie, mogły więc dostrzec tylko niewyraźny cień kierujący się na morze. Patrząc z werandy Katrien powiedziała tylko: — Mam nadzieję, że ma dosyć benzyny.

Było już bardzo późno, a księżyc świecił jasno, kiedy Ginny obudził odgłos powracającej łodzi. Później usłyszała dochodzące z kuchni głosy rodziców, z początku nieśmiałe i ostrożne, potem bardziej normalne. Poczula zapach grzanek oraz jajek smażących się na patelni. Ku jej zdziwieniu dobiegł ją nawet krótki śmiech. Wszystko to było tak odległe od wieczornego dramatu, takie zwykłe... Zwinęła się w kłębek i, zdezorientowana, znów zapadła w sen.

Teraz łódź nazwana „Ginny” leżała wyciągnięta na brzeg. Była stara, malowana wiele razy. Tak samo zniszczona jak garnitur ojca, i tak samo dobrze utrzymana. Ginny odwróciła się i uważnym wzrokiem popatrzyła na drugi koniec zatoki, gdzie błyszczał zacumowany nieopodal plaży jacht. Wyglądał jak symbol szybkości i pieniędzy — takich pieniędzy, jakich jej ojciec nigdy nie posiadał i takiej szybkości, jaką jego łódź dawno straciła. Poczula niechęć. Jacht był zimny i piękny, fale lekko kołysały kadłubem. Reprezentował wroga i intruza, ale czuła, że powinna tam pójść; musi zachować się jak cywilizowana osoba — tak postąpiłaby matka.

Wstała i tym razem przekroczyła niewidzialną granicę plaży, gdzie pozostałości po przypływie zostały usunięte. Nie było tu co prawda żadnej tablicy, ale widziała ją w wyobraźni: POSIADŁOŚĆ PRYWATNA —

PRZEJŚCIE ZABRONIONE. Możliwe, pomyślała, że kiedy zjadą się tu turyści, sami będziemy musieli ustawić tu własny znak, przodem do plaży Jima MacAdama. Inaczej obcy ludzie będą bezkarnie spacerować wzdłuż brzegu, może nawet aż do samej dróżki do Oranje Huis. Byliby zaskoczeni, że ktoś może sobie nie życzyć, aby fotografować jego dom. Minęła drewnianą ławkę. Teraz znajdowała się na terytorium wroga. Bo biegł przodem nie zatrzymując się, jakby droga do nie wykończonych budynków była mu dobrze znana. Wreszcie puścił się pędem, zostawiając Ginny daleko w tyle. Może poczuł zapach smażonego bekonu, a może zaprzyjaźnił się z tamtejszym kucharzem...

Uważnie rozejrzała się dookoła; patrzyła krytycznie i z niechęcią. Jeden z pawilonów wydawał się ukończony, pozostałe były w różnym stadium budowy. Wznoszono je z tutejszego kamienia oraz sekwoi — ściany konstruowano z drewnianych deszczulek, po to, by przepuścić powiewy wiatru; ocieniały je szerokie występy dachu. Dominowała budowla z rzeźbionym, opartym na kolumnach, zakrzywionym do góry dachem, stanowiąca, jak uznała, główny budynek, z kuchnią i restauracją. Na wyspie nie było dotąd domu o tak śmiałych, a jednocześnie subtelnych kształtach. Budynek przypominał zarysem widoczny w tle grzbiet wzgórza; zarazem trzymał się ziemi i wtopiał w otoczenie. Zdecydowanie wyróżniał się na wyspie, gdzie cała architektura utrzymana była w stylu kolonialnym; z pewnością nie był brzydki, jak z góry zakładała. Ruszyła dalej, między stertami materiałów budowlanych, w kierunku drzwi, przy których czekał Bo.

Otworzyły się, zanim zdążyła do nich dotrzeć. Mężczyzna na progu wydawał się traktować obecność Bo jak coś normalnego, jakby pies był tu już niejednym raz. Bo wpadł do środka, a Ginny, na widok takiej poufałości, poczuła ukłucie zazdrości. Mężczyzna odezwał się:

— Kim jesteś? Czyżby Żółtą Dziewczyną?

Ginny zatrzymała się. Jego głos był zimny i odpychający, podobnie jak wzrok.

— Jestem...

Otworzył szerzej drzwi.

— Jesteś panną Virginią Tilsit z Oranje Huis. Proszę, wejdz. Ale uważaj, gdzie stawiasz nogi. Nie powinnaś chodzić boso po tym terenie. — Był wysoki, ubrany w szorty koloru khaki, podkoszulek i ciężkie, robocze buty.

— Ja... ja zawsze chodzę boso po plaży.

— Czas się zmieniają — odparł. — Musisz uważać, dopóki tego wszystkiego nie uprzątnę. Wejdz. Jestem Jim MacAdam, twój sąsiad.

— Wiem, ojciec mi powiedział.

— A, twój ojciec... Nie podoba mu się to, co tu robię. Chociaż stara się być uprzejmy na swój cywilizowany, angielski sposób. Ale matka, jak mi się wydaje, z zadowoleniem czeka na ożywienie, jakie wniosą tu turyści. A ty po czyjej jesteś stronie?

— Jeszcze się nie zdecydowałam. Gdyby pan przestał na chwilę mnie

pouczać i zadawać pytania, może miałabym szansę, żeby o tym pomyśleć. — Znowu zaczęła przedzierać się przez sterty drewna.

— Chyba zasłużyłem na tę reprimendę. — Trzymał drzwi szeroko otwarte. — Muszę przyznać, że nieźle się ciebie wystraszyłem. Zawsze mówię zbyt dużo, kiedy jestem przestraszony.

Minęła go i weszła do środka. Pokój był obszerny, z typową dla wyspiarskich domów posadzką z terakoty; światło przytłumiały kolumny i zarośla za oknem. Chociaż był wielki i prawie nieumeblowany, Ginny wydawało się, że nie ma się tu gdzie poruszać — podłoga usłana była książkami i rozłożonymi planami, obciążonymi kawałkami drewna. Pełno było spodeczków, służących Jimowi MacAdamowi za popielniczki. Przy oknie stała pochyła deska kreślarska i wysoki stołek; Ginny naliczyła sześć puszek po piwie, z wetkniętymi w nie ostro zatemperowanymi ołówkami; wyglądały jak kaktusy o długich kolcach. Czysta bielizna ułożona była w dwóch stosach na podłodze przy ścianie. Ginny ostrożnie stawiała kroki między płachtami planów.

— Czego się pan przestraszył? — powiedziała w końcu.

Zamknął drzwi z trzaskiem.

— Obserwowałem cię na plaży. Wiedziałem oczywiście, kim jesteś. W ostatnim tygodniu wszyscy w Oranje Huis mówili tylko o twoim powrocie. Pomyślałem, że idziesz do mnie z wizytą. Potem zobaczyłem, że zawróciłaś, kiedy dotarłaś do mojej części plaży. Domyśliłem się, że znalazłaś się między młotem a kowadłem. A kiedy ruszyłaś znowu w kierunku hotelu, nie byłem pewny, czy zwyciężył przyjazny stosunek do mnie twej matki, czy zasady dobrego wychowania wpojone przez ojca.

— No cóż...

Brawura, z jaką wkroczyła do pokoju mijając go w drzwiach, nagle zniknęła.

— Bekon się przypala — zauważyła.

Patrzyła przez otwarte drzwi, jak wyławia bekon z patelni i kładzie go na talerzu. Kuchnia była niewielka i prostokątna; w drugim końcu pokoju znajdowało się wejście do łazienki. Takie właśnie rozplanowanie mieszkania matka nazwała kiedyś wygodnym rozkładem. Jim MacAdam poruszał się po kuchni z dużą wprawą. O dziwo, nie sięgał tu nieład dużego pokoju.

— Jakie jajka lubisz? — zawołał.

Ginny zawahała się. Nikt dotąd nie zadawał jej takich pytań. W Santa Maria jadła co jej stawiali na stole, a w Oranje Huis wiedzieli, w jakiej postaci lubi jajka najbardziej.

— W koszulkach — odpowiedziała w końcu.

— Przykro mi, ale będziesz musiała zjeść sadzone. Mam tylko jedną patelnię, z tłuszczkiem z bekonu.

— W takim razie sadzone... — Nie miało znaczenia, czy zgodzi się, czy nie. Już wbijał jajka na patelnię. Za chwilę wysunął głowę przez drzwi. — Kawa już jest gotowa... zobacz, czy da się tam zrobić trochę miejsca, dobrze?

— Wskazał głową niski stolik przy łóżku, którego do tej pory nie zauważyła, bo był zawalony książkami.

— Naprawdę, nie mogę zostać... czekają na mnie w domu.

— Rany boskie, nie bądź taka angielska. Poślą po policję? Czy jest tak wiele miejsc na St. Nicolaas, gdzie można zjeść śniadanie? Gdzie indziej mogłabyś być?

Ruszyła posłusznie, by uprzątnąć książki ze stolika. Nagle odwróciła się i spojrzała prosto na niego. — To trochę przygnębiające, prawda?

— Co takiego?

— To, że wiedzą, że mogę być tylko tutaj.

Ginny uznała potem, że była to najlepsza i najgorsza zarazem godzina w jej dotychczasowym życiu — po raz pierwszy jadła posiłek sam na sam z mężczyzną. Wciąż powtarzała w myśli zdania, które wtedy wypowiedziała. Przeważnie nie były to właściwe zdania. Tyle że nie potrafiła sobie wyobrazić, jak miałyby brzmieć te właściwe.

Jim MacAdam pochłaniał śniadanie łapczywie, skupiony wyłącznie na jedzeniu. Tego ranka nie golił się, świeży zarost nadawał jego kościstej twarzy surowy wygląd. Nie był szczególnie przystojny — miał za szczupłe policzki, zbyt kwadratową szczękę. Szare oczy spoglądały spod wygiętych brwi. Kiedy mówiła, patrzył jej prosto w twarz, póki nie skończyła. Czuła się przez to niepewnie; wolałaby spojrzenie mniej wnikliwe, łagodniejsze. Od razu zaczęła myśleć o swoim wyglądzie — że jest nie umalowana, a włosy spadają jej po dziecinnemu prostymi kosmykami. Była mu wdzięczna, że nie traktuje jej jak dziecko, ale też nie próbuje nadskakiwać. Przyjmował jej obecność jako coś najzupełniej naturalnego i była tym kompletnie zaskoczona, ale uznała, że nie mogło być lepiej.

Po jedzeniu ręka Jima powędrowała automatycznie do paczki papierosów, jakby bez patrzenia wiedział, gdzie leży. Zauważyła więcej takich otwartych paczek porozkładanych po pokoju. Wyciągnął rękę z papierosami w jej kierunku.

— Nie, dziękuję.

Ręce miał duże, silne, z połamanymi paznokciami, śladami po skaleczeniach i zadrapaniach; ramiona i nogi pogryzione przez moskity. Zaciągnął się dymem, przymykając powieki, jakby koncentrując się na zapachu i smaku papierosa.

— No więc, Złota Dziewczyno, co o tym wszystkim myślisz?

Zmarszczyła brwi.

— Wolałabym, żeby pan nie nazywał mnie Złotą Dziewczyną.

— Dlaczego?

— To tak jakbym nie istniała naprawdę.

Pokiwał wolno głową i po raz pierwszy zobaczyła jego uśmiech. Dziwne, czyżby nie uśmiechnął się przy powitaniu?

— Nikt nie istnieje dokładnie według własnych wyobrażeń, tylko wedle tego, jak go widzą inni — odparł. — Mój Boże! Oszałelibyśmy, gdyby było inaczej. Ale masz rację, to głupie przyklepać ludziom etykiety. Więcej tego nie zrobię, Ginny.

— Teraz poczułam się jeszcze gorzej.

— Dlaczego?

— Ponieważ ja pana też w pewien sposób określiłam.

— Nawet wiem jak.

— Skąd pan może wiedzieć?

— Wiedziałem już w chwili, gdy zobaczyłem, jak odwracasz się na plaży plecami. Nawet z tej odległości mogłem dostrzec, co mówi twój ruch.

— Tak naprawdę sama nie wiedziałam, co o panu myśleć. Czy inaczej pojawiłabym się tutaj?

— Wystarczyło, bym domyślił się, jak oceniasz to, co tu robię. Nie podoba ci się to wszystko, prawda?

— Nie o to chodzi, czy mi się podoba. Mogłoby być gorzej. Ten hotel mógł mieć cztery piętra i być pomalowany na pomarańczowo. Nieważne, jak wygląda — po prostu wolałbym, żeby go tu w ogóle nie było.

— Dlaczego tak ci na tym zależy?

— Byłam tu wolna i swobodna. Nikt poza nami nie przychodził na tę plażę. Jako dziecko wędrowałam tędy bez końca i udawałam, że docieram aż do krańca świata. Plaża zdawała się wtedy dłuższa i wydawało mi się, że jak dotrę do jej krańca, wypadnę na drugą stronę. Ojciec co prawda mówił, że nie wypadnę, ale cudowne było mieć taką szansę.

— Biedna Ginny! Tak więc zamiast wspaniałej przygody na krańcu świata przyszło ci teraz zetknąć się z jego właściwym rozmiarem... a mówiąc konkretnie, z rozmiarem odpowiednim dla turystek w średnim wieku z nadwagą, leżących na ręcznikach plażowych. Tak mi przykro.

— Dlaczego musiał pan się **tu** zjawić akurat teraz? Tyle lat zostawił nas pan w spokoju...

Zdusił niedopałek na spodeczku i wstał.

— To nie twój cholerny interes! Jesteś taka sama jak twój ojciec. Uważasz, że nikt poza wami nie ma prawa tu przebywać... tyle że on wyraża to trochę uprzejmie.

— Przepraszam... nie myślałam...

Zaczął zbierać talerze.

— Słyszę, że ze wzgórz zjeżdża ciężarówka z chłopakami... Lepiej już idź, bo jutro cała wyspa będzie plotkować, że jadłaś ze mną śniadanie razem z kolacją.

Kiedy wychodziła, zapalał w kuchni drugiego papierosa. W głuchej ciszy rozległo się jedynie miękkie klapnięcie ażurowych drzwi. Złamał zapałkę w palcach i ruszył za nią. Przy drzwiach zatrzymał się. — Niech to diabli! — zaklął.

Stał dłuższą chwilę patrząc, jak dziewczyna idzie po piasku w kierunku

morza. Bo trzymał się przy jej boku, jakby wiedział, że akurat teraz go potrzebuje. Miała piękne nogi, długie i opalone, prawie nagie w krótkich szortach; sza wyprostowana, z uniesioną głową, proste jasne włosy ledwie sięgały ramion. Bładożółte spodni i bluzka bez rękawów były mocno sprane. Kiedy sza swobodnym, lekkim krokiem ku rozświetlonej porannym słońcem wodzie, Jim pomyślał, że nie widział dotąd nikogo tak bardzo zespolonego z otaczającym go tłem.

— Złota Dziewczyna... — powiedział półgłosem.

W tej samej chwili ciężarówka pokonała ostatni odcinek nieistniejącej drogi i zaczęły z niej zeskakiwać miejscowi robotnicy. Jim wsunął do kieszeni nową paczkę papierosów oraz klucze od szopy z narzędziami. W ciągu następných ośmiu godzin nie pomyślał o Ginny ani razu.

Przez następny tydzień Ginny nie schodziła na plażę; pływała w wąskiej, skalistej zatoczce po drugiej stronie domu. Tuż obok zaczynały się pola trzciny cukrowej — było tu bardziej płasko, zbocza opadały łagodnie tarasami, a gleba była żyzniejsza. Dalej, na wzgórzu, tak samo jak na innych wzniesieniach na wyspie, królowały ruiny cukrowni, pamiętające czasy, gdy każdy plantator sam przerabiał własną trzcinę. Obecnie zajmował się tym jeden centralny młyn. Ojciec często przejeżdżał tędy dżipem. Praca na polach, ich uprawianie i użyźnianie wydawało się nie mieć końca — John Tilsit przez cały rok zatrudniał kilku robotników, a w czasie żniw najmował pracowników sezonowych. Za każdym razem, kiedy jechał zakurzoną drogą w stronę pól, machał jej ręką.

— Niebezpiecznie tu pływać, Ginny — wołał.

— Będę uważać. Jestem ostrożna.

— Tak, wiem.

Bo nie lubił tego miejsca. Każdego ranka uparcie biegł w stronę dróżki na plażę i musiała go do siebie przywoływać. Na dole, w zatoczce, nie chciał pływać razem z nią; stał na płaskiej skale, odskakując za każdym uderzeniem fali o głaz. Pewnego dnia, gdy wróciła do domu na śniadanie, porzucił ją. Długimi susami pognał przez plażę do drzwi domku Jima MacAdama, które natychmiast otworzyły się przed nim.

Nie było sposobu na uwolnienie się od świadomości istnienia Jima MacAdama. Każdego ranka, o siódmej trzydzieści, ciężarówka Teda Gardinera zjeżdżała drogą w dół przywożąc robotników. Około siódmej wieczorem słysząc było warkot dżipa. To Jim jechał do Willemstad, żeby posiedzieć godzinę przy whisky na werandzie „Amsterdamu”, a potem zjeść kolację albo na miejscu, albo w „Sparkey's American Grill”, gdzie podawano hamburgery. Kiedy zostawał w „Amsterdamie”, siadywał przy stoliku razem z doktorem van Burenem, stukniętym starym kawalerem, jednym z największych plotkarzy na wyspie. Ginny nie mogła uwierzyć, że Jim MacAdam został tak szybko przyjęty na wyspie za swego. Wszyscy wiedzieli, że w razie potrzeby zawsze, między siódmą a ósmą, można go zastać na werandzie „Amsterdamu”. Tematem rozmów był oczywiście nowy hotel. Kiedy Ginny

pojawiła się w Willemstad, po kurtuazyjnej uwadze, że miło ją znów widzieć i pytaniu, czy wróciła na stałe, zawsze wypytywano ją o Jima MacAdama i jego hotel. „Jak ci się podoba wasz nowy sąsiad?” „Budowa hotelu posuwa się chyba do przodu?”...

Odgłosy działalności Jim MacAdama nie ustawały. Zatoka całe dnie rozbrzmiewała hałasem młotków i elektrycznych pił, dudnieniem betoniarek, miarowym stukaniem dłuta kamieniarza, obtłukującego kamienie do pożądanej wielkości.

— Wiesz, że Jim jest architektem? — zapytała kiedyś Katrien córkę, obserwującą „Oranje Lady” — jacht Jima, wypływający z zatoki w kierunku St. Charles.

— Po co w takim razie chce zostać hotelarzem?

— Widocznie lubi to i tak postanowił. Jego ojciec był budowniczym... Nie wyobrażam sobie, że Jim mógłby przestać być architektem tylko dlatego, że prowadzi hotel.

— Ale to chyba dla niego degradacja... stać się zwykłym hotelarzem.

— Ginny, czasami wydaje mi się, że jesteś zwykłą snobką. — Matka powiedziała to bez złośliwości, jakby stwierdzała suchy fakt. — Uważam, że robiąc to, co lubi robić, Jim ma więcej godności niż wielu mężczyzn, których w życiu spotkałam. — Po czym poszła w stronę kuchni z nietypowym dla siebie pośpiechem.

Zdeprymowana Ginny podeszła do balustrady, patrząc jak „Oranje Lady” robi się coraz mniejsza, aż wreszcie znika na oślepiającej, zalanej słońcem powierzchni morza. Mniej więcej raz dziennie łódź wykonywała kurs do West India Docks na St. Charles; wracała załadowana drewnem i materiałami budowlanymi. Podobno Jim usunął z kokpitu wszystkie obite zamszem siedzenia, żeby była lżejsza. Zachwycającą sylwetkę jachtu zniekształcały stopy drewna przywiązane do kabiny. Jej widok przypominał Ginny swojski nieład domku Jima.

Chciałaby zejść na plażę i z nim porozmawiać, znaleźć się tam, gdy „Oranje Lady” ponownie zacumuje. Miło byłoby, gdyby drzwi domku Jima otwierały się przed nią tak jak przed Bo, gdyby mogła usunąć czasopisma z jednego z krzeseł i rozsiaść się w tym bałaganie. Dreczyło ją dziwne uczucie samotności, którego dotąd w Oranje Huis nie znała. W jakimś stopniu zrodziło się ono ze świadomości, że dzieciństwo się skończyło, a nie nadeszło w to miejsce coś równie satysfakcjonującego. W dużym stopniu brało się jednak z poczucia dystansu, jaki zapanował między nią a ojcem. John Tilsit był taki jak zawsze — poważny, lekko sardoniczny i nieobecny duchem. Był dobrym ojcem i zawsze dawał jej z siebie tyle, ile mógł. Nie mógł jednak poświęcić się jej bez reszty — oznaczałoby to dla niego pogwałcenie nieodpartej potrzeby zachowania własnego ja. Katrien wydawała się tym zadowolona, lecz Ginny chciała czegoś więcej. Wizyta Isobel Tilsit w San Juan oraz gwałtowne i rozpaczliwe zniszczenie porcelany świadczyło, jak wiele ojciec przed nią ukrywa. Czuła się oszukana i odtracona. Cóż z tego, że

Katrien nie domagała się, by opowiedział jej o swojej przeszłości? To był jej wybór, dokonany wiele lat temu. Ale Ginny? Była nieodrodnym dzieckiem swego ojca. Wierzyła, że ma prawo do pełnej wiedzy o nim. Była jego częścią i miała prawo wiedzieć, jaki on jest. Odmawiając jej tego pozbawiał córkę jakiejś części jej samej. Miała mu to za złe; uraza i frustracja odsuwały ich od siebie coraz bardziej, jak wznoszący się mur. Gdyby mogła, zburzyłaby go natychmiast, lecz ojciec musiałby także wziąć w tym udział. A on nie był na to gotów. Nagle przyszło jej do głowy, że jego uprzejmy i subtelny wygląd był tylko maską, niczym więcej. Oddalili się od siebie, ponieważ on tak postanowił, decydując się na milczenie. Było tak, co prawda, od lat, ale dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy, więc nie bolało jej to. Teraz już o tym wiedziała i była to gorzka świadomość.

Pewnego ranka, przed wschodem słońca, wybrali się razem na ryby — ona, ojciec i Bo, tak jak robili to już wiele razy. Przedtem zawsze cisza panująca między nimi na łodzi była czymś naturalnym — dowodem wzajemnego zaufania, przy jakim słowa są niepotrzebne. Teraz uważała, że jego milczenie jest świadectwem zdrady. Nagle promienie słońca padły na szarość wody ze wspaniałą tropikalną jaskrawością. Widziała to tysiące razy, ale zawsze dotąd świt i wschód słońca odbierała jako zjawiska pełne ciszy i spokoju. Teraz poczuła niemal fizyczne uderzenie blasku. Cisnęły się jej na usta pytania, pragnęła je wykrzyknąć, żeby przerwać ciszę między nimi. Szczupła, wyprostowana postać ojca wydawała się Ginny, mimo kołysania łodzi, nieporuszona i nie do poruszenia.

Kiedy zdecydowała się odezwać, z jej gardła wydobył się szept.

— Ojciec... opowiedz mi o Isobel Tilsit... o porcelanie... chciałam coś wiedzieć, ojciec.

Nie odwrócił się nawet.

— Nie, Ginny. To ciebie nie dotyczy.

I to był koniec.

Wkrótce potem wyciągnął żyłkę, wrócił do steru i zapuścił silnik — stary, wysłużony, okropnie hałaśliwy. Nie rozproszył jednak ciszy panującej między nimi. Kiedy wyciągnęli łódź na brzeg, Bo jednym susem wyskoczył i pognął przez piasek, odwracając się ze szczeniem w kierunku Ginny, jakby zachęcał ją, żeby poszła w jego ślady. Pędził w kierunku domku Jima MacAdama.

John Tilsit zagwizdał na psa, przywołując go do powrotu, lecz Ginny nagle zaprotestowała:

— Nie, zostaw go...!

Pomyślała, że Bo ma szczęście, ponieważ wie, że przed nim drzwi się na pewno otworzą.

Rozdział trzeci

Wielkie, wysokie pokoje domu *gezaghebbera* St. Nicolaas, Alberta de Kruythoffa, wypełnione były gwarem rozmów. Było tu i tak znacznie spokojniej niż na przyjęciach, na których Jim niegdyś bywał; po prostu wolniejsze było tu tempo życia. Goście bez pośpiechu wchodzili do budynku wspaniałymi podwójnymi schodami, prowadzącymi wprost ze skweru miejskiego Willemstad. U szczytu schodów, na stole nakrytym białym obrusem stała waza z ponczem; można było samemu nalać sobie napoju i nie wchodząc do środka spacerować swobodnie po galerii. Widać stąd było fort, zakotwiczone w porcie stateczki, oświetlone zachodzącym słońcem różowe i kremowe ściany przestronnych willi, zbudowanych przez plantatorów trzciny w okresie prosperity. Chociaż atmosfera była swobodna, wszyscy przestrzegali form przewidzianych na takie okazje i Jim nie zauważył, by ktoś nalał sobie drinka przed podejściem do de Kruythoffa i gubernatora, na którego cześć wydane było przyjęcie. Gubernator przyjeżdżał tu z Curacao raz do roku, o ile nie było nadzwyczajnej potrzeby dodatkowej wizyty. Mieszkańcy St. Nicolaas tradycyjnie nie zakłócali niczym jego bytności na wyspie, chociaż jeszcze poprzedniego dnia mogli wyklócać się z Albertem de Kruythoffem na temat potrzeby pogłębienia portu lub poszerzenia Town Road, albo też innych priorytetów w wydatkach budżetowych wyspy. St. Nicolaas była zarządzana z Curacao, wyspiarze uważali zatem, że jedynym rozsądnym wyjściem było tworzenie wspólnego frontu razem z de Kruythoffem, by wspólnie wydusić od władz jak najwięcej pieniędzy i przeznaczyć je na odpowiednie cele. Tak więc każdy udawał się zdecydowanym, choć bynajmniej niespiesznym krokiem do miejsca, gdzie stał gubernator w towarzystwie de Kruythoffa.

Kiedy przyszła kolej na Jima, okazało się, że gubernator zna już jego nazwisko. Natychmiast zainteresował się hotelem. MacAdam domyślił się, że od poprzedniego przyjęcia był tu jedynym nowym nazwiskiem i jedyną nową twarzą.

— Posuwa się do przodu, sir. Co prawda powoli — zdobywanie materiałów jest dość trudne. Nawet na St. Charles stale trzeba uganiać się za dostawami... niełatwo dostać taki rodzaj nakrętek czy sworzni, jaki jest akurat potrzebny. Wciąż muszę czekać na dostarczenie tych wszystkich rzeczy z Miami.

Szeroka, czerwona twarz Holendra rozciągnęła się jeszcze bardziej w uśmiechu.

— W dawnych czasach czekano na to nie tygodniami, panie MacAdam, a całymi miesiącami. A więc jest jakiś postęp, jak pan widzi. Poza tym tutaj wszystko toczy się wolniej... i mam nadzieję, że tak zostanie. To przyciąga turystów. W każdym razie życzę powodzenia w budowie hotelu.

Gubernator odwrócił się, by przywitać następną grupę gości, a Jim powędrował w stronę długiego stołu, nakrytego oficjalną zastawą wicegubernatora. Nie wierzył własnym oczom. Przed nim rozłożone było prawdziwe bogactwo: wielka misa na poncz, wysoki kandelabr, serwis stołowy — pamiętające dni, kiedy cukrowe wyspy warte były tego, by toczyć o nie wojny. Teraz owe symbole zamożności były ostatnimi pozostałościami po imperium — ciężkie, misternej roboty przedmioty, które przetrwały najazdy korsarzy i rabusiów oraz powstania niewolników. Stały tutaj, wspaniałe choć poskromione, najświetniejsze dzieła holenderskich i angielskich złotników, teraz w posiadaniu urzędników, a konkretnie Alberta de Kruythoffa. Jim przyjął szklaneczkę ponczu, a czarnoskóry kelner, stojący przy największym półmisku, z uśmiechem nałożył mu porcję krewetek w curry na talerz z miśnieńskiej porcelany, również z oficjalnej zastawy de Kruythoffa. Jimowi, zdającemu sobie sprawę, że w budżecie St. Nicolaas nie ma nawet dwóch wolnych pensów, cała ta sytuacja wydawała się kompletnie nierealna. Wziął talerz i szklaneczkę, i powędrował ponownie na galerię przez jedne z bocznych drzwi pokoju.

Większość starych domów na wyspie składała się z wielkich kwadratowych pokoiów, wysokich na piętnaście stóp. Zamiast okien miały oszklone drzwi, sięgające dwóch trzecich wysokości ścian. Jim odstawił talerz na balustradę i popijając drinka, okiem profesjonalisty przypatrywał się efektem umiejętności budowniczych sprzed dwustu lat. Mury domu miały trzy stopy grubości; rzeźbione, podwójne schody, teraz proszące się o remont, mogły śmiało być chlubą jakiegoś księżęcego pałacu z epoki Renesansu. W odróżnieniu od Oranje Huis, okna były zaopatrzone w żelazne okiennice o artystycznie kutych zawiasach. Służyły zapobiegliwemu magnatowi cukrowemu, który zbudował ten dom do ochrony przed niepożądanymi hiszpańskimi lub angielskimi awanturnikami, pojawiającymi się w porcie. Działła otoczonego murami fortu, skierowane na morze, teraz były przeżarte rdzą, a między kamieniami wałów obronnych bujnie rozrastała się trawa. Bezcłowe sklepiki Willemstad, które — jak liczył Jim — przyciągną turystów, rozlokowały się na parterach dawnych magazynów tutejszych kupców, przeważnie równie starych jak dom wicegubernatora. Wyższe piętra, wysunięte do przodu,

wspierały się na grubych kolumnach, przez co ulice Willemstad przebiegały jakby pod arkadami. Było to najpiękniejsze miasteczko, jakie Jim kiedykolwiek widział. Pociągnął spory łyk ponczu, zastanawiając się, czy jego własna próba stworzenia nad Oranje Cove czegoś, co oddawałoby naturę wyspy, wytrzyma konfrontację z tymi wspaniałymi dziełami dawnych budowniczych. Poczuł się niewyraźnie. Wziął talerz z curry i zaczął jeść.

Przez otwarte drzwi widział stojących razem otyłego gubernatora i de Kruythoffa — chudego, przypominającego bociana. Pierwszy wykonywał powolne, oszczędne ruchy, nabyte podczas wielu lat takich powitań; de Kruythoff zachowywał się nerwowo i niezgrabnie, co świadczyło o skrepowaniu, chociaż on również wykonywał swą pracę od lat. Jim pomyślał, że de Kruythoff nigdy nie zajdzie dalej niż administrowanie podupadłą, odległą od świata wyspą. Nie dla niego były intratniejsze stanowiska w służbie kolonialnej w Curacao czy Surinamie. Patrząc jednak na ten dom i doceniając gust de Kruythoffa, Jim uznał, że może wcale nie jest on niezadowolony ze swego losu. Złe czasy zaczną się dla niego, kiedy turyści pojawią się tu w takich ilościach, że zaczną sprawiać mu kłopoty. Ale jeszcze nie teraz, pomyślał Jim.

Przyszedł na przyjęcie dość wcześnie; w wielkich pokojach było jeszcze niewiele gości i tylko nieliczni wchodzili po schodach. Był zły na siebie, że chodząc tak po niemal pustych pomieszczeniach wyglądał jak ktoś szukający towarzystwa. Lekkie ożywienie panowało wokół gubernatora i de Kruythoffa, ale i tu nie zauważył pośpiechu ani podniecenia. Przy głównych drzwiach rozległ się głośny, niepohamowany śmiech — musiał go wywołać nowy dowcip przywieziony z St. Charles lub Curacao. Pod koniec przyjęcia obiegnie pewnie całe towarzystwo, a jutro będzie się go powtarzać w „Amsterdamie”. — Mieszkam tu już na tyle długo, by zacząć się uczyć tutejszych dowcipów — powiedział Jim do siebie.

W tym momencie podszedł do niego Jacob Geyl i powtórzył ten nowy kawał. Był na tyle zabawny, że Jim zaczął się zastanawiać, jak by go tu ubarwić, żeby się nadawał do opowiadania na werandzie w „Amsterdamie”.

Ale Geyl zadawał już nieśmiertelne pytanie: — Jak tam idzie budowa?

Słyszał je codziennie, od każdego kogo spotkał. Nie miał im tego za złe, pytanie było częścią spokojnej monotonii wyspiarskiego życia. Zaczął mu więc mówić o pomysle na dodatkowe zadaszenie, oddzielone od właściwego dachu, tak by ewentualny huragan zabrał jedynie nadstawkę, pozostawiając dach na swoim miejscu. Mówił o olbrzymiej lodowce i dwóch zamrażarkach zamówionych w Nowym Jorku, o elektrycznym generatorze, który zapewni hotelowi prąd w razie przerwy w dopływie elektryczności na wyspie, co się często zdarza, o rozmowach na temat sprowadzenia szefa kuchni z hotelu w Miami, gdy przyjdzie na to pora.

— Przez pierwsze pięć lat będzie zarabiał więcej niż ja — skonstatował filozoficznie.

Geyl słuchał go skwapliwie. Na St. Nicolaas chciano znać każdy szczegół na temat pawilonów nad Oranje Cove. Poza „Amsterdamem”,

zbudowanym przed osiemdziesięcioma laty, na wyspie nie było innego hotelu. Wypiarze z zazdrością spoglądali w stronę niedalekiego St. Charles, pragnąc, by tamtejszy boom budowlany zawitał i do nich. Liczyli, że wraz z turystami rozpocznie się tu ruch w handlu gruntami i stara, wysłużona ziemia stanie się domem dla tych, którzy chcieliby uciec od północnych wiatrów. Chociaż Jim MacAdam był outsiderem, niektórzy traktowali go jak zwiastuna dobrej nowiny. Jego możliwości oceniano jednak różnie — niektórzy przepowiadali, że skończy jako milioner, inni, że wyjedzie stąd w skarpetkach. Geyl należał do tych pierwszych, ponieważ liczył, że sukces MacAdama pozwoli dorobić się i innym.

Jim, z pustym talerzem w ręku, stał wciąż na galerii, poza głównym nurtem przyjęcia. Przy skwerze zatrzymał się akurat poobijany volkswagen Tilsitów. Katrien wydostała się z niego z pewną trudnością — był dla niej trochę za mały. Ginny, choć wyższa od matki, wysunęła się z samochodu zwinnie jak kotka, pokazując przez chwilę długie, ponętne nogi. John Tilsit trzasnął drzwiami i włożył marynarkę. Jak większość mężczyzn, uhonorował krawatem wizytę gubernatora na St. Nicolaas.

Jim uświadomił sobie, że patrząc na przechodzącą przez plac dziewczynę przestał słuchać Geyla. Miała na sobie błękitną bawełnianą sukienkę na cieniotkich ramiączkach, kosztującą, na oko, pięć dolarów w sklepie w Puerto Rico, a na nogach równie tanie pantofelki na wysokich obcasach. Nie miała w ręku torebki, zauważył to od razu. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział kobietę bez czegokolwiek w ręku, służącego do szperania lub do machania w stronę znajomych. Ginny była wolna i swobodna. Jasne włosy zebrała z tyłu w luźny węzeł, spięty po amatorsku i grożący w każdej chwili rozsypaniem. Wyglądała z tym jednak zachwycająco i dziewczęco.

Kiedy Tilsitowie weszli na schody, a potem skierowali się w stronę głównej sali, Jim poczuł chęć przyłączenia się do towarzystwa. W środku panował gwar; rozmowy toczyły się w trzech językach — urzędowym holenderskim, angielskim, najczęściej używanym i hiszpańskim. Zachowywał się tak, jak wypadało — krążył pomiędzy ludźmi, rozmawiając o tym samym o czym rozmawiał z nimi wczoraj lub w ciągu ostatniego tygodnia, jakby spotkał ich po długim okresie niewidzenia. Atmosfera na oficjalnych przyjęciach była zwykle trochę sztywna z powodu mieszaniny ras. Zauważył, że biali niezbyt **chętnie** witali się i rozmawiali z ludźmi o innym kolorze skóry, nawet jeśli na co dzień łączyły ich wspólne interesy. Rozbawiło go to, ponieważ pomyślał, że kolorowi mogli wobec białych zachowywać się szorstko lub obojętnie i nikt by nie oskarżył ich o uprzedzenia rasowe. Kobiety o ciemnej karnacji, w jaskrawych sukniach, były na ogół ładniejsze od białych, choć zbyt szybko starzały się i tyły. Nie widział jednak ani jednej samotnej kobiety, szczupłej, rozmownej, w nowojorskim typie. Niektóre były co prawda podobne do mieszanek St. Charles, starających się upodobnić do swych rodaczek z Nowego Jorku, ale to nie było to. Nie mógł się zdecydować, czy mu ich brakuje — inteligentnych i wymalowanych, wiecznie rozgadanych,

lękających się, że mogą pozostać niezauważone. Spośród mieszkanek Nowego Jorku utkwiła mu w pamięci tylko jedna twarz, głos, zapierający dech sposób poruszania się. Był taki czas, kiedy uważał, że wszystkie kobiety powinny wyglądać jak te spieszące Piątą Avenue między Czterdziestą Drugą a Pięćdziesiątą Dziewiątą o trzeciej po południu.

Taką kobietą była jego nieżyjąca żona, Julie.

Kiedy zaczął o tym myśleć, towarzystwo nagle przestało go interesować. Wszedł do biblioteki de Kruythoffa i zamknął za sobą drzwi. Nie było tu nikogo. Pokój nie był przeznaczony na przyjęcia i ludzie o tym wiedzieli. Stary kawaler traktował go jako swój azyl. Panował tu lekki bałagan, zakurzone książki dawno już zapełniły wszystkie możliwe półki, reszta leżała w stosach na podłodze według systemu znanego tylko właścicielowi. Pod ścianami piętrzyły się również gazety — głównie holenderskie, a także londyński „Times” i „Spectator”. Jim wyciągnął rękę po jedną z nich, ale zaraz cofnął. Nagle odeszła go ochota na czytanie. Opadł na jeden z głębokich, wytartych foteli, zwróconych w stronę wysokich okien wychodzących na ogród. Poczłł sztywne sprężyny, lecz po chwili natrafił na wygodne wgłębienie, wygniecione przez Kruythoffa przez lata siadywania w fotelu. Wyciągnął przed siebie nogi, ramiona luźno zwiesił w dół, poddając się nastrojowi odosobnienia i samotności. Nie próbował nawet go zwalczyć, bo i po co?

Myśli o Julie napływały w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Kiedy żyła, nie musiał wciąż o niej pamiętać, teraz wspomnienia wracały bez przerwy. W chwilach, gdy skoncentrowany pochylał się nad deską kreślarską, nagle stawała mu przed oczami jej twarz — zapominał wtedy o pracy. Gdy prowadził ważne rozmowy, włączał się nagle jej głos, żądający jego uwagi. Kiedy Julie żyła, jej obraz i głos towarzyszyły mu tylko w momentach rozstania. Po śmierci umocniła swój wpływ na niego, tak że czasem wydawało mu się, że jest drugą stroną jego natury, od której nie chciał się uwolnić. Pamiętał jej wspaniałość, niezrównaną odwagę, kiedy stanęła w obliczu nieuchronnej śmierci — prawdziwą dzielność, nie głupią brawurę. Gdyby nie znał jej tak dobrze, mógłby uwierzyć, że nie wzbraniała się przed myślą o odejściu z tego świata. Ona jednak kochała życie, pragnęła go w jego najpełniejszej postaci, czerpała z niego wszystko, co się dało. Nie mógł zaprzeczyć jej stałej obecności w swoich myślach, sposobowi, w jaki nim kierowała w najdziwniejszych sytuacjach, do tego stopnia, że wycofywał się i zdawał całkowicie na nią. Julie na to zasługiwała, musiał jej oddać sprawiedliwość.

Jim patrzył na kwitnące drzewa w ogrodzie de Kruythoffa, myśląc, jak bardzo by się jej podobały. Nawet gdyby była ośrodkiem zainteresowania całego towarzystwa, jak zdarzało się wszędzie, gdzie się pokazała, i tak dostrzegłaby ten cichy, otoczony murem ogród, tak dziwnie ukryty w samym sercu miasta. Spodobałaby jej się ten dom i uszanowałaby jego minioną świetność. Potrafiłaby znaleźć dla de Kruythoffa właściwe słowa — rozmawiałaby z nim o jego książkach, dwóch kotach, o sadzie, którym się

zajmował. A ten nieśmiały, powściągliwy człowiek otworzyły się przed nią. I całe przyjęcie, cały dom wzbogaciłaby swoją obecnością. Taką właśnie kobietą była Julia.

Jednocześnie, pomyślał z lekką ironią, czekał tu, by zobaczyć się z Ginny Tilsit. Jej młodość była taka wzruszająca. Nieświadomość tej dziewczyny była niebezpieczna; tak wiele się jeszcze musiała nauczyć. Osiągnie to na drodze bolesnych doświadczeń, podczas gdy Julia wiedziała to wszystko od urodzenia. Obie te kobiety — jeśli Ginny można było nazwać kobietą — były całkowicie odmienne. Julia wybaczyłaby jednak Ginny brak doświadczenia.

Drzwi biblioteki skrzypnęły, więc zaklął w duchu i odwrócił się, by zobaczyć kto wszedł. Z ulgą rozpoznał postać de Kruythoffa.

Taki człowiek jak on potrafi zrozumieć, dlaczego niekiedy dobrze jest posiedzieć samotnie. Jednak Holender nie zauważył Jima, nie patrzył nawet w jego stronę. Skupiał całą uwagę na podążającej za nim Ginny. Głowę miał niezgrabnie pochyloną w specyficzny dla siebie sposób. Mówiąc zacinął się lekko:

— Jest coś, co ch..ch..chciałem pokazać twemu ojcu. Po.. powinniśmy wziąć go tu ze sobą.

Jimowi wydawało się jednak, że de Kruythoff niespecjalnie pragnął, by John Tilsit przyszedł z nimi oglądać to, co chciał pokazać Ginny. Miał wygląd człowieka, którego spotkało nieoczekiwane takie szczęście, że sam nie może w to uwierzyć. Jim poczuł współczucie dla tego mężczyzny w średnim wieku, który przy młodej dziewczynie zamienił się w nieszczęsną, zakłopotaną jakaś. Zapragnął, by Ginny potrafiła lepiej radzić sobie z tęsknymi pragnieniami, wypisanymi na twarzy de Kruythoffa. Ale oczywiście skąd miała to umieć? Będzie nietaktowna i zapewne zrani de Kruythoffa swoją prostolinijnością. Uświadomił sobie, że Julie zawsze umiała doskonale sobie radzić w takich sytuacjach.

Podniósł się. Na zgrzyt wiekowych sprężyn fotela de Kruythoff aż się wzdrygnął. Twarz mu spurpurowiała jak człowiekowi przyłapanemu na przestępstwie. Jim pożałował, że nie jest w stanie zniknąć za podwójnymi drzwiami balkonu i oszczędzić im wyjaśnień. Teraz i Ginny go zobaczyła; stanęła w drzwiach wyczekująco, dużo spokojniejsza niż Holender.

— Skorzystałem z pańskiego pokoju i fotela, de Kruythoff, by zdrzemnąć się trochę — wyjaśnił Jim. — Czy ma pan coś przeciwko temu? Muszę się już chyba starzeć. Zaczynam zasypiać wieczorami nad drinkiem przed wyjściem do "Amsterdamu". Weszło mi to już w nawyk... — Wzmianka o wieku powinna dać do myślenia raczej wicegubernatorowi niż Ginny. W istocie chyba żadne z nich nie zwróciło na to uwagi.

De Kruythoff machnął ręką protestująco. Teraz, kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, wydawał się niemal zadowolony z obecności Jima, jak człowiek uratowany z opresji.

— Nie, nie! Proszę zostać! — Przepuścił Ginny przed sobą. — To moje ulubione miejsce w domu. Zawsze cieszę się, gdy ktoś jeszcze je odkrywa. Czy poznał pan już pannę Tilsit?

— Tak — powiedziała Ginny.

De Kruythoff zreflektował się.

— Oczywiście... Zapomniałem, jesteście sąsiadami.

Ginny zignorowała to stwierdzenie. Ostentacyjnie odwróciła się od Jima.

— Gdzie jest ta książka, Albercie?

Jim pochwalił ją w myśli za to, że nie zwracała się do niego per „Mister de Kruythoff.

— Książka? A, tak! Książka! Tutaj, myślę, że na tym stosie.

Rzucił się przez pokój i przykucnął przed niestarannie, byle jak ułożonym stosem książek. Jego gesty były gwałtowne i nerwowe. Jim obserwował go z ponownym przypływem współczucia; poczuł nawet niechęć do Ginny za jej opanowanie. Nie powinna się tak zachowywać; de Kruythoff wyraźnie cierpiał w jej obecności. Jego wrażenie potwierdziło się wraz z gwałtownym runięciem stosu książek na podłogę. De Kruythoff ryzykownie balansując ciałem chciał nad nimi przejść, lecz rozciągnął się jak długi. Wyglądał komicznie i patetycznie zarazem.

Ginny znalazła się przy nim przed Jimem. Nie próbowała mu pomóc, tylko zajęła się stertą książek, dając Holendrowi czas, by się pozbierał. Widząc to Jim cofnął się.

— Och, spójrz, jaka szkoda! Złamał jej się grzbiet. I tej, chociaż nie do końca. Jak to dobrze, że nie ma tu ojca. Jest wściekły, kiedy ktoś uszkodzi książkę. Powinieneś kupić więcej półek, Albercie... albo przynajmniej kazać Jansje starannie je ułożyć.

De Kruythoff podniósł się już i patrzył na Ginny, klęczącą pośród książek. Promyk słońca padał przez okno wprost na jej opalone ramiona, przekreślone jedynie prowokująco wąskimi ramiączkami sukienki. Węzeł jasnych włosów zsunął jej się na plecy grożąc w każdej chwili rozsypaniem. Tkwi w niej jakaś słodycz, pomyślał Jim, kiedy tak starała się pomóc de Kruythoffowi w jego zakłopotaniu. I jest niesamowicie atrakcyjna. W utkwionym w dziewczynie wzroku de Kruythoffa malował się beznadziejny smutek.

— To moja wina, Ginny. Powiedziałem, żeby nikt ich nie dotykał, dopóki nie posortuję wszystkiego odpowiednio i nie rozłożę jak trzeba. — Popatrzył teraz na Jima. — Leżą tu od ponad sześciu miesięcy — od mojego ostatniego urlopu w Europie. Nigdy nie mam czasu...

— Jesteś zupełnie jak mój ojciec. Kiedy kupuje książki, zwleka z otwarciem paczki przez tydzień. Nie przyznałby się do tego, ale myślę, że chce w ten sposób przedłużyć sobie przyjemność — jak dziecko. Co prawda ostatnio nie zdarza się to zbyt często. Zawsze są jakieś pilniejsze wydatki.

— Och, te nie kosztowały zbyt dużo — pospiesznie stwierdził de Kruythoff, jakby chciał przeprosić za swój względny dostatek w porównaniu z sytuacją Tilsitów. — Kupiłem je w Londynie, z drugiej ręki. Można mnóstwo zaoszczędzić, kupując na Charing Cross Road. — Jimowi stanął nagle przed oczami obraz de Kruythoffa w wygniecionym garniturze z tenisem, niezgrabnie taszczącego parasol, spędzającego cały urlop w antykwariatach

na Charing Cross Road. Holender schylił się i wziął jedną z uszkodzonych książek z rąk Ginny. Jego gest wyrażał czułość i żal. Nasunął okładkę na miejsce.

— Jaka szkoda — odezwał się. — Zobaczę, może uda mi się ją naprawić. — I odłożył ją na inne. Jim zobaczył, że było to dziełko filozoficzne w języku niemieckim. *Gezaghebber*, pomyślał, traktuje swe przyjemności całkiem serio...

De Kruythoff przykucnął znowu przy książkach, przekładając je po kolei, jedną po drugiej.

— Myślałem, że leży na wierzchu — zwrócił się do Ginny. — Miałem tę książkę w ręku któregoś dnia, przygotowałem ją specjalnie dla twojego ojca. Pomyślałem, że na pewno go zainteresuje. Wróciłem jednak późno ze spotkania i już go nie zastałem. Dlatego pomyślałem, że dzisiaj... o, tu jest! — Siegnął po ostatni egzemplarz na stosie. — Jansje musiała mieć jeden ze swoich coraz rzadszych napadów sprzątania. Tak, tak, to ta książka. Angielskie rezydencje wiejskie. Znalazłem ją u Foylesa. Panie MacAdam, pan jest architektem. Myślę, że i pana zainteresuje.

Ginny przerzucała strony.

— Rzeczywiście ciekawa — zauważyła, w jej tonie brzmiała jednak niepewność. Spojrzała na de Kruythoffa, czekając na jakąś wskazówkę.

Uśmiechnął się do niej. Pierwszy raz, odkąd weszli do pokoju, wyglądał na odprężonego.

— Przy końcu jest coś, co cię powinno zainteresować. Może to oczywiście nic nie znaczyć... ale Tilsit nie jest zbyt popularnym nazwiskiem w Anglii, dlatego pomyślałem... Od paru miesięcy zamierzałem zapytać o to Johna, ale chciałem mieć książkę ze sobą. — Wziął ją od Ginny. — Nie tu, trochę dalej, bliżej końca...

— Przepraszam, sir... — W drzwiach stanęła czarnoskóra gospodyni de Kruythoffa.

— Co się stało, Jansje? — zapytał nieobecny głosem, przebiegając wzrokiem kartki książki.

— Gubernator pyta o pana, sir... i goście zaczynają już wychodzić. — Wszyscy na St. Nicolaas wiedzieli, że Jansje była całkowicie oddana de Kruythoffowi i zazdrośnie strzegła jego zwierzchnictwa nad dwoma *landradenami*, lokalnymi radcami, których miał do pomocy. Dezaprobata w tonie służącej sugerowała, że jej pan nic nie zyskuje, spędzając czas w towarzystwie panny Tilsit i książek, podczas gdy *landradenowie* skutecznie wkupują się w łaski gubernatora. Z groźną miną trzymała drzwi szeroko otwarte.

De Kruythoff westchnął.

— Wybacz mi, Ginny. Obawiam się, że nigdy nie przywyknę do obowiązków gospodarza. — Wręczył jej książkę. — Widzisz, jak to jest. Widocznie nie jest mi pisane zostać gubernatorem Curacao.

— Mam nadzieję — uśmiechnęła się, widząc jego zatroskaną twarz. — Byłbyś wtedy zbyt ważny, by mnie znać.

— Możesz być pewna, że nigdy... — zaprotestował gwałtownie, zachłystując się.

— Sir...! — W głosie Jansje rosła irytacja. W tej sytuacji de Kruythoff musiał ustąpić.

— Już. Już idę. — I zwracając się do Ginny zapytał: — Czy zobaczę cię, zanim wyjdiesz?

— Na pewno — potwierdziła.

Kiedy drzwi się zamknęły, po raz pierwszy odezwała się bezpośrednio do Jima.

— Biedny człowiek. Ona rządzi całym jego życiem. Nie rozumiem, jak on to wytrzymuje. Problem w tym, że wcale nie jest dla niego taka dobra.

— W jakim sensie?

— Wydaje mi się, że popycha go w niewłaściwym kierunku. Troszczy się nie o to, co trzeba. Widział ją pan — martwi się, że jej pan może narazić się gubernatorowi, a nie zauważa, że powinna mu zacerować skarpetki albo przygotować od czasu do czasu porządny posiłek. Jest najgorszą gospośnią na wyspie. Za każdym razem, kiedy przyjeżdża gubernator, muszą wypożyczać kucharza od van Aerssenów.

— Ale ma na uwadze główną korzyść, czyli utrzymanie de Kruythoffa w łaskach u gubernatora.

Ginny zaśmiała się krótko.

— To nie ma najmniejszego znaczenia. Każdy wie, że nie zamierzają Alberta awansować ani do Curacao, ani innego takiego miejsca. Tak jest i tak zostanie. Dlaczego więc ta kobieta nie pozwoli mu zajmować się tym, na co on ma ochotę? Nie ma znaczenia, czy będzie nieustannie w zasięgu wzroku gubernatora.

— Jestem zdumiony, że wiesz, co się liczy dla takiego człowieka jak nasz poczciwy Albert. Jesteś chyba na to zbyt młoda.

Ze zwiększoną uwagą zaczęła kartkować książkę.

— Myślałam, że każdy z odrobiną rozumu wie takie rzeczy. Nie trzeba być odpowiednio starym, by to rozumieć. Poza tym on nie jest pańskim poczciwym Albertem. Musiałby pan tu dłużej pomieszkać.

— Przepraszam — wycofał się pokornie.

Zmiękła trochę, rzucając mu szybkie spojrzenie.

— Widzi pan, my tu wszyscy lubimy Alberta takim, jaki jest.

— Ja również. Przeprosiłem już przecież.

— No dobrze. Tylko że on nie jest jakimś pośmiewiskiem...

— Czy ktoś mówi, że jest? Powiedziałem, że lubię Alberta. Nie bądź tak cholernie przewrażliwiona, Ginny. Zachowujesz się zupełnie jak kobieta.

Zachichotała nagle i ten powrót do normalności wyraźnie mu ulżył.

— Nie mam nic przeciwko temu, by być kobietą. Słyszałam, że to całkiem przyjemne. Och!

Rozmawiając z Jimem przerzucała automatycznie kartki książki i zerkała na niego z instynktownym wyczuciem czasu, które miała we krwi. W pewnej

chwili cały miękki wdzięk jej ciała zniknął. Zamarła i zeszywniała, nachylona nisko nad książką, tak że nie mógł dojrzeć jej twarzy. Słyszał tylko, jak ciężko oddycha, jakby jej brakło powietrza.

— Co ci jest? Co się stało? — Był już przy niej, klęcząc obok na podłodze. Nie odpowiadała. Obwodziła palcem postrzępioną pozostałość po kartce wyrwanej z książki. Był to na pewno akt bezsensownego wandalizmu, ale nie do tego stopnia szokujący, by spowodować taką reakcję.

— Co jest? — powtórzył.

— Spójrz — szepnęła. — Spójrz tutaj! — Wskazywała palcem strzępek kartki. Jim pochylił się ku niej, by przeczytać pozostały fragment.

„(Obok) Tilsit, uważany przez wielu za ideał średniowiecznego dworu, jest wyjątkowo pięknie usytuowany wśród lesistych pagórków. Zbudowany wokół dwóch dziedzińców; jego późniejsze budynki pochodzą z epoki elżbietańskiej i stanowią szczytowe osiągnięcie wielowiekowej sztuki architektonicznej. Początki dworu sięgają czasów Wilhelma Zdobywcy, o czym świadczą pozostałości fortyfikacji normańskich wznoszących się ku niebu.”

Przeczytał ustęp dwukrotnie, starając się otrząsnąć z poczucia nierealności, jakie go ogarnęło. Miał chęć zignorować to wrażenie i powiedzieć, że to zwykła zbieżność nazwisk. Widok postrzępionego rąbka wyrwanej kartki nie pozwolił mu jednak wydobyć słowa. Nie mógł uwierzyć w to, co przyszło mu do głowy. Nie chciał pierwszy komentować tego, co się stało.

Pierwsza odezwała się Ginny: — Widzisz, co zrobił? Nie chce mi się wierzyć, żeby mógł zrobić coś takiego, a jednak!

— Kto? — wołał udawać, że nie ma pojęcia, kogo dziewczyna ma na myśli.

— Oczywiście ojciec. Kto inny mógłby to zrobić?

— Ginny! — zaprotestował. — Chwileczkę, poczekaj! Skąd wiesz, że to ojciec? To mógł być każdy. W końcu książka pochodzi z antykwariatu.

— Albert widział tu zdjęcie i dlatego chciał mi je pokazać. Ojcu zresztą też. Słyszałeś, jak mówił, że w dniu jego wizyty zostawił książkę na samym wierzchu. I wiesz, co się stało? Ojciec, czekając na Alberta, wziął ją do ręki i wyrwał kartkę! — Jimowi mimo woli zaczęła udzielać się pewność Ginny, że to, co zrobił John, który uważał niszczenie książek za przejaw barbarzyństwa, było przerażającym aktem wandalizmu.

— Ale dlaczego? Dlaczego miałyby to zrobić?

Rozejrzała się w popłochu.

— Nie wiem! Nic z tego nie rozumiem. To samo było z porcelaną. Trzasnął nią o ziemię, jakby chciał, żeby rozpadła się w pył. Jakby nagle oszalał.

— Z jaką porcelaną?

— Porcelaną Tilsitów. Roztrzaskał ją... — W jej głosie zabrzmiało wahanie. Zamknęła książkę ociągając się. Spuściła głowę, jakby szukała pretekstu do zakończenia rozmowy. Delikatnie wziął książkę z jej ręki i odłożył. Zauważył, że kąciki ust Ginny wyginają się w podkówkę, że stara się opanować, by nie wybuchnąć płaczem. Kiedy pomagał jej wstać, zaskoczył go lodowaty chłód jej ręki.

— Z jaką porcelaną? — powtórzył. Nie puszczał jej dłoni; tak bardzo chciał jej pomóc w tym cierpieniu. Zaciśnięte usta dziewczyny zaczęły gwałtownie drżeć.

— Nie powinnam o tym mówić. To chyba tylko jego sprawa — odparła przygnębiona. — Nie mam prawa o tym rozmawiać.

— Nie jestem kimś obcym, Ginny.

— Nie... ale to nie zmienia postaci rzeczy. Gdyby tylko chciał mi powiedzieć... ale nie chce. Pytałam go o porcelaną i nic nie odpowiedział. Rozbił ją tego samego wieczoru, kiedy wróciłam do domu. Kupiłam ją w prezencie dla mamy; dopóki jej nie zobaczył, wydawał się całkiem szczęśliwy. A potem oszalał.

Opowiedziała mu całą historię pospiesznie i nieskładnie; z trudnością wyłaniał poszczególne fakty. Największą wagę zdawała się przywiązywać do drobiazków bez większego znaczenia.

— ... a wzorek był taki śliczny — słodkie, niebieskofioletowe kwiatki. Znalazłam je później w jednym z botanicznych albumów ojca, nazywają się dzwonki, czy jakoś tak... na spodzie talerzyka był taki dziwny znak. Duże, pochyłe T z zakrzywioną górną kreską. Pewnie dlatego Isobel Tilsit tak interesowała się porcelaną. Mama też nic na ten temat nie mówi. Powiedziała tylko, że nie powinnam pytać. Chyba jej to specjalnie nie obchodzi...

— Twoja matka jest bardzo mądrą kobietą.

— Przecież powinno jej zależeć! Powinna się dowiedzieć i o tej porcelanie, i co było na kartce, którą wyrwał. To głupie tak chować głowę w piasek.

— A może to właśnie jest najmądrzejsze. Przeszłość, którą ojciec chciałby zostawić za sobą, jest wyłącznie jego sprawą. Najmądrzejsze, najbardziej kochające kobiety, z jakimi się zetknąłem, zawsze wiedziały, kiedy milczeć. Warto się tego nauczyć, Ginny.

— Uważasz, że nie powinnam go pytać?

Pokiwał głową.

— Co ci to da dobrego, poza zaspokojeniem własnej ciekawości? Jeśli potrafisz, daj sobie z tym spokój. Udawaj, że nigdy nie widziałas tej książki. I spróbuj o wszystkim zapomnieć.

— Ale Albert... on to zobaczy. Z całą pewnością. I będzie wypytywał, a przynajmniej zrobi awanturę o tę wyrwaną stronę.

— Albert jest zbyt dobrze wychowany, by wprawić Johna Tilsita w zakłopotanie takimi uwagami. Jeśli to zrobił twój ojciec, Ginny, to nie tylko po to, żeby uszkodzić książkę. Albert domyśli się... Możesz być całkiem pewna, że nigdy o tym nie wspomni.

— Ja też mam o tym zapomnieć? Ale jak?

— Możesz chyba spróbować — odpowiedział zniecierpliwiony. — Zaczynij postępować jak twoja matka. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego kobiety zawsze muszą wszystko dramatyzować. Zwolnij trochę, odpręż się. Mam nadzieję, że pójdiesz za moją radą, zostawisz to wszystko w spokoju i zapomnisz.

Wyrwała rękę z jego dłoni. Choć niechętnie, zdawała się ustępować. Napięcie znikło z jej twarzy i wzruszyła ramionami.

— I co dalej? Mam udawać, że nic się nie stało? Jak teraz będę rozmawiać z ojcem? Na pewno zapyta mnie, czy dobrze się bawię. Bardzo mu na tym zależy, bo się boi, że się tu znudzę albo poczuję samotna i będę chciała wyjechać z St. Nicolaas. — Rozłożyła szeroko ręce, jakby przestraszona tym, co chce powiedzieć. — On chce mnie tu zatrzymać. Nie pozwala, żebym wyjechała. Uważa chyba, że tu, na wyspie, jestem bezpieczna. Zawsze twierdzi, że lepiej jest unikać całej reszty świata. A może ma na myśli raczej ród Tilsitów?

— Sama nie wiesz co mówisz — skarcił ją ostro. — Nigdy w życiu nie słyszałem takich bzdur. Twój ojciec ma rację, Ginny. Zostaw go tylko w spokoju i nie dręcz pytaniami. Zaufaj wujkowi Jimowi.

Zarumieniła się gwałtownie.

— Jim, nie jesteś moim wujkiem. Może przestałbyś traktować mnie jak dziecko?

— Tak się zachowuję? Nie miałem pojęcia. Ostatnio wypadłem z kursu, jeśli chodzi o postępowanie z kobietami. Nie bądź taka cholernie drażliwa, Ginny. Miałem ciężki dzień i nie zniosę dłużej tego babskiego gadania. Możemy już iść?

— Do towarzystwa? — Wydawała się rozczarowana i wewnętrznie rozdarta, ale, jak to kobieta, próbowała to pokryć nonszalancją. — Chyba nie jestem jeszcze gotowa stanąć przed ojcem i udawać, że się dobrze bawię.

— Nie to miałem na myśli. Proponuję, żebyśmy po prostu stąd wyszli.

— Po prostu wyszli? — spojrzała zdumiona. — Jak to sobie wyobrażasz?

Uśmiechnął się. Nagle poczuł się doskonale; w końcu Ginny była śliczną dziewczyną, a do tego bezpretensjonalną i zabawną.

— Całkiem wycyzajnie. — Widząc jak opuszcza ją napięcie, sam też poczuł się odprężony. Po raz pierwszy od pół godziny sięgnął po papierosa. — Straszliwie zaniedbali twoją edukację tam, w San Juan, przynajmniej w tym, co się naprawdę liczy. Chodź, dam ci przykład. — Zapalił papierosa. — Widzisz te drzwi? Są otwarte. Schody prowadzą do ogrodu, a furka nigdy nie jest zamknięta. Czy może być coś łatwiejszego? — Wyciągnął do niej rękę. — Idziesz?

— Idę.

Po drodze do dżipa czuł się ożywiony i wesoły. Począł chwilę, by Ginny zabrała swoją torebkę z volkswagena Tilsitów. Kiedy zobaczył ten tani, podniszczony, plastikowy przedmiocik, zrozumiał, dlaczego nie chciała nosić jej przy sobie. Z przyjemnością zauważył, jak otuliła uda szeroką, bawełnianą spodnicą, wsiadając do dżipa. Tak dawno nie widział zwykłej kobiecej kokieterii. Był zadowolony, że po tak długim czasie zaryzykował wspólne wyjście z kobietą — nawet jeśli była jeszcze naiwnym dzieciakiem. Zapuszczając silnik rozejrzał się po placu. Chociaż zawsze kręcił się tutaj tłumek gapiów, dzisiejszego wieczora było jeszcze więcej takich ciekawskich, wyczekujących widoku gości gubernatora. Nazajutrz na całej wyspie będą

gadać, jak to Amerykanin i panna Virginia Tilsit wymknęli się razem z przyjęcia przez tylną furtkę ogrodu *Gezaghebbera*. Do diabła z tym, pomyślał; dobrze im zrobi, jak trochę poplotkują.

Kiedy dżip opuszczał plac, Jim roześmiał się nagle głośno sam do siebie.

— Co cię tak rozbawiło? — zapytała Ginny.

— Nic takiego. Myślałem po prostu... — Zdecydował się pójść na całość. — Myślałem, że prawdopodobnie, podkreślam: prawdopodobnie, pierwszy raz się zdarzyło, żeby panna Virginia Tilsit wyszła z przyjęcia bez pytania o pozwolenie. Wydało mi się to... nie tyle zabawne... co wręcz wspaniałe!

— Powiem więcej. Panna Virginia Tilsit nie tylko pierwszy raz opuściła przyjęcie bez pytania o pozwolenie. Pierwszy raz w ogóle była na przyjęciu. Dokąd jedziemy? — zapytała bez zbytniego zainteresowania. Na wyspie można było pójść tylko w jedno miejsce — do "Amsterdamu".

— Na St. Charles — odrzekł krótko.

Zamurowało ją.

— St. Charles? Nie jeździ się na St. Charles tak po prostu na kolację!

Zgasił papierosa o podłogę samochodu.

— Ginny, musisz się jeszcze paru rzeczy nauczyć. Wiesz — otwarte drzwi, schody, furtka... Robi się to codziennie.

Zamilkła i nie odzywała się, dopóki nie zjechali z Town Road na kiepską drogę prowadzącą do Oranje Cove.

Jadąc wolniej, dżip nie hałasował tak bardzo.

— Zapomniałam zobaczyć się z Albertem przed wyjściem, a przecież mu obiecałam — powiedziała miękko.

Albert, pomyślał Jim, jest stworzony do tego, by o nim zapominać. Nie zasługuje na to, ale tak już jest.

2

Ginny zsunęła pantofle, by pomóc Jimowi spuścić na wodę dinghy. Gdy poszedł do domu po tenisówki i latarkę, czekała niecierpliwie, wbijając palce nóg w mokry piach. Czuła się trochę nieswojo stojąc tak w zapadających ciemnościach. Mimowolnie zerkała w stronę Oranje Huis, którego zarys ciemniał na tle cypla. Nie widziała tam jeszcze świateł. Czekwała, aż się zapalą, niczym reflektory, które odkrywają jej obecność na plaży. Wreszcie nadszedł Jim. Miał podwinięte nogawki spodni i marynarkę przerzuconą przez ramię. Szedł boso, trzymając tenisówki za związane sznurowadła.

— Dzisiaj księżyc będzie prawie w pełni — powiedziała, gdy podszedł bliżej. — Kiedy wrócimy, wszystko będzie zalane światłem. — Z jakichś powodów mówiła przyciszonym głosem.

— Dobrze by było! — mruknął spychając dinghy z piasku. — Na ogół mierzę swoje drinki w St. Charles blaskiem księżyca. Czasami w drodze powrotnej potrzebuję okropnie dużo światła.

W ciszy podpłynęli do zakotwiczonego jachtu. Monotonne stukanie wiosel w dulkach wydawało się jej niesamowicie głośne. Jim przywiązał łądź do boi i rzucił marynarkę razem z pantoflami i torebką Ginny do kokpitu. Przełazi przez burtę, po czym odwrócił się, żeby jej pomóc.

— Zanim pojawi się tu pierwszy turysta, będę musiał postawić pomost.
— Jego głos niósł się echem po wodzie i miała chęć poprosić, by mówił ciszej.

— Dlaczego?

— Nie widziałas nigdy turystek, Ginny? Są bardzo różne, ale na ogół starsze i dość tłuście. Tylko nieliczne są w stanie uporać się z trapelem. Nie mogą ryzykować, żeby zamoczyły swoje etole z norek.

— Wiedziałam, że musi być jakiś powód, dla którego cię nie lubię — powiedziała. — Teraz jeszcze pomost! Kiedy to wszystko się skończy?

— Zapytaj mnie za pięć lat. Może będę wiedział.

Na pokładzie „Oranje Lady” zgrzytał pod stopami piasek. Wnętrze kabiny było pozbawione jakichkolwiek sprzętów. Jacht był mocno zanurzony z powodu stosu worków z cementem, szczęśliwie rozłożonych równo przy lewej i prawej burcie. Jim wskazał na nie.

— Siadaj. Dobrze, że jeszcze tu są. Nie miałem okazji ich rozładować przed pójściem na tę fetę do Alberta.

Nie posłuchała go. Stała obok niego przy sterze, słuchając jak potężne silniki budzą się do życia po przekręceniu stacyjki. Ich pomruk był tak cichy i delikatny, że to wydawało się Ginny niemal cudem. Jim powoli odbił od pławy; widać było, że robi to od dawna i nie musi się popisywać. Kiedy ruszyli w kierunku cypla, dziewczyna, zamiast ku otwartemu morzu, zwróciła twarz w stronę Oranje Huis. Ktoś, przypuszczalnie Wilhelmina, zapalił światła na galerii oraz przy podejździe, spodziewając się powrotu gospodarzy. Nagle na drodze wiodącej od Town Road do Oranje Huis zobaczyła błyski reflektorów, pojawiające się i znikające między drzewami. Po chwili zgasły i wiedziała, że rodzice wrócili już do domu. Poczowała falę paniki, którą próbowała stłumić odwracając wzrok w drugą stronę. Z ulgą stwierdziła, że zbliżają się do cypla. Tyle razy w minionym tygodniu słyszała niski odgłos tych silników... Była przekonana, że John i Katrien też je teraz słyszą.

— To bardzo droga łądź, Jim. Czy ty jesteś bogaty?

Roześmiał się głośno, szczerze rozbawiony.

— Jesteś jedyną dziewczyną, która zapytała o to wprost.

— Nie rozumiem... czy to coś złego być bogatym?

— Nie, wcale nie. Chciałbym mieć takie problemy. Nie jestem bogaty, Ginny, i wątpię, czy kiedykolwiek będę. Ta plaża to mój jedyny majątek, i sam na nią nie zarobiłem — oznacza to, że jak na faceta w moim wieku nie jestem zbyt sprytny. Ja, to znaczy syndykat, jesteśmy po uszy w długach, a spłacenie ich może mi zająć większość życia.

— Mój ojciec powiada, że tylko biedak nie może sobie pozwolić na długi.

— Skoro tak, to jestem zamożny. Będę to sobie teraz codziennie powtarzał. Moim bogactwem jest ta plaża i gdybym chciał się o coś modlić,

to chyba tylko o to, by nie pochłonał jej huragan. Byłoby fatalnie, bo ta plaża czekała na mnie ponad dwadzieścia lat i nie chciałbym jej stracić. Tylko tyle zostawił mi ojciec i nie zniósłbym, gdyby to poszło na marne. Zawsze miał nadzieję, że coś tu zrobimy razem, ale musieliśmy czekać. Minęło sporo czasu po wojnie, nim turyści ruszyli się poza Florydę. Rozprzestrzeniali się powoli, wyspa po wyspie, a tata cały czas miał ich na oku. Mawiał: „Jeszcze nie czas, Jim. Jeśli teraz zaczniemy, zbankrutujemy. Muszą zacząć odkrywać te tereny”. Kiedy PanAm otworzył linię do San Juan, tata uznał, że nasza pora się zbliża. Dziwne, nie przyjechał tutaj ani razu przez te wszystkie lata. Opisywał mi tylko to miejsce i pokazywał stare, czarno-białe fotografie z lat trzydziestych. Były tak wyblakłe, że prawie nic nie było widać, ale mówił o tej plaży jak o raj. Dla niego chyba rzeczywiście oznaczała raj. Zamierzał tu umrzeć.

Nagle pojawiły się przed nimi czarne garby brytyjskich wysp, ciemne kształty na rozjaśnionym przez gwiazdy morzu. Wyrastały stopniowo, małe, przeważnie nie zamieszkane, a nieduże skupiska słabych świateł oznaczały nieliczne domostwa przy nabrzeżach. Nie można było pomylić z nimi amerykańskiej wyspy St. Charles. Silne sodowe lampy przy wejściu do portu Margretsted zawsze wydawały się Ginny nierzeczywiste, trochę jak rampa wspaniałej teatralnej sceny, w głębi której majaczyły usiane światłkami wzgórze. Wzrastała razem z tymi światłami, patrząc z tarasu Oranje Huis, jak przybywa ich z każdym rokiem. Nie należały do jej świata. W dzieciństwie wydawało się jej, że są jak z bajki i wciąż coś z tej bajki w nich było. Ojciec Jima, pomyślała, przybył tu, kiedy światła Margretsted było jeszcze niewiele; ledwo je było widać, oddalone i blade. Ale kiedy je zobaczył, później marzył już tylko o nich. Nigdy jednak tu nie wrócił.

— Dlaczego tu nie wrócił? — Stali przy sterze, osłonięci od wiatru przednią szybą i oddzieleni od mruczących silników całą długością kokpitu. Było dość cicho.

Wzruszył ramionami.

— Myślę, że z wielu powodów. Wojna... Potem zaangażował się w budowę domów na wielką skalę i właściwie nie przerywał pracy. Poza tym chyba rozmyślnie trzymał się stąd z daleka — jak człowiek, który powstrzymuje się od picia, bo wie, że jak zacznie, to nigdy nie skończy. Potrzebował tego miejsca jak... marzenia, jeśli chcesz to tak nazwać. Większość ludzi ma jakieś marzenia; on miał właśnie takie. Żałuję, że nie dożył chwili ich spełnienia. Zawsze chciał przyjechać tu z taką ilością pieniędzy, by mógł objąć kontrolę nad inwestycją. Może dlatego zwlekał tak długo i tak bardzo ryzykował. Zawsze brał kredyty, chociaż nigdy tego nie lubił. I one właśnie go zabiły.

— Jak to zabiły? — zapytała, czując, że on nie ma nic przeciwko takiemu wypytywaniu. Zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo pragnął porozmawiać z kimś, kto go zechce wysłuchać — o tym wszystkim, co mu jest tak bliskie, a co nie obchodzi nikogo na wyspie. Przybył tutaj, obcy do obcych, i chociaż zaakceptowano to, że jest kim jest i robi to, co robi, nie było tu chyba nikogo, kto wiedziałby bez pytania, co on ma na myśli, mówiąc o różnych rzeczach. Co dla niego znaczyło słowo „dom”? A „żona”?

Zaczynała sobie uświadamiać, jak bardzo musiał czuć się samotny i wyobcowany. Może potrafił otworzyć się tylko w takich momentach jak ten — podczas szybkiego pokonywania kanału do St. Charles, króciutkiego interludium między dwoma światami, przy cichym szumie śruby.

— Zawał — powiedział krótko. — Ostrzegano go przez całe lata; umarł, ponieważ zbankrutował i orientował się, że nie da rady zacząć wszystkiego od początku. Postąpił głupio, Ginny... Myślał, że ludzie są gotowi płacić więcej za wyższy standard mieszkań i przejechał się na tym. To był wielki błąd; stracił wszystko co do centa.

— Ale przecież na pewno...

Przerwał jej w pół słowa, domyślając się o co chce zapytać.

— To nie był jeden dom. Z tym dałby sobie radę. To była cała dzielnica... widziałaś takie w Puerto Rico? Dwie setki domów, tak luksusowych, że trudno to sobie wyobrazić ludziom kupującym mieszkania w blokach. No i nie na ich kieszeń. Czterdzieści z dwustu sprzedał po kosztach własnych, a potem banki odmówiły mu kredytu. To był jego koniec. Widzisz, on miał opinię dobrego budowlanica, który zawsze zwraca kapitał i odsetki na czas. Zaufali mu, nie wiedząc nawet dokładnie co zamierza. Wiedział, że będzie to jego ostatnia budowa i dlatego chciał zrobić coś, z czego mógłby być dumny. Problem tkwił w tym, że to nie było to, czego zyczyliby sobie klienci — ci, którzy mogli sobie na to pozwolić.

— Czy ty... czy to ty projektowałaś te domy? — Nie wiedziała, czy powinna zadać to pytanie, ale musiała zaryzykować, skoro chciała znać odpowiedź.

Cisnął niedopałek w wodę.

— Nie, Ginny, nie ja. Stoczyłem o to jedną z najcięższych walk w życiu. Mówiłem mu, że robi błąd; że wiem, jacy ludzie kupują drogie mieszkania i że na pewno nie kupują ich w blokach, bez względu na to jak oryginalnie byłyby zaprojektowane. Jeśli już płacą duże pieniądze, to za domy. Tata liczył jednak na dużą forszę z budowania na wielką skalę dla zamożnej klienteli. Przekonywałem go, że to się nie uda. Nazwał mnie snobem, małomiasteczkowym Frankiem Lloydem Wrightem. Strasznie się o to pokłóciliśmy. Nie widziałem go potem przez ponad pół roku. W tym czasie rozkręcił inwestycje i był pewien, że zbije fortunę. Chciał z nią przyjechać tutaj i zbudować najpiękniejszy hotel na Karaibach. Mawiał do mnie: „Jim, mam zamiar zakończyć swe dni spacerując po tamtej plaży. To właśnie mam zamiar zrobić”.

— Zamiast niego przyjechałeś ty. Ze względu na ojca, prawda?

— Zadajesz strasznie dużo pytań. — Nie powiedział tego nieuprzejmie, ale w jego głosie pobrzmiwała nuta bezmiernego znużenia. Nie jest na mnie zły, pomyślała, po prostu ma już dosyć. Zresztą „interludium” też już było z nimi.

Znajdowali się prawie przy wejściu do portu Margretsted; po lewej stronie majączyła Pitt Island, po prawej Star Point. Jim skierował jacht zgodnie z czerwonymi i zielonymi światłami nawigacyjnymi, umieszczonymi wysoko na wzgórzu. Zmniejszył szybkość, by oszczędzić jednostkom zacu-

mowanym w basenie zbędnej kąpieli. Odległość między dwoma światami została pokonana — skończyła się także rozmowa. Niebieskie światła sodowe wydawały się spieszyć im na spotkanie; samochody jadące przybrzeżnym bulwarem nabrały kształtów i kolorów. Jim zwolnił i wpłynął do doku, w którym większe statki nie były w stanie rzucić kotwicy, zmuszone płynąć do West India Dock. Większość jednak małych jednostek handlowych z Puerto Rico przybijała właśnie tutaj, przywoząc świeże produkty żywnościowe i materiały budowlane. Rozładowywały swój towar wprost na szerokie cementowe nabrzeże. Skrzynie i sterty drewna leżały tam, gdzie zastał je koniec dnia pracy. Cumowały tu najróżniejsze jednostki — żaglowe i motorowe, przeznaczone do celów zarobkowych i dla przyjemności albo łączące obie te funkcje, łodzie czarterowe z wypisanymi kredą na burcie trasami i cenami; niekiedy można się było natknąć na kapitana, nagabującego przewijających się tędy turystów. Wszystko tam jednak działo się bez wielkiego pośpiechu. Amatorzy robienia biznesu w Margretsted na ogół czekali, aż biznes sam do nich przyjdzie, albo przynajmniej sprawiali takie wrażenie. Nowoczesność w porcie kończyła się na jarzeniówkach osadzonych na aluminiowych słupach. Wzdłuż podjazdu stały magazyny, zbudowane jeszcze przez Duńczyków do składowania cukru i innych towarów w handlu przeładunkowym. W tych magazynach, mieściły się teraz sklepiki, z jaskrawo pomalowanymi żelaznymi okiennicami, przyciągające turystów wolnoctwowymi cenami i dziwną mieszanką wyspiarskiej bezpośredniości i wyrafinowania. Nie miały neonów, a ich fasady z cegły były przeważnie pomalowane na blade, wypłowiełe od słońca kolory wyspy — różowy, kremowy i błękitny. Szyldy były dyskretne, także w dawnym stylu. Margretsted starała się wyglądać tak jak chcieli tego turyści. Elektryczne maszyny do pisania trzymano na zapleczu; miękka sztuczna trawa i darmowe daiquiri zachęcało potencjalnych klientów do wstępowania. Wszystko to było nastawione na zysk w amerykańskim stylu, z niewielkimi odstępstwami na rzecz klimatu i wolniejszego tempa życia.

GINNY podniosła swoje pantofle i torebkę. Z nabrzeża patrzył na nich rząd ek brązowych, szczerzących zęby twarzy. Brązowe ramiona wyciągnęły się, by pomóc jej wydostać się na brzeg.

— ...bry wieczór, panie Jim.

— ...bry wieczór, Sam. Jest tu gdzie Jacky?

— Nie, panie. Nie ma Jacky. Ja popilnuję łodzi, panie Jim. Będzie pod dobrą opieką.

— Okej, Sam. Popilnuj. Zobaczymy się, kiedy wrócę.

— Wraca pan na noc do St. Nicolaas, panie Jim?

— Pewnie, Sam... pewnie.

GINNY w jednej chwili zrozumiała, że są takie noce, kiedy Jim nie wraca z St. Charles do domu.

Kolację zjedli u Barneya na nadmorskim bulwarze. Z restauracji, położonej na piętrze, rozciągał się aż do Pitt Island widok na jachty zacumowane w porcie. Dach z liści palmowych, pokrywających karbowaną blachę, wspierał się na wielkich bambusowych tykach. Jedyna ściana osłaniała lokal od północnego wschodu, skąd na ogół wiały pasaty i zaciąły tropikalne ulewy. Był to nieoficjalny klub mieszkańców wyspy oraz przybyszów, regularnie zawijających do portu. Kiedy Jim wszedł po metalowych schodach do środka, przynajmniej sześć osób siedzących przy barze uniosło ręce w geście powitania.

— Cześć, Jim, jak leci? — Tutaj formułka ta miała nieco inny sens niż na St. Nicolaas. Była powitaniem ludzi próbujących zarabiać na życie w rajy i sprawiających przy tym wrażenie, że nie jest to ciężka harówka. Przybywający tu ostatnio Amerykanie mieli przeważnie dość energii i pieniędzy, by uruchomić tu jakiś biznes. Jednocześnie udawali, że przyjechali tylko po to, by uciec od szaleńczej rywalizacji Nowego Jorku, Filadelfii lub Chicago, czy też jakiegokolwiek innego miejsca, gdzie zimy były ostre. Tutaj konkurencja nie była wcale mniej zażarta niż tam, tyle że na mniejszą skalę. Tak więc leniwe „Jak leci?” oznaczało zainteresowanie sprawami drugiej osoby i stanem jej interesów w owym rajy.

— Cześć! — odpowiedział Jim parokrotnie, lecz nie przyjął żadnego z zaproszeń na drinka, rzuconych na powitanie. — Napijesz się czegoś? — zapytał Ginny.

Bardzo chciała usiąść przy barze, więc bez namysłu się zgodziła; w dodatku czuła, że Jim planuje zaprowadzić ją wprost do stolika, aby w ten sposób dać wszystkim do zrozumienia, że dzisiaj nie mają szans na rozmowę z nim. Przy barze było tłoczno; znalazł dla niej wolny stołek, a sam stanął tuż obok. Kiedy popijała koktajl z rumem, Jim przedstawił jej parę osób, które podeszły, by z nim pogadać.

— Jak długo tu zostajesz? — padało nieuchronne pytanie, skierowane do Ginny. Automatycznie zakładano, że ktoś, czyja twarz była tu obca, musi być turystą.

— Mieszkam na St. Nicolaas.

— To znaczy, że bywasz tutaj czasami?

— I to całkiem często.

— Zabawne, zupełnie nie pamiętam, bym cię tu widział.

Przypomniała sobie Harry'ego Parkera. Takie samo nagłe odkrycie, że ona istnieje; takie samo zdziwienie, że nie zwrócił wcześniej na nią uwagi. Wreszcie zmęczyło ją to i odstawiła nie dokończonego drinka na kontuar.

— Możemy teraz coś zjeść? Jestem głodna.

Kiedy sadowili się przy stoliku, rozejrzała się dookoła — zobaczyła ludzi okupujących bar, grupkę marynarzy na przepustce z amerykańskiej kanonierki, cumującej w porcie, trójkę muzyków grających tu co wieczór, którzy właśnie zaczęli przygotowywać instrumenty.

— Mam dziwne uczucie, Jim.

— To znaczy?

— Przychodziłam tu przez całe życie; zawsze gdy przyjeżdżaliśmy na St. Charles, ojciec brał mnie tu na lunch. A teraz czuję się, jakbym była obca. — Głową wskazała na tłumek przy barze. — Znam tu parę osób; ojciec od lat kupuje od nich różne towary. A teraz nie rozpoznają mnie. Jakby mnie nigdy nie widzieli.

— Ludzie oceniają to, co widzą. Nie są w stanie zobaczyć w kobiecie dziecka, tak więc nie kojarzą ciebie z nim. Pamiętają ciebie jako dziecko, ale nie znają jako kobiety.

— A ty? Ty znasz mnie tylko jako kobietę? — Podobało jej się, że używa tego określenia.

— Och... — upił ze szklanki, zastanawiając się. — Myślę, że nie tylko.

— Tak?

Uśmiechnął się.

— Kiedy tamtego poranka zobaczyłem cię na plaży, wydawałaś mi się taka młodzietka. Bawiłaś się z Bo i wyglądałaś jak dziecko, a on skakał obok ciebie jak szczeniak. Potem, kiedy zbliżyłaś się do mojej części plaży, zawróciłaś — tak właśnie zachowałoby się dziecko. Pomyślałaś trochę i przekroczyłaś niewidzialną granicę. Podchodziłaś powoli, stawałaś się coraz większa i coraz bardziej dorosła. Zupełnie jakbyś w ciągu pięciu minut przeszła przez wszystkie stadia wieku dziecięcego aż do dorosłości. Kiedy w końcu stanęłaś przed moimi drzwiami, myślałem już o tobie jako kobiecie.

— Naprawdę tak myślałaś?

— Prawie naprawdę.

Kiedy wyszli od Barneya, było już późno. Księżyc stał wysoko na niebie, pozwalając dostrzec zarysy motorówki i masywu Pitt Island. Na nabrzeżu nie było turystów. Zwykli próżniacy też już porozchodzili się po domach. Na pokładzie „Oranje Lady”, obejmując kolana ramionami i przysypiając, czekał na nich Sam. Kiedy Jim mu zapłacił, wyraźnie oprzytomniał.

— Dziękuję, panie Jim. Będzie pan miał naprawdę słodki powrót na wyspę przy tym księżycu; jak po srebrnej drodze. Dobrze się pan bawił? To świetnie. Dobranoc!

— Dobranoc, Sam.

Ginny odezwała się dopiero kiedy wypłynęli na pełne morze.

— Ja też dobrze się bawiłam, Jim.

— Tak? To wspaniale. Miałem taką nadzieję.

Nie była pewna, czy on w ogóle jej słucha, czy obchodzi go, o czym ona mówi. Nagle znów poczuła się odrzucona i niechciana. Patrzył prosto przed siebie, z rękami opartymi na kole sterowym. Odpowiadając jej, nawet na nią nie spojrział. Obejrzała się — wyspa szybko zniknęła w ciemnościach, jak majak widziany jedynie we śnie. W świetle księżycy fala białego piany się za „Oranje Lady”. Ginny poczuła nagle ogarniającą ją samotność, ściskającą w krtani, przesywającą dreszczem. Poczuła się odepchnięta i zupełnie sama.

— Jaka ona była, Jim?

— Kto? — spytał jakby na odczepnego.

— Twoja żona. Jaka była?

Teraz spojrział na nią. Ostro. Zobaczyła, jak jego twarz się zmienia, pojawia się na niej gniew. Zmarszczył brwi.

— Co to cię, do cholery, obchodzi?

— Masz rację, nie powinnam pytać. Ale opowiadałeś o wszystkim, tylko nie o niej.

— Bo to nie twoja sprawa. Ani nikogo innego.

— Przepraszam, naprawdę bardzo przepraszam, Jim — wykrztusiła niewyraźnie, ze ściśniętym gardłem. Miał rację, nie powinna była go pytać. Tak bardzo chciała jednak dowiedzieć się czegoś o jego żonie, że musiała zaryzykować. Potrzeba ta była silniejsza niż pragnienie przełamania milczenia ojca, niż nawyk niewtrącania się w życie innych ludzi. A może właśnie skrytość ojca, rodząca jedynie napięcia i rosnący brak zrozumienia między nimi, sprowokowała ją do tego pytania. Trzeba się zdobyć na śmiałość, na ryzyko, jeśli pragnienie prawdy jest rzeczywiście wielkie. Wiedziała, że nie popchnęła jej do tego zwykła ciekawość. Zabolało ją, że Jim mógłby to tak odebrać. Dlaczego jednak w ogóle pytała? Tego nie wiedziała. Czuła instynktownie, że klucz do poznania Jima leży w uzyskaniu wiedzy na temat jego zmarłej żony. Nie zdobył się na to, by choć wymienić jej imię. Człowiek łatwo i chętnie mówi o czymś, co jest dla niego mało ważne; zachowuje dla siebie rzeczy istotne. Świadczyło o tym postępowanie ojca. Poczwała nową falę zawodu i frustracji z powodu reakcji Jima — zupełnie jak wtedy, gdy ojciec odmówił jej rozmowy na temat Tilsitów. Jeśli jednak nie ma innej drogi niż zadawanie pytań? Zapyta jeszcze raz. Jeśli odmówi ponownie, będzie musiała się z tym pogodzić.

Nagle Jim odezwał się. Hałas silnika zagłuszył jego pierwsze słowa. Zauważyła, że coś mówi i przysunęła się bliżej. Mówił cicho, musiała wytężyć słuch.

— ...wspaniała kobietą. Wszyscy ją podziwiali. Była także bardzo taktowna. Mądra i wspianiałomyślna.

— Czy była... czy była ładna? — Dlaczego usta jej drżą? Co to miało za znaczenie, jaka była jego żona? Miała może nadzieję na inną odpowiedź?

— Tak. Niektórzy uważali nawet, że była piękna, bardzo piękna.

— Dlaczego umarła?

— Białaczką. Była dzielniejsza, niż mogłem to sobie wyobrazić. Jedynego czego żałowała, to że nie mogła donosić dziecka.

— Dziecko też straciłeś?

— Straciłem wszystko.

Wszystkie słowa zostały już wypowiedziane, wszystkie pytania zadane. Zapytała i uzyskała odpowiedź — zimną i brutalną. Zawsze trzeba płacić za zdobycie wiedzy, a ceną, którą ona zapłaciła, było poczucie własnej nicości. Wydawało się jej, że jest jak dziecko, które próbuje udawać dorosłego i ponosi klęskę. A może ojciec miał rację nic jej nie mówiąc... Jeżeli się pyta, powinno się być również w stanie unieść ciężar odpowiedzi...

Reszta podróży upłynęła w milczeniu.

Podpłynął gładko do boi, gdzie przywiązał „Oranje Lady”. Ginny

pozbiarała swoje rzeczy i przedostała się do dinghy, nie czekając na jego pomoc. Na galerii Oranje Huis paliła się jedna lampa. Ciekawa była, czy ojciec czeka na jej powrót, nasłuchując odgłosu powracającej motorówki. Miała nadzieję, że jeszcze nie śpi. Jemu też zadawała pytania — wybaczył jej, bo ją kochał. Po zimnych i krótkich odpowiedziach Jima chciała poczuć miłość ojca. Kiedy dinghy otarła się o piach, Ginny weszła po kostki do wody i natychmiast poczuła, jak pod jej dłoń wsuwa się łeb Bo.

— Czekaeś tu, prawda? — powiedziała ciepło, po czym zwróciła się do Jima: — Dzięki, Jim.

Nie było sensu mówić, że spędziła cudowny wieczór.

— Odprowadzę cię do domu.

— Nie! Nie fatyguj się. Bo jest ze mną... nic mi się nie stanie.

— Żadna fatyga.

Nie protestowała dłużej, chociaż wcale nie chciała, by teraz był przy niej. Wydawało jej się, że Jim idzie obok niechętnie, albo, co gorsza, że jest mu to obojętne. Rzeczywiście, to żadna fatyga, ale też nic więcej. Pokonali plażę w milczeniu; Bo spokojnie szedł przy jej nodze. Na drózkę prowadzącą w górę, do domu, weszli pojedynczo — najpierw Bo, potem Ginny, za nią Jim. Światło księżyca sprawiało, że cienie drzew stały się wyraźniejsze; w powietrzu unosił się ciężki aromat mahoniowców. Ukwiecone gałęzie liliiowego bzu płożące się na ścieżce chrzęściły pod stopami; biała poświata księżyca pozbawiła go niemal koloru.

— Dobranoc, Jim.

— Dobranoc, Ginny. — Pochylił się bez pośpiechu i pocałował ją w usta. Nie objął jej. Pocałunek był zwykłym gestem, jak klepnięcie w ramię. Odwróciła się i pobiegnęła po schodach. Na górze zatrzymała się, wsłuchując w zamierający z wolna odgłos jego kroków.

— Witaj, kochanie. Dobrze się bawiłaś?

W drzwiach ciemnego salonu stał ojciec w pogniecionej pizamie z przykrótkimi nogawkami; chude nadgarstki wystawały mu z rękawów. Włosy na czubku głowy śmiesznie sterczały, nadając mu łagodny wygląd starego, zmęczonego człowieka.

— Tak, dzięki. Popłynęliśmy na kolację do St. Charles. Do Barneya.

Skinął głową. — A ja właśnie szedłem do kuchni zrobić sobie herbaty. Może i ty chcesz?

— Poproszę.

— Świetnie. Nie zapalaj światła i chodź cichutko, żebyśmy nie zbudzili mamy.

Poszła za nim, ciesząc się, że są znów razem, że jest taki delikatny — lub przynajmniej ona wierzy w to, że jest taki delikatny.

Rozdział czwarty

O spałe, wilgotne lato owładnęło nimi całkowicie. Na St. Nicolaas, jak wszędzie w tym rejonie, wsłuchiowano się w codzienne prognozy pogody w oczekiwaniu na ostrzeżenia przed huraganami. Tropikalne burze, powstające na południowym Atlantyku i kierujące się na Karaiby, czasami przybierały na sile i przeradzały się w prawdziwe cyklony, czasem skręcały na wschód i zamierały gdzieś w środkowej części oceanu. W tym sezonie dwa huragany o wdzięcznych, ironicznych damskich imionach zagroziły kontynentowi amerykańskiemu, dwa zaś przemknęły obok bez większych szkód. Jeden cyklon otarł się o Puerto Rico, przemieszczając się w północnym kierunku. St. Nicolaas przeżyła kilka dni potężnych ulew z żółtawego nieba — ale nic ponadto. W końcu sezon huraganów minął i wyspy zaczęły przygotowywać się do sezonu turystycznego.

Dni i tygodnie lata oznaczały dla Ginny nudę i zniechęcenie. Miała, co prawda, co robić, ale nie było to nic ważnego. Pomagała matce w ogrodzie i w domu ze świadomością, że większość prac wymyślano po to, by mogła się czymś zająć. Przepisała coś na maszynie dla Alberta de Kruythoffa, uporządkowała stosy jego raportów, wiedziała jednak, że nie byłoby różnicy, gdyby tego nie zrobiła.

Jedyny ruch na wyspie, nawet podczas ciężkich burzowych dni sezonu huraganów, panował na plaży Jima MacAdama. Pawilony stopniowo nabierały kształtów — było ich sześć, budowanych z ulubionego przez Jima drewna i kamienia, plus budynek mieszczący restaurację. Któregoś dnia z Puerto Rico przywieziono dziwny ładunek. Podeksycytowana Katrien zawałała Ginny na galerię — po Oranje Cove żeglował statek z sześcioma królewskimi palmami przymocowanymi do pokładu. Jim i pewien botanik, który przybył na dwa tygodnie doglądać ich przesadzania, kręcili się potem przy nich z niepokojem.

— Kosztowały fortunę — mruzczał Jim do Ginny. — Chyba zrobiłem głupstwo przywożąc je, ale palmy kojarzą mi się nieodparcie z Karaibami,

a poza tym turyści spodziewają się ich na folderach reklamowych. W każdym razie mnie się podobają.

Posadzono je — a wokół zaczął powstawać taras dla amatorów kąpiei słonecznych. Patrząc na plażę Ginny prawie już nie pamiętała, że jej skraj był kiedyś pusty.

— Robi dobrą robotę — powiedziała Katrien. — Wiedziałam, że ten człowiek nie postawi tu czegoś brzydkiego.

John Tilsit nie odpowiedział nic i już samo to oznaczało przyznanie żonie racji.

Jim jeździł na zakupy do Puerto Rico; dwa razy był w Miami. Wtedy dni wydawały się nie mieć końca. Ginny siedziała na galerii z książką na kolanach, wyczekując odgłosu dzipa na bocznej drodze. Najgorsze, że nie wiedziała, którego dnia Jim wróci, nie mogła więc oddalać się od domu, by nie przegapić tego momentu. A kiedy wracał, mijały dwie godziny, a czasem pół dnia, zanim zobaczyła go idącego plażą w kierunku ich ścieżki. Zawsze jednak odwiedzał ich po powrocie; siadał z nimi na galerii popijając drinka i zapraszany przez Katrien zostawał na kolacji. Ginny zaczęła nawet obawiać się, czy Jim przypadkiem nie uważa, że zapraszają go z obowiązku lub z przyzwyczajenia. Przywoził im drobne upominki — flakonik perfum, torebkę z tkaniny, bardzo modną w Miami, klapki japonki, a także nową zasłonę do prysznic, bo Katrien skarżyła się kiedyś, że starą zaczęła niszczyć pleśń. Nie były to podarunki osobiste, wręczał je Katrien lub Ginny bez ostentacji. Kiedy Katrien protestowała, mówił po prostu: — Muszę dbać o moją rodzinę, prawda? — ale Ginny wiedziała, że nie znaczy to zbyt wiele, najwyżej tyle, co te przywożone drobiazgi. Jim utrzymywał zwyczaj odwiedzania Oranje Huis po dłuższej nieobecności, bo dawało mu to namiastkę powrotu do domu. Nie przychodził specjalnie do Ginny, lecz do nich wszystkich. Po pewnym czasie zaczął się zachowywać swobodnie nawet w stosunku do Johna. Kiedy przywiózł mu pudełko cygar, John przyjął je, choć szorstko, niemal nieuprzejmie. Po kolacji obaj mężczyźni zasiedli w ciemności na galerii, paląc cygara w przyjacielskim milczeniu, a Ginny, by im nie przeszkadzać, nie poszła nawet powiedzieć „dobranoc” przed udaniem się na spoczynek. Jim nawet tego nie zauważył.

Lato przyniosło także ze sobą trochę dobrego. Ginny nie zobaczyła więcej wyrazu bólu i gniewu, jaki tak ją przeraził na twarzy ojca tego wieczora, kiedy wróciła z San Juan. Przestały też dręczyć ją myśli o Isobel Tilsit, rozbitej porcelanie i uszkodzonej książce Alberta. Czasami zastanawiała się nad tajemnicą Tilsitów, ale nie zadawała żadnych pytań. Albert, jak przewidywał Jim, nigdy nie wspomniał o książce. Ginny zrozumiała, że zauważył brak kartki i uznał, że to nie jego sprawa; Jim też nie wspominał o tym. A Ginny nie powiedziała o niczym Katrien.

W rodzinie dyskutowano trochę na temat możliwości wyjazdu Ginny na uniwersytet w Miami. „Może po Bożym Narodzeniu” — powiedziała ogólnikowo Ginny, a ojciec, zadowolony, poprzestał na tym. „Nie jest zbyt

ambitna ta nasza córka" — stwierdziła Katrien, a Ginny przyznała, że to prawda. Trzymało ją tu rozleniwienie, a może chciała sprawić przyjemność ojcu lub też przebywać blisko Jima? Czekąca na coś nieokreślonego, pozwalając, by dni przepływały obok niezauważalnie. Rano często wypływała z ojcem na ryby i wydawało się, że wszystko między nimi jest w porządku. Jeśli wykazywała oznaki zniecierpliwienia — głównie kiedy wyciągali łódź na brzeg — to tylko dlatego, że dzień przynosił jej tak niewiele. Często trafiała bezwiednie pod drzwi Jima; próbowała wtedy odegnać od siebie wrażenie, że zachowuje się jak żebraczka. Wiedziała, że powinna się tego wstydić, a jednak robiła to wciąż od nowa.

Drzwi zawsze otwierały się szeroko na powitanie i chociaż Jim nie okazywał szczególnej radości na jej widok, nie był również niezadowolony. Starąca się wyczuć jego nastrój, gotowa wycofać się, ale on zawsze był taki sam — lakoniczny i bezpośredni. „Cześć. Jadłś śniadanie? Nie? Świetnie, dokładam bekonu”. Decydowała się na tak wczesne wizyty, ponieważ w ciągu dnia pracował ciężiej niż jego dwaj pracownicy i nie chciała kręcić mu się pod nogami. A przychodzenie wieczorami byłoby już zbyt wyraźną żebranią. Smażyła więc jajka na bekonie i nalewała mocną czarną kawę, jaką lubił Jim, podczas gdy on — wiecznie z papierosem w ustach — miotał się po pokoju, przerzucając plany i reklamy wyposażenia hotelowego, jakie przychodziły z każdą pocztą.

— Będzie lepiej dla moich pieniędzy, jeżeli kupię duńskie meble z importu w bezcłowej strefie na St. Charles, a nie w Miami. Tu są zresztą ładniejsze.

— Tak. — Wolała nie wdawać się w komentarze, ponieważ gdy tylko zaczynała, spoglądał na nią i atakował drwiąco.

— A skąd wiesz? Przecież nigdy nie widziałaś czegoś innego, prawda, Ginny?

— Och, zamknij się! Czy to moja wina, że się tu urodziłam?

— Nie, ale będzie twoja wina, jeśli nigdy stąd nie wyjedziesz.

— Ale ty przyjechałeś tutaj, prawda? Chyba więc nie jest to takie złe miejsce?

— Oczywiście, że nie. To cudowne miejsce, lecz nie dla kogoś, kto nigdy nie widział niczego innego. Tylko nie mów mi o klasztorze w San Juan. Jedyne, czego się tam nauczyłaś, to jak pisać swoje nazwisko.

— Sądzisz, że tylko tyle umiem?

Wyszczerzył zęby.

— Mniej więcej, Ginny.

Nie mogła tego tak zostawić.

— A moja mama? Urodziła się na wyspie i nigdy nie mieszkała gdzie indziej, a wydaje mi się, że jej nie uważasz za głupią.

— Bo nie jest głupia. Ona należy do swoich czasów i swojego pokolenia. Ale ty — z samolotami i całym światem w zasięgu ręki — byłabyś zacofaną smarkatą, gdybyś się zadowoliła tkwieniem wciąż w jednym miejscu.

- Wcale nie jestem zadowolona.
- To nie lamentuj i zrób coś z tym!

Wyszła od niego wściekła i nie pokazała się więcej przy pawilonach. Pewnego wieczora, parę dni później, Jim pojawił się na ścieżce prowadzącej do Oranje Huis. Ginny i Katrien siedziały na galerii; John Tilsit pojechał do miasta spotkać się z Janem de Hootem, dyrektorem cukrowni. Czekwały na jego powrót.

Jim zwrócił się do Katrien.

— Któregoś dnia nakrzyczałem na pani córkę i odtąd się do mnie nie odzywa. Dlatego nie mogę jej zapytać, czy popłynęłaby ze mną na St. Charles na kolację. Pomyślałem więc, że może uda mi się panią namówić, by wybrała się pani z nami. Miałbym przynajmniej z kim porozmawiać.

- Jesteś bardzo pewny, że popłynę — warknęła Ginny.
- Bardzo na to liczę.
- Biegnij przebrać się, Ginny. Nie ma tu zbyt wielu młodych mężczyzn, żebyś mogła pozwolić sobie na dumę. — Katrien mówiła ze śmiechem, ale dokładnie to miała na myśli.

— A pani? — Jim patrzył na Katrien.

Uprzejmie pokręciła głową.

— Nigdy w ciągu całego naszego małżeństwa nie wychodziłam z domu, zanim nie wrócił John. Jest już zbyt późno, by zacząć zmieniać zwyczaje.

— W takim razie poczekamy na niego i weźmiemy go ze sobą.

— Nie prowokuj losu, Jim. Ciesz się, że John przestał odwracać wzrok za każdym razem, gdy spogląda na twoją plażę. Nie spodziewaj się jednak, że podda się do tego stopnia, by wejść na twój piękny jacht. — Pokazała drzwi, za którymi zniknęła Ginny. — Oboje są twardogłowi.

— Ona się zmieni.

Ginny słyszała ich uwagi, przebierała się więc z furją. Humor wcale jej się nie poprawił, gdy po powrocie na galerię zobaczyła Jima w fotelu obok matki, odprężonego i radosnego, nie spieszącego się wcale do wyjścia. Wydawało jej się nawet, że on woli zostać tutaj, na galerii.

— Nawet nie zapytałeś mnie o zgodę... — odezwała się z wyrzutem w głosie, gdy „Oranje Lady” wypłynęła z zatoki i wzięła kurs na St. Charles.

— Wolałem nie pytać — zażartował, patrząc na nią z ukosa. — Czasem zastanawiam się, czy nie jesteś wróżką z bajki mieszkającą w swoim zamku na wzgórzu. A Bo — twoim famulusem; tak zdaje się nazywają towarzysza czarownic — famulus? Zaczynam się bać, że gdy się na mnie obrazisz, możesz sprawić, że mój biedny hotelik zapadnie się w piach. Chociaż z drugiej strony, to nie fair myśleć tak o Bo. On nie skrzywdziłby muchy.

— A ja?

— Ty mogłabyś.

— Zdaje się, że lubisz robić ze mnie idiotkę, Jim?

Wzruszył ramionami. — Nikt tu nie robi z nikogo idiotki. Odpręż się, Ginny, zrelaksuj.

W tym stylu spędzali wspólnie czas — podczas wypadów na St. Charles, pospiesznych śniadań w domku Jima, na galerii w Oranje pod bacznym wzrokiem Katrien i niespokojnym Johna. Jim miał na ogół dobry humor, drażnił się z nią i wydawał się Ginny całkiem wobec niej obojętny. To, że drażnił się z nią, było rzeczą pozytywną, gdyż mogła jakoś zareagować — śmiechem lub irytacją. Dużo gorzej znosiła, gdy bywał nieobecny duchem; siedziała wtedy przed nim, czując prawie fizycznie, jak znika z jego oczu i myśli. Zastanawiała się wówczas, czy zamiast niej ma przed oczami jakąś inną kobietę.

Tego lata stopniowo dowiadywała się coraz więcej o żonie Jima. Były to zawsze okruczki; składała je konsekwentnie w obraz Julii, choć nie miała pewności, czy zgodny z prawdą. Jim mówił na temat żony niechętnie, ale zawsze z dumą i miłością.

Pewnego dnia zabrał się do porządkowania porzucanych po domku stosów książek i czasopism. Wtedy właśnie Ginny dowiedziała się o Julii najwięcej, ale i przeraziła się najbardziej. Było późne sobotnie popołudnie; pływała właśnie, kiedy wyciągnęło ją z wody wołanie Jima.

— Hej! Masz chęć na drinka?

Nie miała chęci, ale nigdy nie odmawiała, kiedy ją zapraszał. Gdy weszła, szperał wśród stosów czasopism, pism handlowych, książek i nieodłącznych rolek kalki.

— Trochę sprzątam — rzucił podając jej whisky z wodą.

Raczej przeglądał to wszystko, a nie sprzątał — podnosił gazetę lub książkę, by rzucić na nią okiem, a pochłaniała go na dłuższy czas. Oznaczało to koniec sprzątania. Irytowało ją to, a mimo to lubiła u Jima tę ludzką słabostkę.

— Daj, pomogę ci. Zobaczmy... Może te stare numery „Architectural Forum” położymy na spodzie, a na nich trochę mniejszych czasopism? Jim, słuchasz co mówię?

— Co? — Nie spojrzał nawet.

— Kiedy masz zamiar kupić parę regałów?

— Kiedy co...? Nie, nie mam zamiaru stawiać tu regałów. Zrobię je, kiedy będę miał własne mieszkanie. Będzie na tyłach budynku restauracji — spójrz, pokażę ci. Rzuć mi tamtą rolę planów, dobrze?

— Nie teraz, Jim. Chciałabym zacząć od tych czasopism, mogę? Myślę, że większość z nich powinienś wyrzucić. Jaki może być pożytek ze starych magazynów?

— Bardzo duży. I proszę, nie ruszaj ich. Skąd wiesz, że nie mam zamiaru ukraść linii dachu, jaką sześć lat temu zastosował pewien zdolny facet dla domu w Teksasie? Nic nowego pod słońcem — od starożytnej Grecji wszyscy zapożyczamy i kopiujemy to, co wymyślili inni. Najważniejsze to zastosowanie. Będę ich potrzebował, kiedy znów zacznę budować domy.

— Masz zamiar budować domy?

— Oczywiście.

Nic nie odpowiedziała, tylko zajęła się układaniem czasopism według dat, by zaspokoić nieco swą potrzebę porządku. Jim czytał dalej. Pracując, popijała wolno drinka i czuła się szczęśliwa. Nie przeszkadzało jej teraz, że o niej zapominał; sprawiało jej nawet przyjemność, że traktuje ją jakby była na swoim miejscu.

— Jim? — odezwała się niebawem.

— Tak?

— Co mam zrobić z tymi egzemplarzami „Businessu”? Są nieaktualne i nie widzę, by miały coś wspólnego z architekturą...

— Nie ruszaj ich! — rzucił szorstko. — Jest tu parę najlepszych prac Julii.

— Prac Julii? — Osłupiała, poczuła strach. Czasopismo o mało nie wypadło jej z rąk. Próbując je chwycić, oddała róg okładki.

— Ostrożnie! — Jim rzucił się, by złapać magazyn. Odebrał go jej, jakby była niezdatnym dzieckiem, któremu nie można powierzyć nic cennego. Delikatnie i uważnie przyłożył oderwany kawałek do właściwego miejsca. — Niektórych starych numerów tego pisma nie da się zdobyć. Wiem, bo próbowałem kupić dodatkowe egzemplarze. Kilka z nich Julia zrobiła prawie sama.

— Przepraszam, Jim. Nie chciałam go uszkodzić. Daj, przyklej to. — Szybko zgarnęła rolkę samoprzylepnej taśmy ze stojaka przy desce kreślarskiej.

— Nie, sam to zrobię. — Patrzyła jak przylepia oddarty skrawek, jak z niesamowitą precyzją odmierza i przykłada taśmę. Niemal bała się odetchnąć, kiedy to robił. — Przykro mi — powiedziała znów.

— W porządku, nic się nie stało. — Czuła jednak, jakby sprofanowała własnymi rękami coś, co było dla niego wyjątkowo cenne.

— Jim, co miałeś na myśli mówiąc, że niektóre z tych numerów są dziełem Julii? Nie rozumiem...

— Julia była przez dwa lata asystentką dyrektora artystycznego „Businessu”. Kiedy wrzód wyłączył jej szefa z pracy na parę miesięcy, przejęła jego obowiązki. Rozumiesz co to oznaczało? — Ginny poczuła, że duma z żony zaczyna brać górę nad dotychczasową powściągliwością. — Była odpowiedzialna za wygląd jednego z najbardziej prestiżowych czasopism na świecie. Musiało wyglądać ładnie, solidnie, nigdy tak, jakby je robiono na łapu-capu. Rozumiesz coś z tego, Ginny?

— Nie bardzo, chociaż chciałabym.

Popatrzył na magazyn, którego nie wypuszczał z ręki.

— Julia była jedną z najlepszych. Nie była karierowiczką. Miała wyjątkowy talent, rzadko spotykany nawet w Nowym Jorku. A jeśli dołączysz do tego przebojowość, powstaje kombinacja nie do pokonania. Julia wywodziła się z biednej rodziny, wiedziała więc jak walczyć. Na wszystko co zdobyła musiała ciężko zapracować. Miała dwadzieścia cztery lata, kiedy zrobiła magisterium z historii sztuki. Sama była świetną artystką, ale miała przy tym niesamowitą zdolność pozyskiwania najlepszych, najbardziej twórczych ludzi

do swojego zespołu, a także zapamiętywania prac każdego artysty, z jakim się zetknęła. A wszystko to zanim doszła do trzydziestki.

Jim mówił szybko, starając się, by jego słowa brzmiały rzeczowo, a jednocześnie usiłując ukryć ból. Ginny rozumiała, że próbuje w ten sposób uchwycić istotę kobiety, którą stracił. Przerazona była pustką, jaką dostrzegła w jego spojrzeniu.

— Gdyby tylko miała czas, osiągnęłaby wszystko co tylko by chciała. A najwspanialsze było to, że była szczęśliwa. Możesz sobie wyobrazić — być szczęśliwą mając w dodatku taki talent! Została przez los obdarowana, tak jak ludzie, którzy potrafią śpiewać albo stać na głowie. Była kobietą, do której uśmiechnął się los, obdarzoną łaską, a ja miałem wielkie szczęście, że byłem jej mężem. Odeszła i zostawiła mnie samego... Tak właśnie powiedziała mi jej babka na pogrzebie... Rodzina Julii pochodzi z Irlandii... Powiedziała mi: „Cóż, chłopcze, odeszła i zostawiła cię samego”. I tak rzeczywiście było.

Odłożył czasopismo z taką delikatnością, jakby dotykał ukochanej osoby. W geście tym wyrażała się jego rozpacz, nieodwracalność straty, samotność w obliczu życia, które musi znosić. Fizyczna twardość mężczyzny zniknęła, twarz sponępniała mu jeszcze bardziej. Ten jeden jedyny gest delikatności i miłości wobec nieżyjącej żony dał Ginny pojęcie, jak mogłaby się czuć kobieta przez niego kochana.

Powiedziała coś na swoje usprawiedliwienie i szybko wyszła w poczuciu przegranej. Zamykając za sobą drzwi zdawała sobie sprawę, że Jim długo nie zauważy jej wyjścia.

Po jakimś czasie Katrien natknęła się na nią, skuloną na schodach prowadzących z ogrodu do domu. Chociaż było już dobrze po południu i Ginny siedziała w pełnym słońcu, trzęsła się, jakby było jej zimno. Katrien usiadła obok córki.

— Co się stało?

Ginny zwróciła twarz w jej stronę. Wzrok miała dziki.

— Mamo, czy Jim pokazywał ci zdjęcie żony? Widziałaś je kiedyś?

— Tak, a dlaczego pytasz?

— Tak sobie pomyślałam... On ci ufa, może chciał ci ją pokazać.

Katrien pokiwała głową.

— To było tuż po jego przyjeździe. Budowa jeszcze się nie zaczęła i miał, biedak, mnóstwo czasu. Zapytałam go kiedyś i całkiem chętnie opowiedział mi o niej. Zdarzyło się to jednak tylko raz.

— Jak ona wyglądała?

— Czy to ważne, Ginny?

— Oczywiście, że ważne! — zawołała łamiącym się głosem, nie kontrolując się. — Czy była ładna?

Katrien nie umiała skłamać; wiedziała, co jej odpowiedź będzie oznaczała dla córki, ale nie potrafiła.

— Była więcej niż ładna, Ginny. Miała zdumiewającą twarz, nigdy takiej nie widziałam. Piękną, a zarazem silną. Na zdjęciu lekko się uśmiechała,

ale wyczuwało się, jak wygląda, kiedy śmieje się pełnym głosem. Miała ciemne włosy i jasne oczy. Niebieskie albo szare, nie wiem. Nigdy nie zapomnę tej twarzy.

— Tak... wyobrażam sobie, że niełatwo taką twarz zapomnieć. On nie zapomniał.

— A spodziewasz się tego? Chciałabyś?

— O Boże! Nie wiem! Sama nie wiem, czego bym chciała. — Zerwała się na równe nogi i zostawiła Katrien na schodach w ostatnich promieniach słońca.

Następnego poniedziałku rano Ginny wsiadła na prom z Willemstad do St. Charles. U Barneya zjawiła się koło południa, akurat kiedy przyszedł tam Harry Parker na swoją szklaneczkę rumu. Wdrapała się na stołek obok niego przy barze.

— Harry, powiedziałeś kiedyś, że mogłabym znaleźć pracę. Gdzie mam zacząć jej szukać?

Przez miesiąc pracowała w „The Treasure Trove”, licząc towar oraz sprzedając porcelanę, zegarki i szwajcarskie pozytywki. Nauczyła się wtedy, jak wypełniać czeki sprzedażne, zamawiać porcelanę z różnych angielskich wytwórni, jak pakować delikatne przedmioty, by ich nie potłuc. Wykuła na pamięć przepisy celne. Zdobyła umiejętność przekonywania turystów, by kupowali więcej, niż zamierzali początkowo. W „The Treasure Trove” nie sprzedawano wyrobów z Tilsit, nie musiała więc odpowiadać na ewentualne pytania o ich związek z jej nazwiskiem.

W grudniu, wraz z początkiem sezonu turystycznego, otrzymała propozycję lepiej płatnej pracy w „St. Dennis Boutique” — filii eleganckiego, drogiego salonu odzieżowego z San Juan. Sprzedawanie ubrań okazało się i trudniejsze, i ciekawsze, a jednocześnie Ginny odkryła, że praca w sklepikach turystycznych na St. Charles w zasadzie nie różniła się od siebie. We wszystkich potrzebowano pomocy, a doświadczenie nie miało większego znaczenia. Te same kobiety wykonywały tę samą pracę w coraz to innych butikach, czasami dołączała do nich kolejna mieszkanka wyspy, która zdecydowała się podjąć pracę zamiast wylegiwać się całymi popołudniami na plaży. Jedną z nich była właśnie Ginny, która szybko podpatrzyła, że należy wyrażać aprobatę wobec każdego dokonanego przez turystkę wyboru sukienki czy kostiumu kąpielowego. Prawdziwym dokończeniem sprzedaży zajmowały się już ręce murzyńskiej pomocnicy, która szybko i zręcznie dopasowywała wybrany strój do figury klientki. Na początku Ginny chciało się i śmiać, i płakać, gdy widziała, jak zbyt gruba lub zbyt chuda kobieta stoi przed lustrem ufnie i z nadzieją oczekując, by zwinne ręce szwaczki dokonały na ubiorze cudu, którego nie da się zrobić na samej kupującej. Patrzyła, jak zachłanne turystki sięgają po drogie toalety i rozumiała świetnie młode dziewczyny z poządlivością spoglądające na suknię, kupowaną przez starszą

kobietę. Po dwóch tygodniach przestało ją to obchodzić, nauczyła się za to obliczać w pamięci własną prowizję.

— Tego właśnie chciałaś się nauczyć, prawda? — zareagowała na zwierzenia córki Katrien.

GINNY została zaakceptowana przez tłumek zbierający się w porze lunchu u Barneya oraz przez gromadkę czekającą na prom, odchodzący codziennie o ósmej rano z St. Nicolaas. Teraz, kiedy przechodziła uliczkami St. Charles, zawsze kilkanaście osób witało ją zwyczajowym amerykańskim *hi*. W krótkim czasie uznana została za swoją; na wyspie, która tak szybko się rozwijała, a nowe twarze pojawiały się niemal codziennie, mieszkańcy od urodzenia oznaczali: od starożytności. Turyści, których spotykała, wydawali się zdumieni słysząc, że mieszka na stałe na St. Nicolaas. Przeważnie miało to miejsce u Barneya; zerkali wówczas szybko na port i kanał prowadzący do St. Nicolaas. „Chcesz powiedzieć, że mieszkasz tam? To francuska wysepka, prawda? Niemożliwe, holenderska? I każdego ranka przypływasz tu do pracy? No cóż, z pewnością to lepsze niż jazda metrem”.

Nauczyła się rzucać dowcipne uwagi podczas rozmów w porze lunchu, a nawet wdawać się w ploteczki o tutejszym życiu. Działo się tu dużo więcej niż na St. Nicolaas — amerykańska wyspa przeżywała od ostatnich kilku sezonów prawdziwy boom wobec zagrożenia Karaibów ze strony Castro i napływu turystów zalewających przedtem Miami i Kubę. Milionerzy pobudowali domy na wzgórzach nad miasteczkiem, a na Main Street można było nawet zobaczyć czasem znane osobistości. Wobec braku pasjonujących nowinek czy skandali towarzyskich zawsze można było podyskutować o programach telewizyjnych. St. Charles miała dwa kanały.

Po paru tygodniach spędzonych w „The Treasure Trove” Ginny wyraziła wobec Lillian Marshal, kierowniczki sklepu, uwagę na temat atrakcyjności St. Charles w porównaniu z St. Nicolaas. Szefowa jednak wycodziła płaskim, sarkastycznym tonem: — O, tak, kochanie... mamy tu wszystko: plaże, piękne domy i sklepy, a nawet państwową służbę zdrowia. Wszystko tu jest tak urocze i miłe, że czasami wyc się chce z nudów. Wczoraj przechodziłam przez plac, gdzie ktoś rozlepił właśnie plakat informujący o Tygodniu Zdrowia Psychicznego na St. Charles. Tylko pomyśl, kochanie — Tydzień Zdrowia Psychicznego w raj!

Blondynka o szczipłej twarzy, ubrana w obcisłe czarne spodnie, nachylając się nad nimi wtrąciła: — Chyba zartujecie. Moja rodzina przysłała mnie na St. Charles na zimę, żebym odzyskała siły po operacji, bo słyszeli, że tu jest ładnie i spokojnie. Nie słyszałam większej bzdury! Przecież ta wyspa to prawdziwy Nowy Jork, tyle że wielkości chustki do nosa. Na tej spokojnej wysepce można przeżyć szalone chwile...

Po czym opuściła ich, aby przejść niespiesznym krokiem w kierunku Jacksona, największego w mieście bezcłowego sklepu z alkoholem, gdzie pracowała na część etatu. Susie Marshall, córka Lillian, pokręciła głową i zaśmiała się cicho.

— To nie była żadna operacja. Przyszli ją tu, by doszła do siebie po miłym, słodkim rozwodniku. — Susan skończyła w tym roku szkołę z internatem w Connecticut i nie pogodziła się jeszcze z powrotem na wyspę. Drażni ją wciąż jakiś zaraźliwy niepokój.

— Skąd wiesz? — zapytała Ginny.

Susan otworzyła szeroko zielone oczy.

— Chyba każdy to wie, nie? Przecież to Tracy West. Córka Arnolda J. Westa.

— A kim on jest?

Teraz Susan roześmiała się w głos.

— Nigdy nie słyszałaś o Arnoldzie J. Westcie? On jest... no... Arnoldem J. Westem. To znaczy ... to po prostu straszny bogacz. Ej, Ginny, nie udawaj, że nie wiesz!

Zwyczaj wracała na St. Nicolaas wieczornym promem z egzemplarzem „New York Timesa” z poprzedniego dnia, który zostawiała dla niej pani Marshall. Dziennik był przywożony na wyspę codziennie. Ginny wciąż od nowa dziwiła się, jak bardzo ludzie osiedlający się na St. Charles wierni są różnym nowojorskim przyzwyczajeniom. Ojciec, który wychodził po nią do przystani, z niechęcią patrzył na gazetę wsuniętą pod pachę. Kiedy proponowała mu ją, zawsze odmawiał. Ponieważ czułaby się niezręcznie czytając przy nim, zostawiała ją na wieczór i w łóżku przeglądała co ciekawsze artykuły, a zwłaszcza reklamy i ogłoszenia. W ten sposób wyrobiła sobie dziwny obraz miasta, gdzie wszyscy chodzili ubrani w eleganckie stroje, mieli szczupłe sylwetki, jadaliby dania, o których nigdy nie słyszała i co wieczór bywali w teatrze. Zachłannie wpatrywała się w zdjęcia i rysunki modelek. Czy ta wygląda jak Julia MacAdam? A może tamta? Czy ta podobałaby się Jimowi? A ta? Czy rzeczywiście wszystkie one wiedzą, jak się ubierać i rozmawiać, i żadna nie jest tępą, ubogą lub nieciekawą? Rozum podpowiadał jej, że wcale tak nie jest, wciąż jednak modelki z gazety fascynowały ją jak papierowe lalki.

Niekiedy na przystani promowej zastawała zacumowaną „Oranje Lady”.

— Wskakuj — rzucał Jim krótko. — Musiałem zostać tu nieco dłużej, pomyślałem więc, że poczekam na ciebie. — Któregoś wieczora pojawił się jednak świeżo ogolony, w marynarce i pod krawatem, i oznajmił jej, że zabiera ją na obiad do „Estate Louise” — restauracji na jednej ze starych plantacji cukru. Był to najlepszy lokal na wyspie, niesłychanie drogi i przestrzegający tradycyjnych form. Jim mówił o nim zawsze lekceważąco jako o pułapce na turystów, tego dnia jednak nic nie wspomniał na ten temat. Przy posiłku wypytywał ją o pracę.

— No cóż, jest niezła... nawet dosyć mi się podoba. Nie ma, co prawda, zbyt wiele do roboty, i jak już się wciągniesz, to jest jak samograj. Niczego innego jednak tu nie znajduję. Czegoś się nauczyłam, ale w sumie muszę chyba tym wszystkim ludziom wydawać się strasznie głupia.

— Głupia? Nie jesteś głupia! Dlaczego tak myślisz?

— Och, o tylu rzeczach nie mam pojęcia. Na przykład, kim jest Arnold J. West.

Jim wybuchnął śmiechem.

— Rzeczywiście, w pewnych kręgach społeczeństwa niesłuchanie ważną rzeczą jest wiedzieć, kto to taki Arnold J. West, ale zapewniam cię, że nie umrzesz bez tej wiedzy. Czego chciałabyś nauczyć się tutaj? Sztuczności i wyrafinowania? Przecież zdajesz sobie sprawę, że to nie jest istotne. To wszystko pochodzi z importu. — Wskazał na salę, wytwornie oświetloną świecami, na port jarzący się w dole światłami. — Gdyby tego tutaj nie było, musiałybyś wyjechać, by to poznać. Przypatrz się Katrien — ona ma w sobie naturalność, która jest tysiąc razy lepsza niż to wyrafinowanie. Jej nie jest potrzebna wiedza o Arnoldzie J. Westcie.

— Ale mnie tak.

— Nieprawda. I musisz zdać sobie sprawę z tego, że to wcale nie jest dla ciebie ważne.

Wściekła grzebała widelcem w ryżu z curry.

— Jim, rozmawiasz ze mną, jakbyś był moim dziadkiem. Dlaczego zawsze mówisz mi takie rzeczy?

— Ponieważ wydaje mi się, że chciałabyś to wiedzieć. A niby kto ma ci o tym mówić?

— Nie mam pojęcia — odparła ponuro. — No dobrze, możesz nadal to robić, tylko postaraj się, żeby nie brzmiało to w taki sposób, dobrze?

Jim odłożył widelec.

— Wiesz, Ginny, powinienem powiedzieć ci coś jeszcze.

Spojrzała na niego. Jego ton nagle się zmienił; nie brzmiała już w nim przekora ani ironia, jak zwykle, kiedy się do niej zwracał. Patrzyła na niego niedowierzająco, ponieważ odkryła, że jest zdenerwowany. Zrodziła się w niej nagle, nieprawdopodobna nadzieja.

— Co takiego?

— Czy wiesz, że twój ojciec jest chory?

Zamknęła oczy. Poczwała falę zawstydzenia, że jej pierwszą reakcją było rozczarowanie, że nie powiedział tego, czego się spodziewała. Przez moment nie mogła zrozumieć tego, co usłyszała — myślała tylko o sobie. Potem to minęło i przypomniała sobie o ojcu.

— Chory? Bardzo? Co mu jest? — pytała wciąż jeszcze machinalnie. W uszach dzwoniło jej nadal to, czego Jim nie powiedział.

— Nie wiem jak bardzo. To serce.

Dopiero teraz poczuła wagę tych słów, jak cios między oczy.

— Serce? Skąd wiesz?

— **Źle** się poczuł. Katrien poprosiła mnie, żebym pojechał po lekarza, odwiedzającego akurat pacjenta, który nie miał telefonu. Najwyraźniej ojcu zdarzało się to już wcześniej, kiedy cię nie było w domu. Ginny, nie patrz tak! Doktor mówi, że to nie było bardzo poważne, że to rodzaj ostrzeżenia. John musi na jakiś czas zwolnić tempo. Na szczęście do żniw zostało jeszcze parę miesięcy...

— Przyjechałeś, żeby powiedzieć mi o tym? Dziękuję, Jim.

— Nie chciałem, żeby ktoś przestraszył cię, wyolbrzymiając sprawę. To naprawdę nie było bardzo poważne... Po co ten pośpiech, Ginny? Rodzice wiedzą, że jesteś ze mną i nie spodziewają się ciebie tak wcześnie. Nie chcą, żebyś zaraz wracała.

Była już na nogach.

— Wiem, ale zabierz mnie do domu, dobrze? Chociaż tata nie wymaga, żebym wróciła wcześniej, ale na pewno chce mnie zobaczyć.

Jim skinął na kelnera.

— Dobrze, już idziemy.

Kiedy „Oranje Lady” pomknęła po wodzie, Jim spostrzegł, że ręce Ginny zaciskają się w napięciu na osłonie przeciwwietrznej. Była bardzo blada, na skroniach pojawiły się lekkie cienie. Instynktownie objął ją ramieniem. Czuł, jak jest młoda i wrażliwa.

— Nie denerwuj się, Ginny. To naprawdę nic złego. Kiedy wyjeżdżałem, był w całkiem niezłej formie. Żartował w ten swój pruderyjny, angielski sposób. Życzył nam dobrej kolacji i zapowiedział, że za parę dni jak zwykle będzie czekał na ciebie przy promie.

Pokiwała głową i przytuliła się do niego mocniej. Ten gest był wyrazem przyzwolenia i znużenia, jakby w ciągu tej godziny przybyło jej lat.

— Tak samo było z nią. Obawiała się o swoje serce... Lekarze nie chcieli, by tu przyjeżdżała.

— O kim mówisz?

— O Isobel... jego siostrze.

— To nic nie znaczy. Nie przejmuj się. Mówię ci, że nic mu nie jest. Musi tylko bardziej uważać.

Kiedy wpłynęli do zatoki, prawie natychmiast odsunął się od niej. Poczuł, jak wyprostowała się lekko i domyślił się, że jej wzrok powędrował automatycznie w stronę Oranje Huis. Na galerii paliło się światło, jasno było również w bawialni. Nic więcej, nic niezwykłego.

— Widzisz, wszystko jest w porządku — powiedział.

Kiedy Katrien usłyszała ich kroki na ścieżce, podniosła się z fotela w bawialni i wyszła na galerię. Bo, który pobiegł na plażę zwabiony odgłosem podpływającej łodzi, pojawił się na schodach pierwszy; po chwili zobaczyła spieszącą się Ginny, za którą szedł Jim.

— Mamo, jak on się czuje?

— Cii... — Katrien wskazała gestem w stronę narożnej sypialni. — Śpi... Całkiem normalnie. Dostał coś na uspokojenie, nic więcej nie było trzeba. Atak nie był silny. Nie musimy się martwić.

— Jesteś pewna?

— Tak.

Ginny ciężko osunęła się na najbliższe krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Ramiona opadły jej bezsilnie, jakby nagły odpływ napięcia pozbawił je

naturalnej podpory. Katrien ruszała już w jej stronę, lecz wstrzymała się widząc, że nachyla się nad nią Jim. Położył dłoń na rozwichrzonych włosach dziewczyny i przygarnął ją do siebie.

— Spokojnie, Ginny! Spokojnie!

Przez chwilę trwała bez ruchu, czując jego silną rękę, po czym podniosła głowę i spojrzała na Katrien.

— Wpadłam w panikę. Przepraszam. Nie uwierzyłam Jimowi. Powinam, ale nie byłam w stanie. Kiedy jednak zobaczyłam ciebie, uspokoiłam się.

Katrien przyjrzała się córce. Podobieństwo do Johna Tilsita wydało jej się uderzające. Nigdy przedtem tego tak wyraźnie nie widziała. Owszem, znajdowała w wyrazie jej twarzy pewne podobieństwo do ojca, to pojawiające się, to znikające. Teraz jednak, taka smutna i zaniepokojona, wyglądała jak odbicie ojca. Policzki jej się zapadły, zupełnie jak u Johna, kiedy był czymś zdenerwowany. Usta zmieniły się w wąską bladą kreskę, z trudem powstrzymującą się od drżenia. Szczeka zaostrzyła się, stała się kanciasta. Podobieństwo Ginny do ojca uwydatniło się teraz nadzwyczajnie — w twarzy, sylwetce, temperamencie, a także w lęku i bólu, które tak bardzo starała się opanować.

Poczuła ukłucie lęku, ponieważ wiedziała już, że życie córki również nie będzie łatwe.

Kiedy jednak odezwała się, głos miała spokojny i stanowczy.

— Tak, Ginny, wszystko jest w porządku. Teraz już wszystko będzie jak trzeba.

I tak było. Aż do Bożego Narodzenia.

2

Tym razem Katrien nie marudziła po zakończeniu porannej mszy w Holenderskim Kościele Reformowanym w Willemstad w dzień Bożego Narodzenia. Lubiła przyjęty tu zwyczaj serdecznego witania się z sąsiadami i wzajemnego składania sobie życzeń — tego ranka jednak od razu pospieszyła wraz z Ginny do samochodu. Johna Tilsita nie było razem z nimi. Uznał on, że w kościele, zapełnionym z okazji świąt aż po drzwi, będzie dla niego zbyt duszno. Żartował jednocześnie, że specjalne kazanie bożonarodzeniowe Herdera Verheula słyszał już dwadzieścia dwa razy. Od ataku serca ojca, trzy tygodnie temu, Katrien żyła w nieustannym pośpiechu i starała nie spuszczać go z oka. To ona wozila męża dżipem przez plantację trzciny cukrowej, kiedy czuł się na tyle dobrze, by podjąć taką wyprawę, ona też wyjeżdżała po Ginny co wieczór na przystań. Katrien była kiepskim kierowcą, nie lubiła prowadzić i nie wkładała w to serca. Siadała jednak uparcie za kierownicą — było to jedyną widoczną oznaką jej troski o męża.

— Tylko przez jakiś czas — mówiła. — Przecież nie wolno ci się denerwować. W najmniejszym stopniu.

— Nie wiem, Katrien, czy nie byłoby bezpiecznie, gdybym ja prowadził — odpowiadał, próbując obracać jej słowa w żart. — Mężczyźni o najzdrowszych sercach mogą stracić zdrowie widząc cię za kierownicą.

Śmiała się i stawiała na swoim. Kontrast między rodzicami wydawał się Ginny tak ostry jak nigdy dotąd — jędrne, zdrowe ciało matki, jej silne ramiona i ręce przerzucające biegi dżipa bez najmniejszego wysiłku oraz ojciec, zawsze szczupły, ale teraz wręcz chudy, wyglądający krucho i bezsilnie. Wydawało jej się czasami, że Katrien próbuje przelać część własnej siły na męża, ale bez skutku.

Uroczystość Bożego Narodzenia obchodzono w Oranje Huis jak co roku. Galerię i bawialnię udekorowano jaskrawoczerwoną poinsecją — drzewkiem bożonarodzeniowym gorącego klimatu. Na stole, przykrytym obrusem z najlepszego adamaszku, pojawiły się srebra odziedziczone przez Katrien po matce. Pośrodku obok szkarłatnych kwiatów pyszniły się białe orchidee, przysyłane co roku przez Alberta de Kruythoffa. Nie było tradycyjnej choinki — John nie zgadzał się na ich imitacje sprzedawane na St. Charles. Tak więc stos prezentów leżał na stoliku na galerii. Obok stała napełniona ponczem srebrna waza. Na świąteczny obiad przychodził również Albert, kiedy tylko uporał się ze swym obowiązkiem składania życzeń przed kościołem; tak było od dziewięciu lat, odkąd pojawił się na wyspie. W tym roku dołączy do nich również Jim MacAdam. Z tej odmiany cieszyła się zwłaszcza Ginny i dlatego pełna podniecenia naciskała pedał gazu volkwagena, podskakującego na wyboistej drodze.

Kiedy podjeżdżały, Jim był już na miejscu — wyszedł razem z Johnem z bawialni na galerię od strony łądu. Ginny lekko wzięła zakręt i zaparkowała w cieniu figowca, zadowolona, że udało jej się to zrobić tak zręcznie. Cieszyły ją dwie rzeczy — że ojciec schodzący właśnie po schodach im na spotkanie wygląda dużo lepiej, a Jim, zerkający zza kamiennej kolumny ze szklanką w rękę, uśmiecha się do niej kiwając głową z aprobatą. Ginny skierowała się w stronę ojca, kokieteryjnie zamiatając kloszową spódnicą nowej sukni, którą kupiła z bonifikatą w „St. Dennis Boutique”, a która kosztowała niemal tyle, co jej cała pensja. Jej nowe perfumy, Givenchy, były również bardzo drogie. Na głowie miała kapelusz z niesamowicie szerokim rondem, a włosy upięła w elegancki kok, tak jak nauczyła ją Susie Marshall. Czuła, jak serce trzepocze jej z podniecenia, kiedy szła prosto w otwarte ramiona ojca. Wszystko było jak trzeba. Zapowiadał się wspaniały dzień.

Wiedziała, że ojciec podziela jej podekscytowanie i radość. Objął ją w niezwykłym dla niego geście uczucia.

— Czyżbym zapomniał powiedzieć ci to przed waszym wyjściem? Wesołych Świąt, moja Ginny. I wielu, wielu następnych!

— Wesołych Świąt, tato. — A ponad jego ramieniem uśmiechnęła się do Jima.

Jim pociągnął łyk ponczu i popatrzył na nich. Zmieniła się — Boże, jak bardzo zmienił się jej wygląd. Przypomniał sobie, jak obserwował ją blisko sześć miesięcy temu, na przyjęciu u Alberta de Kruythoffa. Pamiętał, jak wyglądała, gdy szła przez skwer z wężłem złotych włosów groźącym w każdej chwili rozsypaniem. Pamiętał jej wzruszającą, prawie patetyczną młodość, jak bardzo ubolewała, że jest taka młoda, że tak późno nadszedł dla niej moment dorosłości. Przez ostatnie pół roku ciężko nad sobą pracowała i pewnie stanęła na nogach, ale czuł, że dziewczyna nie wie tak do końca, ku czemu zmierza. Praca na St. Charles była desperacką próbą nadrobienia straconego czasu, odkrycia fragmentu świata, który nie był światem ojca, a jej własnym. Pewne rezultaty jej wysiłków rzucały się w oczy. Ciemna suknia i wspaniałe pomarańczowy słomkowy kapeluszyk to był krok naprzód w porównaniu z błękitną, dziecienną sukienką z przyjęcia dla gubernatora. Zmiany te dotyczyły jednak wyłącznie jej wyglądu. Wciąż nie doceniała swojego wdzięku i urody. Wiedziała już, jak wyglądać pociągająco, lecz jeszcze nie zdawała sobie sprawy dlaczego. Można, pomyślał, przekazać piękno i zmysłowość córkom, aby siały spustoszenie wśród mężczyzn, ale one i tak będą działać powodowane instynktem. Młode kobiety, uznał, to po prostu okrutne niewiniątka.

Ginny uściskawszy ojca szła teraz w stronę Jima. Dlaczego nie ożenić się z tą dziewczyną, zastanawiał się. Zgodziłaby się, gdyby tylko chciał. Byłaby dla niego dobrą, lojalną żoną, na wzór Katrien. Była bardzo ładna, właściwie piękna. Ich małżeństwo spotkałoby się z aprobatą, choć może niektórzy twierdziliby, że jest dla niej za stara. Katrien, jak sądził, przyjęłaby je z zadowoleniem, a John cieszyłby się, gdyby córka po zamążpójściu nie odjechała od niego dalej niż na drugi koniec plaży. I tu właśnie tkwił problem — Ginny przez całe swoje życie nie wyjechała dalej niż na drugi kraniec plaży. Mógł zaryzykować i poślubić ją, ponieważ był mężczyzną i potrzebował obok siebie kobiety, a wypadki do St. Charles i Miami nie rozwiązywały problemu w sposób trwały. Istniało jednakże pewne ryzyko. Ginny jak dotąd widziała niewiele, lecz nie było gwarancji, że pewnego dnia ktoś inny nie otworzy jej oczu. Jego mała, prostolinijna Ginny może nagle gwałtownie przebudzić się do życia, a wówczas drugi koniec plaży wyda się jej zdecydowanie za ciasny. Natomiast jemu mogła grozić nuda. Była młoda i piękna, ale o niczym nie miała pojęcia. Poza ciałem, bez wątplenia godnym pożądania, nie miała nic do zaoferowania.

Popatrzył na nią chłodnym wzrokiem, kiedy szła po schodach w jego stronę z uśmiechem na podekscytowanej, pełnej nadziei twarzy. Bez miłości ryzyko byłoby zbyt duże. Bo przecież nie kochał jej — kochał niegdyś kobietę o imieniu Julia, pełną pasji, mądrości i urody. W porównaniu z nią ta dziewczyna wypadła blade. Była piękna, ale nijaka, a to oznaczało zbyt duże ryzyko.

Tak więc pochylił się i pocałował ją w policzek, ciepły i gładki, cudownie gładki. Dotknięcie jej prężnego, jedwabistego ramienia wywołało

w nim znany, przyjemny dreszcz. Doprawdy, mogła budzić pożądanie, ale samo pożądanie to zbyt mało.

Po krótkim, okolicznościowym „Wesołych Świąt, Ginny” — wycofał się.

Wyczuła ten odruch, spojrzała w górę i oczy ich się spotkały. Nie chciało jej się wierzyć w to, co dostrzegła. Nie spodziewała się, że koniec nastąpi w ten właśnie sposób, przy takiej właśnie okazji. — Wesołych... Wesołych Świąt, Jim — wykrztusiła z trudem.

Albert de Kruythoff przemierzał bawialnię długimi krokami, z głową wysuniętą do przodu, powiewając połamami rozpiętej marynarki.

— Przepraszam — zwrócił się do Katrien. — Nawet w Boże Narodzenie nie można uciec od problemów... a może ludzie myślą, że właśnie wtedy mam więcej pieniędzy w budżecie...? Wesołych Świąt, Ginny, John! — Szklanek z ponczem, którą podał mu John, uniósł w stronę Jima. — To twoje pierwsze święta na St. Nicolaas, Jim. Mam nadzieję, że pierwsze z wielu szczęśliwych świąt.

Wypili, a Jim odparł: — Może i będą szczęśliwe, ale te dzisiejsze są chyba po raz pierwszy i ostatni spokojne. Mam nadzieję, że w przyszłym roku będę musiał dostawiać łóżka, by pomieścić wszystkich, którzy będą chcieli spędzić święta nad Oranje Cove.

— Jeśli tak będzie — odezwała się Katrien z chytrą miną — nadwyżkę przyslij do mnie. Trzeba będzie tylko wymalować przybudówkę na tyłach domu, ale to i tak lepsze niż spanie na plaży. I policzę mniej niż Jim. — Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a ona dodała: — I gwarantuję lepszą kuchnię. Dodam tylko trochę więcej przypraw do naszego jedzenia, nadam potrawom holenderskie nazwy, a gościom powiem, że to są tradycyjne receptury z Holenderskich Indii Wschodnich.

— I jestem pewien, że uwierzą — John popatrzył z ukosa na Jima. — Jeśli ci się powiedzie, dobudujesz więcej pawilonów?

— Muszę dobudować więcej. Sześć nie gwarantuje zysków. Może wystarczyć tylko na początek. No, ale muszę mieć więcej pieniędzy i jakoś je trzeba znaleźć. A trudno będzie, jeśli nie udowodnię, że ludzie chcą przyjeżdżać na St. Nicolaas. Ben White, jeden z członków syndykatu, będzie tu niebawem, żeby zobaczyć jak idą sprawy. Jeśli uda się go przekonać, załatwi pieniądze na Wall Street.

— Będziesz miał konkurencję, Jim — uprzedził Albert. — Któregoś dnia był tu Philip Hayes z Miami. Razem z partnerem planują budowę sześćdziesięciopokojowego hotelu w Seagrape. A Martin van Ness sprzedał niedawno komuś czterdzieści trzy akry swojej ziemi.

— Im więcej, tym lepiej. Czego potrzebujemy, to napływu nowych ludzi na wyspę. Pozostałe... — urwał, ponieważ dobiegł ich odgłos podjeżdżającego pod dom samochodu i trzaśnięcie drzwiczek.

Katrien podniosła się.

— Wybaczcie, zobaczę tylko... O, to Jan Withoff. Co może go tu sprowadzać? — I głośniej powiedziała: — Wejdz, Jan... Wesołych Świąt!

Jan Withoff, szef ospałej służby pocztowej na St. Nicolaas, zmierzał w ich kierunku. Ubrany był odświętnie, w marynarkę i krawat. Wokół szyi widać było mokre placki od potu. Jego okrągła, dobroduszna twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

— Najlepsze życzenia dla wszystkich, dla pana, panie de Kruythoff. Dziękuję, John, tylko szklaneczkę, muszę się spieszyć. Martha będzie niezadowolona, jak spóźnię się na obiad po tych wszystkich przygotowaniach... Szukałem cię w kościele, Katrien, ale powiedziano mi, że odjechałaś zaraz po mszy. Dlatego tu jestem.

Katrien ze zdziwieniem uniosła brwi.

— Miałeś do mnie jakąś sprawę?

— Nie, niespecjalnie do ciebie. Przesyłka adresowana jest do Ginny, ale każde z was może ją przyjąć. Nadeszła wczoraj, późnym popołudniem, długo po ostatniej dostawie. Ktoś wyczarterował samolot i poczta skorzystała, żeby dostać kilka rzeczy. Pomyślałem więc, że wezmę ją do kościoła dziś rano. Oczywiście, wbrew przepisom... — Odstawił swój poncz na stolik i zaczął szukać w jednej z wypchanych kieszeni. — O, jest, to paczka lotnicza, ekspresowa... pomyślałem, że chcielibyście dostać ją na święta.

Zaskoczona Ginny zerwała się na równe nogi.

— To naprawdę do mnie, panie Withoff? — Wyciągnęła rękę po płaską, niewielką przesyłkę.

Nieoczekiwanie wtrącił się John.

— Skąd przyszła? — Jego pytanie zabrzmiało jak rozkaz.

Withoff rozpromienił się.

— Z Anglii. Dlatego właśnie pomyślałem, że Ginny chciałaby otrzymać ją jeszcze dziś. To od twojej rodziny, John. Nie pamiętam, byś przez te lata dostał kiedyś paczkę z Anglii, pomyślałem więc, że to ważne. O, widzisz, tu jest nazwisko nadawcy — I. J. Tilsit. Tak, podpisz tu, Ginny. — Popatrzył wokoło szczęśliwym wzrokiem. — Dobrze, że dotarła na czas, prawda? Rodziny powinny myśleć o sobie w Boże Narodzenie... — Podźwignął się z wiklinowego fotela. — No cóż, spełniłem swój dobry uczynek z okazji świąt i dziękuję za drinka, Katrien. Muszę wracać do Marthy. Wyobrażam sobie, ile byłoby hałasu, gdybym się spóźnił — wnuki przyjechały z Curacao, mamy też gościa z St. Maarten. — Specjalny ukłon przeznaczył dla Alberta, który podał mu rękę na pożegnanie. — Panu życzę też szczęśliwego Nowego Roku. Czy to już w przyszłym roku przechodzi pan na emeryturę? Jeszcze nie? Co za szkoda! Nie wzbraniałbym się, gdyby tak mnie chcieli odesłać do domu. W przyszłym roku ma być wielka konwencja listonoszy w Genewie. Tyle teraz jest na świecie wspaniałości... na przykład automatyczne sortowanie. Słyszał pan, że w Ameryce są takie poczty, gdzie ludzie w ogóle nie dotykają przesyłek? Pomyśleć tylko! — Katrien odprowadzała go przez bawialnię do samochodu, zaparkowanego po drugiej stronie domu. Na taras wciąż jeszcze

dochodził jego głos. — Mówią, że to się nie sprawdzi, ale czy można wszystko przewidzieć?

W milczeniu czekali na powrót Katrien. Ginny ze strapioną miną trzymała paczuszkę w ręku — grube, proste litery na opakowaniu wydawały się krzyżeć w głębokiej ciszy. Spojrzała na nazwisko napisane w lewym rogu — I. J. Tilsit. Tak, to w stylu Isobel. Nie jakaś „Pani I. Tilsit”, ani „Isobel Tilsit”. Odwróciła pakiet i zobaczyła, że jej palce, nagle wilgotne od potu, zostawiły ślady na brązowym papierze. Wyczekująco popatrzyła w stronę wracającej właśnie matki; nie odważyła się spojrzeć w twarz ojcu.

— To miło ze strony Jana, że nam ją przyniósł, prawda? — powiedziała Katrien z wymuszonym zapałem. — No, myślę, że obiad jest gotowy. Możemy usiąść do stołu?

Na te słowa Jim i Albert podnieśli się szybko, wdzięczni, że rozładowała narastające napięcie. Głos Johna Tilsita zatrzymał ich w miejscu.

— Chwileczkę! A co z otwieraniem prezentów? Czyż nie robimy tego zawsze przed obiadem?

— Och, zostawmy to na razie — zaproponowała Katrien. — Obiad już jest gotowy, a równie dobrze możemy to zrobić później. — I próbując się uśmiechnąć, dodała: — Zresztą wiesz przecież, że dostaniesz ode mnie soczewki do teleskopu, o których tak marzyłeś. A więc nie będzie niespodzianki.

— Ale Ginny — nalegał. — Ginny musi otworzyć prezenty. Zobacz, Albert przyniósł coś dla niej. I Jim... Ginny zawsze otwierała prezenty przed obiadem. — Stał jak przykuty do fotela, obiema rękami ścisnął szklanekę, nerwowo zaciskał i prostował palce. Na chude policzki wystąpiły mu wypieki, ścięgną na szyi nabrzmiały.

— Proszę, John, chodźmy już.

— No, a w końcu — ciągnął ignorując ją — jest jeszcze przesyłka, którą Ginny dostała z Anglii. Cóż to może być? Zastanawiam się, kto mógłby to przysłać?

— Proszę cię, John, mamy gości...

— Do diabła z gośćmi! Otwieraj ją! Natychmiast!

Ginny rozpaczliwie popatrzyła na matkę; Katrien westchnęła i zrezygnowana pokiwała głową. Ginny, ociągając się, zaczęła walczyć ze sznurkiem i woskowymi pieczęciami. Wyraźnie opierały się jej palcom. W pełnej napięcia i oczekiwania ciszy Jim wziął z jej ręki paczkę, przeciął scyzorykiem sznurek i oddał z powrotem. Musiała oprzeć ją o stolik, tak drżały jej ręce. Rzuciła ostatecznie, desperackie spojrzenie na matkę i odwinęła papier. Wszyscy instynktownie przysunęli się bliżej, nawet Albert, który dotąd patrzył na morze udając, że nic się nie stało.

W rękach Ginny leżało wąskie, podłużne pudełko, pokryte błękitną imitacją skóry, na której wytłoczony był złoty napis:

TILSIT

We wnętrzu wyłożonym niebieskim aksamitem leżał nóż do sera. Masywna, biała porcelanowa rączka ozdobiona była złoto-niebieskim wzorkiem, którego piękno i siła były zaskakujące w pełnym świetle. Ginny powoli podniosła nożyk. Na wygiętym, rozwidlonym ostrzu odbił się promień słońca. Musiała osłonić nożyk ręką, by odczytać wyryte na nim słowa:

TILSIT ANGLIA

To John przemówił pierwszy.

— Widzę, że Isobel złapała bakcyła eksportowego. Pamiątka z Wielkiej Brytanii zapakowana w poręczne, małe pudełeczko. — Jego ton był kpiący, ironiczny, wręcz szyderczy. Dotknął pudełka. — Patrzcie tylko! Kawałek taniego reklamiarstwa. Tilsit! Zupełnie jakby to było Crown Derby albo Sevres. Tilsit! — Przy ostatnim słowie głos mu zadrżał; brzmiała w nim i uraza, i tęsknota. Wyciągnął rękę do Ginny. — Pokaż mi go!

Delikatnie powiódł palcami po rączce noża. Wpatrywał się w nią przez moment, a kiedy się odezwał, wszyscy wiedzieli, że jego słowa skierowane były tylko do córki.

— Widzisz to? Piękne, prawda? Nie ma w nim przesady, nie jest ani za bogaty, ani zbyt mdły. Ona musi mieć dobrego projektanta. To nowy wzór, nigdy przedtem go nie widziałem. Spójrz na ten kolor, jaki pełny i głęboki. Musieli to wypalać w piecu cztery albo i pięć razy, żeby uzyskać tę głębię błękitu. I oczywiście za każdym razem malować ręcznie. Jak dotąd nie ma maszyny, która mogłaby to zrobić. A złoto — też ręcznie nakładane. I polerowane najlepszym piaskiem po wypaleniu. W każdej linii widać dumę i mistrzostwo. To coś znaczy w dzisiejszym świecie produkcji masowej, prawda, Ginny?

Wreszcie zwrócił się do nich wszystkich: — Sądźcie pewnie, że nie kocham zbyt wiele mojej siostry. Rzeczywiście, miałbym ochotę cisnąć ten piękny nożyk w dół, żeby legł tam między skałami zapomniany na zawsze. Z czasem słone powietrze pokryłoby ostrze rdzą, przeżarło je i unicestwiło. Ale porcelana przetrwałaby. Była już w ogniu i nabrała tylko piękna i siły. Po oczyszczeniu jej kolory byłyby wciąż takie same, bogate i prawdziwe. Żeby ją zniszczyć, byłby tylko jeden sposób: zetrzeć ją na proch.

Spokojnie odłożył nóż na stolik obok pudełka. Kościste ramiona opadły mu w geście bezsilności.

— A kimże ja jestem, bym miał prawo ją zniszczyć? Tylu innych ludzi, poza Isobel, pracowało przy tworzeniu tego prostego, a tak skomplikowanego arcydziełka.

Mówiąc to, automatycznie zaczął wygładzać papier opakowania, ponieważ miał zamiłowanie do porządku. Wtedy jego palce natrafiły na list, wsunięty między serwetki, w które owinięte było pudełko, a którego Ginny w pierwszych nerwowych momentach nie zauważyła. Na białym papierze widniało mocne, proste pismo Isobel. Przez chwilę zatrzymał elegancką, kosztowną kopertę, po czym wręczył ją Ginny.

— To do ciebie.

Zwilżyła językiem wyschnięte wargi, patrząc na ojca niepewnie.

— Przeczytam go później.

— Nie, zrób to teraz. Będzie krótki. Isobel zawsze przechodzi od razu do sedna. — Tym razem to nie był rozkaz, jak wtedy, gdy kazał otworzyć paczkę. W jego słowach zabrzmiała zrezygnowana akceptacja tej sytuacji. Wahala się tylko moment, zanim rozdarła kopertę palcem. Tak jak przewidział John, list był krótki. Mieścił się na jednej stronie pojedynczej kartki papieru. Patrzyli, jak Ginny przebiega go wzrokiem.

— Przeczytaj głośno — poprosił John.

Tym razem nie protestowała, byłoby to zresztą daremne.

Droga Virginio,

ludzie przesadni uważają, że darując komuś nóż, należy dołączyć do niego monetę, tak by obdarowany mógł zapłacić za prezent i nie dopuścić do przecięcia istniejących więzów. Ja nie dołączam wymaganej monety. Nie tylko dlatego, że nie jestem przesadna, ale w przekonaniu, że w naszym przypadku o żadnych więzach nie może być mowy.

Załączam natomiast mały fragment tego, czym jest Tilsit. I zapraszam ciebie, byś przyjechała i odkryła całą resztę.

Isobel Tilsit

— No tak! — Bolesny uśmiech wykrzywił usta Johna. Ramiona opadły mu bezwiednie. — Więc musisz tam pojechać, Ginny. Isobel chce, żebyś przyjechała do Tilsit. Zaprasza cię, nie, raczej rozkazuje. U niej zaproszenie jest zawsze rozkazem. Ona tego chce, więc musisz jechać. Tak zdecydowała.

— Nikt nic nie zdecydował. — Katrien spokojnie dotknęła jego ramienia. — Przypominam ci, John, że Albert i Jim czekają. Obiad stygnie. Chodźmy do stołu i zapomnijmy o tym wszystkim. Chodź, Ginny. Zostaw to. Będzie na to czas później.

Prawie jej się udało. Jej spokojny, pełen rozważli głos uspokoił doprowadzonego niemal do szaleństwa męża. Albert odwrócił się szybko, by za nią pójść, z ulgą wydobywając się z koszmaru rodzinnych niesnasek. Podobnie zareagował Jim, kierując Ginny do jadalni przed sobą. Wydawało się, że John pójdzie razem ze wszystkimi. Prowadząca towarzystwo Katrien zatrzymała się w drzwiach, spoglądając na męża.

— Zostaw to, proszę, i chodź.

Wzruszył ramionami.

— Musisz mi wybaczyć, Katrien. Przepraszam was wszystkich, ale naprawdę nie sędzę, bym mógł teraz coś przełknąć. Chyba przez ten upał. Zawsze uważałem, że to nie jest dobry pomysł z tymi uroczystymi obiadami w tropikach, tylko dlatego, że jest Boże Narodzenie. Posiedzę tu trochę, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie gniewaj się, Katrien.

— Zostanę z tobą, tato. — Choć matka zmarszczyła brwi i pokręciła

głową, Ginny nie zwróciła na to uwagi. — Przyniosę sobie obiad na galerię. Zjem go tutaj, razem z tobą. Wrócę za chwilę...

Jego twarz złagodniała, straciła nagle wyraz pustki i rezygnacji. Zaprotestował jednak: — To miło z twojej strony, kochanie, ale nie chciałbym odrywać cię od Alberta i Jima. Idź i baw się dobrze. A ja pójdę przejść się po plaży. Dołączę do was później.

— Ojczyce...!

— Idź, Ginny, bądź grzeczną dziewczynką.

Kiedy ruszył w kierunku schodów, zobaczyła, jak nagle zmieniła się jego postawa. Do tej pory chodził ostrożnie, jak chory; teraz posuwał się krokiem starego człowieka. Ginny chciała go zatrzymać, lecz Katrien gestem uspokoiła ją.

— Niech się trochę przespaceruje. A my chodźmy do stołu — zaprosiła pozostałych.

Przez pierwsze dziesięć minut wszyscy zachowywali pozory normalności. Podano jedzenie, Jim otworzył przyniesioną przez siebie butelkę szampana. Nalewał go z przesadnym ceremoniałem, jakby chciał tym zatuszować nieobecność Johna. Katrien szybko usunęła dodatkowe nakrycie i wskazała Albertowi główne miejsce przy stole; zajął je bez słowa protestu. Nieśmiało wygłosił nawet po holendersku toast z okazji zbliżającego się Nowego Roku, a Katrien zrewanżowała się tym samym. Ginny ogólnikowo przetłumaczyła ich słowa Jimowi. — Życzą nam spokoju, powodzenia i spełnienia marzeń. — Podniosła lampkę musującego wina do ust. — Aha, i szczęścia. — To życzenie kończyło toast.

Gdy odstawiali kieliszki, doszedł ich od strony zatoki odgłos uruchamiania silnika łodzi.

— Boże! — krzyknęła Ginny. — Wziął łódź! On jest szalony! Miał za dużo wrażeń jak na jeden dzień, to go zabije!

Jim wstał z krzesła.

— Pani Tilsit, czy mam go dogonić? „Oranje Lady” robi to w parę minut. Ginny chyba ma rację...

Albert cmoknął na znak dezaprobaty.

— Nie powinien płynąć sam. — Też zaczął się podnosić, jakby miał zamiar towarzyszyć Jimowi.

— Siadajcie! — Głos Katrien zabrzmiał jak rozkaz. — Nic nie zrobicie. Zostawcie go w spokoju.

— Ależ mamo, to jest okrutne... nie masz racji — zaprotestowała Ginny. — Nie rozumiem, jak możesz mu pozwolić...

Rysy twarzy Katrien napięły się; wyglądała teraz na swój wiek. Zastukała o stół, prosząc o ciszę.

— Chciałabym, abyśmy wszyscy zrozumieli jedno. Mój mąż nie jest dzieckiem, któremu można wydawać polecenia. Jest mężczyzną. Nie mam zamiaru posyłać kogoś za nim, żeby sprowadził go z powrotem. Tak, wiem, jest zawzięty i uparty. Ale taki był zawsze. Krzywdzi sam siebie i nie chodzi

tylko o jego serce, a o coś znacznie więcej. Ale jak moglibyście zawracać go siłą, nie licząc się z tym co przeżywa? — Machnęła ręką, jakby odganiając od siebie tę myśl. — Nie powinniście odbierać mu godności. Wtedy nic by mu już nie zostało. Dajmy mu spokój. Musimy mieć tylko nadzieję, że nic mu się nie stanie. A teraz jedzcie, proszę, zanim wszystko wystygnie.

Posłuchali jej w ciszy.

— Mam nadzieję, że ma dość benzyny — powiedziała Katrien. I to były ostatnie słowa tego dnia na temat Johna.

3

Kiedy Ginny obudziła się następnego ranka po Bożym Narodzeniu, właśnie zaczynało świtać. Nie chciało jej się wstawać, więc zastanawiała się w półśnie, dlaczego tak długo nie mogła usnąć poprzedniego wieczora. Wreszcie przebudziła się na dobre, niepokój i lęk o ojca powróciły z nową siłą. Całe popołudnie i wieczór na próżno czekali na jego powrót. Mimo to Katrien nie pozwoliła Jimowi wypłynąć na poszukiwania. Obawy Ginny doprowadziły nawet do kłótni z matką — oskarżyła ją o nieczułość i została skarcona chłodnymi słowami:

— Jestem z nim dużo dłużej niż ty, Ginny. Ty dopiero teraz zaczęłaś zauważać ojca, ponieważ dopiero teraz stałaś się kobietą. Postępował tak przez całe lata — odkąd się pobraliśmy, a nawet jeszcze wcześniej. Nigdy się do tego nie wtrącałam. I nie będę. A teraz idź spać, a ja poczekam na niego.

— Ja też poczekam.

— Nie, to nie twoja rola. Dobranoc, Ginny.

Odeszła niechętnie, w ponurym nastroju, po raz pierwszy w życiu widząc w matce rywalkę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z siły Katrien, za którą John tak ją cenił i podziwiał. Uzmysłowała sobie, że ojciec jest w stanie zaakceptować wyłącznie prawo żony do oczekiwania na jego powrót. Nie mogąc zasnąć rozmyślała nad tym i nasłuchiwała dźwięku motorówki w zatoce. Musiało być dobrze po północy, zanim zapadła w pierwszy, niespokojny sen.

Odrzuciła prześcieradło i jednym szybkim ruchem narzuciła na siebie bawełnianą sukienkę. Boso pobiegła na werandę, czując pod stopami chłód terakoty.

Zastała ojca w fotelu. Na stoliku obok stała taca z pustymi filiżankami i dzbankiem. Nogi miał wyciągnięte przed siebie, ręce oparte na poręczach, głowę odrzuconą do tyłu, a oczy zamknięte. Przez chwilę, widząc ciemne zakłębienia na opalonej twarzy i sine zabarwienie jego wąskich warg, poczuła nagły paroksyzm strachu. Zaparło jej dech, jakby ktoś z całej siły ścisnął jej płuca. Podeszła bliżej na paluszkach i wtedy dopiero dostrzegła lekki ruch klatki piersiowej i usłyszała jego oddech. Jakby wyczuwając jej obecność, otworzył oczy.

— Ginny...

- Jesteś w domu! Tak się martwiłam...
- Uśmiechnął się blade, z lekkim rozbawieniem.
- Nie trzeba było. Zawsze wracam do domu.
- Tak, ale nie powinieneś w ten sposób znikać, i to sam.
- Pokręcił głową.
- Nie miałyby to sensu, gdybym nie był sam. Musiałem przemyśleć różne sprawy. Zawsze się później lepiej czuję, a twoja matka ma dużo zdrowego rozsądku. Dlatego pozwala mi na te wypadki.
- Przysunęła się do niego.
- Wyglądasz na zmęczonego. Powinieneś trochę poleżeć.
- To prawda, jestem zmęczony — przytaknął. — I zaraz się położę. Przed chwilą odesłałem matkę do łóżka i powiedziałem, że też przyjdę, jak tylko rozprostuję nieco kości.
- Nic nie jadłeś od wczorajszego ranka. Może przynieść ci coś do zjedzenia?
- Nie, nie... Nie jestem głodny. Katrien dała mi herbaty. Zjem, jak się prześpię. — Nieoczekiwanie wskazał na krzesło stojące naprzeciwko. — Usiądź, chciałem z tobą porozmawiać.
- Zrobiła, o co prosił. Było coraz widniej; wkrótce po drugiej stronie wyspy słońce dotknie horyzontu i zobaczą, jak wyłania się nad szczytem Kronbergu. Poczucie więzi Ginny z ojcem brało się w dużym stopniu ze wspólnego przeżywania tej właśnie pory dnia. Był to czas przemijania — ulotne minuty, kiedy noc odchodziła, a dzień jeszcze w pełni nie nastał. Poczua się znów jak mała dziewczynka, pełna ufności, przekonana, że nie ma problemu, którego ojciec nie potrafiłby rozwiązać. O tej porze wszystko było możliwe, nawet jeśli niektóre sprawy wydawały się beznadziejne.
- No i co o tym myślisz? — zapytał.
- O czym? — W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi.
- Pojedziesz? Pojedziesz do Tilsit?
- Do Tilsit? — Zmarszczyła brew. — A po co? — Od czasu, gdy przeczytała list, nie myślała o nim wcale. Troska o ojca pochłonęła ją bez reszty. Zresztą nawet gdy czytała list po raz pierwszy, wydał jej się nierealny. Nie zastanawiała się nad jego treścią. Rzeczywisty był tylko ten śliczny nożyk, a także nieskrywany zachwyt ojca nad jego pięknem. Isobel, która go przysłała, nic dla Ginny nie znaczyła. Była jak zjawy z koszmaru, która jeden jedyny raz pokazała się w Santa Maria, po czym zniknęła. Jedyny ślad, jaki po sobie pozostawiła, to niezrozumiałe lęki ojca przed każdą rozmową na jej temat.
- Zostałaś zaproszona, pamiętasz? Tak właśnie napisała: „Zapraszam cię”. Pojedziesz?
- Zaprzeczyła.
- Nie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, by tam jechać. Zresztą po co? Nie lubię jej, a ona nie lubi ciebie.
- Nie wiesz, co możesz stracić. To, co wydarzyło się tak dawno między

mną a Isobel, nie ma z tobą nic wspólnego. Bardzo się pokłóciliśmy... nie, to było coś znacznie gorszego niż kłótnia. Ale to sprawa wyłącznie między nami. Jeżeli tylko chcesz, możesz jechać.

Spojrzała w bok. Słońce dotknęło już szczytu Kronbergu. Wkrótce podniesie się jeszcze wyżej i jego promienie zaczną spływać z boczem na niziny. Nadszedł prawdziwy początek dnia, a wraz z nim czas realizmu. Pierzchnęła iluzją, że jest dzieckiem, a jej ojciec posiadał wszelkie mądrości świata. Znowu odwróciła się do niego; wszystko mogła odczytać z jego twarzy. Słowa ojca były tylko żalną i dzielną zarazem próbą przekonania jej, że jego obawy i niechęć wobec siostry nie powinny Ginny obchodzić. Mógł jej tłumaczyć, że nie musi zwracać uwagi na jego uczucia i powody wyjazdu z Anglii, byłoby jednak naiwnością sądzić, że w ten sposób uwolni ją od swojej przeszłości. Kochała go przecież — wciąż go kocha. I dobrze wie, że ojciec też ją kocha — miłością władczą i krzywdzącą, taką, która nie zakłada równości partnerów, a wymaga bezwzględnej lojalności i posłuszeństwa. Teraz próbował uwolnić ją od tych więzów, lecz nie pojmował, że to już niemożliwe. Podjęła decyzję w pierwszych minutach rozmowy z Isobel Tilsit, nie zmieniła jej później i nie zmieni teraz. Ojciec byłby naiwny, sądząc, że Ginny uwierzy w zgodę na jej wyjazd do Anglii. Po raz pierwszy poczuła wyższość nad ojcem.

— To nie ma znaczenia. Nie chcę jechać... nie do niej.

Opuścił głowę w niezwykłym u Johna Tilsita geście pokory.

— Jeśli tak zdecydowałaś...

Skrzyżowała ręce na piersiach.

— Tak właśnie postanowiłam. Muszę jednak zrobić coś innego.

Gwałtownie podniósł głowę.

— Co takiego?

— Chcę stąd wyjechać.

— Wyjechać? — Osłupiał. — Dlaczego? Dokąd?

— Zrozum, ojczec. — Błagalnie wyciągnęła ku niemu rękę. — Urodziłam się tutaj, mieszkam tu przez całe życie i jeśli tego nie zmienię, umrę nie mając pojęcia, jak można inaczej żyć. Nie! pozwól mi skończyć. Matka to co innego. Została tutaj, bo chciała, i miała do tego prawo. Ale teraz czasy są inne i ja też jestem inna. Muszę się czegoś nauczyć. Rozumiesz? Dużo więcej niż można nauczyć się na St. Charles.

— Nauczyć się? Co masz na myśli? Chcesz studiować?

— Może... ale nie tego rodzaju naukę mam na myśli. Chcę po prostu poznać coś więcej, nie tylko ten nasz mały światek.

— Tak, rozumiem — zaczął powoli. — Chyba jestem staroświecki. Gdybyś była chłopcem, wiedziałbym dlaczego chcesz stąd wyjechać. Uważałbym, oczywiście, że powinnaś się uczyć. Ale w przypadku dziewcząt nie wydaje się to takie ważne. Wygląda na to, że nie nadążam za postępującymi zmianami. Gdzie chciałabyś wyjechać, do Miami? Myślę, że to można załatwić. Wolałbym oczywiście coś lepszego, na północy. Vassar albo

Smith. — Westchnął. — Ale te szkoły są poza naszymi możliwościami. Po prostu nie stać nas na to. A poza tym, myślę, że trudno byłoby ci się tam dostać. Łatwiej byłoby, rzecz jasna, gdybyśmy byli w stanie zapłacić.

— Nie myślałam o tych miejscach, tato. One nie różnią się zbytnio od Santa Maria.

— Przecież nie wszystkie uczelnie na Florydzie przypominają Santa Maria. Mówiono mi, że niektóre zrobiły się bardzo... postępowe. Z tego, co słyszałem o Fort Lauderdale w Easter, to prawdziwe szaleństwo. — Uniósł brwi w nagłej konsternacji. — Chyba tam właśnie się nie wybierasz?

Zawahała się przez moment.

— Nie myślałam w ogóle o Florydzie. Chciałabym pojechać do Nowego Jorku.

— Do Nowego Jorku! Boże, dlaczego? Dlaczego akurat do Nowego Jorku?

— Ponieważ... ponieważ tam jest dosłownie wszystko. Jeśli czegoś pragniesz, to w Nowym Jorku dostaniesz to w poczwórnej dawce. Potrzebuję tak wiele, tato, i to szybko. Nie wiem, gdzie indziej mogłabym to wszystko zdobyć. Spójrz na mnie. Jestem taką ignorantką — nie jestem głupia, ale tak mało wiem. Nigdy nie widziałam wielkiego malarstwa, nie byłam na koncercie ani w teatrze. Susie Marshall ma nazwę na takich jak ja. Nazywa ich ćwokami — pewnie i mnie za takiego uważa. A ja po prostu wiem, że jestem jednym z nich. A Jim mówi...

— Aaa, Jim... Czyż to nie z jego powodu to wielkie pragnienie, żeby poznać świat? To wcale nie dlatego, że Susie Marshall uważa, że jesteś... jak... ćwokiem? Boisz się, żeby Jim tak nie pomyślał. Nie mam racji?

— Możliwe.

Pochylił się do przodu w fotelu i położył rękę na jej kolanie.

— Ginny... Dlaczego nie wyjdiesz za Jima, Ginny?

Niemal podskoczyła od jego dotknięcia. Wpatrywała się w ojca, na usta cisnęły się słowa, których nie była w stanie wypowiedzieć.

— Jima? — zapytała zduszonym głosem. — Wyjść za Jima? — Nagle wybuchła śmiechem, gwałtownym i pozbawionym radości. John cofnął się jak pod wpływem ciosu.

— Wyjść za Jima? Mój Boże, gdybym tylko mogła! Gdyby ta cudowna rzecz mogła się spełnić. Ale to niemożliwe!

— Dlaczego? — zapytał. — Dlaczego niemożliwe? Ginny, jesteś taką piękną dziewczyną.

— To nie wystarczy! To za mało. Marzyłam o tym przez całe miesiące, ale wczoraj nagle zrozumiałam, że nic z tego nie będzie. Jim był już żonaty... On jest mężczyzną, a nie chłopaczkiem, gotowym poślubić pierwszą dziewczynę, która mu się trafi. Gdybyś wiedział choć trochę o jego żonie, zrozumiałabyś. W porównaniu z nią jestem małą gąską, jestem zerem. Dlatego właśnie muszę stąd wyjechać. — Jej głos stał się piskliwy, bliski hysterii.

— I myślisz, że pobyt w Nowym Jorku nauczy cię być taką jak ona? Nie masz racji. Możesz być tylko sobą.

— Och! — Machnęła ręką ze złością. — Tyle to i ja wiem. Powiedziałam, że nie jestem głupia. Nie mogę jednak pętać się tutaj, licząc, że się ze mną ożeni albo weźmie mnie do łóżka — tak, do łóżka — ponieważ zaczął się nudzić, albo ja go sprowokowałam. Ty masz swoją dumę, a ja swoją. To oznacza dwoje twardogłowych w rodzinie. Moja duma mówi, żeby wyjechać. Kocham Jima, lecz on mnie nawet nie zauważa. Nie wiem, co zrobić, żeby zaczął mnie dostrzegać, ale może w ten sposób... na początek... A może na świecie istnieją także i inni Jimowie? Skąd mam o tym wiedzieć, jeśli nie wyjadę i nie przekonam się? Tak naprawdę, to wcale nie chcę jechać, ale muszę.

— A jeżeli nie wrócisz? — Wyciągnął rękę w jej stronę, jakby chciał ją zatrzymać.

— Musimy podjąć to ryzyko, prawda, tatko? To jest tak jak z tobą, gdy wpływasz łodzią w morze. Wszystko, co możemy zrobić, to czekać i mieć nadzieję, że znowu do nas wrócisz.

4

Odkąd powiedziała ojcu o swoich zamiarach, Ginny znalazła się w wirze przygotowań do drogi. Po raz pierwszy głośno przyznała się do tego, że kocha Jima. Teraz nie miała już odwrotu. Na wyjazd zdecydowała się nie dlatego, że tego chciała, lecz dlatego, że tak podpowiadał jej instynkt. Po miesiącu od podjęcia decyzji nadszedł czas wyjazdu. Była niedziela, ostatni dzień jej pobytu na St. Nicolaas. W akcie desperacji zapukała raz jeszcze do drzwi Jima.

W pawilonach panował spokój i popołudniowy bezruch; słoneczny żar rozpalał piasek na plaży. Lekki wietrzyk od morza poruszał liście palm; nic nie mąciło panującej ciszy. Na pukanie nikt nie odpowiadał — wyglądało na to, że w domu nie ma nikogo. Ginny poczuła strach, że czekała zbyt długo na ostatnie spotkanie z Jimem. Bo wciąż próbował dostać się do środka. Ponieważ żaluzje były przymknięte i nie mogła zajrzeć do wnętrza, nacisnęła klamkę i powoli otworzyła drzwi.

W momencie gdy promień słońca padł na podłogę i łóżko, Jim obudził się. Zmrużył oczy, usiłując zobaczyć co się dzieje; pies rzucił się do przodu i wcisnął nos w poduszkę.

— A... wejdz. — Uśmiechnął się i ziewnął. — Uciałem sobie drzemkę — dodał niepotrzebnie.

— Przepraszam, że cię obudziłam. Nie powinnam, masz tylko niedzielę...

Uniósł się na łokciu. — Nic się nie stało. Czas na pobudkę. Która właściwie jest godzina?

— Po trzeciej. Zastanawiałam się... czy nie zechciałbyś popłynąć ze mną na Wyspę Lindemann? Wzięłam herbatę... nie byłeś nigdy na tej wyspie, prawda? Ma chyba najpiękniejszą plażę na całych Antylach.

Usiadł.

— Słyszałem o niej legendy. Nieraz obiecywałem sobie, że któregoś dnia popłynę tam i rozejrzę się. Może to jest właśnie miejsce na następny hotel? — Podrapał się w głowę i wyszczerzył zęby. — Wyobrazasz sobie? Nie zamieszkana wyspa — kryjówką milionerów! Niezła przynęta dla turystów, prawda? — Wstał, przeciągnął się i znów ziewnął. Był rozczochrany i ciepły od snu; Ginny miała chęć podejść bliżej i wygładzić ślady poduszki na jego policzku. Zmusiła się, by pozostać tam, gdzie stała.

— Jeśli takie myśli chodzą ci po głowie, nie zabiorę cię na Lindemann. To jest najpiękniejsze miejsce na świecie i nie chcę, żebyś je zespeciał.

Przedrzeźnił jej minę. — Jak może człowiek robić szmal, kiedy na świecie są tacy ludzie jak ty? — Wskazał głową łazienkę. — Za chwilę wracam. Z drogi, Bo!

Ginny czekała, a Jim krzątał się dokoła. Spodenki kąpielowe wiał z parapetu, gdzie położył je rano; sięgnął po świeżą paczkę papierosów. Przez chwilę szukał kluczyków do „Oranje Lady”. Kiedy już wyszli, zorientował się, że zapomniał okularów słonecznych, więc musiał po nie wrócić. Na brzegu morza zatrzymał się, żeby rzucić Bo kawałek drewna i pobawić się z nim przez chwilę. To był cały Jim w swym niedzielnym usposobieniu — rozluźniony, beztroski, świadomie niepraktyczny i zapominalski. Ginny zaciskała pięści, by opanować zniecierpliwienie. On nie wiedział, że to jej ostami dzień na St. Nicolaas, nie wiedział, jak cenne są dla niej mijające sekundy.

Wreszcie ruszyli — razem z Bo w kokpicie, z przywiązaną do jachtu dinghy, ponieważ na Lindemann nie było żadnego pomostu. Skierowali się na północny wschód, przecinając łańcuch brytyjskich i amerykańskich wysp, rozciągający się w cieśninie jak sznur koralików na wspaniałym, spokojnym, zalanym słońcem morzu. Jim nie pozwolił „Oranje Lady” nabrać pełnej szybkości i utrzymywał spokojne tempo, pasujące do nastroju popołudnia. Pod daszkiem czapeczki Ginny widziała jego oczy — lekko przymrużone i wyraźnie zadowolone. Jednym palcem utrzymywał jacht na kursie. Płynęli środkiem cieśniny, jakby długim, wspaniałym korytarzem, z girlandami garbatych wysepek po obu stronach.

— To następna, ta po lewej. To jest Lindemann. Najlepsza plaża jest prosto przed nami. Widzisz tę wcięta zatoczkę na wprost? Tędy najlepiej się przedostać — nie ma tu skał.

— Czyja to wyspa? Brytyjska czy amerykańska?

— Nie wiadomo. Na niektórych mapach linia graniczna biegnie po jednej stronie wyspy, na innych — po drugiej. Była zbyt mało ważna, aby to rozstrzygnąć. Będzie tak, dopóki ktoś nie zechce się tu osiedlić.

— Dziwne, plaże są tak piękne, a nie ma tu żadnych osad...

Uśmiechnęła się zadowolona, że i ona wreszcie może mu o czymś opowiedzieć.

— Hiszpanie, Holendrzy czy Francuzi nie przybywali na Karaiby dla pięknych plaż. Na Lindemann nie ma słodkiej wody. Nie nadaje się pod uprawę trzciny.

Pokiwał głową i ustawił „Oranje Lady” na wprost jednego z cypli strzegących długiej, prawie prostokątnej zatoczki. Z dala, jak wypolerowana sztabka bladego metalu, lśniła rozpalona słońcem plaża. Okalały ją palmy wabiące swym cieniem. Jim aż gwizdnął z wrażenia.

— Dlaczego nie widziałem tego do tej pory?

— Prawie nikt tutaj nie przy pływa — odparła Ginny. — Ile razy byliśmy tu z tatą, zawsze było tak samo. Nie, raz widzieliśmy zacumowaną motorówkę. To nie jest najlepsze miejsce, by zostawić jachty na noc. Chociaż zatoka jest osłonięta i nie ma tu przybrzeżnych fal, mówią, że zdarzają się potężne przypływy. Widzisz te cyple? Ich linia brzegowa jest prawie prosta, nie można ich okrążyć i skryć się za nimi. Cieszę się, że tak właśnie jest. Wszystko jest takie nietknięte, takie doskonałe. Wydaje się, jakby to miejsce nie istniało aż do momentu, gdy je zobaczysz.

Wyłączył silnik i pozwolił dryfować łodzi jeszcze przez chwilę. Panowała idealna cisza. Patrząc w dół przez przezroczystą zieloną wodę widział piaszczyste dno dwadzieścia stóp niżej. Ryby, śmigające pod dnem łodzi, błyskały srebrzystym światłem łusek. Kiedy rzucił kotwicę, jej plusk odbił się echem od cypli i wzgórz wznoszących się gdzieś za plażą. I zaraz znowu zrobiło się idealnie cicho w tym samotnym i doskonałym zakątku.

Pływali w czystej, spokojnej wodzie, nagrzanej słońcem jak w basenie. Unosili się na powierzchni na plecach, wystawiając twarze ku oslepiającemu blaskiem niebu. Jim czuł się wspaniale; nie było niczego trwałego, czego mógłby dotknąć lub poczuć, nie było niczego, co nadawałoby się do wymierzenia — nic, tylko linia horyzontu, pasemko białej plaży i ściskający serce błękit w górze. W pewnej chwili dał nurka pod wodę, płosząc ławicę drobnych ryb. Na dole było chłodniej, głębia miała kolor ciemnozielony, a ryby rzucały cienie na piaszczyste dno. Poczul, jak brak powietrza zaczyna mu ścisnąć płuca i skierował się ku powierzchni. Nad sobą zobaczył sylwetkę Ginny, zwinną, z jasnymi włosami wokół głowy jak aureola, nurkującą w jego stronę. Odbiła się błyskawicznie od dna tuż obok; nagle bez namysłu wyciągnął do niej ręce i przyciągnął ją do siebie. Czul jej jędrne, młode piersi, gdy wynurzali się razem na powierzchnię. Tuż nad wodą poszukał jej ust i znalazł to, czego brakowało mu tego leniwego, łagodnego popołudnia. Usta Ginny były zachłanne i głodne.

— Jim...

Znów się zanurzyli, a słowa uleciały, gdy próbowała wciągnąć powietrze, którego tu nie było. Ich ciała, ręce i nogi rozłączyły się, płynęli na powierzchnię oddzielnie, zachłystując się wodą.

Odwrócił się do Ginny, przyciągając ją do siebie. Tym razem pocałunek był długi, bardziej czuły.

— Uraziłem cię? Nie chciałem tego.

Jej reakcja była gwałtowna.

— Uważasz, że życzę sobie, żebyś był wobec mnie uprzejmy?

Wyrwała się gwałtownie i popłynęła do brzegu szybko i mocno wyrzucając ramiona. Wolno podążył za nią. Kiedy zbliżył się do niej, ze złością wycierała ręcznikiem włosy.

Opadł na ręcznik rozciągnięty na piasku. Stała teraz nad nim w charakterystycznym dla pływaków rozkroku, jej sylwetka rysowała się na tle nieba. Nie mógł odczytać wyrazu jej twarzy, na wprost osłoniętej ręcznikiem.

— Co takiego zrobiłem? Czy to źle, że cię pocałowałem? Ładne dziewczyny są często całowane, Ginny.

Dobiegł go jej przytłumiony głos. — Ale dlaczego akurat teraz? Gdyby to zdarzyło się wcześniej...

Nagłym ruchem odrzuciła ręcznik — jej twarz była taka młoda i niepewna.

— Wcześniej? A jaka to różnica?

— Duża. Jutro wyjeżdżam do Nowego Jorku.

— Co jutro robisz?

— Powiedziałam. Słyszałeś. Wyjeżdżam do Nowego Jorku.

— Ale dlaczego? Nie, nie odwracaj się. — Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. — Usiądziesz teraz tutaj i powiesz mi, dlaczego jedziesz i po co ta cała tajemnica. Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś?

— Nie chciałam. Nie mówiłam nikomu. Miałam powiedzieć to wszystkim dziś po południu... ale nie w ten sposób.

— Dlaczego nikomu nie powiedziałaś? Nie rozumiem...

— Po prostu się bałam. — Popatrzyła na niego gniewnie. — Nie widzisz, że drętwieję ze strachu? Nie mogłabym po prostu wysłuchiwać tych wszystkich mądrych rad — że będę w Nowym Jorku nieszczyśliwa, że nie powinnam tam jechać. Pewnie w rezultacie zrezygnowałabym. Jestem za bardzo przestraszona, żeby o tym mówić tak lekko.

— Po co w takim razie jedziesz?

— Bo muszę! Sam powiedziałaś...

Pokiwał głową.

— A ty wybrałaś najtrudniejsze miejsce, najbardziej kuszące, ruchliwe i pozbawione skrupułów miasto.

— Nie! Nie mów tak! Będzie mi jeszcze trudniej...

— Ale możesz też bardzo wiele zyskać, jeśli będziesz odpowiednio przygotowana. Jeżeli będziesz wiedziała, po co jedziesz. Na jak długo się wybierasz?

— Jeszcze nie wiem. Ile wytrzymam. Zapisalam się na kursy na Uniwersytecie Nowojorskim. Może znajdę jakieś zajęcie na parę godzin dziennie. Nie mam zbyt dużo pieniędzy... I tak tata mocno się nagłowił, żeby je zebrać. Głupio mi z tego powodu, zwłaszcza że zbliżają się żniwa i będzie potrzebował każdego pensa. Ale muszę jechać i on o tym wie. Nawet nie protestował zbyt mocno. Mówił to, co i ty, tyle że ze smutkiem, jakby spodziewał się, że już mnie więcej nie zobaczy. On rozumie, że muszę stąd wyjechać...

— Z powodu listu od ciotki? Boi się, że jeśli tego nie zrobisz, sięgniesz po coś innego?

Spuściła wzrok, zagłębiła palce w piasek, nie odpowiadając od razu i pozwalając, by ziarenka przesywały się wolnym strumykiem.

— Tak, dlatego. Wybiera mniejsze zło. Nie pojechałabym do niej, ale ojciec nie bardzo w to wierzy. Tak więc daje mi coś w zamian. Nie bardzo widzi sens w tym co chcę zrobić, ale uważa, że to lepsze niż Tilsit.

— A ty, czy widzisz w tym sens? Czy wiesz tak naprawdę, dlaczego to robisz?

— Między innymi dlatego właśnie się boję — odparła z wahaniem. — Ponieważ nie bardzo wiem, czego mam oczekiwać... Wiem, że nikt nie otworzy przede mną miasta, jakby to była książka. Chciałabym znaleźć pracę, powiedziano mi, że z moją wizą mogłabym pracować dla jakiejś zagranicznej agencji. Rozmawiałam z Albertem. On, oczywiście, nie rozumie dlaczego wyjeżdżam, ale dał mi list polecający do holenderskiego konsulatu. Uważa, że może będą potrzebować kogoś do pisania na maszynie. Mogę też pisać po hiszpańsku, a nawet mówić, jeśli zajdzie potrzeba. Susie Marshall napisała do przyjaciółki — na początek będę mogła zamieszkać u niej za darmo. Widzisz, zrobiłam już pierwsze plany, chociaż przypuszczam, że to nie jest to, o co mi chodzi. Mama udaje, że mnie rozumie... I chyba rzeczywiście tak jest, w każdym razie rozumie mnie bardziej niż ojciec. — Zerknęła na Jima. — On wygląda na bardzo poruszonego tym wszystkim. Jakbym go zdradziła, czy coś w tym sensie. Nic nie mówi, ale ja to widzę. Cały czas myśli o propozycji Isobel i uważa, że mój pomysł jest w istocie kontrpropozycją. Oczywiście, wcale tak nie jest. Wyjechałabym, bez względu na to, czy Isobel napisałaby do mnie, czy nie. Gdybym tylko mogła mu to lepiej wytłumaczyć... Gdybym sama wiedziała, Jim, w jakim celu to robię.

— Żeby dowiedzieć się, jak stać się kobietą — powiedział cicho, prawie szeptem.

— Co?

— O to ci właśnie chodzi, prawda? Jeżeli dziewczyna w twoim wieku zbiera się nagle do wyjazdu, to tylko po to. Oczywiście większość tego nie robi, bo żeby się na to zdecydować, trzeba mieć charakter.

— Myślisz, że ja mam charakter? — zapytała bez namysłu.

— Tak, masz. A teraz pocałuję cię jak należy i nie odsuwaj się ode mnie jak niemądry dzieciak. Kiedy wyjedziesz, będą cię całować wiele razy, a kto nauczy cię tego lepiej niż stary Jim?

Wsunęła się w jego ramiona z radością.

— Chciałabym, żebyś to był tylko ty — szepnęła. — Wcale nie chcę wyjeżdżać... — Dalsze słowa zduśił pocałunkiem.

Leżąc na ręczniku, przyciągnął ją do siebie. Usta Ginny były miękkie i delikatne. Czuł jej piersi pod cienkim kostiumem kąpielowym. Pragnienie, które zbudziło się w nim w wodzie na widok jej ciała, teraz przerodziło się w nieokiełznaną namiętność. Zsunął ramiączko kostiumu i pieścił jej piersi, zachwycony ich pięknością.

— **Jesteś** prześliczna, Ginny. Tyłu mężczyzn będzie chciało się z tobą kochać.

— A ty, **Jim**? Czy ty naprawdę chcesz się ze mną kochać?

— Oczywiście, że chcę. — Ścisnął mocniej jej pierś, jego usta muskały szyję dziewczyny, przesunęły się niżej. Poczul jej przyspieszony oddech, dłoń zaciśniętą na swoich plecach i drżenie ciała.

— Nie chcę wyjeżdżać, **Jim**. Gdybyś tylko powiedział... Nie wyjeżdżałabym. Zostałabym z tobą. Gdybyś się ze mną kochał... Tak bym chciała... tylko z tobą...

Jej słowa dotarły do niego poprzez kolejny przypływ namiętności. Z wielkim trudem zmusił się do wypuszczenia jej z objęć, do rezygnacji z tego delikatnego, pięknego ciała. Odsunął się, a Ginny wydała cichy okrzyk protestu. Na oślep zaczął szukać papierosów w leżącym na piasku ubraniu. Dopiero gdy zapalił, zaciągnął się mocno dwa razy i poczuł uspokajający efekt nikotyny, był w stanie się odezwać. Skierował wzrok ku morzu, nie chcąc być świadkiem zawodu i upokorzenia, jakiego doznała.

— Powiedziałaś coś bardzo niemądrego. Wybacz mi, Ginny, gdybym nie był takim cholernym głupcem, nigdy by do tego nie doszło. Pamiętaj, nigdy więcej nie mów tego nikomu — jeśli nie będziesz pewna, całkowicie pewna tego, co czujesz.

Wyczuł, że zachnęła się za jego plecami. Po chwili odezwała się zduszonym głosem: — Tego właśnie chcę! **Jestem** pewna. — Kątem oka dostrzegł, że przewróciła się na brzuch, a twarz, odwróconą od niego, ukryła w ręczniku. Z płataniną mokrych włosów i rozcapierzonymi palcami wczepionymi w piasek wyglądała całkowicie bezbronna.

— Zostałabym, gdybyś tylko powiedział, że tego chcesz. Czy ty nie potrafisz mnie pokochać? Myślę, że mógłbyś, gdybyś tylko zechciał.

Na moment położył rękę na jej głowie, lekko, z czułością, choć prawie beznamiętnie.

— Biedna Ginny. Marnie sprawy się dla ciebie potoczyły, co? To piekło myśleć, że kogoś kochasz, a ten ktoś nie chce albo nie może tego odwzajemnić.

— **Ja** wcale nie myślę..., ja wiem, że cię kocham! — **Jej** słowa były jak krzyk, dziki i desperacki, choć zduszony przez ręcznik.

— Gdybym powiedział, że cię kocham, gdybym kochał się z tobą, Ginny, chciałybyś, żebym się z tobą ożenił. **I** miałybyś rację. Tego właśnie oczekują ludzie, gdy kochają — jeśli to uczciwa miłość.

— Ale przecież ożenisz się znowu! Ożenisz się z kimś... Kiedyś przestaniesz o niej myśleć i ożenisz się. Dlaczego to nie mogłabym być ja? Dlaczego?

Zastanawiał się dłuższą chwilę, zanim spróbował jej odpowiedzieć. Trzęsa się cała, jak dziecko, które spazmuje ze złości w przekonaniu, że nikt go nie rozumie. Było mu jej żal, pragnął, by słowa, których szukał w myślach, nie zabrzmiały oschle i bezlitośnie. Nagle dziewczyna podniosła głowę i wykrzyczała mu prosto w twarz:

— I co, może zmyślam? Ożenisz się drugi raz, prawda?

Mocno zaciągnął się dymem.

— Tak. Prawdopodobnie. Kiedy ktoś już był żonaty, i to szczęśliwie, są duże szanse, że ożeni się znowu. A nawet jeśli nieszczęśliwie, to przypuszczalnie spróbuje drugi raz, licząc, że przełamie złą passę. Dlatego właśnie bogacze żenią się po kilka razy, tracąc za każdym razem miliony dolarów. Może są optymistami, a może w którymś momencie poczuli, jak to jest, gdy małżeństwo się uda. Być może ludzie gorzknieją, ponieważ tracą to, co według siebie mieli, albo też dlatego, że nie mieli tego w ogóle. I są ludzie jak ja, szczęściarze, którzy naprawdę mieli bardzo wiele. I szczęście nie opuściło ich stopniowo i powoli. Zostało im nagle zabrane.

Zdusił papierosa w piasku.

— Miałem je, Ginny. Miałem w małżeństwie wszystko, co potrzebne. Może nie byłoby tak zawsze, może ta cudowna ostrość przeżyć stępiłaby się kiedyś. Tego nie wiem. Wiem jednak, że miałem szczęście i wciąż z tym żyję. Jest we mnie każdego poranka, gdy się budzę. I cały czas żyję w tym świecie.

Odwróciła się i usiadła.

— Mogę poczekać — powiedziała miękko. — Mogę tu zostać i czekać, póki nie będziesz gotowy.

— Nie. Jesteś zbyt młoda, żeby czekać. Musisz wyruszyć, aby znaleźć coś dla siebie. Twój czas i mój różnią się od siebie. Żyjemy w innym tempie. Ty jesteś gotowa już teraz, ja nie. Może kiedyś, kiedy już wyjedziesz — wyjedziesz na dobre — uświadomię sobie, że chciałem, abyś czekała. Ale teraz jeszcze tego nie wiem. Wiem natomiast, że wciąż żyję w moim własnym świecie i dlatego nie mogę pozwolić, żebyś czekała. I nie mogę pozwolić sobie na to, żeby się z tobą kochać.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— To się nazywa pech, Ginny. Kiedy będziesz już w Nowym Jorku, najszybciej nauczysz się tego, że życie jest na ogół cholernie niesprawiedliwe.

5

Następnego dnia John i Katrien odprowadzali Ginny. Dramatyczne emocje związane z rozstaniem złagodził im nieco Albert de Kruythoff. Wpadł do budynku lotniska niespełna pięć minut przed odlotem samolotu do San Juan. Przed sobą taszczył sztywną papierową torbę.

— Podobno wszystkie Amerykanki mają przypięte kwiaty, gdy opuszczają Nowy Jork. Pomyślałem, że ty możesz postąpić na odwrót. Może na cle w Nowym Jorku zabiorą ci je, ale do tego czasu musisz je nosić.

Torba zawierała długą gałązkę białej, nakrapianej zielono orchidei z ogrodu Alberta. Gdy Ginny ją przypinała, orzekł nerwowo: — Za długa. Nie wygląda dobrze. Niepotrzebnie ją przynosiłem.

- Nie, dobrze, że jej nie przyciąłeś. Taka właśnie jest piękna.

Po chwili ogłoszono jej lot. Szybko ucałowała Katrien i Johna. Albert wziął jej niewielki bagaż.

— Odprowadzę cię do samolotu. — Była to jedna z nielicznych okazji, gdy wykorzystał swoją pozycję wicegubernatora; minął urzędnika w przejściu bez zatrzymywania. U podnóża schodków prowadzących do otwartych drzwi samolotu Ginny wzięła od niego torby, po czym wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Otworzył usta, ale nie udało mu się wydobyć głosu.

— Z ojcem będzie wszystko w porządku, prawda, Albercie? Jak myślisz, chyba doszedł do siebie?

— Myślę, że tak, Ginny. Ale jeśli będą problemy, obiecuję dać ci znać.

Odwrócił się i począpał przez pole startowe w za długich, źle skrojonych szortach, falujących wokół chudych, zaczerwienionych kolan.

Na lotnisku w San Juan czuła się samotnie. Nie było czasu na kurtuazyjną wizytę w klasztorze; John chciał, by tam przenocowała, lecz Katrien sprzeciwiła się.

— Lepiej niech leci jednym ciągiem i ma to z głowy. I tak jest jej wystarczająco ciężko.

Ginny zadzwoniła do Santa Maria; powiedziano jej, że Matka Angela jest w Barranquitas. Nowicjuszka, która przyjęła wiadomość, była tam dopiero od czerwca i nazwisko Ginny nic jej nie mówiło.

Wypiła kokę w barze, jeszcze raz sprawdziła bilet i pieniądze. Nie mając co robić, spacerowała po ogrodzie lotniska, już czując nostalgię za ogrodem w Oranje Huis. Próbowła nie myśleć o Jimie — bez powodzenia. Wciąż tkwił w jej myślach i pewnie będzie tak jeszcze długo. Doskonale rozumiała, co oznaczały jego słowa o tym, że wciąż żyje w swoim własnym świecie. Rada była, że nie przyszedł rano pożegnać się z nią na oczach rodziców i oszczędził jej dodatkowego wzruszenia.

Zajęła miejsce w długiej kolejce Portorykańczyków, którzy roili się przy odlocie każdego samolotu do Nowego Jorku. Łatwo było rozróżnić tych, którzy wyjeżdżali, od odprowadzających, gdyż ci pierwsi mieli narzucone na ramiona grube palta. Na jednego podróżującego przypadało pół tuzina krewniaków i wszyscy oni tłoczyli się w kolejce. Na początku uprzejmie ustępowała im miejsca, lecz wkrótce zorientowała się, że należy swego miejsca pilnować i pchać się do przodu, gdy tylko się da. Różniło się to znacznie od leniwej, przyjaznej procedury lotów do St. Charles, gdzie znała niektórych pasażerów, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy walczyć o lepsze miejsce na zaledwie półgodzinną podróż. Przesunęła się energicznie do przodu, ustawiając się gdzieś w połowie kolejki. Jeżeli tu jest inaczej, pomyślała, to przecież jedzie po to właśnie, żeby było inaczej, nieprawdaż? Przez ostatnie dziesięć minut skoncentrowała się na ćwiczeniu własnej hiszpańszczyzny, przysłuchując się łzawym pożegnaniom. Nie uznała tego bynajmniej za podsłuchiwanie — ci ludzie zachowywali się tak demonstracyjnie i jawnie.

Wywołano numer lotu i metalowa bramka otworzyła się. Teraz dopiero

poczuła napór kolejki — szturchano ją w plecy i popychano z obu stron. Kiedy już znalazła się koło urzędnika sprawdzającego bilety, usłyszała przez panujący wokół hałas swoje imię.

— Ginny! Ginny! Poczekaj minutę.

Na dźwięk głosu Jima stanęła jak wryta, tracąc niemal równowagę pod naporem tłumu. Nie mogła go dostrzec, więc odwróciła się i podjęła walkę, by się wycofać. W pewnej chwili cisnący się do przodu tłum wypchnął ją z kolejki. Poczuła się, jakby ją wyciśnięto z tubki.

— Tutaj, Ginny. Tutaj. — Zobaczyła go, był tuż obok.

— Co ty tu robisz? — udało jej się wykrztusić.

— Musiałem przylecieć w interesach. Całe szczęście, że cię złapałem. Chwilowa nadzieja zamarła równie szybko, jak się zrodziła.

— Dlaczego?

— Wygrzebałem to dla ciebie. To kozuch, który nosiłem, kiedy było bardzo zimno. Sięga mi przed kolana, tak że nie będzie dla ciebie za dużo długi. Zresztą możesz go sobie skrócić. Rękawy da się wywinąć, myślę, że nawet będzie fajnie wyglądać. Zresztą rób z nim co chcesz.

— I przyjechałeś tu specjalnie, by mi go dać?.

Wzruszył ramionami.

— Przyszło mi nagle do głowy, że może nie masz nic ciepłego...

Wskazała na płaszcz przewieszony przez ramię.

— Susie pożyczyła mi swój, z kaszmiru. Mam też blezer, żeby włożyć pod spód.

— Kaszmir... To dobre na wiosnę. Ginny, tam, gdzie jedziesz, jest naprawdę zimno. Masz pieniądze, żeby kupić sobie coś ciepłego?

Zesztywniała.

— Tata dał mi dosyć.

— Dobrze, dobrze, nie bądź taka angielska. Tylko pytałem... Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, daj mi znać. Słyszysz? No cóż, wracaj lepiej do tego kłębowiska.

Pochylił się i pocałował ją lekko.

— Powodzenia. I nie zgub się tam.

Po czym zniknął w tłumie odprowadzających, a ona ustawiła się na końcu kolejki, taszcząc ogromny barani kozuch.

Rozdział piąty

Ginny znalazła w mieście coś, czego się spodziewała, ale nie potrafiła tego nazwać. W liście do Jima napisała: „Tu jest gorzej niż myślałam i jestem bardziej przerażona niż kiedykolwiek w życiu. Wciąż jestem przemarznięta aż do kości, nawet w mózg mi zimno, tak że nie jestem w stanie się kontrolować i co chwila złażę z chodnika wprost pod koła samochodów. Jeśli nie umrę tu z zimna, istnieje duża szansa, że zginę w wypadku ulicznym. Jednocześnie bardziej niż kiedykolwiek w życiu czuję, że naprawdę żyję. Jestem wstrząśnięta i wytrącona z równowagi, a kiedy wracam wieczorem do domu, bywam tak podekscytowana, że nie mogę usnąć. Oczy i uszy urosły mi chyba do podwójnej wielkości”.

Zatrzymała się w mieszkanku na trzecim piętrze bez windy w budynku z piaskowca w Greenwich Village; dzieliła je z Barby Hutchinson, starszą siostrą jednej z koleżanek szkolnych Susie Marshall. Pomieszkiwały tu również inne dziewczyny, jeśli tylko Barby udało się którąś namówić, by wprowadziła się i dokładała do czynszu. Mieszkanie było brudne i czasem przegrzane, a przez źle dopasowane framugi okienne przeciskały się nagłe, przyprawiające o dreszcze przeciągi. Gdy tylko któraś zapalała światło w kuchni, rozbiegały się dziesiątki karaluchów. W łazience było wiecznie wilgotno od rozwieszanej bielizny i bluzek.

— Jestem już chora od odgłosu tego cholernego kapania — narzekała Barby. — Następną rzeczą, jakiej zażąda od nas Du Pont, będzie pranie na sucho.

Ginny powoli przyzwyczajała się do stałego widoku obcych dziewczyn, rozpakowujących się w małej sypialni, którą dzieliła z każdą kolejną sublokatorką Barby. W krótkim czasie przewinęły się trzy — Anne, Lee i Judith; były jeszcze dwie inne, ale te Ginny nazywała imionami, jakie przysły jej akurat do głowy. Sama Barby żyła w stanie wolnym i zajmowała większą sypialnię na froncie mieszkania. Uważała się za szefową i opiekunkę mieszanek mniejszej sypialni.

— Macie problem, przychodźcie do mnie — mawiała. — Pracuje w tym mieście mężczyźni, odkąd ukończyłam szkołę i znam wszystkie ich zagrania. Mężczyźni — szefowie, dziwkarze, sukinsyny, z którymi pracujecie? Wierście mi, Barby wie o nich wszystko. Tylko nie przychodźcie do mnie po pieniądze, bo nie dostaniecie. I nie przyprowadzajcie na noc chłopaków, bo wyrzucę oboje. Aha, czyja kolej na sprzątanie kuchni? Ależ tam jest chlew!

Oczywiście nigdy nie była to kolej Barby. Ginny, a także wszystkie kolejne sublokatorki, z którymi dzieliła sypialnię, nienawidziły tyranii Barby, ale ją tolerowały. Godziły się na to, ponieważ była dla nich przystanią i opoką cynicznego zdrowego rozsądku, na której mogły się oprzeć. Nie wyglądała na taką, która rzeczywiście zna wszystkie męskie sztuczki. Była wysoka, szczupłą dziewczyną koło trzydziestki, a brak urody pokrywała fantazyjnym i śmiałym ubiorem. Pracowała jako sekretarka w agencji modelek i oszczędzała pieniądze, by otworzyć własną. Była szczodra w udzielaniu rad i pomocy każdemu, kto ich potrzebował, o ile tylko nie wymagało to pieniędzy. Wydawało się, że lubi organizować życie tych, którzy ją otaczali. Przez telefon potrafiła terroryzować rozmówcę lub przypochlebiać się mu, kłamać, kiedy to jej odpowiadało — i prawie zawsze zdobywała to, o co jej chodziło.

— Chcesz pisać na maszynie dla konsulatu holenderskiego? Zrobisz im łaskę. Kto w tym mieście potrafi pisać po holendersku? Założę się, że trudno by było znaleźć tu słownik holenderski!

— Bardzo dobrze to ja tego języka nie znam — przyznała się Ginny. — Myślę, że nie umiałabym zrobić dokładnego tłumaczenia. W domu zawsze mówiłam po angielsku.

— Chyba nie masz zamiaru im tego mówić?

To właśnie Barby umówiła Ginny na rozmowę w konsulacie i posłała ją z liścikiem do znajomego krawca na Seventh Avenue, by kupiła trochę ubrań. — Zobaczysz, że da ci przynajmniej czterdzieści procent zniżki. Ma wobec mnie zobowiązania. — To było pierwsze zetknięcie się Ginny z systemem zniżek, na tle których nowojorczyki wydawali się mieć obsesję.

— Czy nikt tu nie płaci normalnej ceny? — pytała Barby.

— Co to znaczy normalnej? To ty decydujesz, jaka jest normalna.

Dostała pracę, która była monotonna i nudna, ale przynosiła trochę pieniędzy i pozwoliła nieco ulżyć Johnowi Tilsitowi.

— Powinłam policzyć sobie prowizję za załatwienie ci pracy — stwierdziła Barby — ale tym razem daruję.

— Przypuszczam, że pomógł tu list polecający od wicegubernatora de Kruythoffa.

Barby wróciła do malowania paznokci.

— Nie startuj do mnie z tymi tytułami. Nie robią na mnie wrażenia.

A Ginny, pamiętając zalety charakteru Alberta, zupełnie niezauważalne, jeśli się go dobrze nie znało, nie odpowiedziała nic. Poczuła nagle tęsknotę za subtelnym zacofaniem St. Nicolaas; nie było tam ludzi, na których należało koniecznie zrobić wrażenie. Nie miało się do czynienia z prowizjami i zniżkami

dla niektórych, bo ceny były takie same dla wszystkich. Ale to wszystko nie mogło zainteresować Barby.

Ciężko pracowała — rano pisała na maszynie, głównie teksty handlowe, popołudniami chodziła na zajęcia z literatury angielskiej i francuskiego na Uniwersytecie Nowojorskim. Nie bardzo wiedziała, dlaczego wybrała akurat te, ale to był dopiero początek. Zapisała się także na kurs historii sztuki, o tym jednak nie napisała do St. Nicolaas. Pozwalało jej to uciekać w świat muzeów i galerii w centrum miasta, chociaż zdawała sobie sprawę, że na ogół nie rozumie nawet połowy z tego, o czym mówił wykładowca. Na zaliczeniach niezmiennie dostawała negatywne oceny. Pewnego wieczora wykładowca, gruby, dobroduszny człowiek, poprosił ją by pozostała w sali po zajęciach.

— Panno Tilsit, czy mogę zapytać, dlaczego wybrała pani akurat ten kurs? Mam nadzieję, że nie wyobraża sobie pani, że można go zaliczyć bez pracy.

— Wcale tak nie myślę. Staram się bardziej niż kiedykolwiek dotąd — odpowiedziała nieszczęśliwym głosem. — To pewnie dlatego, że w życiu widziałam może z pół tuzina obrazów i nie mogę się jakoś w tym wszystkim połapać. Chociaż staram się jak mogę. Ja... ja mam szczególne powody, żeby nauczyć się czegoś o sztuce. I o projektowaniu.

Poprawił okulary i przyjrzał się dokładniej dziewczynie o pięknych jasnych włosach, jeszcze opalanej od wyspiarskiego słońca. Tak jasno sprecyzowane zainteresowanie przedmiotem studiów wyróżniało ją w anonimowej klasie. Jednakże jej prace były dla niego przykrym rozczarowaniem.

— A można wiedzieć dlaczego? Czy chce pani zrobić karierę jako projektantka?

— Och, nie! — zaprotestowała gwałtownie. — Nic podobnego! Tylko jeden z moich przyjaciół... po prostu chciałybym się czegoś dowiedzieć o tym całym interesie. Wydawało mi się, że mogłabym zacząć od tego miejsca.

Pokiwał głową, lecz nic nie odpowiedział. Miał wielu studentów w klasie, głównie kobiety, próbujące wkuwać przedmiot, który ich nie interesował, ponieważ kochały się akurat w kimś, kto się na tym znał. — Rozumie pani chyba, że muszę postawić niedostateczny na koniec semestru.

Ginny patrzyła w ziemię.

— Tak, rozumiem... Chyba mogłam się tego spodziewać. Nie miałam dużych szans...

Wzruszył ramionami. — Proszę spróbować jeszcze raz, jeśli pani ma ochotę. W letnim semestrze. Jeśli pani zajmie się energiczniej tym „całym interesem”, jak to pani nazwała, może coś z tego wyjdzie.

Uśmiechnęła się blado. Piękna dziewczyna, pomyślał wykładowca, ale wygląda na zmęczoną. Ubierała się jak większość studentek — w szeroką spódnicę, czarny sweterek i czarne bawełniane pończochy. Wolały ją widzieć ubraną inaczej — w tej czerni wyglądała na przygnębioną. Przyszła na zajęcia w kożuchu, o wiele na nią za obszernym, w którym wyglądała jak

staroświecka sierotka. Podejrzewał, że nie była zamożna, ale irytowało go, że zupełnie nie potrafi podkreślić swojej urody.

— Dobrze — odparła. — Spróbuję. Dziękuję panu. — Już miała wyjść, kiedy odezwał się ponownie.

— Nawiasem mówiąc, czy ma pani coś wspólnego z twórcami porcelany z Tilsit? Ta nazwa pochodzi chyba od nazwiska.

Uśmiech zniknął.

— Nie. Nie mam z nimi nic wspólnego.

Wzruszył ramionami.

— Zapytałem, ponieważ moją drugą specjalnością jest ceramika. Porcelanowa Kolekcja Tilsit z Anglii opisywana jest w podręcznikach. Pomyślałem, że skoro jest pani Angielką... Pani nazwisko nie jest zbyt popularne.

— Nie jestem Angielką. Urodziłam się w Holenderskich Indiach Zachodnich.

— Proszę mi wybaczyć, panno Tilsit. — Był wyraźnie rozbawiony; podejrzewał, że nie mówi prawdy, przynajmniej w kwestii Tilsitów. — Nie bardzo wiedziałem, że istnieje coś takiego jak Holenderskie Indie Zachodnie.

Kiwnęła głową, jakby przyjmując jego przeprosiny i w tym momencie jej wygląd pokornej studentki zniknął bez śladu. Przeistoczyła się w wielką damę — w sposobie chodzenia, trzymania wysoko głowy, okolonej falą jasnych włosów, wyprostowanej sylwetce. Nagle przestała pasować do otoczenia i do stroju, jaki miała na sobie. Chciało mu się śmiać, ale chociaż była do niego odwrócona plecami, nie pozwolił sobie nawet na uśmiech. Obawiał się, że dziewczyna nagle się odwróci i spojrzy na niego swymi wielkimi, szarymi oczami. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, wziął się za porządkowanie biurka, zastanawiając się, dlaczego starała się go okłamać.

To kłamstwo przypomniało się Ginny tego dnia, gdy otrzymała list z Anglii. Nie zawierał żadnej wiadomości — w kopercie była jedynie podłużna, elegancka wizytówka, z nazwiskiem wydrukowanym grubą czarną czcionką: Miss Isobel Tilsit, Tilsit, Dorset. Na odwrocie znanym jej charakterem pisma napisano: Salon wystawowy Tilsit, Pięćdziesiąta Druga Wschodnia 75, Nowy Jork.

Ginny z poczuciem winy wsunęła wizytówkę między stronicę zeszytu i zapomniała o niej na następne dwa tygodnie.

Pewnego popołudnia pod koniec marca — padał akurat deszcz ze śniegiem — wybrała się na poszukiwania podanego na wizytówce numeru przy Pięćdziesiątej Drugiej Wschodniej. Tego dnia nie miała zajęć, więc zaraz po zakończeniu pracy wybrała się do Metropolitan Museum. Chodziła po salach wystawowych na chybił trafił, zatrzymując się od czasu do czasu, ale na ogół przemierzała je szybkim krokiem, rzucając tylko okiem na mijane ekspozycje — meble, klejnoty, obrazy czy rzeźby. Migotliwy kalejdoskop kolorów, form i kształtów bombardował jej zmysły w takim tempie, że wpadała w coraz większą depresję, przekonana, że nie podoła narzuconemu sobie

zadaniu. Nigdy tego nie opanuję, stwierdzała. Nie można się tego nauczyć przez dziesięć lat ani nawet przez całe życie, jeśli nie ma się wyrobionego oka i sposobu myślenia, a ona przecież zaczyna od zera. Sztuka może się podobać albo nie, ale jej zrozumienie zależy od wiedzy, której nie miała. Nie była nawet w stanie znaleźć w tym przyjemności. Mówiła sobie, że jest głupia, próbując schwytać cień tego, czym była i co wiedziała Julia MacAdam. Starła się tak bardzo i w tak wielu dziedzinach... I w czym się jej powiodło? Uznała, że w niczym.

Półtorej godziny spędziła przed gablotami z chińską porcelaną z kolekcji Altmanna, oczarowana i zachwycona przepychem kolorów, a także naturalnym pięknem barwnych kształtów. Kwiat brzoskwini, krew wołu, cesarska żółć, kobalt, turkus... wspaniałe eksponaty z grupy *familie rose*... z epoki Chien Lung, K'ang Hsi... jak to wszystko zapamiętać? Wazy Cztery Pory Roku: peonia dla wiosny, lotos dla lata, chryzantema dla jesieni, a kwiat śliwy dla zimy... wszystkie piękne i uwiecznione za szkłem. Zeszła piętro niżej do sektora ceramiki europejskiej — była tu po raz pierwszy, jakby w niejasnym poczuciu lojalności wobec ojca. Sala francuska... delikatna porcelana z Vincennes i Sevres, mieniająca się kolorami klejnotów; szybko przeszła przez salę włoską pełną kwiecistych wzorów, minęła ceramikę holenderską, a zaraz po niej niemiecką, której twórcy poszukiwali sekretu chińskiego tworzywa, aby ostatecznie zatriumfować wyrobami z Miśni. Dotarła do sali angielskiej z wazami z Wedgwood i dzbankami koloru jaspisu, z figurkami i ptaszkami z Chelsea, ze wspaniałymi emaliowanymi na niebiesko wyrobami Royal Worcester. Nie było nic z Tilsit. Szybko zawróciła, opuściła salę i ruszyła ku wyjściu.

Na Piątej Avenue zawinęła się szczerlnie w kożuch Jima i schowała ręce w przepastnych kieszeniach. W rozciągającym się nieopodal Central Parku zapadał zmierzch, przechodząc z ciemnoniebieskiego w czerń. Drzewa wzdłuż alei błyszczały wilgocią w świetle ulicznym. Trzęsła się z zimna; nogi miała coraz bardziej przemarznięte, jednak nie wsiadła do żadnego z ciepłych, zatłoczonych autobusów, który zawiózłby ją wprost do Village. Szła dalej; zaczęło się po przyjeździe do Nowego Jorku. Zostawiła za sobą park, minęła dyskretną, kosztowną elegancję Plaza Hotel i dotarła do wystaw Bergdorfa Goodmana. Przystanąła na chwilę wpatrując się w ubrania na manekinach i próbując zapamiętać kolory i fasony. Za miesiąc można będzie kupić ich podróbki w tanich sklepach w śródmieściu. Przeszła na drugą stronę do Tiffany'ego. Jego finezyjne i zabawne wystawy fascynowały ją od momentu, gdy pierwszy raz znalazła się w tej części Piątej Avenue. Nigdy dotąd nie myślała, że można traktować klejnoty inaczej niż jako ozdóbki do przypinania na czarnym aksamicie. Uśmiechnęła się przypominając sobie, jak to było, gdy trafiła tu po raz pierwszy, jak kursowała tam i z powrotem między sąsiadującymi ze sobą wystawami Tiffany'ego i Bonwitta Tellera, próbując zapamiętać różnicę między biżuterią prawdziwą a sztuczną. Teraz, kiedy zbliżała się Wielkanoc, nad kieliszkiem do jajek zrobionym ze złota wisiął na

niemal niewidocznej żyłce pojedynczy szmaragd. Dobre parę minut stała i przyglądała się klejnotowi, obracającemu się powoli pod wpływem lekkiego strumienia powietrza, uśmiechając się do jego przejrzystego piękna. Po chwili jeszcze dwoje ludzi stłoczyło się przy niewielkim oknie wystawowym i Ginny poczuła znów zimno i odrętwiałe stopy.

Powiedziała sobie, że dojdzie jeszcze tylko katedry świętego Patryka, obejrzy wystawę u Saka i złapie autobus. Ale cztery przecznice dalej, na rogu Pięćdziesiątej Drugiej, skręciła na wschód, powtarzając bezgłośnie numer zapisany na wizytówce Isobel.

Stanęła po drugiej stronie ulicy patrząc na budynek naprzeciwko. Na oknie drugiego piętra, zajmującym całą szerokość kamienicy, widniał napis złotymi literami: PORCELANA Z TILSIT. Zacisnęła ręce w kieszeniach, czując nagłą falę ciekawości i podniecenia. Ruszyła przed siebie nie zważając na ruch i natychmiast dał się słyszeć przeraźliwy pisk opon na mokrej jezdni oraz stek przekleństw z ust taksówkarza. Instynktownie wskoczyła w oświetlone, oszklone drzwi numeru siedemdziesiątego piątego, które oferowały jej schronienie. Niewielka samoobsługowa winda była otwarta; stał w niej mężczyzna przymierzający się do naciśnięcia guzika. — Jedzie pani? — zapytał.

— Aaa... tak. Na drugie, proszę.

Nacisnął przycisk i zdjął kapelusz. Winda ruszyła do góry. Kiedy się zatrzymała, zewnętrzne drzwi rozsunęły się automatycznie, a mężczyzna otworzył przed nią wewnętrzną kratę. Nie miała wyboru, musiała wyjść; drzwi za nią zamknęły się nieodwołalnie.

Salon wystawowy był długi i wąski, wyłożony zielonym dywanem, ciepło i jaskrawo oświetlony wielkimi, kryształowymi żyrandolami. Zmrużyła oczy od światła, ale także od refleksów odbitych od powierzchni porcelany rozstawionej na stołach i w wiszących gablotach. Odwróciła głowę w zakłopotaniu; o mało nie wpadła w panikę na widok idącego w jej kierunku mężczyzny w ciemnym garniturze i śnieżnobiałej, wykrochmalonej koszuli. Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowany królik — pragnęła odwrócić się i uciec, ale nie mogła zrobić nawet kroku. Zanim mężczyzna podszedł bliżej spokojnym krokiem rasowego sprzedawcy, wiedziała już, że zanotował w pamięci każdy szczegół jej wyglądu i zorientował się, że nie przysłała tu w interesach. Pomyślała gorzko o swoich mokrych butach i kożuchu, posklejanych, wilgotnych włosach i brudnych wełnianych rękawiczkach.

— W czym mogę pani pomóc? — zapytał z angielskim akcentem.

— Chciałam tylko popatrzyć. To znaczy... mogę?

Skłonił się lekko i zmarszczył brwi.

— To jest salon wystawowy dla hurtowni. Jeżeli życzy sobie pani coś kupić, podamy adres sklepu, który prowadzi dany towar.

— Tak, dobrze, właśnie o to mi chodzi — podchwyciła skwapliwie. — Chciałabym coś wybrać dla przyjaciółki na prezent.

Jego mina wyraźnie wskazywała, że ją rozszyfrował; wie, że nie ma przyjaciółki ani pieniędzy na prezent. Skinał głowę.

— Będę zachwycony mogąc służyć potrzebną informacją. Spojrzał na zegar w głębi salonu. — Zamykamy za dziesięć minut. O piątej. — Cofnął się, i założył ręce do tyłu i oparł się o ścianę obok windy. Wiedziała, że nie spuści z niej wzroku ani na sekundę.

Oszołomiona i zmieszana odwróciła się i zaczęła powolną przechadzkę między stołami. Stały na nich długie szeregi naczyń w tuzinach wzorów o imponującym bogactwie i różnorodności kolorów — rubinowe, złote, nefrytowe, ciemnobrunatne na białym tle. Przebiegła po nich wzrokiem bez większego zainteresowania. Oczy zaczęły jej łzawić od nadmiaru wzorów i kolorów. Spojrzenie mężczyzny w czarnym garniturze sprawiało, że czuła się jak intruz. Nagle dostrzegła wzór z delikatnych niebieskich dzwoneczków, znany jej z serwisu, który roztrzaskał ojciec. A także nożyk do sera. Dotknęła go czule palcami; postać przy windzie natychmiast czujnie zeszywniała. Ginny ruszyła dalej.

To pewnie salon Isobel, pomyślała. Nie powinnam tu przebywać, dotykać rzeczy Isobel, poruszać się w jej świecie. Powiedziałam „nie” już dawno temu, w klasztorze. To jest niebezpieczne. Jeszcze nabiorę przekonania, że należę do tego świata i że to wszystko należy również do mnie. Dotarła do końca salonu, do ścianki oddzielającej go od biura. Westchnęła, wzruszyła ramionami i już miała zawrócić, gdy jej wzrok padł na portret mężczyzny w średnim wieku w wysokim, ciasnym wiktoriańskim kołnierzyku — kolorowy sztych z obrazu olejnego, otoczony czarno-złotą ramie. Podeszła bliżej, by przeczytać słowa wyryte na niewielkiej, mosiężnej tabliczce pod obrazem:

GEORGE MARTIN TILSIT
GARNCARZ
1880

Ginny poczuła, jak ogarnia ją fala podniecenia. Wzrok powędrował ponownie ku twarzy mężczyzny — okrągłej, szlachetnej, o łagodnych oczach, spoglądających przez okulary w metalowej ramce. Policzki okalały mu bujne bokobrody, lecz podbródek miał gładko ogolony. Ponad szacowną, niemal surową czernią płaszcza i sztywnym, ściśło zawiązanym krawatem rzucały się w oczy miękkie, wygięte usta marzyciela. W duchu powtórzyła nazwisko — George Martin Tilsit. Kto to był? Czyżby jej dziadek? Policzyła szybko — nie, to musiał być pradziad. Dziadek ojca? A może jego stryjeczny dziadek? To był pewnie ten George Martin Tilsit, który założył wytwórnię porcelany. Nic więcej nie była w stanie wydedukować. Zaledwie jedno określenie — garncarz. Słowo to, skromne i przyziemne, dobrze pasowało do twarzy mężczyzny. Ponownie przyjrzała się portretowi. Nawet mimo okularów wzrok miał ciepły i badawczy. Jego twarz w niczym nie przypominała twarzy Isobel ani też ojca, szczupłej i przystojnej, choć już niemłodej. Czyżby nie zostawił swym potomkom niczego z siebie, poza produktami własnej wytwórni i zdolnościami? Miło byłoby wiedzieć, że w niej też znajdowała się jakaś

cząstka tego człowieka, lecz brak było ognia pośredniego. Nie wiedziała nic na ten temat i nie miała kogo zapytać. Smutna zawróciła w stronę wyjścia.

Gdy przechodziła po zielonym dywanie między stołami, mężczyzna wciąż stał przy windzie. Nacisnął guzik.

— Przepraszam, musimy zamykać. Jest minuta po czasie.

— Tak, już wychodzę. — Usłyszała, że winda podjeżdża do góry. W ostatnim momencie desperacji zwróciła się do niego znowu, starając się nie zwracać uwagi na jego demonstracyjną niecierpliwość.

— Ten portret, tam z tyłu... — George'a Martina Tilsita. Czy to był założyciel wytwórni?

— Kto? A... ten. — Wzruszył ramionami. — Nie wiem, chyba tak. Pan Green mógłby pani coś powiedzieć, ale jest teraz w Anglii. Ja pracuję dla Tilsitów dopiero od dwóch miesięcy. Przedtem byłem związany z Wedgwood. — Jego ton wskazywał wyraźnie, że zarówno swoją poprzednią pracę jak i produkty Wedgwood uważał za nieskończenie lepsze. — Czy to już wszystko? — Drzwi windy otworzyły się.

— Tak. To wszystko.

Nie wróciła więcej do salonu wystawowego Tilsitów, by zapytać pana Greena o George'a Martina Tilsita. Oznaczałoby to zbyt otwarte przyznanie się przed sobą do zainteresowania rodziną, co wolała ukryć przed ojcem. W dodatku po tej wizycie obudziło się u niej dziwne uczucie więzi z tym miejscem, uczucie, które należałoby zwalczyć, żeby nie stało się zbyt silne i nieodzowne. Postanowiła więc nie wracać, zrobiła natomiast coś innego: poszła do biblioteki publicznej i zajrzała do encyklopedii ceramiki i porcelany angielskiej. Tilsit, George Martin. Mistrz garncarski i chemik. 1830—1883. Terminował w Wedgwood, lecz wrócił do miejsca swego urodzenia w Torrington, Dorset, gdzie doskonalił technikę wyrobu przeświecającej, bardzo twardej porcelany przy zastosowaniu mieszaniny glinki z Konwalii oraz z własnych wyrobisk. Przyjmując w 1865 nazwisko Tilsit, założył w tym samym roku wytwórnię ceramiki. Porcelana z Tilsit należy obecnie do najbardziej nowoczesnych w Anglii, dzięki przejściu w 1939 na wypalanie w piecach elektrycznych. Po tym opisie następował znak fabryczny, który był już Ginny znany:



Całe hasło przepisała do swojego zeszytu, do którego zaglądała niemal codziennie. I niemal codziennie przez parę minut zastanawiała się, dlaczego garncarz George Martin przybrał w 1865 nazwisko Tilsit, i przywoływała na pamięć szlachetną, skromną twarz z portretu.

2

Wiosna nastała w Nowym Jorku z gwałtownością, która dla mieszkańców nie stanowiła niczego niezwykłego. Dla Ginny było to jak błyskawiczne rozsuniecie się kurtyny. Dni stawały się dłuższe, lecz wciąż było zimno, temperatura około zera potrafiła utrzymywać się i przez dwa tygodnie z rzędu, nie rozwinął się ani jeden liść, nie było śladu budzenia się przyrody. I nagle, pewnego popołudnia, poczuła, że kożuch Jima jest o wiele za ciężki, a sweter pod nim za gruby. Szła przez Washington Square w kierunku Dziesiątej Zachodniej, gdzie znajdowało się mieszkanie Barby. Ludzie siedzieli w słońcu w samych koszulach i nawet starsi panowie, grający w szachy i warcaby przy stolikach, pozrzucali na ławki ciepłe palta i czapki. Po raz pierwszy od przyjazdu Ginny poczuła, że nie jest już tak bardzo samotna, że coś ją łączy z tymi ludźmi wygrzewającymi się na słońcu. Było tak, jakby srogość tutejszej zimy wystawiła ludzi na próbę solidarności, dzięki której zyskali coś wspólnego. Ogarnęło ją uczucie przyjaźni do całego świata.

Kiedy Barby wróciła do domu, Ginny prasowała podśpiewując.

— No no, co ci się stało? Znalazłaś chłopaka?

— Nie, ale może właśnie tego mi trzeba. Myślę, że to gorączka wiosenna. Co prawda kiedyś o tym czytałam, ale nie spodziewałam się, że to może i mnie dotknąć. W tropikach nie zauważa się czegoś takiego.

— Okropne miejsce! — skomentowała Barby. Rzuciła wielką torbę na podłogę, dodając: — A więc musimy coś z tym zrobić. Kupisz coś nowego do ubrania, podetniesz włosy i przestaniesz wyglądać jak jakiś bitnik.

— Naprawdę tak wyglądam? — Ginny ruszyła do lustra. Przyglądała włosy i przypatrzyła się sobie. Resztki opalenizny sprawiały, że jej twarz wyglądała jak niedoprana, oczy miała podkrążone ze zmęczenia. Włosy były niezwyklejszymi włosami, niczym więcej.

— Wyglądasz tak, jakbyś nie mogła dogonić samej siebie.

— Bo nie mogę. Jestem tu, a tak jakby mnie nie było. Rozumiesz? Jakbym była na wygnaniu.

— Zbyt poważnie siebie traktujesz, Ginny. Pomyśl tylko o tych wszystkich dzieciakach, które chciałyby być na twoim miejscu. Odpręż się... pożyj trochę. Ciesz się wiosną i idź kupić sobie jakiś ciuch.

— A pieniądze...?

— Zapomnij o pieniądzach, tylko ten jeden raz. Powiem ci coś, Ginny. W twoim wieku zawsze skądś się trafia jakieś pieniądze. A teraz jest taki moment w twoim życiu, że powinnaś trochę zainwestować — nie w papiery

czy w oszczędności, lecz w sobie. Gdybym ja wyglądała jak ty... — Barby wzdygnęła się. — Ale nie wyglądam, więc o czym tu mówić? Słuchaj, dlaczego nie miałybyśmy zrezygnować dzisiaj z gotowania i wybrać się na spaghetti ze ślimakami do Maria? Pożyć trochę, jak powiedziałam.

Później, kiedy Ginny wspominała, że to ona musiała wtedy zapłacić za kolację, uznała, że mimo wszystko było warto.

„Dni są coraz cieplejsze, a delikatna zieleń na drzewach wybuchła nagle wielkimi pąkami — pisała Ginny do ojca. — Aż nie chce mi się wierzyć, jak inaczej zaczęłam się czuć. Jakbym zrzuciła starą skórę albo rozerwała ciasny kokon”. John Tilsit napisał w odpowiedzi: „U nas nic się nie zmieniło. Większość trzciny już jest ścięta. Dni stają się coraz cieplejsze, ale niewiele dłuższe, drzewa i krzewy kwitną jak zawsze — biedaczki, nie wiedzą co to jest zmiana pory roku. Kiedy przypominam sobie wiosny w Anglii, rozumiem dobrze, że miałas prawo wyjechać. Nikt nie powinien przebywać przez całe życie tam, gdzie nie ma w ogóle wiosny. Ale nie zostawaj tam na zawsze, Ginny. Tęsknię za tobą”.

Kiedy zima wreszcie ustąpiła, kiedy Ginny nie musiała już biegiem przemierzać ulic, by uniknąć paralizującego zimna, miasto zaczęło się dla niej zmieniać. Do tej pory widziała tylko jego wspaniałość i blichtr, oślepiający odbłask wysokich, szklanych gmachów pod zimnym, słonecznym niebem. Miało dla niej lodowate piękno diamentu, takiego jak te wystawiane w oknie u Tiffany'ego. Zimowe miasto było miastem ludzi bogatych, okutanych w futra, a cała jego obfitość i luksus kryły się za zaciągniętymi storami i podwójnymi, szklanymi drzwiami. Na ulicach panował jedynie chłód.

Teraz na ulicach widać było wiosenną magię — drzewa obsypane liśćmi, ludzie spacerujący tylko po to, by popatrzeć na miasto i poczuć jego klimat. Przed niektórymi restauracjami w Village pojawiły się stoliki, a w oknach kolorowe, chroniące przed słońcem markizy. Z Central Parku zniknęli łyżwiarze, pojawili się za to amatorzy pikników na trawie. Można teraz było zdziałać znacznie więcej za znacznie mniejsze pieniądze. Miasto przestało koncentrować się wyłącznie na własnym blasku i urodzie. Eksplodowało nagle na pobliskie okolice, wyludniając się w weekendy, jakby to, co interesujące, rozgrywało się wyłącznie poza centrum. Mieszkańcy przedmieść krzatali się na swoich posesjach, a lokatorzy apartamentów w blokach uprzatali własne małe ogródki na tarasach, zniszczone przez mróz i sadzę, oraz sprawdzali, jak działają klimatyzatory.

— Uważasz, że się wyludniło? — dziwiła się Barby. — Poczekaj do lipca i sierpnia. Dopiero będzie martwota.

Ginny włączyła się w codzienne życie miasta. Teraz, gdy pierwsze miesiące miała już za sobą, dotychczasowe poczucie obcości zaczęło ustępować, ale nadal dawała się biernie unosić, niepewna jeszcze kierunku. Odkryła, że rutyna pracy, jaką sobie narzuciła, zaczyna ją męczyć i, co

więcej, nudzić. Coraz cieplejsze, łagodne dni skłaniały do lenistwa. Chodziła co prawda do pracy i na zajęcia, lecz gdy opuszczała w porze lunchu konsulat, wolała popatrzyć na wystawy z elegancką odzieżą na Piątej Avenue niż zwiedzać galerie sztuki na Madison Avenue. Książki wypożyczane w ramach lektur nadprogramowych często zwracała do biblioteki nie przeczytane. Oczekując na przełamanie izolacji długotrwałej zimy, odkryła, że już się to przecież dokonało. Po zajęciach poszła kiedyś z grupką studentów na kawę, co pociągnęło za sobą kolejne zaproszenia. Przyjmowała je wszystkie.

Któregoś dnia Barby zauważyła, że Ginny ubrała się na przyjęcie w sukienkę, kupioną w butiku dobrze zapowiadającego się projektanta na Dwudziestej Trzeciej. Stojąc oparta o drzwi, z papierosem w długiej cygarniczce w zębach, zauważyła: — No cóż, widzę, że wreszcie się wyrwałeś ze swojej skorupy. A już myślałam, że tam u was to stan permanentny. — I dodała z uznaniem: — Sammy wybrał ci całkiem fajną sukienkę. Możesz mu powiedzieć, że spodobała mi się. — Barby przekonywała Ginny, że w sklepach na Piątej Avenue może oglądać co chce, byle tylko nic nie kupowała. Sammy zdobędzie dla niej wszystko po cenach hurtowych.

— Jeśli już o to chodzi, to wybrałam ją sama. Sammy uznał, że doskonale sobie poradzę.

— Wygląda na to, że miał rację. Pożyczę ci do tego mój naszyjnik z koralami. — Poszła do swojego pokoju poszukać go, a po chwili wróciła i zawiesiła Ginny na szyi dużym węzłem do przodu. Ginny spojrzała w lustro i zachichotała.

— Wyglądam jak mama na fotografii z lat dwudziestych.

— Wyglądasz cholernie dobrze.

Inni też tak uważali. Zaczęła coraz częściej umawiać się z chłopakami ze swojego roku do kina i do kawiarni, gdzie każdy płacił za siebie, bo nikt nie miał za dużo pieniędzy. Chodziła do chińskich restauracyjek, ponieważ były tanie. Niekiedy bywała w centrum na droższych obiadach z młodymi mężczyznami, których poznawała na przyjęciach w Village. Randki rozgrywały się według znanego stereotypu: mężczyźni spodziewali się czegoś w zamian za drogie steki i martini, a parę pocałunków w taksówce po drodze do domu wyraźnie im nie wystarczało. Ginny wdzięczna była wtedy Barby za narzucony rygor.

— Nie mieszkam sama. Przepraszam, ale nie mogę cię zaprosić do siebie — mówiła w takich przypadkach.

— Wiesz co, jedźmy do mnie na drinka. Zostało mi jeszcze trochę wspaniałej, starej brandy.

Odkryła, że jeśli udało jej się uniknąć zaproszenia za pierwszym razem, często dawano jej drugą szansę. Ale kolejna odmowa oznaczała koniec znajomości z młodym mężczyzną. W Nowym Jorku nie traciło się czasu na dziewczęta, które nie były chętne do współpracy.

— Nie przejmuj się — mówiła Barby. — W twoim wieku zawsze znajdą się mężczyźni.

No i znajdowali się, ale po pewnym czasie Ginny przekonała się, że wszyscy oni są przeraźliwie jednakowi. Ci, którzy nie byli studentami, nosili eleganckie, zadbane garnitury i przypominali postacie, jakie pamiętała z reklam w „New York Timesie”. Pracowali w biurach brokerskich, w agencjach reklamowych, w towarzystwach ubezpieczeniowych. Mieli zamiar ożenić się we właściwym czasie, a kiedy przyjdzie pora, by mieć dzieci — przeprowadzić się na przedmieście. Czasami, w trakcie kolacji, Ginny łąpała się na tym, że zwraca się do towarzysza imieniem jego poprzednika.

— Słuchaj, nie jestem Joe. Mam na imię Frank, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Świat studencki był co prawda mniej sztywny, ale też miał swoje konwenanse. Nauczyła się ich w ciągu kilku tygodni. Chodziła na przyjęcia przy piwie do wieżowców i do takich samych domów, w jakim mieszkała Barbę. Zawsze wyglądało to tak samo — piosenki folkowe i jazz, dyskusje do późnej nocy o sztuce, książkach i muzyce, które znacznie wykraczały poza jej poziom i znajomość rzeczy. Zaczęła podejrzewać, że cała ta gadanina jest w dużym stopniu sztuczna, że to po prostu żargon, którego łatwo można się nauczyć. Odkryła również przy okazji, że wokół jest wiele młodych kobiet i mężczyzn, podobnych do niej, którzy nie zdążyli jeszcze pojąć istoty tego miasta, choć bardzo tego pragną. A w Nowym Jorku najważniejsza była ambicja, czasem połączona z talentem, choć najczęściej nie. Jeśli ktoś był wolny od tej gorączki, uważano go za durnia. Ginny nie było łatwo kłamać na swój temat. Kiedy pytano ją, dlaczego przyjechała do Nowego Jorku, odpowiadała wymijająco: „Postudiować, trochę się rozejrzeć...” Nie była w stanie oszukiwać siebie samej i innych przekonując ich, że powodem była chęć studiowania literatury angielskiej i francuskiego, a nie mogła zdradzić prawdziwej przyczyny przyjazdu. Trudno byłoby powiedzieć: „Jest pewien mężczyzna na małej, holenderskiej wysepce na Karaibach, w którym się Kocham i którego chciałabym poślubić. Dlatego właśnie jestem w Nowym Jorku”. Wiedziała, jak rozpoznać ambicję u kogoś, ale nigdy nie nauczyła się jej udawać.

Bierność Ginny wydawała się szczególnie irytująca Philowi Hartowi, który był z nią w jednej grupie na zajęciach z historii sztuki, bo zamierzał zostać scenografem. Zapraszał ją do teatru off-Broadway i na przyjęcia wydawane przez ludzi z kręgów show-biznesu. Pewnego wieczora po teatrze poszła z nim na hamburgera. Puszczając mimo uszu jego wywody na temat sztuki i scenografii, myślała głównie o tym, że minęło już sześć tygodni od krótkiego listu od Jima. Nagle Phil odstawił z łomotem kubek kawy.

— Ginny, na Boga, co się z tobą dzieje? Czy ciebie nic nie interesuje? Każda dziewczyna, jaką znam, chce coś robić, być kimś. A ty? Nie chcesz grać w teatrze albo malować? Chodzisz na zajęcia z historii sztuki, a tak naprawdę nic cię to nie obchodzi. A dzisiejsze przedstawienie? Czy próbowałaś chociaż coś z niego zrozumieć?

— Próbowałam. Wiesz co? Uważam, że każdy, kto twierdzi, że doskonale

rozumie, o co chodzi Beckettowi albo Ionesco, jest zwykłym kłamcą. Mnie wystarczy wiedzieć, że takie rzeczy po prostu istnieją. Można przecież przyjmować coś do wiadomości bez angażowania się. — Uśmiechnęła się do niego. — Nie jestem zbyt ambitna, Phil. Nic na to nie poradzę, taka jestem.

Złagodniał pod wpływem jej uśmiechu.

— No cóż, może to twoje szczęście.

To właśnie Phil zabrał ją na przyjęcie, na którym spotkała Eliota Russella. Był sobotni wieczór pod koniec czerwca. Temperatura tego popołudnia dochodziła do dziewięćdziesięciu stopni i upał okrywał miasto jak ciepły płaszcz. Każdy ruch wymagał wysiłku, trudno było nawet rozmawiać. Całe towarzystwo opanowała senność i martwota, której nawet whisky i dżin nie dały rady ożywić. Przyjęcie odbywało się na Riverside Drive w apartamencie, który wydawał się Ginny wielki jak dom. Pokoje otwierały się tu na centralne foyer.

— Można się zabić, nie? — powiedział Phil. — Prawdziwie wiktoriańskie mieszkanie, no... prawie. Wszędzie na Riverside Drive są takie wnętrza. Można się w nim zgubić. Ktoś wynajął je dziewczynie Marty'ego na lato. Mam nadzieję, że właściciel dostanie je z powrotem bez szwanku. — Utorował jej drogę przez tłumek zgromadzony w holu i zmierzył profesjonalnie wzrokiem zatłoczony salon. — Nie ma nikogo — oznajmił.

— Nigdy bym się nie zorientowała, gdybyś mi nie powiedział — odrzekła Ginny.

— To znaczy nikogo, kto się liczy — wyjaśnił poważnie. — Wszyscy już wyjechali na lato. Marty mówił, że będzie tu Saltzman, ale nie było na to szansy. Nie złapie się Saltzmana w Nowym Jorku w sobotę wieczorem w lecie. — Nawet Ginny wiedziała, że Saltzman był jednym z najbardziej płodnych producentów na Broadwayu. Zdażyła się już przyzwyczaić do powtarzanych na takich przyjęciach pogłosek, że za chwilę ma przyjść tu taki-to-a-taki, do zachowania dziewczyn, biegnących poprawić włosy i makijaż, do facetów marzących o karierze aktorskiej, usiłujących zgromadzić wokół siebie grupkę słuchaczy. Najczęściej pogłoski się nie sprawdzały i producenci, reżyserzy, słynni krytycy nie pojawiali się w ogóle.

Dla Ginny była to bardzo długa noc. Z jakiegoś powodu od początku przyjęcia czuła się znudzona i zmęczona. Nie chciało jej się rozmawiać, a nawet odgrywać roli naiwnego słuchacza, w której mogła odnieść znaczący sukces, bo tu każdy chciał mówić tylko o sobie i szukał potwierdzenia, że robi to świetnie. Phil zostawił ją samą już jakiś czas temu — zawsze tak robił, niestrudzenie szukając miejsca, gdzie bije serce przyjęcia. Przyprowadził ją tu i wyjdzie z nią, ale do tego ograniczył się kontakt między nimi podczas tych paru godzin. Phil miał zwyczaj zostawiania na przyjęciach możliwie najdłużej.

Ginny chodziła od grupki do grupki, wrzucając lód do szklanki z ciepłą wodą, nie próbując nawet włączać się w konwersację. Przyjęcie nie było udane — ani dla niej, ani dla innych gości. Tu i ówdzie słychać było sprzeczki, przerażające się w kłótnie. Niemal każdy wypił za dużo, a jedzenie

dawno już zniknęło ze stołów. Ludzie zaczęli wychodzić. Upał panoszył się w pokoju jak wilgotna mgła. Zostali tylko co młodsi; rozprawiali donośnie i bełkotliwie. Zielony chiński dywan pokryty był jak emulsją nalotem popiołu i zmiętymi kulkami papierowych serwetek. Na jednej z wielu sof namiętnie ścisnęła się jakaś para. Ginny schyliła się, by podnieść niedopałek papierosa, który ktoś wdeptał w dywan. Nad sobą usłyszała męski głos: — Co ty robisz, śliczna, sprzątasz? Są lepsze rzeczy do roboty.

Był pijany. Poczwała wilgotną dłoń na ramieniu i palce wpijające się w pierś.

— Może byśmy tak, kotku, wyszli gdzieś pogadać?

Cofnęła się szybko i oparła o ścianę. Zaskoczona, zdrtwiała na moment; mężczyzna nie rezygnował. Był dość młody i przystojny. Czysty biały kołnierzyk koszuli miał tylko lekko wilgotny od potu, garnitur wyglądał na świeżo wyprasowany nawet w tym upale. Był to młody człowiek jak z reklamy; poczwała niesmak.

Odwrociła się i pospieszyła przez hol do sypialni, gdzie zostawiła swoją torebkę. Stał w salonie, patrzył na nią i czekał. Chwyciła klamkę od drzwi, ale okazały się zamknięte. Mężczyzna roześmiał się i pogroził jej palcem:

— Wolnego! Nie tutaj, kochanie. Marty i Sylvie zajęły sypialnię na pół godzinki. Ale jest tyle innych... masa wolnych pokoi. Może tu? — Tuż obok otworzyły się drzwi i wyszła z nich jakaś para; dziewczyna zgarniała do tyłu długie rude włosy, które wymknęły się z wysokiego koka.

— No właśnie, a nie mówiłem? Mnóstwo pokoi. — Ginny zrobiło się niedobrze; w opuszczonym przez parkę pokoju zobaczyła wymiętą kapę na łożku, a na podłodze porozlewany likier.

— Co jest, malutka? Chyba nie boisz się Johnny'ego, prawda? Stary Johnny zaopiekuje się tobą. — Znowu zbliżył się do niej.

Nic nie odpowiedziała. Pchnęła go tylko mocno w pierś, a on, jak kukła, zrobił parę chwiejnych kroków do tyłu. Przeszła obok niego, kierując się w głąb holu.

— Kotku, no, nie bądź taka!

Gdzie jest Phil? Rozglądała się po salonie, ale nigdzie nie mogła go dostrzec. Z kuchni dochodziły hałaśliwe głosy. Zobaczyła tam parę osób, ale nie było wśród nich Phila. Za obszerną kuchnią znajdowała się służbówka, ale drzwi do niej były zamknięte. Uświadomiła sobie nagle, co znaczą te wszystkie zamknięte drzwi, które mijała. Odwróciła się gwałtownie, przeszła przez hol do drzwi frontowych, otworzyła je i zatrzasnęła za sobą. Mężczyzna o imieniu Johnny wciąż stał i patrzył. Kiedy zamykała drzwi, wydał jęk zawodu. Samoobsługową windą zjechała na dół.

Musiała poczekać na odzwiernego, żeby otworzył drzwi prowadzące na dwór.

— Która jest godzina?

— Po drugiej, panienko. Czy wezwać taksówkę?

Zawahała się.

— Nie, dziękuję.

Stała na szczycie białych, marmurowych schodów. Na ulicy było cicho. Gęsty szpaler liściastych drzew zasłaniał szaroczną połyskliwość rzeki. Powietrze było ciężkie. Czowała na sobie wzrok odźwiernego zza oszklonych drzwi. Pomyślała, że powinna poprosić, żeby wezwał taksówkę; kierowca mógł przecież poczekać przed domem, aż przyniesie pieniądze. Szkoda, że jej torebka została w zamkniętej sypialni razem z Martym i Sylwią. Phil zawsze mówił jej, by nie rozstawała się z torebką na przyjęciach. Nie nosiła w niej więcej niż dolara — tyle, ile mogła potrzebować na taksówkę. Upał przygniatał ją. Dobrze byłoby się trochę przejść, ale tylko idiota spacerowałby sam o tej porze po Nowym Jorku. Stała wciąż na szczycie schodów, jak zawieszona między dwoma światami — słabo oświetlonym rokokowym holem na górze, pełnym zapachu kurzu z rozstawionych wokół aksamitnych sof, a rozciągającym się przed nią kawałkiem parku między Drive a Alejami Henry'ego Hudsona, wyschniętym i równie dusznym. Jadące Alejami samochody wyglądały w niebieskiej poświacie lamp sodowych jak wędrujące żuki. Przypomniały jej się nagle światła nabrzeża na St. Charles, które, oglądane z galerii Oranje Huis, kojarzyły jej się zawsze z krainą wrózek. Czy Ginny zamgliły się od nostalgii; zapragnęła uciec stąd, od wilgotnego, przytaczającego upału, drzew przesiąkniętych odorem kurzu i dziegciu, od na wpół wyschniętej rzeki, rozsiewającej nieprzyjemną woń. Odwróciła się, by zawołać odźwiernego, nie wiedząc jeszcze, jak mu powie, że nie ma pieniędzy na napiwek.

Męski głos dobiegł ją z pewnej odległości:

— Może cię podwieźć?

Odwróciła się.

— Słucham? — Spojrzała w dół, skąd dochodził głos, dziwiąc się, że wcześniej nie zauważyła człowieka, w małym kabriolecie, zaparkowanym przy krawężniku. Twarz zwrócona w jej stronę była w świetle latarni młoda i niezwykle przystojna. Nie uśmiechał się. W jego słowach brzmiało pytanie, nie zaproszenie.

— Podwieźć cię? — powtórzył cierpliwie. — Wygląda na to, że nie możesz się zdecydować, czy opuścić przyjęcie, czy wrócić.

Zeszła trzy stopnie niżej.

— Byłeś tam? Nie widziałam cię.

— Przedstawiono nas sobie. Nie wydaje mi się jednak, żebyś dostrzegła za wiele na tym przyjęciu. Wychodzisz czy wracasz?

Ginny spodobał się jego głos: poważny, niski i rzeczowy.

— Nie planowałam wracać. Zostawiłam na górze torebkę, ale nie ma w niej nic poza dolarem i szminką. — Uśmiechnęła się, ponieważ uznała, że powiedziała coś głupiego. — Tyle że to dolar, którego właśnie potrzebuję.

Pokręcił głową.

— Kiedy dziewczyna wychodzi bez szminki, to znaczy, że cholernie się spieszy. Dokąd cię zawieźć?

— Mieszkam w Village. A może na kogoś czekasz?

Podeszła bliżej. Nie uśmiechnął się ani razu, nawet nie zrobił zapraszającego gestu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, a samochód natychmiast odezwał się pomrukiem potężnego silnika.

— Nie, nie czekam na nikogo. Tak sobie siedziałem. Lepiej wsiądz. To nie jest pora dla dziewczyny na samotne spacerki.

Przechylił się i otworzył drzwi. Musiała wsiąść do samochodu od strony ulicy.

— Dzięki. — Wślizgnęła się na siedzenie obok niego. — Żeby już mieć to za sobą, powiedz mi, co to za samochód? Każdy cię chyba o to pyta.

— Alfa romeo. — Nie dodał nic więcej. Ruszył w kierunku północnym, dość wolno, nie tak, jak można się było spodziewać po właścicielu takiego wozu. Nie patrzył w jej stronę, tylko prosto przed siebie; twarz miał opanowaną i chłodną w świetle latarni ulicznych. Zerknęła na niego parę razy kątem oka. Był bardziej niż przystojny; musiała przyznać, że można go uznać za pięknego. Wydedukowała, że musi być przed trzydziestką, choć wskazywało na to raczej jego zachowanie niż wygląd. Nie było w nim energii, jedynie jakaś znużona cierpliwość. Na skrzyżowaniu zatrzymało ich czerwone światło.

— Bardzo spieszysz się do domu? Nie miałybyś nic przeciwko temu, żebyśmy przejechali się mostem, odetchnąć parę minut świeżym powietrzem?

— Dlatego właśnie tak tutaj siedziałeś, bo nie mogłeś się zdecydować, dokąd jechać?

— Możliwe. Sam nie wiem, po co się tam zatrzymałem. Czasami tkwi się tak bez powodu, nieważne gdzie. No to co, jedziemy? — zapytał, ale Ginny wydawało się, że jej odpowiedź nie ma dla niego większego znaczenia. Jeśli odmówi, odwiezie ją bez protestu, potem zrobi to co zamierzał, a ona będzie żałować, że z nim nie pojechała.

— Dlaczego nie? Stałam przed chwilą na schodach myśląc o domu i pragnąc choć na moment uciec od tego odoru kurzu i benzyny.

— A gdzie jest twój dom? — Wjechał w Aleje.

— Na małej wysepce o nazwie St. Nicolaas, w Holenderskich Indiach Zachodnich.

Skinął głową i nic nie powiedział. Zadowolona była, że nie zadawał stereotypowych pytań i zostawił ją jej myślom. Obok nich przesuwaly się wielkie tablice reklam, domy towarowe, zaś za zakrętem otworzył się przed nią, jak lekka girlanda, sznur światła mostu Waszyngtona. Na twarzy poczuła powiew — tu, w pobliżu wody, było nieco chłodniej. Siedziała swobodnie, z zamkniętymi oczami. Miała dziwne uczucie, że siedzącego obok mężczyznę niewiele obchodzi, co się z nią dzieje; od chwili, kiedy się po raz pierwszy odezwał, miała wrażenie, że on niczego od niej nie chce. Otworzyła oczy. Byli już na moście, a w dole rozpościerał się Manhattan. Wysokie wieże rozświetlonych budynków mieszkalnych zmniejszały się w miarę oddalania. Spoglądając w dół rzeki pomyślała, że w zamglonym, rozgrzanym powietrzu nie wyglądają wcale tak wspaniale i nierealnie jak wtedy, gdy jeden jedyny raz wybrała się na spacer po moście. W pewien zimny, lutowy zmierzch

przewędrowała całą jego długość po to tylko, by móc napisać Jimowi, że w końcu przeszła na drugą stronę Hudsonu i znalazła się w New Jersey. A on w następnym liście zadał jej lakoniczne pytanie: „Dlaczego wybrałaś się akurat do New Jersey, co tam jest takiego ciekawego?”

Przy płatnym wjeździe na autostradę zwolnili, a w świetle reflektora Ginny odczytała napis: Palisades Parkway. Manhattan został daleko za rzeką, zminiaturyzowany jak zabawka. Patrzyła zafascynowana i w tej samej chwili znalazła odpowiedź na pytanie Jima: od strony New Jersey można zobaczyć Nowy Jork. Poczuła się zaskoczona, gdy auto nagle zjechało z autostrady i zatrzymało się na cyplu widokowym. Mężczyzna wyłączył silnik i światła. W ciemności słychać było lekki powiew wiatru i szum liści.

— Co robisz tak daleko od domu? — zapytał, jakby w ogóle nie przerywał rozmowy.

— Włóczę się, uczę tego i owego. — Z jakiegoś powodu wiedziała, że wobec niego nie musi udawać ambitnej studentki. Poczuła nagle, że może mu powiedzieć wszystko. — Właściwie to nie mam żadnego powodu, żeby tu siedzieć. Nie zajmuję się niczym na serio. Spędzam czas tutaj czy gdzie indziej — co za różnica? Zresztą chyba każdy chciałby, przynajmniej raz w życiu, zobaczyć to wszystko. — Wskazała na drapacze chmur za rzeką, na niezliczone wysepki na Hudsonie, most, zacumowane jachty.

— No tak, dla mnie to jest dom. A przynajmniej urodziłem się tutaj.

— Nie czujesz się tu jak w domu?

Wzruszył ramionami.

— A kto się teraz tak czuje? Dom to jest takie miejsce, z którego możesz wynieść jakieś korzyści. Mój ojciec i jego ojciec zrobili to jeszcze przed moim urodzeniem i sprawiło im to radość. Jeśli nie zdobywa się czegoś z trudem, nie daje to żadnej satysfakcji. — Spojrzała na nią, chyba po raz pierwszy w ciągu przejażdżki. — Ginny? Tak masz na imię, prawda?

— Tak.

— Ginny, dlaczego tu przyjechałaś, jeśli tak naprawdę niczego od tego miejsca nie potrzebujesz?

— Jestem tu, ponieważ... chyba czekam tu na coś. Mam nadzieję, że coś się zdarzy, a jeśli nawet nie, może wciąż będę mieć nadzieję... Jeśli ją stracę, to chyba nie będę mogła wrócić do domu.

— Więc można powiedzieć, że nie tyle jesteś w Nowym Jorku, co poza domem?

— Można to i tak ująć... tak, chyba tak. Ale kiedy zdecydowałam się wyjechać z domu, wiedziałam, że to musi być Nowy Jork. Miałam konkretny powód.

I nagle zaczęła opowiadać mu o Jimie. Mówiła nie czując żadnego skrępowania, żadnego onieśmienia. Człowiek siedzący obok niej nie znaczył dla niej nic i ona też nic dla niego nie znaczyła. Wiedziała, że opowiadając o innym mężczyźnie nie sprawi mu przykrości. Zaprosił ją do samochodu, bo czuł potrzebę towarzystwa. Prawdopodobnie nie zobaczy go więcej, więc

choć na chwilę podzieli się z nim ciężarem wszystkich tych miesięcy milczenia i samotności. Kiedy mówiła, siedział nieruchomo, tylko ognek papierosa pulsował w ciemności. Jego spokój uznała za przyzwolenie.

— Widzisz więc, jak się rzeczy mają — skonstatowała na koniec. — Za każdym razem, kiedy spotykam tu coś, w co mogłabym się bardziej zaangażować, uciekam tłumacząc sobie, że przecież nie przyjechałam tu na zawsze. Wmawiam w siebie, że Jim się zmieni. I nie chcę żadnych więzów, które mogłyby mnie tu zatrzymać. Chodzę na okropne przyjęcia, takie jak to dzisiejsze, i nic mnie nie obchodzą ludzie, których tam spotykam, bo wiem, że więcej ich nie zobaczę.

— A jeśli Jim się nie zmieni?

— To ja będę musiała się zmienić. Ale na razie chcę wierzyć, że zdobędę to, czego pragnę, choć może pewnego dnia będę musiała przestać.

— Tak jak większość z nas, Ginny. Trzymaj się, jak długo zdołasz. Dzieli, kiedy się poddasz, będzie naprawdę okropny.

W świetle zapalniczki, którą przypalał następnego papierosa, zobaczyła wyraźniej jego twarz, napiętą i starszą niż zdawało się jej w pierwszej chwili.

— Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. Do tej pory z nikim o tym nie rozmawiałam. Nie miałam ochoty.

Zapalniczka zgasła.

— W porządku, jestem dość dobrym słuchaczem.

— I cierpliwym. Zrobiło się bardzo późno.

— Rzeczywiście. Zaraz cię odwiozę. — Przekreślił kluczyk. Hałas silnika znów wmieszał się między nich, czas ciszy odpłynął w przeszłość. Ginny poczuła, że jej towarzysz zaliczył siebie do tych ludzi, o których przed chwilą powiedziała, że nie obchodzą jej i więcej ich nie zobaczy. Pomyślała nagle, że chciałaby go poznać lepiej, ale chyba szansa minęła. Uświadomiła sobie, że nawet nie wie, jak on się nazywa. Na tym pewnie polega istota życia w wielkim mieście — możesz przez godzinę zwierzać się jakiemuś człowiekowi i nawet nie dotknąć jego ręki, i nie poznać jego imienia.

Kiedy wyjeżdżali z miejsca postoju, światła samochodu ukazały przez moment napis: ZAKAZ PARKOWANIA PO PÓŁNOCY. Teraz musieli przejechać jeszcze spory kawałek w kierunku północnym do miejsca nazywanego się Alpine, aby móc znowu skręcić na południe. Kiedy to wreszcie zrobili, niebo nad Manhattanem zaczynało już błędnąć.

Odezwał się dopiero w centrum, pytając o nazwę i numer ulicy. Zatrzymując się przed jej domem dodał: — Zadzwonił do mnie czasem, Ginny, kiedy będziesz chciała znowu pogadać.

— Już się nagadałam — odparła sztywno. — Poczekam, aż ty zadzwonisz. Jak ty się właściwie nazywasz?

— Eliot Russell, plus Trzeci po nazwisku. Mówię to, żebyś nie zadzwoniła przypadkiem do mojego ojca. On jest Eliotem Russellem Juniorem. Chociaż pewnie byłby zachwycony, gdyby jakaś dziewczyna zapytała o mnie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wysiadł i otworzył drzwi z jej strony.

— Zadzwoń później do tamtego mieszkania i odbiorę twoją torebkę. Nie ma powodu, żebyś straciła ją tylko dlatego, że niektórzy zachowują się jak świnie. — Ponownie powiało z jego słów chłodem, jak wtedy, gdy siedział w samochodzie przy krawężniku. — Podrzucę ci ją pod ten adres.

— Jeśli nie sprawi ci to kłopotu, będę wdzięczna.

— Nie ma problemu — powiedział obojętnym tonem. Odprowadził ją do schodów prowadzących do drzwi budynku. Była zaskoczona tym dziwnym połączeniem uprzejmości i oschłości; nawet życzliwe gesty wykonywał jakby machinalnie. Jednak mieszkała w Nowym Jorku już wystarczająco długo, by zdawać sobie sprawę, że niczego się tu nie robi bez powodu. Ten człowiek słuchał cierpliwie jej zwierzeń, poświęcał swój czas, a teraz zaproponował, że zmieni swoje plany, by odzyskać jej tanią torebkę. A jednocześnie zachowywał się zimno i obojętnie. Czuła się odrzucona i zupełnie nie rozumiała dlaczego. Z ręką na kamiennej balustradzie schodów spoglądała mu prosto w twarz.

Odezwał się pierwszy: — Nie pytaj, Ginny. Sam ci kiedyś powiem. — Na krótką chwilę położył rękę na jej dłoni. — Nie pocałuję cię na dobranoc. Nie lubię całować dziewcząt. Rozumiesz, Ginny?

Stała jak wryta patrząc za nim, jak przemierza chodnik i wślizguje się na siedzenie auta. Ryk silnika zburzył ciszę świtu.

Ginny przespała prawie całą niedzielę. Kiedy się obudziła, Barby piła właśnie kawę i pisała listy. Nie było czym oddychać. Upał utrzymywał się w mieszkaniu od tygodni. Nawet gdy zrywał się chłodniejszy wiatr, nie było sposobu, by odświeżyć martwe powietrze w małych pokojkach. Ginny czuła, że ma całkiem wysuszoną skórę, jakby od intensywnego opalania. W koszuli nocnej i boso przyniosła sobie kawę i dołączyła do Barby.

— Jakiś przystojniak przyniósł twoją torebkę godzinę temu. — Uniosła okulary na czoło i spoglądała badawczo na Ginny. — Myślałam, że to Phil Hart zabrał cię na przyjęcie.

Ginny zmarszczyła nos.

— Zrobiło się tam okropnie, wiesz, ludzie porozłazili się po sypialniach. Nie czekałam na Phila i wyszłam stamtąd.

— I spotkałaś przystojniaka? Kto to taki?

— Nazywa się Eliot Russell... Trzeci, jak powiedziałaś.

— Eliot Russell? — Okulary opadły Barby na nos. — No, mała, ale złowiłaś rybę! Chyba wiesz coś o tym?

Pokręciła głową i skrzywiła się z bólu.

— A powinienam?

— Eliot Russell Trzeci. — Oczy Barby zwęziły się. — Pomyślmy, to musi być wnuk starego. Nafta i drewno, o ile się nie mylę. Jeden z ostatnich facetów z dużą forszą. Nie Rockefeller co prawda, ale też całkiem niezły.

Ginny przetrawiła tę informację i wzruszyła ramionami.

— No i co z tego? Podrzucił mnie tu i przywiózł torebkę. Chyba to nie jest nic niezwykłego...

— Forsa to jest coś niezwykłego, czyżbyś nie wiedziała? — Przynęła się bliżej. — Ginny, o co chodzi?

— O nic — ucieła Ginny. — Dlaczego miałyby o coś chodzić?

— Dlatego, że wyglądasz, jakby coś się wydarzyło. No, dziewczyno, dalej... zwierz się babci.

Ginny pochyliła się nad kawą. Popijała wolno, nie zważając na gorcz.

— Zamknij się, Barby! Jeśli już musisz wiedzieć, Eliot Russell nie jest ani dla mnie, ani dla innej. On nie gustuje w kobietach. Sam mi powiedział. Prosto w oczy.

— Ach tak... — paznokcie Barby postukały leciutko o stół. — No cóż, Ginny, wygląda na to, że znalazłaś braciszka.

3

Z pieniędzmi — dużymi pieniędzmi — Ginny zetknęła się po raz pierwszy, gdy poznała Eliota Russella. Ludzie bogaci, do których należał, traktują swoje bogactwo jak coś naturalnego. Posługują się nimi jak inni kończynami, swobodnie, a czasem nieświadomie, zawsze jednak celowo. Władza, którą mają dzięki pieniądзом, pozwala im o nich zapomnieć, zostawić je samym sobie, dać im się rozmnażać w sposób nieskrępowany.

Aura zamożności, która otaczała Eliota Russella, nie była zbyt jaskrawa, dawała się jednak wyczuć. Dzięki niemu Ginny zaczęła widzieć bogactwo od tej strony, która warunkowała sposób myślenia. Jednocześnie uświadomiła sobie, że gdyby sama znajdowała się w takiej sytuacji od urodzenia, to każdy dzień byłby dziwnie płytki, bo brakowałoby w nim walki o dobra materialne. Dla Russellów nie istniała potrzeba chwalenia się pieniędzmi czy nawet myślenia o nich. Należało się o nie troszczyć tylko o tyle, żeby je zachować, ale nic ponadto. Cała reszta była oczywista.

— Na tym właśnie polega różnica między wielkim bogactwem a bogactwem — podsumowała Barby.

Kiedy Ginny zaczęła Eliota lepiej poznawać — bo na początku oceniła go zupełnie inaczej — powiedziała do Barby: — Jego w ogóle nie cieszy to, co ma. Chyba nawet mało lubi siebie samego.

— Ach, jakże me serce krzawi! Zobaczyłabyś go bez tych wszystkich pieniędzy... Dopiero by siebie nie lubił.

Oschłość, o jaką podejrzewała Ginny Eliota Russella, okazała się jednak pozorna. Pewnego dnia odkryła, że tak naprawdę jest człowiekiem delikatnym i wrażliwym. Było to tydzień po przyjęciu. Gdy wyszła w południe z konsulatu, czekał na nią przed budynkiem. Wyglądał nawet lepiej niż poprzednio —

szatyn o klasycznych rysach, wystających kościach policzkowych i ładnie zarysowanych ustach. Ubrany był z męską surowością i prostotą, która stanowiła świadomy kontrast z jego urodą; trzymał się bardzo prosto. Nie patrzył na ludzi przechodzących obok. Ginny intuicyjnie wyczuła, że wynika to u niego z wyjątkowej samodyscypliny, której czasem ma tak dość, że bliski jest złamania jej. Wtedy pozwala sobie na wyrażanie pogardy wobec kobiet, udowadnianie im, że się dla niego nie liczą. Tak właśnie, lekceważąco i bez skrpułów, potraktował Ginny o czwartej nad ranem na ulicy w Greenwich Village. Ale teraz utkwiał w niej uważny wzrok i Ginny uzmysłowiła sobie, że Eliot czeka nerwowo na jej reakcję, jakby obawiał się, że odtrąci jego i to, co chciał jej ofiarować. W tym momencie zrobiło jej się go żal.

Wyciągnęła rękę. Przez jego twarz przemknęło uczucie ulgi.

— Cześć, Eliot.

— Cześć, Ginny. Umówiona jesteś na lunch? A może chciałabyś przegryźć coś ze mną?

— Chętnie! — Automatycznie wyciągnął rękę po jej wielką skórzaną torbę, tańszą namiastkę torby Barby, lecz zaprotestowała szybko: — Nie trzeba, nie jest ciężka.

— Pozwól mi, proszę. Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, miałaś puste ręce i wydawałaś się taka cudownie wolna... — Ujął jej łokieć i przeprowadził przez jezdnię. Poczowała się dziwnie, gdy tak ją holował, jakby chciał podkreślić swoją męskość w każdy możliwy sposób. Jednocześnie miała wrażenie, że ta delikatność była jakby prośbą, by go nie odrzucała, a nie podkreśleniem własnego wątpliwego autorytetu.

Zjedli lunch w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Eliot jadł niewiele, prawie nic. Kiedy zerknęła znad talerza, stwierdziła, że się w nią wpatruje. Spłonęła rumieńcem i z zakłopotaną miną bąknęła: — Przepraszam, byłam okropnie głodna.

— To świetnie! — I zamówił następną sałatkę i ciastko. — Tym razem możesz sobie popoľgować — powiedział, uśmiechając się lekko — ale uważaj na słodycze, zrujnujesz sobie cerę i figurę. — Ginny poczuła się, jakby rozmawiała z kobietą. Eliot czekał w milczeniu, popijając kawę, aż Ginny skończy jeść.

— Masz po południu zajęcia?

— Nie, nic nie robię aż do końca lata.

— Dobrze, w takim razie chodźmy na dół i pospacerujmy po muzeum. — Odsunął jej krzesło. — Wiesz, Ginny, nie bardzo podoba mi się ten twój Jim MacAdam. Myślę, że jest aroganckim, zacietrzewionym sukinsynem, niewartym dziewczyny takiej jak ty. Poradziłbym ci, żebyś o nim zapomniała, jednak wiem, że na nic to się zda. Tak więc, skoro już przyjechałaś do Nowego Jorku po liberalną edukację, moglibyśmy zacząć od tego miejsca.

Poprowadził ją przez galerie, zwracając uwagę na niektóre eksponaty, trochę wyjaśniając, komentując szerzej, gdy uznał to za potrzebne. Jest mądry, oceniła go Ginny. Nie zachowywał się protekcyjnie i nie tłumaczył

rzeczy oczywistych. Czekał raczej na jej pytania, a jego odpowiedzi były o wiele bardziej klarowne i odkrywcze niż to, co słyszała na uniwersytecie. Mój Boże, myślała, jest błyskotliwy, bogaty i w dodatku zupełnie niezarozumiała.

Nagle spytała: — Eliot, ile ty właściwie masz lat?

— Dwadzieścia dziewięć, dlaczego pytasz?

— Tak sobie. Masz tyle wiadomości...

— Miałem mnóstwo czasu, żeby się tego nauczyć — rzucił przez ramię ze złością. — Chodź, pojedziemy teraz gdzie indziej.

Taksówka zawiozła ich do dzielnicy willowej, gdzie mieściła się Frick Collection. Eliot ponownie wziął ją pod ramię, kiedy wchodzili w górę po schodach. Poczowała, że się do niej przyciska. Strażnik widząc ich ukłonił się.

— Dzień dobry, panie Russell.

— Jak się masz, Morgan?

— W porządku, proszę pana, świetnie.

— Czy oni wszyscy cię znają? — wyszeptała Ginny, gdy i inni strażnicy przywitali Eliota.

— Większość z nich. Często tu bywam, znają moją rodzinę.

Odkrycie, że ktoś może być na Manhattanie tak znany jak ona na St. Nicolaas, wprawiło Ginny w zdumienie. Pierwszy raz miasto nabrało w jej oczach ludzkiego wymiaru. Wrażenie to, co prawda, skorygowała później, gdy zaczęła rozumieć, że pieniądze Russellów mają wymiar raczej nadludzki i że Eliot nie robił literalnie nic bez przekonania, że jego pieniądze załatwią wszystko nawet bez jego udziału.

Puścił jej ramię i poprowadził przez pokoje domu Henry'ego Fricka do obrazów van Dycka i Rembrandta, jakby byli jego przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Nie starał się niczego wyjaśniać, zostawiając ją własnemu wyczuciu barwy i wspaniałości. Chodził własnymi drogami, przemierzając obszerne sale z widoczną pewnością siebie. Ginny pomyślała, że Eliot dużo bardziej pasuje do tej scenerii niż do ascetycznej klarowności Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Tutaj wydawał się mniej spięty, poruszał się jakby po własnym domu.

— Henry Clay Frick i mój dziadek robili kiedyś wspólne interesy — oznajmił nagle. — Obaj byli, choć w różnym stopniu, kanciarzami. — Ponownie ujął ją pod ramię. — A może chcesz teraz zobaczyć moją kolekcję?

— Twoją?

— Moją własną. — Uśmiechnął się. — To tylko parę przecznic stąd. Moglibyśmy przejść się spacerkiem.

Poszli Piątą Avenue na północ. Kiedy na jednym ze skrzyżowań czekali na zmianę światła, wskazał głową na stojący opodal wysoki budynek z szarego kamienia.

— Tu mieszkają moi rodzice.

Ginny spojrzała zdumiona, że można tak obojętnie przejść obok domu rodziców. Zauważył wyraz jej twarzy i roześmiał się.

— Och, czasami ich odwiedzam, oczywiście nie bez uprzedzenia. Nie jesteście, jak to się mówi, żytą rodziną.

— A ktoś jeszcze należy do rodziny?

— Mam siostrę. Od trzech lat siedzi w Europie. Widzisz, dziewczyna nie musi udawać solidnego obywatela. Chodzi na festiwale filmowe i połowę roku spędza na plaży w Cannes. To jest to, co i ja chciałbym robić.

— A tymczasem co robisz? — zapytała Ginny ostrożnie, wiedząc, że została zachęcona do tego pytania, ale też zdając sobie sprawę, że niewiele ludzi miałyby szansę usłyszeć odpowiedź.

Nawet mimo hałasu ulicznego usłyszała jego niechętnie westchnienie.

— Pomagam troszczyć się o pieniądze, ojca i moje własne. I pomagam je wydawać. Niewiele z tego, co robię, sprawia im zadowolenie — wskazał głową na dom rodziców. — Ani z tego, co robi Lucy, moja siostra. Więc przynajmniej pomagam im zajmować się pieniędzmi. Świętymi pieniędzmi! Wiesz co, Ginny? Pieniądze zainwestowane na cztery procent podwajają się w ciągu siedemnastu lat! To bardzo bezpieczny sposób. I taki nudny. Mamy cały sztab ludzi, którzy tylko siedzą i obserwują, jak się te dolary mnożą, a następnie decydują, jak je wydać. Ten system działa doskonale.

— Brzmi to niesamowicie... i ponuro.

Uśmiechnął się chłodno i wzruszył ramionami.

— Ale nie wiedziałbym, co bez nich robić. Nie mam odwagi żyć jak Lucy.

Jego dłoń zacisnęła się władczo na jej ramieniu, kiedy prowadził ją w kierunku wejścia do dużego, nowoczesnego bloku. Miała chęć się wycofać, ale nie mogła. Uścisk był mocny, jakby chciał zapobiec jej ucieczce. Nagle wydało jej się, że teraz właśnie zażąda zapłaty za godzinę, jaką poświęcił jej na Palisades. Czuła wtedy potrzebę wywnętrzenia się przed obcym człowiekiem, który pomoże jej unieść ciężar miłości i samotności. Teraz on prosił, by go wysłuchała — żądał tego. Na jego twarzy malowało się napięcie, gdy prowadził ją do windy.

Nacisnął ostatni przycisk i patrząc w górę, na migające numery pięter, powiedział: — Nie wiem, Ginny, dlaczego zaufałem ci wtedy w nocy i dlaczego ufam ci teraz. Ale tak właśnie jest.

Ginny spodziewała się, że apartament Eliota będzie trochę przypominał bogate wnętrza Fricka, oczywiście w mniejszej skali. Kiedy otworzył drzwi, zaskoczyły ją puste, białe ściany i naga, wypolerowana drewniana podłoga. Surową biel ścian holu przełamowała jedynie rzeźba z metalowej spirali. Od wielkiego białego pokoju, do którego weszła za Eliotem, powiało chłodem. Rozglądała się, skonsternowana i lekko przerażona. Po chwili uświadomiła sobie, że to właśnie jest jego małe prywatne muzeum. W pokoju prawie nie było mebli, tylko dwa duże fotele oraz sofa z czarnej skóry i stali, ustawione przodem ku tarasowi, oddzielonemu ścianą ze szkła. Na ścianach rozwieszona

była kolekcja malarstwa abstrakcyjnego; kolory tych obrazów były tu jedynym ciepłym akcentem. W głębi pokoju na postumentach stały trzy metalowe rzeźby, rzucające złowieszcze cienie na lśniąca podłogę. Słońce zaglądało do środka przez wychodzące na zachód okna, z których rozciągał się widok na Central Park. Eliot natychmiast zaciągnął przezroczystą roletę. Osłabiło to ostrość promieni i nadało pokojowi łagodniejszy wygląd.

Ginny przyjrzała się obrazom. Wszystkie były abstrakcyjne, kilka stanowiło prawdziwy poemat kolorów i rytmu. Na jednym widniał żółty kwadrat, umieszczony w dolnym lewym rogu białego płótna. Odwróciła się do Eliota, który cały czas ją obserwował.

— Nie spodziewasz się chyba, że powiem coś sensownego na ten temat. Wiesz, że zupełnie nie znam się na takiej sztuce. — Rozłożyła nagle ręce, wskazując te czarne meble, białe ściany i śmiałe plamy kolorów na obrazach. — Nie spodziewałam się tego. Odniosłam wrażenie, że abstrakcjonizm nie bardzo cię interesuje; u Fricka wydawało mi się, że czujesz się jak u siebie, dlatego pomyślałam... — zawiesiła głos. Uznała, że to niegrzecznie zaczynać wizytę od słów krytyki. Już wiedziała, że Eliot jest wrażliwym człowiekiem.

Wzruszył ramionami.

— To nie jest wybór raz na zawsze. Traktuję je jako inwestycję. — Z rękami w kieszeniach zaczął przemierzać olbrzymi, pusty pokój. — Kupowanie nowoczesnego malarstwa to trochę jak gra na giełdzie. — Skinął w stronę ściany. — Ich ceny idą w górę, chociaż niektóre już i tak całkiem sporo mnie kosztowały. Masz zaledwie sekundę, żeby wyczuć rynek, a na rynku nie ma czegoś takiego jak pewna inwestycja. Dopiero za dziesięć lat będę wiedział, czy dokonałem właściwego wyboru. Mam nadzieję, że do tego czasu pozbędę się niewypałów. A kiedy przyjdzie czas, by je sprzedać, rozstanę się z nimi bez sentymentów, jakby były udziałami w jakiejś firmie.

Przez chwilę stał w milczeniu, patrząc na trzy płótna wiszące we wnęce; jego wzrok był krytyczny i zimny. — Nie są to obrazy — stwierdził — z którymi chciałbym spędzić całe życie. Zamierzam mieć własnych Rembrandtów i Goyę, a nawet El Greco, jeśli dojdę do wniosku, że mam odwagę z nimi żyć. Potrzeba mi będzie dużo pieniędzy i dużo cierpliwości, zanim zdobędę to, czego pragnę. Warto byłoby... warto byłoby podjąć takie ryzyko.

Okręcił się nagle na pięcie.

— Masz już chyba dość edukacji jak na jedno popołudnie? Chodźmy ugotować coś na kolację.

— Sam gotujesz?

Zdjął marynarkę. Podążyła za nim na dół, gdzie, jak się okazało, znajdowało się jego właściwe mieszkanie, połączone z galerią. Spojrzała na nią.

— Jestem najlepszym kucharzem na świecie. Jeśli powiesz, że jest nim twoja matka, będę musiał poprosić cię, żebyś wyszła.

Posiłek dorównywał zapowiedzi — gotowane homary, *zabaglione* i szam-

pan, brie o odpowiedniej temperaturze i dojrzałości, jędrne, ciemne winogrona. Przygotował to wszystko bez zwykłej krzątaniny, w kuchni, o jakiej istnieniu Ginny dotąd nie miała pojęcia. Na półkach stało z pięćdziesiąt książek kucharskich, a błyszczące mosiężne garnki wystarczyłyby do wyposażenia niewielkiej restauracji. Był przyzwyczajony do widowni — stał tu stolik i dwa krzesła. Ginny usiadła i przyglądała mu się popijając drinka.

Kiedy skończyli jeść, Ginny stwierdziła: — Miałeś rację. Moja mama nie jest najlepszym kucharzem na świecie. Nawiasem mówiąc, nigdy tak nie uważałam, ona zresztą też nie.

— W takim razie jest wyjątkową kobietą. Tak jak i ty, Ginny.

Kolację zjedli w małym pokoiku po drugiej stronie korytarza. Przytulne umeblowanie i drewniane boazerie pozwoliły Ginny zapomnieć o sali wystawowej na górze. Tu na ścianie wisił Sisley i Corot. Ponad stołem, na którym stały zapalone świece, Eliot spojrzął jej w oczy. Rozlał do kieliszków resztę wina i zaproponował papierosa.

— Teraz już wiesz, Ginny, kim się kiedyś stanę. — Zapalił i ciągnął dalej: — Kapryśnym smakoszem, kolekcjonerem i dyletantem. W pewnym momencie z pewnością przestanę pić mocny alkohol, ponieważ rujnuje podniebienie, i będę zanudzał przyjaciół gadaniem o rocznikach wina. Boże, co za przyszłość! — Podniósł się nagle, tak gwałtownie, że omal nie przewrócił krzesła. — Na kawę przejdziemy do salonu, dobrze?

Zaczęła zbierać talerze, by zanieść je do kuchni.

— Nie, zostaw je tutaj. Rano przyjdzie Harry, to posprząta. — Kawa perkotała już w ekspresie. Włączył go, kiedy przygotowywał *zabaglione*. Taca z filiżankami stała przygotowana w salonie. W mieszkaniu widać było wyraźnie, że nad tym pozornie nie wymagającym wysiłków porządkiem pracuje cały sztab służących. Nie było ich widać ani słyszać, ale oczywiście było, że pojawiają się tu codziennie i znikają, pozostawiając Eliotowi ostateczne wykończenie pracy. Była to nieszkodliwa forma popisywania się, wykonywana z wielkim talentem i pozorną niedbałością.

— Tak, dyletant, Ginny — kontynuował. Wskazał na pokój otoczony regałami pełnymi książek, stoliki zarzucone magazynami, od „Diogenesa” po „Fortune”, fortepian z otwartym wiekiem. — Próbuję wszystkiego. Wtykam nos, gdzie się tylko da. Inwestuję w przedstawienia na Broadwayu i w młodych muzyków. Skłoniłem ojca do ufundowania stypendium do szkoły Juilliarda, a także corocznych stypendiów dla trzech studentów z Nigerii. Z Nigerii! Wyobrażasz sobie? — Zaśmiał się krótko. — Tak jak większość Amerykanów, jeszcze cztery lata temu nie bardzo wiedziałem, gdzie leży Nigeria, a teraz mam tu te dzieciaki, wprowadzam je w towarzystwo i udaję, że robię coś dla pokoju i porozumienia między narodami.

Podszedł do oszklonej ściany z wyjściem na taras. Tu okna wychodziły na południe, na drapacze chmur, teraz oświetlone i tak bliskie, że przez moment Ginny miała dziwne i nierealne uczucie, że i one są prywatnymi zabawkami Eliota, zgromadzonymi na tarasie, czekającymi, by przyszedł

i pobawił się nimi. Odsunął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Ginny odstawiła filiżankę i poszła za nim. Pomyślała, że zawsze za nim chodzi. Stanęła obok niego przy ścianie tarasu, również szklanej, obramowanej delikatną, drucianą siatką, tak by nie stracić ani całej widoku. Z każdą minutą rosnących ciemności światła wieżowców stawały się mocniejsze i jaskrawsze; na tej wysokości czuło się podmuch wiatru, który przynosił jednak także zapach i smak kurzu.

— Wiesz Eliot, jestem całkiem oszołomiona — powiedziała Ginny prostolinijnie. — Nie miałam pojęcia, że tyle światów może istnieć w jednym miejscu i w jednym człowieku. Ja...

Przerwał jej.

— Chciałem, żebyś była oszołomiona. — W jego głosie rosło zdenerwowanie. — Tani komediant, to właśnie widzisz, Ginny. Robię to wciąż od nowa. Popisuję się tym, co mam, opowiadam o wielkich nazwiskach teatru, sztuki i muzyki i myślę, że potrafię skłonić ludzi, by wierzyli, że i ja mam talent, skoro potrafię go dostrzec. A to nie jest prawda, i nigdy nie będzie. — Rzucił papierosa na podłogę i zgniół go nogą.

— Wybacz mi, Ginny. Przepraszam cię. Powinienem lepiej wiedzieć, co robię. Kiedy moja rodzina pięła się do góry w wielkim świecie, ojcu wbito do głowy, że nie wypada w towarzystwie mówić o pieniądzach, o tym, co dla człowieka znaczą. A ja powinienem wiedzieć to już instynktownie. — Spojrzał na nią. — Mój dziadek pracował w kopalni węgla. Jest jakaś prawda w tym, że prawdziwej ogłady nabiera się dopiero w trzecim pokoleniu. Ja mam jeszcze mentalność prostaka. Staram się zdobyć tani poklask, bo już nie jestem górnikiem, a nie umiem być współczesnym wyzyskiwaczem ani takim finansowym magikiem, jakim stał się mój ojciec. A muszę być kimś. Więc jestem, kim jestem.

— Eliot, dlaczego przepraszasz za to, kim jesteś? — spytała cicho Ginny. Gdyby miała odwagę, położyłaby rękę na jego dłoni. Lecz on nigdy by na to nie pozwolił — nie jej, może jedynie komuś specjalnemu...

— Ponieważ muszę. Świat nie jest zbyt przyjaznym miejscem dla ludzi mojego pokroju. Przez większość życia nie dopuszczam go zbyt blisko do siebie. Ufam tylko nielicznym, już ci to mówiłem. Ostatnio nie mam jakichś specjalnych oczekiwań. Pieniądze rodzą nieufność, Ginny. Porządni ludzie trzymają się od ciebie z daleka, bo myślą, że ty uważasz ich za pijawki, co cię chcą wykorzystać. Garną się głównie dranie. Nawet w rodzinie z powodu pieniędzy rodzi się brak zaufania. My wszyscy mamy środki, by prowadzić całkowicie odrębną egzystencję. I by powiedzieć innym, żeby poszli do diabła.

Z ręką opartą na balustradzie utkwiał wzrok w nocnym mieście.

— Czasami jednak ta odrębna egzystencja, ta separacja, staje się nie do zniesienia. Wtedy chcesz wyrwać się z klatki i spróbować znów nawiązać kontakt z ludzką rasą. Wiesz, Ginny, ciągle robię rzeczy, o których wolałbym zapomnieć. Albo zachowuję się jak dzisiejszego wieczora — jak głupiec, chociaż nie jak drań. Muszę cię przeprosić. Wstyd mi za siebie. — Spojrzał na nią. — To wszystko. Chcesz teraz wracać do domu?

- A mogłabym zostać?
- Dzięki. — Odwrócił się i wszedł do salonu. — Zrobię jeszcze trochę kawy.

4

Ginny odkryła, że zależność od Eliota, jaką narzucił jej tamtego popołudnia, staje się coraz silniejsza. Z początku nie próbowała się od niej uwolnić; odczuwała coś w rodzaju satysfakcji z tego, że jest mu potrzebna. Poza tym dzięki niemu przestała czuć się tak bardzo samotna i łatwiej było jej toczyć stałą walkę, typową dla każdego, kto przybył niedawno do miasta. Był jej żal Eliota i zaskoczyło ją to, że jest tak samo samotny jak ona. Oboje potrzebowali siebie nawzajem i było im ze sobą dobrze.

Barby nie pochwałała jej postępowania i mówiła to głośno i często.

— Nie przyniesie ci to nic dobrego, Ginny. To ślepa uliczka. Cała ta historia to jedna ślepa uliczka.

— On mnie potrzebuje, przynajmniej tak mi się wydaje.

— Potrzebuje cię? Zawsze będzie potrzebował ciebie albo kogoś takiego jak ty. On cię wykorzystuje. Będziesz jego matką i siostrą, będziesz tym, czego potrzebuje od kobiety. Tylko nie kochanką ani żoną. A gdyby jakimś cudem tak się stało, skończy się to taką katastrofą, że będziesz gorzko żałować swojej decyzji. Jesteś dla niego kamuflażem, nie widzisz tego, mała? Jesteś śliczną dziewczyną, dlatego cię wszędzie zabiera i pokazuje się z tobą. To stawia pana Eliota Russella w lepszym świetle. Musi przecież dbać o swoją reputację i cholernie uważać, żeby to, co faktycznie robi, nie stało się sprawą publiczną. Tysiące ludzi może wiedzieć, jak z nim jest naprawdę, ale póki zachowuje pozory, nikt nie będzie mu tego wytykał. Ze względu na swoją rodzinę próbuje wyglądać jak normalny facet, a ty służyysz mu do tego. Wbij to sobie do głowy, Ginny. Po to mu jesteś potrzebna. I tyle.

— To tylko część prawdy. Przyznaję, że tak może być... Ale to nie wszystko. Potrzebuje mnie... i ja chyba też potrzebuję jego. — Nie była w stanie wymówić słowa „litość”. Bała się dopuścić do siebie tę myśl w obawie, że zburzy to, co się zawiązało między nimi.

— Ty od Eliota Russella nie potrzebujesz niczego. Nie oszukuj sama siebie. Ty tylko dajesz.

— Ale... ale tak nie musi być zawsze. Mogę przestać się z nim spotykać, kiedy tylko zechcę.

— Możesz? Naprawdę? Wątpię. Sama widzisz, że już weszło ci to w nawyk. Przyzwyczyłaś się do pieniędzy i dobrych restauracji, i do tego, że masz dokąd pójść w sobotnie wieczory, że ktoś cię gdzieś zabiera. Bez tego byłoby ci trudniej. Zawsze trudniej jest być samą. Wkrótce przestaniesz spotykać się z innymi chłopakami, ponieważ nagle zaczną przy twoim przystojniaku wyglądać straszliwie nieciekawie, a metro i filiżanka kawy

stanie się czymś nie do przyjęcia w porównaniu z „Pavillionem” i limuzyną z szoferem. Poobserwuj siebie, Ginny. Złapie cię to, zanim sobie zdasz z tego sprawę. Popatrz, dziecino, kiedyś roztaczał się wokół ciebie zapach lilii, a to, co robisz teraz, zupełnie do ciebie nie pasuje.

— Och, zamknij się... i pilnuj własnego nosa.

Jednak słowa Barby nie minęły bez echa. Błąkały się w mózgu Ginny przez całe lato, kiedy Eliot otwierał przed nią inny świat; trwały jak wewnętrzny dialog, zaprawiający goryczą każde nowe doświadczenie. Nie wspominała o Eliocie Russellu w listach do St. Nicolaas i sama uznawała to za przyznanie się do winy i błędu, do grzechu zaniedbania, jaki trzeba w końcu popełnić po raz pierwszy.

Dwukrotnie była z Eliotem w domu jego rodziców w Southampton, gdzie miała okazję zetknąć się z Bathing Corporation i Meadow Club. Nie był to jej świat i zdawała sobie z tego sprawę, ale w ciągu tych dwóch weekendów instynktownie poczuła, że gdyby odpowiednio rozegrała znajomość z Eliotem, mógłby stać się i jej światem.

— Jesteś naprawdę piękna, moja droga — powiedziała kiedyś do niej matka Eliota. — I taka świeża. Gdzie Eliot ciebie znalazł?

— W Muzeum Sztuki Nowoczesnej, mamo. Na wystawie.

Matka Eliota — zimna, przystojna kobieta — traktowała swego syna jak rzadkiego, niezbyt bliskiego gościa. Formalna, niemal lodowata uprzejmość wobec niego czasami ustępowała miejsca furii niezadowolonia i pogardy, która trafiała w Eliota jak cios. Do Ginny również odnosiła się z podobną uprzejmością; dziewczyna wiedziała, że pani Russell jej nie lubi.

— A co, spodziewałaś się, że cię pokocha? — spytała Barby bez ogródek. — Ale założę się, że jest zadowolona, że pokazujesz się z Eliotem. Zawsze to lepiej wygląda!

Składali wizyty i w innych domach. Podczas spotkania Eliot nieoczekiwanie proponował: — Może pojedziemy do Matsonów? Mają parę niezłych obrazów. Warto, żebyś je zobaczyła. — Albo: — Wybierzmy się do Whitakerów. Zobaczymy, kto tam gra w tenisa. — Wszystkie te domy wyglądały tak samo, spotykała tam tych samych ludzi. Rozmowy były lekkie i powierzchowne. Liczyło się tylko to, żeby się rozerwać.

— Ja tak nie potrafię rozmawiać — stwierdziła kiedyś Ginny z zalem.

— Nie martw się, w twoim wieku nie oczekuje się tego. Wystarczy, żebyś wyglądała, jak wyglądasz. — Nagle zaśmiał się jakoś brzydko. — Twój angielski akcent dezorientuje niektórych. Nie wiedzą, czy jesteś nieśmiałą angielską dziedziczką, czy dziewczyną, która przyjechała na rok do pracy jako służąca.

— Wiesz, Eliot, podejrzewam, że tylko dzięki tobie nie biorą mnie za służącą. Ty przecież musisz spotykać się z dziedziczką. Pieniądze poślubiają pieniądze, prawda?

Jego twarz pociemniała momentalnie, ale po chwili zdecydował się potraktować jej słowa jak żart.

— Oni wszyscy już przestali oczekiwać, że się ożenię. Już nie jestem „kawalerem do wzięcia”. Nie nadają się do tego. Dziewczyny skończyły z zapraszaniem mnie na przyjęcia, ponieważ zawsze odmawiałem. Kręciłem się trochę wśród międzynarodowej elity — czasami towarzyszyłem Lucy w Klostern, Wenecji czy Nicei, ale szybko z tym skończyłem. Zmęczyło mnie ustawiczne pakowanie bagaży, przyjęcia zaczęły mnie nudzić. Żeby to wytrzymać, trzeba mieć mnóstwo energii i łeb twardy jak orzech. Biedna Lucy nie ma zbyt mocnej głowy, chuda jest teraz jak tyka.

— Co w takim razie robiłeś na przyjęciu na Riverside Drive? — zapytała Ginny. — Było tam tak niechlujnie, to chyba nie w twoim stylu. — Jeszcze nie skończyła mówić, jak już zaczęła żałować swych słów. Nie należało pytać Eliota o jego sprawy; odpowiedź mogła nie być zbyt przyjemna. To właśnie było niedobre w ich stosunkach — że nie mogła mu zadawać pytań. Eliot zamknął przed nią spory obszar swego życia, a jeśli nawiązywał do niego, to w gorzkim tonie samooskarżeń.

— Co robiłem? No cóż, on się tam nie pokazał! To właśnie miałaś na myśli? Boże, Ginny, pilnuj własnego nosa.

To właśnie później opowiedziała Barby i w ten sposób kółko się zamknęło.

Wreszcie w Nowym Jorku nastąpiła jesień i Ginny zrozumiała, dlaczego ludzie mówią o tej porze roku, że jest skąpą w złotym winie. Powietrze wydawało się tętnić życiem, kolor nieba nabrał głębi, szara mgiełka letnich upałów przeminęła. Wszędzie czuło się ożywienie, podniecenie, coś się zaczynało. Do miasta powrócili ludzie.

— Czuję się tak jak wiosną, tylko jeszcze lepiej. Już trochę się tutaj zaaklimatyzowałam — przyznała Ginny.

Pewnego dnia Eliot zabrał ją na przejażdżkę na północ, do Nowej Anglii, by zobaczyć kolory jesiennych lasów, jakich nigdy dotąd nie widziała. Złoto i brąz, rozdzielone pasmami szkarłatu, odbijały się w cichych niebieskich jeziorach, a wieżyczki białych drewnianych kościółków punktowały zbocza dolin. W powietrzu czuło się zapach ziemi i dymu z palonego drewna.

— Myślałam, że jesień musi być smutna — stwierdziła Ginny. — A tymczasem jest czymś najwspanialszym i najcudowniejszym, o czym mogłam tylko marzyć. Ojciec nigdy nie mówił mi, że jesień tak wygląda.

— Bo w Anglii jest trochę inaczej. Tu jest chłodniej, dlatego kolory są piękniejsze.

— Widziałeś jesień w Anglii?

— Owszem. Jesienne deszcze w Anglii są rzeczywiście bardzo smutne.

— Eliot?

— Słucham?

— Dlaczego fatygujesz się, żeby mi to wszystko pokazać?

— Ponieważ z tobą, Ginny, czuję się jakbym widział to pierwszy raz.

— Mówisz, jakbyś miał sto lat. Dlaczego robisz z siebie staruszka?

— Bo jestem nim. Myślałem, że o tym wiesz. — Najgorsze, że nigdy nie wiedziała, kiedy Eliot żartuje. Spacerowali po mokrym piasku jesienną

plaży na Cape. Słońce świeciło, ale nie dawało już ciepła. Kształtna głowa Eliota i jego profil rysowały się na tle zimnego niebieskiego morza. W tej jednej chwili był zarówno młody, jak i stary; piękny, młody mężczyzna naznaczony piętnem destrukcji. O tych chwilach nawet Barby nic nie wie, pomyślała Ginny; o chwilach, kiedy litość wzbierała w niej najmocniej, a on potrzebował jej najbardziej.

Nowy Jork obudził się jesienią do życia serią nowych wystaw artystycznych, premierami na Broadwayu, otwarciem sezonu w Filharmonii i Metropolitan Opera. Eliot obecny był na większości imprez, przeważnie towarzyszyła mu Ginny. Pierwsze koktajle wydały jej się ciekawe, ponieważ spotykała na nich zupełnie nowych ludzi. Nie było to towarzystwo z Southampton ani studenci, ani też ci, którzy zostawali na lato w mieście. Ludzie ci wprawiali w ruch show-biznes i przemysł artystyczny na całym świecie, mieli bystry wzrok i wiele energii, i dzięki nim miasto nabierało temperatury. Gdzieś koło listopada Ginny zaczęła myśleć, że już kiedyś ich wszystkich widziała — a jeżeli nie ich, to zupełnie identycznych. I dlaczego, zastanawiała się, wszystkie kobiety ubierają się na czarno? Na dwóch oficjalnych kolacjach wydanych przez matkę Eliota zobaczyła znowu twarze z Southampton, choć w końcu ich nazwiska zaczęły jej się mieszać z nazwiskami tuzinów innych ludzi, których poznała znacznie później.

— To beznadziejne — żaliła się Eliotowi. — Spotykam tyle ludzi, a tak naprawdę nie znam żadnego z nich.

Problemem stały się teraz ubrania, ponieważ letnie lniane szmatki po piętnaście dolarów nie pasowały już na te okazje. Zastanawiała się nawet, czy nie napisać do ojca, żeby przysłał jej trochę pieniędzy, ale wstyd jej było. Zrezygnowała więc z jednego z kursów na uniwersytecie i podjęła w czwartki wieczorem i w soboty pracę u Macy'ego jako ekspedientka. Oczywiście Eliot natychmiast to odkrył i wpadł w furję.

— Przecież wiesz, że chętnie bym ci pomógł! W końcu chodzisz na te przyjęcia, bo ja cię o to proszę.

— Mojemu ojcu nie spodobałoby się to, Eliot. Zresztą mnie również.

— A czy twój ojciec musi o tym wiedzieć?

Nie odpowiedziała i już to było przyznaniem mu racji; wstydziała się z tego powodu. Dopiero później przypomniała sobie, że Eliot nie skomentował w żaden sposób jej własnych obiekcji. Możliwe, że nie uważał ich za istotne. A ona dla swojej decyzji, a raczej decyzji, którą podjął za nią Eliot, wymyśliła jakieś mgliste usprawiedliwienie i żeby poczuć, że ma czyste sumienie podjęła na nowo zajęcia z historii sztuki i zapisała się na hiszpański dla zaawansowanych. I przystała na to, żeby Eliot zabrał ją na zakupy. Pozwoliła mu wybrać stroje i doradzać podczas przymiarek u krawca, przyznając, że zna się na tym lepiej niż ona. Większość z ubrań pochodziła od de Pinny. Nie

mogła zdobyć się na to, by zapytać o ceny, a Eliot nigdy na ten temat nie rozmawiał. Barby aż podskoczyła, gdy dostarczono zakupy do mieszkania.

— Co to znaczy? Czy ty nie wiesz, ile te kiecki kosztują? Setki dolców każda! Co do jednej! — Zmięta ze złością papierową serwetkę. — Jeżeli chcesz, możesz nazwać mnie zazdrosną wiedźmą, ale powtarzam ci, to nie jest w porządku. I co więcej, sama o tym wiesz. Och, do diabła, Ginny, tu już nie chodzi o ciuchy! Eliot Russell może mieć wszystko, o czym tylko zamarzy, ale ty wyrządzasz sobie krzywdę. Większości dziewczyn poradziłabym: no, dalej, łap, ile tylko możesz. Ale ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, że żyjesz w krainie z bajki. Przecież to nie będzie trwało wiecznie, a powrót na ziemię będzie cholernie bolesny.

— Przecież te sukienki są właśnie przeznaczone do krainy z bajki. Nie myślisz chyba, że jestem na tyle głupia, żeby chodzić w nich na co dzień, do pracy, czy na zajęcia. Właściwie to są ciuchy Eliota. Wcale do mnie nie należą. Będę w nich wychodziła tylko z Eliotem, poza tym niech sobie wiszą w szafie.

I tak rzeczywiście było; wisały tam, stroje Kopciuszka ze świata Eliota. Uważała je za obce. Chciała nawet napisać o nich ojcu, ale on nigdy by nie zrozumiał umowy, którą zawarła sama ze sobą, że założy je tylko w charakterze paszportu do świata Eliota. Nie rozumiałaby też jej głodu doświadczenia wszystkich stron tego świata. Wiedziała, że nie będzie czuła tego zawsze, tak jak i te wszystkie stroje nie były na zawsze. Traktowała je jako część tego, po co przyjechała do Nowego Jorku, tak samo jak przejazdy zatłoczonym metrem do pracy i drugie śniadania na stojąco u Nedicksa.

Pewnego wieczora, gdy jego matka wydawała po raz pierwszy kolację w domu na Piątej Avenue, Eliot wstąpił po Ginny. Na siedzeniu taksówki leżała peleryna z norek.

— Włóż ją, Ginny. Nie, nie patrz tak na mnie. To jest futro Lucy; zostawiła w Nowym Jorku całe mnóstwo strojów, a ja ich doglądam. Na pewno byłaby zadowolona, wiedząc, że włożysz je parę razy na siebie. Zapewniam cię, Ginny, że nie ma w tym nic złego. Ani tego futra nie ukradłem, ani nie kupiłem. Słowo honoru, należy do Lucy.

— Co w takim razie powie twoja matka, jak mnie w nim zobaczy?

— Nawet go nie rozpozna. Matka nie ma pojęcia, jakie Lucy ma ubrania.

Ginny przekonała się, że Eliot mówi prawdę, gdy oddawała norki pokojówce pani Russell i zobaczyła na podszewce inicjały L.R. Przyszło jej do głowy, że pokojówka mogła również zauważyć literki i donieść o tym pani Russell. Kiedy wróciła do domu, schowała pelerynę do kartonowego pudła i wsunęła na najwyższą półkę w garderobie, z dala od oczu Barby.

Naprawdę nieswojo poczuła się, gdy przyniósł jej biały płaszcz. To chyba najlepiej potwierdziło opinię Barby o Eliocie. Zabierał ją wówczas na inaugurację sezonu w Metropolitan Opera. Russellowie byli akurat w San Francisco, Eliot miał więc ich łożę do dyspozycji. Z gazet Ginny dowiedziała się, że wieczór ten miał dla Nowego Jorku szczególne znaczenie; ubierając

się czuła, nie wiedzieć czemu, wyraźne podenerwowanie. Była zadowolona, że Barby nie było w domu. Judith, dziewczyna, z którą dzieliła sypialnię, leżała na łóżku gapiąc się na nią.

— Boże, nie widziałam nigdy, by ktoś nosił na sobie coś takiego!

Suknia była z białego jedwabiu, prosta i luźna, z szerokimi ramiączkami. Uzupełniały ją rękawiczki sięgające powyżej łokcia. Kiedy Eliot przyjechał po nią, skinął głową z aprobatą, po czym wręczył jej płaszcz, który miał przewieszony przez ramię.

— Zrobiło się już za zimno na futerko Lucy — powiedział.

Ginny już wyciągała ręce, gdy nagle zawisły w próżni. Poła płaszcza odchyliła się, odkrywając podbicie z rosyjskich karakułów. Zaparło jej dech.

— To nie jest płaszcz Lucy — powiedziała. Jego fason — podłużne wycięcie pod szyją, brak kołnierzyka — był bardzo świeży, z całą pewnością nie noszono takich trzy lata temu.

— A jakie to ma znaczenie? Musisz przecież coś na siebie włożyć.

Próbowała zaprotestować, ale szybko przestała. Już suknia, którą miała na sobie, nie dawała jej najlepszego świadectwa, nie mówiąc o rękawiczkach czy halce, bez której suknia nie układałaby się odpowiednio. Wszystko to należało do Eliota. Nie zachowała dla siebie nawet skrawka niezależności. Jej stroje bez wyjątku należały do niego, a ona, nosząc je, służyła jako manekin. Poczowała się poniżona, ale było za późno na protest. Miała na to czas przed pierwszą suknią. W milczeniu wzięła od niego płaszcz.

— Zanim się w niego ubierzesz, chciałbym, żebyś włożyła jeszcze to. W końcu to bardzo specjalny wieczór w Metropolitan. — Wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyciągnął naszyjnik ze szmaragdów i diamentów, niedbale, jakby to była zabawka. — Należy do Lucy i jutro rano wróci na swoje miejsce w sejfie, więc przestań patrzeć na mnie, jakbym ci wciskał coś kradzionego.

Patrzyła zafascynowana. W rękę Eliota szmaragdy miały barwę nieskończenie bardziej ciepłą i żywą niż zwodnicze i niedostępne klejnoty, w które wpatrywała się na wystawie u Tiffany'ego. Nie mogła oderwać wzroku od naszyjnika, choć zdawała sobie sprawę, że w bałaganie mieszkania Barby wygląda on dość absurdalnie.

— Lucy — zaczęła wolno, z utkwionymi w naszyjnik oczami — nigdy nie zgodziłaby się, żeby obca osoba nosiła jej biżuterię. Nigdy!

— A jednak zgodziła się. Zatelegrafowałem do niej. Lucy nie ma instynktu posiadania, jak i ja. Może dlatego tak pasujemy do siebie.

— Nie wierzę w to. Dlaczego miałyby trzymać swoją biżuterię tutaj, w sejfie? Dlaczego sama jej nie nosi?

— W otoczeniu Lucy nosi się teraz coś innego, biżuterię z ceramiki, która wygląda byle jak, a kosztuje krocie. Jako wyraz protestu. Prawdziwą odesłała tutaj, ponieważ sama jest osobą niezbyt ostrożną i zdaje sobie z tego sprawę. A jeśli wróci jej na nią ochota, Cartier w Paryżu zrobi nowy komplet i znowu będzie zadawała szyku. — Uśmiechnął się blade. — Widzisz więc,

Ginny, że założenie ich ten jeden raz nie przyniesie ci żadnej ujmy. Klejnoty wymagają noszenia, w sejfie stają się zimne i wyblakłe. — Stał za plecami dziewczyny, która poczuła nagle ciężar naszyjnika i palce zapinające go na jej szyi.

— Zresztą to nic nowego — dodał. — Co druga kobieta wypożycza biżuterię na dzisiejszy wieczór. Co więcej, jubilerzy wynajmują modelki, żeby pokazały się w nowych wzorach i robiąc furorę, zachęcały inne kobiety do ich kupowania.

Ginny nic nie odpowiedziała. Nie była to przecież wyjątkowa propozycja, którą mogłaby odrzucić; była to część całości, która zaczęła się w momencie, gdy kupił jej pierwszą sukienkę. Wślizgnęła się w płaszcz, który podawał jej Eliot. Zeszła za nim cztery piętra po nędznych schodach, a połysk jedwabiu wydawał się rozświetlać ich ponurość. Czuła, jak naszyjnik nabiera na jej szyi ciepła. Wiedziała, że od tego momentu stała się ostatecznie i bez reszty niewolnicą pieniędzy Eliota Russella.

Była sobota przed Bożym Narodzeniem, gdy Ginny zdała sobie sprawę, że jej związek z Eliotem dobiega końca, a przynajmniej musi coś się w nim zmienić. Dokładnie nastąpiło to w niedzielę nad ranem, około trzeciej. Była już tak zmęczona, że początek wieczoru spędzanego z Eliotem wydawał jej się odległy o parę dni. Byli na jakimś musicalu na Broadwayu, następnie na kolacji, a potem Eliot zabrał ją do ulubionego nocnego klubu, gdzie padały dowcipy lekkie i aluzyjne, i nie było dziewczyn do towarzystwa. Siedział tam i siedział, pałąc, pijąc niewiele, a Ginny czuła, że zmęczenie otula jej mózg jak mgła. Świadoma była, że zbyt często zdarzają się takie wieczory — siedzi gdzieś do późnej nocy i nie ma czasu przespać się choć trochę przed pójściem do konsulatu. Dwa tygodnie temu zasnęła podczas wykładu. Poczuła na sobie wzrok profesora, kiedy ocknęła się od kuksańca sąsiadki. To także stało się u niej czymś zwykłym. Z żadnego kursu, na jakie zapisała się w tym semestrze, poza hiszpańskim, nie dostała pozytywnej oceny i wiedziała, że zbliża się czas rozrachunku. Nie będą trzymać jej dłużej na uniwersytecie, ani ona nie będzie o to zabiegać. Popatrzyła na komika, który kończył właśnie występ na parkiecie, uzmysławiając sobie, że nie dotarło do niej ani jedno słowo z jego skeczu. Roześmiała się machinalnie, w ślad za Eliotem, który, wraz z ostatnimi ukłonami artysty, podniósł się i podał jej biały jedwabny płaszcz. Kiedy zapinała guziki, zdawało jej się, że nakłada na siebie jakąś szatę pokutną, sztywną, duszącą, za którą — choć nie kosztowała jej ani grosza — zapłaciła zdecydowanie zbyt wysoką cenę. Odczekała moment, aż Eliot się ubrał, i wyszli razem na zewnątrz. Wówczas dopiero zorientowali się, że pada śnieg.

Padał drobnymi, lodowatymi płatkami, przylepiając się do wszystkiego. Niesione wiatrem śnieżynki zdążyły się już zgromadzić na rynnach i pod ścianami domów. Wszystkie daszki wzdłuż ulicy były białe od śniegu, który sztywną warstwą pokrywał niskie, wiecznie zielone krzewy u wejścia do klubu.

— Kazałem przestawić pański samochód, panie Russell. — Alfa Romeo stał zaparkowany tuż przed nimi. Ginny zauważyła, że w tych rzadkich przypadkach, gdy Eliot decydował się skorzystać ze swojego samochodu w mieście, nigdy nie parkował sam, ale w jakiś cudowny sposób zawsze auto było pod ręką, gdy chcieli wracać. W dodatku za wycieraczką nie było kwitka za parkowanie. Takie usługi kosztowały oczywiście znacznie więcej niż opłata za taksówkę.

— Kiedy zaczęło padać? — zapytał Eliot, kiedy portier prowadził Ginny do samochodu.

— Mniej więcej przed godziną, proszę pana. Słyszałem przez radio, że w Bostonie napadało już siedem cali, a koło południa u nas ma być dwanaście.

Eliot trzasnął drzwiami od swojej strony.

— Dobry dzień, żeby zostać w łóżku. Potrzebujesz snu, Ginny.

— Owszem.

Podczas całej drogi do Village nie odezwał się ani razu. Jechali Park Avenue. Drobne płatki śniegu wirowały wokół auta, zasłaniając niemal wysokie budynki po drugiej stronie szerokiej ulicy i przylepiając się do przedniej szyby. Wydawało się, że jadą tunelem. Oświetlone choinki przysypane były śniegiem. W mieście panowała śmiertelna cisza. Słychać było jedynie szum wycieraczek i ostry świst uderzających o szybę drobinek lodu.

Oparła się wygodnie, czując ciepłą miękkość futrzanego podbicia na nagich ramionach, pogrążając się w otaczającym ją białym i cichym świecie.

I nagle odezwał się Eliot:

— Wiesz, Ginny, bardzo cię lubię.

Odpowiedziała machinalnie i bez namysłu, gdyż zmęczenie otępiło jej rozsądek:

— I ja ciebie lubię.

— Powiniennem poprosić cię o rękę, tyle że nic by z tego nie wyszło. Znam mężczyzn takich jak ja, którzy żenią się i mają dzieci, i z pozoru wszystko jest w porządku. Ale to się nie uda. Nie uda się, jeśli będziesz się czuła tak jak ja. Będę nieszczęśliwy i ciebie też unieszczęśliwię. Nic z tego nie wyjdzie, prawda?

— Czy zadajesz mi pytanie, Eliot? Chcesz, żebym ci odpowiedziała?

— Nie! — Niepotrzebnie i ryzykownie dodał gazu na oblodzonej ulicy, rozpraszając hałasem silnika panującą ciszę. — Nie, nie zadaję pytania. Po prostu mówię ci, że nic z tego nie wyjdzie.

5

Po raz pierwszy w życiu Ginny po przebudzeniu doświadczyła tak przejmującej ciszy. Leżała bez ruchu, wpatrując się w zegar. Minęło już południe. Wciąż panowała ta dziwna cisza. Dziewczyna przeniosła wzrok ku szczelinie w zasłonach — pasmo dziennego światła było jaskrawo, nienatural-

nie białe. Okno było lekko uchylone, więc powietrze w pokoju było jak zamrożone. Przez chwilę popatrzyła zdziwiona na zasłane łóżko Judith, póki nie przypomniała sobie, że do Bożego Narodzenia pozostały zaledwie dwa dni i współlokatorka poprzedniego dnia pojechała do domu, do Chicago. Na myśl o świętach i o domu ogarnął ją smutek, a jednocześnie niewyraźne poczucie winy, które zresztą towarzyszyło jej od pewnego czasu. Odwróciła się na drugi bok i naciągnęła koc na głowę. Zapomnieć o Bożym Narodzeniu choć na chwilę, mówić do siebie... i o domu, i o Eliocie. W salonie zadzwonił telefon; po chwili dotarł do niej, jak przez mgłę, głos Barby. Zamknęła oczy i ponownie zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, usłyszała głosy — ostry, podekscytowany Barby i niski jakiegoś mężczyzny. Przez kilka minut leżała odpędzając od siebie sen i nagle uświadomiła sobie, że wsłuchuje się w rytm i intonację głosu mężczyzny, którego zna i kocha.

Zerwała się na równe nogi; fala zimna otrzeźwiła ją do reszty. Nastawiła ucha — teraz była pewna. W jednej sekundzie znalazła się przy drzwiach i pchnęła je do oporu.

— Jim, to ty? To naprawdę ty?

Zobaczyła go. Wydał jej się trochę obcy — wyprostowany, w tweedowej marynarce i krawacie. Ale to był ten sam Jim, ze zbrązowiałą i wysmaganą wiatrem twarzą człowieka, który pracował na otwartym powietrzu przez ostatnie dwa lata. Pokój był zalany mocną, białą poświatą, odbiła się od śniegu, grubą warstwą zalegającego dachy budynków, ulicę, a nawet podokienne parapety. Była niezmiernie świetlista, surowa, nierealna. Rozjaśniona twarz Barby wyglądała upiornie, z ustami przecinającymi jak czerwona krecha jej bladłość. To światło było kwintesencją miasta, zimną i wspaniałą.

— Jim? — Wciąż nie mogła uwierzyć. Odstawił na bok filiżankę z kawą. — Naprawdę jesteś tutaj? — Rzuciła się ku niemu, a on chwycił ją w ramiona i kołysał jak dziecko, ciepłe jeszcze od pościeli, obudzone właśnie z długiego, koszmarnego snu. Ręka Jima w znajomy sposób gładziła jej rozwichrzone po śnie włosy, a jej łzy były łzami dziecka, szlochającego z wyczerpania i poczucia ulgi. Delikatnie kołysał ją w ramionach.

— Tak się cieszę, że przyjechałeś, Jim.

Nieco później wróciła do sypialni, włożyła szlafrok i kapcie, uczesała włosy. Jej twarz w lustrze była zmęczona i bladezielonkawa. Lekko uszminowała usta, ale zaraz starła pomadkę, ponieważ z nią wyglądała jeszcze gorzej. Kiedy wróciła do salonu, okazało się, że Barby zaparzyła więcej kawy i Ginny z wdzięcznością przyjęła od niej filiżankę. Trzymała ją obiema dłońmi, jakby w obronnym geście, zasłaniając nią twarz przed badawczym wzrokiem Jima.

Teraz była już na tyle opanowana, by zapytać:

— Kiedy przyjechałeś? Dlaczego...?

— Przez ostatnie trzy dni byłem w Bostonie na rozmowach w sprawie pieniędzy z dwoma braćmi, którzy przyłączyli się do syndykatu sześć miesięcy temu. Myślę, że jest spora szansa, by zrobić coś naprawdę dużego na St. Nicolaas, ale trzeba ich do tego przekonać. Mam nadzieję, że wyłożą na to pieniądze, ale dopóki nie podpiszą czeku, nie można być pewnym. Faceci od forsy nie są romantykami i nie dadzą się przekonać do idei plaży z palmami, jeśli nie zobaczą za nią solidnego zysku. To cholernie nieuprzejme z ich strony, prawda? — Uśmiechnął się wesoło strącając popiół z papierosa do popielniczki i Ginny na nowo rozpoznała w nim tę siłę, z którą zawsze próbował zmusić ją do działania na własną rękę. Zrozumiała nagle, że Jim oczekuje niecierpliwie wyniku czekającej go walki, udowodnienia, że ma rację, jeśli chodzi o St. Nicolaas. Nie wykazywał najmniejszych objawów wahania.

— Rozmowy w Bostonie przeciągnęły się i wyjechałem dopiero wczoraj po południu. Tuż przed śnieżycą. Dzwoniłem do ciebie z Bostonu, ale chyba nie było nikogo w domu. Ostatniej nocy znowu nie udało mi się ciebie złapać. Między telefonami miałem rozmowę z dwoma Kubańczykami, którym udało się wymknąć od Castro, a którzy, jak twierdzą, pracowali w Hawanie jako kucharze w Hiltonie. Muszę im wierzyć, ponieważ Francuz z Martyniki, który prowadzi kuchnię w Oranje Cove, nagabuje mnie wciąż o doświadczonych pomocników. Ci dwaj faceci uczepili się szansy pracy i perspektywy powrotu do ciepłych stron. Polecono mi ich, muszę zresztą im zaufać, bo ich potrzebuję. Miejscowa pomoc na St. Nicolaas wciąż uważa, że tylko głupiec będzie się spieszył dlatego, że goście mogą dostać rozstroju żołądka, jeśli będą musieli czekać na posiłek dwie godziny. Powiedziałem więc Kubańczykom, by spakowali bagaże, a jeśli będą dobrze pracować, porozmawiamy o sprowadzeniu także ich rodzin. Lecą razem ze mną.

— Kiedy?

— Pierwszym samolotem do San Juan, jaki wystartuje, gdy tylko odśnieżą pasy na Idlewild.

— Nie, to niemożliwe! A jeśli to będzie jeszcze dziś wieczorem? Nawet nie będę miała czasu, żeby pobyć z tobą...

— Słuchaj, Ginny — wtrąciła się Barby — on też ma swoje problemy. Mówił mi, że hotel pełen jest ludzi, oczekujących na wystrzałowe święta, i nikt tam nie rzadzi, nie licząc kilku przyjaciół z dobrymi intencjami, w tym twojej matki. Chyba lepiej, żeby tam był razem ze swoimi wicedyrektorami. O rany, ale będą mieli kapitalne święta! — Coś w jej głosie sprawiło, że Ginny spojrzała na nią ukradkiem. Barby była bardziej ożywiona niż kiedykolwiek, bardziej dziewczęca, wpatrzona w Jima, jakby nigdy nie zamierzała oderwać od niego wzroku. Nie wyglądało na to, by miała zamiar zostawić ich samych. Nagle Barby zanosła się nietypowym dla niej, perlistym chichotem.

— A nie potrzebujesz na jakiś czas barmanki? Potrafię zmiksować najprawdziwsze w świecie martini.

I to Barby, pomyślała Ginny, Barby, która uważa, że St. Nicolaas leży na końcu świata!

Jim uśmiechnął się.

— Jeśli tylko będzie mnie stać, żeby cię zatrudnić, dam ci znać. Nawet gdybyś miała tylko kontrolować rachunki w barze i wydawanie reszty. Nie żeby obecny personel był nieuczciwy... oni po prostu uważają, że z liczeniem jest za dużo kłopotu.

— No to już mnie masz — odparła Barby. — Napisz tylko słówko, a natychmiast przyjeżdżam. Nie zdarzyło się jeszcze, bym pomyliła się choćby o dwa centy przy odliczaniu reszty.

— To naprawdę pożyteczne... bardzo pożyteczne. Będę o tobie pamiętała. Ginny zerwała się na nogi.

— Przepraszam. Pójdę wziąć prysznic. Aż strach na mnie patrzeć.

— Masz rację — zgodził się z nią Jim. — Wątpię, czy nawet Bo rozpoznałby cię z tą ziemistą cerą po nocy spędzonej na mieście.

— Och, zamknij się! — rzuciła wściekła i trzasnęła za sobą drzwiami. Biorąc prysznic i ubierając się, słyszała regularne wybuchy śmiechu Barby, co wcale nie poprawiło jej humoru.

— Nie miałam pojęcia, że Jim potrafi się aż tak wygłupiać — powiedziała do swego odbicia w lustrze.

Przedzierali się przez zaśnieżone ulice do knajpki Maria, by coś zjeść. Ruch uliczny prawie zamarł, nie licząc pojedynczego autobusu na Piątej Avenue, jadącego jedynym pasem, który pługom śnieżnym udało się oczyścić. Hałas uliczny, którego tak brakowało Ginny, gdy się obudziła, jeszcze nie powrócił. Zastąpił go dźwięk metalowych szufli odśnieżających chodniki i pokrzykiwania ludzi z głębi zasypanej śniegiem ulicy. Samochody stały w śniegu po okna, a niektóre małe, zagraniczne modele zniknęły pod zaspami całkowicie. W tej nietypowej scenarii panowała atmosfera ogólnej wesołości; ludzie pogodnie rozmawiali ze sobą, odgarniając śnieg ze schodów i przekopując ścieżki przez zaspę.

— To dlatego, że jest niedziela — wytłumaczył Jim. — Gdyby musieli iść do pracy i przebijać się przez czternaście cali śniegu, na pewno nie byłiby tacy beztroszy. — Chwyć mocno ramię Ginny przez kożuch. — Przynajmniej będziesz miała swoje białe Boże Narodzenie. Nie odkopią się z tego przez tydzień.

— Ale ciebie... ciebie tu nie będzie. — Dotarli do Washington Square, gdzie Jim zatrzymał się na chwilę, żeby dać popatrzeć Ginny jak buldożer formuje ze śniegu niewielkie wzgórze, po które przyjeżdżają ciężarówki. — Wcale nie chcę, żeby oczyścili miasto tak szybko... Chciałabym, żeby znowu zaczęło padać i żebyś się nie mógł stąd wydostać. Byłoby cudownie, gdybyś został tu na Boże Narodzenie.

— A moi klienci nad Oranje Cove chcieliby, żebym już tam był. — Pociągnął ją. — Chodź, zanim zamarznie na śmierć. Gdzie jest ten twój Mario?

— Dwie przecznice dalej. — Ruszyła niechętnie, zawiedziona pogodnym tonem, jakim mówił o powrocie na St. Nicolaas na święta. — Otwiera w niedzielę... ale może z powodu śniegu...

— Zdziwisz się, jak wielu nowojorczyków zachowuje się jak gdyby nic się nie wydarzyło. Śniegiem przejmują się tylko mieszkańcy przedmieść. O, to tu, prawda? W środku się świeci i... — zamasyście otworzył drzwi. — Na drzwiach jest wywieszka OTWARTE! Nie mówiłem ci?

Lampy u sufitu i przy barze świeciły się, lecz knajpka była pusta. Stoliki przykrywały jak zwykle obrusy w czerwono-białą szachownicę, jednak na żadnym nie leżały nakrycia. Było niesamowicie cicho, jakby przyszli na bal w niewłaściwy wieczór. Jim podszedł do baru i zastukał w kontuar. Drzwi od kuchni otworzyły się i stanął w nich sam Mario.

— Pracujecie dzisiaj? — zapytał Jim.

Mario wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

— Sam pan widzi jak jest. Niby otwarte, ale nie ma kucharza ani kelnerów. To niedojdy. Trochę popada i zostają w łózkach. Jeden właśnie zadzwonił. „Słuchaj, powiedział, metro tu nie dojeżdża. Co mam robić? Iść na piechotę?” Dawniej na pewno by szli! Oczywiście mogę was poczęstować drinkiem, bo widzę, że pan i młoda dama jesteście na piechotę, a piechurzy potrzebują czegoś odżywczego.

Jim zwrócił się do Ginny.

— Dostaniemy drinka. Co powiesz na duże, wytrawne martini? A może mają w lodówce trochę oliwek i naciowego selera? Może nawet plasterek salami?

Mario wyszedł energicznie zza baru; wyraz melancholii ulotnił się z jego twarzy. Podczas gdy Jim pomagał Ginny zdjąć okrycie, Mario odsunął krzesło.

— Tutaj, młoda damo. Przy kaloryferze będzie ci cieplej. I proponuję zdjąć buty, wyglądają na przemoczone.

Machnął ręką, gdy zaczęła protestować.

— A kto to zobaczy? Zdejmij je, a ja przyrządzę wam najlepsze w Nowym Jorku martini, z salami — prawdziwa poezja — i ciemnym chlebem, który przyprawi was o łzy zachwyty, mimo że jest wczorajszy. Każdy, kto przebiję się dziś przez śnieg, zasługuje na poczęstunek.

Kiedy odchodził, Jim chwycił go za rękaw.

— Mario, jak dawno nie stałeś przy kuchni?

Oczy Włocha zwięźliły się. Wyjrzało z nich zdziwienie, ale i czysta radość.

— Chce pan, żebyśmy coś ugotowali? — Zatarł ręce. — A zjecie to, co wam przygotuję? No to słuchajcie. — Jego wzrok wędrował od Jima do Ginny. — Prawdziwe antipasto... *oragonato* ze ślimakami... może *parmigiano* z cielęciny. — Wzruszył ramionami. — Zobaczymy, co się da zrobić.

Ginny uśmiechnęła się lekko na myśl o jedzeniu.

— Jestem strasznie głodna — powiedziała.

Mario utkwiał w niej wzrok: — Dla ciebie, młoda damo, chętnie stanę przy kuchni.

Trzy minuty później postawił przed nimi wielkie, lekko oszronione kielichy martini. — A pan mógłby obsłużyć bar? — zapytał Jima.

Jim pociągnął łyk, zanim odpowiedział: — Nigdy nie piłem lepszego martini, Mario. Oczywiście obsłużę bar.

W drzwiach kuchni Mario chwilę się zawahał, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do frontowych drzwi. Wyrżał na ulicę i pokręcił głową.

— Kto mógłby tu przyjść w taki dzień?

Usunął wywieszkę OTWARTE i zgasił wszystkie światła, poza jednym przy barze i dwoma w pobliżu ich stolika. Półmrok sali tchnął ciepłem i zapachem czosnku. Ginny, patrząc na Jima, przysunęła zmarznięte nogi do kaloryfera. Łyknęła drinka i westchnęła z zadowoleniem. Najróżnorodniejsze kawałki Nowego Jorku, wszystkie fragmenty, jakie miasto ciskało jej pod nogi w ciągu ostatniego roku, połączyły się tutaj w jedną wspaniałą całość.

Był to posiłek złożony z wina, dobrego humoru i błogosławionego poczucia własnej słuszności; według Ginny coś takiego może się zdarzyć nie więcej niż raz czy dwa w życiu. Gawędzili sobie jak kochankowie, którzy znaleźli czas i odpowiednie miejsce, by stać się przyjaciółmi. Miała za sobą rok wygnania, była o rok starsza i wierzyła, że Jim uwolnił się już od obsesyjnych myśli o Julii. Czuła, że może sobie pozwolić na nieliczenie się z czasem, bo tyle go jeszcze mieli przed sobą.

Kiedy opychała się jedzeniem przyniesionym przez Maria, Jim dociął jej: — Teraz zaczynasz wyglądać jak kobieta. Kiedy pojawiałaś się dzisiaj popołudnia, pomyślałem, że jesteś na wpół zagłodzonym upiorem, hodowanym przez Barby.

Roześmiała się tylko.

— Uważasz, że oddawałam się rozpuście na swój sposób, prawda? Po cóż innego miałabym jechać do Nowego Jorku?

Oczekiwała, że Jim powie: „Słuchaj, twój czas tutaj dobiegł końca, powinnaś wrócić do domu.” Nie powiedział tego jednak. Wyjął za to portfel z niewyraźnym uśmiechem.

— Rozpuście w wyższych sferach, jeśli dobrze widzę.

Z portfela wyciągnął wycinek z gazety i podał go Ginny.

— Odkryła go oczywiście Susie Marshall i zrobiła wszystko, by trafił do mnie. Jeśli to zrobiło wrażenie na Susie, to musiałaś się naprawdę dobrze bawić.

Spojrzała na trzymany w ręku kawałek papieru. Tekst i zdjęcie zafalowały jej przed oczami w nagłym poczuciu winy. Był to wycinek z „Time'a” z fotografią Eliota Russella. Tuż za nim widniała jej własna twarz. Miała na sobie białą suknię i szmaragdy Lucy Russell. Tytuł notatki brzmiał: „Russell na otwarciu sezonu w Metropolitan.” Pod spodem biegł tekst: „Dla uczczenia mijającej w ubiegłym tygodniu trzydziestej rocznicy urodzin, Eliot Russell III, znany playboy i wnuk giganta naftowo-drzewnego Eliota Russella, otrzymał swój drugi fundusz powierniczy w wysokości dziesięciu milionów dolarów. Russell skomentował to żartobliwie: »Przyda się, by kupić parę obrazów.«”

Ginny odłożyła wycinek na stolik. Jej własna twarz spoglądała na nią z gazety zimno i bezosobowo, lekko znudzona.

— Nie widziałam tego — powiedziała. — Nie wiedziałam, że były urodziny Eliota. I o tych pieniądzach też.

— Przypuszczam, że nawet gdyby cię obsypał paroma dodatkowymi milionami, niewarte byłoby to wzmianki. Ale Susie miała rację, musiałś się naprawdę dobrze bawić.

Stuknęła palcem w kartkę papieru.

— To wszystko nieprawda. Eliot wcale nie jest playboyem. Może był nim kiedyś, ale to minęło. Jest...

Brwi Jima uniosły się sceptycznie.

— Ty też nie postępujesz niewłaściwie... Po czymś takim St. Nicolaas musi ci się wydawać okropnie nudna i nędzna. — W jego głosie zabrzmiała nuta goryczy i urazy. — Strasznie dużo kawałków lodu ma pani na szyi, moja droga, strasznie dużo! A może to sztuczne? Tyle że jakoś trudno mi sobie skojarzyć pieniądze Russella ze sztucznymi diamentami...

Ginny spurpurowiała i nic nie mogła na to poradzić.

— Są wypożyczone... wypożyczone! — krzyknęła niemal. — Wypożyczone tylko na tę jedną noc. Jim, nie patrz tak na mnie! Czy ty wyobrażasz sobie, że Eliot dał mi to w prezencie? Chyba straciłeś zmysły, jeśli myślisz, że mogłabym coś takiego przyjąć.

Wzruszył ramionami.

— A kimże ja jestem, by znać zwyczaje bogaczy? Przede wszystkim takie błyskotki mógł pożyczyć ci tylko ktoś znajomy, prawda?

— Jim... — Z piersi Ginny wyrwało się długie, ciężkie westchnienie. — Ty mi nie wierzysz?

Spojrzał nagle na zegarek i podniósł się. Pochylił się nad nią.

— Jesteś przecież córką Johna i Katrien — podkreślił. — I jesteś zbyt dumna, by sprzedać swoją niezależność za naszyjnik czy wieczór w operze, prawda? — Zanim zdążyła odpowiedzieć, wyprostował się i nie pozwalając jej dojść do słowa, dodał:

— Przepraszam na chwilę. Zapomniałem, że czas leci. Powinienem być zadzwonić do PanAmu godzinę temu.

Kiedy się oddalił, poczuła straszliwą pustkę, której nie mogła pokonać. Wspaniały nastrój minął; zniknął, gdy Jim wyciągnął wycinek z gazety. Nie uwierzył jej, ale też nie dbał o to, co zrobiła. Zdjęcie, pieniądze, naszyjnik, a także suknia też sugerowały, ale to przecież nie było prawdą. Nigdy nią nie będzie. Czekwała na Jima, żeby mu to wyjaśnić. On musi zrozumieć, że to tylko skutek samotności i zadziwienia małym, zamkniętym światem bogactwa, który otworzył przed nią Eliot. Światem, który fascynował ją przez to, że był taki niedostępny, chociaż normalnie na myśl o nim tylko wzruszała ramionami. Musi ją wysłuchać, ponieważ tyle ma mu do powiedzenia.

Jednak pierwszy nadszedł Mario, z filizankami włoskiej kawy, czarnej

i gorzkiej, i butelką Remy Martin. A tuż za nim zjawił się Jim, nalegając, by Mario usiadł i napił się z nimi. Spojrzała pytająco na Jima.

— Co powiedzieli w PanAmie?

— Za godzinę będą wiedzieli więcej. Poradzili, żebym zadzwonił jeszcze raz. Podałem im też numery telefonów: do hotelu, do Maria i do mieszkania Barby. — Mówił lekkim tonem, jakby perspektywa wyjazdu nie miała większego znaczenia. Ginny nie odezwała się, gdy napełniał kieliszki. Jim spojrzął na Maria i uniósł ku niemu kieliszek.

— Mario, to była wspaniała kolacja. Gratuluję ci, jak restaurator restauratorowi. — Głos miał odrobinę ochrypły, a kieliszek drżał mu w dłoni.

Mario osłupiał.

— Prowadzisz restaurację? — Uderzył ręką w blat stołu. — Wiedziałem! Wiedziałem, że coś się za tym kryje. Nie dla każdego zamykam lokal i wracam do kuchni! O nie! Ale kiedy mam do czynienia z kimś z mojej branży...

Jim uniósł rękę.

— Chwileczkę, Mario! Tak naprawdę to nie należę do twojej branży. Jestem hotelarzem i zaczynam się dopiero uczyć, jak karmić moich gości. Właśnie wynająłem dwóch kucharzy...

Mario rozjaśnił się, jakby usłyszał hasło bojowe.

— W takim razie pozwolisz, że powiem...

Przez następną godzinę obaj mężczyźni popijając Remy Martin rozmawiali o potrawach i winie, kucharzach, obrusach i nakryciach, o restauracyjnych złodziejaskach, zamawianiu i magazynowaniu towaru. O naciskach związków zawodowych w Nowym Jorku i kłopotach z niedoświadczoną pomocą w St. Nicolaas. Ginny słuchała, a Jim starał się jej nie zauważać, pozornie całkiem pochłonięty dyskusją z Mariem. Szukała wzrokiem jego oczu, ale wciąż umykały w bok.

— To jest mały hotel — protestował Mario. — Tylko sześć pawilonów? Tyłu ludzi mogę nakarmić z jedną ręką związaną za plecami! Masz w kuchni Francuza? I ci dwaj Kubańczycy! Przyjacielu, czekają cię same kłopoty. Powiedz mi tylko jedno — po jakiemu będą w kuchni rozmawiać?

— Teraz jest tylko sześć, ale dalszych osiem już się buduje. A kiedy je skończymy, pomyślimy o następnych. To jest ekskluzywny hotel... Muszę gości dobrze karmić...

Wtem zadzwonił telefon stojący na barze; Mario wygramolił się z krzesła i poszedł odebrać.

— Jim...? — zaczęła Ginny.

— Do ciebie, Jim — zawołał Mario.

Jim znalazł się przy telefonie w jednej chwili. Mario znów usiadł przy stoliku.

— Twój przyjaciel jest szalony. Polubiłem go, ale jest naprawdę szalony. Dlaczego architekt bierze się za hotelarstwo? Budować domy, to rozumiem. Ludzie muszą gdzieś spać, jeść, mieć dzieci... Ale prowadzić hotel? Trzeba chyba zwariować...

Jim stanął obok nich.

— To jest to, Ginny. PanAm mówi, że spodziewają się oczyścić pasy za trzy godziny i trzeba być wtedy gotowym do odlotu. Muszę zebrać swoich chłopaków i ruszać...

Skinęła głową i sięgnęła pod stół po swoje buty. To jest to, jak powiedział. Przyjechał, a teraz odjeżdża i cały rok odjeżdża razem z nim. Nastrój kolacji był tylko złudzeniem, zrodzonym z nostalgii i wina, i dla każdego z nich oznaczał coś innego. Dla niej był tym, czym pewnie nigdy nie mógłby być dla Jima. Wstając i żegnając się z Mariem wydawała się z tym pogodzona.

— Dziękuję. To był jeden z najlepszych posiłków w moim życiu.

To jest kwestia dumy, pomyślała. Tego dnia Jim nie zobaczy moich łez po raz drugi.

W ten sposób Ginny zostawiła za sobą dziecięcy wymiar swej miłości, który pozwalał jej na szukanie w Jimie ochrony i uspokojenia, na przytulanie się do niego, by gładził jej włosy. Przestała być dziewczynką biegającą po plaży ze swoim psem — i on powinien się o tym dowiedzieć.

Na zewnątrz hulał wicher, unosząc w dzikim tańcu tumany śniegu z dachów i okapników. Szli pod wiatr, ostre cząsteczki lodu kłuły powieki Ginny. Dróżki wykopane w śniegu były zbyt wąskie, żeby mogli iść obok siebie, ale Jim trzymał się tuż za nią i kiedy podmuchy nasiliły się, objął ją ramieniem. Szli z twarzami zwróconymi w bok, by ochronić je choć trochę przed zadymką. Zmierzchało; z ulic zniknęły dzieciaki i ludzie odgarniający śnieg. Odgłosy wesołych rozmów ucichły, pozostał jedynie świst wichru w wąskich uliczkach.

Na chwilę zatrzymali się niepewnie w holu domu Barby. Ginny poczuła na ustach pocałunek Jima. Pierwsza odwróciła twarz.

— Do widzenia, Jim. Szczęśliwej podróży. Przekaż im wszystkim całusy ode mnie.

— Nie zostawaj tu zbyt długo, Ginny — odpowiedział cicho. — Postaraj się wrócić jak najszybciej.

W jego głosie usłyszała coś więcej aniżeli konwencjonalne pożegnanie. Spojrzała na niego badawczo.

— O co chodzi? Coś się stało? Jim, czy z ojcem jest niedobrze?

Skinął głową.

— Prawdę mówiąc, nie wiem nawet jak bardzo. Katrien nie chce nic powiedzieć. Nie pozwoliła także napisać ci o tym — ani mnie, ani Albertowi. Powiedziała, że nie chce psuć ci pobytu...

— Miał następny atak?

— Dwa, od października... chyba niezbyt silne... ale nie jestem pewny — dokończył zmartwionym głosem.

Zacisnęła mocno rękę na poręczy. Poczuła na niej dłoń Jima.

— Biedna Ginny, popsuję ci nastrój, prawda? Sporo o tym myślałem, ale nie mogę zgodzić się z Katrien. Uznałem, że trzeba ci o tym powiedzieć.

Usta miała całkiem suche.

— Dobrze, że mi powiedziałaś. Przyjadę. Niebawem.

Lekko poklepał ją po ręku.

— Zuch dziewczyna. Dobrze mu zrobi, jak cię zobaczy. Jestem pewien. Nie zwlekaj za długo.

— Nie będę. — Cofnęła gwałtownie rękę. Nie może szukać w nim oparcia w każdej trudnej sytuacji. Tak właśnie postanowiła i zacznie od zaraz. — Lepiej już idź. Twój samolot... — Tylko tyle mogła z siebie wydobyć.

— Ginny...?

Gdy dochodziła do trzeciego piętra, usłyszała za sobą trzaśnięcie drzwi wejściowych.

— Barby, czy mogłabyś pożyczyć mi siedemdziesiąt dolarów na bilet powrotny do St. Nicolaas? — Widząc niezadowolone na twarzy koleżanki dodała szybko: — Jeśli nie możesz, pożyczę od Eliota, chociaż wolałabym tego nie robić. Muszę zdobyć pieniądze, wszystko jedno skąd.

Barby zgodziła się, gdy Ginny powtórzyła jej, co Jim powiedział o ojcu.

— Okej, ale musisz mi je zwrócić, słyszysz? Nie lubię pożyczać pieniędzy. Idź się pakować, a ja spróbuję zdobyć dla ciebie miejsce w PanAmie albo innej linii na tym kierunku.

Dziesięć minut później weszła do sypialni.

— Nie jest dobrze... Wszystko, co mogli obiecać, to że wpiszą cię na listę oczekujących, jeśli jutro z samego rana stawisz się na Idlewild. Coś mi się wydaje, że połowa Nowego Jorku chce się stąd wydostać.

— Muszę spróbować — odparła Ginny. — Nic więcej nie mogę zrobić.

Barby zapaliła następnego papierosa, oparła się o framugę drzwi i obserwowała bacznie Ginny pakującą ubrania.

— Chyba nie z powodu Jima tak się spieszysz? Bo jeśli tak, to nie pożyczę ci pieniędzy. To jest wspaniały facet, a ty na niego nie zasługujesz. Nie mam zamiaru pomóc ci go zdobyć.

Ginny podniosła głowę.

— Wiele bym dała, żeby to było z powodu Jima. Ale dzisiaj nie jestem mu wcale bliższa niż przed rokiem, a może nawet oddaliliśmy się od siebie jeszcze bardziej. Wtedy było mu trochę żal, próbował mnie czegoś uczyć. Teraz, po roku spędzonym w wielkim mieście, uważa, że mogę sama troszczyć się o siebie.

Barby roześmiała się piskliwie, co skończyło się jej zwykłym papierosowym kaszlem.

— No cóż, wygląda na to, że zrobiłabyś lepiej zostając u siebie na wsi. No a poznanie facetów w rodzaju Eliota Russella też tu nie pomogło, co? Coś z tego zawsze w tobie pozostanie, głowę daję! A facet taki jak Jim odgadnie to w minutę. Nie jest głupi.

— Spodobał ci się, prawda? — zapytała znając z góry odpowiedź.

Barby nie miała zamiaru zaprzeczać.

— Poszłabym za nim wszędzie. To prawdziwy mężczyzna, ci miejscowi nie dorastają mu do pięt. Jest zawsze sobą i nie obchodzi go, co ktoś o nim myśli. Jasne, jest samolubny i uparty, ale każda chciałaby spotkać choć raz kogoś tak pewnego siebie i tego co robi. Pewnie, że mi się podoba, jeszcze jak!

GINNY nic nie odpowiedziała. Wskazała tylko na wiszące w szafie stroje, za które zapłacił Eliot.

— Mogę je tu zostawić?

— Masz zamiar wrócić?

— Jeszcze nie wiem. Napiszę do ciebie, jak upewnię się, co z ojcem.

Barby wzruszyła ramionami.

— Dobra, zapakuję je w pudła. Muszę opróżnić szafę dla następnej lokatorki. A co zamierzasz zrobić z nim?

— Z Eliotem? A cóż tu jest do zrobienia? Nigdy nie było w tym układzie miejsca dla mnie... Poradzi sobie beze mnie, jak to robił przed moim przyjazdem. Zadzwoń do niego... nie, nie zadzwonię! Zaraz zacznę przekonywać, że załatwi mi rezerwację i tak dalej. Zadzwońi pewnie do dyrektora PanAmu i... — Odwróciła się od Barby i ukryła twarz w sukienkach wiszących w szafie. — Tym razem poradzę sobie bez poparcia Russella. Wrócę do domu jak zwykła Ginny Tilsit, bez pociągania za różne sznurki i rozkładania czerwonego dywanu. Będzie tak, jak było kiedyś. Tylko tak mogę wrócić do domu.

Barby zaciągnęła się głęboko dymem z papierosa.

— Pamiętaj, że po powrocie nigdy już nie będziesz taka jak dawniej.

Następnego dnia spędziła na Idlewild szesnaście godzin wśród tłumów pasażerów, których burza śnieżna zatrzymała na lotnisku. Byli wśród nich tacy jak ona — oczekujący na zwalnijące się miejsce, były płaczące dzieci. Wszechobecne kolejki tłoczyły się do barów i toalet. Terminal PanAmu, parasol ze szkła i betonu, wydawał się coraz brudniejszy, splugawiony tą przelewającą się ludzką falą. Ponieważ było zimno, śnieg nie tajał i każdą drogę oraz chodnik na całym lotnisku trzeba było oczyścić. Jedną z niewielu rozrywek w ciągu tych szesnastu godzin było obserwowanie ludzi, którzy przed śnieżycą zostawili na parkingach swoje samochody; próbowali teraz je odnaleźć pod niezliczonymi kopcami ze śniegu. Przez ten cały czas Ginny zjadła cztery hamburgery i wypijała osiem filiżanek kawy, bardzo starannie licząc wydawaną resztę. Oczekiwanie stawało się koszmarem. Za każdym razem, kiedy wracała z baru, wszystkie fotele na ogólnej sali były zajęte; musiała więc bezustannie krążyć po terminalu, do którego przez szklane ściany docierał blask śniegu. Pasy startowe wydawały się nie mieć końca; odrzutowce startowały jeden po drugim, ciągnąc za sobą smugi wypalonego paliwa po szarym niebie. Kiedy zapadł zmierzch, widać było już tylko światła

innych terminali lotniska; samoloty wznosiły się niewidocznie, a ich start sygnalizowały jedynie błyski światełek nawigacyjnych. Z szyb, za którymi zapadła ciemność, wyrzało ku niej własne odbicie. Czasami, w przybliżeniu smutku i poczucia straty, wydawało jej się, że widzi twarz ojca albo Jima, bezcielesną, podobnie jak wizerunki innych ludzi przebywających w obszernej, oświetlonej sali za jej plecami. W pewnym momencie odwróciła się szybko z niemyim krzykiem na ustach, przekonana, że twarz, którą widzi odbita w oknie, rzeczywiście należy do Jima. Ale nie odnalazła go wśród tłumu. Ruszyła dalej w swoją wędrówkę po terminalu.

Zadzwoiła do Barbę; poprosiła ją o powiadomienie Konsulatu Holenderskiego, że została wezwana do domu i prawdopodobnie już nie wróci. Potem zadzwoniła jeszcze raz, tylko po to, by z kimś pogadać. Kiedy wreszcie dostała miejsce w samolocie, odlatującym za trzy kwadranse, wysłała telegram do Eliota.

Nowy Jork opuściła w Wigilię, godzinę przed północą. Samolot wylądował na San Juan w noc Bożego Narodzenia, o wpół do trzeciej. Kontuar Caribairu był zamknięty, ale w PanAmie powiedziano jej, że jedyne bezpośrednie połączenie z St. Nicolaas jest w południe. Jeden z agentów PanAmu, który pracował dla Caribairu, pamiętał ją z czasów, gdy latała do szkoły w San Juan. Pożyczyła od niego dwa dolary na coś do zjedzenia i aspirynę, po czym postanowiła zdrzemnąć się na ławce w ogrodzie przy lotnisku. Budziła się co chwilę, niepokojona ugryzieniami moskitów i uporczywym lękiem, żeby nie przespać samolotu.

Wylądowali na nowym lotnisku w St. Nicolaas, dziwnie podobnym do wszystkich innych, o dwunastej czterdzieści pięć w Boże Narodzenie. Kiedy już odebrała bagaż, poszła do telefonu.

— Tato? Tu Ginny. Zdażyłam na świąteczny obiad? Jestem na lotnisku. Czy mógłbyś po mnie przyjechać?

Rozdział szósty

Najbardziej zmieniła się przez ten rok Katrien. Było to dla Ginny szokiem, bo tego zupełnie się nie spodziewała. Kiedy matka zbiegła po schodach na widok podjeżdżającego samochodu, Ginny stwierdziła, że jej młodzieńczość zniknęła. Katrien wyglądała teraz na swoje lata, na kobietę w średnim wieku. Wciąż była piękna, ale bardziej ocięzała, z pogrubiałymi rysami twarzy, lekko wysuszoną skórą. Ginny uświadomiła sobie, że to ona nosi na sobie piętno choroby męża.

Ojciec przyjechał po nią na lotnisko. Nie wyglądał inaczej niż zwykle. Szukała w nim wzrokiem jakichś zmian, ale nie znalazła nic szczególnego. Głęboka, stała opalenizna nabyta w ciągu trzydziestu lat skutecznie ukrywała wszelkie zmiany barwy jego twarzy. Ściegna szyi i przedramion były tak samo widoczne, jak przez minione lata, podobnie jak u innych szczupłych mężczyzn starzejących się w tropikach. Surowa, arystokratyczna twarz Johna Tilsita była taka jak zawsze.

Z początku nie zadawał na szczęście żadnych pytań. Wyczuła tylko jego radość w mocnym powitalnym uścisku.

— Witaj w domu, Ginny. Cieszymy się, że wróciłaś.

Zanim jeszcze samochód zatrzymał się na podjeździe Oranje Huis, Bo rzucił się w dół po schodach, biegł jednak sztywno, jak całym stary pies. Kiedy oparł się o nią przednimi łapami, Ginny pochyliła się pod jego ciężarem i momentalnie ły zakręciły jej się w oczach. Kiedy skończyły się pierwsze powitania, podszedł Albert de Kruythoff; jego nieśmiałą, ponurą twarz rozpromieniał rzadko spotykany uśmiech. Ucałował ją pospiesznie w policzek i uściśnął dłoń.

— Widzisz, twoi przyjaciele, Bo i Albert, wciąż tu są. Musiałem przeczuwać, że przyjedziesz, ponieważ przyniosłem dziś dodatkową gałązkę orchidei.

Jima oczywiście nie było. Rozejrzała się wokół wyczekująco, ale szybko

przypomniała sobie, że skończyły się już dla niego dni odpoczynku, że musiał zabrać się do pracy. Pobiegła galerią na drugą stronę domu, skąd rozciągał się widok na zatokę. Bo nie odstępował jej na krok. W dole stały parasole plażowe w jaskrawe pasy, na myśl o których tak się kiedyś wzdragała. W oczy rzuciło jej się molo, przy którym przycumowano „Oranje Lady”. Pod olbrzymim zewnętrznym dachem wykończonego już budynku restauracji stały stoliki. Pierwszych sześć pawilonów, też już wykończonych, skrywała roślinność, którą zasadził Jim. Na wzgórzu za restauracją rozpoczęto nową budowę, jednakże wszędzie ustawiono barierki, zabezpieczające zielen. Przed oczami Ginny rozciągał się stworzony przez człowieka świat luksusowego piękna, który całkowicie wchłonał Jima. Podszedł do niej ojciec, trzymając w obu rękach szklanki specjalnego bożonarodzeniowego ponczu. Jedną z nich podał córce.

— A więc dokonał tego — powiedział wskazując głową zatokę. — Pracował za szczęście i udało mu się.

Odróciła się i spojrzała w stronę Katrien i Alberta, który próbował zachować na twarzy uśmiech. I on, jak pozostali, zauważył, z jakim pośpiechem Ginny sprawdzała, co miniony rok przyniósł w życiu Jima.

John uniósł kielich.

— Wesołych Świąt dla wszystkich.

— Wesołych Świąt.

Usiadła z nimi na werandzie, popijając poncz, wpatrzona w tak dobrze znany widok St. Charles. Przez ostatnie dwa dni prawie nie spała, czuła się więc bardzo zmęczona. Zauważono to i zostawiono ją w spokoju, a rozmowy przepływały jakby obok niej. Dotyczyły różnych drobnych tutejszych spraw — zasiewów, perspektywy zbiorów na wyspie, budżetu, jaki Albert przygotowywał dla Curacao, nowej szkoły... Puls i pomruk Nowego Jorku cichł, zamierał w oddali. Czuła, że znajduje tutaj oparcie — w trwałości rodziny i tego domu, w nudnej, powtarzającej się rutynie życia ich i Alberta. Tutaj, w mikroskopijnym wymiarze ich egzystencji, małe zmiany wydają się wiele znaczyć, ale tak naprawdę prawdziwe zmiany dokonują się przez setki lat tradycji.

Przymknęła powieki przed blaskiem słońca i po chwili usnęła ze szklanką świątecznego ponczu w dłoni.

2

Jeszcze pierwszego dnia Albert powiedział jej: — Wyglądasz blade, Ginny, jak prawdziwy mieszkaniec Północy. I bardzo schudłaś. — Przez następne dwa tygodnie spała codziennie do dwunastej, a popołudniami, kiedy słońce minęło zenit, leżała na plaży. Bez pośpiechu delektowała się ugotowanymi przez matkę posiłkami, opowiadając w tym czasie Katrien i Johnowi o Nowym Jorku. Nie zadawali zbyt wiele pytań, pozwalając jej mówić to, co sama chciała. Po pewnym czasie zorientowała się, że postępują tak rozmyślnie

i trochę ją to rozbawiło. Są sprytniejsi niż przypuszczałam, pomyślała. Był to dla niej czas rekonwalescencji, jakby po ciężkiej chorobie.

Dla ojca nic nie mogła zrobić i nigdy nie zdradziła się, że wie o jego atakach. Niech myśli, jeśli ma ochotę, że wróciła do domu, ponieważ czuła się zmęczona. Zapytała Katrien:

— Jak on się czuje?

Matka popatrzyła na nią i po chwili odpowiedziała: — Nie jest dobrze. Wysłali go na tydzień do San Juan na badania, co by go zmusiło do leżenia w łóżku. Lekarze nie mogą powiedzieć nic konkretnego... Musi być bardzo ostrożny... dużo odpoczywać... nie denerwować się, nie martwić. Tyle że to praktycznie niemożliwe. Jak przekonać mężczyznę, który kipi wewnątrz, żeby zwolnił tryb życia? Jak kierować mężczyzną tak niezależnym... tak samotnym? — Gest ręki Katrien wyrażał irytację i rozpacz. — To jak próbować prowadzić kota na smyczy.

— Czy ja mogłabym mu w czymś pomóc? — zapytała Ginny cicho.

— Po prostu pobańdź tu trochę... przez jakiś czas. To mu jest potrzebne. Myślę, że gdybyś znowu wyjechała, nie wytrzymałby tego. Spróbuj nie okazywać mu, że zostałaś z jego powodu.

Zaczęły przychodzić listy od Eliota, dosłownie bombardował ją nimi. Najpierw, wściekły, oskarżał ją o dezercję, potem pojawiły się tony kobiecej urazy, wyrzutów i złości. „Czyżby Jim wreszcie coś postanowił? A może w dalszym ciągu waha się, a ty pojechałaś, żeby pomóc mu się zdecydować? Jest to chyba najstarszy kobiecy trik — cierpliwy sposób zdobywania mężczyzny, który prawdopodobnie nie jest tego wart... Mogę przyjechać do ciebie? Czy miałbym gdzie się zatrzymać, wyłączając oczywiście niesympatyczny hotel Jima?”

Ginny wyobraziła sobie Eliota na St. Nicolaas i wpadła w panikę. Nie pasował tutaj. Nie był turystą, miał zbyt dużo energii, by wylegiwać się na plaży dłużej niż parę dni. Nie wyobrażała go sobie inaczej niż w świecie rządzącym się ścisłymi regułami, jakim był Nowy Jork, w świecie ukształtowanym przez pieniądze. Zdawała sobie sprawę, że krzywdzi go myśląc w ten sposób, ale nie mogła pozbyć się tego odczucia. Jednocześnie nie zapominała o jego delikatności i wrażliwości, które zawsze robiły na niej takie wrażenie.

„Mogłabyś mieć to, czego zapragniesz, Ginny — pisał. — Zrobiłbym dla ciebie wszystko, o co byś poprosiła, gdybyś tylko została.” Jak mogła mu odpowiedzieć, że tak naprawdę nie miała go o co prosić, bo niczego od niego nie chciała? — „Dałeś mi tak wiele... Poczulałam dotyk jedwabiu i jestem ci za to wdzięczna” — napisała mu. Zareagował z pogardą. „Jeśli czujesz do mnie wyłącznie wdzięczność, nie potrzebuję jej. Czy wrócisz do Nowego Jorku?” Musiała odpowiedzieć: „Być może... jeszcze nie wiem”.

Barby napisała krótki, obcesowy liścik: "Zadzwońłam do tego twojego Eliota, żeby zabrał wszystkie futrzane łaszki, którymi wy, bogacze, specjalnie się nie przejmujecie, ale jak dotąd nie pofatygował się po nie. Zastanawiam

się, po jakim czasie, zgodnie z prawem, mogą przejść na moją własność?" Na koniec dodała: „Zostań, mała, tam gdzie jesteś. Nigdzie nie będzie ci lepiej”. Lepiej, pomyślała Ginny, ale w jakim sensie?

Wyspa zaczęła żyć przygotowaniami do żniw. W młynie obsługującym farmerów z całej wyspy, zamkniętym miesiącami, rozpoczęło się przeglądanie i remontowanie urządzeń. John spędzał większość dnia w szopie, gdzie garażowały ciężarówki. Wraz z jednym z pracowników starał się doprowadzić ich wiekowe silniki do jak najlepszego stanu. Zawsze w czasie żniw jego największą troską było utrzymanie sprawności maszyn, tak by móc szybko dowieźć trzcinę do młyna. Po ścięciu zawartość cukru szybko spadała i gdyby nie przerobiono trzciny w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, stałaby się bezwartościowa. Ponieważ wszyscy farmerzy na wyspie pracowali równocześnie, pożyczanie lub wynajęcie ciężarówki było na ogół niemożliwe, tak więc przez te wszystkie lata nabrał umiejętności mechanika. Nie był w tym jednak zbyt dobry, bo tak naprawę to maszyny nigdy go specjalnie nie interesowały i robił to bez serca. Musiał jeszcze doprowadzić do ładu baraki po drugiej stronie plantacji. Mieszkali tam sezonowi pracownicy, którzy przybywali z wysp brytyjskich i Puerto Rico na okres żniw. Każdego sezonu trzeba było naprawiać szkody i zniszczenia z minionego roku — uszkodzone okna i instalacje, przeciekające dachy, przeżarte przez termyty podpory, które uderzone młotkiem nagle się rozpadały.

— To jest najgorszy okres — mówiła Katrien. — Tyle jest do zrobienia, a zupełnie nie wiem, jak choć trochę oszczędzić ojca. Zrobiłabym wszystko sama — urodziłam się przecież jako córka plantatora — ale naruszyłabym tym jego dumę. Myślę — nachyliła się konfidencjonalnie do Ginny — że to zaszkodziłoby mu dużo bardziej niż chore serce.

— Bo go zepsułaś — odparła córka. — Zawsze bierzesz na siebie za dużo i nie pozwalasz, by ktoś dzielił z tobą ciężary. Dlaczego nie pozwoliłaś dać mi znać, kiedy był chory, kiedy wzięli go do szpitala? Przyjechałabym natychmiast. Wiesz o tym.

Katrien pokiwała głową.

— Wiem. Ale jaki by to miało sens? Chciałaś siedzieć i patrzeć, czy nie umiera, co mogłoby trwać i dziesięć lat? — Odegnęła gestem przykrą myśl. — Przyjechałaś, kiedy sama postanowiłaś, i zdecydowałaś słusznie. Nie jest dobrze, kiedy młodzi ludzie poświęcają się starym i chorym. Wystarczy, że go kochasz. Masz swoje własne życie do przeżycia...

— Czasami zdumiewasz mnie — powiedziała Ginny miękko. — Tak samo jak zadziwiłaś Jima, gdy tylko cię poznał. Zawsze piał hymny pochwalne na twoją cześć, podczas gdy ja uważałam cię za miłą, ale całkiem zwyczajną kobietę. — Uśmiechnęła się do matki. — Cieszę się, że w porę odkryłam, jaka naprawdę jesteś.

Katrien przerwała swoją pracę i spojrzała w dół na Ginny, nie odwzajem-

niając jednak uśmiechu. Stała na stołku układając kostki mydła na najwyższej półce spiżarni. Przechowywanie dużych ilości mydła, tak by mogło odpowiednio stwardnieć, wynikało u niej z oszczędności. Ginny podała dwie kostki na raz.

— Czy wciąż wsłuchujesz się w każde słowo Jima? A może Nowy Jork zmienił cię pod tym względem?

Ginny wzruszyła ramionami.

— Wsłuchuję się... jeśli zdarza się, że cokolwiek powie. Ale nie będę wiecznie czekała na to jedno słowo. Może nigdy nie paść.

— Daj mu czas. — Katrien wyciągnęła rękę po następne kostki.

Ginny, która właśnie przykucnęła, by podnieść je z podłogi, zastygła w tej pozycji.

— Czas! Ile jeszcze będzie go potrzebował? Próbowалам być blisko niego, a później trzymałam się z daleka. I jaką różnicę to sprawiło? Może rozmówić się ze mną w każdej chwili i na pewno go wysłucham. Ale zacznę myśleć, że nigdy nie będzie miał mi nic do powiedzenia.

— Dla niego — odparła Katrien — czas płynie bardzo szybko, dla ciebie — zbyt wolno. Jim ma rozmaite obciążenia... obowiązki związane z budową hotelu, zarabianie pieniędzy. Nie chce wikać się w dodatkowe sprawy... Młoda żona, przypuszczalnie dzieci... To byłby dla niego nowy ciężar. Daj mu więcej czasu.

Ginny wyprostowała się i znów zaczęła rytmicznie podawać mydło matce.

— A co ja mam robić przez ten czas?

Katrien wzruszyła ramionami, koncentrując się na układaniu stosów mydła.

— To, czego chciałaś się nauczyć w Nowym Jorku. To, co potrafisz.

W milczeniu skończyły pracę.

Matka odstawiła taboret na miejsce, a Ginny sięgnęła po sekator wiszący na drzwiach kuchennych.

— Pójdę naciąć kwiatów do jadalni. Jakie byś chciała?

— Może oleandry do wysokiego wazonu. A na stół wybierz jakie chcesz.

— Hibiskusy — odparła bez zastanowienia Ginny. — Wiesz, jedną z rzeczy, które najbardziej zaszokowały mnie w Nowym Jorku, była cena kwiatów. I to, że zawsze trzymano je w chłodniarkach za szkłem. Więdy, jak tylko je stamtąd wyjęto. Często myślałam o naszym ogrodzie, jak to zawsze mogłam wybiec i narwać jakich tylko chciałam... A tam wyglądają jak sztuczne. I stać na nie tylko bogatych. Uznałam, że łatwiej być biedną w ciepłym klimacie niż w zimnym.

— Biedną! — Katrien aż gwizdnęła. — Gdybym sądziła, że tak to widzisz, byłabym poważnie zaniepokojona.

Ginny zrobiła do niej minę i już była za drzwiami. Katrien usłyszała tupot jej kroków na zewnątrz, ale za moment drzwi otworzyły się ponownie.

— Mam pomysł, jak mu pomóc, żeby tego nie zauważył. Gdybym robiła to stopniowo, powoli, weszłoby to w zwyczaj, zanim by się spostrzegł.

— Mówisz o Jimie?

— Nie — zaprzeczyła ze zniecierpliwieniem. — O ojcu. Zostanę tu przez żniwa i zacznę wychodzić z nim codziennie w pole... Będę prowadziła dżipa, załatwiała za niego to i owo. Powiem, że chcę zdobyć trochę doświadczenia... W końcu odkaż wyjechałam do szkoły w San Juan, nie byłam tu w czasie zbiorów. Nic nie powiem, że chcę pomóc.

— I tak się domyśli. Ale nie sądzę, żeby się sprzeciwiła. — Katrien pokiwała głową. Spodobał jej się pomysł Ginny. — Właściwie dlaczego nie? Na pewno ulżysz mu w ten sposób, a od ciebie przyjmie to łatwiej niż ode mnie. Poza tym będziesz czymś zajęta i przestaniesz gryźć się z powodu Jima.

— Jima? Kto mówi, że się gryzę z jego powodu?

Zza zatrzaśniętych gwałtownie drzwi dobiegł do Katrien głos córki, buntowniczy i pełen tęsknoty: — On już mnie nie obchodzi.

Przez te żniwne miesiące Ginny odkryła wyspę na nowo. Na nowo zaprzyjaźniła się z powolnym rytmem jej funkcjonowania, poczuła więź z mieszkańcami i ich sposobem życia. Na polach słońce przypiekało bezlitośnie, kurz wznoszący się nad drogami wysuszał i zatykał gardło i nozdrza. Nieustające ruchy żniwiarzy na łagodnych zbozczach przypominały taniec, na którego piękno była wyczulona od urodzenia; reagowała na to jak na dotknięcie przyjaznej ręki. Stała w słońcu przypatrując się czarnoskóрым robotnikom, ich muskularnym, zwinnym, lśniącym od potu ramionom, precyzji cięć ich maczet, której nabrali przez pokolenia, ścinając trzcinę od czasów, gdy ich przodkowie zostali przywiezieni jako niewolnicy z Afryki. Od czasu do czasu nad wyspą przechodziły krótkie ulewy, a ona nie próbowała nawet chronić się przed nimi w dżipie. Zostawała na polu, moknąc do suchej nitki, a potem pozwalając, by ubranie samo wyschło na niej na słońcu, tak jak to robili żniwiarze, nie mający gdzie się schronić. Mocno opalona skóra zniszczyła się, by w końcu nabrać ciemnego kolorytu, jak kiedyś, w dzieciństwie. Nogi i ramiona miała pokryte zadrapaniami. Włosy przylepiały się do czaszki, przepocone i zakurzone. Ale był to zarazem czas triumfu i nie znanego jej dotąd zadowolenia. Po dniach spędzanych na palącym słońcu i nocach przespanych kamiennym snem odkryła w sobie fizyczną siłę i wytrzymałość Katrien. Po upływie pierwszego tygodnia zaczęła zastępować ojca za kierownicą ciężarówki, wysoko załadowanej ściętą trzciną. Podskakując na wyboistej drodze do cukrowni, drząc cała od łoskotu silnika, czuła przyływ gwałtownej, cudownej radości.

— Czy to zawsze tak wyglądało? — zagadnęła ojca.

A on, rozumiejąc ją doskonale, nie pytał o co chodzi.

— Trzcina cukrowa jest tak kobieca — odpowiedział spokojnie i cicho, jakby sam do siebie. — Jest dzieckiem słońca, deszczu i wilgoci, nienasyconym żarłokiem wyjaławiającym glebę. Ale pokaż mi inną roślinę, dającą tak

wysokie zbiory, tak niezwykle wydajną. Jest jak płodna kobieta, która co roku rodzi potomka. Cukier jest słodyczą świata, Ginny, daje też ogień w butelce rumu. Jest jak kobieta — i te wyspy są jak kobiety, piękne i nienasycone.

Nie miała czasu, prawie nigdy nie miała czasu, by rozmyślać o Jimie. Czasami jego obraz stawał jej na moment przed oczyma, ale zawsze coś pilnego odwracało jej uwagę. Nie myślała więc o nim przez całe godziny, a nawet przez te krótkie minuty przed zaśnięciem. Satysfakcja, jaką odkryła w pracy z ojcem na polach trzcinowych, była sama w sobie źródłem siły; skłaniała się teraz ku poglądom matki na potrzebę cierpliwości. Ta siła pozwoliła jej na zbagatelizowanie pewnej informacji; kiedy bywała na St. Charles w sprawach ojca, dowiedziała się od Susie Marshall, że Jim widywany jest z młodą rozwiedzioną Amerykanką, Pauline Thomas, która przybyła tu niedawno i otwiera właśnie księgarnię oraz galerię sztuki.

Chodziły także słuchy, aczkolwiek Susie ich nie mogła potwierdzić, że Jim zaprojektował dla tej kobiety dom i że jeździł z nią do Puerto Rico i Miami, by wybrać meble dla Oranje Cove Hotel. Ginny udawała, że się tym nie przejmuje.

— W końcu jest architektem, prawda?

Niedzielami pomagała Jimowi w pracy. Poprosił ją, by zajęła się kasą i barem podczas najgorętszych godzin lunchu i kolacji. Zatoka zaczęła przyciągać klientów z całej wyspy. Podczas weekendów zawsze cumowało tu kilka jachtów, a ich pasażerowie spędzali czas na brzegu. „Oranje Lady” kursowała tam i z powrotem między dwiema wyspami. Dowoziła na lotnisko turystów, którzy nie mogli czekać na jedyne w ciągu doby bezpośrednie połączenie z Puerto Rico lub też zabierała tych, którzy chcieli się przenieść z hoteli w St. Charles. Nad zatoką panowała ustawiczna krzątanina, która nie miała nic wspólnego z dotychczasowym powolnym tempem życia na wyspie. Uległo ono jeszcze wyraźniejszemu przyspieszeniu, gdy zaczęła się budowa drugiego hotelu i nowych domów. „Turystyczny rejewach”, nazywała to Katrien, a Ginny tkwiła w niedziele w samym jego środku. Czuła się, jakby cały wiek dzielił to miejsce od plantacji trzciny. Późno wieczorem, gdy bar już był zamknięty, Jim zawsze zapraszał ją na kieliszek brandy i kawę do swego domku, przyległego do restauracji i biur.

Kiedy pokazywał go jej po raz pierwszy, zauważył: — Wybrałem to miejsce nie dlatego, że mi się podoba, ale żeby mieć wszystko na oku. Nie zdawałem sobie przedtem sprawy — dodał podając jej kieliszek — na ile rzeczy muszę zwracać uwagę. Powinienem chyba zapisać się na hotelarstwo na Harvardzie, o ile mają tam taki kierunek. Naiwnością z mojej strony było sądzić, że umiejętność zbudowania hotelu załatwi wszystko.

— Przecież doskonale sobie radzisz — pocieszyła go Ginny, wyciągając się wygodnie w fotelu i podziwiając dziwnie nienaturalną schludność nowego mieszkania Jima. Jedna ze ścian pokoju była cała obudowana półkami i szafkami, i wszystko, co dawniej było rozrzucone po całym mieszkaniu,

teraz znalazło odpowiednie miejsce. Wprawiło ją to w nostalgię za dawnym nieładem i za ich zażyłością. — Tak... radzisz sobie świetnie.

— Będzie świetnie, kiedy postawimy następnych dwanaście pawilonów. Teraz mamy zbyt duży personel jak na obecną liczbę gości. Ale taka jest kolej rzeczy. Jeśli faceci z Bostonu nie odetną nam pieniędzy, wszystko będzie w porządku.

— To naprawdę piękny hotel — stwierdziła Ginny bez entuzjazmu. Nie bardzo miała ochotę go chwalić. Tyle już dotąd zdobył. — Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, nie przypuszczałam, że będzie tak wyglądał. Jest tak wrośnięty w tło, że z wyjątkiem tej nowej budowy na zboczu, no i tych plażowych parasoli, niemal go nie widać z Oranje Huis.

Jim skinął głową z wyrazem niezwykłej u niego skromności, jakby chodziło o prace kogoś innego.

— Całe miesiące spędziłem wspinając się po tym wzgórzu, zanim postawiłem pierwszą kreskę na papierze. Doskonale wiem, które drzewa trzeba pozostawić nie naruszone, gdzie należy posadzić nowe. Wybrałem lokalizację dla każdego nowego pawilonu na całym moim terenie. Wszystko musi być dokładnie tak, jak zaplanowałem, w przeciwnym wypadku nic dobrego z tego nie wyjdzie. — Podniósł się nagle i spojrzał jej prosto w oczy. — Do jasnej cholery, Ginny! To nie jest hotel, który wybuduję i wyjadę sobie stąd. Chcę tu zamieszkać na stałe. Nie mogę przecież zniszczyć sobie samemu tej zatoki. Na szczęście chłopcy w Bostonie dzielają mój punkt widzenia. A jeśli przestaną, będziemy musieli się rozstać. — Wreszcie dodał jakby od niechcenia: — Chcieliby też zbudować tu mały jachtklub. Hotel stanowiłby atrakcję dla żeglarzy, a jachtklub rozrywkę dla gości hotelowych, miejsce, gdzie można byłoby wpaść na kolację.

— Wyobrażam sobie, jak ta zatoka się zapełni. Przyzwyczailiśmy się, że z Oranje Huis nie widać nic, poza paroma światełkami dinghy w Willemstad i światłami na St. Charles. Tak się tu zmieniało... i wciąż się zmienia.

— Ale Oranje Huis wciąż stoi na swoim miejscu, prawda, Ginny? I nie zmienia się. Jest stałym, niezmiennym elementem krajobrazu. — Uniósł lekko kieliszek w jej stronę. — Próbuję robić wszystko, by moja budowa nad zatoką nie stanowiła obelgi dla waszego domu. Oni, ci twoi holenderscy przodkowie, zbudowali coś naprawdę wspaniałego. Moi goście bez przerwy pytają mnie: „Co to za dom? kto tam mieszka?” Wiesz, co im odpowiadam?

— No, co?

— Odpowiadam, że to jest zamek złotowłosej księżniczki, na którą zła czarownica rzuciła czary, by co niedzielę, na wieki, musiała obsługiwać bar w Oranje Cove Hotel. Sprytny jestem, jak widzisz. W ten sposób zachęcam ich, by zostali tutaj do niedzieli.

— Na wieki? Myślałam, że czary pryskają pod wpływem pocałunku księcia.

Odstawił kieliszek i wyciągnął rękę w jej stronę. Delikatnie przyciągnął ją do siebie.

— W mojej historyjce nie było dotąd miejsca dla księcia — powiedział, zanim schylił się, by ją pocałować. Jej usta przywarły do warg Jima z taką gwałtownością, jakby chciała zatrzeć czas i problemy, jakie ich rozdzieliły, jakby próbowała w ten sposób wymusić w nim zmianę, przełamać jego powściągliwość i ostrożność. Czuła, jak jego ciało napręża się i przywiera do niej, a usta przestają być delikatne.

— Jim... czy nadszedł już czas? Nadszedł?

Cofnął się. Całkowicie. Fizycznie i uczuciowo. Wiedziała, że znowu będzie przeklinała sama siebie za ten pośpiech.

— Ktokolwiek podjąłby się odczarowania księżniczki, powinien wiedzieć co robi. — Wypuścił ją z objęć. — Ja jestem mężczyzną, Ginny, nie księciem. — Sięgnął ponownie po kieliszek i dopił brandy jednym haustem. — Nie patrz tak na mnie! Nigdy nie powinnaś czuć się poniżona. Ale nie pozwalaj zbyć się byle czym. Na wszystko przyjdzie czas i nie uciekniesz przed tym, ale nie wolno ci nakłaniać mężczyzny, by cię kochał. Dla ciebie, Ginny, seks nie może być przedmiotem wymiany — musi być czymś pięknym i bogatym. Zorientujesz się sama, kiedy to nadejdzie. Może ze mną... a prawdopodobnie z kimś innym. Wtedy będzie to słuszne i dobre.

Pląkała cicho, lecz nie szukała już w nim pocieszenia, jak niegdyś. Czuła się samotna, nie uzależniona od niego, ale bardzo samotna. Nie odwracała twarzy, nie ocierała łez z policzków. Stała przed nim, dumna i wyprostowana, i pozwalała, by widział jej łyzy, jakby była naga.

— No, chodź już — powiedział miękko. — Otrzyj łyzy, odprowadzę cię do domu. Tyle jeszcze przed tobą, księżniczko, szkoda łez. I naprawdę masz piękne, złote włosy.

3

Żniwa na plantacji dobiegły końca. Ginny po raz ostatni odprowadziła ciężarówkę do przeciekającej szopy. Najemni robotnicy otrzymali swoją zapłatę, na plantację wróciła zwykła, cierpliwa rutyna użyźniania i odchwaszczania pól. John Tilsit powrócił do Oranje Huis odprężony, jak człowiek uwolniony nagle od ciężaru niemal nie do wytrzymania.

— Nie wiem, czy zarobiliśmy, czy straciliśmy pieniądze, ale trzcina już jest ścięta — powiedział. A potem usiadł w swym fotelu na galerii. Ginny wydawało się, że przez następny tydzień, poza udawaniem się na posiłki i na noc do łóżka, nie ruszał się z miejsca. Prawie się nie odzywał. Siedział tak i patrzył przed siebie ponad wodami cieśniny.

Po tygodniu wreszcie ożył. Zaczął rozglądać się za czymś do czytania, poszedł nawet pożyczyć parę książek od Jima. Oświadczył, że ma zamiar nauczyć Ginny grać w szachy, bardzo przyzwoitą grę. O świcie wybrał się z nią na ryby.

Katrien nie chciała, żeby płynął.

— Nie był sam na morzu od ostatniego ataku. Nie powinien uruchamiać łodzi. Zrób to ty, albo nie ruszajcie w ogóle.

Ginny zapaliła silnik i znowu wróciły dawne czasy wspólnych połowów. Czuła dziwną radość, że jest tu z nim znowu. Ostatnim razem, kiedy wybrali się na ryby, była na niego obrażona, że nie chciał jej nic powiedzieć o Isobel. Teraz potrafiła uszanować jego milczenie. Po całym zgiełku Nowego Jorku, po roku słuchania tych rozmów o niczym, zrozumiała, że człowiek ma prawo do milczenia, jeśli tak zdecydował. Kiedy przestała go obwiniać, stała się jakby bardziej dojrzała; zbliżyło ją to do ojca.

Pewnego ranka, gdy zarzucali wędki, a słońce dotykało przeciwległego zbocza Kronbergu, zapytał ją: — Tęsknisz za Nowym Jorkiem? Mam nadzieję, że nie, ale chciałbym wiedzieć.

— Tylko trochę. Coraz mniej. Bywa, że cieszysz się z czegoś, co zrobiłeś, a jeszcze bardziej jesteś zadowolony, że nie musisz tego dłużej robić. — Obejrzała się na wyspę, na zbocza wzgórz z brązowymi plamami po ściętej trzcinie, zieleniejącymi już w wyższych partiach, gdzie właśnie zaczynała odrastać. Ruiny starej kamiennej cukrowni sterczały na tle nieba. Wraz z pojawieniem się tarczy słonecznej wszystko wokół zaczęło nabierać kolorów. Od dotknięcia pierwszego promienia liście drzew rozbłysły zielenią, plaża zabarwiła się na różowo, a po dziesięciu minutach róż zaczął blednąć. Jak tylko słońce znacznie mocniej operowało, plaża stanie się iskrząco biała i gorąca. Kronberg jak zwykle dominował nad wyspą, nie wyglądał jednak niebezpiecznie i groźnie. O tej porze krajobraz był czysty i spokojny.

— Tak dobrze być tutaj — odezwała się Ginny.

Ojciec pokiwał głową, wiedząc co córka ma na myśli.

— Mam nadzieję, że wszystko układa się dobrze. A co z Jimem?

— Co z Jimem? Wymyka mi się. Ale to niczego nie zmienia. Przecież i tak mam bardzo wiele.

— Cieszę się, że wiesz już o tym. Do mnie ta wiedza dotarła trochę za późno. — Zobaczyła, że ojciec ma zamiar zapaść silnik, i wyręczyła go, zanim się spostrzegł. Później tylko zgodnie milczeli i dopiero potem uprzytomniła sobie, że to była ich ostatnia rozmowa przed nadejściem telegramu.

4

Tego dnia, gdy nadeszła depesza, Ginny spędziła popołudnie pracując z matką w ogrodzie. Wykonując nie ustające nigdy czynności strzyżenia, przycinania i pielienia Ginny dostosowała się do powolnego rytmu, który był specyficzną umiejętnością Katrien. Obserwowała jej zręczne, ostrożne ręce, pracujące przy drzewach, krzewach i pnączach, świadoma własnej radości z tego, że potrafi to zauważyć. Choć matka, jak zawsze, dyrygowała pracą, wykonywały ją wspólnie, jak równe sobie partnerki.

Znajdowały się dość daleko na zboczu, wśród tarasów i nie usłyszały furgonetki pocztowej, która nadjechała do Oranje Huis. Otoczone drzewami nie zauważyły, że słońce opuściło się już nisko i dopiero Katrien, spoglądając na zatokę, dostrzegła cień wypełniający plażę.

— Zrobiło się późno — powiedziała. — John na pewno przygotowuje poncz, zanim zdążymy się umyć. Zbierajmy to wszystko i wracajmy. — Ginny kiwnęła głową i zniosła narzędzia do szopy. Katrien pomarudziła jeszcze chwilę przy kwiatkach, a kiedy skończyła, wyprostowała się, oparła ręce na biodrach i popatrzyła przez cieśninę. Ginny zostawiła ją i zaczęła wspinać się przez tarasy ku galerii, gdzie ojciec spędzał całe popołudnia.

Kiedy wzrok jej sięgnął poziomu podłogi galerii, zauważyła żółty skrawek papieru leżący na terakocie. Lekki wietrzyk uniósł go w górę i rzucił z powrotem na podłogę. Po chwili porwał go ponownie i pchnął w kierunku fotela ojca. Ten spał. Weszła wyżej, starając się iść cicho, by mu nie przeszkadzać. Kiedy była już blisko, zauważyła, że jego głowa nie była wcale pochylona do przodu, jak zwykł był sypiać w fotelu. Zobaczyła ciało ojca przechylone w bok, głowę odrzuconą do tyłu, twarz zwróconą w górę. Usta miał wykrzywione w grymasie bólu.

Minęło wiele czasu od jej pierwszego krzyku wzywającego Katrien i od chwili, gdy zorientowały się, że John Tilsit nie żyje, kiedy Ginny pomyślała, by przeczytać, co jest napisane na żółtym kawałku papieru.

5

Pogrzebowi Johna Tilsita towarzyszyła tropikalna ulewa. Kiedy kondukt ruszał na cmentarz, słońce świeciło jaskrawo, wkrótce jednak od morza, ze swą zwykłą szybkością, nadciągnął szkwał. Słów ostatniej posługi słuchali w zacinającym, rzęsimym deszczu. Większość zgromadzonych wokół grobu wycofała się pod osłonę drzew. Tłum był gęsty i nabyty. Powściągliwy i wrażliwy John Tilsit zdziwiłby się widząc tu niektóre twarze.

Kiedy tłum się cofnął, uwagę wszystkich przyciągnęły dwie kobiety — Katrien i Ginny. Ktoś wyciągnął parasol i podał go Albertowi de Kruythoffowi, który otworzył go nad ich głowami. Ginny cofnęła się nieco, by lepiej osłonić matkę i wkrótce cała ociekała wodą. Biała suknia oblepiła ją dokładnie, a włosy przylgnęły do głowy. Stała bez ruchu, spokojna, wyprostowana. Jak szybko po śmierci ojca dorosła do poziomu Katrien, pomyślał Jim. Na twarzach obu kobiet widział wyraz ciepłej akceptacji, przekonanie, że łyzy nic tu nie pomogą. Deszcz przestał padać w tym samym momencie, kiedy zakończyły się uroczystości pogrzebowe. Natychmiast wyjrzało słońce i ziemia zaczęła parować. Katrien przyjęła ramię Alberta,

lecz nie oparła się na nim. Szła przy nim dostojnym krokiem w kierunku bramy cmentarza. Jim, jak inni, pozostał w tyle, poruszony do głębi autentyczną godnością obu kobiet.

W końcu nawet Albert i Jim musieli opuścić Oranje Huis. Prawie wszyscy z gości, którzy przyszli tu po pogrzebie, wyszli już dawno, ci dwaj jednak zwlekali, uparcie wyczekując na prośbę o pomoc, o radę lub wskazówkę, z jaką w ich mniemaniu obie kobiety powinny się do nich zwrócić. Nie doczekali się jednak. Katrien była nadal całkowicie opanowana. Swoją rozpacz uważała za sprawę prywatną i chociaż doceniała pełną współczucia postawę Alberta i Jima, obaj czuli, że chciałyby już pozostać sama ze swym smutkiem. W odpowiedzi na nieśmiałe aluzje Alberta poinformowała go, że John zostawił jej niewielką polisę ubezpieczeniową. Wyznała też, że ma zamiar wydzierżawić plantację trzciny cukrowej Pieterowi Catsowi. I to było wszystko. Nic więcej nie miała do dodania, a oni nie bardzo wiedzieli, o co pytać. Wreszcie dotarło do nich, że kobiety chcą zostać same, więc wyszli, zatroskani, skonfundowani i odrąceni, oddzieleni ścianą milczenia, jaka nagle zapadła między nimi a kobietami z Oranje Huis.

Następnej nocy Jim nie mógł usnąć. Leżał na łóżku, paląc papierosy i wpatrując się w światło dochodzące z galerii na wzgórzu. Co pewien czas wstawał, podchodził do okna, rozsuwał szczebelki żaluzji, a światło na górze ciągnęło go i jednocześnie odpychało. Fotel, na którym zwykle siadywała Katrien, był stąd niewidoczny. Parę razy dostrzegł na galerii Ginny; dwukrotnie podeszła do balustrady wychodzącej na plażę i wydawała się patrzeć w jego stronę. Czuł ciężar rozdzielającej ich ciemności i własną izolację od wszystkiego, co tam się działo. Liczył, ile razy chodziła do kuchni zaparzyć świeży dzbanek herbaty i zanosila go na galerię. Widział, jak przemierza taras tam i z powrotem, jak od czasu do czasu znika — domyślał się, że siada naprzeciw Katrien z filiżanką herbaty. Domyślała się, że rozmawiają, ale nie miał pojęcia o czym.

Nie mógł przestać myśleć o Ginny. Uświadomił sobie nagle własną obawę, że dziewczyna może mu się wymknąć. Szybkość śmierci i pochówku w tropikalnym klimacie nie dawała czasu na nic; ani przez moment nie był z nią sam na sam, nie było okazji, by powiedzieć jej coś więcej niż mówili inni. Dostrzegł w tych dniach to, co zauważyli chyba wszyscy — że Ginny zmieniła się niemal w jednej chwili w kobietę. Wkroczyła w te dni ubrana w szatę dojrzałości, nową, lecz bardzo do niej pasującą. Bardzo chciał być przy niej podczas tej przemiany, ale został odsunięty i pozostawało mu tylko czekać.

Krótko przed świtem światło na galerii zgasło. Zdusił papierosa i przytknął oczy. Nie wiedział nawet co go obudziło; ocknął się nagle, zupełnie przytomny, pełen nadziei i oczekiwania. Podeszedł do okna — zaczynało się przejaśniać, plaża była pusta. Odwrócił się i sięgnął po papierosa; kiedy już

całkiem się rozwidniło, wyrzwał ponownie. W tym momencie pojawił się Bo, wybiegając zza najniżej położonego, rozpadającego się muru Oranje Huis. Za nim wolnym krokiem szła Ginny. Westchnął z ulgą. Przyjdzie do niego, przyrządzą śniadanie, wypiją kawę i porozmawiają. Znowu będzie jak dawniej. Pragnął tego, co było między nimi kiedyś.

Lecz Ginny nie przyszła. Zatrzymała się przy łodzi ojca. W jednej chwili zgniótł papierosa, chwycił szorty i podkoszulkę. Ubrał się i wybiegł, trzaskając drzwiami. Trzymałeś ją na dystans, odwróciłeś się od niej, myślał, a teraz biegniesz ku niej co sił.

Nie wybiegła mu naprzeciw. Bo ruszył pędem w jego stronę, ale Ginny pozostała na miejscu. Spojrzała w jego kierunku, ale omijała go wzrokiem patrząc na morze. Po raz pierwszy podchodził do niej z wahaniem. Nie, nie po raz pierwszy; tak samo było wczoraj na cmentarzu. Stracił dawną pewność siebie; nie wiedział, czy nowa Ginny zaakceptuje go takiego, jakim jest. Uświadamiał sobie, że chciałby, by wszystko było jak dawniej, ale też wiedział, że teraz już nie wystarczy otworzyć drzwi i zaprosić ją do środka. Zbliżył się do Ginny; popatrzyła na niego poważnym wzrokiem. Nikły ślad uśmiechu na twarzy dziewczyny nie przypominał dawnego szczerego śmiechu. Poczul jak bardzo mu go brakuje. Wbrew rozsądkowi pomyślał, że Ginny nie ma prawa pozbawiać go swojego uśmiechu — teraz, gdy odkrył, jak bardzo jest mu drogi.

— Dzień dobry — powiedziała. Zupełnie jak ojciec przybrała angielski ton rezerwy i konwenansu. Zdał sobie sprawę, że cały jej amerykańizm był maską, którą przyjęła jak ktoś, kto uczy się mówić w obcym języku.

— Dzień dobry, Ginny. — Wyglądała na przybitą i zmęczoną, twarz miała szarą i ściągniętą smutkiem. Dzisiaj nie była wcale piękna — bez makijażu, o nieuczesanych włosach, bladych ustach jak wąska, prosta kreska. A jednak nigdy nie wyglądała tak pociągająco jak teraz, choć miejsce dziewczęcego wdzięku zajęła powściągliwa duma, przejęta jak spadek od ojca. Emanowała z niej siła, żelazna odporność, której dotąd jej brakowało. Wydawała się pogodzona z faktem śmierci ojca, nie zamierzała protestować na próżno. Przez to jedno wydarzenie, pomyślał Jim, przekroczyła granicę jego świata. Teraz żyli w tym samym miejscu. Dłużej już nie musiał jej chronić, co czynił tak często w przeszłości. Nie prosiła o to i chyba nie było jej to potrzebne. Chciał zdobyć ją i zatrzymać. Nawet nie pragnął jej fizycznie; po prostu chciał mieć pewność, że Ginny należy do niego.

— Wybierasz się na ryby? Mogę popłynąć z tobą?

Zaskoczony zobaczył, że kręci przecząco głową.

— Nie. Popłynę sama.

Nie przepraszała, nie prosiła o wybaczenie. Poczul przypływ paniki. Odtrąciła go bez zastanowienia i to było jeszcze gorsze.

— Ginny...

— Tak?

— Tak mi przykro. Gdybyś chciała porozmawiać... jeśli mógłbym coś dla ciebie zrobić...

Popatrzyła na niego niemal obojętnie.

— Nic nie możesz zrobić. Została tylko pustka i nie ma jak jej wypełnić.

— Ginny, chciałbym ci pomóc. Proszę, pozwól mi. Chyba nie chcesz stąd wyjechać, teraz, kiedy on nie żyje? Wiem, że zamierzasz pójść do pracy. Miałem ci zaproponować... tylko że wczoraj to nie była odpowiednia pora. Nie przyszłabyś do pracy w Oranje Cove? Bardzo by mi się przydała twoja pomoc. Jest tyle...

Wcale nie to chciał jej powiedzieć. Zamierzał poprosić ją, żeby za niego wyszła, ale wydawała się tak obojętna, tak zaabsorbowana myślami, którymi nie chciała, a może nie mogła się z nim podzielić. Słowa, na które czekała tak długo, znowu nie zostały wypowiedziane; znowu się wycofał przed decydującym momentem.

— Będę musiała stąd wyjechać — odezwała się.

— Naprawdę? Jesteś zdecydowana? Dokąd? Chcesz wracać do Nowego Jorku?

Spojrzała na niego zaskoczona, jakby uważała, że powinien wiedzieć, co ma na myśli.

— Nie, tu nie chodzi o Nowy Jork. Widzisz... No tak, ty o niczym nie wiesz. Nawet z mamą nie miałyśmy kiedy porozmawiać, dopiero ostatniej nocy. Mama postanowiła... nie, właściwie to ja postanowiłam. Ostatecznie to ja podjęłam decyzję.

— Jaką decyzję? — Niecierpliwie chwycił ją za ramię i lekko potrząsnął. Marnuje czas, powstrzymując go od powiedzenia tego, co zamierza. — O czym ty, do diabła, mówisz?

— O depeszy.

— Depeszy? — Patrząc na nią czuł jakąś niezrozumiałą pewność, że jest już dla niego za późno.

— O depeszy od doradców prawnych Isobel Tilsit. Przyszła tego popołudnia, kiedy zmarł ojciec. Odebrał ją i to chyba ona spowodowała atak.

— Isobel? Co z nią?

— Nie żyje. Umarła... właściwie nie bardzo wiadomo, jak to się stało. Prowadzone jest w tej sprawie dochodzenie.

— I w związku z tym masz zamiar jechać do Anglii? A cóż ty masz z tym wspólnego? To nie twoja sprawa.

— Nie jadę w związku z dochodzeniem. Chcą, żebym była na otwarciu testamentu. Napisali, że to dla mnie ważne, żebym przyjechała, jeśli tylko mogę.

Ręka Jima zsunęła się z jej ramienia. Przestał się niecierpliwic; ona i tak nie wysłucha tego, co miał jej do powiedzenia.

— To na pewno nie jest błahostka. Prawnicy nie prosiliby cię o przyjazd z drugiego końca świata, gdyby chodziło o drobny zapis.

— Nie mogę sobie wyobrazić, by to był jakiś drobiazg. Cokolwiek to jest, musiało dla ojca wiele znaczyć.

— Są przecież inne sposoby, by dowiedzieć się, o co chodzi w tej

depeszy. — Wiedział, że jego słowa i tak nie mają znaczenia. — Zadzwoń do nich. Powiedz, że nie masz zamiaru gnać przez Atlantyk dla byle czego. Niech powiedzą, czego od ciebie oczekują.

Pokręciła głową, jak się tego spodziewał.

— To nie wystarczy. Rozmowa z prawnikiem przez telefon niewiele mi da. Jest za dużo do wyjaśniania. To ma coś wspólnego z przeszłością ojca, z jego dawnym życiem. Gdyby nie umarł, mogłabym potraktować tę depeszę tak samo jak list, który Isobel mi przysłała wcześniej. Ale ojciec wyraźnie przeraził się treści tej depeszy. Fakt, że teraz nie żyje, czyni ją tym ważniejszą. Muszę zrozumieć, dlaczego tak się stało. Muszę. Chcę poznać prawdę — nie tylko nazwisko Tilsit, wydrukowane na spodzie talerzyka, i nie tylko nazwę firmy, o której pisano w książce Alberta.

Nie spierał się. Zapytał tylko z rezygnacją w głosie: — No to kiedy wyjeżdżasz?

— Jutro. Jutro lecę do Nowego Jorku. Jeśli uda mi się dostać rezerwację, polecę stamtąd prosto do Londynu.

— Tak szybko? Dlaczego...?

— Prosimi, żeby się pospieszyć. Wcześniej czy później i tak musiałabym to zrobić. Niech będzie jak najszybciej. Muszę poznać odpowiedzi na pewne pytania. Obie musimy — matka i ja. Obie straciłyśmy jakąś jego częśćkę z powodu tego, co wydarzyło się niegdyś w Anglii. Obie mamy prawo spróbować zrozumieć, dlaczego tak się stało.

— Chyba tak... — odpowiedział posepnie, nie myśląc o powodach jej decyzji. Nie wyglądało, żeby miała chęć go wysłuchać. Od momentu, kiedy stanął przy niej na tej plaży, zdawała się go nie widzieć i nie słyszeć, jakby go tu nie było.

— Nie mam powodu, żeby nie jechać — dodała. — Nic mnie tu nie trzyma.

Przez sekundę miał wrażenie, że widzi łzy w jej oczach, ale nie zdołał się upewnić, bo odwróciła się szybko i schyliła do burty łodzi. — Pomóż mi ją, zepchnąć dobrze? Nie zostało mi wiele czasu, a chciałabym trochę popływać, zanim wyjadę.

Zepchnął łódź do wody, zapalił silnik i został na brzegu patrząc jak Ginny odpływa. Słowa, które miał jej powiedzieć, paliły go w usta. A był przecież taki czas, kiedy dziewczyna przyjęłaby je z radością. Teraz dziewczynę zastąpiła kobieta, która żadnych słów od niego nie potrzebuje. Przestała czekać, odchodzi, jest dla niego stracona. Kurtyna zapadła, a Ginny nie zauważa, że teraz jego kolej na czekanie. Znowu on i Ginny idą każde swoją drogą. Ona zmierza do przodu, w poszukiwaniu własnego czasu i własnych doświadczeń, a Jim pozostał w tyle.

Zawrócił w kierunku budynków hotelowych, a Bo pobiegł za nim. Jim nie odczuwał żadnej przyjemności patrząc na te domy — ukończone, zapełnione ludźmi, płacącymi chętnie za pobyt tutaj, i na te, których budowę na wzgórzu dopiero rozpoczął. Nie cieszyła go już nadzieja na ukończenie

wielkiego zadania, które przed sobą postawił. Teraz widział w tym tylko olbrzymie ryzyko; mogło mu się udać albo nie. W perspektywie miał tylko ogromny dług, który będzie prawdopodobnie spłacać całe życie. Nie mógł teraz wezwać Ginny, by stanęła przy nim i dzieliła jego los; nie teraz, kiedy czeka ją odmiana losu. Mogłaby źle zrozumieć jego słowa. To nie był właściwy czas na propozycje.

— Niech to szlag trafi, Bo! Tak długo się wstrzymywałem — a teraz ją utraciłem.

6

Kiedy w San Juan ogłoszono opóźnienie jej samolotu, odruch samotności skłonił Ginny do wysłania telegramu do Eliota Russella. Później pomyślała, że postąpiła głupio, że Eliot przyjmie telegram ze swą doskonałą, sarkastyczną obojętnością, jak okruczeństwo, co go już nie obchodzi. Była na siebie zła, że nie może pozbyć się resztek uzależnienia od Eliota i że mu to okazała. Sprawi mu satysfakcję, że Ginny będąc choć przez chwilę w Nowym Jorku spieszy go o tym poinformować. Zrewanżuje się za jej wyjazd na święta i zignoruje telegram.

Gdy wysiadła z odrzutowca, taszcząc trzy niewielkie torby i staroświecki aparat fotograficzny, który podarował jej Albert, Eliot stał przy wyjściu z sali odpraw. Jego twarz wydawała się płynąć ku niej przez tłum Portorykańczyków, witających się z oczekującymi na lotnisku krewniakami. Cmoknął ją chłodno w policzek i natychmiast wziął bagaż.

— Droga Ginny, nie mogę powiedzieć, byś była szczególnie elegancką podróżniczką. Dzięki Bogu, przynajmniej nie masz ze sobą orchidei.

— Miło z twojej strony, Eliot, że przyszedłeś.

— Cholernie miło. Zasłużyłaś na to, by podrzeć twoją depeszę. Prawdę mówiąc zrobiłem to, ale dziesięć minut później wyciągnąłem z kosza kawałki i złożyłem je, by odczytać numer lotu. Mielicie opóźnienie, wiesz. Samolot do Londynu startuje za czterdzieści minut, a za dziesięć zaczynają odprawę. Dlaczego, do diabła, nie możesz zachować się jak cywilizowana osoba i spędzić nocy w Nowym Jorku? Po co ten nagły pośpiech?

Próbowała wyjaśniać, gdy szli przez obszerne hale terminalu. Mówiła chaotycznie, gubiąc słowa. Nagle Eliot stanął w miejscu, zatrzymując na moment tłum postępujący za nim.

— Nie mogę uwierzyć — powiedział. — Mówisz, że umarł twój ojciec, a także ciotka, i że jedziesz do Anglii, sama nie wiesz po co. Ginny, tak się nie postępuje. Czy... czy rozmawiałaś chociaż z prawnikiem?

Pokręciła przecząco głową.

— Nie pomyślałam o tym. Gdyby tak było, pewnie nie musiałabym jechać...

Głos z megafonu przerwał jej w pół słowa.

— Samolot linii PanAmerican do Londynu lot sto sześć gotowy do startu. Uprasza się pasażerów...

— To twój lot — stwierdził Eliot. — Szybko, chodźmy do stanowiska pokazać bilet. Powiedz im, że masz jeszcze bagaż do zabrania. Już na ten temat rozmawiałem, załadują go, jak tylko przedstawiś bilet.

— Jaki bagaż? — zapytała już w biegu.

— Zadzwoiłem do tej twojej Barby i powiedziałem, żeby przygotowała wszystkie ubrania, które zostawiłaś. Musiałem zawieźć ją z biura do domu, żeby zdążyła na czas. Pieniła się z wściekłości. Ale nigdy mnie nie lubiła, więc się nie przejąłem. Kazałem zapakować walizy i oto są.

Ginny wsunęła bilet w rękę urzędnika.

— Ubrania...? Wszystkie?

— Wszystkie, jakie mogą ci się przydać w tym niewiarygodnym angielskim klimacie. Nie wiedziałem, jak długo masz zamiar tam zostać... no i po co lecisz... więc spakowałem wszystko. Przepraszam cię, ale na walizkach są moje inicjały. Nie było czasu na kupowanie nowych.

— Eliot, jesteś... Naprawdę nie wiem co powiedzieć.

— Nieważne. Tacy jak ja są najlepsi w załatwianiu takich mało istotnych spraw, chyba już się o tym przekonałeś? Zostaw... nie musisz płacić za dodatkowy bagaż. Już to załatwiłem. No, Ginny, szybko...

— Samolot odlatuje zgodnie z rozkładem, proszę pani. Załadunek już trwa. Wyjście numer dziewięć.

Pociągnął ją w kierunku wyjścia.

— W restauracji kazałem zamrozić butelkę szampana... szkoda, że nie mamy na to czasu. Nie wiedziałem o twoim ojcu. Przykro mi, Ginny. Nie czas ani miejsce, żeby o tym mówić. Może powinienem kupić bilet i polecieć razem z tobą... Gdybym wiedział wcześniej, pewnie bym to zrobił.

— Muszę pobyć jakiś czas sama, Eliot. Najwyższy czas... Kiedy już wysłałam do ciebie telegram z San Juan, trochę się przeraziłam. — Nagle zatrzymała się, tak jak zrobił to Eliot przed paru minutami, a on, idąc szybko, znacznie ją wyprzedził. — Eliot, muszę ci coś powiedzieć, zanim odjadę. Wiesz... doszłam do wniosku, że nie zdobyłabym się na tę podróż, gdybym nie nauczyła się tu różnych rzeczy... od ciebie.

— Ode mnie? A czego taka dziewczyna jak ty mogła nauczyć się ode mnie? — W jego głosie wyczuła nagle złość. — A gdzie podziewał się Jim? Dlaczego to nie on uczył cię tego, o czym powinnaś wiedzieć?

— Jim...? Nie wiem. Ja... ja straciłam go już dawno temu.

— No dobrze, mniejsza o to. Jedź do Anglii i zapomnij o Jimie. A gdyby ci się nie udało, wracaj i weź się twardo za niego. Nie pozwalaj sobie na jakieś półśrodki. Twój kłopot, Ginny, polega na tym, że sama nie bardzo wiesz, czego chcesz. — Schylił się po jej torby. — Chodź już, nie marnuj czasu. Przygotowałaś kartę pokładową i paszport? W porządku, nie zgub ich, bo będziesz miała kłopot.

— Jesteś taki miły, Eliot...

— Zamknij się — przerwał jej. — Na Boga, nie bądź taka kliwa i nie zachowuj się tak przy Anglikach. Nie cierpią sentymentalizmu. Trzymaj

swoje torby. Gdybym był tobą, zostawiłbym ten aparat. Pamięta lepsze czasy. Masz jeszcze to.

Kiedy sprawdzano kartę pokładową Ginny, podszedł do nich człowiek w uniformie, którego zapamiętała jako jednego z dwóch szoferów rodziny Russellów. Przez ramię przewieszony miał biały jedwabny płaszcz, zapakowany w przezroczysty plastik. Podbicie z rosyjskich karakułów było dyskretnie osłonięte. Podał go Eliotowi, który z kolei wręczył go Ginny. — Przepraszam za ten dodatkowy ciężar, ale nie mieścił się do walizki.

Nie mogła wydobyć słowa. Pocałował ją w policzek na do widzenia, lekko i pospiesznie, jak kobieta.

— Wybacz, że próbowałem cię kupić. To było okrutne. Tym razem nie liczę na nic.

Kiedy zajmowała swoje miejsce w samolocie, potknęła się, a torby upadły na podłogę i zatarasowały przejście. Stewardesa podeszła szybko i upchnęła je pod siedzeniem.

— Może powiesić na wieszaku? — sięgnęła po płaszcz. — Będzie pani wygodniej...

— Nie. Na razie zatrzymam go. Może później...

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— W takim razie proszę zapiąć pasy.

Ginny wyjęła płaszcz z plastikowego opakowania. Doleciał ją lekki zapach perfum Balenciagi, które podarował jej kiedyś Eliot. Przycisnęła okrycie do siebie, czując pod palcami mięsisty jedwab i miękkość futra. Ręce jej lekko drżały. Myślała o wszystkim, co zostawia za sobą i co ją jeszcze czeka. Zadrżała, czując smutek i lęk. „Ojciec... Jim... Eliot... A gdzie w tym wszystkim jestem ja?”

KSEGA
DRUGA

Rozdział pierwszy

Skoro pan Barstow nie uznał za stosowne się zjawić, myślę, że możemy zaczynać bez niego.

Słowa rozległy się w głuchej ciszy. Spośród pięciu osób, siedzących w sali, tylko prawnik zachowywał się w miarę naturalnie. Wszyscy inni, z wyjątkiem Ginny, wyglądali na zaniepokojonych. Nie pokazywali po sobie wrogości. Minęło już kilka dni od śmierci Isobel i starannie wpajana dyscyplina w wyrażaniu uczuć dawała o sobie znać.

— Ostatnia wola zmarłej wydaje się całkowicie jasna, jednak po jej odczytaniu chętnie rozwieję wszelkie wątpliwości.

Nikt się nie odezwał. W gruncie rzeczy wszyscy zdawali sobie sprawę, co zawiera testament. Obecność Ginny stanowiła aż nadto wyraźną odpowiedź. Testament był formalnym dokumentem i zawierał także mnóstwo nieistotnych drobiazgów. Ginny odwróciła wzrok od zebranych i rozejrzała się po pomieszczeniu, w którym mimo ciepłego maja w kominku buzował ogień. Doszedł ją szelest sztywnego papieru, gdy prawnik wyglądał złożony dokument. Nazywał się William Randall, z firmy Hedges, Randall i Strong, i to jego nazwiskiem podpisany był telegram wysłany na wyspę St. Nicholas. On jeden zdawał się nie przejmować martwą ciszą. Z pewnością jest przyzwyczajony do takich sytuacji, pomyślała Ginny. Wiele razy odczytywał testament zgromadzonej rodzinie i zdawał sobie sprawę, że jego słowa stanowiły dla niektórych coś w rodzaju wyroku śmierci.

Uwagę Ginny przyciągnął ogromny, rzeźbiony kominek — wielkie ozdobne płyty wznosiły się aż do sufitu. Przypomniała sobie swoje spotkanie z Isobel. Ciotka siedziała w wytwornym hiszpańskim krześle o wysokim oparciu i wcale nie wydawała się onieśmielona. Teraz Ginny rozumiała dlaczego. Od chwili, gdy po raz pierwszy zamajaczyła przed nią w ciemności rodowa siedziba, ledwo widoczna po drugiej stronie rzeki, zaczęła rozumieć wiele spraw dotyczących Isobel, a także swojego ojca.

Błądziła wzrokiem po sali — długiej i wysokiej, z trzema wykuszowymi oknami, z których roztaczał się widok na tarasowaty ogród. Ściana naprzeciwko — z dwoma ogromnymi kominkami — była zawieszona gobelinami, pasującymi do panneau na suficie. Pod ścianą stały krzesła z okresu Jakuba I. Między oknami wisiały dwa malowidła van Dycka i jedno Canaletta, o czym zdążył już ją uprzedzić Randall. Jeden z kominków otaczały dwie kanapy i dwa fotele, pokryte złocistym adamaszkiem współgrającym z zasłonami. Siedzieli prawie bez ruchu w niezręcznym milczeniu, dopóki nie przerwał go spokojny głos Randalla. Okna były zamknięte i z ogrodu nie dochodził żaden zapach. Od rana padał deszcz, ale niezbyt obfity — nie przeszkadzał on Ginny, poza tym, że wprawił ją w lekką melancholię. Było jej chłodno.

Wybrała sobie miejsce na jednym z krzeseł, drugie zajął Randall. Gdy zaczął czytać wstępne postanowienia, Ginny zerknęła na parę, siedzącą na dwóch końcach tej samej kanapy. Mężczyzna, z uprzejmym i nieprzeniknionym wyrazem twarzy, skupił uwagę na prawniku. Lawrence Bowen-Tilsit był dość przystojny, o regularnych rysach, ubrany w tweed. Obracał w palcach fajkę, której nie zapalił przez wzgląd na miejsce, gdzie się znajdowali. Wąskie usta ocieniały bujne siwe wąsy, za które coraz to pociągał w nerwowym odruchu. Kobieta siedząca po drugiej stronie kanapy pochyliła głowę nad tamborkiem. W jej palcach migała igła z szybkością znamionującą wieloletnią wprawę. Trudno było zgadnąć, o czym myśli — jej delikatna, piękna twarz kryła się za srebrzystymi włosami. Najwyraźniej była pochłonięta swoim zajęciem. Gdy podniosła wzrok podczas prezentacji, Ginny uderzyła niezwykła barwa jej oczu — kolor głębokiego fioletu. Trwało to tylko chwilę, po czym igła znów zaatakowała tamborek. Ginny odniosła wrażenie, że kobieta nikomu nie poświęcała zbyt wiele uwagi. Margaret Bowen-Tilsit była żoną mężczyzny siedzącego na sofie. Wczoraj podczas jazdy z lotniska Randall wyjaśnił jej stosunki pokrewieństwa w rodzinie.

Lawrence jest kuzynem Isobel — siostrzeńcem Johna Bowena, którego poślubiła matka Isobel. W kontrakcie ślubnym zawarto, że John Bowen ma przybrać nazwisko Tilsit. Gdy jego siostrzeńca Lawrence'a zaczęto kojarzyć z Tilsitami, on również dodał drugi człon do nazwiska Bowen.

— Podobnie jak George Martin Tilsit? — spytała Ginny. — On również przybrał nazwisko Tilsit?

Prawnik, zajęty prowadzeniem samochodu, spojrzał na nią zaskoczony.

— Pani ciotka twierdziła, że nie ma pani pojęcia o historii rodu.

— Znalazłam to w encyklopedii ceramiki — przyznała się Ginny. — Pod hasłem „Tilsit” podają, że ceramik George Martin przybrał nazwisko Tilsit.

— Owszem, gdy poślubił Jane Tilsit. Interesuje się pani ceramiką?

— Mam o niej bardzo blade pojęcie.

— Wkrótce się to zmieni. Każdy, kto miał cokolwiek do czynienia z Tilsitami w ciągu ostatnich stu lat, staje się specjalistą.

Ginny przypomniała sobie tę rozmowę, gdy przyglądała się Lawrence'owi

Bowen-Tilsitowi. Tego kuzyna Isobel, siostrzeńca jej ojca, nie łączyły z rodem więzy krwi.

— Pani ciotka — powiedział Randall — nalegała, by przybrał nazwisko Tilsit. Gdy wyjechał pani ojciec, okazało się, że nie ma męskich dziedziców linii.

— Isobel mogła przecież wyjść za mąż — zauważyła Ginny.

Jednak tego nie zrobiła. Niestety, Lawrence nie miał synów. Urodziła mu się tylko córka.

Lawrence Bowen-Tilsit zaczął pracę w wytwórni porcelany w czasie, gdy John Tilsit już opuścił Anglię. On i Margaret przybyli do Tilsit na zaproszenie Isobel, tu również urodziło się ich jedyne dziecko — córka. Otrzymała imię Vanessa, zaś człon Bowen w jej nazwisku nigdy nie był wymieniany. Isobel zatrzymała dla siebie informację, którą zdobyła przed laty — o swoim bracie i jego dziecku, które urodziło się na dalekiej tropikalnej wyspie St. Nicolaas. Nikt, poza Randallem, nie dowiedział się o podróży do Indii Zachodnich. W braku innego dziedzica rezydenci Tilsit przyjęli, że naturalną dziedziczką Isobel zostanie Vanessa. I nagle w zeszłym tygodniu Randall poinformował ich o wysłanym telegramie — marzenia o spadku po ciotce obróciły się wniwecz. Ginny spojrzała na Vanesę.

Siedziała samotnie na drugiej kanapie i wpatrywała się — bynajmniej nie w Randalla, lecz w nią. Jej intensywny wzrok był chłodny i taksujący.

Ma chyba ze dwadzieścia pięć lat, pomyślała Ginny. Po matce odziedziczyła urodę, lecz w jeszcze bardziej szlachetnym wydaniu. Niezwykle biała cera i głęboko osadzone oczy ocienione długimi rzęsami, ciemne brwi i włosy. Jej twarz cechowała jakaś dojrzałość, której brakło starszej kobiecie. Wzrok miała inteligentny i bystry, zdradzający gwałtowne uczucia. Ubrana była podobnie jak wszystkie kobiety na prowincji; prostota jej stroju nie pozbawiona była jednak elegancji, musiała też sporo kosztować. Fryzura nosiła ślady twórczego nieładu. Paznokcie — długie i wypielęgowane — pokryte były bladorożowym lakierem. Usadowiona swobodnie na złocistej kanapie, pośród malowideł i gobelinów wielkiej sali, sprawiała wrażenie właścicielki tych wspaniałości. Jednak było to mylące; jej nazwisko — Tilsit — było tylko przybrane.

Również tego Ginny dowiedziała się od Randalla, gdy jechali do siedziby wiejskimi drogami.

Zadebiutowała w wieku osiemnastu lat. Ciotka Isobel wydała bal w posiadłości, chociaż nie lubiła wydawać pieniędzy na podobne fanaberie. Vanessa wystąpiła również w Londynie na balu swojej przyjaciółki szkolnej. Ciotka nie zgodziła się na jej prezentację na dworze — w rodzinie istniała tradycja trzymania się z daleka od Pałacu Buckingham, miało to coś wspólnego z reprimendą udzieloną przez królową Wiktorię. Ale brak prezentacji czy wielkiego balu nie przeszkadzał Vanessie. Jej ołśniewająca uroda stała się sensacją sezonu w Londynie. Już wtedy miała swój styl i obracała się w dobranym towarzystwie. To nie podobało się Isobel, więc

wstrzymała jej apanaże i kazała natychmiast wracać do Tilsit. Bowenowie nie byli zamożni i nie mogli pomóc córce finansowo. Wróciła więc, ale wytrzymała zaledwie kilka miesięcy, po czym wyjechała do Londynu do pracy. Czym się zajmowała, nikt nie wiedział, zresztą sama Vanessa nie traktowała zajęcia zbyt poważnie. Ciotka nauczyła ją gruntownie umiejętności wytwarzania ceramiki, więc gdy Vanessa uciekła, wpadła dosłownie w furję. Lawrence usiłował ściągnąć córkę do Tilsit, bowiem wszyscy spodziewali się, że ciotka uczyni ją spadkobierczynią i Lawrence nie chciał drażnić Isobel. Jednak Vanessa była bardzo samodzielna — i młoda. Udało się jej zdobyć zaproszenie do Klosters i wszędzie tam, gdzie bywanie było modne i dobrze widziane. Isobel była przekonana, że młoda panna jest z gruntu lekkomyślna. Zwłaszcza wtedy, gdy wyszła za mąż za kierowcę wyścigowego.

— Coś podobnego! — Ginny wydała okrzyk zdumienia.

— Właśnie. Co gorsza, za Włocha i to znanego. Rozumiem ją, chociaż zupełnie się nie znam na wyścigach. Poznała go podczas wypadu na kontynent. Następnie przyjechał na wyścig do Anglii i od razu się pobrali. Vanessa była niepełnoletnia i Isobel domagała się anulowania związku, ale, o dziwo, Lawrence uparł się i odmówił interwencji. I tak już zostało. Kiedyś poznałem tego Włocha — nazywał się Marcello Vitti, był niezwykle przystojny i czarujący, a przy tym dobrze wychowany. Myślę, że bardzo kochał Vanesę. Gdy zasugerowałem, że ciotka chętnie wypłaciłaby pewną sumę w zamian za rozwód, bardzo grzecznie odesłał mnie do diabła. Wydaje mi się, że postępowanie pani ciotki było, delikatnie mówiąc, niezbyt rozropne. Gdy spytałem, czy przyjąłby nazwisko Tilsit, roześmiał mi się w twarz. — W głosie Randalla, gdy o tym opowiadał, dało się wyczuć dość niezwykle ciepło. — Muszę przyznać, że lubiłem tego człowieka, chociaż nie miał żadnej z cech, które cenią prawnicy. Wygrywał wyścigi, zarabiał mnóstwo pieniędzy, po czym wydawał je wspólnie z Vanessą. Zawsze miała najnowsze stroje z Paryża i budziła sensację, gdziekolwiek się pojawiła. Jej zdjęcia umieszczały znane europejskie magazyny. Była jedną z gwiazd międzynarodowej śmietanki towarzyskiej, zawsze w czołówce mody, jak mawiała moja żona. Vitti, gdy żył, miał dość pieniędzy na prowadzenie takiego stylu życia.

— Zginął?

Randall skinął głową.

— W jednym z tych okropnych karamboli. Wpadły na siebie trzy wozy wyścigowe, zginęli kierowcy i kilku widzów. Zdarzyło się to półtora roku temu. Vanessa wróciła do Tilsit.

— I przez cały ten czas nie miała pojęcia o moim istnieniu?

— Do chwili, gdy poinformowałem ich, że wysłałem po panią telegram.

— Więc zdają sobie sprawę, co zawiera testament?

— Mniej więcej.

Spojrzenie Vanessy utkwione w Ginny nie wyrażało zaskoczenia. Wiedziała, co traci. Jednak jej wzrok, chociaż krytyczny, nie wyrażał

wrogości. Słuchając przemowy Randalla wyjęła ze złotej papierośnicy papierosa i rozejrzała się, szukając zapałek. Nie mogąc ich znaleźć, podniosła się powoli i podeszła do kominka. Ginny obserwowała ją, jak podnosi ciężkie żelazne szczypce, wyszukuje żarzący się węgielek i z wdziękiem unosi go, przypalając papierosa. Jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Ginny — uśmiechnęła się lekko. Nie był to przyjazny uśmiech, raczej wyrażał uznanie i jakby zaciekawienie. Trudno byłoby spodziewać się tego po okrutnym figlu, jaki Vanessie spłatała Isobel, a jednak się uśmiechała. Ginny przypuszczała, że w innych okolicznościach polubiłaby Vanessę. Teraz pozostawało im tylko tolerować się wzajemnie.

Wszyscy musimy się tolerować, pomyślała. Siedzieli tutaj, obcy sobie ludzie, zebrani wskutek splotu okoliczności. Nie potrzebowali się wzajemnie. Lawrence Bowen-Tilsit kierował wytwórnią porcelany, której właścicielką stała się Ginny. Wyjaśnił jej to dokładnie William Randall w trakcie jazdy do posiadłości.

— Nie chcę się zagłębiać w szczegóły ostatniej woli pani ciotki, zanim jej formalnie nie odczytam. Lecz nie wydaje mi się właściwe, by zjawiła się pani u pozostałej rodziny bez wprowadzenia w sytuację. To dość dziwni ludzie, podobnie jak i sytuacja. Cóż, dziwactwa to nieodłączna cecha Anglików i lubią je kultywować.

W czasie dłużej się jazdy z Londynu obecność Randalla jakoś uspokoiła Ginny. Poczowała przypływ sympatii i zaufania do tego wysokiego mężczyzny pod sześćdziesiątkę, ubranego w znoszony tweed, który leżał na nim jak druga skóra. Był łagodny i odnosił się ze zrozumieniem do jej oszołomienia zbyt szybko się toczącymi wydarzeniami. Już na lotnisku, gdy się w końcu rozpoznali, przeproszał ją za pośpiech.

— Pojedziemy prosto do Tilsit, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Reszta rodziny oczekuje pani niecierpliwie — i mają po temu powody.

Niechętnie odniósł się do pomysłu udzielenia wywiadu dla prasy. Gdy chował jej walizki, pojawili się dwaj mężczyźni, jeden trzymał aparat fotograficzny. Na ich widok Randall cisnął resztę bagażu na tylne siedzenie i usiłował upchnąć Ginny z przodu, podczas gdy ona kurczowo ścisnęła w rękę swój biały płaszcz. Nie udało mu się. Gdy otwierał drzwiczki, błysnął flesz.

— Panna Tilsit? Jestem Peter Styles z „Daily Post”. Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Randall wtrącił się stanowczo: — Nie teraz. Panna Tilsit odbyła długą drogę i jest bardzo zmęczona. Nie ma w tej chwili nic do powiedzenia.

Mówiąc to, ponaglał Ginny do zajęcia miejsca i wreszcie udało mu się zamknąć drzwiczki. Usłyszała, jak zwraca się do reporterów: — Wszelkie informacje będą przekazywane przez moje biuro.

Wślizgnął się na siedzenie kierowcy i pospiesznie uruchomił silnik.

— Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że odpowiadałem w pani imieniu? Ciężko się dogadać z prasą, zwłaszcza gdy testament nie został jeszcze odczytany. Trzeba uważać, by się z czymś nie wygadać.

Ginny uznała, że ma rację; przypomniała sobie, że zachowanie jej ojca było bardzo podobne do sposobu bycia Randalla, i tym łatwiej było jej go zaakceptować. Znużona, poddała się rytmowi jazdy. Przyglądała się wąskim drogom i zatłoczonym miasteczkom, wsłuchiwała w równomierne szuranie wycieraczek, gdy zaczął padać deszcz, okazywała uprzejmą uwagę Randallowi, gdy wskazywał jej interesujące miejsca, mijane po drodze. Miała wrażenie, że usilnie próbuje nawiązać z nią kontakt, co nie bardzo się udawało, jako że świat wysp karaibskich był dla niego czymś, o czym się czyta w „National Geographic” — nie potrafił wyobrazić sobie, jak można tam żyć i w dodatku zarabiać. Traktował ją z troskliwą ostrożnością, jak delikatnego tropikalnego ptaka, ciągle manipulując przy ogrzewaniu i dopytując się, czy nie jest jej zimno.

— Anglikom trudno sobie wyobrazić świat, w którym nie ma zimy i chłodu — rzekł w końcu. — Dla nas to wręcz niewiarygodne. — Zauważyła, że od czasu do czasu opuszcza szybę i łapczywie wciąga świeże powietrze.

Podnosił ją także na duchu, gdy zmierzch zaczął gęstnieć i zrobiło się ciemno.

— Już niedaleko. Kawałek za Bournemouth. Za pierwszym razem jazda zawsze się dłuży, ale będzie pani zdumiona, jak szybko można się przyzwyczaić. W pobliżu jest przyzwoity lokal, gdzie możemy coś zjeść. Nie zdążymy na kolację do Tilsit. — Zabrzmiało to tak, jakby był z tego faktu zadowolony. — Mieszkam w Tilsit od śmierci pani ciotki. Mnóstwo tam roboty...

Zajazd, gdzie się zatrzymali, był utrzymany w stylu Tudorów.

— Zawsze mnie zaskakuje — powiedziała Ginny — że oryginały wyglądają zwykle jak kopie, może z wyjątkiem tych uginających się belkowań.

— W niektórych fragmentach Tilsit jest znacznie starszy niż to — wskazał na budynek wruszając ramionami. — Wielki Hol i część Starego Domu pochodzą z czternastego wieku. Ale kaplicę datuje się na dwunasty wiek, a freski malowano około roku tysiąc pięćsetnego.

Ginny skierowała wzrok na kieliszek z winem.

— Nie wiem, czy nauczę się żyć w takim otoczeniu, panie Randall.

— Najstarsze części domu nie są używane na co dzień; zwiedzają je wycieczki. Ale i tak — zawahał się — dom żyje. Jest zamieszkanym od zawsze... przez Tilsitów.

— Ale nie mojego ojca — odparła Ginny.

Tym razem to Randall zatopił wzrok w kieliszku wina.

— Rzeczywiście, nie.

I Ginny od razu zdała sobie sprawę, że wyjaśnienie przeszłości nie będzie łatwą sprawą i że w Tilsit równie niechętnie będą rozmawiać o jej ojcu jak teraz Randall o samej posiadłości.

— Kiedy odbył się pogrzeb Isobel? — Słowo „ciotka” nie chciało jej przejść przez usta.

— Wczoraj. Spóźniła się pani. Pogrzeb był cichy, inaczej przysłyby

tłumy. Pani ciotki nie obchodził rozgłos. Nie dbała o to, czy ludzie ją lubią, czy nie.

— Wiem — powiedziała Ginny.

— Gdyby przyjechała pani wcześniej, w kościele pełno ciekawskich pragnęłoby się pani przyjrzeć. Ktoś się wygadał, że dostaliśmy instrukcje wysłania telegramu, żeby panią tu ściągnąć na wypadek śmierci ciotki. Mimo to nikt nie mógł wynioskować, czy ma pani powody interesować się spadkiem. Wystarczył sam fakt, że pani istnieje. Samo śledztwo wzbudziło sensację, a pogłoska, że przybywa córka Johna Tilsita, dopełniła reszty. Trzydzieści lat to niedużo dla tak spokojnego hrabstwa jak Dorset. Tilsit jest jego symbolem, ale wytwórnia porcelany znaczy dużo więcej, bo zapewnia pracę wielu ludziom. Oni zawsze bardzo się interesowali, co się dzieje w posiadłości. Czasami wręcz żałowałem, że tak jest — te tłumy gapiów w związku ze śledztwem...

— Czy to było konieczne? Isobel mówiła, że ma kłopoty z sercem. Czy to prawda?

Randall westchnął.

— Też wolałbym uniknąć dochodzenia. Próbowałem, ale pojawiły się wątpliwości. Lekarze nie potrafili ustalić, czy zginęła na skutek upadku, czy miała zawał i umarła, zanim spadła. Dlatego sekcja i śledztwo były konieczne.

— Spadła?

— Z urwiska. Nie było bardzo wysokie, ale odniosła ciężkie obrażenia. Nikt nie widział samego wypadku, więc trudno powiedzieć, jak było naprawdę. Upadek i śmierć nastąpiły zaraz po sobie, zatem koroner wydał orzeczenie o śmierci z powodów naturalnych. Oczywiście wszystkim to odpowiadało.

— Czy można było orzec inaczej?

— Śmierć na skutek odniesionych ran, co sugerowałyby wypadek. Ale sekcja ujawniła chorobę serca. Mogło być i tak, i tak. Chyba dlatego wdrożono śledztwo. Szkoda. Takie sprawy wywołują niepotrzebne plotki. Wolałbym, żeby się to nie stało.

Wyszli z gospody i ruszyli w drogę. Ginny wydawało się, że uczestniczy w jakiejś grze: jechali labiryntem wiejskich dróg od jednego znaku drogowego do drugiego — podróżny mógł wybrać tę lub inną możliwość, prawie zawsze błędną. Randall pędził ocienionymi żywopłotem traktami, ryzykownie wyprzedzając napotkane pojazdy.

— Przywyknie pani do angielskich dróg — rzucił na pocieszenie, świadom jej zdenerwowania. — Są tak wąskie, że bez ryzykowania nigdy nie uda się wyprzedzić. Podobno w Ameryce jest zupełnie inaczej.

— Owszem — powiedziała Ginny słabym głosem. — Panie Randall, chciałam pana spytać...

— Słucham?

Miała zamiar zapytać o ojca, lecz nagle zaciażyła jej bliskość Tilsita. Kolacja stanowiła cezurę między dwoma światami — tym, który opuściła i tym, w który wkraczała. Z każdą milą Tilsit się rozrastał, a pytania stawały

się bardziej dręczące. Powody, które wyгнаły stąd Johna Tilsita, nurtowały ją tym bardziej, im mocniej zdawała sobie sprawę z tego, co za sobą zostawił. Trzydzieści lat to niedużo w porównaniu do stuleci, lecz w Tilsit szanowano czas i cofnięcie się w przeszłość do chwili ucieczki jej ojca również wymagało czasu. Ginny rozumiała, że nie ma łatwych odpowiedzi na proste pytania. Nie znała nawet właściwych pytań. Więc spytała tylko: — Czy jeszcze daleko?

— Jeszcze trochę. Musimy objechać przystań i kanał wodny. Zwykle na miejsce można się dostać promem łączącym oba brzegi, niestety przestaje kursować o ósmej. Piętnaście mil stąd jest St. Mary, tam mieści się fabryka. Tilsit jest położone na wybrzeżu, kolejne piętnaście mil.

Na wybrzeżu. Nie odgadłaby tego, siedząc teraz we wspianiałej sali, słuchając Randalla i wpatrując się w ogień na kominku — ogień, który nie mógł jej rozgrzać. Do tego miejsca nie dochodził ani szum morza, ani jego zapach. Widok skrywały potężne budynki, przejścia, schody i dziedzińce. Dalej rozłożyły się niskie zalesione wzgórza. Jeszcze dalej, na linii horyzontu tkwiły ruiny normańskiej wieży. Wczoraj, gdy dojeżdżali na miejsce, deszcz przestał padać, od czasu do czasu spoza rzadkich chmur wyłaniał się księżyc. Randall zwolnił podjeżdżając do domku oddźwiernego, stojącego przy wąskim kamiennym moście.

— Oto Tilsit, tam na prawo — powiedział zupełnie niepotrzebnie.

Posiadłość rozłożyła się w połowie zbocza; jej sylweta ukazywała się w przerwach między niskimi chmurami. Światła paliły się tylko w jednym skrzydle. Ginny zapamiętała, jak zacisnęła kurczowo palce na oparciu siedzenia, ogarnięta nagłą paniką na widok ogromnej bryły wyłaniającej się w ciemnościach. Posiadłość zbudowano na dwóch poziomach wzgórza, więc mury bliższej części górowały nad nim jak szańce. Chmury znów się zwarły, z niezliczonych kominów i skomplikowanej linii dachów znikła poświata. Nawet teraz, w świetle dziennym, już mniej posępna i bajkowa, budowla ciągle narzucała swoją obecność. Spokojnie, powiedziała sobie, z czasem wszystko się wyjaśni. Znów wsłuchiwała się w słowa Randalla:

— Emilii Brown i Robertowi Garthowi — o ile byli zatrudnieni w chwili mojej śmierci — przekazuję po tysiąc funtów.

Robert Garth. To ten starszy mężczyzna o pochylonych ramionach, który przywitał ją zeszłej nocy w Tilsit. To on otworzył dwuskrzydłowe wrota do wyłożonego kamieniem holu, gdy samochód Randalla przemknął pod sklepieniem wiodącym na pierwszy dziedziniec.

— To jest podwórzec, tak wszyscy go nazywamy — wyjaśnił Randall. — Podjechalśmy do wejścia wschodniego. Zwykle rodzina korzysta ze skromniejszego wejścia, południowego, ale Garth czułby się urażony, gdybyśmy nie wjechali głównym.

Starzec pochylił głowę w powitaniu i odezwał się: — Witamy w Tilsit, panno Virginio. — Poczulią się osaczona, wręcz przytłoczona tym przywitaniem, a także pokornym spojrzeniem, które mówiło, że oto zostaje obdarzona

władzą. Poorana zmarszczkami twarz dłuгоletniego majordomusa nie wyrażała emocji, ale Ginny poczuła wręcz fizyczny ciężar obowiązku i odpowiedzialności. Gdy podążyła za nim, mijając rzeźbione dębowe panele, które odgradzały hol od korytarza, zatrzymała się na chwilę, by odpocząć, ale także, żeby móc je dokładniej obejrzeć. Mało się nie rozeźmiała; tak podziałała na nią nierealność miejsca i jej w nim obecności, ogrom pomieszczenia, słabo oświetlonego świecami zatkniętymi w cynowych kinkietach; galeria była zatopiona w półmroku, a tapety za wielkim stołem ożywiały się kolorem jedynie wtedy, gdy padło na nie światło z chybottliwych płomyków świec — chwytne na skutek przeciągu płynącego z pootwieranych drzwi. Garth przywołał młodego chłopca w białym surducie, by zabrał jej bagaże. Następnie poprowadził ją kolejnym przejściem, przez rozsunięte kotary spływające od sufitu do podłogi. Po ich drugiej stronie paliło się elektryczne światło i natychmiast średniowieczny majestat ustąpił miejsca miłemu i solidnemu wiktoriańskiemu komfortowi. Skręcili w prawo szerokim korytarzem i Garth wprowadził ją do przestronnego, choć nieco podupadłego pokoju — salonu, jak przekonała się później Ginny. Przepastne kanapy i fotele obite podniszczonym czerwonym adamaszkiem przyjemnie kontrastowały z surowym chłodem Wielkiego Holu. W marmurowym kominku płaonął ogień i Ginny podeszła do niego uradowana.

— Całe skrzydło zostało dobudowane pod koniec siedemnastego wieku — powiedział Randall, sadowiac się w jednym z foteli ze zręcznością znamionującą dłuгоletnią wprawę. — Odnowiono je gruntownie na przełomie dwudziestego wieku — jestem pewien, że będzie pani za to wdzięczna. — Spojrzała na Gartha, stojącego przy drzwiach.

— Rodzina udała się już na spoczynek, panie Randall. Nie sądziliśmy, że zdecyduje się pan na podróż z Londynu o tej porze. Miałem ich powiadomić, gdyby panna Virginia przyjechała.

Przecież spodziewali się mnie, pomyślała Ginny, przypominając sobie zapalone świece w Wielkim Holu. Randall przecząco pokręcił głową.

— Nie budź ich, Garth. Panna Tilsit podróżowała bez przerwy, odkąd wyjechała z Indii Zachodnich. Nie przypuszczam, by chciała znosić teraz jakieś zamieszanie. Powinna jak najprędzej odpocząć w łóżku.

— Doskonale, panie Randall. Czy przynieść panience coś do picia?

— Chętnie napiję się herbaty.

Garth przyniósł ją po dziesięciu minutach na owalnej srebrnej tacy; serwis był bogato zdobiony czerwono-złotym ornamentem.

— Czy to porcelana z Tilsit?

— To nasz najbardziej skomplikowany wzór, panno Virginio. Bardzo trudny i kosztowny w produkcji. — W jego opanowanym głosie pojawiły się nutki dumy. — Przypuszczam, że wkrótce się pani o wszystkim dowie.

— Niewątpliwie, Garth — wtrącił się Randall.

W sypialni, do której wprowadził ją majordomus, czekała na nią kobieta. Była szczupła i wysoka, stalowoszare włosy miała upięte w kok. Pospolita

twarz była pozbawiona makijażu i wyglądała, jakby jej właścicielka cały dzień nie spojrzała w lustro.

— Dobry wieczór, panno Virginio — powtórzyła znaną już formułę. — Witamy w Tilsit. Nazywam się Brown.

— Mam tu spać? — spytała Ginny z przerażeniem w głosie. Próbowwała je zwalczyć, jako przejaw słabości, ale myśl o spędzeniu tu nocy wstrząsnęła nią. Błękitno-złote adamaszkowe zasłony osłaniały szczelnie ogromne okna, na rzeźbionym stoliku paliła się jedyna lampa. Ciemne masywne meble ginęły na obszernej przestrzeni. Łoże o czterech kolumnkach było już przygotowane — z góry zwieszał się błękitny haftowany baldachim, sięgający masywnego wezgłowia z ciemnego drewna. Większość sali tonęła w ciemności.

— Może panienka rzecz jasna spać, gdzie zechce, mamy tu wiele pokoi — zagadała kobieta nerwowo. — Tutaj spała pani ciotka, a przed nią jej babka, zanim umarła. Proszę spojrzeć — gwałtownym ruchem otworzyła drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, równie wielkiego jak to, w którym znajdowała się Ginny. — Prababka panienki kazała tu urządzić łazienkę. Niedługo była tu gotownia.

— Sama nie wiem... — zawahała się Ginny.

— Będzie tu panience wygodnie. Gdyby było czegoś trzeba, proszę tylko zadzwonić. Pani ciotka już dawno przeniosła mnie ze skrzydła dla służby. Mieszkam obok, parę kroków korytarzem.

Zastałe powietrze pokoju wręcz obezwładniło Ginny. Poczowała lekki zawrót głowy. Łoże, częściowo przysłonięte baldachimem, kusiło do spoczynku.

— Na pewno panienka jest zmęczona. Proszę się położyć. Rozpakowałam już większość bagaży. Jutro je porozkładam, zgodnie z życzeniem. Na pewno będzie tu panience wygodnie.

— Dziękuję. — Nie mogła zrozumieć, dlaczego w głosie kobiety pobrzmiwała perswazja, wręcz prośba. Podobnie jak wcześniej Garth, teraz ta kobieta próbowała pozbyć się jakiegoś ciężaru. Zachowywała się uniesienie, Garth był stanowczy, zaś Randall — delikatny i wyrozumiały. Lecz wszyscy oni zdawali się odczuwać ulgę ze zrzucenia ciężaru, który ich przygniatał, jakby pospiesznie obarczyli nim Ginny.

— Jeszcze jedno, panienko. Chodzi o świecę... światło elektryczne jest tylko w kinkietach i tej małej lampce... Dawniej był to pewnie zbytek, ale teraz... Musi panienka skorzystać ze świecy, gdyby chciała coś napisać — skinęła w stronę wysokiego sekretarzyka stojącego między oknami. — Tylko ostrożnie, te zasłony...

— Chciałabym uchylić okno — poprosiła Ginny.

— Oczywiście. Pani ciotka także lubiła sypiać przy otwartych oknach. Zaraz to zrobię.

Gdy Ginny podeszła do zasłon, odczuła wstrząs. Z daleka i w przyciemnionym świetle pyszniły się błękitem i bogatymi złotymi zdobieniami. Z bliska okazało się, że jedwab jest zetlały i wyblakły. Służąca zauważyła, jak Ginny przesuwając delikatnie palcami po wytartych fałdach.

— Już czas, żeby je wymienić. Te tutaj wytrzymały ponad sześćdziesiąt lat, ale poprzednie wisały aż sto. Wtedy produkowano lepsze tkaniny. Oczywiście, złote ozdoby przyszywano na nowe story — to niezwykle pracochłonne zajęcie.

Mimo znużenia Ginny nie mogła się powstrzymać od pytania: — Skąd wiesz to wszystko? Skąd wiadomo, jak długo wytrzymały poprzednie zasłony?

— Wszystko to jest spisane, panienko. W księgach domowych. Ten komplet — wskazała na zasłony — sześćdziesiąt lat temu kosztował trzydzieści siedem funtów i pięć szylingów. Teraz trzeba by za nie zapłacić kilkaset funtów. To dlatego panna Isobel ciągle odkładała decyzję.

Ginny skinęła głową, wpatrując się w ciemność rozciągającą się za oknem. Z początku nie było nic widać, później, gdy jej oczy przywykły, zauważyła zarys wieży warownej na szczycie wzgórza.

— Jesteśmy nad morzem? — spytała.

— Stąd nie można zobaczyć morza, chyba że ze wzgórza. Ale czasem je słychać, zwłaszcza w porze sztormów. Pozostali, to znaczy pan i pani Bowen-Tilsit oraz Vanessa mają pokoje po drugiej stronie, z widokiem na Dziedziniec Wewnętrzny. Panna Isobel wolała tę część budynku. Czy panienka życzy sobie czegoś jeszcze?

— Chyba nie.

— W takim razie dobranoc. Niech się panienka porządnie wyśpi.

— Dziękuję ci. — Gdy kobieta przymykała już drzwi, Ginny zawróciła ją. — Przepraszam, zapomniałam, jak się nazywasz.

— Brown, panienko. Odkurzam porcelanę.

Wyszła pozostawiając Ginny w stanie osłupienia, walczącą z nieodpartym przymusem wybuchnięcia histerycznym śmiechem. — Wielki Boże — wyszeptała. — Nazywam się Brown... i odkurzam porcelanę. — I rzeczywiście, rozszmiała się — głupiutkim dziecięcym chichotem, przechodzącym w pochlipywanie, spowodowane zmęczeniem i niedowierzaniem.

Obudziła się w ciemności nagle, z uczuciem, że spała zaledwie kilka minut. Leżała napięta w pościeli, słuchając dźwięków, które ją rozbudziły — ciche i delikatne skrobanie sprawiło, że przez chwilę przeszył ją dreszcz. Wciągnęła głęboko powietrze, nieświadoma, gdzie się znajduje i dlaczego otacza ją mrok. W pierwszym momencie przypomniała sobie, że śpi w pokoju Isobel w Tilsit, a w następnym — rozpoznała źródło dźwięku. Znalezienie świecy i zapałek zabrało jej chwilę — krąg światła jedynie pogłębił ciemności. Podeszła boso do drzwi i powoli je uchyliła.

Pies wszedł do pokoju bez wahania — piękny brązowobiały spaniel; zatrzymał się na chwilę, po czym podniósł na nią wzrok. Nie było w nim przyjaźni ani podejrzliwości — wilgotne, smutne oczy wyrażały jedynie grzeczne, choć powściągliwe przywitanie. Niezwłocznie podjął wędrówkę po pokoju. Ginny, trzymając w ręku lichtarz, obserwowała go. Obwahał wszystkie przedmioty, walizki czekające na rozpakowanie, kaptcie, łożo, pod którym na chwilę zniknął. Kiedy skończył, zerknął jeszcze raz na Ginny, ale

bez zachęty, po czym umościł się w koszyku na wprost przygasającego kominka. Wiedziała, że to był pies Isobel i że szukał śladów swojej pani. Piękny arystokratyczny łeb złożył na łapach i Ginny od razu poznała, że nie szukał pocieszenia. Jej obecność nie wydawała mu się przeszkadzać — zachowywał się, jakby jej w ogóle nie było. Ginny wróciła do łóżka i zdmuchnęła świecę, ale długo nie mogła usnąć. W końcu usłyszała przeciągłe westchnienie — pies zasnął, a ona wkrótce po nim.

Rano pojawiła się Brown ze śniadaniem na tacy. Pierwsze, co Ginny ujrzała, gdy otworzyła oczy, to wypłowiwały kwiecisty chałat kryjący kwadratową figurę kobiety — weszła do pokoju i rozsunęła zasłony. Potok światła zalał pomieszczenie.

— Dzień dobry. Widzę, że wpuściła panienska Tripa. Zapomniałam uprzedzić, że przychodzi do pokoju... chyba tęskni. Mam nadzieję, że panienska dobrze spała.

— Tak, dziękuję. Która godzina?

— Prawie wpół do jedenastej.

Ginny usiadła na posłaniu.

— Powinam już być na dole. Czy to dla mnie? Nie, dziękuję. Nie lubię jeść w łóżku. Muszę już iść. Spotkać się z... z pozostałymi. Jeszcze ich nie poznałam.

— Pan Garth i ja pomyśleliśmy, że nie trzeba się tak spieszyć pierwszego dnia. Była panienska taka zmęczona... Pan Randall powiedział, że najlepiej będzie, jeśli spotka się pani ze wszystkimi wpół do dwunastej w Łzocistej Sali.

— Czy będą tam wszyscy?

— Tylko rodzina. I pan Barstow, o ile się namyśli. Czy jeszcze coś? Proszę zjeść śniadanie. Napaliłam w łazience. Pan Randall mówił, że może panienska zmarznąć, zważywszy na miejsce, skąd panienska pochodzi.

— Dziękuję... Brown?

— Tak, panienko.

Ginny nalała sobie herbaty i sączyła ją powoli.

— Co robisz, poza odkurzaniem porcelany?

— Zajmowałam się panną Isobel. Miała tyle na głowie... kierowanie posiadłością, dopilnowanie fabryki. Pomagałam jej w czym mogłam, oczywiście poza porcelaną. Ona mnie wyuczyła. Byłyśmy prawie w tym samym wieku — ja jestem troszkę starsza. Przybyłam do Tilsit jeszcze jako młoda dziewczyna; ona i Starsza Pani przyuczały mnie do moich powinności.

— Starsza Pani?

— Jane Tilsit. To ona uczyła Isobel, jak odkurzać i przechowywać Kolekcję. Pomagałam jej. We właściwym czasie panna Isobel powierzyła wszystko moim rękom. Gdyby chciała panienska coś obejrzeć, to mam klucze.

— Powiem ci, jak się zdecyduję... Brown?

— Powiedz w kuchni, że do śniadania wolę kawę. — To było pierwsze polecenie, które wydała Ginny w Tilsit.

Brown skinęła z uszanowaniem głową, wyraźnie zadowolona.

— Powiem głównemu kucharzowi, panienko.

To właśnie im — Garthowi i Brown — Isobel zostawiła po tysiąc funtów. Gdy Ginny zeszła na dół godzinę później, Garth czekał już w holu.

— Dzień dobry, panienko Virginio — pozdrowił ją. — Pokażę drogę do Złocistej Sali. — Poprowadził ją korytarzem przez Wielki Hol, następnie obok kręconych schodów, które wiodły na werandę, do długiej galerii i dalej przez wspinałe sypialnie. Następnie zatrzymał się, otworzył drzwi do Złocistej Sali i zaanonsował ją.

Czekali już tam — Lawrence, Margaret i Vanessa oraz Randall, który dokonał prezentacji. Na pięknej twarzy Margaret Bowen-Tilsit zaigrał i natychmiast zniknął nieznaczny uśmiezek. Lawrence jako jedyny silił się na udawanie uprzejmości. Vanessa uśmiechała się swobodnie, wyraźnie rozbawiona.

— Któżś z nas powinno cię przywitać, ale Randy uznał, że tak będzie lepiej. Na pewno wiele ci opowiadał — my również chcieliśmy się przygotować. Umieraliśmy z ciekawości, czy aby nie jesteś Murzynką — to byłby dopiero wstrząs dla okolicznych mieszkańców. Musisz mnie objaśnić, gdzie leży St. Nicolaas, nie mogłam znaleźć na mapie.

— Nie dziwię się — powiedziała Ginny. — Również Isobel zajęło mnóstwo czasu odszukanie wyspy. — Siadając dostrzegła, że uśmiech na twarzy Vanessy zniknął.

Randall kontynuował swoją przemowę:

— Vanessie Isobel Tilsit przekazuję farmę znaną jako Barrow's End, łącznie z dwoma zabudowaniami, oraz posiadłość pod nazwą Barrow Great House.

Przez twarz Vanessy przemknął skurcz, jej palce zacisnęły się na miękkich poduszkach kanapy i już nie puściły.

— Lawrence'owi Bowen-Tilsitowi — dożywocie z tysiąca sztuk akcji Ceramiki Tilsit. Prawa do głosu jednak pozostają w gestii mojej bratanicy, Virginii Tilsit, zaś pakiet ma do niej wrócić po śmierci Lawrence'a Bowen-Tilsita.

Ginny nie śmiała spojrzeć na niego, zdając sobie sprawę, że Isobel dawała jedną ręką, a odbierała drugą.

— Markowi Barstowowi... — Randall zawiesił głos, jakby w oczekiwaniu, że drzwi otworzą się i stanie w nich spóźnialski. Podjął na nowo. — Markowi Barstowowi — dożywocie z tysiąca sztuk akcji Ceramiki Tilsit. Prawa do głosu pozostają jednak... — Powtórzył to samo zastrzeżenie, co w przypadku Lawrence'a. Po przeczytaniu tego fragmentu Randall rozejrzał się po zgromadzonych, jakby czekając na protest czy inną reakcję. Panowała cisza — nikt się nie poruszył ani nie przemówił. Randall kontynuował.

— Jest moją wolą, ażeby Mark Barstow w dalszym ciągu wywiązywał się z funkcji kuratora i stróża Porcelanowej Kolekcji Tilsit.

Wreszcie nastąpiła chwila, dla której Ginny została wezwana z odległego St. Nicolaas.

— Cała moja posiadłość oraz dobra osobiste, to znaczy Tilsit łącznie z farmami, które do niej przynależą, moje udziały w Zakładach Ceramicznych Tilsit daruję w całości mojej bratanicy, Virginii Tilsit. Warunkiem dziedzictwa jest zamieszkanie w Tilsit oraz aktywna praca na rzecz Zakładów Tilsit, także wszelki niezbędny udział w utrzymaniu posiadłości i udostępnianiu jej zwiedzającym. Kolejnym warunkiem dziedziczenia jest, aby po zamażpójściu jej mąż przybrał nazwisko Tilsit, które przejmą także zrodzone z tego małżeństwa dzieci.

Ginny odebrała te słowa jak cios. Chłód, jaki odczuwała, zamienił się w zimno przejmujące do szpiku kości, mrozące ducha i umysł. Raz już to przeżywała — gdy Eliot Russell zapiął jej na szyi diamenty i zarzucił na ramiona biały karakułowy płaszcz. Czuła się tak, jakby się stała jego własnością, przedmiotem, do którego prawa nie dała mu jej miłość. Miły, spokojny głos Randalla rozbrzmiewał ogłuszająco w jej głowie.

Czytał nieprzerwanie — kolejne długie strony dokumentu, obwarowane zastrzeżeniami dotyczącymi dziedzictwa. Niektóre z nich były jasne i zrozumiałe — na przykład Lawrence i Margaret Bowen-Tilsit mieli w dalszym ciągu prawo do pobytu w Tilsit, bez wnoszenia opłat i na jak długo sobie życzyli. Dotyczyło to również Vanessy, ale tylko do chwili jej powtórnego małżeństwa. Firma Hedges, Randall i Strong z Bournemouth miała dalej kierować sprawami posiadłości oraz biura, stworzonego w celu obracania środkami finansowymi, przeznaczonymi na koszty utrzymania Tilsit, tak aby zwiedzający mieli dostęp do kolekcji. Prezesem biura miała być Virginia. „Na wypadek gdyby moja bratanica, Virginia Tilsit, w chwili mojej śmierci była małoletnia, posiadłość będzie zarządzana przez zarząd powierniczy w osobach Hedgesa, Randalla i Stronga, do czasu osiągnięcia przez nią pełnoletności.”

Były również klauzule zupełnie dla niej niezrozumiałe: „Jest moim życzeniem, a także życzeniem mojej babki, Jane Tilsit, ażeby moja bratanica, a także wszyscy potomkowie w linii prostej odmawiali wszystkich tytułów i honorów nadawanych im przez Koronę Brytyjską”.

I wreszcie ostatnie zastrzeżenie:

„W przypadku gdyby moja siostrzenica, Virginia Tilsit, zmarła przede mną, przekazuję całe dziedzictwo — posiadłość, nieruchomości i ruchomości Vanessie Isobel Tilsit, z zastrzeżeniem wypełnienia postawionych warunków.”

William Randall zdjął okulary.

— Chętnie odpowiem państwu na wszelkie pytania i wątpliwości, sądzę jednak, że panna Tilsit wyłożyła wszystko w sposób jasny i zrozumiały.

Lawrence Bowen-Tilsit przełknął ślinę i rozkrzyżował nogi. Wobec panującej w sali ciszy zdecydował się zabrać głos.

— Myślę, że wystarczająco jasno... Isobel była bardzo hojna...

Okrzyk, który wyrwał się z ust Vanessy, przypominał zarazem śmiech i płacz.

— Przestań, ojczy! Skończ z tym! Już nie musisz. Ona i tak nie żyje — nie rozumiesz? Nic już nie można zrobić, żeby zmienić ten dokument. Nie

musisz się już płaszczyć przed ciotką ani przed nią! Nie musisz już potakiwać jej, kiedy doskonale wiesz, że nie ma racji.

— Vanesso! — Błede wargi Lawrence'a zacisnęły się kuczowo. Ginny spostrzegła, że ma on twarz człowieka słabego, którego prawdziwe oblicze ukazuje się w chwili stresu. Rysy jego twarzy jakby się rozbiegły; ciemne brwi stały się jedną kreską, nie z powodu gniewu, lecz skrajnego napięcia. — Zabraniam ci tak mówić, Vanesso! Isobel była dla nas hojna — nie możesz temu zaprzeczyć. Dostałaś przecież Barrow's End i Great Barrow...

Vanessa prychnęła z pogardą.

— Rzeczywiście, wielka mi hojność! Barrow's End to tylko kilka nędznych farm, przynoszących za ledwie kilkaset funtów rocznie. Zaś koszty utrzymania Great Barrow House mnie zrujniają — o ile urząd skarbowy pozwoli mi go zatrzymać, po obliczeniu wszystkich podatków. — Podniosła się nagle z kanapy i patrzyła wyprostowana na Lawrence'a Bowen-Tilsita. — Czy mamy być wdzięczni za kilka rzuconych ochłapów? Miała nas za służących i takie dostaliśmy wynagrodzenie — okruchy z pańskiego stołu. Co otrzymaliśmy? Nie! Co nam po tysiącu akcji, gdy nie mamy prawa głosu ani nie możemy ich sprzedać? Pracowałeś w Wytwórni całe życie, a ona przekazuje twoje prawa dziewczynie, która nie ma pojęcia o porcelanie. Oddała cały twój dorobek i doświadczenie komuś innemu. Z Markiem postąpiła tak samo. Dlaczego? Bo nie mogła znieść myśli, że w domu może być ktoś, kto jej nie podlega. Wiedziała, że nie może żyć wiecznie, więc chciała stworzyć kogoś na swoje podobieństwo i z taką samą władzą. Odała nas ze wszystkiego i oddała to dziewczynie, którą widziała raz w życiu. Niczego nie zawdzięczasz Isobel, ojczu. Możesz śmiało jeść chleb z jej stołu i spać w jej domu wiedząc, że sam na to wszystko ciężko zarobiłeś.

Twarz Lawrence'a Bowen-Tilsita była biała jak kreda. Z wewnętrznej kieszeni wy dobył chusteczkę i przetarł wargi. Spojrzał na Ginny.

— Przepraszam za Vanessę... — zaczął.

— Nie! Nie śmieję za mnie przepraszać! Powiedziałam to, co wszyscy mieli na końcu języka. Jeśli ona ma choć odrobinę oleju w głowie, z pewnością wie, co czujemy.

— ...Przepraszam — ciągnął dalej Lawrence, jakby nic się nie stało — bo nie chodzi tu o jakieś wyrazy wdzięczności. Moja kuzynka Isobel oparła swoją zamożność na tym, co sama odziedziczyła. Zastała Tilsit i wytwórnię porcelany w kwitującym stanie. Poświęciła im całe życie i zostawiła je w jeszcze lepszej sytuacji. I za to należy się jej szacunek. — Skończył i zacisnął usta.

— Ona wcale cię nie szanowała — odezwała się Vanessa. — Wykorzystywała cię.

— Spokój, Vanesso! — To był głos Margaret Bowen-Tilsit. Jej rozmarzona twarz przybrała wyraz potępienia, na co wskazywała nieznaczna pionowa zmarszczka między brwiami. — Jak możesz być taka wulgarna? Co Virginia pomyśli o tobie?

— Jakie to ma znaczenie? — I znów Vanessa wydała ten dziwny dźwięk pomiędzy szlochem a śmiechem. — Wielki Boże, jeszcze nic nie rozumieliscie? Virginia nie wpadła tu na weekend. To nie jest chwilowa wizyta. Nastała tu na dobre — należymy do niej, bardziej lub mniej, podobnie jak do Isobel. Oprzytomnij mamó. Panna Tilsit to teraz Virginia.

W chwili gdy to mówiła, gdzieś w głębi korytarza zabrzmiał przytłumiony dźwięk gongu. Zmarszczka goszcząca na czole Margaret zniknęła bez śladu, jakby matka nie dosłyszała, lub nie chciała słyszeć, o czym mówi Vanessa. Ostrożnie włożyła tamborek z haftem do torby, którą miała przy sobie.

— To sygnał na lunch, Virginio — odezwała się. Podniosła się, lecz reszta zgromadzonych czekała, jakby zwyczajowo, na sygnał ze strony Ginny.

2

Wrócili do południowego skrzydła przez Stary Dom, Randall i Ginny na przedzie. Do chwili, gdy znaleźli się za stołem w jadalni, rozmowę podtrzymywał wyłącznie Randall. Potem wtrąciła się Vanessa.

— Widzisz, mimo tego wielkiego gmaszyska nasz świat jest bardzo mały — tylko jadalnia, salon i gabinet Isobel. Cała reszta — skinęła głową w kierunku Wewnętrznego Dziedzińca i widocznego przez okna jadalni przeciwnego skrzydła — cała reszta jest tylko na pokaz. Doprawdy, szkoda. Ostatnim razem, gdy tam byłam, wydawano mój bal debiutancki — Isobel mało nie dostała szału z powodu niedopałków i porozlewanej szampana. W tamtej części nie ma elektryczności, sale były oświetlone reflektorami z ogrodu. To była wspaniała uroczystość. Isobel nie mogła odżałować wydatków, ale każdy z uczestników zapamięta ten bal do końca życia.

Ginny spoglądała na nią ze szczytu stołu, gdzie umieścił ją Garth, z pewnym zdziwieniem. Twarzy Vanessy zmieniła się pod wpływem miłych wspomnień, wydawała się zupełnie inną osobą niż dziewczyna, której nagromadzona złość i żal znalazły ujście w wybuchu podczas zebrania w Złocistej Sali. Jej niechęć dotyczyła tylko Isobel. Stosunek Vanessy do Ginny był mieszaniną współczucia i zaciekawienia nie znaną sobie osobą, która znalazła się sama pośród obcych. Może, pomyślała Ginny, rozczarowanie Vanessy nieco się zmniejszy, gdy okaże się, że nie potrafię sprostać zadaniu, które nałożyła na mnie Isobel, i że w końcu okaże się, iż ciotka zrobiła błąd. Ginny przyznała, że jest to całkiem prawdopodobne, chociaż sprawa nie została przesądzona.

Skinęła w kierunku Vanessy.

— Na pewno doskonale znasz dom, meble i malowidła. Oprorowadzisz mnie? — W jej głosie nie było uniżoności ani pokory. Musiała się uczyć Tilsit i to szybko. Jej zdrowy rozsądek podpowiadał, że Lawrence ze swoją zahamowaną osobowością nie powie jej nic ciekawego, poza suchymi faktami.

Z kolei Margaret, nieobecna duchem i chwiejna, była niewiadomą. Cała nadzieja, że dowie się czegoś prawdziwego i pożytecznego, leżała w Vanessie.

Delikatne brwi kuzynki uniosły się; miała teraz minę pełną zrozumienia, wręcz aprobaty. Milczała chwilę, nakładając sobie porcję rostbefu z półmiska, który przytrzymywał Garth. Po jej twarzy przemknął uśmiech.

— Czemu nie — powiedziała. — Bóg mi świadkiem, że mam o czym opowiadać. Isobel tresowała mnie od niepamiętnych czasów, od kiedy mogłam zrozumieć, co do mnie mówi. Podobno jestem bardzo dobrym przewodnikiem. Tak jest, oprowadzam wycieczki — we wtorki i czwartki. A w weekendy sprzedaję pamiątki w sklepiku. Jak widzisz, wszyscy jesteśmy w jakiś sposób wprzęgnięci w funkcjonowanie Tilsit, prawda, Randy? Inaczej nici z pensji.

— Wynagrodzenie zwykle dostaje się za pracę, Vanesso.

— A pieniądze zostają w rodzinie? Zawsze brałeś stronę Isobel. — Vanessa spojrzała na Ginny. — Randy zawsze usiłował stawać między Isobel a mną. Rzadko mu się udawało, ale próbował. Uważał także, że żadna praca nie hańbi, a ponieważ w Tilsit nie toleruje się pasożytów, nie oponował, kiedy Isobel zagoniła mnie do pracy. Więc oprowadzam wycieczki we wtorki i czwartki — przychodź, kiedy tylko chcesz.

— To mi nie wystarczy — skwitowała Ginny.

Vanessa wzruszyła ramionami.

— Wszystko w swoim czasie. Jest czego się uczyć w Tilsit. Pokażę ci, co potrafię — wszystko poza Porcelanową Kolekcją. To może zrobić tylko Brown.

Podczas rozmowy Garth obchodził domowników podając mięso i warzywa. Trwało to okropnie długo; wreszcie skończył i wycofał się. Wahadłowe drzwi zamknęły się za nim, a Vanessa powiedziała:

— Mam nadzieję, że skończysz z tymi ceremoniami i obsługiwaniem, przynajmniej podczas lunchu. W naszych czasach to idiotyczne. Doskonale sami się obsłużymy. Isobel chciała, żeby wszystko było jak dawniej. Nie przeszkadzało jej, że Garth ma do pomocy tylko małego chłopca, Włocha, syna jednego z ogrodników. Garth jest już stary; gdy ma do obsłużenia więcej niż troje domowników, wszystko dłuży się w nieskończoność. Myślę, że powinien...

Lawrence odchrząknął.

— Vanesso, zachowaj swoje rady dla siebie. Virginia postąpi tak, jak uzna za stosowne.

Ginny spojrzała na niego badawczo. Mogła to być próba pozyskania jej względów, ale równie dobrze próba rzucenia liny — dość długiej, aby się na niej powiesić. Wróg wcale nie musiał się kryć w osobie jego córki.

— Może właśnie dlatego, że jest taki stary, Isobel pozostawiła go na służbie — zauważyła. — Pewnie czułby się nieszczęśliwy, gdyby zabrać mu jego pracę.

Widelec z ziemniakiem zatrzymał się przed ustami Margaret.

— To prawda — powiedziała z naciskiem. — Bezczytność złamałaby mi serce.

Teraz ona stała się ośrodkiem powszechnej uwagi, więc odłożyła widelec.

— To co Vanessa mówiła, że Stary Dom nie był używany od czasu jej przyjęcia, nie jest tak do końca prawdą. Mam tam pokój do pracy, ostatni za sypialniami, ten przy kaplicy. Pracuję tam codziennie. Czy pociąga cię szycie i haftowanie, Virginio?

— Niewiele się na tym znam, potrafię tylko obrzucić rąbek u spódnicy. Margaret nieznacznie wzruszyła ramionami.

— Miałam na myśli zupełnie inny rodzaj robótek. Koniecznie zajrzyj do mnie, pokażę ci moje prace. Są interesujące z historycznego punktu widzenia. — Westchnęła lekko. — Lubię, gdy mam co robić. Robótki ręczne mnie uspokajają. — Zwróciła do Ginny swoją gładką, spokojną twarz. — Zaczęłam swoje robótki jako młoda dziewczyna, traktowałam to jako relaks i nie przerwałam do tej pory.

— Chyba chodzi ci o to — wtrąciła się Vanessa — że to Isobel postarała się, żebyś nigdy nie zrezygnowała. Od lat miała na usługi wykwalifikowaną szwaczkę i na dodatek nie musiała wydawać ani grosza.

— To nieprawda — powiedziała spokojnie Margaret. — Isobel opłaciła niezwykle kosztowny kurs w Londyńskiej Szkole Szycia. Zawsze interesowała się moją pracą...

— Posłała cię do szkoły, żebyś się nauczyła utrzymywać w porządku zasłony, pokrowce i baldachy. Trzydzieści lat haftów, wyszywania i szydełkowania... wszystko dla większej chwały Tilsit. I to za darmo.

Reakcją było kolejne wzruszenie ramion i nieobecne spojrzenie fiołkowych oczu.

— Ja tak tego nie traktuję, Vanesso. Cieszę się, że moja praca znajduje uznanie i jest widoczna. Prawie każde pomieszczenie w Tilsit nosi ślady mojej działalności — moje własne wzory czy kopie oryginałów. Lubię swoją pracę. Isobel dobrze to rozumiała. — Skończywszy swoją kwestię, ponownie zapadła w milczenie. Później, podczas posiłku, Ginny przyjrzała się Margaret ukradkiem. Uderzył ją szczególny rodzaj zamyślenia, niemal rozmarzenia malujący się na jej twarzy. Prawie nie tknęła potraw, jak gdyby wolała inne przyjemności niż jedzenie.

— Przekazała ci swoje dziedzictwo — rzekł Randall — a to zajęcie na całe życie. Czy dasz radę je przyjąć?

— A czy mogę odmówić? — Zabrzmiało to trochę jak żart, ale Ginny powiedziała to serio, spodziewając się poważnej odpowiedzi.

Randall wzruszył ramionami.

— Nie możesz niczego przyjąć ani odmówić, dopóki nie osiągniesz pełnoletności. Jeśli nie zrobisz nic, dziedzictwo przejdzie na ciebie automatycznie. Masz czas... — zastanowił się — do września. — Siedział spokojnie paląc papierosa, po czym gwałtownie zdusił niedopałek w popiel-

niczce. — Jakaś ty młoda! — powiedział. — Zbyt młoda, by wziąć ten ciężar na barki bez przygotowania, może nawet ostrzeżenia.

— Owszem, czuję — odparła Ginny. — Przynajmniej czułam się tak do tej chwili. Teraz przestałam zwracać na to uwagę. Młodość czy starość... Jeszcze trochę kawy?

— Poproszę. — Wyciągnął ku niej filiżankę i zapalił następnego papierosa. Siedzieli teraz sami w salonie, tym samym co ostatniej nocy. Po lunchu Lawrence odmówił kawy, tłumacząc się, że musi wracać do wytwórni. Ginny przypuszczała, że zrobił to z ulgą. Vanessa także odmówiła. — Za późno — rzuciła przez ramię, wspinając się po schodach do swojej sypialni. — Jest prawie druga, czas się wziąć do roboty. Powódź, a może tylko strużka, zaczniesz płynąć punkt drugą. Sądząc po pogodzie, będzie to raczej powódź. — Margaret jako jedyna zniknęła bez słowa.

Siedzieli więc samotnie, a słońce zaglądało przez szyby. Otwarte okna wychodziły na regularny prostokątny ogród Wewnętrznego Dziedzińca. Pokój wypełnił intensywny aromat laku wonnego, jak objaśnił Ginny Randall.

— Zawsze byłam ciekawa, jak pachną angielskie ogrody. Tyle się o nich czyta... — Na kominku płonął wesoło ogień.

— Pewnie bardzo to wszystko kochała, prawda? — spytała Ginny. — A może słowo „kochała” jest nie na miejscu?

— Mówisz o Isobel i Tilsit? Tak, kochała je, zaborczo i obsesyjnie. Poświęciła mu swoje życie i nie żałowała tego. Szkoda tylko, że chciała to wszystko zachować dla siebie do ostatniej chwili. Była zazdrosna na samą myśl o przekazaniu majątku komuś innemu do tego stopnia, że zlekceważyła zabezpieczenie jego samego.

— Jak to?

— Podatek spadkowy. Od nieruchomości. Nie mówiliśmy jeszcze o tym, ale w Anglii jest on równie nieunikniony i przerażający jak sama śmierć. I tak rodzina Tilsit miała większe szczęście niż większość spadkobierców. — Poruszył węgle w palenisku. — Pani prababka, Jane Tilsit, umarła w wieku osiemdziesięciu sześciu lat, a Isobel miała zaledwie dwadzieścia lat, gdy odziedziczyła posiadłość. To prawie czterdzieści lat bez płacenia podatków. Pani ciotka miała czas, wiele czasu, by się przygotować, gdyby się zdecydowała.

— Nie rozumiem?

— Mogła ustanowić fundusz powierniczy na nazwisko kogoś, kogo wybrała na spadkobiercę. W ten sposób własność, przekazana na pięć lat przed śmiercią, byłaby wolna od opłat. Mogła stworzyć fundację, przekazać obrazy, Kolekcję, nawet samą wytwórnię, gdyby chciała. Można to było przeprowadzić, wtedy dziedzictwo byłoby prawie wolne od obciążeń podatkowych. Ale Isobel nie chciała pozbyć się choćby cząstki — po prostu nie była w stanie. To, co ci zostawia, może nie okazać się wcale korzystnym spadkiem, lecz ciężką pracą pełną wyrzeczeń. Zresztą nie wiem jak ty sama do tego podchodzisz, może nagrodą dla ciebie będzie sam fakt utrzymania

Kolekcji, którą zapoczątkowali i pewnie ukochali twoi przodkowie. Może upłynąć wiele czasu, zanim dowiemy się, co tak naprawdę należy do ciebie. Nie możesz liczyć na szybkie oszacowanie wartości domu, mebli czy płócien. Rzeczoznawcy się tym zajmą — bardzo skrupulatnie i równie bezlitośnie. Oczywiście, będziemy składać protesty. Użyjemy wszelkich dostępnych nam środków. Jednak w końcu to ty będziesz musiała płacić. Może to oznaczać konieczność sprzedaży kilku ulubionych przedmiotów Isobel. Cokolwiek to jest, nie przyjdzie ci to z łatwością... Wygląda na to, że spadek nie jest czymś, z czego należy się zbytnio cieszyć. By udźwignąć ten ciężar, trzeba mieć żelazne plecy.

— Vanessa poradziłaby sobie.

Randall spojrzął na nią zaskoczony.

— Dlaczego tak mówisz?

— To chyba oczywiste. Urodziła się do tej roli. Została przeszkolona.

Proszę posłuchać, jak mówi — ona kocha ten dom, nawet jeśli z tego żartuje. Czemu, na litość Boską, Isobel nie oddała jej posiadłości lub przynajmniej domu?

— Już mówiłem. To przez jej małżeństwo. Isobel nie mogła ścierpieć tego Włocha. Vanessa sama pogrzebała swoje szanse. Być może Isobel chciała założyć dla niej fundację, a może nie. To jałowe rozważania. Nic już nie da się odwrócić. Vanessa wyszła za mąż i przepadła. Isobel nie potrafiła jej wybaczyć. Nawet gdy Vanessa po tragicznej śmierci męża powróciła do Tilsit, nic nie zostało jej wybaczone. Wtedy właśnie Isobel wyruszyła w podróż do Indii Zachodnich i spotkała się z tobą. I wtedy podjęła decyzję.

Ginny potrząsnęła głową.

— Zrobiła to po jednym spotkaniu? To chyba niemożliwe. Nie mówiłyśmy o tym. Właściwie prawie wcale nie rozmawiałyśmy. Nie chciałam nawet wysłuchać tego, z czym przyjechała. Przecież nie mogła być taka szalona. — Spojrzała na Randalla bystro. — A może jednak trochę była...?

Podniósł dłoń w przeczącym geście.

— Nie nazwałbym twojej ciotki szaloną. Z pewnością była niezwykłą kobietą. Bardzo wiele zrobiła dla wytwórni; działała bardzo dalekowzrocznie, co przyczyniło się do świetnej pozycji zakładów w chwili obecnej. Była ekscentryczką, owszem, ale na pewno nie była szalona.

Ginny powiodła dłonią po sali w geście obejmującym cały dom.

— Jeśli nie była szalona, dlaczego mi to zostawiła? Miała pod ręką kogoś, kogo sama wyszkoliła, kogoś, kto się tu urodził i kocha to wszystko. Dlaczego ja, a nie Vanessa?

Randall westchnął. Bawił się papierosem i wyraźnie unikał jej wzroku.

— Proszę mi odpowiedzieć.

Potrząsnęła głową.

— Żeby odpowiedzieć na to pytanie, należy przywołać wielusetletnią historię rodziny Tilsit. Szkoda, że nie mogę zrobić tego w prosty sposób. Musi upłynąć nieco czasu, kilka tygodni, wtedy będzie ci łatwiej zrozumieć. Teraz wyjaśnienia nic by dla ciebie nie znaczyły... no, prawie nic. Najprostsze

wyjaśnienie, jakiego mogę ci udzielić — dlaczego twoja ciotka nie zostawiła wszystkiego Vanessie — jest takie, że ona nie należy do Tilsitów.

— Jak to możliwe?

— To proste. Jej ojciec, Lawrence Bowen-Tilsit, był najbliższym kuzynem Isobel ze strony jej ojca. On tylko przybrał nazwisko Tilsit.

Ginny przytaknęła.

— Rzeczywiście, nie pomyślałam o tym. Nazwisko bardzo się liczy. Ale przecież Vanessa miała to nazwisko.

— Liczy się krew, Virginio. Bezpośredni i prawowity potomek miał dla Isobel Tilsit niezwykle ważne znaczenie.

Skończył układać dokumenty i zamknął walizeczkę.

— Masz z pewnością dość na dzisiaj, moja droga. Muszę wracać do Bournemouth, ale z pewnością często będziemy się widywać. Na razie przemyśl sobie wszystko. Postaraj się tu trochę zadomowić...

Niechętnie odprowadziła Randalla do drzwi. Nie wyobrażała sobie, że odejdzie — jej jedyne połączenie ze światem, z którego przybyła, jedyny człowiek, któremu mogła zadawać pytania.

— Panie Randall...?

Zrozumiał ją w lot.

— Przyjeżdżaj do mnie, ilekroć zechcesz, albo telefonuj. — Uśmiechnął się nieznacznie i Ginny poznała, że zgadł, co ją gnębi. — Z czasem wszystko ułoży się samo. Im także przyda się trochę czasu. Isobel zbyt długo kierowała ich życiem. Teraz nie wiedzą, co bez niej zrobić.

Przepuścił Ginny przed sobą korytarzem, wskazując kierunek odległy od Wielkiego Holu.

— Zaparkowałem przy wejściu południowym. Zwiedzający posiadłość wchodzą wschodnim, tym pod które podjechaliśmy wczoraj wieczorem. Tutaj — wskazał na zamknięte drzwi w głębi — jest pokój Isobel i zarazem jej biuro. Większość dokumentów przechowuje się w tym pokoju — wszystko, co dotyczy domu i wytwórni. Myślę, że nie są zamknięte. Gdyby jednak były, poproś Gartha lub Brown o klucze.

— Uważa pan, że powinnam je przeczytać?

Dotarli do przedpokoju, obstawionego rzędami wieszaków z okryciami — pod nimi stały w szeregu kalosze. Przy masywnych, nabijanych ćwiekami drzwiach umieszczono stojak pełen lasek. Stojąc już w drzwiach, Randall spojrzał na Ginny.

— To przecież pani dokumenty.

— Niezupełnie — zaprotestowała. — Dopiero od września.

— To tylko formalność. Na pani miejscu wziąłbym się za czytanie. — Pokiwał znacząco głową. — Proszę je przejrzeć. Ma pani sporo czasu na podjęcie właściwej decyzji.

Na wyźwirowanym podejździe parkowały trzy samochody — jeden Randalla, drugi — niewielki, bladoniebieski i dość sfatygowany, i jeszcze jeden — ciemnozielony sportowy jaguar.

— W starych stajniach urządzono garaże, ale zwykle samochody parkujemy tutaj, nikomu nie chce się chodzić tak daleko. — Randall wskazał jaguara. — Należy do Vanessy. To prezent od Vittiego, przywiozła samochód po jego śmierci. Tym drugim jeździła pani ciotka. Proszę zażądać kluczy od Gartha. Samochód przyda się pani.

Wyciągnął do niej przez okno rękę.

— Proszę do mnie dzwonić. Będę także przyjeżdżał co pewien czas. — Starała się, żeby pożegnanie zabrzmiało lekko, ale oboje wiedzieli, że Ginny będzie teraz zdana na samą siebie. Samochód cofnął się i zawrócił; Ginny chciała jeszcze zawołać, poprosić, by nie zostawiał jej, bo nie jest jeszcze do tego przygotowana, ale wiedziała, że nieuchronnie i tak musi nadejść, więc tylko pomachała mu ręką, a on uchylił kapelusza. Samochód ruszył alejką i skierował się na most.

— Panie Randall... — podbiegła kilka kroków, w nadziei, że zdoła go zatrzymać, ale samochód zniknął już w oddali. Przystanąła i wzruszyła ramionami. Chciała go jeszcze zapytać o Marka Barstowa. Trudno, pomyślała, jeszcze jedna sprawa do wyjaśnienia.

Stała spoglądając na pusty podjazd. Za nią piętrzył się Tilsit — brzemie kłopotów, pełen obcych ludzi, czekających w pokojach, których jeszcze nawet nie widziała, mówiący o sprawach, które były jej przeszłością i których nie знаła — świat Isobel, od którego uciekł jej ojciec. Przebiegł ją dreszcz. Nie wiedziała, czy dlatego, że właśnie powiał wiatr, czy z powodu wątpliwości i rozterek, które ją ogarnęły.

W tej chwili coś dotknęło jej nogi. Odskoczyła jak oparzona.

Brazowe oczy spaniela spoglądały na nią ufnie.

— To ty!

Nie mogła odmówić milczącej prośbie. Schyliła się i pogładziła miękkie łeb, ganiąc się za uczucie niechęci, jakie wzbudzało w niej zwierzę.

— Co chcesz? — Próbowała sobie przypomnieć imię psa podane jej przez Brown. — Wciąż jej szukasz, Trip? Nie jestem Isobel. Nie jestem twoją panią, piesku. — Przykucnęła przy nim, z przyjemnością dotykając ciepłej jedwabistej sierści; dreszcz zadowolenia przebiegł ciało psa. Zachęcony, spaniel położył miękką łapę na jej kolanie. — Szukasz przyjaciela, prawda? Też czujesz się samotny, podobnie jak ja. Chcesz, żeby wróciła Isobel, a ja... pragnę Jima. Przydałoby mi się trochę słynnego zdrowego rozsądku MacAdamów. Chciałabym zwalczyć upiory, które mnie tu osaczają. A ty chciałbyś pewnie, żeby twoja pani pojawiła się we własnej osobie. Niestety, musisz się zadowolić moją obecnością, a ja... nie mam tu nikogo na zastępstwo.

Wyprostowała się i poszła w kierunku otwartych drzwi. Pies trzymał się jej. Pomyślała o pokoju, który wskazał jej Randall, i stercie papierów, które należało przeczytać, o pokoju na górze, gdzie obecność Isobel wyczuwało się szczególnie mocno i realnie, o salonie, zapewne jedynym miejscu w całym gmazysku, gdzie można spokojnie posiedzieć, i o obcych, oprowadzanych przez Vanessę, płacących pieniądze za możliwość obejrzenia słynnych komnat. W środku nikt jej jednak nie oczekiwał.

— Do diabła z nimi, Trip. Idziemy na wycieczkę.

Zrzuciła pospiesznie pantofle, włożyła wysokie kalosze, nieco dla niej za obszerne, i zdjęła z wieszaka długi znoszony płaszcz z miękkiego tweedu. Miał staroświecki krój peleryny, której fałdy sięgały jej prawie do kostek. Zatrzymało ją nagłe zdenerwowanie Tripa. Wydał z siebie coś pomiędzy skomleniem a wyciem i stanął na tylnych łapach, wyciągając ku niej pysk — cała jego postać wyrażała udręczenie i uniesienie zarazem. Ginny przesunęła dłonią po materiale; rozumiała, że był to częsty strój Isobel, a dla spaniela coś, co zna i kocha — symbol bezpieczeństwa. Pies szczeknął krótko i wypadł na wyżwirowany dziedziniec, zatrzymując się i podbiegając, wymachując ogonem w rytualnym tańcu. Szczeknął ostro i puścił się w gonitwę. Oglądając się, czy Ginny podąży za nim, pobiegł, powiewając uszami, podjazdem, którym odjechał samochód Randalla.

Ginny zamknęła za sobą drzwi — nie delikatnie, lecz z trzaskiem, który odbił się głośnym echem w głębi budynku. Był to jej pierwszy w pełni suwerenny postępek od chwili przyjazdu do Tilsit.

3

Trip nie pobiegł drogą, lecz pomknął między drzewami, a potem w górę po zboczu. Wiatr strącał krople wilgoci z gałęzi na Ginny, która podążyła śladem psa. Drogą jechały powoli dwa samochody. Zwiedzający, domyśliła się. Coś zmieniło się w jej stosunku do Tilsit; czuła się bliższa temu miejscu niż przyjeżdżający i wyjeżdżający ciekawscy. Rodzina, wprawdzie obca, też stała się jej bliższa niż reszta tego dziwnego świata, do którego trafiła.

Wdrapała się na szczyt wzgórza, gdzie stała warownia. Nie zwracając uwagi na znaki ostrzegające o niebezpieczeństwie, zagłębiła się w cień kolistych murów. Przed sobą, wśród rumowiska wielkich szarych głazów, spostrzegła i usłyszała Tripa. Pojawiał się i znikał wśród kamieni w rozpadlinach, gdzie kiedyś były piwnice lub lochy więzienne normańskiego władcy, który ufortyfikował wzgórze i panował na okolicą. Odwróciła się i spojrzała w stronę Tilsit.

Ojcu pewnie ciężko było stąd wyjeżdżać, pomyślała. Widok był przepiękny. Posiadłość, zbudowana wokół dwóch dziedzińców, wyglądała stąd sielsko i o dziwo — zważywszy na jej ogrom — przytulnie. Uroku dodawał jeszcze strumień wijący się u podnóża góry. Krenelaże na dachach i wysokie kominy przypomniły jej włoskie wieże, tkwiące niczym małe klejnoty w tle krajobrazów z renesansowych malowideł. Fasada nie stanowiła jednolitej całości — różniła się fragmentami z różnych okresów historycznych, które mieszały się w sposób naturalny, w miarę jak budowla się rozrastała, przysparzając jej blasku, zaś szacunku jej właścicielom. Ginny stała zapatrzona w rozciągający się przed nią widok, rozmyślając, kiedy to był tak długi okres pokoju, który pozwolił panu normańskiej twierdzy wybudować nie ufor-

tyfikowaną posiadłość nad strumieniem. Przeniknął ją zimny powiew, więc owinęła się szczelnie peleryną. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ojciec nigdy jej o tym nie wspominał.

W tej chwili dobiegł ją czyjś głos:

— Aż mnie ciarki przeszły, gdy cię zobaczyłem w tej pelerynie! Myślałem, że to stara wiedźma we własnej osobie!

Ginny odwróciła się. Stał poniżej, na ścieżce wijącej się spiralnie w górę — młody mężczyzna w grubym swetrze; wiatr wicherzył jego ciemne włosy.

— Tak, do ciebie mówię — odezwał się znowu. Zaczął się wspinać w jej kierunku.

— Przestraszył mnie pan. — Instynktownie zrobiła krok do tyłu. Nawet z pewnej odległości widać było, że jest silny i mocno zbudowany. Mimo szorstkich rysów był przystojny jakąś dziką i surową urodą.

— Ja cię przestraszyłem? A co mam powiedzieć o sobie? Stałaś tam jak upiór w tej antycznej pelerynie, gapiąc się na dom, dokładnie tak, jak ona zwykła to robić — napawając się widokiem.

— Ja?

— Ona. Chociaż, o ile wiem, też masz powody, by się napawać. Jesteś jej bratanicą, prawda? Córką Johna Tilsita? Tak myślałem. Trudno byłoby cię nie rozpoznać. W domu wisi portret starej Jane, bohomasz namalowany przez Millais. Jesteście podobne jak dwie krople wody.

Stał przed nią rozparty, z szeroko rozstawionymi stopami, ręce upchnął w kieszeniach bezkształtnych flanelowych spodni. Z jego postaci emanowała siła i żywotność. Twarz miał ogorzałą, a w wystającym podbródku wgłębienie jakby od uderzenia toporka. Oczy były koloru ziemi, ciemnoszare. Ginny wpatrywała się w niego zafascynowana.

— Kim pan jest?

— Nazywam się Mark Barstow.

— Ach, tak... Słyszałam o panu.

— Ja myślę. Płotki szybko się rozchodzą.

— Pochlebia pan sobie. Słyszałam tylko, że nie chcieli dłużej czekać z odczytaniem testamentu.

— Cóż, pokazali mi moje miejsce.

— A gdzie jest pana miejsce?

Wzruszył ramionami i napięta atmosfera nieco zelżała. Prawie się uśmiechnął.

— Kto to wie? Mogę tylko stwierdzić, że jeszcze go nie znalazłem. — Roześmiał się nagle głośno i szczerze, jakby z siebie i otaczającego go świata. Aura nieprzystępności go opuściła; zachowywał się teraz naturalnie i bezceremonialnie. Ginny przyłączyła się do śmiechu, najpierw nieśmiało, potem z całego serca. Poczwała miły przypływ ulgi. Czuła się swobodnie w obecności tego młodego atlety, pod urokiem jego śmiechu. Po raz pierwszy od przybycia do Tilsit przestała grać rolę obserwatora; teraz sama brała w coś udział. To było bardzo przyjemne uczucie.

— Cieszę się, że jest ktoś, kto nie poznał jeszcze swojego miejsca w świecie. Ja swojego również nie znam.

Wyciągnął do niej dłoń — wielką, z ciemnymi obwódkami pod krótko obciętych paznokciami. Miał mocny uścisk, jakby nie przywykł do witania się z kobietami. Skóra dłoni była szorstka.

— Chyba powinienem postąpić zgodnie z zasadami...

— Nie! I proszę nic nie mówić.

Przytaknął ze zrozumieniem.

— Te całe ceremonie... powitania... dobrze to znam. Pewnie śmiertelnie cię wystraszyli. Posłuchaj, dziewczyno... — Sięgnął i ujął jej ramię przez gruby materiał płaszcza. — Nie daj się im wystraszyć. Jeśli im się uda, będzie po tobie. Wiem, co to za jedni — ten stary purytanin Bowen i idiota Randall. I jeszcze Garth, zachowujący się, jakby posiadał klucze królestwa. A ta Brown z nieodłącznym uśmiechem pod nosem — stara wiedźma! Poślij ich wszystkich do diabła, od razu poczujesz się lepiej.

— Pomyślałam to samo... dlatego tu przyszłam.

— I bardzo dobrze. Nie znoszę tego miejsca — czuję, jak mury zamykają się nade mną. Nigdy nie mogłem tam wysiedzieć zbyt długo.

Ginny poczuła nagle nieoczekiwane rozczarowanie.

— Może powinieneś pomieszkać tam jakiś czas — powiedziała prędko. — W testamencie zostałeś wyznaczony jako kurator Porcelanowej Kolekcji. — Nie wspomniała o dochodzie z akcji, wiedząc, że Randall zrobi to we właściwym czasie. Ciekawa też była jego reakcji na jej słowa.

— Naprawdę? Ciekawe, skąd wiedziała, że się zgodzę. — Ale na jego twarzy odmalowało się zadowolenie, pełen satysfakcji uśmiech. — Tak czy inaczej, cieszę się — powiedział. — To coś wspaniałego... Kolekcja. Jestem z niej naprawdę dumny. Kiedy byłem dzieciakiem, wiele się o niej nauczyłem, oglądając i trzymając w ręku okazy.

— Czy pokazałby mi pan Kolekcję? I opowiedział o niej?

Pokręcił przecząco głową.

— To nie moje zajęcie. Działka Brown. Urwałaby mi głowę, gdybym ją pozbawił tej przyjemności. To drażliwa stara kwoka, chociaż trzeba przyznać, że jeśli zajmowanie się czymś powoduje, że nabiera się, do tego czegoś praw, Kolekcja powinna bardziej należeć do niej niż do Isobel. Zresztą ja nie miałbym tam nic do roboty. Wszystko jest opisane i poklasyfikowane. Isobel nie dokonywała zakupów od lat. Uważała, że panuje teraz straszna drożyzna i szkoda jej było pieniędzy. Zostało tam ich jeszcze trochę? — dodał.

Jego szczerłość zaskoczyła ją i wzbudziła szacunek.

— Pan Randall twierdzi, że właściwie nie... że urzędnicy podatkowi zabiorą lwią część dochodów...

Zmarszczył brwi, tak że zbiegły się w jedną grubą krechę.

— Wy, bogacze, przyprowadzicie mnie o młodości! Urząd podatkowy zabierze swoją część, a wy zostaniecie z cholernym zamkiem, kilkoma obrazami van Dycka i Memlinga na dodatek, nie mówiąc o tysiącach akrów

pól i skromną fabryczką porcelany, która wyrabia najlepszą współczesną ceramikę w całej Anglii. Biedni jak mysz kościelna, co?! — wyrzucił z siebie z obrzydzeniem.

Ginny osłupiała.

— Dlaczego masz pretensje do mnie? Nie mam z tym nic wspólnego. Nie ja tu rządę. I przyjechałam dopiero wczoraj.

— Wkrótce staniesz się taka jak ona — zapowiedział gwałtownie i całkiem od rzeczy. — Będziesz jeździć tym jej starym gruchotem i nosić dwudziestoletnie fuchy — bo wszystko tyle kosztuje, jak ciągle powtarzała.

— A może przestałbyś opowiadać, co robiła i mówiła ona? Może dałbyś szansę mnie?

Popatrzył na nią zdumiony. Ponury wyraz twarzy złagodniał, z ciała znikło napięcie; znów wyglądał pogodnie. Ginny wydał się najdziwniejszym ze spotkanych dotąd mężczyzn — w jednej chwili tłumiona furia przeradzała się w łagodny uśmiech wyzierający z szarych oczu. Poklepał ją delikatnie po ramieniu w pojednawczym, prawie ojcowskim geście.

— Masz rację, biedaczko. To nie twoja wina. Przecież z ciebie jeszcze prawie dzieciak.

— Nie jestem już dzieckiem.

Wydał wargi, taksując ją.

— Jesteś egzotycznym ptakiem, który sfrunął w Dorset między nas, prostaczków... ptakiem o złotych włosach i brzoskwiniowej buzi. Jak rajski ptak z tropikalnej wyspy. Wątpię, czy przeżyjesz, czy nie uschniesz z tęsknoty na naszej północy, czy nie zmrozą cię pochmurne dni i nasze maniery, podobnie zimne jak nasz klimat.

— To stek bredni, Marku Barstow.

— Czasem mi się to zdarza, Ginny — tak masz na imię? Czy może wolisz „Virginio”?

— Ginny.

— Doskonale. Virginii chyba bym nie zniósł.

— A mnie?

— Kto wie? W każdym razie warto spróbować. Chcesz wstąpić do mnie? — spytał nagle. — Rozpaliłem ogień na kominku, zaparzę ci herbaty. Masz ochotę?

— Chętnie, bardzo chętnie. Chociaż nie, to nieprawda. Miałam właśnie wracać do Tilsit. Chciałam wydebić filizankę herbaty od kucharza i posłuchać plotek, o ile nie będzie w pobliżu Gartha.

— Co ma do rzeczy kucharz?

— Lepiej się czuję w kuchni niż na salonach.

Chwycił ją za ramię.

— Chodźmy. To ścieżka do mojego domku, po drugiej stronie.

Wziął ją za rękę i poprowadził między zawaliskiem, pod zdruzgotanymi łukami i kępami długiej trawy rosnącej w miejscach, gdzie zawaliły się ściany warowni. Wynurzyli się na szczycie wzgórza, zbocze było tam bardziej

stromie niż po drugiej stronie. Chociaż Ginny spodziewała się pięknego widoku, to, co zobaczyła, zaparło jej dech. Szare morze było prawie na wyciągnięcie ręki. Jaskrawozielony pas pola pomiędzy nimi a brzegiem kończył się żywołotem, a dalej urwiskiem skalnym. Stado jasnobrązowych krów pasło się spokojnie.

— To też twoja własność — powiedział Mark. — I tam, gdzie ja mieszkam. — Wskazał niski biały budynek uczepony półki skalnej. Sąsiadował z nim drugi, wyższy, prawdopodobnie obora.

— Poniżej jest mała plaża, nic szczególnego, po prostu pas drobnych otoczeków. Wejście jest zbyt płytkie, żeby zapewnić schronienie łodziom. Droga za domem biegnie do sąsiedniej farmy. To około trzech mil od Tilsit. Kiedyś może był tu port, w czasach Wikingów i Normanów. Ale skała się kruszy i zasypała już większą część zatoczki. W zeszłym roku mieliśmy oberwanie, omal nie zwał się w przepaść jeden z domków. — Wskazał coś ponad jej ramieniem. — Tamten punkt to wyspa Portland i przylądek Portland. Tu widać Swanage. Za nią znajduje się Bournemouth, zaś dalej kanał wiedzie do wyspy Wight. Można ją zobaczyć przy dobrej pogodzie, ale to nieczęsto się zdarza. Jeśli zostaniesz tu trochę dłużej, przyzwyczaisz się do naszej aury. Będziesz sobie gratulować każdego słonecznego dnia.

— Dlaczego wciąż powtarzasz, że mogłabym odejść?

— Rzeczywiście powtarzam? Pewnie dlatego, że nie wyobrażam sobie kogoś, kto zostałby tu z wolnej i nieprzymuszonej woli.

— Mówisz, tu — czyli w Tilsit?

— W Tilsit.

— A czy ty musisz tu zostawać, Mark?

Nie odpowiedział jej; odwrócił się i ruszył w dół ścieżką wydeptaną w trawie. Nie odwrócił się, by sprawdzić, czy idzie za nim. Wydało się jej, że postanowił ją zostawić samą. Zaczęła biec.

— Zaczekaj, Mark, muszę poszukać Tripa.

Odkrzyknął jej: — Do diabła z tym kundlem. Idziesz czy nie?

— Idę. — Nie śmiała mu się sprzeciwić.

Domek był mały i niski, zbudowany z cegły i drewna, świeżo wybielony. Przyległy większy budynek, połączony pasażem, był również ceglany, ale znacznie nowszy; prostych linii i kątów nie zniekształcił wiek. Nie było ogródka, tylko wydeptana ścieżka w gęstej trawie. Urwisko znajdowało się w odległości zaledwie kilkunastu metrów. Mark machnął ręką.

— Ostatnim razem zważyło się ponad dziesięć metrów. Gdy byłem dzieckiem, mieliśmy tu sporą łąkę. — Otworzył drzwi i zaczekał na Ginny. — Wejść — powiedział i twarz zmarszczyła mu się w uśmiechu. — Chyba nie będziemy tak stali cały dzień.

Ocknęła się z zamyślenia, wpatrzona w płytką zatoczkę i skałę, która runęła z urwiska na kamienistą plażę. Przybój podnosił i opuszczał łódź wiosłową; wyglądała niepozornie na tle szarego morza.

— Wszystko jest tu takie odsłonięte.

Przystanął w drzwiach, żeby ją przepuścić, wyraźnie zadowolony.

— Rzeczywiście. Gdy na kanale rozpęta się sztorm, ma się wrażenie, że za chwilę wszystko pofrunie prosto do morza.

— Ale ty to uwielbiasz — zabrzmiało to jak stwierdzenie.

— Tak. — Na chwilę położył dłoń na jej ramieniu. — Uwielbiam to.

W pomieszczeniu nie było przedpokoju — Ginny weszła wprost do zabałaganionego saloniku. Małe okna wychodziły na morze, przeciwległa ściana zastawiona była książkami. Na palenisku kominka, zajmującego kolejną ścianę, wciąż żarzyły się węgle. Mark podszedł do rusztu i dołożył drewna — zajęło się natychmiast żywym ogniem.

— Tak będzie przyjemniej. Nie są to komnaty Tilsit, ale na pewno jest tu przytulniej. Nastawię wodę na herbatę, rozgość się. Później oprowadzę cię po okolicy.

Zdjęła pelerynę i poszła za nim na tył domku do niewielkiej, ale zadziwiająco nowoczesnej kuchni. Mark ustawił filiżanki na tacy i zajął się krojeniem chleba. Wskazała na zastawę.

— Tilsit?

— Cóż by innego? Odrzuty z eksportu — wszyscy z nich korzystamy. — Poruszał się celowo i zrećnię, z lekkością nie pasującą do jego potężnego ciała.

— Sam tu gospodarzysz — to znaczy gotujesz i w ogóle?

— Jestem świetnym kucharzem. Ale co tydzień przychodzi tu pani Johnston, żona farmera z sąsiedztwa — skinął w kierunku dachów odległych zabudowań wzdłuż błotnistej alejki. — Robi porządki. Wypieka także chleb. Weź miód i chodźmy do kominka.

Poszedł pierwszy z tacą. Ginny rozejrzała się po małym pobielonym pomieszczeniu, zobaczyła bezdrzewną krawędź urwiska za oknem, błotnistą ścieżkę prowadzącą ku drodze. Wszystko sprawiało wrażenie zimna i pustki — od razu poczuła się przygnębiona. Głos Marka z dalszej części mieszkania sprawił, że się ocknęła. Stał oparty o framugę, czekając na nią.

— Jakie wrażenie?

— Dziwne — odparła, nawet nie usiłując ukryć tego, co czuła. — Jakoś tu samotnie.

— Tak właśnie ma być — przyznał. — Należy ci herbaty i wszystko opowiem. — Poprowadził ją do saloniku i umieścił na siedzisku z oparciem i poręczami, stanowiącym ramę kominka. — Rozgrzej się. Jaką herbatę pijesz?

— Z mlekiem.

— Jak Anglicy?

— Mój ojciec...

— Ciągłe zapominam... cukier? Weź kawałek chleba. — Trzymając swoją filiżankę rozsiadł się w sfatygowanym fotelu. — Więc uważasz, że jestem czymś w rodzaju pustelnika?

— Tego nie powiedziałam. Ale jest to jakieś odosobnienie.

— Rzeczywiście. To miejsce — rozejrzał się po zagraconym wnętrzu,

oświetlonym głównie żarem kominka i światłem padającym z dwóch niewielkich okien — to moje zwycięstwo nad Isobel. Niewielkie, to prawda, ale przynajmniej nie byłam jedyną z tych kukieł, które trzymała w Tilsit. Tu mogłem chociaż oddychać.

Odstawiła filiżankę i nachyliła się ku niemu.

— Kim jesteś, Mark? Kim byłeś dla Isobel?

— Nie opowiedzieli ci? Ani Brown, ani nawet Randall? To karygodne — widać nie mieli dość czasu. Ale zrobią to z pewnością. — Sięgnął po paczkę papierosów. — Zapalisz? — Kiedy potrząsnęła odmownie głową, wy dobył jednego dla siebie, zapalił i dopiero wtedy spojrzął na nią.

— Oficjalnie jestem szefem działu wzornictwa w wytwórni. Reszta pracowników to jeden uczeń, więc tytuł niewiele znaczy. Nieoficjalnie byłem niewolnikiem Isobel.

— Co ty bredzisz? — powiedziała z rosnącym gniewem, mając wrażenie, że posunął się za daleko. Isobel stała się dla niej ostatnio nieco sympatyczniejsza, może dlatego, że już nie mogła się bronić.

— Niewolnikiem, w pełnym znaczeniu tego słowa. Niewolnikiem tego, co ze mnie zrobiła i co mi ofiarowała. Zawładnęła moją niezdolnością do samodzielnego życia, do powiedzenia jej prawdy i odejścia. — Zaciągnął się mocno. — Brzmi to idiotycznie, prawda? Ale tak było, chociaż może trochę przesadzam. Twoja ciotka zabrała mnie z wiejskiej chaty w St. Mary i z miejscowej szkoły, kiedy miałem trzynaście lat, i dała mi wykształcenie — na tyle dobre, żeby nie musiała się mnie wstydzić. Pozbyłem się chropawego akcentu z Dorset. Potem załatwiła mi — nie, opłaciła, naukę w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Londynie. Płaciła, żebym mógł pracować z Barrym Jonesem, jednym z najwybitniejszych ceramików w kraju i zarazem doskonałym rzeźbiarzem. Następnie wróciłem tutaj i od sześciu lat każdy nowy wzór wyprodukowany w Tilsit jest moim dziełem. I są to doskonałe dzieła!

— Czemu to zrobiła? Skąd mogła wiedzieć, że będziesz taki dobry, gdy miałeś trzynaście lat? — spytała z powątpiewaniem, nie bardzo wierząc w jego opowieść.

— Bóg raczy wiedzieć! Zawsze miała zdolność żerowania na ludziach, wydobywania z nich tego, co było jej potrzebne.

— To niczego nie wyjaśnia.

Machnął gwałtownie ręką w geście zniecierpliwienia.

— Skąd mam do licha wiedzieć?! Potrafiła to wyczuć, jak pies nosem. Jeśli naprawdę chcesz się tego dowiedzieć, opowiem ci, chociaż nie jest to miła opowieść. Moja matka pracowała w wytwórni, zresztą pracuje dotąd — jest dekoratorką, maluje ozdoby na ceramice. Zwykła zabierać do domu bryłkę wilgotnej masy, dla mnie do zabawy, nie mówiąc o tym nikomu. Isobel się dowiedziała i pewnie matka miałaby kłopoty, gdyby nie fakt, że była zdolną dekoratorką i wytwórnia opłaciła kiedyś kilka lat jej nauki. Matka była kiedyś na podobnym poziomie społecznym co Isobel — ale to inna historia.

Zwymyślanie jej publicznie, wobec ludzi z zakładów, nie wchodziło w rachubę. Ale Isobel miała nosa i potrafiła korzystać ze sposobności. Myślę, że zaciekało ją, czemu matka brała glinę do domu, mając z nią do czynienia tyle godzin w pracy. Przyszła więc do nas i zobaczyła, jak bawię się gliną. Odtąd należałem już do wytwórni porcelany. Gdyby nie moja matka, już następnego dnia bawiłbym się w zakładach. Isobel była wilkiem w owczej skórze. Dotąd czuję dreszcz, gdy przypomnę sobie tamte czasy i to, co zrobiła.

— Co się stało?

— Matce udało się dobić z nią targu — Bóg wie, w jaki sposób. Może przekonała ją, że mam talent. Widziała przecież te skorupki, które lepiłem. Przekonała ją, żeby mnie posłać do szkoły — dobrej szkoły prywatnej — i płacić za mnie czesne. W wieku osiemnastu lat, gdybym chciał dalej zajmować się ceramiką, miałem pójść do college'u w Północnym Staffordshire i pracować z najlepszymi fachowcami. Powiodło mi znacznie lepiej — trafiłem do Royal College. Isobel nie zgodziła się, żebym terminował w Tilsit w wieku piętnastu lat, jak inne dzieci w St. Mary. Ona chciała czegoś ekstra.

Ginny zwilżyła językiem wargi.

— I dostała to, prawda?

— Rzykując swoją własną reputacją. Pewnej niedzieli osobiście przeprowadziła mnie do wytwórni i obserwowała, jak radzę sobie z kołem garncarskim. Chciała się upewnić, że jej decyzja była słuszna. Obserwowała mnie jak pod mikroskopem i bez cienia sympatii. Pamiętam, że pierwszy dzbanek był przeraźliwym gniotem. Za to drugi wyszedł wspaniale. Zdecydowała się podjąć ryzyko.

— I wygrała? — Pytanie nie było zbytnio na miejscu. Mark zareagował z furią, mało nie strącając filizanki z poręczy swojego fotela.

— Słabo powiedziane! Dostała swój kasek.

— Chyba na niego zasłużyła?

— Boże, jesteś zupełnie jak ona! Pracowałem za grosze, moja matka też. Isobel kupiła kilka lat mojej nauki, ale nie duszę!

— Chyba przesadzasz.

— Ani trochę! To była pazerna stara wiedźma i nie wstydę się tego mówić.

— Więc dlaczego nie odszedłeś?

— Odszedłem... próbowałem. Ściągnęła mnie z powrotem.

— Jak to możliwe? Wbrew twojej woli?

— Przekupiła mnie. To bardzo proste — nie byłem lepszy od niej, więc nie miałem prawa podnosić krzyku. Wyjechałem do Wedgwood, mają tam wielki dział wzornictwa. Isobel dowiedziała się, gdzie jestem i czekała cierpliwie, dopóki nie przekonałem się sam, że trudno się przebić samemu, nawet gdy jest się geniuszem, jak stary Josiah. Czekwała, aż sam się przekonam, że jestem dobry i zacznie mnie to męczyć. Złożyła mi ofertę. Przyjąłem ją i już było po mnie.

— Czy oferta była taka nęcąca?

— Musiałbym być z żelaza, żeby odmówić. Miałem wtedy dwadzieścia cztery lata, a ona ofiarowała mi wszystko, o czym mógłby zamarzyć artysta. To znaczy, stałą pracę i prawie wolną rękę w projektowaniu, własny warsztat do prób z unikatami, nie do sprzedaży. Oferowała mi pieniądze, miejsce i czas, żebym sprawdził się jako ceramik, a nawet rzeźbiarz. Było to wystarczająco zachęcające, w porównaniu z marnym pokoikiem w Stoke-on-Trent, żebym nie mógł się oprzeć. Nie ufałem jej, nawet wtedy, i zmusiłem, żeby jasno wyłożyła swoje propozycje. Wtedy wróciłem...

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

— Pokaże ci wszystko, wtedy zrozumiesz, dlaczego wróciłem.

Poprowadził ją łącznikiem, który zauważyła wcześniej, między domkiem a dużym, nowszym budynkiem. Był także zbudowany z białej cegły, bez bocznych okien, za to ze świetlikami w dachu. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki zastawione wyrobami ceramicznymi, nie pokrytymi jeszcze glazurą ani rzezbami. Ginny zaczęła się im przyglądać, ale Mark pociągnął ją dalej.

— Później sobie popatrzysz — powiedział i otworzył następne drzwi.

Studio było obszerne, także wybielone i zalane surowym, intensywnym światłem padającym z ogromnych, sięgających betonowej podłogi świetlików umieszczonych po północnej stronie. W głębi stały dwa elektryczne piece do wypalania. Większość przestrzeni zajmowały sprzęty garncarskie — ławy i koła, wanny do powlekania i glazurowania, pojemniki z różnokolorowymi emaliami i barwnikami. Przy drzwiach stał spory stół z pochyłym blatem. Wszędzie, na ławach, ścianach, podłodze widać było szare ślady surowej glinki.

— Czy znalazłby się ktoś, kto mógłby odmówić? — powiedział Mark. — Jeśli dotąd nie jestem najlepszym ceramikiem w świecie, to na pewno nie z powodu braku wyposażenia.

Spojrzenie Ginny powędrowało dalej. Spod krokwi wiążących stromy dach zwisały się metalowe kształty, poskręcane i złączone w niewiarygodnie fantastyczne twory — wisały nieruchomo do chwili, gdy prąd powietrza z otwartych drzwi wprowadził je w rytmiczny taniec. Mobile wykonane z ciemnego brązu, miedzi i stali nierdzewnej żyły własnym życiem ponad przyziemnymi narzędziami garncarza.

— Jakie to piękne! — szepnęła oczarowana Ginny, śledząc w powietrzu ich bezszelestny i lekki ruch.

Mark spojrzał na nią i widząc wyraz jej twarzy, rozpromienił się.

— Cieszę się, że je zobaczyłaś. Większość z tych, którzy tu przychodzą, uważa je za kupę złomu. Isobel też tak uważała. Twierdziła, że to strata czasu. Czasu, który powinienem spędzić na wymyślaniu nowych wzorów, nad kołem garncarskim oraz na rozsyłaniu eksponatów po różnych wystawach, by rozślawiać Tilsit. Ale zawarliśmy umowę i trzeba przyznać, że stara wiedźma dotrzymywała warunków. Zgodziła się, żebym w wolnym czasie pracował w metalu. Płaciła za brąz, miedź, żelazo i ołów sprowadzane ze złomowni w Londynie. Na zapleczu budynku mam całą sterkę do dyspozycji. — Skinął, żeby poszła dalej. — Spójrz. — Stanęli przed ogromną płytą z brązu grubości

prawie pięciu centymetrów, sięgającą mu do głowy. Z prostokąta wystawały w górę cienkie, patykowate ramiona zakończone ogromną kanciastą głową. — Nazywam to „Stojąca postać” — powiedział. — Jeszcze nie ukończona. Nie wiem, czy starczy mi odwagi, by nadać jej ostateczny kształt. To najlepsze, co udało mi się stworzyć, chociaż Isobel uważała ją za zdumiewającą bzdurę. Ona widziała w niej tylko wartość zakupionego metalu. Zauważyła, że nie wysyłała mnie do Królewskiego Kolegium i do Barry Jonesa po to, żebym został jakimś tam mechanikiem. — Wskazał palnik i maskę oraz stojący pod ścianą rząd butli z acetylenem.

— Jak mogłeś to wszystko znieść? — spytała miękko Ginny, nagle rozumiejąc bunt gotujący się w tym człowieku.

— A co miałem robić? — spytał ponuro. — To mnóstwo pieniędzy... narzędzia, piece, warsztat. Okazja do wyrobienia sobie nazwiska. Mam ofertę indywidualnej wystawy rzeźby i ceramiki w dobrej galerii Londynu, gdy tylko uzbiaram odpowiednią liczbę eksponatów. Nigdzie indziej nie miałbym lepszych warunków do pracy. Isobel dostawała swój haracz w wytwórni porcelany — to, co robię tutaj, to moja prywatna sprawa. Byłem uczciwy, nie oszukiwałem jej. Ale to... to jest wyłącznie moje. Chodź, pokażę ci coś jeszcze.

Wrócili do łącznika między budynkami. Mark wziął z półki chropowatą czerwono-złotą wazę, ozdobioną abstrakcyjnymi liniami w kolorze ciemniejszej czerwieni.

— To kamionka — wyjaśnił. — Należy do eksponatów ceramiki brytyjskiej na wystawę w Skandynawii. — Odwrócił wazę i wskazał na jej dno. — To dla mnie się liczy — nazwisko „Barstow”, nie Tilsit. Isobel nie podobało się, że projektuję coś samodzielnie, ale dopóki robiłem swoją robotę w zakładach, nic nie mogła powiedzieć. — Odłożył ostrożnie wazę, odwracając ją tak, by uwydatnić piękno wzoru. — Tilsit zdobył sławę jako producent porcelany pasującej do nowoczesnych sprzętów — duńskich mebli, nowoczesnych garnków i sztućców ze stali nierdzewnej. Popyt na te wyroby jest stosunkowo niewielki, ale wciąż rośnie, zwłaszcza w Stanach. Wielu klientom przejadło się bogate wzornictwo i formy nie pasujące do naszych czasów. Tilsit nie kojarzy się z tradycyjną porcelaną — zbyt wielka była konkurencja ze strony takich wytwórni, jak Wedgwood czy Spode. Zasugerowałem Isobel skoncentrowanie się na współczesności, prostej w linii i nieskomplikowanej. Mówię ci — to straszna harówka wymyślić nowy dzbanuszek do mleka, zapewniając mu jednocześnie taką formę, która pozwoli nalewać mleko bez obawy jednoczesnego pochłapania się. Zajęliśmy się więc funkcjonalnością i obecnie Tilsit dzierży drugie miejsce w wielkości sprzedaży współczesnej porcelany do Stanów Zjednoczonych.

— Więc wywiązałeś się ze swojej części umowy.

— Musiałem. To była jedyna szansa, żeby moje wyroby sygnować własnym nazwiskiem.

Podszedł do niej blisko z rękami w kieszeniach, zmarszczył brwi i spojrzął na jeden z mobil, lekko pływających pod sufitem.

— To, co robię, musi wyrażać mnie samego — bez żadnych ograniczeń. — Spojrzał na nią ponaglająco. — Rozumiesz, o czym mówię? To jest tak... — zawahał się. — Praca w Tilsit, to jakbym hodował psy na wystawę i sprzedawał zdobywców medali po to, żeby mieć pieniądze na karmienie moich kotów.

Ginny spojrzała na rząd półek zastawionych ceramiką, na matowe i lśniące dzbany, wazy i kubki w kolorze sieni. Nawet jej niedoświadczone oko poznało, że ukształtowano je w sposób przemyślany, z polotem, który świadczył o mistrzostwie rzemieślnika. Nie była pewna ich konkretnej wartości — wiedziała tylko, że forma i wzornictwo były świeże i śmiałe, męskie w charakterze. Pasowały w jakiś sposób do metalowych fantazji zwieszających się z belek sufitu — równie twarde i pełne życia. Odwróciła wzrok i odezwała się do Marka:

— Dlaczego wątpisz, czy oddałeś jej wystarczająco wiele? Swój dług spłaciłeś już dawno temu.

— Dlaczego? — Przemierzał gwałtownie studio, jego ciężkie buty dźwięczały na betonowej posadzce. — Dlaczego? Nie pytałabyś, gdybyś znała ją lepiej. Trzeba płacić, ciągle płacić, bo inaczej ma się uczucie, że człówek nigdy się nie wyzwoli.

Nie czekał, aż coś odpowie, nawet na nią nie spojrzał — wdał się w techniczne rozważania na temat poszczególnych działów ceramiki. Po minucie Ginny straciła wątek, zafascynowana atmosfera, jaką roztaczał Mark. Stał na drugim końcu studia z szeroko rozstawionymi nogami, machając w powietrzu rękami. Głos mu się zmienił; w miarę jak zapominał o jej obecności?" zaczęły w nim pobrzmiwać nuty lokalnego akcentu. Przypominał teraz jedną ze swoich metalowych postaci — potężną, chropawą i wyzwoloną. Zafascynowana jego głosem, poczuła nieodpartą chęć ujrzenia tych silnych dłoni przy pracy.

— Wypalanie to trudna sprawa. Podczas jego trwania wszystko się kurczy, mniej więcej o jedną ósmą. Przedmiot może stracić właściwy kształt. Zbyt wysoka lub zbyt niska temperatura może zmienić kolor lub spowodować odbarwienia. Wcześniej trzeba przygotować formy...

Jego mocne, kształtne dłonie podkreślały słowa gestami — łagodne krzywizny przywodziły na myśl coś kobiecego. Przerwała mu.

— Czy mógłbyś któregoś dnia pokazać mi, jak pracujesz?

Twarz nagle mu pociemniała.

— Niech to diabli! — zawołał. — Nie kształtuję gliny dla rozrywkici gapiów. Pewnego dnia, jeśli będziesz miała szczęście i zasłużysz, może zobaczysz, jak kręcę kołem. Wtedy może ci pozwolę.

Podszedł do niej energicznie.

— Chyba tracę czas, mówiąc ci to wszystko. Jednym uchem ci wpada, drugim wylatuje. W przyszłości będziesz musiała słuchać uważniej. W Tilsit trzeba znać się na ceramice, a ty zaczynasz z ogromnym opóźnieniem...

Zrównał się z nią.

— W tej chwili niezbyt mi na tym zależy — powiedziała bezbarwnym głosem. — Jestem zmęczona. W ciągu ostatnich dwóch dni widziałam i słyszałam tak wiele, że starczy mi co najmniej na dwa miesiące. — Potrząsnęła głową. — To przekracza moje możliwości. Jestem po prostu zmęczona.

Stanął przy niej. Jego ręce podniosły się powoli, gładząc delikatnie zmarszczkę między brwiami i cienie pod oczami Ginny.

— Rzeczywiście, biedactwo. Naprawdę jesteś zmęczona.

Ginny siedziała na podłodze przed kominkiem, oparta o wyściełaną poręcz fotela. Przymknęła oczy, wolna od jakichkolwiek myśli. Za oknem szumiało morze; monotonny łoskot fal rozbijających się o skały. W pokoju słychać było tylko kroki Marka, miłe uczucie ludzkiej obecności. Musnął ją, nachylając się i wkładając w jej ręce kubek gorącej herbaty. Naszła ją chęć, by przytulić twarz do jego szorstkiego swetra, poczuć zapach morskiej wody i gliny, poddać się odprężeniu — pragnęła, by ten szczególny błogostan trwał wiecznie.

Mark ustawił za nią swoje krzesło i usiadł, by napić się herbaty; ujął ją za ramiona i delikatnie przechylił, aż plecy oparły się na jego nogach. Naturalność tego gestu sprawiła, że Ginny nawet się nie zdziwiła. Umościła się wygodnie. Piła powoli herbatę z półprzymkniętymi oczami, czując ciepło jego ciała. Była to pierwsza chwila prawdziwego spokoju, jakiego zaznała od czasów, gdy ona i Katrien pracowały wspólnie w ogrodzie w Oranje Huis, godzinę przed śmiercią ojca.

W palenisku trzasnęła kłoda i to ją rozbudziło; dawne napięcie powróciło. Poczuła na ramieniu dłoń.

— Spokojnie, kochanie, spokojnie — usłyszała niski głos z akcentem z Dorsetshire.

Poczuła, że znów się rozluźnia, napięcie minęło. Jego dłoń spoczywała na jej ramieniu, ciężka i zaborcza. Stała się barierą dla jej niepokojów, obaw i wątpliwości związanych z przyjazdem do Tilsit, z tęsknotą za domem i znajomymi głosami. Ta dłoń była bronią przeciw niepewności, tarczą przed samotnością i strachem; czymś dobrym i przyjaznym. Czuła, że zna go od dawna, mimo że dotknął jej po raz pierwszy. Dziwiło ją, że był czymś znajomym i niezwykłym jednocześnie. Pomyślała, że gdyby nie poznała tej dłoni i jej ciepła, całe życie czekałaby właśnie na to.

Nacisk zelżał; powoli, ale stanowczo dłoń Marka uniosła jej podbródek ku jego twarzy. Dobiegły ją słowa: — Moje ty piękne stworzenie, mój ty złocisty rajski ptaku — zanim zetknęły się ich usta.

Mark odprowadził Ginny do Tilsit; własnoręcznie otulił ją peleryną, jakby zapominając, że okrywała kiedyś jego wroga. Zrobiło się zimno, zapadał wczesny wiosenny zmrok, tylko morze majaczyło szarą plamą.

Zerwał się wiatr i chłostał ich, gdy szli ścieżką nad urwiskiem. Jednak Ginny ciągle czuła ciepło i rozluźnienie tej godziny przy kominku, nie zważała już na ciężar Tilsit wiszący nad nią; rozmawiali, ale słowa nie miały znaczenia — ważne było, że się rozumieją. Mogła teraz stawić czoła Tilsit, wiedząc, że nie jest już samotna, że ma dokąd pójść. Myślała o domku, który został za nimi, jako o schronieniu.

Warownia znów wyrosła nad nimi, wyższa i groźniejsza niż wydawało się to od strony Tilsit. Ginny wyobrażała sobie, jak wielkie wrażenie mogła wywierać przed wiekami, zagradzając wędrowcom drogę w obu kierunkach. Przyglądała się twierdzy, zastanawiając się, kiedy ujrzy pierwsze światła Tilsit, gdy poczuła na ramieniu dłoń Marka.

— Trzymaj się blisko żywopłotu — nakazał. — Musisz być ostrożna, to zdradliwa ścieżka. Jest dość szeroka, by pomieścić wóz i konie, ale wcale nie jest bezpieczna.

Przyciągnął ją bliżej żywopłotu i precyzyjnie się naprzód. Poczuła słodki i wilgotny zapach liści.

— Pójdiesz ze mną do domu? — Ledwo ośmieliła się go o to zapytać, bojąc się odmowy, utraty jego życzliwości.

— Może — odpowiedział — może pójde. — Ku jej zaskoczeniu roześmiał się chrapliwie. — Zawsze ich to denerwuje, gdy pojawiają się jakby prosto z warsztatu; to im przypomina o własnym pochodzeniu. Stary Lawrence proponuje mi sherry, ale ja wolę whisky. Wtedy muszą posyłać Gartha z kluczami, żeby ją przyniósł.

— Dlaczego tak bardzo ich nienawidzisz? Co ci zrobili?

— Wcale tak nie jest. Nie zasłużyli nawet na nienawiść. Pogardzam nimi po prostu. To służusy Isobel, pokornie, nawet ochoczo poddający się jej rozkazom. Z tego samego powodu pogardzam sobą; z tą różnicą, że nie muszę siedzieć z nimi przy stole, nawet jeśli jem jej chleb.

— Czy Vanessą także pogardzasz? — Nagle wydało się jej, że to ważne, co Mark myśli o Vanessie.

— Vanessa jest w porządku — odpowiedział niedbale. — Żyła z daleka od Isobel, gdy wyszła za tego Włocha. Myślę, że to ją ocaliło. Nawet gdy wróciła, Isobel nie miała już nad nią takiej władzy.

Szli chwilę w milczeniu, Ginny ujęła Marka pod ramię, czując potrzebę kontaktu, a także by zatrzeć złe przeczucie, wywołane wspomnieniem Isobel. Gdy znaleźli się u podnóża kopca, powiedziała: — Mam nadzieję, że Trip wrócił. Nie powinnam go zostawiać...

Czuła sympatię do tego psa, tym większą, że nie udało się jej zdobyć wzajemności.

— Mniejsza o zwierzaka — odpowiedział obojętnie Mark. — Sam potrafi o siebie zadbać. Zawsze skomlał i łaścił się, byle tylko Isobel rączyła na niego spojrzeć. To dla niej typowe — mieć psa o sercu myszy.

— Jesteś bardzo dla wszystkich surowy... dla wszystkich w Tilsit.

Niemal machinalnie ujął jej dłoń i pociągnął za sobą.

— Musze taki być. Sama to zrozumiesz, gdy pobędziesz w Anglii trochę dłużej. To moi naturalni wrogowie. Pochodzę z warstwy pracowników najemnych, w swoim czasie mój ojciec kopał kwietniki w Tilsit. To jakby rewolucja — nie uśmiechaj się, to prawda. Jedyna broń, którą mogę z nimi walczyć, ja i mnie podobni, to talent i umiejętności, które posiadamy, a które są im potrzebne. Nie jesteśmy już parą rąk i grzbietów, teraz muszą nam płacić, jeśli chcą coś dostać. Pogardzamy nimi wszyscy i jednocześnie zazdrościmy, bo są tacy pewni, że świat wciąż należy do nich. Może dlatego tak jest, bo sami chcielibyśmy do niego należeć, nawet jeśli udajemy, że nam nie zależy. Wmawiamy sobie, że państwo dobrobytu i podatki wyciągną w końcu dywan spod ich stóp, ale nawet jeśli się tak stanie, zawsze będą lepsi od nas i dobrze o tym wiemy. Dlatego nie dbam o krawat i marynarkę, gdy odwiedzam Tilsit, dlatego proszę o whisky, gdy proponują mi sherry. Muszą zdawać sobie sprawę, że jestem im niezbędny. Ale dobrze wiedzą, że ja ich także potrzebuję.

— A co ze mną? Gdzie jest moje miejsce?

— Ty jesteś w najgorszej sytuacji. Należysz do nich, ale nie jesteś im równa, bo pochodzisz z kolonii. Nie lubią o tym rozmawiać, bo je stracili, a Piętaszek jest teraz tyle samo wart, co jego pan. Ale trudno zmienić stare nawyki. Jesteś ni tym, ni owym i współczuję ci z całego serca.

— To tylko znaczy, że mam większy wybór — odparła lekko. — Popatrz, Trip się znalazł! Cekał tu na mnie cały czas!

Spaniel wypadł zza muru i wskoczył na zwałoną płytę. Cieszył się z jej widoku i szczekał donośnie. Skakał po płycie, jakby chciał podbiec do Ginny, ale zatrzymywał się raptownie na krawędzi. Dziewczyna ruszyła w jego kierunku, ale nagle coś ją powstrzymało. Mark chwycił ją za rękę. Obejrzała się i spostrzegła ze zdziwieniem ten sam wyraz wrogości, co poprzednio — brwi zbiegły mu się w jedną linię. Nieoczekiwana i gwałtowna zmiana nastroju zdenerwowała ją. Wyrwała dłoń i pobiegła po zbocz do psa. Gdy położyła mu na łbie dłoń, przestał szczekać i zadrżał.

— Co się stało, Trip? Myślałeś, że się zgubiłam? Głuptas... trzeba było pójść ze mną.

Gdy głąskała psa, Mark podszedł do nich. Nastawienie psa zmieniło się w jednej chwili. Zesztywniał, miły łagodny pysk wyszczerzył się groźnie. Niskie głuche warczenie wydobyło mu się z gardła. Przywarł do kamienia, jakby szukając się do skoku.

— Co ci jest, Trip? Mark, co mu się stało? Przecież cię zna. Chyba się ciebie nie boi?

W odpowiedzi Mark machnął nogą, jakby chciał kopnąć Tripa. Spojrzała ze zdziwieniem, zdając sobie sprawę, że gdyby nie płyta chroniąca psa, Mark nie poprzestałby wyłącznie na geście.

— Parszywy tchórz! Głupie psisko!

— Jak możesz! — zawołała Ginny.

— Och, do diabła z nim... i z tobą też! — Odwrócił się i pobiegł w dół,

zostawiając ją samą z drżącym psem. Jej proszący głos porwał i stłumił silny wiatr.

W Tilsit już na nią czekano. Zanim dosięgła klamki, Garth otworzył szeroko oba skrzydła drzwi, jakby specjalnie na nią czatował.

— Zaczęliśmy się niepokoić, panno Virginio.

Zdawało się jej, że nie powinna się tłumaczyć, gdzie była kilka godzin, ale Garth naprawdę wyglądał na zmartwionego i Ginny poczuła się w jakiś sposób winna.

— Złożyłam wizytę panu Barstowowi.

Twarz Gartha zmieniła się nieznacznie, zacisnął usta.

— Mam nadzieję, że była to przyjemna wycieczka. Rodzina zebrała się w salonie.

Czekali na nią — Lawrence, Margaret i Vanessa. Taca z napojami stała przygotowana, jednak nikt sobie nie nalał. Vanessa paliła papierosa i gdy w drzwiach pojawiła się Ginny, nerwowo zgmiotła niedopałek w popielniczkę. Margaret podniosła wzrok znad tamborka — uśmiechnęła się nieznacznie, lecz jej ręce nie przestały się poruszać.

To Lawrence ją powitał. Zrobił to z wymuszoną jowialnością.

— Nareszcie się znalazłaś! Poszłaś na spacer? Znakomicie. Czy mogę nalać ci sherry?

Ginny spojrzała na lśniące srebra i delikatne kieliszki. Nagle wszystko to wydało się jej zbyt sztywne, zbyt konwencjonalne. A także jakieś niemęskie. Spojrzała prosto na Lawrence'a.

— Wolałabym szkocką, jeśli oczywiście jest.

— Whisky? — szybko się opanował. — Oczywiście, zadzwonię po Gartha.

Vanessa wyrzuciła ręce w górę w geście zwycięstwa.

— No, znalazł się ktoś odważny. Wreszcie będzie się można napić czegoś porządnego.

Twarz Lawrence'a pociemniała, ale milczał, Margaret zaś nawet nie podniosła wzroku znad robotki. W ciszy, która zaległa, Vanessa wzruszyła ramionami i sięgnęła po kolejnego papierosa. Ginny stała nieruchomo, dopóki Garth nie przyszedł na wezwanie.

— Przynieś szkocką whisky, Garth.

— I trzy szklanki — dodała pospiesznie Vanessa. — Ojciec i ja chętnie dotrzemy towarzystwa pannie Virginii.

Kiedy lokaj był już przy drzwiach, Ginny odezwała się: — Jeszcze jedno, Garth.

Zatrzymał się skwapliwie, niewątpliwie zaciekawiony.

— Słucham, panienko?

— W przyszłości proszę zostawiać whisky na tacy. — Uznała za stosowne dodać: — O ile pan Randall nie uzna tego za zbędny wydatek, na który nie możemy sobie pozwolić.

— Panna Isobel... — rozpoczął Garth, ale zaraz urwał. — Oczywiście, panienko.

Gdy odszedł, Vanessa wyciągnęła się na podniszczonych poduszkach kanapy, zaciągając się głęboko papierosem. Odrzuciła głowę i przymknęła oczy.

— Szkoda mi naszego Gartha i Brown. Widać, że brak im Isobel. Była dla nich początkiem i końcem całego ich życia.

— Nam wszystkim doskwiera jej brak — rzekł w końcu Lawrence.

— Nie bądź taki czułościowy, ojcze. Dobrze wiesz, że nikt z nas za nią nie tęskni, przeciwnie, wszyscy są wdzięczni, że jej już nie ma. — Wypros-towała się. — Nalej mamie sherry. Chyba nie musimy na nią czekać. — Odwróciła się do Ginny. — A może powinniśmy?

— Oczywiście, że nie! — By ukryć zmieszanie, podeszła do kominka i wpatrzyła się w żar. W chatce Marka płomienie były jaśniejsze i ogień płonął weselej, przemknęło jej przez myśl. Vanessa ciągle rozprawiała.

— Isobel zawsze kazała na siebie czekać, dopóki nie wróciła z biura. I oczywiście przychodziła kilka minut przed obiadem. Nigdy nie było czasu na więcej niż jeden drink.

— To się zmieni — Ginny usłyszała własny głos, spięty i zirytowany na myśl o niezliczonych drobiazgach, z jakimi będą do niej przychodzić. Odwróciła się i spojrzała prosto na zebraną rodzinę. Postanowiła, że da sobie z nimi radę, że odtąd zawsze uda jej się postawić na swoim, nieważne, czy Isobel spodobałoby się to, czy nie.

— Pewnie chcielibyście wiedzieć, gdzie byłam?

Vanessa odpowiedziała za wszystkich.

— Umieramy z ciekawości, ale ten nasz brytyjski zwyczaj niewtykania nosa w nie swoje sprawy...

— Poznałam Marka Barstowa. Byłam w jego domku. Pokazał mi...

Lawrence, nalewając żonie sherry, postawił karafkę tak gwałtownie, że kryształ zadźwięczał donośnie.

— Byłaś w jego domku?

— Owszem.

— Na twoim miejscu nie chodziłbym tam więcej.

— Dlaczego?

— Po prostu... więcej bym nie poszedł — powtórzył.

Po raz pierwszy przemówiła Margaret.

— Dość tego, Lawrence. Wystarczy już skandali.

Wszedł Garth i natychmiast zapadła cisza.

4

U szczytu schodów Ginny zatrzymała się, zaskoczona głośną muzyką. Przeważał w niej przeraźliwy, ostry rytm gitar i kastanietów, szyszac z panującej ciszy. Była to obraza dla dostojnej powagi domu. Hałas dochodził z otwartych drzwi pokoju, o którym Ginny wiedziała, że jest sypialnią Vanessy.

Zawahała się. Muzyka przyciągała ją w podobny sposób jak ciepło domku Marka Barstowa po chłodnym przyjęciu w Tilsit. Zaproszenie było raczej formalne, zaś Vanessa nie była jej przyjaciółką. Tym, co skłoniło ją do wejścia, była postać Brown, cierpliwie stojąca w drzwiach pokoju Ginny — najwidoczniej czekała na polecenie przygotowania pościeli. Usprawiedliwiła się sama przed sobą i weszła.

Vanessa w pół siedziała, w pół leżała w ogromnym fotelu przed kominkiem. Stopy oparła na wyszywanym podnóżku. Nogi miała gołe, poły długiego, nefrytowozielonego szlafroka rozchyliły się, ukazując wspaniałą skórę, oświetloną teraz przez ogień i zaróżowioną. Jej twarz i poza nie wyrażały żadnych uczuć.

— Czy mogę wejść?

Vanessa spojrzała na nią. Twarz miała obojętną, a machnięcie ręki mogło równie dobrze oznaczać zaproszenie jak rezygnację.

— Proszę. — Wyciągnęła się powoli i dotknęła gałki magnetofonu. — Pewnie ci przeszkadza głośna muzyka.

Ginny potrząsnęła głową.

— Bardzo ją lubię. Przypomina mi Puerto Rico, tam ciągle słychać hiszpańską muzykę.

— Puerto Rico? — Vanessa wzruszyła ramionami. — A byłeś w Hiszpanii? Często jeździłam tam z Marcellem w przerwach między wyścigami. Miał tam odpoczywać, ale nigdy mu się nie udawało. On uwielbiał Hiszpanię... wysiadywanie do późnej nocy i taniec... kochał patrzeć na kobiety, nie rozmawiać, tylko patrzeć. Uważał, że kobiety nie nadają się do rozmów.

— Podobało ci się tam?

Vanessa spojrzała na nią uważnie.

— Kochałam to, co kochał Marcello.

W jej spojrzeniu była taka tęsknota, że Ginny odwróciła wzrok. Czekała, rozglądając się po pokoju, aż Vanessa opanuje się na tyle, żeby zaproponować jej zajęcie miejsca.

Usiadła na niewielkim, obitym pluszem krześle naprzeciw Vanessy — sztywno, z wyciągniętymi przed siebie nogami. Czuła się niezręcznie, wręcz prostacko w porównaniu z jedwabistą urodą Vanessy, jej nagością pod aksamitnym szlafrokiem, płynącym od niej zapachem perfum.

— Masz bardzo miły pokój — Ginny przerwała w końcu krępującą ciszę.

— Ujdzie. Isobel pozwoliła mi urządzić go, kiedy skończyłam osiemnaście lat. Te przedmioty pościagałam z całego domu — nie są to jakieś cuda, bo Isobel umieściłaby je na wystawie, ale okres wiktoriański jest taki sympatyczny. Ona wołała coś wspanialszego, chociaż mniej wygodnego. Meble w pokoju, który zajęłaś — w jej pokoju — powinny znaleźć się w Muzeum Alberta i Wiktorii.

Ginny mogła się teraz rozejrzeć swobodniej. Spodobały się jej kwieciste zasłony przy oknach i pasujące w deseniu obicia łoża i baldachimy, a także wiszące lustra w złotych ramach. Na toaletce stały srebrne i kryształowe

flakony, sielska figurka pasterza i pasteczek na pozytywce — wszystko to sprawiało wrażenie miłego nieładu i ciepła, tak różnego od innych pomieszczeń, które oglądała. To był pokój młodej kobiety — triumf sztuki dekoratorskiej nad surowością pozostałej części domu.

— Jak ci się udało urządzić ten pokój?

— Wszystko było na miejscu, w różnych graciarniach porzucanych po całym domu. Wydaje mi się, że większość tych przedmiotów kupiono dla matki Isobel, kiedy wychodziła za męża. Poślubiła wuja mojego ojca, Johna Bowena. W tym właśnie czasie Jane Tilsit odnowiła część południowego skrzydła, kazała zbudować łazienki i zainstalować światło elektryczne. W pozostałej części Tilsit jest jak w średniowieczu — świece i brak ogrzewania. Zresztą Isobel w ostatnim dniu kwietnia wyłączała grzejniki także tutaj — wygląda na to, że będziesz marznąć aż do października. Wtedy też nie będzie lepiej, Isobel uważała, że ludzie w cieple stają się leniwi i ospali. Na szczęście personel zajmujący się historyczną częścią budynku rozpala ogień w pustych pokojach, by uchronić meble i malowidła przed wilgocią. Na przedmioty zawsze starczało w Tilsit pieniędzy, niestety, skapiono ich dla mieszkających tu ludzi.

Spojrzała na Ginny i dodała ostrym tonem: — Zastanawiasz się, dlaczego jeszcze tu jestem — teraz, skoro ty się zjawiłaś?

— Zawsze możesz tu mieszkać — odpowiedziała szybko. — Testament Isobel...

— Testament... Niewielka pociecha. Nie była zbyt szczodra, prawda? — Uśmiechnęła się słabo, a Ginny spostrzegła, że Vanessa nie jest tak płytka, jak ją osądziła. — Uważasz pewnie, że Great Barrow i farmy to dość. Tak wygląda na papierze, naprawdę to jałmużna. Ale oczywiście dla kogoś, kto nie ma nic, to jest dużo. Isobel powtarzała, że jestem zepsuta... i tak chyba jest.

Niecierpliwie skrzyżowała nogi i sięgnęła po papierosa.

— Czy Randall opowiadał ci o moim mężu? Byliśmy małżeństwem ponad pięć lat i miałam wszystko, czego dziewczyna może chcieć od życia. Nie mieliśmy dzieci, kierowcy wyścigowi raczej o tym nie myślą. Dopóki miałam Marcella, nie potrzebowałam nic więcej. On żył z oddechem śmierci na karku, podobnie jak inni kierowcy wyścigowi. W tych nielicznych chwilach, gdy o tym rozmawialiśmy, śmiał się i mówił, że szybko się pocieszę. Twierdził, że taka piękna dziewczyna na pewno poślubi jakiegoś krezusa.

— Pewnie miał rację — powiedziała Ginny, czując się niezręcznie pod magnetycznym spojrzeniem oczu Vanessy.

— Zwróciłaś uwagę, jak wiele jest pięknych kobiet, a jak mało bogatych mężczyzn?

— Czy koniecznie musisz mieć bogacza? Są przecież inni.

— Nikt nawet nie spodziewa się innego. Isobel twierdziła, że jestem rozpieszczona i wszyscy w to uwierzyli. Zresztą mieli podstawy. Prowadziliśmy swobodne życie. Ludzie, którzy zajmowali się wyścigami i robili na nich

interesy, bardzo lubili Marcella. Miał urodę i doskonałe maniery. Znał wielu ludzi, którzy mieli jachty, posiadłości i wille w najpiękniejszych zakątkach świata. Nigdy nie mieszkaliśmy długo w jednym miejscu, kiedy się nie ścigał, zawsze mieliśmy do dyspozycji jakiś dom. Zawodowi goście, tak mawiano o takich jak my — i to chyba była prawda. Zresztą, czemu nie? Nawet między bogatymi talent, uroda i wdzięk są rzadkie. Myślę, że cena odpowiadała towarowi.

— Jesteś wobec mnie szczerą. Nie każdy by się na to zdobył.

— Marcello nauczył mnie realizmu. Wiedział, że jeśli dojdzie do wypadku i przestanie jeździć, to będzie jego koniec. Zacznie sprzedawać samochody sportowe ludziom, w których domach był gościem. Chciał i mnie do tego przygotować. Ale gdy to się stało, wcale nie byłam przygotowana.

— Przykro mi... — To było wszystko, na co zdobyła się Ginny.

— Przykro ci? Nie znałaś Marcella. Nikt tutaj go nie znał.

— Poza Randallem. On go lubił.

— Och, wszyscy go lubili. Isobel znenawidziła Marcella, bo go nie znała. Uważała go za podrzędnego żigolaka, który potrafi prowadzić samochód. Nie przyszło jej do głowy, że mogła go obrazić proponując pieniądze za rozwód ...ale Randall chyba ci o tym mówił. Nie widziała absurdalności propozycji, żeby Włoch przyjął nazwisko żony, jeśli żona nie była rzymską arystokratką. Marcello uważał Tilsitów za parweniuszy, a ja nawet nie dziedziczyłam nazwiska. — Zaśmiała się sucho. — Chyba powinnam być taka jak ojciec — udawać wdzięczność. Jak na kogoś, kto nie należał do rodziny, powiodło mi się całkiem nieźle — dostałam w spadku Great Barrow i farmy. Dla Isobel istniały tylko dwa rodzaje ludzi: należący do Tilsit i cała reszta. Miałam szczęście, że tych pierwszych było tak mało, w przeciwnym razie nie dostałabym nawet tego. Ale z Great Barrow niewiele da się wycisnąć, a ja bardzo potrzebuję pieniędzy.

— Dlaczego? — spytała Ginny wprost, zastanawiając się, czy dla Vanessy pieniądze znaczyły możliwość przeżycia, czy była najzwyczajniej chciwa.

— Chcę powtórnie wyjść za mąż. Myślisz, że to takie proste? Może tam, skąd pochodzisz. Kto chciałby mnie wziąć? Nie jestem już debiutantką, ale moje zdjęcia są w pismach całej Europy, należę do międzynarodowej śmietanki towarzyskiej. Przynajmniej taką reputacją cieszyłam się w Anglii. Ale to wszystko zawdzięczam Marcellowi. Bez niego jestem nikim. Spójrz — machnęła ręką. — W mojej garderobie wiszą rzędy najpiękniejszych kreacji. Balenciaga, Givenchy, Castillo... wszystkie je kupił Marcello, bo przy naszym stylu życia nie wypadało mieć czegoś gorszego. Odkąd przyjechałam do Tilsit, nie włożyłam ani jednej. Nie trafiają się młodzi mężczyźni gotowi zabierać mnie na bale w Londynie; brak chętnych na marnowanie sobie życia z wdową po włoskim kierowcy wyścigowym. Nie opowiadaj mi, że jestem piękna. To nic nie znaczy. Liczy się tylko to, co mam — stary dom, pożerający pieniądze, i dwie małe farmy. Fakt, jestem zepsuta, ale lubię życie,

które ma w sobie urok i bez troskę. Jestem zepsuta, bo nigdy nie pogodzę się z biedą. W ciągu tych pięciu lat używałam życia, jego uroków i blasków. Nie jestem skruszoną córą marnotrawną i nie czuję wdzięczności do ojca za to, co dostałam — wystarczy mi za ledwie na perfumy, papierosy i benzynę.

Po namyśle dodała: — Ale gdybym miała to, co mam, a Tilsit należałby do mnie, zadowoliliby mnie to. Dotąd zdawało mi się, że Tilsit przejdzie w moje ręce. Ale Isobel umarła, a Randall wyciągnął ciebie jak królika z kapelusza.

— Dla mnie to też było zaskoczeniem — odparła Ginny.

— Wcale ciebie nie winię. Gdyby Isobel mnie uprzedziła, nie robiłabym sobie nadziei. Wiedząc o tobie, spróbowałabym się jakoś urządzić po śmierci Marcella. Ale ona powiedziała tylko Randallowi — po to, żeby trzymać mnie w odwodzie, gdyby nastąpił jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że odmówiłabyś przyjazdu i jakichkolwiek z nimi kontaktów.

— Nieprawdopodobny? Może masz rację...

— Oczywiście. Gdybym cię znała, mnie również wydałoby się to nieprawdopodobne. Ale byłam pewna, że przyjedziesz. Jak widzisz, nie myliłam się.

— Rzeczywiście. Przyjechałam.

Po tej rozmowie każda z nich pograżyła się w zamyśleniu. Nie były już do siebie wrogo usposobione, ale nie stały się przyjaciółkami. Obcość między nimi jakby się rozviała. Nie toczyły ze sobą walki, skoro wszystko się zdecydowało na długo zanim się poznały. Postanowiła tak Isobel, owego dnia w klasztorze w Santa Maria. Zdobyły i straciły wszystko, co było do zdobycia i stracenia — teraz obie zdawały sobie sprawę z bezcelowości walki. Ich oczy spotkały się i porozumiały.

Nagle Vanessa poderwała się z nieoczekiwaną gwałtownością. Ginny zaczynała podejrzewać, że w Vanessie tkwi więcej energii i woli, niż można się było spodziewać. Zamknęła drzwi i odwróciła się do Ginny.

— Dlaczego poszłaś do Marka Barstowa?

Teraz Ginny zrozumiała — głośna muzyka i uchylone drzwi miały ją zwabić do pokoju, gdyby przypadkiem znalazła się na korytarzu. Vanessa umyślnie ściągnęła ją do siebie, tylko po to, żeby wypytać.

— Spotkałam go przypadkiem. Zaprosił mnie do siebie na herbatę.

Przez twarz Vanessy przeleciał rumieniec.

— Myślisz, że to było przypadkowe spotkanie? Mark jest bardziej pokretny, niż ci się zdaje.

— Dlaczego to mówisz? Właśnie wybierał się do Tilsit. Nie po to, żeby się ze mną spotkać, ale żeby poplotkować o mnie ze służącymi.

Vanessa pokiwała głową.

— Tak właśnie by powiedział, to cały Mark. To jego metoda — udawać wiejskiego prostaczka, gdy w rzeczywistości to chytry lis. Na pewno wcisnął ci tę swoją opowieść o Isobel i układzie, jaki zawarli.

— Rzeczywiście tak było — zgodziła się niechętnie.

— Nie zwracaj zbytnej uwagi na opowieści Marka o Isobel. Wiem, że brzmią bardzo interesująco, ale to tylko część prawdy. Ona też mogłaby dodać coś interesującego.

— Często tak bywa, prawda?

— Isobel była dobra dla Marka Barstowa — powiedziała twardo Vanessa. — Jeśli nie dość dobra dla niego, to z pewnością dla jego kariery. Sprawiała, że stał się lepszy, niżby mógł to sobie wyobrazić. Chyba to prawda, co o nim mówiła — że tchnęła ducha w rzemieślnika i przekształciła go w artystę. Jeśli Mark dokona czegoś wielkiego w przyszłości, będzie to zawdzięczał Isobel.

— Zdawało mi się — powiedziała wolno Ginny — że to artysta odkrywa w sobie własną drogę i środki wyrazu... jeżeli w nim tkwią.

— Bzdura! Myślisz kategoriami tych ubogich artystów żyjących na strychach. Dzisiaj, żeby zostać artystą, trzeba mieć pieniądze. Strychy były dobre w czasach, gdy większości ludzi wiodło się podobnie. Dzisiaj można być miernotą i zarabiać większą forszę niż kiedyś wielcy artyści. Wielkość wymaga czasu. Niech Mark cię nie zwiedzie. Gdyby nie zjawiła się Isobel i nie wyciągnęła go z chałupy, dotąd byłby jakimś mechanikiem albo naprawiałby telewizory; mógłby też, zważywszy na jego siłę, pchać naładowane wózki w wytwórni porcelany. Niewiele miałyby szans pan Mark Barstow, gdyby nie zjawiła się Isobel.

— Widzę, że nie jesteś po jego stronie.

— Tu nie ma żadnych stron. Znam Marka i wiem, skąd się wziął. Jest owocem beznadziejnego, idiotycznego małżeństwa. Jego ojciec był robotnikiem drogowym, matka córką wikarego. Teraz już nie udaje wielkiej pani, jak kiedyś. Millie Barstow jest zgorzkniałą kobietą, która postanowiła, że dzięki synowi świat usłyszy i o niej.

— Mark mówił, że dotąd pracuje w wytwórni.

— Zaczęła tam pracować, gdy porzucił ją mąż. Z tego, co słyszałam, był to kawał brutalnego drania. Skazano go za maltretowanie psa, a potem w więzieniu dorzucono mu jeszcze za bijatyki. Pił nałogowo — gadano, że również bijał Millie. Oczywiście ona nigdy tego nie potwierdziła. Nie wiem, ile jest w tym prawdy. Mark miał zaledwie siedem lat, kiedy ojciec ich rzucił. Ludzie w St. Mary mają skłonność do upiększania faktów, zwłaszcza od kiedy Markowi się powiodło. Większość z nich nie ma talentu za grosz, nawet ci, którzy pracują w wytwórni. Przywykli do kształtowania gliny i produkcji form — o projektancie mają zdanie, że to ktoś o zręcznych rękach. Nie mają pojęcia o cenie, której żąda Mark za swoje sygnowane dzieła, ani o wartości wzorów współczesnej porcelany. Dla nich Mark jest zręcznym rzemieślnikiem, któremu się poszczęściło, kimś, kto wpadł w oko starej Isobel Tilsit. Uważają, że się to stało z powodu jego wyglądu. Jako małego chłopca posyłała go do szkoły, a w czasie wakacji hołubiła w swoim domu.

— Więc mieszkała tutaj, w Tilsit?

— Owszem. Miał wtedy czternaście lat, a ja dziesięć. Pamiętam go — ponuraka z okropnymi manierami, który robił wszystko, żeby zdenerwować Isobel.

— To ogromna odmiana, z chałupy do takiej posiadłości. — Ginny zdała sobie sprawę, że tak gorąca obrona niewątpliwie ją zdradza.

— Już ci mówiłam, jest chytry jak lis. Artyści przeważnie mają dar naśladowania; on przyswoił sobie pewne maniery, ale korzystał z nich tylko wtedy, kiedy chciał. Porzucał je momentalnie, gdy chciał zdenerwować Isobel. Nie przeczę, że była dla niego surowa — zresztą od wszystkich wiele wymagała. Ale jego niechęć datowała się z czasów, kiedy tresowała go, żeby skakał, jak mu zagra. Był niewdzięcznikiem i ponurakiem, a ona zносиła wszystko — w imię jego talentu.

— Bo bardzo go potrzebowała.

— Skąd mogła wiedzieć, jak się rozwinie? Zresztą gdy dorósł, przekonała się, że najważniejsza część jego talentu nie była wcale w Tilsit przydatna. Gdyby Mark bardziej się przyłożył, mógłby zostać wielkim rzeźbiarzem, tak sławnym, że nie zwracałby sobie głowy jakimiś filizankami i talerzykami. Ma zdumiewające wycucie tworzywa, w którym pracuje — gliny, drewna, metalu czy kamienia. Isobel nalegała, by próbował wszystkiego.

— Nie wierzę. Mnie mówił, że Isobel lekceważyła wszystko, co nie miało związku z wytwórnią.

— Mark w młodości był notorycznym kłamcą. Najwidoczniej mu to pozostało. Isobel wiedziała, że najlepiej pracował, gdy robił coś na złość, więc z tego korzystała. Nawet gdyby tak nie było, pewnie by to sobie wymyślił. Mark sam stworzył sobie potwora, który go ciemniżył. Musiał znaleźć kozła ofiarnego, by wytłumaczyć swoje porażki. Podobnie jak ja.

Z tłumioną wściekłością rzuciła niedopałek do paleniska.

— Isobel służyła jako odgromnik dla nas obojga, tylko na różny sposób. Oboje potrzebowaliśmy jakiegoś gnębiciela. Ale Isobel Marka i moja to dwie różne kobiety.

Wzięta szcypce, pochyliła się i wyjęła z kominka żarzący się węgielek. Ginny patrzyła zafascynowana niewymuszonym wdziękiem, z jakim Vanessa odprawiała rytuał przypalenia papierosa. Była ciekawa, ile razy w przeszłości posługiwała się tym gestem, żeby zwrócić na siebie uwagę. Vanessa nie spieszyła się; podniosła oczy dopiero wtedy, gdy poczuła na sobie wzrok Ginny.

— Jest bardzo atrakcyjny... mówię o Marku. Nawet z tą jego chmurnością i arogancją. To mężczyzna, za którym można by szaleć.

— Ty też byś mogła, Vanesso?

Skinęła lekko głową i uśmiechnęła się potwierdzająco.

— Każda kobieta. Ja także.

Przeciagnęła się i włączyła ponownie magnetofon. Rozdzieliły je wrzaskliwe dźwięki, uniemożliwiając rozmowę. Ginny podniosła się, ale będąc już w drzwiach zawróciła i podeszła do Vanessy.

— Chcę cię o coś zapytać.

— Słucham.

— Dlaczego twój ojciec radził mi, żebym nie chodziła do domku Marka? Z twojego powodu?

— Skądże, nie, na litość Boską. Mark nie dał poznać, że jest mną zainteresowany... jak dotąd.

— Więc dlaczego?

Vanessa wzruszyła ramionami.

— Może chciał cię przed nim ochronić.

— Dlaczego miałyby mnie przed kimś chronić?

— Randall nie opowiedział ci, jak umarła Isobel? Pewnie nie... podobnie jak moja matka nie wierzy w te plotki. Ale jej śmierć spowodowała sporą sensację i minie wiele czasu, zanim ludzie przestaną o tym gadać i dorabiać własne teorie. — Zaciągnęła się głęboko papierosem. Ginny zamarła w przy-
pływie ciekawości.

— Isobel zginęła na skutek upadku z urwiska, zaledwie kilka metrów od domku Marka. Wybrała się do niego w odwiedziny. Mark zaklinał się, że wyszła od niego cała i zdrowa. Przysięga, że niczego nie słyszał, nawet szczekania psa. Bo był z nią oczywiście Trip — zawsze chodził z nią do domku. Jednak zamiast zaalarmować Marka, wrócił do posiadłości. Nikt nie wiedział dlaczego, śledztwo również tego nie wyjaśniło.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic ponad to, że jeśli ktoś wie, co się zdarzyło naprawdę, to tylko Mark. Nikt poza nim. A ludzie wiedzą, że ciągle dochodziło między nimi do gwałtownych kłótni, to już weszło w zwyczaj. Tym razem jednak było inaczej. Poszło o rzeźby Marka. Uważała, że ich kosztem zaniedbuje wytwórnię. Dała mu do zrozumienia, że rozważa wycofanie się z umowy dotyczącej domku i warsztatu, zaś on oskarżył ją o złamanie obietnicy. Mówił, że powinien od razu wiedzieć, co warte jest jej słowo. To nie spodobało się Isobel. Zrobiła mu awanturę, wszystko mu wykrzyczała. Wołała, że dopilnuje, żeby już nigdy i nigdzie nie znalazł zatrudnienia. Wątpię, żeby zrealizowała swoją groźbę, ale to był chwyt poniżej pasa. Wszyscy to słyszeli, cała wytwórnia. Mark wypadł za drzwi i tego dnia już nie wrócił do pracy. Wszystko to wydarzyło się owego wieczoru, gdy Isobel poszła do jego domku.

Ginny poczuła, że wargi jej drżą.

— Przecież to o niczym nie świadczy.

— Masz rację, o niczym. I nikt nie zarzuca mu, że spowodował jej śmierć. Ale czy przyszedł jej z pomocą? A może zamknął drzwi i udawał, że nie ma jej tam, w ciemności? Może życzył jej śmierci, ale czy naprawdę jej nie pomógł?

— Nie wierzę w to!

— Możesz nie wierzyć, podobnie jak wielu innych. Ale niektórzy w to wierzą.

Biegając korytarzem do swojego pokoju, raz jeszcze wypowiedziała te słowa na głos: — Nie wierzę!

Ściagała ją dzika muzyka flamenco — nieubłagana i szydercza.

Brown czekała już na nią w pokoju, siedząc sztywno, jakby połknęła kij, na jednym z krzeseł z epoki Jakuba. Na jej widok Ginny zatrzymała się raptownie, mając już na końcu języka słowa odprawy. Potrzebowała jak nigdy dotąd odrobiny samotności, czasu, by przemyśleć wszystkie te rewelacje, które usłyszała, i wyrobić sobie o nich własne zdanie. Ale długi dzień nie dobiegł jeszcze końca. Brown również chciała odegrać w nim swoją rolę.

Podniosła się szybko na jej widok.

— Dobry wieczór, panienko. Pozwoliłam sobie tu zaczekać. — Po chwili wahania dodała: — Przy kominku jest tak przytulnie.

— Witaj, Brown. — Ginny nie mogła pojąć, jak tę ogromną komnatę można nazwać przytulną i czy komukolwiek może być przyjemnie w takim oddaleniu od kominka. — Nie musiałaś... wcale nie wymagam, żebyś czekała na mnie.

— Zawsze czekałam, aż panna Isobel będzie gotowa udać się na spoczynek. Na wypadek gdyby czegoś potrzebowała. Przygotowałam pani koszulę nocną, wygląda na bardzo przewiewną. Włożyłam także do łóżka butelkę z gorącą wodą. — Spojrzała na Ginny w nadziei, że usłyszy jakąś prośbę, może polecenie — cokolwiek, co sprawi, że jej obecność stanie się użyteczna.

— Dziękuję ci, Brown, jesteś bardzo miła. — By nie zawieść jej oczekiwań, dodała: — Na pewno będzie mi bardzo wygodnie. Gdybym czegoś potrzebowała, zadzwonię.

Po twarzy Brown przemknął słaby rumieniec, jakby nagły odbłask ognia. Ginny dostrzegła nagle samotność tej kobiety, którą mogła spróbować wypełnić.

— Doskonale, panienko, co tylko sobie panienka życzy. Panna Isobel... — przerwała i Ginny zdawało się, że jej bezkrwiste wargi zadrżały. — Panna Isobel ufała mi we wszystkim.

— Z pewnością. Ja także będę potrzebowała twojej pomocy. O tylu rzeczach muszę się jeszcze dowiedzieć...

— Pewnikiem, panienko. I nie wolno próbować wszystkiego na raz. Proszę nie pozwolić, żeby się zbyt panoszyli. Zawsze próbowali wykorzystywać pannę Isobel, ciągle im było mało. Zwalali jej na barki wszystkie swoje kłopoty i musiała je potem dźwigać. Proszę im na to nie pozwolić.

— Spróbuję.

Ginny przeszła przez pokój i zbliżyła się do przepięknie inkrustowanej osiemnastowiecznej toaletki, gdzie Brown umieściła jej tandetną plastikową szczotkę do włosów, obok innej, podniszczonej i oprawnej w srebro, która z pewnością należała do Isobel. Przechyliła niewielkie pozłacane lustro i ujrzała swoją zmęczoną twarz. Ledwie mogła rozpoznać własne rysy — napięta i jakby poszarzała skóra miała niezdrowy odcień. Szybko się odwróciła.

— Dobranoc, Brown.

— Dobranoc, panienko. Jeszcze jedno, panienko...

— Słucham, Brown.

— Chodzi o kluczyk od biurka panny Isobel. — Ginny powiodła za nią wzrokiem i zobaczyła wysokiego sekretarzyka stojącego między oknami. Pokrywa była opuszczona. — Wiem, gdzie trzymała klucz, sama mi powiedziała. Nie oddałam go panu Randallowi — dodała, jakby się usprawiedliwiając. — Chciałam zaczekać i dać go panience sama.

— Powinnaś mu go oddać. On zajmuje się wszystkimi sprawami dotyczącymi posiadłości.

— Zawartość sekretarzyka nie ma nic wspólnego z domem, panienko. Wszystko to jest w biurze na dole. Tu są tylko jej prywatne rzeczy, osobiste dokumenty panny Isobel.

— Nie należą do mnie, Brown. Jeśli są prywatne, nie powinnam ich czytać. Może należałoby poinformować o tym pana Randalla i po prostu je zniszczyć.

— Zniszczyć? — na twarzy kobiety pojawił się wyraz zaskoczenia i oburzenia. — Nie wolno panience tego zrobić! Panna Isobel pisywała przy tym biurku codziennie przez całe życie. Nie wierzę, że ktoś mógłby wpaść na pomysł zniszczenia pracy tylu lat. To, co napisała, należy do panienki, tak jak cała reszta w Tilsit. Zostawiam panience kluczyk...

Wydobyła klucz z kieszeni fartucha i położyła na toalecie. W jej oczach widniała wyraźna prośba.

— Nie może panienka zniszczyć tych papierów — powtórzyła.

Ginny z wahaniem dotknęła kluczyk.

— One nie należą do mnie, Brown. Nic w Tilsit nie jest moje.

— Więc czyje? — zapytała porywczo Brown.

Ginny potrząsnęła głową.

— W każdym razie nikogo obcego. Tilsit powinien przypaść Vanessie, dobrze o tym wiecie!

— Vanessie? Tej... — wypluła słowo z pogardą. — Tej lali, z jej tandetnym mężem i wydziwionymi strojami? Kto ją prosił, żeby wracała do Tilsit? Sama stąd odeszła. Porzuciła pannę Isobel. A przecież tu się urodziła i mieszkała całe życie!

— Czasem ludzie muszą zostawić coś, do czego byli przyzwyczajeni od wielu lat, i dopiero później poznają, jak bardzo to im było potrzebne. Vanessa kocha Tilsit — dokończyła Ginny, wiedząc, że mówi prawdę. — Została świetnie wykształcona, zna tu wszystko od podszewki — życie, wytwórnię porcelany... wszystko.

— Jak panienka może tak mówić, kiedy ona wszystko tu krytykuje? I proszę nie myśleć, że my nic nie słyszymy, Garth i ja. Jest wiecznie niezadowolona i chciwa. Nie ma ochoty wziąć się do pracy, którą przeznaczyła jej panna Isobel.

— Ale kocha Tilsit — Ginny nie dawała za wygraną. — Ona należy do tego domu, na pewno potrafi zająć się wszystkim znacznie lepiej niż ja. Ma

nade mną wielką przewagę — Tilsit to ciężki obowiązek i wymaga długich przygotowań.

— To nic takiego, z czym panienka nie mogłaby sobie poradzić, i to dobrze poradzić. Zresztą ja tu jestem i będę pomagać, powiem panience wszystko, co trzeba wiedzieć. A pan Randall? I Garth? Wytwórnia porcelany kieruje pan Bowen-Tilsit. Panienka może to robić równie dobrze, byleby starczyło chęci. Panienka potrafi pracować, podobnie jak ciotka panienki. Sama mi to powiedziała: „Słuchaj, Brown, jest jeszcze trochę za młoda, ale szybko się nauczy. Ma charakter i nie boi się pracy”. To było wtedy, gdy postanowiła przekazać panience Tilsit, a ona nigdy się nie myliła.

— Skąd to wiesz? Randall twierdził, że tylko on wiedział, kim jestem.

— Między panienki ciotką a mną nie było tajemnic. Mówiła mi o wszystkim. Gdy pewnego tygodnia wybrała się w podróż do Indii Zachodnich, wszyscy myśleli, że jest w Londynie. Wszyscy oprócz mnie. Gdy wróciła, dokładnie mi o panience opowiedziała. „Będzie tu na właściwym miejscu, Brown” — tak powiedziała. Od razu to dostrzegłam, od pierwszej chwili, gdy ujrzałam panienkę po raz pierwszy. Panienki sposób poruszania się, wyraz twarzy. „Widzę w niej moją babkę, Brown” — to znaczy Jane Tilsit, Starszą Panią. Ale ja widzę w panience raczej Isobel, wyraźniej niż widziała to ona sama. Nie była próżna, pewnie zapomniła o swoim wyglądzie z czasów młodości, zanim straciła figurę. Ale ja ją pamiętam — piękną, uroczą kobietę. Gdyby kiedyś miała córkę, pewnie byłaby podobna do panienki. Niestety, nie miała dzieci. „Chciałabym mieć w Tilsit wiele dzieci” — wyznała mi kiedyś. To było wtedy, kiedy myślała o zamążpójściu. Ale nigdy nie wyszła za męża.

Ginny wtuliła się w pokryty kilimem fotel. Ogarnęło ją głębokie znużenie. To był długi dzień.

— Czy mogłabyś...

— Oczywiście, panienko, jest pani bardzo zmęczona, to widać. Za długo gadam. Ale proszę pamiętać, co mówiłam i co mówiła ciotka. Wiedziała, że panienka tu przyjedzie, nawet wtedy, gdy nie dostała odpowiedzi na przesyłkę z nożem do sera. Proszę pamiętać, ona była pewna, że panienka jest w stanie osiągnąć wszystko co zechce. I proszę nie pozwolić, żeby weszli panience na głowę albo odwiedli ją od jej planów. I jeszcze to, że wystarczy mnie poprosić... o cokolwiek.

— Dobrze, Brown — odpowiedziała sennie Ginny — będę o tym pamiętać.

Sen nie chciał jednak nadejść i długi dzień przechodził w równie długą noc. Ginny leżała na osłoniętym baldachimem łożu Isobel i wpatrywała się w żarzące na kominku węgla, spadające co chwila z rusztu. Płomienie rzucały słaby poblask na wysoki sufit. Wiatr hulał wściekle, rozbijając się o mury domu. W przerwach między porywami można było dosłyszeć daleki odgłos morza. Rozmyślała o Marku w jego domku na urwisku. Dotąd nie mogła się uspokoić. — Nie wierzę — powiedziała wreszcie głośno, a echo powtórzyło

jej słowa. Wciąż czuła delikatny dotyk jego dłoni i gorące wargi na swoich ustach. Nie mogła się pogodzić z myślą, że Mark mógłby kogoś skrzywdzić. To, co mówił, było pełne pasji i siły, ale nie kryła się w tym zdolność do przemocy. Jego twórczy instynkt z pewnością nie pozwoliłby na akt zniszczenia. Wmawiała sobie, że Mark, z jego zdolnością tworzenia, nie potrafił posunąć się do destrukcji, nie stałby beczynnym będąc świadkiem czyjeś agonii. Jego dar był darem niosącym życie i jakiegokolwiek zagrożenie tego życia było z jego strony niemożliwe. Nie mógłby tego zrobić, powiedziała sobie w duchu. Ale prawie równocześnie postawiła sobie pytanie, czemu broni go z takim zapałem, dlaczego tak gorąco zapewnia samą siebie o prawdziwości swojego przekonania. Już podczas pierwszego spotkania obezwładnił ją swoim magnetyzmem i energią. A kiedy ją pocałował, czuła się, jakby płynęła w powietrzu. Wspomnienie namiętności, jaka ją ogarnęła, spowodowało, że zadrżała. Nie potrafiła uleżeć spokojnie. Mark umiałby ją uspokoić — wystarczyłoby jedno dotknięcie jego dłoni. Tak jak jednym pocałunkiem sprawił, że poddała mu się zupełnie.

W jej dotychczasowym życiu nie było nic, co przygotowałyby ją na takie emocje. Jim sprawił, że jej miłość rozbudzała się swolna, jakby w oczekiwaniu szalonego, żarliwego uczucia, które wybuchło pod wpływem Marka. Jej ciało odczuwało już przedtem pożądanie, lecz jeszcze nigdy dotąd nie doznała tego nagłego olśnienia, błyskawicy rozświetlającej zmysły, ich szczyty i otchłanie — olśnienia zawierającego początek i koniec zarazem. Nie była gotowa nazwać tego miłością, bo nie знаła jeszcze swojego ukochanego, oprócz dotknięcia dłoni i pocałunku. Przynosiło to wspomnienia czegoś nieokreślonego; nie potrafiła ocenić swoich nowych uczuć, nie mając żadnych uprzednich doświadczeń. Czuła raczej zniecierpliwienie z powodu długiego czekania aniżeli radość. Nie znała jeszcze dobrze samej siebie, więc jak mogła rozpoznać tę nową jakość, którą stworzył Mark? Wystarczyło, że wyciągnął rękę i przeobraził ją zupełnie. Jej reakcja była cierpieniem i rozkoszą.

Wyciągnęła rękę w przepastnym łożu, lecz napotkała tylko pustkę. Wtuliła twarz w poduszkę, by nikt nie usłyszał, jak woła jego imię w ciemności.

Jak poprzedniej nocy, dobiegło ją żałosne skrobanie łap Tripa do drzwi i węszenie, gdy wciskał nos w szparę przy podłodze. Z rezygnacją, ale bez strachu, jak wczoraj, zapaliła świecę i poszła otworzyć. Pies przyjrzał jej się przez chwilę i znów zaczął krążyć po pokoju, szukając śladów Isobel. Rozczarowany po raz kolejny, pobiegł prosto do kominka i umościł się w koszu. Ginny przyglądała mu się, trzymając w wysoko uniesionej ręce świecę. Zdawała sobie sprawę, że w tym nieprzyjaznym świetle straciła, podobnie jak pies, swą opokę. Miała do wyboru: rzucić się na oślep w nieznanne lub walczyć o zdobycie uznania.

Machinalnie sięgnęła po klucz, zostawiony przez Brown na toaletce. W jednej

chwili narzuciła szlafrok, w następnej sekretarzyk stał otworem z opuszczoną klapą. Nie zwracając uwagi na dwa rzędy oprawnych w skórę książek, przeglądała szuflady w poszukiwaniu pióra i papieru. Owładnięta nieodpartym impulsem zaczęła pisać na grubym białym papierze z czarnym szlakiem i inicjałem Tilsit — takim samym, jaki zapamiętała z listu, który dotarł do niej na Boże Narodzenie.

„Drogi Jimie — pióro opornie drapało papier, zostawiając kleksy. — Spotkałam dzisiaj mężczyznę, który dotknął mojej dłoni i pocałował mnie — i chyba się w nim zakochałam. Nie mówię, że go kocham — jakżebym mogła, skoro kocham ciebie. Jednak zakochałam się nie rozumiejąc tego i właściwie bez powodu — w każdym razie nie potrafię wyjaśnić tego w tym liście. Czy to jakieś szaleństwo? Czy stało się tak dlatego, że wkroczyłam w świat, gdzie szaleństwo jest czymś zwyczajnym? Czy uda mi się zachować normalny stan ducha, żeby ocenić to jako rodzaj obłędu czy naiwności? Czy w ogóle znajdę odpowiedź na swoje pytania — a może ty, Jimie, znasz odpowiedź? Pytam, bo wiem, jak głęboko kochałeś swoją żonę, a także dlatego, że kocham ciebie — uświadomiło mi to, że tak niewiele rozumiem z tego, co się ze mną dzieje. Właściwie powinnam zadać te pytania sobie samej, ale wtedy uzyskałabym taką odpowiedź, jaką chciałabym usłyszeć. Dlaczego piszę, że kocham kogoś innego, kiedy wydaje mi się, że kocham ciebie? Czemu ryzykuję utratę nawet tej małej części ciebie, która, wydawałoby się, należy do mnie”...

Zabrakło jej słów i przerwała. Przeczytała z pewnym niedowierzaniem to, co napisała, i zdecydowanie odłożyła pióro. Nigdy tego nie wyśle. Oznaczałoby to odcięcie jedynej drogi powrotu do świata, do którego należał Jim, a także jej serce. Miała jednak uczucie, że Jim jest jej przyjacielem, a nowa miłość to coś obcego, coś, co mogło nawet stać się jej wrogiem. Nie, to niemożliwe — przecież Mark to nie wróg, lecz kochanek. Tego właśnie pragnęła owego popołudnia, pragnęła także teraz. Myśl o Marku zatrzymała słowa skierowane do Jima. Już wiedziała, że nie wolno jej napisać czegoś podobnego — ani teraz, ani później. Złożyła list; chciała go podrzeć, ale coś jej nie pozwoliło.

Odepchnęła fotel od biurka i wstała. Zdziwił ją widok dwóch rzędów książek jednakowego rozmiaru — pierwsze sześć oprawiono w spłowiały i przybrudzony aksamit, pozostałe w błękitną skórę, ozdobioną pociemniałym złotym ornamentem. Nie znalazła na nich żadnych tytułów czy napisów. Sięgnęła po ostatnią z brzegu, której złoty ornament wydawał się najświeższy, i otwarła, by ukryć w niej list do Jima. Przekartkowała pobieżnie grube stronicę i zauważyła zaskoczona, że wszystkie są nie zapisane.

Sięgnęła na chybił trafił i wyciągnęła kolejny tom. Był wypełniony do ostatniej strony pismem Isobel — męskim, chociaż drobnym i dość trudnym do odcyfrowania. Strony były gęsto zapisane, część nosiła daty, inne nie; atrament wyblakł ze starości. Musiała się kilkakrotnie wczytywać w zapiski, żeby je zrozumieć. „Zamówiono dzisiaj nowy piec do wypalania. Ogromny wydatek, ale konieczny, żeby pokonać konkurencję — tylko w ten sposób

możemy się utrzymać," a dalej: „Margaret sądzi, że urządzenie specjalnego przyjęcia urodzinowego dla Vanessy to dobry pomysł. Mała upiera się, żeby sprawić jej nową aksamitną suknię. To dziecko już teraz robi się zbyt samodzielne". Wysunęła wcześniejszy tom — białe stronicze były upstrzone brązowymi plamami ze starości i wilgoci. „Babcia i ja omawialiśmy z Richardsem, którego wynalazła w Londynie, sprawę wzmocnienia ścian Wewnętrznego Dziedzińca przyległego do Długiej Galerii. To ogromna praca, bo należy odślonić mur aż do fundamentów. Ponad połowa trawnika dziedzińca ulegnie zniszczeniu i trzeba będzie go odtworzyć. To wielka niedogodność i wydatek, jednak Babcia twierdzi, że muszą się znaleźć na to pieniądze". Potem nastąpiła przerwa, jak gdyby Isobel się zastanawiała. „John obiecał, że przyjedzie, żeby spotkać się z Richardsem. Powinien się zorientować w zakresie prac, ale powiedział, że musi być w Long Kedston, bo ma ważne spotkanie. Podejrzewam, że nie mówi prawdy". Ginny przerzuciła kilka stron i czytała dalej. „Przywieziono obraz van Dycka — portret lady Roweny Black — z Londynu, gdzie został odnowiony. Poszliśmy z Babcią przyjrzeć się, jak będą go zawieszali. Babcia żartowała, że handlarz oferował jej za obraz prawdziwą fortunę. Podobno chciał go kupić dla lorda Duvena. Strasznie się bałam, że się skusi, ale tylko żartowała. Obraz jest doskonały. Nigdy już nie powinien opuszczać Tilsit. Gdy John wrócił od Marstonów, zaraz poszedł go obejrzeć — zdobył się tylko na stwierdzenie, że suknia lady jest zbyt żółta. Babcia była oburzona". Z ważnymi wiadomościami przeplatały się mniej ważne, dotyczące spraw domowych. „Brown bołą zęby, ale jest taka uparta, że nie chce iść do lekarza". A w następnej linii: „Dzisiaj przybył do nas z wizytą nowy biskup. Wszystko było bardzo wspaniałe i ceremonialne — Babcia założyła naszyjnik z pereł. Oprowadziła go nawet po domu, chociaż, zważywszy na jej wiek, to długi spacer. Bardzo mu się podobała kaplica, ale Babcia nie dała mu przebywać w niej zbyt długo". Sprawy domowe czasem nabierały osobistego charakteru. „Zamówiono dwanaście tuzinów lnianych prześcieradeł. Babcia była zmartwiona, bo poprzednie kupiono z okazji jej ślubu". „W zakładzie wybuchł niewielki pożar, ale nikt nie ucierpiał. Babcia twierdzi, że część pomieszczeń nie jest bezpieczna i należy je przebudować. John był wtedy w Londynie, więc Babcia pojechała ze mną obejrzeć szkody. Kilku starych pracowników poznało ją i pozdrowiło". Następna informacja. Jutro John jedzie do Cambridge, ostatni dzień spędził u Marstonów". Dalej następowała strona, na której słowa nakreślono z takim pośpiechem i tak mocno przyciskając pióro, że ledwie dały się odszyfrować. Ginny przyglądała się im bardzo uważnie. „Dzisiaj znów przyszedł Edward Ashley, to już trzeci raz w ciągu dwóch tygodni. Spacerowaliśmy po ogrodzie".

Ginny przerwała czytanie, zażenowana, że wdiera się w osobiste sprawy młodej Isobel. Przypomniała sobie kobietę, która stanęła przed nią w klasztorze w Santa Maria, jej zniszczoną nieruchomą twarz, postawę nie zdradzającą zmęczenia ani niewygody. Zapamiętała to dobrze, a także jej niezwykle piękne dłonie. Kiedyś ta kobieta była młoda i zakochana, i pewnie wtedy napisała w dzienniku, że spacerowała w ogrodzie z jakimś Edwardem Ashleyem.

Zamknęła tom, bo wydało się jej, że zanadto obnaża Isobel, czytając te strony. Wiedziała też, że powróci do lektury. Zbyt wiele z natury Isobel kryło się jeszcze w cieniu. A także z całego świata Tilsit — i jej ojca.

Sięgnęła na górną półkę, do rzędu książek oprawionych w aksamit. Pismo w nich było zupełnie inne — jakby drukowane, wyraźne i precyzyjne. Atrament zdążył zbrązowieć na pożółkłych stronicach. Pierwszy zapis pochodził z 1865 roku.

„Spotkałam dzisiaj mężczyznę, który dotknął mojej dłoni i pocałował mnie — i chyba się w nim zakochałam”.

Ginny westchnęła głośno; poczuła gęsią skórkę na widok słów, które napisała do Jima tej nocy, jakby powtórzonych ręką wiktoriańskiej damy sto lat temu. Zrozumiała, że ma przed sobą dziennik Jane Tilsit.

Czytała dalej. „Nazywa się George Martin i jest ceramikiem — postanowiłam już, że za niego wyjdę. To człowiek z ludu, prawie prostak, o ile prostak może być tak miły i łagodny. Gdy się spotkaliśmy, nie wiedział, kim jestem i skąd pochodzę, a przy rozstaniu pocałował mnie. Jeśli to szaleństwo, gotowa jestem je popełnić. Dziedzicze te dobra już pięć lat i nikt dotąd nie prosił mnie o rękę, ja zaś dobrze wiem, że nie wyjdę za mąż, jeśli sama się nie postaram. Dlatego wyjdę za tego prostego ceramika i będę go utrzymywać. Ludzie być może będą mówili, że popełniłam mezalians — niech sobie mówią, nie będę się tym przejmować. Muszę wyjść za mąż, żeby mieć wiele dzieci — dla Tilsit”.

Ginny przestała czytać. Wzrok jej się mącił od zmęczenia i nadmiaru wrażeń. Usiadła trzymając pamiętnik w obu dłoniach. Myślami pobiegła do wystawy ceramiki w Nowym Jorku, zobaczyła portret mężczyzny z bokobrodami i poważnymi, łagodnymi oczyma — mistrza garncarstwa, George'a Martina Tilsita. Notka w Encyklopedii Ceramiki i Porcelany informowała: „Przybrał nazwisko Tilsit w 1865 roku”. Jane poślubiła swojego prostego garncarza i rzeczywiście wyniosła go na drabinie społecznej. Nie było jednak „wiele dzieci — dla Tilsit”. W grę wchodziła tylko jedna córka, Elisabeth, matka Isobel i Johna. Nie pozostawiła w tym domu żadnego śladu, niczego poza kilkoma uroczymi drobiazgami, które zgromadziła w swoim pokoju Vanessa. Z jej dzieci przetrwała tylko Isobel. Jane — „Babcia” w dziennikach Isobel, a „Starsza Pani” we wspomnieniach Brown — przekazała swoje dziedzictwo Isobel. A teraz czekało na nią, na Ginny — coś nie do końca zrozumiałego, nie zdobytego miłością czy pracą.

Jeszcze raz jej ręka powędrowała do górnego rzędu dzienników, do ostatniego tomu z nie zapisanymi kartami. Gdy wsuwała weń swój list do Jima, zdała sobie sprawę, że tymi słowami, zapisanymi nocą, nieświadomie zapoczątkowała swój własny dziennik.

Rozdział drugi

Proszę zrozumieć, nie jestem wykształconą kobietą — powiedziała Brown — ale ciotka panienki uczyła mnie wszystkiego, co wiedziała sama.

Brown szła wraz z Ginny przez podwórzec, rozświetlony jasnym porannym słońcem, nadającym miękkość i ciepłą barwę szarym kamiennym ścianom. Nagły łopot skrzydeł mew nad głową sprawił, że Ginny podniosła wzrok — przez białe i szare chmury przebijało błękitne poranne niebo. Pod łukiem bramy ukazywał się jej sielski zadrzewiony park i płynący w dole strumyk. Ginny uderzył spokój tej scenerii, uczucie, że ten dom, zanim stał się muzeum, był jej domem rodzinnym, a wszelkie rodzinne komplikacje usunęły się w cień. Wyobrażała sobie zaludniony dziedziniec, pełen gości, interesantów i tych, którzy tu żyli — głowa rodu, reszta rodziny, służba i chłopci. Czuła upływ lat — niewinność i wiek dojrzały, wojny, głód, zaraza i śmierć, a także radości nowych narodzin.

— Dlaczego rodzina przybrała nazwisko od posiadłości? To chyba dość niezwykłe — spytała Ginny.

— Odkąd zaczęto prowadzić zapiski, rodzina nazywała się Tilsit. Nikt nie wie, czy pierwszy właściciel użyczył swojego nazwiska miejscu, gdzie zamieszkał, czy też przybrał nazwę posiadłości, bo nie miał własnego nazwiska. Gdyby wchodził w grę tytuł... jakiś znakomity tytuł, myślę, że rodzina zmieniłaby nazwisko. Panienci ciotka mawiała, że Tilsit miał dość mądrości, żeby nie kierować się ambicją. Wiele mil wokoło królowie mieli swoje posiadłości, ale nie próbowali zagarnąć tej ziemi. Dla reszty świata byli tylko miejscowymi władcami. Podczas gdy inni tracili ziemię i głowy, Tilsit uchwycił się, bo jego mieszkańcy byli na tyle przezorni, by nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania. Tak mi to wyjaśniała panna Isobel.

Mówiąc to Brown otwierała zewnętrzne drzwi prowadzące do starego skrzydła południowego, leżącego po przeciwnej stronie pomieszczeń, gdzie mieszkała rodzina.

— Prowadzę panienkę wejściem dla zwiedzających, w ten sposób odniesie pani to samo wrażenie co turyści. To tutaj — wskazała wyłożony kamiennymi płytami przedpokój — sprzedajemy kolorowe katalogi Kolekcji. Następne pomieszczenie to sklep z pamiątkami, czasem pracuje tu panienka Vanessa. Mamy całą kolekcję porcelanowych drobiazgów związanych z domem. Robią je dla nas w wytwórni porcelany, niektóre są ozdobione herbem, ale ciotka panienki nie przywiązywała do tego wagi. Większość z nich to zwykłe wyroby Tilsit — małe filiżanki do kawy, popielniczki albo noże do sera zapakowane w specjalne pudełka. To niestety, ile ludzie płacą za takie drobiazgi, jeśli wiedzą, że mają związek z posiadłością. Można się zdziwić widząc, jak lekko wydają gwineę na filiżankę ze spodeczkiem.

— Na co idą te pieniądze?

— Wpływają na konto firmy, która zajmuje się utrzymaniem domu otwartego dla turystów... różne naprawy, bieżąca konserwacja i tak dalej. Sprzątaniem zajmuje się specjalna ekipa, nie służba, która pracuje w skrzydle zamieszkanym przez rodzinę. Jest tu wielu pracowników, którzy czyszczą i odkurzają pomieszczenia otwarte dla publiczności. Nie robię tego ani ja, ani Garth. Za to ja jedna mam klucze do Galerii Porcelany. Odkurzam i myję ekspozyty. Ciotka panienki nauczyła mnie tego dawno temu.

Pośrodku sklepu z pamiątkami nagle stanęła i zademonstrowała Ginny ręce z rozcapierzonymi palcami.

— Widzi panienka, muszę dbać o miękką skórę i ćwiczyć palce, żebym nie straciła sprawności.

Brown, odziana w długą workową suknię, grube bawełniane pończochy i kwiecisty fartuch, wyglądała pospolicie, kosmyki prostych siwych włosów wymykały się z koka, ale na chudej twarzy malował się wyraz takiego uniesienia, że przeobrażał ją i rozświetlał, czyniąc prawie ładną.

— Lubisz Kolekcję, prawda, Brown?

— Tak, panienko. Z początku nie rozumiałam tego. Wydawało mi się, że te porcelanowe cacka są zaledwie ładne, ale już dawno temu panienki ciotka nauczyła mnie, jak się je wyrabia. Musiałam wiele razy zaglądać do wytwórni, żeby zrozumieć, jak trudno jest uzyskać odpowiedni kolor i dlaczego zabiera to tak wiele czasu. Gdy zrozumiałam to, zakochałam się w porcelanie. Oczywiście, Kolekcja nie ma wiele wspólnego z Tilsit — mamy tu zbiory z różnych krajów i różnych okresów. Są też takie wyroby, których już nigdy więcej nie da się odtworzyć. Dlatego proces wytwarzania ceramiki był dla mnie taki ważny — rozumiałam, że część wiedzy, jaką dysponowali dawni wytwórcy, przepadła na zawsze. Tutaj — wskazała pamiątki — jest tylko porcelana z Tilsit. Nie warto pokazywać tu innych produktów.

— Chyba tak — powiedziała z uśmiechem Ginny. — Po co je reklamować.

Ujęła talerz o takim samym wzorze, jaki był na zastawie używanej do rodzinnych posiłków. Obok stała filiżanka, taka sama jak ta, w której Garth podawał jej herbatę podczas pierwszej nocy w Tilsit.

— To Rose Imperial. Wymyślił go sam George Martin Tilsit, mąż Starszej Pani. To jeden z jej ulubionych wzorów. A to wzór z dzwoneczkami — dodała, widząc, że Ginny pochyliła się nad talerzykiem, takim jaki jej ojciec rozstrzaskał w salonie w Oranje Huis. — Najbardziej jej go lubię. Jest taki prosty i piękny. Wymyślono go w czasie, gdy John... — przerwała. — A tu mamy zupełnie nowe wzory i kształty. Nie są w moim guście — zbyt prymitywne, a niektóre wręcz paskudne. Ale może nie jestem dostatecznie nowoczesna.

— Czy to Mark... pan Barstow... je stworzył?

— On — odpowiedziała niechętnie. — Niektóre zdobyły nawet nagrody, chociaż ja nie widzę w nich niczego ciekawego. Są takie powykręcane i brzydkie.

— Ciotka tak nie uważała. Bardzo na nim polegała.

— Właśnie, ale żyła dość długo, żeby pożałować, że przedtem nie wiedziała, jakim był wstrętnym draniem. Ale jeśli Bóg był litościwy, nie cierpiała długo.

Ginny odstawiła biały dzbanuszek do kawy, którego profil właśnie podziwiała.

— Ty także należysz do ludzi, którzy twierdzą, że Mark wiedział o jej upadku i ataku serca... i nie udzielił pomocy?

Brown nie odwróciła wzroku.

— Skąd mogę wiedzieć, co tam zaszło? Nie było mnie tam. Wiem tylko, że byłby w stanie to zrobić.

— Jesteś pewna?

— Tak jak wszystkiego co wiem. On zawsze był taki. Dzięki rozhukane chłopaczysko, które sprowadziła do Tilsit. Był okropnie źle wychowany. Nikt z nas go nie lubił, za to ona upierała się, że na pewno się poprawi.

— To chyba niesprawiedliwe. Nikt go przedtem nie wychowywał... dlaczego miałyby być grzeczny i uprzejmy? Inaczej nie potrafił.

— Nie o to mi chodzi. Nauczył się dobrych manier, bo mu się przydawały. Proszę nie zapominać, że jego matka nie była prostaczką. Nie podoba mi się w nim coś innego. Zawsze miał zręczne ręce, mógł zrobić i naprawić niemal wszystko. Za to był zły dla ludzi, nawet dla zwierząt i roślin. Nie potrafił obchodzić się z żyjącymi istotami. W ciągu dwóch lat pani Isobel podarowała mu chyba ze trzy psy — wszystkie albo uciekły, albo zdechły. Konia pani Isobel zajeździł na śmierć. Wydzieliła mu półko w ogrodzie warzywnym — tylko dla niego. Myśli panienka, że coś tam wyhodował? Powiadam, wszystko, czego się tknął, umierało. Taką ma złą i pokrętną naturę — tak było w dzieciństwie i tak jest do dziś. Podobnie jak te wstrętne dziwactwa, które lepi, i te powykrzywiane blachy i druty, które nazywa rzeźbami. Wystarczy tylko na nie spojrzeć, by przekonać się, jaki jest. Zły do szpiku...

— Nie, Brown! — słowa wyrwały się jej same. Chciała wykrzyknąć, że to wszystko uprzedzenia i ignorancja, podejrzenia ciasnego umysłu, znającego

tylko pojęcie lojalności. Oczy kobiety zabłyśły, dłonie zaciskały się konwulsyjnie.

— Szkodnik! Oto kim jest — niszczy wszystko, czego się dotknie. Poza tym, co zatrzymuje na własny użytek. To egoista, który dba tylko o siebie.

— Nie można go za to tak potępiać. Wielu ludzi tak postępuje.

— Ale nie do tego stopnia. Dostawał od niej tyle, aż nabrał przekonania, że mu się to należy. Jestem pewna, że kiedy poszła do niego tamtej nocy, chciała mu coś odebrać. A on nie mógł nawet znieść myśli o tym. I dlatego... pozwolił jej umrzeć.

— Mówiłaś o tym komuś? Czy to prawda, czy tak ci się wydaje?

— Czemu miałabym o tym komukolwiek mówić? — spytała Brown obrażonym tonem. Jej pełna szacunku postawa zniknęła, przesłonięta zdenerwowaniem. — Myśli panienska, że mogłabym wywołać w Tilsit skandal? Wiedziałam, że panienska tu przyjeżdża i nie chciałam przyczynić kłopotów — i tak panienska będzie ich miała dość. Dlatego nic nie powiedziałam... zresztą i tak nie miałam dowodów. Tego dnia w wytwórni bardzo się pokłócili, a on strasznie na nią nalatywał, jak to miał w zwyczaju. Wieczorem ona poszła do domku na urwisku dokończyć tego, co chciała mu powiedzieć. Lekceważył swoje obowiązki w wytwórni, interesowało go tylko to, co sam robił, te jego dziwaczne, grzeszne figury. Isobel chciała zabronić mu takiego postępowania. Mogła zabrać mu wszystko — domek, warsztat, nawet pracę.

— To nie miało znaczenia. Mark mógłby dostać zajęcie w każdym zakładzie w Anglii. Dobrze o tym wiesz!

— To akurat może być prawdą, ale co to za praca? Chyba panienska nie myśli, że mógłby sobie pójść i dostać gdzie indziej to, co miał w Tilsit. Ktoś o jego charakterze i wymaganiach! Nawet gdyby miał największy talent w świecie, nie dostałby tego co tu. Tu nikt nie ośmieli się mu sprzeciwić. Pani Isobel wręcz postawiła go na piedestale. Czy mógłby gdzie indziej mieć to wszystko? Bez pieniędzy, rodziny i koneksji? Pewnie sobie kalkulował, że lepiej będzie, jeśli Vanessa przejmie stery, tak jak się tego wszyscy spodziewali. Mógł pozwolić, żeby panna Isobel umarła, w każdym razie było go na to stać — powtórzyła uparcie.

— Ale nie ma na to dowodów.

— Dowodów nie. Tylko słowa kobiety, która opiekowała się nim, odkąd Isobel sprowadziła go tutaj i która poznała go na wskroś.

— Masz prawo wierzyć w co chcesz, ale nie powinnaś tego rozpowiadać. — Stojąc na uboczu, ukryta przed wzrokiem Brown, Ginny kurczowo ścisnęła wyświetlacz kasy elektronicznej, modląc się, by mogła zachować spokój i wysłuchać, co Brown ma do powiedzenia, w nadziei, że potrafi zważyć podejrzenia kiełkujące w jej umyśle. — Dlaczego mi to mówisz, Brown? Wiesz, że nie powinno się mówić o czymś, co nie zostało dowiedzione.

— Dlatego, że chcę, żeby panienska była bezpieczna! Dlatego! Dom, wytwórnia, wszystko jest teraz na barkach panienski. Musi się panienska zmierzyć z Markiem Barstowem i całym złem, jakie uczynił. Musiałam panienkę ostrzec.

— W porządku. — Własny głos wydał się Ginny obcy, brzmiał dziwnie, jak głos Isobel tamtego dnia w Santa Maria. — Powiedzmy, że mnie ostrzegłaś. — Stała prosto, nie musiała się już podtrzymywać. Nie mogła dalej spierać się o Marka, występować w jego obronie, bo czuła, że straciłaby panowanie nad sobą. Stał się dla niej, od chwili, gdy go ujrzała kilkanaście godzin temu, zbyt drogi, by wydawać go na pastwę oskarżeń tej kobiety. Ta nowa miłość była jeszcze zbyt krucha, by przetrwać taką próbę. Odezwała się do Brown: — Myślę, że już czas na obejrzenie Kolekcji.

— Kolekcję zapoczątkowała Jane Tilsit około 1870 roku — zaczęła Brown, jednocześnie otwierając drzwi w głębi sklepu z pamiątkami. W jej głosie znów rozbrzmiewał zwykły, uniżony ton. Recytowała z zaśpiewem, jakby powtarzając wielokrotnie wyuczoną lekcję. — Reprezentuje prawie wszystkie wyroby sztuki ceramicznej, sięgające attyckich znalezisk archeologicznych z piątego wieku, wielkiej Dynastii Ming w Chinach, a także miękkich i twardych mas ceramicznych wyrabianych w Europie. Są tu również wzorcowe przykłady prac ceramików angielskich osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Kolekcję uważa się za jeden z najcenniejszych prywatnych zbiorów w Europie i Anglii.

Ginny przerwała tę wyliczankę.

— Kto właściwie zapoczątkował kolekcję? Jane, czy może George Martin?

— Zapomina panienska, że to Starsza Pani miała pieniądze. Nie twierdzą, że George Martin nie pomagał jej i nie doradzał, ale wszystkie eksponaty kupowała ona. Oczywiście, wtedy można było stworzyć kolekcję za znacznie mniejsze pieniądze. Tutaj — dodała otwierając podwójne drzwi — w tych podziemiach mieściły się kiedyś stare kuchnie Tilsit. Gdy kolekcja bardzo się rozrosła, Jane Tilsit przeniosła ją właśnie tutaj.

Długie pomieszczenie przed nimi było oddzielnym skrzydłem, z oknami po obu stronach i podłogą z klepek wypolerowaną do połysku. Odbijały się w niej szklane gabloty rozstawione pod ścianami, a także podwójnym szeregiem na środku pomieszczenia. Słońce wpadało przez południowe okna, grając barwami na lśniąącym szkle, odbijając się tęczo w rozstawionych eksponatach. Barwy komponowały się w jedno wielkie malowidło lub epicki poemat, ciągnący się od zarania cywilizacji.

— Jak panienska widzi, nie jest to bardzo wielka kolekcja. Starsza Pani latami pozbywała się wszystkich eksponatów, które nie miały większej wartości. To, co panienska widzi, to same rarytasy. Te nowoczesne gabloty kazała wykonać pani Isobel, kiedy postanowiła udostępnić zbiory zwiedzającym. Są podświetlone z boku i z góry, żeby wydobyć wszystkie zalety porcelany, nawet w pochmurne dni.

Ginny przebiegała wzrokiem od jednej do drugiej gabloty, zatrzymując się na wyrobach, które pamiętała z wystawy w Nowym Jorku — czerwone

i czarne wazy, słynne błękitne dzbany z motywami głogu, niezwykle czworokątne wazy *famille noire*, ptaki i kwiaty na porcelanie z Chelsea i jedyne w swoim rodzaju czarne wyroby z Wedgwood. Tyle mogła zauważyć na pierwszy rzut oka. Spojrzała na Brown pytająco.

— Każdy z tych eksponatów byłby ozdobą dowolnego muzeum na świecie. Niestety, koszty ubezpieczenia i ochrony bardzo wzrosły. Reklamujemy Kolekcję przy okazji sprzedaży wyrobów Tilsit. Utrzymujemy ją między innymi ze sprzedaży katalogów i wpływów z biletów wstępu. Chcemy, żeby pozostała w Tilsit nietknięta.

— Czy w kolekcji znajdują się także eksponaty Tilsit?

— Tutaj, w ostatniej gablocie. Umieściliśmy je z sentymentu. George Martin Tilsit był dobrym ceramikami i doskonale znał się na technologii. Ale nie zajął poczesnego miejsca między wielkimi ceramikami angielskimi. Nie był dostatecznie dobry, aby nawet z powodów sentymentalnych umieszczać jego dzieła pośród innych, znajdujących się w tym pomieszczeniu. Ale to on zainspirował Kolekcję, dlatego postanowiono, żeby znalazły się tu jego własne dzieła.

— Podobają mi się. Może wystawa traci przez to trochę z muzealnej powagi i przypomina rodzinny kredens z porcelaną, ale to dobrze.

— Otóż to, panienko. Tak właśnie mawiała pani Isobel. Ale niech panienka nie sądzi, że kolekcja jest przez to mniej wartościowa — to wspaniały zbiór. Pani Isobel dostawała oferty kupna z całego świata na poszczególne egzemplarze, a kilka nowych muzeów amerykańskich chciało kupić zbiór w całości. Ale to jest część Tilsit i powinien tu pozostać. Pani Isobel mawiała, że to skarb i brzemię jednocześnie. I pomyśleć — dodała wyraźnie wściekła, aż klucze zabręczały jej w rękę — pomyśleć, że opiekę nad kolekcją przekazała w testamencie Markowi Barstow. Zrobiła go kustoszem Kolekcji — takiego dzikusa!

2

Głos, na który Ginny czekała cały ranek i przez porę lunchu, w końcu usłyszała po południu. Podniosła głowę znad papierów rozrzuconych po biurku Isobel. Dobiegł ją głos przemawiający do Gartha — kategorię i pełen wigoru. Następnie usłyszała słowa: „...trzymaj ich z daleka. Nie przyniosą nam nic dobrego”. Przyciszony baryton Gartha nie pozwolił zrozumieć odpowiedzi.

Drzwi pokoiku biurowego otworzyły się i stanął w nich Mark. Był ubrany schludniej niż wczoraj — miał krawat i tweedową marynarkę, ale buty zabłocone, a włosy zmierzwione. Bez dalszych wstępów, jakby niepomny, że wczoraj zostawił ją samą przy warowni, uśmiechnął się i powiedział po prostu: — Ruszaj się, dziewczyno. Wkładaj płaszcz. Zabieram cię do wytwórni porcelany.

Ginny milczała. Policzki jej spąsowiwały. Prawie minutę patrzyli na siebie bez słowa. Mark potrząsnął powoli głową i jego twarz przybrała wyraz naiwnej skruchy.

— No dobrze, widzę, że nie uda mi się wykręcić. Powiniem cię przeprosić od razu. — Wszedł do pokoju i zatrzęsął za sobą drzwi. — Wczoraj naprawdę brzydko się zachowałem. Od razu zacząłem tego żałować. Czasem zachowuje się dość porywczo i potem nie wiem co zrobić. Kiedy wróciłem do domku, zastanawiałem się, czy w końcu zdobyłem w Tilsit przyjaciela. Wierzyłem, że zrozumiesz, o co mi chodziło, że nie rozmawialiśmy przez szklaną ścianę. To było dla mnie bardzo ważne odkrycie, prawie straciłem głowę. A ty nagle zaczęłaś gadać o jakimś kundlu, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Ja przestałem się liczyć. Zdawało mi się, że jesteś taka sama jak oni i że straciłem z tobą kontakt. Czułem się okropnie...

— Oboje się zagubiliśmy — odpowiedziała Ginny. — Nie wiedziałam, dlaczego. — Wstała. — Żebyś wiedział, że byłam gotowa ci darować. To i znacznie więcej, gdybyś tylko tu wszedł i uwolnił mnie od tego... — Wskazała na rozrzucone papiery, na sekretarzyk pod ścianą, którego otwarta kłapa ukazywała półki zawalone kopertami i paczki pożółkłego papieru, związane tasiemkami.

— Po to ci byłem potrzebny, żeby uwolnić cię od szpargałów Isobel? — zapytał oskarżycielsko.

— Nie tylko po to... i dobrze o tym wiesz!

— To już lepiej. — Twarz mu się rozjaśniła. Kiwnął głową w kierunku puchnącego od dokumentów sekretarzyka. — Radzę ci to wszystko po prostu podpalić. Po co ci to?

— To są sprawozdania finansowe wytwórni. Sęk w tym, że nie potrafie się w nich połapać. Isobel i Jane Tilsit musiały mieć swój własny system księgowania. Nie wiem, gdzie jest koniec ani początek. Szukam sprawozdań finansowych, a znajduję rachunki za pranie i rekultywację trawników.

Cmoknął z obrzydzeniem.

— Wytwórnia ma swój własny dział finansów. Prowadzony jest jak każdy inny wydział, chociaż ściśle kontrolowany. Ale Isobel musiała zachowywać dla siebie każdą, choćby nieważną informację, robiła kopie każdej najmniejszej transakcji i przynosiła wszystko do domu. Bóg raczy wiedzieć, po co.

— Mogłyby się przydać, gdybym potrafiła je rozgryźć. — Ginny obeszała biurko i zbliżyła się do Marka.

— Randall może się tym zająć. Na miłość boską, Ginny, nie daj się wciągnąć w jej sprawy. Ona zbierała wszystko, papierzyska dosłownie ją zalewały.

Zrównała się z nim, a on ujął ją pod brodę i uniósł twarz w górę, tak że mógł spojrzeć jej prosto w oczy.

— Zasypią cię te niepotrzebne papierzyska. Nie mogę na to pozwolić. Jesteś dla mnie zbyt cenna, żeby tak się stało. — Nie puszczał jej, wpatrując

się w nią przenikliwym wzrokiem. — Masz dobrą twarz dla rzeźbiarza, oczywiście dla rzeźbiarza w starym stylu, takiego, którego dzieła można zrozumieć. Ja nie potrafię tak rzeźbić. Gdybym chciał cię sportretować, wydobylbym uczucia, które widzę w tobie — zmieszanie, oszołomienie, niepewność. Resztę dodałbym od siebie. Spojrzałaśbyś na tę twarz i pomyślała: „Czy on tak mnie widzi? Taką wstrętną maskę?” Ale to nie byłoby prawdą. Chciałbym po prostu powiedzieć: ciesz się, że przybyłaś, Ginny.

Samochód Marka był nowy i kosztowny, i jak na swój wiek niezwykle sfatygowany i zapuszczony. Tylne siedzenie zavalone było papierami, książkami, narzędziami, których przeznaczenia Ginny nie potrafiła się nawet domyśleć. Leżały tam także dwa jabłka i spory kawał brązu.

— Nie mam czasu ani chęci cackać się z maszyną — powiedział, zauważywszy, że przygląda się bałaganowi i zabłoconej tapicerce. — To tylko użytkowy przedmiot i niech mnie diabli, jeśli dostanie ode mnie coś więcej, poza wlewaniem paliwa. Ma tylko jeździć i kropka.

Samochód pomknął podjazdem i wpadł na most z nieprzyjemnym tapnięciem.

— Rozumiem — zamruczała Ginny — nie wiem tylko, jak most to wytrzyma.

— Tylko bez sarkazmu, moja panno — zaśmiał się głośno Mark. Jego dobry humor był równie zaraźliwy jak wczorajszy ponury nastrój. Ginny poddała się temu ulegle, z pokorą i wdzięcznością. Teraz, gdy znów czuła magnetyzm jego obecności, z łatwością mogła odrzucić wątpliwości, spowodowane niejasnymi ostrzeżeniami Vanessy i przekonaniem Brown, że naprawdę mógł pozostawić Isobel na pastwę losu. Żywotność Marka usunęła z umysłu Ginny wszelkie podejrzenia, że mógł on być zdolny do zadania śmierci. Tego dnia w Marku nie można było doszukać się śladu zła. W inne dni także, przekonywała samą siebie. Po prostu kipiał radością. Złapała się na tym, że śmieje się razem z nim — właściwie bez powodu. Samochód przemknął pod łukowatą bramą i wypadł na drogę bez zwalniania. W ostatniej chwili Mark skręcił, by ominąć czyjś wóz zaparkowany przy żywopłocie. Nacisnął zdecydowanie klakson i obejrzał się.

— Co za idiota, żeby parkować w takim miejscu! To ten cholerny dziennikarz, którego pogoniłem pół godziny temu. Nie odjechał zbyt daleko.

— Jaki dziennikarz?

— Nie bardzo wiem. Z jakiejś londyńskiej gazety. Zachowywał się tak, jakbym powinien znać jego nazwisko.

— Czego chciał?

— A czego chcą tacy jak on? Oczywiście wywiadu z tobą. Odnaleziona dziedziczka i tym podobne brednie. — Spojrzał na nią z ukosa. — Chyba nie chcesz powiedzieć, że udzieliłabyś mu wywiadu? Powinnaś wiedzieć, że prasa brukowa w tym kraju jest najgorsza na świecie. Oczerniliby własną matkę, gdyby przyniosło im to korzyść...

— Ale Tilsit przydałoby się trochę reklamy — powiedziała, drażniąc się z nim.

Połknął przynętę z zazdrosną opiekuńczością, która sprawiła jej przyjemność.

— Ale nie takiej reklamy! Trzymaj się od nich z daleka, rozumiesz? Parszywa banda łgarzy!

— A są jacyś inni?

— Już Garth się nimi zajął.

Wyprostowała się i półuśmiech zniknął z jej twarzy.

— Powinien mnie o tym uprzedzić, a nie decydować o tym na własną rękę.

— W tym akurat miał rację, nie warto wystawiać się na wypytywania pismaków. Zresztą ten był wyjątkowo wrednym egzemplarzem — gnojek węszący sensację. Kazałem mu zabierać się w diabły i przypomniałem, że dzisiaj dom jest zamknięty dla zwiedzających. Koniecznie chciał się dowiedzieć, kim jestem. Skorzystałem z tej wymyślnej funkcji, którą obdarzyła mnie Isobel i powiedziałem, że jestem kuratorem Kolekcji Tilsit. Nie wydawał się zbyt przekonany i nie zrobiło to na nim specjalnego wrażenia. Ale się wyniósł.

— Zawsze jesteś taki, Mark?

— Jaki?

— Śmiejesz się i złościsz na przemian. Nienawidzisz i... kochasz?

Wzruszył ramionami, jak gdyby nie brał pytania poważnie.

— Nie zastanawiam się zbyttnio, kim jestem. Szkoda mi na to czasu, wiem tylko... — Spojrzał na nią, odwracając od drogi wzrok na niebezpiecznie długi czas. — Wiem tylko, że dzisiaj świeci słońce, a ja czuję się — jak to ujęłaś? — radosny i zakochany. Śmieję się i może kocham. Tak to odczuwam dzisiaj. I nie chcę, żeby się to zmieniło.

Skinęła głową bez słowa, ukrywając radość.

Jechali w milczeniu zielonym, zalany słońcem krajem, ścieżkami, które na prowincji noszą dumną nazwę dróg, mijając pagórki, otoczone wysokimi żywopłotami pola, stłoczone domki wiejskie, czerwone budki telefoniczne i puby z jaskrawo wymalowanymi godłami; a także ogrody z dziećmi śpiącymi w wysokich wózkach i świeżo pomalowane skrzynki na listy. Odcinki swobodnej drogi były rzadkie — wioski ciągnęły się jedna za drugą prawie nieprzerwanym ciągiem. Ginny miała wrażenie, że widzi wszystko w zmniejszeniu, jakby spoglądała z odwrotnej strony lornetki. Wioski były zadbane i czyste — trudno było zauważyć, że istnieją od setek lat. To mogło wykryć jedynie wprawne oko. Ginny przypomniały się miniaturowe obrazy uwiecznione ręką artysty na wazach *famille noire*, piękno skrywające niezmierną cierpliwość i czas.

— Brown pokazała mi dzisiaj Kolekcję — powiedziała.

— Co o niej sądzisz?

Potrząsnęła głową.

— Zbyt mało się na tym znam, żeby osądzać. Oczywiście, jest bardzo

piękna. Każdy to przyzna. Ale mam wrażenie, że wiele mi umknęło. Brown robiła, co mogła, a jest w tym dobra. Ale ja nie zobaczyłam nawet większości szczegółów.

— Tak, Brown jest dobra na swój sposób. Umie sprawić, że to, co widzisz, wydaje się piękne. Nie pogardzaj tym, czego cię chce nauczyć. Jednak jej wiedza ma swoje granice; ona po prostu zanadto kocha tę kolekcję. Poproś kiedyś Vanesę, żeby cię oprowadziła. Pokaże ci coś zupełnie innego — ona ma bardzo doświadczone oko. Spójrz na wszystko po swojemu; po jakimś czasie będziesz potrafiła odbierać sama różne wrażenia. Potem możesz sięgnąć po książki i wiele się nauczyć. Isobel ma niezłą bibliotekę o wyrobie ceramiki... chociaż wiele z tych książek jest teraz w moim domu. Po jakimś czasie zechcesz poznać inną porcelanę, taką jaką jest w muzeum Alberta i Wiktorii i w podobnych miejscach.

— Na pewno.

— To początek długiej drogi, Ginny. Żeby stać się znawcą, trzeba nieraz całego życia, a ty musisz być czymś więcej niż tylko znawczynią. Jest wiele ludzi, którzy podczas przechadzki galerią oceniają dokładnie, jaką wartość osiągnąłby każdy eksponat na aukcji w Sotheby's. Ale to nie wszystko. Z czasem albo pokochasz porcelanę, albo stanie się ona dla ciebie nieznośnym ciężarem. Bez miłości będziesz tylko w stanie ocenić jej wartość na aukcji.

Przy drodze pojawiło się miasteczko, większe niż wioski, które do tej pory mijali. Ceglane domy z tarasami zwrócone frontem ku drodze. Nie było tu tyle zieleni.

— Tu urodził się George Martin. Tu albo w Torrington — to kilka farm na skraju St. Mary. Teraz należą już do miasteczka. Zatrudniał miejscowych ludzi, z których wielu pracuje teraz w Tilsit, a niektórzy znaleźli pracę w fabryce butów wybudowanej po wojnie.

— Zawsze myślałam — powiedziała Ginny — że wszystkie wytwórnie ceramiki skupiły się w kraju Arnolda Bennetta.

— To dlatego, że mamy tu kopalnie węgla. Glinka kaolinowa pochodzi z Konwalii, z Dorset albo z Devon. Tutaj zawsze były małe manufaktury wyrabiające ceramikę z miejscowej glinki. Węgiel przywożono morzem do Poole. Tu właśnie George Martin uczył się swojego fachu. Potem był czeladnikiem w Wedgwood, a jeszcze później wrócił w swoje strony i kilka lat eksperymentował z miejscowymi rodzajami glinki. Na polu jego ojca było niewielkie wyrobisko. Jest już wyeksploatowane, ale wciąż istnieje. Martin w końcu dopracował się odpowiedniego składu glinki, z którego dało się wypalić porcelanę, bardzo mocną, ale wyglądającą delikatnie. Działo się to w czasach, gdy klasa średnia wzbogaciła się i powstało zapotrzebowanie na wymyślne przedmioty. Produkował je milionami — wielkie ozdobne półmiski, dzbanki i donice. Większość z nich jest dość szkaradna i pretensjonalna, ale w epoce wiktoriańskiej podobały się i Tilsit zrobił majątek. Obejrzyj własną kolekcję Tilsit w wytwórni — jest tak okropna, że się przestraszysz. Ale stary

Lawrence nie chce słyszeć o ukryciu jej gdzieś w ciemnym miejscu. Myślę, że jest nawet dumny z tych okropieństw.

— Dlaczego George Martin — Ginny świadomie opuściła drugi człon jego nazwiska, bo tak robił Mark — dlaczego je produkował? Przecież miał dość gustu, żeby założyć Kolekcję.

— Nie rozumiesz. Wytwórnia Tilsit przynosiła pieniądze. Kolekcja była jego pasją. Geniusz George'a Martina objawił się w produkcji przeładowanych ozdobami waz do zup, będących przedmiotem pożądania ówczesnych ludzi, i w sprzedawaniu ich po niskich cenach. Wytwórnia prosperowała, ale nie znaczyło to, że dla niej biło jego serce. Myślę, że wiedział, że jego wyroby były okropne, nawet kiedy sam wymyślał wzory — ale bez nich nie byłoby Kolekcji, która równoważyła tamtą brzydotę. Nie wiem, jak się czuł. Tego nikt nie wie. George Martin był bardzo cichym i spokojnym człowiekiem. Może nawet pruderyjnym. Nie zostawił po sobie żadnych zapisków.

— Skąd wiesz, że nie zostawił? Skąd wiadomo, że nie tkwią gdzieś ukryte między szparkami w biurku Isobel?

— Więc zostaną nie odkryte — powiedział Mark beztróska — nikt nie ma dość siły, żeby się przez to przekopać. To najlepsza kryjówka, jaką można sobie wymarzyć.

— Ale Jane... — Ginny chciała powiedzieć o pamiętnikach, ale jakiś impuls sprawił, że nie dokończyła. Nagle zdała sobie sprawę, że nie powinna o nich mówić. Nikt nie ustalił, czy te książki weszły w skład spadku, także Isobel nie dała żadnych wskazówek, co z nimi począć. Zawarte w nich wynurzenia powodowały, że należało je zachować w tajemnicy. Ten, kto odziedziczył ten pokój, biurko i klucz, odziedziczył również wspomnienia, myśli i uczucia tych dwóch kobiet, które przelały swoje życie na papier. Gdy sama postanowiła przelać swoje uczucia do Jima na papier, zrobiła to piórem i słowami, których Jane Tilsit użyła sto lat temu. Nałożyło to na nią obowiązek pilnowania ich, tak jak strzegłaby własnych słów. Nawet Markowi, którego kochała i pożądała, nie mogła ich zawierzyć. Po raz pierwszy dopuściła się zdrady wobec własnej miłości.

— Wielki Boże! — burknął Mark, parkując samochód przed długim parterowym budynkiem z cegły, z wielkim napisem „Zakłady Ceramiki Tilsit” wymalowanym na froncie. Miałem nadzieję, że przekradniemy się bez wiedzy Lawrence'a. Ale to nigdy się nie udaje. Ma biurko w jednym z frontowych pokoi i nic nie ujdzie jego uwagi.

Pokiwał w kierunku jednego z okien w pobliżu głównego wejścia, skąd Lawrence machał do nich zapalczywie. Gdy Ginny wysiadała, był już na parkingu, nie dając im szans ucieczki.

— Virginia! Cieszę się, że przyjechałaś. Telefonowałem do domu, ale Garth nie miał pojęcia, gdzie zniknęłaś. Właśnie chciałem ci zaproponować, żebyśmy się umówili na obejrzenie zakładu jutro rano.

— Za to jest tu teraz — odpowiedział za nią Mark. — Tak jest chyba lepiej.

— Oczywiście... chociaż wolałbym poinformować szefów poszczególnych wydziałów, żeby zademonstrowali Ginny jakieś szczególnie ciekawe produkty. Tak sobie pomyślałam...

— Za kogo ją bierzesz, za księżniczkę Małgorzatę? To przecież jej własność. Będzie tu przychodzić każdego dnia do końca życia. Chcesz zrobić z tego wizytę głowy państwa? — Ze złością trzasnął drzwiczkami samochodu. — W takim razie, Ginny, wracajmy do domu, żeby się przebrać. Białe rękawiczki i cała reszta.

— Wolnego, Barstow! Nie masz powodu mówić tym tonem! Wysunąłem tylko sugestię...

Mark się odwrócił i spojrzał mu w twarz.

— Rzygać mi się chce. Za kogo bierzesz tych ludzi — za chłopów pańszczyźnianych? To po prostu rzemieślnicy — wszyscy, co do jednego. Przychodzą i wychodzą z pracy, jak zwykle. Nie ma niczego takiego w ich pracy, czego Ginny nie rozumiałaby i nie doceniła. Nie da się też nauczyć jej wszystkiego w jeden dzień. Ona przybywa tu jako uczennica i nie potrzebuje fanfar. Jeśli ma rozum, pozostanie uczennicą dość długo, albo Tilsit szybko straci na znaczeniu. Jeśli ci się wydaje, że ludzie powstaną i będą wiwatować z flagami, bo przybył nowy właściciel, to jesteś w błędzie. Te czasy minęły — czy ci się to podoba, czy nie. Wiem, co myślą tutejsi ludzie i jak myślą. Nie zapominaj, że jestem jednym z nich, Bowen!

— Możesz być pewien, że nigdy tego nie zapomnę — odszczeknął Lawrence. — Jesteś taki...

— Dość! Powiedziałam — dosyć!

O baj odwrócili się jak na komendę, zaskoczeni. Ginny zdała sobie sprawę, że nie myśli o Marku ani Lawrence'ie jak o mężczyznach i o swoim stosunku do każdego z nich, a nawet nie o tym, który z nich ma rację. Widziała tylko rozgrywającą się przed jej oczami scenę, obserwowaną przez zafascynowanych widzów, którzy w liczbie około tuzina pojawili się w oknach wychodzących na parking. Zdawała sobie sprawę, że to niedopuszczalne. W Tilsit — była tego pewna — nigdy nie prano brudów publicznie. Nie wolno na to pozwolić, zwłaszcza teraz, gdy śmierć Isobel była tak świeżym wspomnieniem. W tej sytuacji należało zachować pozory zgody. I to było zadaniem Ginny, do niej należało wyegzekwowanie.

— Obejrzę zakład dzisiaj — powiedziała spokojnie, lecz stanowczo. — Mark mi to zaproponował i chętnie skorzystam z jego oferty. Chciałabym też, Lawrence, żebyś z nami poszedł, o ile czas ci na to pozwala.

Gapili się na nią przez chwilę w ciszy — wiedziała, że uprzejmy ton w jej głosie ich nie zwiódł. Wyraziła swoją wolę. Teraz także oni spostrzegli twarze przyklepione do okien.

Skinęła w kierunku wejścia i ruszyła, wiedząc, że pójda za nią. Czy to jest główne wejście? Chciałaby poznać najpierw personel biura.

Nie odwróciła się, by sprawdzić, czy idą za nią. Słyszała za sobą ich kroki.

Popołudnie trwało bardzo długo. Ginny wręcz fizycznie odczuwała ciężar wrogości między Markiem a Lawrence'em podczas długiej wędrówki po zakładzie, zaś oni, zakładając, że trzeba przyjąć odpowiedzialność przed wszystkimi pracownikami, złożyli ją na jej barki.

Ginny tak długo prezentowała przylepiony do twarzy uśmiech, aż ją rozboleły policzki. Wszystko zaczęło się od herbatki z trzema najstarszymi urzędnikami biura — dwoma mężczyznami z działu księgowości i panną Phillotson, prowadzącą wzorcownię. Rozmowę prowadziła właściwie sama Ginny, czując ich wzrok, studiujący skrupulatnie każdy szczegół jej osoby. Czasem tylko zapominali się, gdy rozmowa schodziła na temat Isobel. — Panna Isobel mówiła... — albo: — Pamiętam, jak panna Isobel poleciła nam... — i tak dalej. Czuła na sobie ciężar ich spojrzeń — pełnych nadziei, zamyślenia, nawet obawy, ale rozumiejących, że nadchodzą zmiany. Miała nadzieję, że wypadnie przekonująco, ale zdała sobie sprawę, że to prawie niemożliwe ze względu na jej młodość, brak doświadczenia, a przede wszystkim bezdyskusyjny fakt, że w zakładzie pojawiła się po raz pierwszy. Ciążąca obecność Marka i Lawrence'a nie ułatwiała jej zadania.

Ale to Mark pierwszy przełamał napięcie. Kiedy poszli oglądać wzory, brali do ręki kubki i filiżanki, mając Lawrence'a kilka metrów za sobą. Mark znalazł się w swoim żywiole. Wciągnął pannę Phillotson do dyskusji o zaletach i wartości handlowej niektórych wyrobów, żartował z nią niewymuszenie i zwracał się do Lawrence'a w sposób, który świadczył, że przynależy do rodziny. Zachowywał się przy tym tak naturalnie... Ginny wiedziała, że z panną Phillotson rozmawiał zawsze tak samo jak wszyscy inni przedstawiciele rodziny Tilsit teraz i w przyszłości. Gdy skończyli oglądać umieszczone koliczki gabloty z wyrobami, skierowali się w stronę wyjścia. Mark pożegnał się z panną Phillotson bezceremonialnym klepinięciem w plecy obleczone grubo tkanym tweedem.

— Nauczmy ją, czego trzeba, prawda, Phillotson? Musi wiedzieć, jak to wszystko działa.

Panna Phillotson mrugnęła do niego zza okularów; jej wargi drgnęły w skrywanym uśmiechu.

— Jak długo jest w pana rękach, panie Marku, nie ma się czym martwić.

Lawrence oprowadzał ich po zakładzie w podobny sposób, jak po wzorcowni — szedł z nimi milcząc, z rękami założonymi z tyłu. Stopniowo Ginny przestawała czuć jego obecność, za to Mark zapomniał o niej zupełnie, w miarę jak zapalał się entuzjazmem, który próbował przekazać także Ginny. Ona z kolei nie mogła się pozbyć uczucia, że ciągnie ich obu za sobą. Sprawilo jej ulgę, kiedy przekonała się, że jeśli chodzi o wiedzę dotyczącą zakładu, Mark był nieprześcigniony i że dawno temu Lawrence uczynił z biura swoją fortecę, z której z rzadka wysuwał nos. Szedł z nimi niejako w geście solidarności, którą wymogła siłą i którą zaakceptowali.

— Całość wytwórni przebudowywano dwukrotnie — raz w latach dwudziestych i potem niedługo po wojnie — wyjaśniał Mark, wprowadzając ich

do długiego budynku, przypominającego szopę, jasno oświetlonego, z pomalowanymi na zielono stalowymi dźwigarami; unosiła się tu sterylna woń czystości. — Budowa tego pomieszczenia pochłoneła prawie całą fortunę, którą zgromadził George Martin, jednak muszę oddać Isobel sprawiedliwość, że wiedziała co robi. Po Wedgwood jest to najnowocześniejsza wytwórnia w Anglii, chociaż zajmuje jedną czwartą tego, co Wedgwood. Isobel kopiowała wszystko, co tam mieli — elektryczne piece, napowietrzne linie transportowe — wszystko zautomatyzowane w najwyższym stopniu, w przemyśle, który wymaga ręcznej pracy na wszystkich etapach procesu obróbki. Skopiowała ich proces wytwarzania i nawet próbowała podkupić kilku liczących się pracowników. — Zaśmiał się głośno, nie zwracając uwagi na nieprzychylny grymas Lawrence'a. — W Wedgwood wiedzą wszystko o Isobel Tilsit, ale nie spędza im to snu z powiek — żeby im dorównać, Tilsit musiałby rozrosnąć się czterokrotnie.

— Tutaj — kontynuował — znajduje się pomieszczenie, gdzie dokonuje się rozdrabniania i mielenia. Te maszyny mieszają składniki — glinę, kaolin, skałę i krzemionkę. Wszystko to jest mielone na pył i mieszane z wodą. Następnie odpowiednie ilości wędrują do tego zbiornika, gdzie zostają dokładnie wymieszane. Proporcje zależą od rodzaju wyrobu, jaki chcemy otrzymać — porcelanę czy kamionkę. — Pochylił się i wydobył z worka garść wybielonych kostek. — Spójrz na nie. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że w skład chińskiej porcelany wchodzi również kości, a właściwie popiół z nich. Sekret odkryli w osiemnastym stuleciu angielscy ceramicy. Ten właśnie składnik powoduje, że porcelana jest tak wytrzymała.

Ginny podążyła za nim posłusznie, słuchając objaśnień dotyczących pras filtrujących i młyna do gliny, starając się zapamiętać, co usłyszała, a także nazwiska osób, które jej przedstawiono. Podobnie jak w przypadku panny Phillotson, stosunek Marka do innych pracowników był serdeczny i niewymuszony. Jego akcent z Dorset stał się bardziej wyraźny. Ceramicy pozdrawiali go skinieniem głowy, czasem odpowiadając coś w miejscowym narzeczu, którego Ginny nie mogła zrozumieć. Wydawał się zapominać o jej obecności, gdy przyglądał się uważnie poszczególnym etapom wyrobu — tak pilnie, że Ginny miała wrażenie, jakby widział to po raz pierwszy.

— Te dwie maszyny — zwrócił się w końcu do niej — koło garncarskie do wyrobu talerzy i drugie do filiżanek, są bardzo pomocne w pracy, podobnie jak dozowniki nalewające masę do form, jednak przekonasz się, że praca ręczna ma w dalszym ciągu ogromne znaczenie. Współpracujemy z maszynami, by uzyskać najlepszy efekt. Nigdy nie zapominaj, że masz do czynienia z rzemiosłem, a nie z mechaniczną produkcją — wtedy pojmiesz istotę ceramiki znacznie szybciej i łatwiej.

Opowiadał jej o wszystkich stadiach produkcji. Robił to z dumą i znanstwem, jak gdyby formował glinę własnoręcznie, zwracał się do pracowników po imieniu, sprawdzał ich wyroby, nawet te, które produkowano mechanicznie z formy — do wszystkiego odnosił się jak do dzieł sztuki.

Spędził sporo czasu u formierzy, ale pominął pomieszczenie, gdzie siedzieli ludzie przy kołach garncarskich.

— Tu trzeba przyjść kiedy indziej i na dużo dłużej, nawet na kilka dni. To jest serce zakładu i jego najbardziej kosztowny dział. Wszyscy ci ludzie to artyści i zasługują na coś więcej niż pobieżne spojrzenie.

Jego największą dumą były dwa elektryczne piece do wypalania — długie tunele z ogniotrwałej cegły, przez które przechodziły na szynach taśmociągi z ustawionymi na nich surowymi wyrobami z podeschniętej gliny.

— Wypalanie trwa około siedemdziesięciu godzin — opowiadał — taśmy posuwają się wolno, ale nieprzerwanie. Znacznie łatwiej kontrolować temperaturę w piecach elektrycznych niż w starego typu, opalanych węglem. Kiedy wyrób pojawi się na drugim końcu tunelu, jest wystarczająco ochłodzony, żeby można go było wyjąć z formy. — Uśmiechnął się kwaśno. — Niestety, wtedy jest już za późno, żeby skorygować błędy popełnione w czasie formowania. Kiedy coś przejdzie przez ogień, nigdy nie powróci do pierwotnego stanu surowej gliny. — Wzruszył ramionami i dodał cicho: — Tutaj wyroby nabierają wartości, tak jak ludzie — hartują się.

Poprowadził ją przez pomieszczenie z długimi ławami, gdzie ozdabiano wypalone wyroby. Tutaj potrzebne były kobiece dłonie — do malowania ręcznego, emaliowania, przenoszenia wzorów z papieru na wyrób, malowania aerografem czy nanoszenia szlaczeków.

— Wygląda to tak, Ginny: grawer wycina w miedzianej blasze wzór, który następnie jest przenoszony na bibułkę. Pracownik nanosi wzór na powierzchnię za pomocą twardej szczotki i zmywa bibułkę — tak samo jak w kalkomanii. Wzór pozostaje na naczyniu. Sztuka dekorowania ręcznego jest bardziej złożona. Po nałożeniu wzoru wyrób wędruje do pojemnika z glazurą, a potem znów do pieca, żeby szkliwo nabrało połysku. Kiedy chcemy uzyskać skomplikowany kolorystycznie wzór, musimy wypalać prawie każdy kolor oddzielnie, maskując przy tym inne kolory, żeby nie uległy zmianie. Dlatego bardzo bogate wzory i kolorystyka tak wiele kosztują — trzeba wypalać je pięć, nawet sześć razy. Tak jak ten wzór, Rose Imperial, który produkujemy.

Stali dłuższy czas, obserwując kobietę pracującą przy obrotowym, ręcznie napędzanym stole. Maczała pędzel w złocie, zdobiąc ucho dzbanuszka do kawy, obrzeżenie pokrywki i podstawę dzbanka.

— Naniesione złoto musi być wypalone powtórnie. To prawdziwe, sproszkowane i rozrobione złoto. Widzisz, jaka to znużająca praca? Kiedy w końcu wyjdzie z pieca, musi zostać ręcznie obrobione miłątkim proszkiem polskim.

Nagle Lawrence, o którym zdążyli już zapomnieć, sięgnął po półmisek i podniósł go. Chrząknął, by przeczyścić gardło.

— Spójrz, Virginio — powiedział. — To wyrób z delikatnej porcelany, uformowany i ozdobiony w sposób, który wymaga umiejętności, czasu i uczucia. — Popatrzył na nią i ledwie dostrzegalny rumieniec zabarwił mu policzki. Wyglądał na zmieszanego, ale nie spuścił wzroku. — Uczucie —

kontynuował — to coś, czego wymaga produkcja chińskiej porcelany. Gdy wlejemy w nią uczucie, wytrzyma prawie wszystko — to jedna z najbardziej wytrzymałych substancji, jakie znamy. Przetrzyma mnie, ciebie i życie wielu pokoleń. Bez tego uczucia może być unicestwiona w jednej chwili. Wystarczy ją roztrzaskać. Jest taka krucha i wieczna zarazem.

Mark spojrzął na Lawrence'a i Ginny zauważyła, że kiwnął ze zrozumieniem głową, okazując mu po raz pierwszy szacunek. Chwile po tym odwrócił się raptownie i wymaszerował z pomieszczenia, włączając się w strumień opuszczających zakłady pracowników.

— Chodźmy już, Ginny. Fajerant.

— Nie powinienem był na Lawrence'a tak nalatywać — oświadczył Mark. Odstawił kufel i trącił końcem buta drewnianą kłodę w kominku, która groziła wypadnięciem. Poza nimi i dwoma mężczyznami w robotniczych czapkach stojących przy barze, w pubie, noszącym dumną nazwę „Pod Żółtą Pokrywką”, nie było nikogo. Szesnastowieczna gospoda stojąca przy drodze do Poole była ulubionym miejscem Marka. Właściciel powitał go serdecznie po imieniu i natychmiast przyniósł alkohol. Ginny zauważyła, że ludzie w Dorset są bardzo powściągliwi — chociaż stojący przy barze pozdrowili Marka przyjaznym kiwnięciem głowy, nie padło ani jedno słowo. Mrukliwość jakoś do nich pasowała i widać było, że dobrze się z nią czuli. Gospodarz także wycierał szkło i nie zagadał nawet o pogodzie.

— Za bardzo się w to angażuję — powiedział Mark spoglądając na nią. — Lawrence nie jest taki najgorszy. Do tej pory sądziłem, że jest także tylko czymś w rodzaju psa podwórzowego Isobel. Zapomniałem, że jest także człowiekiem. Jest również dobry w tym, co robi, to znaczy w administrowaniu. Może jestem o niego zazdrosny, a może mnie denerwuje, bo jako projektant uważam, że nie muszę wysłuchiwać od niego pouczeń o kosztach. Zwykle myślę o nim nie najgorzej, kiedy go nie ma — w wyobraźni człowiek łatwo idealizuje. Ale kiedy go widzę, przede wszystkim rzuca mi się w oczy jego stary szkolny krawat i wykrzywiony nochal. Choćby nie wiem jak starał się być dla mnie miły, mam wrażenie, że wciąż traktuje mnie protekcyjnie. Przy nim czuję się jak wiejski niezguła, który nie potrafi trzymać poprawnie noża i widelca — wiem, wiem, sam taki nie jestem, ale mój ojciec był taki. Właśnie dlatego Lawrence i jemu podobni unikają podawania mi ręki.

Ginny od razu wyczuła, że żałuje tego, co powiedział. Wstał i podniósł jej szklaneczkę.

— Jeszcze jeden. Podwójną szkocką, panie Williams.

Barman sięgnął po butelkę i napełnił ją sprawnie, wciąż bez słowa. Otworzyły się drzwi i wszedł kolejny gość. Pozdrowił towarzystwo krótkim kiwnięciem głową, a barman nalał mu niezwłocznie kufel piwa. — Ładny wieczór — mruknął po pierwszym łyku.

— Jutro chyba będzie deszcz — odpowiedział mimochodem barman. Reszta zgodnie pokiwała głowami.

Mark wręczył jej szklaneczkę i usadowił się naprzeciw niej, odwrócony plecami do baru.

GINNY nachyliła się i wyszeptwała: — Czy ja ich onieśmielam?

MARK uśmiechnął się.

— Możliwe. Biorą cię za pannę Tilsit, bo jesteś ze mną, masz amerykańskie ciuchy, no i tę opaleniznę, o jakiej nikt tu nie śmiałyby nawet marzyć. To, co prawdopodobnie sprawia ich w osłupienie, to fakt, że siedzisz tu z nimi w pubie, zamiast być na obiedzie wydanym przez Lorda Naczelnika Egzekutywy hrabstwa albo chociaż gmerać w księgach wytwórni. Isobel stworzyła wokół siebie mit pracowitości i surowości. Podczas tych kilku nielicznych okazji, gdy pozwoliła sobie na obiad z lordem czy inną personą, również sprawiała wrażenie, że wykonuje ciężką pracę. Dlatego są wręcz zaszokowani, widząc cię ze szklaneczką whisky w rękę i nogami wyciągniętymi do ognia. Dla nich to nie lada wydarzenie. Nic równie podniecającego nie wydarzyło się tutaj od czasów finału rozgrywek ligowych.

Uśmiechnął się szeroko. Odsunął krzesło i także wyciągnął nogi do ognia.

— Także i dla mnie, Ginny.

— Niech to licho — powiedział Mark, gdy odjeżdżali spod gospody — nie zawiozę cię do Tilsit, czy jakiegóż innego miejsca, gdzie będą się na ciebie gapili. Powinnaś zobaczyć inną Anglię, równie prawdziwą, co Tilsit czy szesnastowieczny pub. Powinnaś odwiedzić moją matkę. Mieszka w domu czynszowym w Torrington.

— Czy twoja matka... — Ginny nagle sobie przypomniała. — Mówiłeś, że dotąd pracuje w wytwórni. Czy była tam, kiedy ja...?

— Owszem, ale nie chciałyby, żeby ci ją przedstawiać. Wołała zostać nie zauważona. To dziwna kobieta. Bardzo drażliwa.

— Czy nie będzie skrupowana, jeśli tak wpadniemy do niej bez uprzedzenia?

— Tylko w ten sposób się z nią widuję. Nie zapowiadam się, a ona mnie nie oczekuje. Dawno temu zerwaliśmy więzi rodzinne... wtedy, gdy oddała mnie Isobel.

— Chyba trochę przesadzasz. Żadna matka nie odda swojego dziecka...

— Tak uważasz? Więc miałaś szczęście. I dobrą opiekę. Matka oddała mnie Isobel i wszyscy wiedzieli, że to dla mojego dobra. Myślę zresztą, że nikt nie był z tego powodu zbytnio zadowolony. W końcu dla matki to też była trudna decyzja. Pochodzi z klasy społecznej, gdzie synów w wieku siedmiu czy ośmiu lat regularnie posyła się do szkoły. Jej ojciec był wikarym w Tenton, w głębi łądu. Nie mieli wiele pieniędzy, ale jej ojciec należał do Balliol i bardzo przestrzegał tradycji. Nigdy go nie poznałem. Nie godził się na widywanie z matką, odkąd uciekła z domu i wyszła za męża. Pewnie

uważał, że postradała zmysły, wydając się za Joe'go Barstowa. Może rzeczywiście tak było. Kiedy ją zobaczysz, sama się zdziwisz, jak się to jej udało. Ojciec opuścił nas, kiedy byłem małym chłopcem, ale pamiętam go dobrze. Był cholernie przystojny i miał wielkie powodzenie. Nie wiem, co w niej zobaczył, była taka afektowana i pruderyjna. Ale myślę, że miała też chwile szczęścia — kto wie? Nigdy o nim nie wspomina...

Twarz, oczy i zachowanie Mildred Barstow świadczyły, że nie jest kobietą, która z upodobaniem rozprawia o niczym. Ginny wydała się ona osobą, która spędziła większość życia w samotności i w końcu zasmakowała w niej. Jeśli nawet była zaskoczona ich wizytą, nie dała tego po sobie poznać. Z niezmałonym spokojem zaprosiła Ginny do miłego, jasnego i nowoczesnego czynszowego domku, należącego do władz miejskich Torrington. Nie wydawała się szczególnie podniecona czy zadowolona przybyciem Marka. Przyjęła powierzchowny pocałunek w czoło, ale nie odwzajemniła go. Dom był niewielki, o lekkiej konstrukcji stosowanej w czasach powojennych, Wszystko w nim było pomalowane i wywoskowane, i lśniło czystością jak domek dla lalek. Umeblowanie było oszczędne i nowoczesne, i jakoś nie pasowało do tej schludnej, miłej kobiety w granatowej sukience. Zaprosiła ich w głąb domu do saloniku, którego weneckie okna wychodziły na długi wąski ogród.

— Dom nie jest specjalnie w moim guście — powiedziała nieoczekiwanie, jakby odgadując myśli Ginny lub jakby sama nie przyzwyczaiała się jeszcze do nowego lokum i czuła potrzebę wyjaśnień. — Mark omotał zarząd, żeby mi go przyznali, a potem uparł się, że go sam urządzi — chyba tylko po to, żeby wszystkim pokazać, jaki ma talent.

— Przynajmniej masz łazienkę — najeżył się Mark.

Mildred Barstow spojrzała na Ginny.

— Mark nie może wyobrazić sobie, że miednica w kuchni niekoniecznie świadczy o degradacji. Napije się pani sherry, panno Tilsit?

— Nazywa się Ginny i woli szkocką, mamó — wtrącił się Mark. — Co zrobiłaś z butelką, którą ci ostatnio przywozłem?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Jeśli ją przywozłeś, to musi tu gdzieś być. — Zwróciła się do Ginny: — Jestem dość staroświecka, panno Tilsit. Kiedy byłem młoda, dziewczętom można było podawać tylko sherry. Chyba się nie zmieniłam od tamtych czasów.

— I bardzo dobrze — powiedział udając szorstkość. — Jesteś już za stara, żeby nadażać za nowinkami.

Wszedł do kuchni w poszukiwaniu whisky.

Mildred natychmiast zamknęła drzwi. Stała pośrodku pokoju, spoglądając na Ginny. Ręce opuściła wzdłuż ciała — szczupła i wysoka, o bladej twarzy pokrytej siateczką zmarszczek.

— Co pani myśli o moim synu? — zapytała poważnym tonem, najwyraźniej spodziewając się poważnej odpowiedzi.

— Jest... niezwykłym człowiekiem. — Wypadło to słabo i nieprzekonu-

jąco, jak prawda, która nie do końca jest prawdą. Wyczuły to obie, bo Mildred Barstow potrząsnęła niecierpliwie głową.

— Co naprawdę pani o nim myśli?

Ginny zaczerpnęła głęboki haust powietrza i spróbowała jednak uniknąć odpowiedzi.

— Mało go znam. — Zdała sobie zniecka sprawę, że słowa „kocham go” zabrzmiałyby szokująco, choć przyniosłyby jej ulgę. Wydało się jej, że prawda nie zaskoczyłaby Mildred tak bardzo. Nagłe wyjawienie jej świeżego uczucia, jej nieracjonalnej miłości wcale by tej kobiety nie zaskoczyło. Jednak słowa nie chciały Ginny przejść przez gardło i szansa została zaprzepaszczona.

— Dla Marka nie ma znaczenia, jak długo się znacie. On ma serce na dłoni. Nigdy nie ukrywał niczego — po prostu nie mieściło mu się to w głowie. Zawsze mówi, co myśli czy czuje. Te idiotyzmy, które o nim opowiadają... pewnie słyszała pani plotki o nim i o Isobel, że przyczynił się do jej śmierci?

— Rzeczywiście... — odpowiedziała Ginny z ociąganiem.

— To niemożliwe. Mark nie mógłby tak postąpić, a już na pewno tego ukryć.

— Wiem.

— Wie pani? W takim razie zna go pani lepiej niż ja. Cieszę się, że jest pani tego pewna. To bardzo ważne.

Wskazała nieoczekiwanie rzędy półek zajmujących całą ścianę. Były tam z rzadka rozstawione imbryczki, wazy i dzbanki, podobne do tych, które widziała w domku na urwisku.

— To jego dzieła. Przynosi tu swoje najlepsze prace. Jako ceramik jest geniuszem. Kiedy dojrzeje, będzie jeszcze lepszy — już teraz przewyższył artystów swojego pokolenia. Lecz jemu marzą się większe czyny. Proszę spojrzeć!

Podeszła zdecydowanie do zasłoniętego kotarą okna wychodzącego na ogród i odsunęła ją gwałtownie. Jej słowa i ruchy nacechowane były nerwowym entuzjazmem, świadczącym, że nieczęsto jednocześnie mówi i działa, a teraz jest do tego zmuszona.

— Widzi pani? Wykonał to, gdy miał dwadzieścia pięć lat. To jego pierwsza pełnowymiarowa postać w brzoju.

Rzeźba, stojąca trochę na uboczu, przedstawiała nieco abstrakcyjną postać młodej dziewczyny z wyciągniętymi ramionami, dziwnie pociągającą w pewnej niedojrzałości i surowości wykonania.

— Sąsiedzi zwrócili się do rady miejskiej o jej usunięcie. Uważają to za szkaradziejstwo. Ja sama nie byłam z początku pewna. W czasie urlopów jeździłam na wystawy, żeby się przekonać, jak tworzą najlepsi — Mark mówił mi, dokąd warto pojechać. Poznałam Epsteina, Moore'a i Hepwortha. I przekonałam się, że Mark jest dobry w tym co robi.

Zaciągnęła z powrotem zasłonę.

— Jednak Mark jest nieodrodnym synem swego ojca. Wymaga jakiegoś bodźca. Ja dałam mu tylko to, co miałam sama.

Zesztywniała, słysząc odgłosy z holu — dźwięk szklanek i mamrotanie, świadczące, że Mark potknął się o dywan.

Zanim drzwi się otworzyły, odwróciła się i spojrzała na Ginny.

— Może — powiedziała — potrzebna mu druga Isobel Tilsit.

Ginny nagle poczuła, że ogarnia ją paniczny strach, który od razu przysłonił jej zrodzoną dopiero co miłość.

3

Było już późno, gdy wróciła do Tilsit. Trip leżał w swoim koszu, a w pokoju cierpliwie czekała Brown. Ginny wiedziała, że nie ma sensu protestować.

— Nareszcie panienka wróciła, już się zaczynałam denerwować. Buzia się panience zaróżowiła, widać, że zdrowo dmuchało.

Ginny nagle zdała sobie sprawę ze swojego wyglądu — rozpalonych policzków, zwichrzonych włosów, warg, na których czuła jeszcze pożegnalny pocałunek Marka. Nie były to delikatne pocałunki, które miały usunąć jej zmęczenie i złagodzić skrępowanie, tak jak to było wczoraj, lecz pełne namiętności pocałunki mężczyzny, który pożąda kobiety. Od wczoraj posunęli się daleko, o wiele dalej niż się spodziewała. Wkroczyli jakby w nowy wymiar bycia razem i Ginny czuła, że porusza się w nieznanym i nierealnym świecie, tak różnym od tego, który dotąd znała. Jej świat zmienił mężczyzna poznany zaledwie wczoraj.

Dzisiejszego wieczoru nie spoglądało na nią blade odbicie w lusterku. Uśmiechnęła się i wzięła szczotkę.

— Owszem, Brown, dzisiaj długo przebywałam na wietrze.

Gdy tylko kobieta wyszła, Ginny podbiegła do sekretarzyka i otworzyła go. Czekał na nią dziennik, znacznie ważniejszy niż Brown. A także nie dokończony list do Jima, który nigdy nie miał być wysłany. A jednak ręka zahała się, sięgając po oprawiony w błękitny aksamit tomik z wyznaniem miłosnym Jane do garncarza. Jakiś wewnętrzny impuls mówił jej, żeby zaniechała dalszego czytania, jednak pokusa, żeby dowiedzieć się, co zawierają strony, przeważyła. Te dwie kobiety, o charakterach znacznie silniejszych niż jej, opisały tu swoje losy. Rzykowała, że uzależni się od nich, ale nie mogła się zdobyć na odstawienie dziennika. Wreszcie wzięła go do ręki i otworzyła w miejscu, w którym skończyła czytać ubiegłej nocy. Spisane tu słowa obnażyły wszystkie sekrety, całą historię Tilsit w ciągu stu lat. Może, jeśli poszuka uważnie i starczy jej odwagi na przeczytanie, dowie się także prawdy o Isobel i swoim ojcu.

Gdy przebiegała wzrokiem miniaturowe litery, zbrązowiałe od starości, umysł miała zaprzątnięty Jimem. Uosabiał St. Nicolaas, łagodny i niezmacony świat Katrien, zalany słońcem, którego, mimo jego piękna, jej ojciec nigdy do końca nie zaakceptował. Ojciec należał do świata Tilsit, pogrążonego

w półmroku, świata, gdzie więcej było miejsca na namiętność niż na miłość, ambicję niż dobroć. Jednak ten świat miał taką moc przyciągania, że ojciec nigdy nie potrafił się od niego oderwać. Teraz ten świat przygniatał również Ginny.

— Jim — odezwała się głośno i jej słaby głos zamarł w pustce pokoju. Przy kominku Trip podniósł łeb, nasłuchując obcych mu dźwięków. Nie znalazł odpowiedzi, podobnie jak Ginny. Świat St. Nicolaas, Katrien i Jima rozplynął się w ciemności, zaś słowa spisane wyblakłym atramentem wydały się znów bardziej rzeczywiste. Miała uczucie, że gdyby wyciężyła wolę, usłyszałyby je wypowiedane na głos.

W myślach przelanych na papier nie było nic z wiktoriańskiego wstępu młodej dziewczyny, która wolałaby aluzje niż bezpośredniość. „Pana Martina zdziwił pomysł, że moglibyśmy się pobrać”. Zapisek ten powstał w dwa tygodnie po wzmiance o istnieniu Martina. Jestem przekonana, że przemyśli sprawę i uzna, że to dobre rozwiązanie”. Następnie słowa podkreślono, jak gdyby pisząca chciała przekonać samą siebie. „To słuszny krok dla dobra Tilsit”. Dalsze notatki były pełne praktycznych uwag i szczegółów dotyczących ceremonii ślubu; kolejny raz Ginny odkryła, jak wiele uczucia i miłości było w pierwszym zdaniu. Zamówiono odpowiednią suknię ślubną z błękitnej alpaki. „W mojej sytuacji — pisała Jane — biała suknia byłaby zbyt frywolna i niestosowna, zresztą nie mogłabym jej później używać.” Ślub miał się odbyć w zimie, więc zgodziła się na „skromne wykończenie futrem”. W jej słowach nie było żalu, lecz nieświadoma nuta smutku, gdy pisała: „Wyprawa ślubna nie jest konieczna, bo do Tilsit nie zjadą goście. Nie będzie nikogo, kto mógłby mnie ujrzeć w sukni ślubnej... George Martin zaakceptował mnie taką, jaka jestem. Nigdy się nie dowie, jak jestem mu wdzięczna, że mi nie odmówił. Nigdy bym mu tego nie powiedziała.”

Dalej szły prozaiczne domowe notatki, nie zdradzające, czy panna młoda była zadowolona, czy zdenerwowana nadchodzącym ślubem. Następny zapis wyjaśniał wszystko.

Jest już po wszystkim. George Martin i ja zostaliśmy sobie poślubieni tego ranka — nie było nikogo, poza świadkami. Następnie wypiliśmy szampana i przeszliśmy do interesów. George Martin wydał się nieco stropiony faktem, że nie zgodziłam się na podróż poślubną, ale właśnie stawia się nową wytwórnię porcelany, a i w Tilsit jest wiele rzeczy do zrobienia. Brak czasu i pieniędzy, żeby pozwolić sobie na taką rozrzutność.” Dalej pojawiła się nuta rozmarzenia — pierwszy ślad chęci sprawienia mężowi przyjemności. „Myślę, że mojemu mężowi brak było beztróskkich tańców i zabaw wiejskich wesel, ale moja pozycja nie pozwala na taką lekkomyślność. Panna młoda tak oszczędna jak ja nie może oczekiwać zwyczajowych komplementów, lecz ze względu na niego żałowałam, że nie było gości. Przy kolacji próbowałam być miłą, ale... nie dał się zwieść. Wie, że nie jestem nawykła do śmiechu i przyjemnostek.”

Następne słowa znalazły się w linijce poniżej, jakby dodane nieco później. „Mój mąż jest bardzo wyrozumiały dla mojej wady.”

Ginny przewróciła stronę, zastanawiając się nad słowami — „oszczecona” i „wada”. Pamiętała słowa w pierwszej części dziennika — „nikt nie prosił mnie o rękę”. Cóż to była za wada, która nie zniechęciła George'a Martina, jakie to oszpecenie znosił tak wyrozumiale?

Kolejny zapis nosił datę kilka dni po ślubie, litery były większe i pisane jakby pod wpływem emocji lub gniewu. „Dzisiaj przybył do Tilsit wikary, oburzając się, że ślubu, o którym został wczoraj poinformowany, udzielił nam duchowny nie stosujący się do obrządku anglikańskiego. Poinformował nas, że lord biskup jest szczerze zaniepokojony. Odpowiedziałam, że jego lordowska mość i jego świta, powodowani świętym strachem, odstąpili podczas chrztu od nadania mi imienia ze względu na odrażający widok, jaki stanowiłam. Powiedziałam mu, że może przypomnieć jego eminencji o okolicznościach mojego chrztu i o duchownym, który nadał mi imię. Jeśli tak trudno było na mnie popatrzeć po urodzeniu, czy teraz, gdy stałam się dziedziczką dóbr, moja sytuacja tak dalece odmieniła się na lepsze, że Kościół zechciał spojrzeć na mnie przychylniejszym okiem? Odszedł wściekły i — mam nadzieję — równie upokorzony, jak ja byłam wtedy.” Następnie dodała. „Blizna nie zmniejszyła się, chociaż miałam nadzieję, że tak się stanie. Rana przy dotknięciu stale krwawi”.

Ginny była przekonana, że znajdzie odpowiedź na tę zagadkę: ślub po kilkunastu dniach znajomości, dziedziczka starożytnego domu i ziemi, która nie zaprosiła nikogo na swoje wesele, która pisała nie o miłości, lecz gniewie i upokorzeniu, która nie mogła sobie pozwolić na nikogo lepszego od garnkarza i była mu wdzięczna za jego delikatność. Zastanawiała się, czy owa wada była widoczna, czy skrywała ją błękitna suknia z alpaki z futrzanym wykończeniem — jedyna ozdoba, na którą pozwoliła sobie Jane Tilsit podczas ceremonii ślubnej. A może była to rana psychiczna, którą rozdrapał wikary — ta rana, która nie chciała się zagoić? Był to krzyk rozpaczki młodej kobiety, dotąd tak opanowanej. Ginny postanowiła, że spróbuje poznać prawdę, zanim wróci do pamiętnika. Uznała, że dalsze czytanie o czymś cierpieniu, którego przyczyny nie znała, byłoby prostacką ingerencją w czyjąś duszę. Podniosła się i wyjrzała z pokoju w głąb ciemnego korytarza, gdzie paliło się pojedyncze światło. Spojrzała na szereg zamkniętych drzwi, zastanawiając się, dokąd mogłaby pójść i kogo spytać. Brown? Odrzuciła ten pomysł, Brown była zbyt zaangażowana i zaborcza. Może Vanessa? Ale ona była zbyt młoda, prawie jej rówieśnica... Zresztą prawdopodobnie Vanessa o niczym nie wiedziała, nigdy nie interesowała się, dlaczego Jane Tilsit wyszła za mąż za miejscowego garnkarza, o tyle niższego od niej urodzeniem. Możliwe, że Vanessa roześmiałaby się na takie stwierdzenie. Ginny czuła, że nie zniosłaby ośmieszania Jane Tilsit. Kobieta poznana z pamiętników nie zasługiwała na szyderstwo — ani ona, ani jej ból i hart ducha. Może była w jakiś sposób opętana, ale nie niespełna rozumu. Ginny wykreśliła Vanesse,

co ograniczyło liczbę osób, do których mogła się zwrócić, do Lawrence'a i Margaret. Zresztą po namyśle wykluczyła ich także. Trudno obudzić kogoś takiego jak Lawrence w środku nocy i wyjaśniać, że czytała pamiętniki Jane Tilsit. Może Brown i Vanessa, które, każda z innego powodu, przesiadywały do późnej nocy, zrozumiałyby nagłą chęć poznania prawdy, ale nie Lawrence.

Ginny wróciła do sekretarzyka, ostrożnie odłożyła dziennik i zamknęła mebel. Wzięła zapaloną świecę i podeszła do drzwi. Tym razem Trip zrozumiał, że wybierała się gdzieś dalej. Podniósł się i pobiegł za nią cicho korytarzem, a potem na dół schodami, przez hol wejściowy do południowego skrzydła, do wielkich dębowych odrzwi, odgradzających zamieszkałą część od Starego Domu. Dobrze nasmarowane zasuwki nie skrzyknęły, gdy odsunęła je i weszła do środka.

Ciekawa była, czy ciemność Wielkiego Holu ją przerazi — płomień świecy chwiał się od przeciągu z otwartego gdzieś w górnej części galerii okna. Jednak nie bała się, czuła się zupełnie swobodnie. Zatrzymała się na chwilę pośrodku hallu — krąg światła ledwo sięgał podwyższenia, gdzie stał ogromny stół; gobeliny skryły się w ciemności. Galeria nad jej głową pogrążona była w mroku. Powinna prędko przemknąć po kręconych schodach wiodących na werandę i dojść do Długiej Galerii. Ale wahała się, czekała — może na jakiś odgłos czy znak. W końcu weszła na podium, wyciągnęła rękę i zapaliła od swojej świecy podwójny kinkiet na ścianie po prawej stronie stołu. Trip towarzyszył jej; czuła jego ciepłe ciało, stał spokojnie, nie drżał. Ciekawa była, czy Isobel również odbywała takie nocne wycieczki po pustym domu. W świetle lichtarza widać było belkowanie stropu, a także spłowieły i przetarty jedwab sztandarów, o których Brown opowiadała jej rano. Przypomniała sobie nazwy bitew, w których walczyli władcy Tilsit — Agincourt, Pola Flodden, Blenheim, Ramillies, Yorktown, a także Vittoria i Salamanca oraz Waterloo. „Byli zwykłymi wiejskimi dziedzicami, po spełnieniu obowiązku wracali do domu i żyli dalej spokojnie” — tak powiedziała jej Brown. Dzielni i tchórzliwi, zmieniający wyznania, stronnictwa i królów, Tilsitowie przetrwali, aż wreszcie ostatni z nich stanął w tej sali, gdzie historia łączyła się z terażniejszością.

Nie znała żadnych dramatycznych opowieści, dotyczących Tilsit — żaden z jej przodków nie stracił głowy, honorowo czy w poniżeniu. Jeśli były tu jakieś duchy, to raczej przyjazne domowe elfy, dla których ważniejsze niż zdobycie chwały były zbiory zboża i spokojna posiadłość, w której głowa rodu zajmowała miejsce u szczytu ogromnego stołu, oznaczone wielką drewnianą solnicą. Ginny nie odczuwała strachu przed zjawami tych wiejskich wielmożów i ich dam; póki żyli, byli zwyczajnymi ludźmi, nie lepszymi ani gorszymi od innych. Wybudowali ogromny dom i utrzymali go. Jedna z kobiet, która uważała się za oszpeconą czy zdeformowaną, miała dość odwagi, by wyjść poza cztery ściany i zająć miejsce w nowoczesnym świecie

przemysłu. Ginny przypominała sobie, że chciała przecież dowiedzieć się czegoś o Jane Tilsit. Wzięła świecę i poszła w kierunku schodów.

Vanessa wskazała jej kiedyś okna Długiej Galerii, dokładnie nad Złocistą Salą. Znalazła je bez trudności — na okrągłej klatce schodowej otwierały się tylko jedne drzwi. Płomień świecy oświetlał jedynie ściany korytarza — galeria, na całej swojej długości czterdziestu metrów, pozostawała ciemna. Ginny widziała przed sobą czarną przestrzeń, złamaną niewyraźnym zarysem okien. Księżyc przesłaniały chmury, więc świeca pozostawała jedynym źródłem światła. Poświata odbijała się miękko od szarych płyt, błyszcząły srebrne kinkiety i lśniły szerokie dębowe klepki posadzki. Posuwała się naprzód zygzakiem, od jednego portretu do następnego. Nazwiska artystów wygrawerowane były na plakietkach pod obrazami, które tworzyły historię pomyślności rodu. Okres dobrobytu zaznaczył się w dwóch portretach — Gainsborough i Reynoldsa, pochodzących z osiemnastego wieku, oraz Knellera, o sto lat starszego. Poza nimi reszta malarzy była nieznaną. Dopiero dochodząc do końca galerii napotkała nazwisko Millais. Zatrzymała się i podniosła wysoko świecę, by spojrzeć na obraz.

Portret Jane Tilsit został namalowany w czasach jej młodości i datowany na rok po jej małżeństwie z George'em Martinem. Jakoś widać przekonał żonę, by wydać pieniądze na obraz, jednak i tu nie pozwoliła sobie na zbyt kłopotliwy strój. Na portrecie przypominała młodą guwernantkę, ubraną w niebieską suknię z długimi rękawami i z wysokim kołnierzykiem. Stanik sukni wykończony był futerkiem. Czyżby to owa suknia ślubna?, zastanowiła się Ginny. Jasnozłociste włosy zebrane były w ciasny kok. Nie miała na sobie biżuterii ani żadnych ozdób, stała wyprostowana, spięta. Namalowane w tle draperie były bardziej dekoracyjne niż suknia — widać artysta chciał osłabić wrażenie surowości. Nie udało mu się jednak. Jane Tilsit, szczupła i o wysokich piersiach, choć ładna, była tu wyraźnie nieprzystępna.

Ginny podeszła bliżej. Millais sportretował Jane w najbardziej niekorzystnej pozycji — stojącą *en face*. Kompozycji nie łagodził żaden szal ani chusta. Nic nie mogło ukryć chłodnej doskonałości jej figury i twarzy, nie widać było żadnych wysiłków malarza, by ukryć jakąś wadę czy zniekształcenie. Cokolwiek szpeciło Jane Tilsit, pozostawało ukryte przed wzrokiem patrzącego.

Przekonała się, że zarówno Isobel, jak i Mark mieli rację — całkowicie lub częściowo. Widziała oto na portrecie wyidealizowaną własną twarz — twarz o tak głęboko skrytych emocjach, że nie dało się ich zauważyć. Panna młoda, pani wielkiego domu, żona garncarza — żadnej z tych ról malarz nie ukazał. Był to portret młodej kobiety w niebieskiej sukni, dumnej i aroganckiej. Jane Tilsit nie prosiła o nic, ani o współczucie, ani o miłość.

— Nie rozumiem — powiedziała Ginny. Na dźwięk jej głosu Trip podniósł łeb; jego łagodne ślepie błyszcząły w świetle świecy. — Lepiej już wracajmy, Trip, niczego się tu nie dowiem. Nie lubię tylko, gdy mówią, że wyglądam jak Jane...

Urwała nagle, a pies zwrócił łeb w kierunku drzwi, którymi weszli. Jego

ciało sprężyło się w oczekiwaniu. Chrapliwe warczenie wydobyło mu się z gardła.

— Trip? Słyszysz coś? — Podeszła bliżej, zadowolona, że ma obok siebie psa. Teraz i ona usłyszała jakiś dźwięk — odległy, przytłumiony, jakby echo zamykania drzwi, słabe, lecz bardzo wyraźnie w ciszy domostwa. Nie towarzyszyły mu żadne ludzkie głosy. Poczekała jeszcze minutę, nie będąc w stanie zrobić żadnego ruchu, i nagle usłyszała wyraźnie czyjeś kroki na schodach. Ogarnęła ją panika; chciała rzucić się do ucieczki, lecz za plecami rozciągała się jedynie ciemność, nie oferująca możliwości wyjścia. Szybko zresztą porzuciła myśl o ucieczce, poczuła bowiem na sobie wzrok Jane Tilsit, pogardliwy, sztydzący z prawnuczki, nie mogącej wytrwać w miejscu, które ma stać się jej domem. Gdy kroki dotarły do drzwi, Ginny ruszyła nieśmiało naprzeciw intruza, podnosząc wysoko lichtarz, by oświetlić jak największą przestrzeń.

Gdy drzwi się otworzyły, oślepiło ją mocne elektryczne światło latarki.

— Kto to? Kto tu jest?

Nie dostała odpowiedzi, słychać było jedynie kroki na drewnianej podłodze. Ginny dostrzegła niewyraźną postać, nie mogła jednak jej zidentyfikować. Przymknęła powieki przed snopem światła i czekała, by ten ktoś podszedł bliżej. Trwało to całe wieki, zanim w kręgu blasku rzuconego przez świecę Ginny dostrzegła skraj zielonkawego, aksamitnego szlafroka.

— Vanessa?

— Tak, to ja.

— Czy mogłabyś, na Boga, przestać mnie oślepiać? Nie jestem złodziejką. — Ledwo to powiedziała, doznała niemal szoku. Przed oczami stanął jej salon w Santa Maria i Isobel, z porcelaną Wielebnej Matki w rękę, mówiąca dokładnie to samo zdanie.

Vanessa opuściła latarkę.

— Przepraszam — powiedziała z niechęcią w głosie. Teraz jej twarz była wyraźna, ostra i biała w otaczających ciemnościach; aksamitna szata spowijała ją z wdziękiem, jak namalowane draperie na obrazie Gainsborough. Nawet tu, nawet o tej porze, pasowała idealnie do scenerii, pomyślała Ginny z zazdrością.

— Po co przysłałaś? — zapytała ją zimno. — Nie było takiej potrzeby.

Vanessa wzruszyła ramionami.

— Uznałam, że była. Moje okna wychodzą przez podwórzec prosto na to skrzydło. Zobaczyłam świecę, więc od razu przyszłam. Nigdy nie przynosimy tutaj świec. To zbyt niebezpieczne. Można zaproszyć ogień. — Zatoczyła latarką łuk po obrazach wiszących na ścianach, po srebrnoszarej boazerii, rzeźbionym suficie. — To drewno jest jak hubka... a tu naprawdę jest zbyt wiele do stracenia.

Ginny natychmiast ogarnęła wściekłość i wstyd, że trzeba jej uświadamiać, jaka jest wartość jej spadku i jak należy o niego dbać. Poczowała się jak nieokrzesany intruz w otoczeniu tak dobrze znanym Vanessie.

— Dziękuję. Nie trzeba mi będzie tego powtarzać.

— Jestem pewna. — Zrobiła zwrot do drzwi. — Latarki trzymamy w kredensie w holu. Są tam pod ręką i wszyscy wiemy, gdzie ich szukać.

— Będę pamiętać.

— Dobrze. Zostawiam cię zatem.

Nie zapytała, co Ginny tu robi o tej porze, ani też nie zaproponowała, że jej potowarzyszy. Nawet jeśli była zaskoczona, nie dała tego po sobie poznać.

— Może wezmę świecę, a zostawię ci latarkę? — dodała. — Myślę, że tak będzie bezpieczniej.

— Niby dlaczego?

— Dobrze znam drogę — podłogi tu są trochę nierówne, mogłabyś się potknąć. Pełno tu myszy... Nie wiem, czy się ich boisz...

— Nie, nie boję się. Zapewniam cię, że będę uważać. Nie podskakuję na widok cienia. Śmiało możesz zostawić mnie ze świecą.

Vanessa ponownie wzruszyła ramionami, jakby nie przywiązując wagi do tego, że nieostrożność czy przestrach Ginny mógłby doprowadzić do zagłady tego, co stanowiło istotę Tilsit. A przecież było zupełnie inaczej. Świadczyła o tym rezygnacja i lęk, widoczne w jej ociąganiu się, gdy odwracała się do wyjścia.

— Jeśli tak chcesz, nie mam nic więcej do dodania.

— Owszem, chcę.

Aksamitna szata zafalowała, gdy Vanessa wycofywała się, szybko, ale z widocznym przymusem. Ginny już chciała zawołać ją, ale zrezygnowała. Uświadomiła sobie w tym momencie, że narasta w niej gwałtowna zazdrość i instynkt posiadania — chorobliwe uczucia, które już dały o sobie znać. Zrozumiała, że na to właśnie liczyła Isobel ściągając ją tutaj. Tilsit miał swój własny sposób oddziaływania na podświadomość ludzką i Isobel dobrze o tym wiedziała. Stała więc bez słowa, patrząc za oddalającą się Vanessą. Nic nie zrobiła, by ją powstrzymać. Tak powinno zostać już na zawsze.

Vanessa otworzyła drzwi i płomień świecy zatańczył pod wpływem przeciągu. W tej samej chwili z dołu, od strony Wielkiego Holu dobiegło ich głośnie wołanie.

— Czy to ty, Vanesso? — Był to głos Lawrence'a. — Vanesso...?

— Jestem tu, ojcie.

— Ktoś zapalił na dole kinkiet i go nie zgasił. — Słysząc było, jak szybko wchodzi na górę. — Virginia też tu jest?

— Tak, jest...

Wszedł do galerii. Vanessa usunęła się, by go przepuścić.

— Co, do diabła, robicie tu obie o tej porze? Czyście zwariowały? — Wyglądał na oszołomionego, a nawet wstrząśniętego; światło latarki wędrowało między nimi dwiema. — Żeby zostawić palącą się świecę w holu! Chcecie, żeby to wszystko spłonęło?

— To ja zostawiłam palący się kinkiet. — Ginny stała w głębi galerii i nie miała zamiaru podejść bliżej. Czuła wewnętrzny przymus, żeby pokazać,

kto tu rządzi. Zmusić Lawrence'a, by to on podszedł do niej, i udowodnić Vanessie, że może zrobić ze swoją własną posiadłością co zechce.

Ruszył w jej kierunku, jak to zakładała.

— My nigdy tego nie robimy... — zaczął przeproszającym tonem.

Ginny skinęła głową.

— I słusznie. Postąpiłam bardzo niemądrze.

Podszedł bliżej.

— Obudziło mnie coś... pewnie dźwięk otwieranych drzwi w holu. Przeraziłem się, widząc tu światło. Przypomniałem sobie, że ona... Isobel przychodziła tu czasem w nocy. Ale nigdy ze świecą. To było surowo zabronione. Przez moment myślałem, że to ona... — Pokręcił głową, jakby chciał zaprzeczyć własnym słowom. — Oczywiście zawsze istnieje możliwość włamania. Zewnętrzne okna są zabezpieczone systemem alarmowym, ale nigdy nie wiadomo, czy to wystarczy. Vanessa zawsze powiada, że powinniśmy... — Światło latarki nagle skręciło ku drzwiom i Vanessa wyszła.

— Ona zgasi świece na dole — powiedział spokojnie. — Jest bardzo ostrożna. Zawsze bardzo dba tu o wszystko.

— Tak, zauważyłam.

Stał teraz tuż obok. Jego przystojna twarz wyglądała nieco dziwnie bez wykończenia w postaci koszuli w paski i krawata. Wymięta piżama pod szlafrokiem i włosy opadające na czoło nadawały mu nieco rozpustny wygląd, czego nigdy by u niego nie podejrzewała. Podenerwowany, zapomniał o utrzymywaniu wobec niej zwyczajowego dystansu.

— Nie powinnaś mieć nam tego za złe, Ginny. — Po raz pierwszy zwrócił się do niej tym imieniem. — Jeśli czasem robimy o coś zbyt wiele hałasu, to tylko dlatego, że Tilsit bardzo dużo dla nas znaczy. Jest całym naszym życiem.

Zabrzmiało to normalnie, jak stwierdzenie faktu. I od razu musiała się z tym zgodzić.

— Dotyczy to również Vanessy, nawet jeśli ironizuje sobie na ten temat. Skinęła głową, wiedząc, że Lawrence mówi prawdę.

— Tylko ja jedna jestem tu intruzem? — Pomyślała, że prawdopodobnie nigdy więcej nie dojdzie między nimi do rozmowy takiej jak ta, nigdy więcej nie uda im się przełamać barier rezerwy i zahamowań.

Lekko wzruszył ramionami.

— No cóż, tak jest najlepiej dla Tilsit.

— Skąd wiesz, że właśnie ja jestem dla Tilsit najlepsza?

— Tak uważała Isobel. A ona rzadko się myliła. — Nagle skierował snop światła na portret Jane Tilsit. — Przyszłaś, żeby na nią popatrzeć, prawda?

— Tak.

— A więc wiesz, co musiała czuć Isobel. Wreszcie znalazła prawdziwą Tilsit. Żadne tam przybrane nazwisko, udawanie, że jest się kimś, kim się nie jest.

Ginny skierowała wzrok za światłem.

— Jeśli być Tilsitem znaczyło tak wiele, to dlaczego Jane tak nieprzyjaźnie traktowała zewnętrzny świat? A Tilsit wydawał się być dla niej ciężarem, a nie zaszczytem? Lawrence — teraz jego imię wymówiła bez zahamowania — powiedz mi, dlaczego ona czuła się taka... taka... jakby czymś oszpecona?

Spojrzała znów na niego; wyglądał na wstrząśniętego.

— Oszpecona? Tak o sobie myślała? Nie sądziłem, że to mogło w niej tkwić tak głęboko... Oszpecona? Tak... mogła tak uważać... W jej czasach to było możliwe. — Zwrócił się do Ginny gwałtownie: — Skąd wiesz, że tak myślała?

— Z pamiętników... z jej pamiętników w sekretarzyku Isobel.

— Ach tak, z pamiętników...

— Czytałeś je?

— Nikt ich nie czytał z wyjątkiem Isobel. My tylko wiedzieliśmy, że one istnieją.

— Wiedzieliście, że istnieją, a nie czytaliście ich?

Wygiął usta w uśmiechu, w którym zawarł odcień pogardy.

— To osobiste pamiętniki. Należały do Isobel, a obecnie do ciebie. — I dodał powoli: — Isobel nigdy nie opowiadała o tym, co w nich było. Babka, kiedy jeszcze żyła, była jej bardzo droga... Nie wydaje mi się, by chciała omawiać z kimś jej sprawy.

— Ale ty znałeś Jane Tilsit?

— Owszem, znałem. Pamiętaj, że mój wuj był jej zięciem. Zaprosiła mnie do Tilsit po jego śmierci i zaproponowała pracę w wytwórni.

— Musisz więc wiedzieć, dlaczego tak się czuła... W pamiętnikach pisała o jakichś swoich ułomnościach. Co miała na myśli? — Ginny skierowała świecę w stronę portretu. — Nie widzę, żeby było z nią coś nie tak... siedzi, a może opiera się na czymś... Co jej było?

Lawrence westchnął ciężko.

— Twoja prababka nigdy w swoim całym życiu nie opierała się na niczym. Kiedy umierała, a miała wtedy osiemdziesiąt sześć lat, wciąż była uderzająco przystojną kobietą, prostą jak trzcina, z odwagą i walecznością teriera. Niewiele kobiet było tak obdarowanych przez naturę jak Jane Tilsit. Gdyby się urodziła nieco wcześniej — pokolenie czy dwa wstecz — byłaby prawdopodobnie bardzo szczęśliwą kobietą. A tak prowadziła życie pełne goryczy i niewiści do świata i rzeczywiście — skoro, jak powiedziałaś, pisała o tym — mogła uważać się za oszpeconą.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Nie rozumiem — nalegała Ginny.

— Twoja babka była z nieprawego łoża.

— Nieprawego...?

Ginny ponownie spojrzała na twarz na portrecie — surową, młodą twarz Jane Tilsit — i wspomniała zdania napisane tą wiktoriańską ręką, zdania pełne bólu i gniewu, i nieufności.

— Nie wiedziałam o tym — powiedziała. Odwróciła się do Lawrence'a i dodała współczującym, niepewnym tonem: — To miało takie znaczenie?

— Teraz nie przywiązywalibyśmy do tego wagi. Byłoby tak również w początkach XIX wieku, zanim się urodziła. Ale kiedy Jane doszła do wieku małżeńskiego, królowa Wiktoria wprowadziła w życie zasadę powszechnej, rygorystycznej moralności. A ona była dzieckiem z powszechnie znanego, nielegalnego związku, który kpił sobie z tych zasad. I nosiła na sobie jego piętno.

— Wszyscy o tym wiedzieli?

— Pastor nazwał go publicznym skandalem. Chodziło o trzy najbardziej znane w hrabstwie rodziny. Ojcem Jane był sir Henry Tilsit, bezdzietny wdowiec. Matką — Katherine Parley, żona jednego z Parleyów i córka lorda Brodericka. Uciekli razem do Włoch i tam Katherine urodziła Jane, sama umierając podczas porodu. Henry nie próbował nawet tego ukryć. Przywiózł córkę do Tilsit, po czym zamknął przed światem drzwi majątku. W hrabstwie nie odważono się okazać sympatii winowajcy, tak więc Jane dorastała w całkowitej izolacji od swojej klasy i swych rówieśników. Wyobrażam sobie, jak samotne i smutne musiała mieć dzieciństwo. Henry Tilsit stał się odludkiem... Przez całe miesiące nie chciał widywać nawet swojego własnego dziecka. Może byłoby inaczej, gdyby było chłopcem...

— A więc Jane w ogóle nie nazywała się Tilsit? Dziwne... przy całym tym gadaniu, jak ważne jest nazwisko...

— Nosiła je legalnie. Przyjęła je jednostronnym aktem prawnym, kiedy osiągnęła pełnoletniość. Jednakże nie zmieniło to nastawienia ludzi. Henry Tilsit nigdy nie okazywał najmniejszej skruchy, nie mieli więc zamiaru przebaczyć i dziecku... Często myślę, że zapomniano by o wszystkim, gdyby sir Henry postąpił zgodnie z przyjętymi zasadami — wyszukał jakiegoś dalekiego kuzyna, i uczynił go spadkobiercą majątku i tytułu... Kogokolwiek, byle był mężczyzną, a najlepiej powszechnie szanowanym. Ale przekazał wszystko Jane, no i zaprzepacił prawo do tytułu — nigdy potem żaden jego męski potomek nie wystąpił o ponowne nadanie szlachectwa. Myślę, że sir Henry chciał zadośćuczynić w ten sposób córce — uważał, że mając pieniądze łatwiej jej będzie znaleźć odpowiedniego męża. Nie udało się jednak. Było jej trudno, gdyż była wyjątkowo inteligentną i niezależną kobietą, a w tamtych czasach status kobiety był praktycznie równy zeru.

— Tak... rozumiem... Rozumiem teraz, dlaczego pisała w ten sposób.

Lawrence kontynuował. Patrzył prosto na portret, mówiąc powoli, jakby wypowiadał te słowa po raz pierwszy:

— Gdyby była kobietą bez jakichkolwiek talentów, jej historia mogłaby potwierdzić, że krytycy sir Henry'ego mieli rację. Była jednak wyjątkowa — i zdecydowała się na wyjątkowe i nieprawdopodobne małżeństwo. Dla Tilsit okazało się wielkim dobrodziejstwem, że Jane była nieślubnym dzieckiem i musiała poszukać męża poza własną sferą. To prawda, że dzięki jej majątkowi George Martin zbudował wytwórnię porcelany, jednakże nie doszłoby do tego bez jego przekonania, że nadchodzi epoka przemysłu, i bez jego cierpliwej pracy. Wytwórnia zaczęła przynosić pieniądze dokładnie

w momencie, gdy zaczęły zmniejszać się dochody z ziemi i gdy stały się one najbardziej potrzebne. Majątek nie poniósł więc najmniejszego uszczerbku. Z samego początku małżeństwo wydawało się niewłaściwe, ale Jane dobrze wiedziała, o co jej chodzi. Był to bardzo udany związek — szczególnie dla Jane. O George'u Martinie słyszało się bardzo mało. Zresztą tak jak o wszystkich mężczyznach rodu od czasów Jane. Zabawne... stało się niemal legendą tych okolic, że w Tilsit silne kobiety dominują nad mężczyznami. Co prawda można to było powiedzieć tylko o Jane i Isobel, ale wpływ ich obu odczuwalny był przez długie lata. I nie było w rodzinie mężczyzny, który mógłby im pod tym względem dorównać.

— A mój ojciec...? — zapytała Ginny.

Roześmiał się, krótko i gorzko.

— Nie był wcale lepszy ode mnie... nie umiał stawić czoła ich dominacji. A przecież ja nawet nie jestem Tilsitem.

Odwrocił się i dodał chrapliwym z emocji głosem:

— Dziwisz się więc, że obawiamy się ciebie? Dziedzictwo przechodzi w Tilsit według żeńskiej linii. Jesteś jak Jane i jak Isobel, i nic nie możemy na to poradzić.

Rozdział trzeci

Ogród w Tilsit po stronie północnej opadał szerokimi tarasami aż do łąk, po których między drzewami wił się strumyk. Spacerując wzdłuż brzegu Ginny zatrzymała się parę razy, spoglądając w górę. Przyszło jej do głowy, że pozornie ogród ten przypomina tarasy Oranje Huis, choć tutaj wszystko zostało idealnie zaplanowane — szerokie pasy zieleni tam, gdzie na wyspie dziko rozrastała się winorośl, a w miejsce dojrzałej bujności tropikalnego kwiecica ciągnęły się uporządkowane rabaty delikatnych angielskich kwiatów, których nazw nie znała. Ciekawa była, czy często nasuwały się ojcu podobne porównania podczas długich lat na St. Nicolaas, czy pragnął o tym porozmawiać, chociaż nigdy się na to nie zdobył. Zastanawiała się, czy jemu również, gdy spoglądał stąd w górę tak jak teraz ona, zdarzało się widzieć wśród splecionych krzewów, poruszających się pod wpływem wiatru, postać kobiety, oddaloną i drobną, w sztywnej, niebieskiej wiktoriańskiej sukni, przemierzającą ścieżki między rabatami. A może Jane Tilsit nie trwoniła nigdy czasu na spacery dla przyjemności w ukochanym ogrodzie, tak jak nie chciała marnować czasu na podróż poślubną? Czy to rzeczywiście była ona, w łagodnym słońcu wśród grządek z ziołami na najniższym tarasie, pochylona pracowicie z nożycami wśród liści o ostrej woni, w niebieskiej sukni spłowiałej do koloru lawendy? Ginny potrząsnęła głową, szybko zamrugała i spojrzała za siebie, ale teraz nie było tam żadnej postaci. Ale nie przysięgłaby, że przez krótką chwilę jej nie widziała. A jeśli nikogo tam nie było, to dlaczego Trip stanął nagle jak wryty, z łapą uniesioną w górze, jakby również wyczuł coś znajomego? Czy może przed oczami Tripa stanęła figura innej kobiety, silnej i oszczędnej, ubranej w staroświecki tweed, z krótkimi, niedbale uczesanymi włosami i szramą na twarzy, niezauważalną na szczęście z tej odległości? Jeśli po ogrodzie w Tilsit spacerowały duchy, to można je było zobaczyć, uznała Ginny, ale tylko w wyobraźni.

Aby przełamać czary, Ginny schyliła się, podniosła patyk i rzuciła go

przed siebie. Trip pobiegł za nim powiewając radośnie uszami. I rzeczywiście, nie było już więcej duchów na tarasach w Tilsit.

Chciałyby mieć choć cząstkę jego żywotności. Teraz, tak wcześniej, powietrze było łagodne jak muśnięcie kwiatu. Tego poranka poczuła się odrażona; gdy zeszła na dół na śniadanie, jadalnia była pusta, a na kredensie została tylko jej filiżanka. Lawrence, Vanessa i Margaret skończyli posiłek wcześniej i wyszli. Chciała znowu zobaczyć Lawrence'a, dokładnego i zrównoważonego jak zwykle, by upewnić się, że rozmowa z nim ostatniej nocy nie była jedynie fantazją. Ktoś tak rozważny jak on nie wymyśliłby tej opowieści ani też nie przekroczyłby granicy prawdy pod wpływem emocji. Jednak w nagłym przebłysku zrozumiała, że choć nie miał jeszcze dość czasu, by jej się dobrze przyjrzeć, instynktownie postawił ją na równi z Isobel i Jane. „Dziedziczenie przechodzi tu w linii żeńskiej”, stwierdził, a ona wiedziała, że nie miał na myśli dziedziczenia domu czy zakładów ceramicznych. Samotna i smętna siedziała w wielkiej, pustej jadalni, pijąc herbatę i jedząc ostatnie jajko na miękko, jakie zostało na srebrnej podgrzewanej tacy.

Po śniadaniu poszła ponownie popatrzeć na portret Jane Tilsit w Długiej Galerii. Galeria, zbudowana ponad dwieście lat później niż Wielki Hol, nie była miejscem tak często używanym jak inne. Wykorzystywały ją kobiety i dzieci do zabawy, gdy pogoda nie pozwalała na wyjście do ogrodu. Było to też swoiste muzeum rodzinnych skarbów. W porannym blasku wyglądała naprawdę pięknie — wyłożona srebrnoszarą boazerią, z refleksami padającymi od srebrnych lichtarzy, oświetlona nie jedyną świecą, jak ostatniej nocy, a promieniami słońca, przedostającymi się tu przez południowe okna. Miejsce to było przyjazne i pełne światła, ale teraz należało do niej w znacznie mniejszym stopniu niż przedtem, w godzinie ciemności.

Ginny zapomniała, że tego akurat dnia dom był otwarty dla zwiedzających. Na wypastowanych podłogach rozłożono długie chodniki, a szkarłatne aksamitne sznury odgradzały potencjalnych przybyszów od obrazów wiszących na ścianach. Dwie kobiety w fartuszkach, z kwiecistymi chustkami na głowach, odkurzały pomieszczenie. Kiedy weszła, przerwały i spojrzały na nią. Nie znała ich, ale twarze sprzątaczek zdradzały, że ją rozpoznają.

— Dzień dobry, panno Tilsit — powiedziały równocześnie.

— Dzień dobry... obawiam się, że paniom przeszkadzam.

— Nie szkodzi, moja droga — odezwała się starsza. — Już kończymy... za minutkę nas nie będzie. — Kiedy zaczęła zbierać ścierki, dodała: — Nieomal zemdlałam, panienko... Przez chwilę myślałam, że to pańska ciotka, że przyszła, jak zwykle, skontrolować nas.

— Ja... przyjdę tu kiedy indziej. — Ginny nerwowo zamknęła drzwi z głośnym, nieeleganckim trzaśnięciem, które odbiło się echem na schodach.

Następnie poszła do Marka, licząc, że zastanie go w domku, którego — jak mówił — na ogół rano nie opuszcza. Podczas drogi jej napięcie nieco zelżało, nabrała pewności, że pogadają sobie z Markiem i pośmieją się.

Domek stał w słońcu cichy i pogodny, morze było spokojne i błękitne. Świeżość żywoptotów, soczysta zieleń łąk, na których pasły się krowy, stwarzała kojącą scenerię. Wieża nie była niczym innym niż malowniczym stosem kamieni, bez historii, bez zagrożenia. Ginny podśpiewywała sobie, zatrzymując się na moment na szczycie pagórka, podczas gdy Trip uganiał się między głazami węsząc za króliczymi norami.

Nastrój prysnął, kiedy pies nie posłuchał jej wołania i nie przybiegł do niej na ścieżkę nad urwiskiem. Przypadł do ziemi u podnóża wieży i zaczął ujadać z niewiadomego powodu, zmuszając ją, by się zatrzymała. Ponieważ nadal nie reagował na jej rozkazy, odwróciła się w końcu i zostawiła go, lecz na sielankowy poranek padł cień złego przeczucia i wspomnienia tego, co mówiono o Marku. Idąc dalej, starała się nie patrzeć w kierunku urwiska.

Kiedy dotarła na miejsce, wcale nie było lepiej. Samochód Marka stał na błotnistej drodze prowadzącej do domku. Kiedy nikt nie odpowiedział na pukanie, weszła do środka, zmierzając prosto do pracowni. Był tam, w najdalszej części budynku; dwie pary wielkich drzwi otwarto wprost na słońce. Między dwoma imadłami tkwił rozpostarty arkusz blachy z brązu, a on pracował przy nim z palnikiem w rękę, z maską osłaniającą oczy, całkowicie skoncentrowany na pracy. Kiedy wreszcie zorientował się, że nie jest sam, uniósł jedynie rękę na znak powitania. Nie zdjął maski, nie powiedział ani słowa. Ginny patrzyła na silne ciało, pochylone nad blachą; jego sylwetka rysowała się w intensywnym blasku acetylenowego płomienia. Ciął brąz wzdłuż linii, którą tylko on mógł określić i nic w tej chwili nie było w stanie odwrócić jego uwagi. Uświadomiła sobie, że w tym momencie była dla niego w najgorszym przypadku natrętem, a w najlepszym zawadą. Wycofała się więc cichutko, bez słowa. Pomyślała, że minie trochę czasu, zanim on uprzytomni sobie, że wyszła.

Trip czekał na nią przy wieży i razem zeszli w dół trzymając się biegu strumyka, aż dotarli na skraj ogrodu. Przyszło jej nagle do głowy, że być może wyobraziła sobie tę postać na górnych tarasach z wewnętrznej potrzeby — potrzeby nawiązania z kimś kontaktu. Jej oba światy — Tilsit, pusty, bo zamieszkały przez obcych ludzi, i St. Nicolaas, z każdą godziną coraz bardziej odległy — okazały się tego ranka poza jej zasięgiem. List, jaki zaczęła pisać do Katrien przed śniadaniem, wydał jej się sztywny i nienaturalny. Nie umiając objaśnić matce tego niezwykłego świata, nie potrafiła pisać o nim zwykłymi słowami. Czują się nieco przestraszona swą własną niemożnością wyrwania się z nurtu, który zaczął ją porywać. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że uleganie mu niesie ze sobą niebezpieczeństwo jeszcze większego zdenerwowania. Czowała ukłucie lęku, które sprawiało jej jednocześnie przyjemność.

— Panna Tilsit? Czy panna Virginia Tilsit?

Odwróciła się gwałtownie z poczuciem winy, jakby jej myśli, lęki i przyjemności były czytelne dla całego świata. Trip odbiegł daleko w dół strumienia, a człowiek, który odezwał się do niej, stał na drugim brzegu, zaledwie parę stóp od niej.

— Przepraszam, jeśli przestraszyłem panią — powiedział. — Byłem pewien, że pani mnie widzi.

— Nie zauważyłam... Kim pan jest?

— Czy mogę przejść na drugą stronę? Trochę niezręcznie jest mi rozmawiać przez ten szmerzący potok. — Wskazał na kamienną groblę, która pozwalała na bezpieczne przejście przez wodę.

— Jeśli pan zdoła... — powiedziała Ginny z powątpiewaniem, zauważając jego wyczyszczone pantofle, całkiem nieodpowiednie do spacerów po podmokłych polach, jaskrawożółtą kamizelkę i tweedowy garnitur, w którym zapewne nie zapuszczał się dalej niż na tor wyścigowy. Był w średnim wieku, pokaźnej tuszy, lecz pokonał śliskie kamienie z zadziwiającą zwinnością.

— Udało się! — Żęby miał żółte od nikotyny i nawet teraz sięgał po papierośnicę. Wyciągnął ją ku Ginny, a kiedy odmówiła, zapalił papierosa nie spuszczać z niej wzroku.

— Musi pani wiedzieć, że bynajmniej nie jestem intruzem. Zapłaciłem swoją półkoronówkę; proszę, to mój bilet.

— Nie wydaje mi się, żeby cena wstępu obejmowała także to, co pan już uzyskał — powiedziała ostro, niezadowolona z jego natręctwa. — Czego pan właściwie chce?

— Chciałem zobaczyć się z panią, panno Tilsit. Próbowałem to zrobić we wszystkie inne cywilizowane sposoby — telefonałem, złożyłem wizytę. Zupełnie jakby pani nigdy nie było w domu. — Podał jej mały kartonik. — Raymond Nettle z „Daily Post”... Londyn — dodał.

Ostrożnie ujęła wizytówkę.

— Po co chciał się pan ze mną zobaczyć?

Wydał z siebie dźwięk, który miał oznaczać śmiech.

— Jest pani bardzo niezwykłą młodą damą, panno Tilsit. W ostatnich dniach większość ludzi nie pyta o to dziennikarzy, po prostu sami od razu zaczynają mówić. Reklama jest głównym pokarmem tego wieku...

— Tyle że ja akurat nie jestem głodna.

Roześmiał się, tym razem bardziej szczerze.

— Chyba mógłbym, panno Tilsit, polubić panią. Nie chciałbym tylko, by zamykała pani drzwi przed prasą. To nam bardzo utrudnia życie.

Ginny nieomal uśmiechnęła się do niego; był niewątpliwie osobą tak zwyczajną w porównaniu z postaciami zaludniającymi jej wyobraźnię, tak jawnie pragnął zdobyć jej zaufanie, w przeciwieństwie do obojętności Marka z dzisiejszego poranka.

— Nie wygląda na to, żeby życie było dla pana szczególnie trudne. — Poczują przyływ niezależności, stojąc tak i rozmawiając z tym mężczyzną, z którym ani Mark, ani Garth nie chcieli mieć do czynienia. Poczują, że zaczyna być panią samej siebie.

Odkrył od razu, że zmiękła.

— Rzeczywiście, nie jest, panno Tilsit. Na ogół. Widzi pani, prowadzę kolumnę codzienną w „Post”, a nie jest zwyczajem doświadczonych dzien-

nikarzy biegać po błotnistych polach, żeby zdobyć materiał do felietonu. Robią to za nich stażysci. Zatrzymałem się w okolicy u przyjaciół na parę dni. Gazeta poprosiła mnie... no dobrze, powiedzmy, że sam byłem ciekaw. A raczej moi przyjaciele zwrócili moją uwagę na panią — jak pani zapewne wie, jest pani od paru dni głównym przedmiotem rozmów w hrabstwie. Już wczoraj próbowałem złożyć pani wizytę, ale odprawiono mnie. Pomyślałem więc, że pokręcę się dziś rano po ogrodzie, dopóki pani nie spotkam...

Ginny zawołała Tripa, po czym odwróciła się i zaczęła iść w stronę dolnego tarasu. Jak się spodziewała, Nettle podążył za nią.

— Zastanawiam się, co skłoniło pana do przypuszczenia, że dzisiaj będę bardziej chętna do rozmowy z panem niż wczoraj?

Musiał wyraźnie przyspieszyć, żeby dorównać jej kroku.

— Chyba podejrzewałem, że nikt pani nie poinformował, że ja, czy ktokolwiek inny, chciałby się z panią zobaczyć. Nawiasem mówiąc, nie ma pani nic przeciwko temu, bym jej towarzyszył? — Powiedział to trochę złośliwie, nie oczekując specjalnie odpowiedzi.

— Chyba już pan powiedział, że zapłacił swoją półkoronówkę, co daje panu prawo do zwiedzenia zarówno domu, jak i jego otoczenia.

— Bardzo to uprzejmie z pani strony, panno Tilsit.

Kiedy znaleźli się przy furtce w murze, prowadzącej do grządek z ziołami, Nettle był już mocno zdyszany. Ginny zrobiło się go trochę żal, ale nie zwalniała, by nie myślał, że jest zbyt chętna do rozmowy. Zdawała sobie sprawę, że chociaż w takim drobiazgu, ale sprzeniewierzała się zasadom Tilsitów; ciekawość była jednak silniejsza. Nettle zatrzymał się nagle przy ławce na skraju ścieżki wyłożonej kamiennymi płytami.

— Mógłbym przez chwilę złapać oddech? — Głową wskazał stopnie, wiodące na wyższy poziom ogrodu. — Nie jestem szczególnie dobry we wspinaczkach... to przez nadmiar wina i wygodne życie w Londynie. Po prostu nie dam rady dotrzymać pani tempa aż do samych drzwi. A może mogłaby pani, panno Tilsit, zatrzymać się tu ze mną na dwie minutki?

Ginny spojrzała na niego — sapał trochę mniej, ale twarz miał wciąż mocno poczerwieniałą, a ręka mu drżała, gdy zapalał nowego papierosa. Pokręciła głową.

— Nie mogę powiedzieć, że nie zasłużył pan na to, ale obawiam się, że to nie ma sensu. Właściwie nie mam panu nic do powiedzenia.

— No cóż... — Wzruszył ramionami i opadł na ławkę. — Miło było panią spotkać, panno Tilsit. Aha, przy okazji... widziała pani swoje zdjęcie w naszej gazecie? Dobre, prawda? Od razu panią poznałem...

— Jakie zdjęcie? — Mimo woli znalazła się z powrotem przy ławce, wyciągając rękę po gazetę.

— Po wylądowaniu na lotnisku w Londynie. Widzę, że nawet takie sprawy ukrywają przed panią. Szkoda, że tak szybko narzucili pani tę naszą, jeśli tak mogę się wyrazić, angielską rezerwę. Myślę, że pozbawia to młodych ludzi wielu uciech w życiu. Pamiętam, jak żył jeszcze mąż pani kuzynki,

Vitti... Oboje zawsze byli chętni do zdjęć i opowiadań. Wspaniali ludzie — jaką ona była fantastyczną dziewczyną! Zupełnie nie mam pojęcia, jak sobie tutaj radzi...

Ginny nie słuchała go. Wpatrywała się w swoje zdjęcie — wychodziła chyba z samolotu, niosąc niewielki bagaż oraz biały jedwabny płaszcz. Po długiej podróży nie wyglądała zbyt schludnie, włosy miała lekko potargane i patrzyła zaniepokojonym, pytającym wzrokiem w aparat. Tytuł był krótki i mało delikatny: PRZYLOT DZIEDZICZKI. „Panna Virginia Tilsit przybyła dzisiaj do Anglii, wywołując spekulacje, jakoby w testamentcie ciotki została wyznaczona jedyną spadkobierczynią historycznej siedziby Tilsitów w Dorset, łącznie z fabryką porcelany. Jej przybycie odnowiło również wspomnienie sprawy sądowej, jaka toczyła się w latach dwudziestych między jej ciotką a ojcem o kontrolę nad słynną wytwórnią.”

Ginny przysiadła na ławce obok Nettle'a.

— Z tą sprawą sądową to prawda?

Zamrugał i odpowiedział świadomie przesadnym tonem:

— Prawda? Chyba tak. W redakcjach gazet gromadzą wycinki na takie tematy. Nie wymyśliłszy tego. Czyżby pani, panno Tilsit, nie wiedziała, czy to jest prawda? Ciekawe! Moi przyjaciele znają tę sprawę, dobrze ją pamiętają. Dziwię się, że nic pani o niej nie wiadomo. Czy pani wyspa jest odcięta od świata?... Rzeczywiście nie słyszała pani nigdy o sprawie sądowej, jaką wytoczył pani ojciec? To nieprawdopodobne! Muszę koniecznie napisać o tym w niedzielnym felietonie. Będziecie mieli zalew zwiedzających... a pomyśleć o tych wszystkich półkoronówkach...

— Mogę to zatrzymać? — wskazała na gazetę podnosząc się z ławki.

— Oczywiście... Naprawdę musi już pani iść? Przyniosłoby wielki rozgłos, gdyby...

Ginny odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w kierunku schodów. Jej pośpiech udzielił się Tripowi, który pobiegł za nią szczekając.

— Panno Tilsit!... jeszcze tylko jedno pytanie! — Odwróciła się i zaskoczona zobaczyła biegnącego za nią Nettle'a. Nie miała wyboru. Zatrzymała się. Kiedy zbliżył się do niej, znowu oddychał z trudem. — Mam pytanie z gatunku „tak czy nie”, jeśli nie ma pani nic przeciw temu.

— Mianowicie?

— Na temat Eliota Russella. Czy to prawda, że zamierza go pani poślubić?

Ginny cofnęła się krok do tyłu, zaszokowana i zaskoczona tym, jak podstępnie ten człowiek potrafił się przedrzeć przez barierę prywatności. Jego sympatyczna, okrągła twarz stała się nagle niebezpieczna. Byłby zdolny sprzedać każde kłamstwo swoim czytelnikom, gdyby nie dostał prawdziwej odpowiedzi.

— Jak... Skąd pan wie o Eliocie?

Wzruszył ramionami, w jego oczach pojawił się wyraz fałszywej niewinności.

— Moja droga panno Tilsit, mówiłem pani, że mamy swoje wycinki. A taki stary wyga dziennikarski jak ja ma dobrą pamięć do twarzy. Widziałem pani zdjęcie w „Time” parę miesięcy temu. A kiedy zobaczyłem fotografię w „Post” — jak wspominałem, jest bardzo wyraźna — zadzwoniłem do redakcji i zakałem moim ludziom odnaleźć tamten wycinek. Dostałem go dzisiaj. Zastanawiam się... Nasi czytelnicy będą bardzo zainteresowani informacją, że zamierza pani wyjść za Eliota Russella. Połączenie dwojga spadkobierców... wie pani... tego typu nowinki. On jest bardzo bogaty, prawda?

Przestrach Ginny ustąpił miejsca wściekłości.

— Jest pan... jest pan jeszcze większym draniem niż mówił Mark. Powinam go posłuchać. Jak pan śmie węszyć tu i wypytywać...

Uśmiechnął się lekko.

— Przykro mi, że tak to pani odbiera. Jeśli wolno mi przypomnieć, panno Tilsit, sprzedajecie bilety, by można było obejrzeć ten piękny dom. Mam więc do tego pełne prawo.

— A ja jestem pewna, że w regulaminie drobnym druczkiem zapisane jest, że właściciel ma pełne prawo odmówić komuś wejścia. Właśnie odmawiam go panu. Proszę natychmiast opuścić ten teren. Głównym wejściem. Zaraz!

Rołożył ręce, jakby chciał okazać zdziwienie z powodu jej reakcji.

— Proszę się tak nie denerwować, panno Tilsit. Nigdy nie pcham się tam, gdzie mnie nie chcą. — Przerwał uśmiechając się zimno. — Ale to interesujące, bardzo interesujące. Przyjaciele zastanawiali się, jakiego pokroju jest pani dziewczyną. Teraz będę mógł im powiedzieć, że ma pani wszystkie charakterystyczne cechy swojej ekscentrycznej ciotki. Do widzenia, panno Tilsit.

2

Ginny wzięła kluczyki od samochodu Isobel od Gartha, nie informując go, gdzie się wybiera. Pomyślała, że dotychczasowe kilkakrotne wyjazdy do biura Williama Randalla w Bournemouth nie były zbyt wysoką ceną za obecną niezależność. W pewnym momencie utknęła zjeżdżając z promu na boczną, krótszą drogę, o której mówił jej Randall; za nią ciągnął się szereg trąbiących pojazdów. Pomyślała, że przynajmniej w kwestii samochodów Isobel nie była lepsza od ojca. Na ogół jednak nie myślała w ogóle; koncentrowała się na prowadzeniu i nie zastanawiała się nad pytaniami, jakie zamierzała zadać Randallowi.

Kiedy dotarła do jego biura, był akurat na lunchu. A kiedy wrócił godzinę później, nie odpowiedziała słowem na jego zdziwione powitanie, tylko położyła mu na biurku egzemplarz „Daily Post”.

— Panie Randall, dlaczego... — przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć głęboko powietrza. — Dlaczego nikt mi nie powiedział o tym? Dlaczego

muszę dowiadywać się o wszystkim okrężną drogą? Czy rzeczywiście była jakaś sprawa sądowa, panie Randall?

Ledwie rzucił okiem na zdjęcie, jakby widział je już przedtem, i westchnął.

— Była — odpowiedział krótko, jak gdyby nie zamierzał dodawać nic więcej.

— A więc...?

Podniósł się zza biurka, podszedł do okna i popatrzył na ulicę. Ręce założył za plecy. Zauważyła nagle, że jemu w pogniecionym tweedowym garniturze koloru pieprzu z solą jest dużo bardziej do twarzy niż Raymondowi Nettle. Zdziwiła się, że przyszło jej to do głowy, bo przecież była na niego wściekła.

— Dlaczego, panie Randall?

Odwrócił się.

— Przepraszam, Ginny. Nie było właściwie powodu, żeby ci o tym nie mówić, poza tym, że przez całe lata nikt o tej sprawie nie wspominał, i niełatwo jest znów do tego wracać.

— Chce pan powiedzieć, że w rodzinie o tym nie mówiono? Bo inni mówili! Doskonale wiem!

— Tak, inni mówili. Oczywiście po wyjeździe twojego ojca sprawa ucichła, ale śmierć ciotki i twój przyjazd w sposób naturalny podsylił spekulacje na ten temat. — Wskazał głową gazetę na biurku. — I to w bardziej odległych stronach, niż mógłbym przypuszczać.

Podszedł i usiadł naprzeciwko. Uśmiechnął się blade, co ponownie uświadomiło Ginny, że on próbuje jej ułatwić wejście do rodziny i do tego domu. Złość, jaką czuła do niego, lekko osłabła.

— Był jeszcze jeden powód. Wiązał się ze stanowiskiem twojej ciotki, choć otwarcie nigdy go nie sformułowała. Kiedy odwiedziła cię w Indiach Zachodnich, nie chciała mówić o przyczynie kłótni, czy tak? — Ginny kiwnęła głową. — Prawdopodobnie miała nadzieję, że przyjedziesz do Tilsit i sama ocenisz sytuację, bez uprzedzeń, bez poczuwania się do obowiązku lojalności wobec ojca. Może my wszyscy liczyliśmy na to... rzecz jasna zupełnie bezpodstawnie. Wydawało się jednak, że Tilsit potrzebuje ciebie... i jeśli któregoś dnia...

— Istotnie zupełnie bezpodstawnie, panie Randall. Mój ojciec zmarł po otrzymaniu depeszy od pana. Czy sądzi pan, że mogłabym o tym zapomnieć?

Rozłożył ręce w geście bezradności.

— Nie. — Spojrzał na nią proszącym wzrokiem. — Nie bądź dla nas taka bezwzględna, Ginny. Każde z nas patrzy na to ze swojego punktu widzenia.

Podniosła się i trąciła gazetę leżącą między nimi.

— Tyle że na tę sprawę były dwa punkty widzenia. I doprowadziły ich przed sąd, tak?

Randall westchnął znowu i poddał się.

— To prawda. Lecz jako prawnicy twojej ciotki nigdy nie wierzyliśmy,

że twój ojciec ma jakąkolwiek szansę na wygraną. I jak się okazało, nie miał. Zaczął działać, ponieważ Jane Tilsit zostawiła cały majątek i wytwórnice Isobel. Innymi słowy, to ona dziedziczyła wszystko, a John został z niczym. Postanowił więc zaskarżyć testament. I tyle!

— Nie myślę, żeby to było wszystko, panie Randall. Mój ojciec nie był człowiekiem, który mógłby wnieść sprawę do sądu dla przyjemności.

— Nie wątpię w to. To musiało być dla niego piekło. W dodatku zapożyczył się mocno u lorda Chardleya, z którym studiował w Cambridge, by pokryć koszty sprawy. A ponieważ Chardley pochodził z jednego z najstarszych rodów w Dorsetshire, to również nie zrobiło dobrego wrażenia.

— Przegrał...

— Tak. Wytoczył sprawę, której podstawą było oskarżenie Isobel o wywieranie nacisku na starszą kobietę o ograniczonej poczytalności. Sprawa była nie do wygrania.

— Dlaczego? W chwili śmierci Jane miała przecież osiemdziesiąt sześć lat. I chyba nie było w porządku, że niczego ojcu nie zostawiła...

Randall pokręcił głową.

— Isobel przedstawiła świadków, którzy potwierdzili, że Jane Tilsit w ciągu całego swojego życia nigdy nie miała momentów niepewności czy dezorientacji. W wieku osiemdziesięciu sześciu lat regularnie odwiedzała wytwórnice, wydając polecenia, które dowodziły bardziej niż sprawnego umysłu, zarządzała większością domowych spraw w Tilsit... doglądała ogrodników, a nawet uzyskiwała dochody ze sprzedaży nadwyżek owoców i warzyw. Nie było u niej śladów demencji, kiedy umierała.

— Na co więc powoływał się ojciec?

— Nie bardzo miał na co. Wskazywał na jej ekscentryczność — była niesamowicie oszczędna, nosiła te same ubrania, dopóki się nie rozpadły, nie pozwoliła nawet na samochody w Tilsit. Mówiła, że nie ma do nich zaufania, a wielu zgadzało się z nią. Przez wiele lat sprzeciwiała się jakimkolwiek rozrywkom w posiadłości, nie utrzymywała też żadnych kontaktów z rodzinami w hrabstwie. John wygrzebał nawet fakt, że zabroniła swojemu mężowi przyjęcia tytułu szlacheckiego. Wszystko to, oczywiście, nie miało żadnego znaczenia dla sprawy. Nie świadczyło o demencji, ponieważ zawsze tak postępowała. A niefortunnie dla twojego ojca takie cechy Angliki podziwiają i pochwalają. Oni uwielbiają swoich ekscentryków. Może Jane Tilsit nie była popularna, ale powszechnie ją szanowano. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ma tyle samo rozumu co Isobel, która była cieniem swojej babki. Sympatia ludzi była może nawet po stronie Johna, ponieważ wydawało się niesłuszne, że jedyny męski potomek rodu będzie musiał prosić o jałmużnę swoją siostrę. Nikt jednak nie wątpił w to, że prawo rozstrzygnie inaczej. Jane Tilsit wiedziała co robi, spisując swój testament. Twój ojciec nie miał najmniejszej szansy.

Ginny zapadła głęboko w fotel.

— A więc to tak... Szkoda, że nie wiedziałam o tym dużo wcześniej.

Ojciec nigdy o tym nie rozmawiał... Miałam wrażenie, że tu chodziło o coś znacznie gorszego. Wydawał się taki rozgoryczony z powodu Isobel.

— Utrata prawa do dziedzictwa i przegrana w walce o spadek rzeczywiście może być bardzo gorzka — odparł Randall spokojnie. — Zanim sprawa trafiła do sądu, John cieszył się sympatią w okolicy, co przypuszczalnie skłoniło go do tego kroku. Podczas procesu jednak odwrócono się od niego. Ludzie zmienili zdanie. To się czuło.

— Dlaczego?

— Chyba częściowo dlatego, że sprawa toczyła się w tym hrabstwie. To było za blisko domu. John popełnił błąd sięgając do przeszłości Jane Tilsit. Wyciągnął wszystkie dawne historie — to, że była nieślubnym dzieckiem, jej niezwykle małżeństwo. Stare pogłoski, o których już prawie zapomniano, zostały odgrzebane. Dotyczyły one także całej rodziny Parleyów, sporo znaczących w polityce — twoja babka była z domu Parley. Uznano, że to, co zrobił John, było w złym guście i hrabstwo nie zamierzało mu tego zapomnieć. Tak to widzieli mieszkańcy. Z drugiej strony John stracił sympatię pracowników fabryki, bo Jane Tilsit bardzo dużo dla nich robiła, a podczas procesu Isobel wykazała jasno, że jej brat do tej pory do wytwórni prawie nie zaglądał. I rzeczywiście to ona była jedyną osobą przygotowaną do zajęcia dotychczasowego miejsca babki. Robotnicy zaczęli obawiać się, że John mógłby źle zarządzać fabryką. Sporo ludzi było w niej zatrudnionych i chcieli utrzymać istniejący stan rzeczy. Tak więc przegrał na wszystkich frontach.

— Ile lat miał wtedy?

— Dokładnie nie pamiętam. Niewiele, nieco ponad dwadzieścia. A zachowywał się jakby był jeszcze młodszy. Sprawiał wrażenie głupiego, łatwowiernego i chciwego młodzieńca, którego namówiono do wytoczenia sprawy, nie mającej najmniejszych szans. Ludzie uznali, że jest arogancki...

— Nie mój ojciec!

— Przypuszczalnie nie ten mężczyzna, którego znałaś, Ginny. Ale tak to wtedy wyglądało. Nie miał doświadczenia, parokrotnie stracił zupełnie głowę. W przeciwieństwie do Isobel, która zaprezentowała się jako osoba w najwyższym stopniu godna przejęcia dziedzictwa. Żeby jednak oddać sprawiedliwość twojemu ojcu, muszę przyznać — choć to ona była klientką naszej firmy — że Isobel była bezwzględna w wykorzystaniu swojej przewagi. Odała Johna ze wszystkiego — dumy, szacunku do siebie samego, pewności siebie, tak jeszcze chwilę w młodym człowieku. To, co naprawdę mnie zdumiało, to przekonanie Isobel, że po wydaniu wyroku John pozostanie taki sam jak przed sprawą. Zobaczyła się z nim zaraz potem i najwyraźniej spodziewała się, że wróci z nią do Tilsit i zamieszka tam, jakby nic się nie stało. Ona będzie oczywiście za wszystko odpowiedzialna, a on... cóż, oczekiwała wyraźnie, że będzie robił dokładnie to, co mu każe. Chyba w ogóle nie przyszło jej do głowy, że może odmówić.

— A odmówił. — W głosie Ginny zabrzmiał cieplejszy ton, przekonanie

o słuszności ojcowskiej decyzji, która złagodziła poczucie przegranej. — Nie zgodził się być służącym Isobel, jak inni. — Powtórzyła słowa Vanessy jak echo. — Widzi pan więc, że nie zdołała odebrać mu wszystkiego.

— Nie... — W odpowiedzi Randalla słysząc było nutę wątpliwości. — Chociaż pamiętam, jak zastanawiałem się czasami, co on będzie robił. Nie był przygotowany właściwie do żadnej pracy. Dopiero co ukończył Cambridge. Miał długi, chociaż spłacił je. Słyszałem od samego lorda Chardleya sporo lat później, że został całkowicie spłacony. Sądzę, że Chardley chciał, bym przekazał tę informację twojej ciotce.

— A ona już o tym wiedziała, prawda? Przez wszystkie te lata nie traciła go z oczu... i nigdy żadnego listu, propozycji pomocy... — Znowu zaczęła wzbierać w niej złość, bo przypomniawszy sobie, jak Isobel sztychowała z trudnej sytuacji finansowej ojca w ciągu tych dwudziestu lat. Zabolała ją myśl, że żyli w Oranje Huis na pograniczu biedy — nie dlatego, że bieda jest czymś wstydliwym, ale dlatego, że ojciec cierpiał biedę razem z goryczą i nienawiścią do siostry.

— Niczego od niej nie dostał, ani słowa na znak pojednania, żadnej wiadomości... niczego... dopóki nie zachciało jej się mnie. — Spojrzała ostro na Randalla. — Nie zmieniła się, prawda? Kiedy jeden jedyny raz ją spotkałam, spodziewała się, że postąpię dokładnie w taki sam sposób jak powinien, według niej, postąpić ojciec, gdy kazała mu wracać do Tilsit. — Wzrok Ginny ożywił się trochę. — Nie miałam wtedy o niczym zielonego pojęcia. Ale sądzę, że odpowiedziałam jej dokładnie tak, jakby to zrobił on. Powiedziałam...

Randall przerwał jej gestem.

— A może to on nie dał jej szansy na pojednanie? Ona też miała własne gorzkie wspomnienia, a jednak pozostała i przyjęła na siebie odpowiedzialność za to, co było po części winą Johna. — Oparł ręce na biurku. — Jego wystąpienie przeciwko Isobel automatycznie spowodowało zastój w majątku — sprawa ciągnęła się przez blisko rok. W tym czasie sąd wyznaczył radę powierniczą dla zarządzania fabryką, a John uzyskał sądowy zakaz dla Isobel wchodzenia na teren wytwórni. Twierdził, że mogłaby wpłynąć na decyzje szkodliwe dla przyszłości zakładów. Funkcjonowały one oczywiście nadal, lecz posunięcie Johna zatrzymało ich modernizację na bardzo ważnym etapie. Pieniądze na ten cel zostały zamrożone, rada powiernicza, która niewiele znała się na przemyśle ceramicznym, ograniczyła działalność fabryki do minimum. Dzień po wydaniu przez sąd decyzji w zakładach miał miejsce wypadek, w którym jeden człowiek zginął, a innemu zmiażdżyło rękę.

— O Boże... — wyszeptwała Ginny, przyciskając mocno dłoń do ust. — Ale to nie on był winny...

— W wytwórni panował zły nastrój. Ludzie uznali, że proces produkcyjny nie jest bezpieczny, że złe warunki pracy przedłużają się, ponieważ przebudowa trwa już zbyt długo. Przez ten rok, kiedy Isobel nie było wolno wkraczać na teren zakładów, bezpieczeństwo pracy bardzo zmalało. Winę za to ponosił

John, ale to Isobel, która została na miejscu, przyjęła na siebie całą odpowiedzialność.

— To nie była jego wina — powtórzyła Ginny z naciskiem, próbując przekonać Randalla. — Pan go nie znał... on musiał cierpieć bardziej niż ona. Ojciec nie skrzywdziłby nikogo. Pan... — jej głos przybrał oskarżycielski ton, jakby Randall popełnił zdradę — pan uwzględnia tylko jej punkt widzenia.

— Była naszą klientką — odparł krótko. — Zresztą twój ojciec nie dał nawet nikomu szansy przekonania się, co czuł w związku z wypadkiem. Wyjechał następnego dnia. Nikt nie widział go więcej w Anglii. Później nie myślałem o nim za wiele. Większość mojej sympatii była po stronie ciotki.

— Nie potrzebowała jej — powiedziała Ginny z całą bezwzględnością. — Kobieta tego pokroju nie potrzebuje niczyjej sympatii... ani pomocy. Pokiwał głową.

— Ale wówczas wydawało mi się, że potrzebuje. Tego dnia, gdy wyjechał twój ojciec, Isobel miała wypadek — to wtedy tak strasznie zraniła sobie twarz. Był to dla niej bardzo trudny okres. W tamtych czasach chirurgia plastyczna dopiero raczkowała, a zresztą ona była niesłychanie uparta i specjalnie nie szukała pomocy. Ostatecznie pojechała do specjalisty do Wiednia, ale nie została tam wystarczająco długo, by przejść wszystkie niezbędne operacje. Wróciła do Tilsit, ale szanse na osobiste szczęście wymknęły się jej. — Przerwał na moment. — Isobel Tilsit była bardzo dumną kobietą. Nie zaakceptowała by miłości, gdyby podejrzewała, że kryje się za nią litość. Miała wyjść za mąż za Edwarda Ashleya, ale nigdy do tego nie doszło.

Po raz pierwszy Randall opuścił wzrok. Jego palce bezwiednie bawiły się spinaczem, który leżał na biurku.

— Musiała żyć ze swoją tragedią. Być może nie myślała wtedy wiele o twoim ojcu. Sądzę, Ginny, że twoja ciotka bardzo cierpiała z tego powodu, że nie mogła mieć dzieci. I już wówczas, mając zaledwie dwadzieścia parę lat, myślała o tym, kto po jej śmierci odziedziczy Tilsit.

3

Gdy Ginny wróciła od Randalla, Mark już czekał w bawialni. Natychmiast podniósł się z niepewnym, niemal uniżonym uśmiechem. Zachowywał się, jakby był nie na swoim miejscu.

— Mogę zostać?

Znieruchomiała na sekundę, po czym szybko podeszła do niego z wyciągniętymi rękami, które natychmiast pochwycił. Szorstkość jego skóry wydała jej się niemal pieszczotą.

— Myślę — powiedział — że powinniśmy zacząć od początku. Udawamy, że dopiero przyjechałaś — nowa panna Tilsit z odległej, tropikalnej wyspy. Przyszedłem złożyć ci swoje uszanowanie, uprzejmie i z szacunkiem,

jak to powinienem zrobić pierwszego wieczora. A ty zapraszasz mnie, bym został na kolację.

— Przyjmujesz zaproszenie?

— Oczywiście, że tak! Niemądra dziewczyna! Myślisz, że z jakiego powodu tak się wystroiłem?

Cofnęła się ze śmiechem, obrzucając go spojrzeniem od góry do dołu.

— Właśnie zastanawiałam się dlaczego wyglądasz tak jakoś obco. — Teraz już wiem. Ciemny garnitur, krawat i biała koszula. Nawet nie zapomniałeś uczesać włosów. Cóż to się stało? Rano nawet na mnie nie spojrzaleś.

Rozłożył ręce w geście bezradnej niewinności.

— Pracowałem.

— O to chodziło, naprawdę?

— Zawsze o to chodzi. Kiedy pracuję, nic innego się nie liczy. Ale potem, kiedy uświadomiłem sobie, że wyszłaś, pomyślałem, że mogłaś poczuć się dotknięta. No, ale nic nie mogłem zrobić... tak jak nie będę w stanie tego zmienić w przyszłości. Byłoby lepiej, gdybyś zrozumiała to teraz, a nie później. Nie, poczekaj... — powstrzymał ją. — Uznałem, że od razu spróbuję złagodzić te twarde zasady, żebyś wiedziała, że i ty masz swoje miejsce w moim życiu. Dlatego przyniosłem dla ciebie to... kawałek samego siebie.

Odwrocił się i wziął ze stolika małą czarękę, na pierwszy rzut oka wykonaną z ciemnoszarego kamienia. Kiedy się nią poruszało, nabierała barwy zieleni i granatu, które wydawały się zakłete w samym tworzywie.

— Są w niej ślady rąk i serca człowieka, Ginny. To było moje pierwsze dzieło, które zgodziłem się wystawić. Zrobiłem je w szczególnie ciemnym okresie mojego życia — kiedy porzuciłem Isobel i podjąłem pracę w Wedgwood. Byłem wtedy bardzo nieszczęśliwy i wszystkie moje myśli i nadzieje skoncentrowały się w tej małej czarce. Z niczym, co posiadam, nie byłoby mi się tak trudno rozstać jak z nią.

Pieszczotliwie pogładziła palcami szorstką, szlachetną powierzchnię.

— Dlaczego więc chcesz mi ją dać? — zapytała miękko.

— Zazwyczaj daje się prezenty tym, których się kocha. Postanowiłem przyjść i polecać się do pani, panno Tilsit.

— Mówisz poważnie?

Mark odpowiedział pytaniem: — A co ty na to?

Nie odpowiedziała. Spojrzała na naczynko trzymane w dłoni.

— Dziękuję ci za nią. Jest bardzo piękna. Zawsze będę ją nosić w sercu.

— Ja też — podkreślił.

Garnitur z ciemnej wełnianej flaneli wydawał się krępować mocne ciało Marka, który jednak nie zwracał na to żadnej uwagi. Z taką samą swobodą zachowywał się podczas drinków przed kolacją z rodziną oraz podczas

samego posiłku. Siedział spokojnie, niemal statecznie. Ginny, spotykając od czasu do czasu jego wzrok, kiwała głową w uznaniu dla jego wysiłków, a on uśmiechał się do niej w oczekiwaniu dalszych pochwał. Do Lawrence'a odnosił się tak, jakby poprzedniego dnia w wytwórni nic się nie wydarzyło, i Lawrence to zaakceptował. Rozmawiali bez szczególnej serdeczności, ale i bez wrogości — o pogodzie, naprawach, które należy przeprowadzić przy bramie do posiadłości, tam gdzie sprzedaje się bilety, o nadchodzących wyborach uzupełniających w St. Mary. Kiedy wyczerpano już wszystkie tematy, Mark przysiadł się na sofie do Margaret pytając ją, skąd zaczerpnęła wzór pokrowca na krzesło, nad którym akurat pracowała.

— To oryginalny wzór — odparła. — Bardzo lubię motywy kwiatów i ptaków. Wykorzystuję je w całym domu, gdzie tylko się da. Ten ma przypominać wzór z siedemnastego wieku — to jeden z dwunastu pokrowców dla krzesel w Długiej Galerii. Będą wymienione po raz pierwszy od czasów powstania galerii.

— Rzeczywiście, bardzo będzie do nich pasować — ocenił Mark z uznaniem. Poglądził przez moment jedwabistą fakturę *petit point*, po czym przeszedł do problemu trudności adaptowania do mniejszych form wzorów wyhaftowanych na dużych płaszczyznach. Margaret wdała się w dyskusję z niezwykłym dla niej ożywieniem, a Mark, z pozoru pochłonięty rozmową, mrugnął do Ginny. „Widzisz jaki jestem dobry, gdy tylko zechcę?” — zdawał się mówić. Musiała przyznać, że tak było w istocie. Żadna kobieta nie byłaby w stanie oprzeć się jego urokowi i on dobrze o tym wiedział.

Vanessa zjawiła się na kolacji w wełnianej białej sukni, luźno przewiązanej w talii, prostej jak habit zakonnicy i całkowicie oszałamiającej. Ciemne włosy zebrała do tyłu szkarłatną wstążką. Ginny natychmiast wydała się sobie na jej tle mizerna i pospolita; z zazdrością pomyślała, że powinna była włożyć jedną z tych — jak to nazywała — sukienek Eliota; na przykład tę oryginalną, wełnianą, kupioną na ostrą, nowojorską zimę. Ciekawa była, czy Mark zareagowałby podobnie na jej widok; patrząc na Vanesę miał w oczach wyraz zachwytu i kiwała głową na znak aprobaty. Szybko jednak zwrócił ponownie wzrok ku Ginny, jakby mówił przepraszająco: „Nic nie poradzę. Jestem czuły na piękno, a ona jest taka śliczna”.

Rozmowę Marka i Vanessy podczas kolacji Ginny zносиła z trudem. Wydawali się prowadzić ze sobą słowną grę, w dodatku w sposób, który sugerował, że świetnie się rozumieją. Jej motywem przewodnim były miejsca, ludzie i zdarzenia z dzieciństwa, a Ginny, której to wszystko było zupełnie obce, czuła się zepchnięta na margines. Zauważyła, że Vanessa sprowokowała Marka do wynurzeń na temat rzeźby, nad którą właśnie pracował. Zapominając, że przyszedł, by udowodnić Ginny, że potrafi zachowywać się jak wszyscy, reagował na pytania Vanessy z charakterystycznym dla artystów egotyzmem. Nie bacząc na stygnące na talerzu danie i szeroko gestykulując, próbował wyjaśniać symbolikę swych kompozycji w metalu. Mówił bez przerwy, wodząc oczami po siedzących za stołem, zapominając o jedzeniu i wstrzymując

serwowanie posiłku. Pochłonięty był całkowicie pragnieniem objaśnienia im swojej twórczej pasji, nie zauważając, że ani czas, ani miejsce nie były do tego odpowiednie. Ginny dostrzegła lekkie wzruszenie ramion Lawrence'a, jakby mówił: „Czegóż innego można spodziewać się po Marku Barstowie?” W końcu musiała skinać na Gartha, by usunął prawie nietknięty talerz Marka. Zauważyła, że przez cały czas, kiedy mówił, Vanessa nie spuszczała z niego wzroku; że pytania, jakie zadawała, były inteligentne i docieklive, nawiązywały do jego słów i uzupełniały je. Umiejętnie i bez wysiłku skupiła na sobie uwagę Marka, zostawiając Ginny rolę słuchacza, nie zaś uczestnika dyskusji. Mówił teraz już wyłącznie do Vanessy, więc pozostali zaczęli opuszczać jadalnię.

Przy drzwiach Margaret podeszła do Ginny.

— Jeśli któregoś dnia będziesz miała trochę czasu, musisz zajrzeć do pokoju, w którym haftuję. Jest tam parę rzeczy, które mogłyby cię zainteresować...

— Słucham? — zapytała Ginny, całkowicie zaabsorbowana rozmową tych dwojga.

— Garth pokaże ci drogę... trzeba przejść przez alkierz w Starym Domu. W każdym razie ja jestem tam codziennie.

— Dobrze — odpowiedziała Ginny automatycznie. Margaret wyczuła to, lekko zmarszczyła gładkie czoło, ale po chwili jej twarz znów przybrała swój zwykły wyraz pogodnej pustki.

W nastroju niepewności i rozczarowania Ginny skierowała się do salonu. W drzwiach poczuła nagle rękę Marka chwytającą ją za łokieć. Nachylił się do niej.

— Uciekasz przede mną?

Przeszedł ją dreszcz, a jego dłoń zacisnęła się mocniej.

— Nie uciekaj przede mną, ponieważ... — wstrzymał oddech. — Ponieważ bardzo cię potrzebuję, Ginny.

Ginny zajęła swoje miejsce przy tacy z herbatą, którą naszykował wcześniej Garth. Napełniała filiżanki, a Mark zanosił je pozostałym. Znowu na jego twarzy pojawił się wyraz samozadowolenia; zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że podczas obiadu w sposób niedopuszczalny zdominował dyskusję przy stole. Jednocześnie Ginny wiedziała, że gdyby ktoś mu to uzmysłowił, nie poczuwałby się do skruchy, i miałyby rację. W domu takim jak ten, pomyślała, nie przeprasza się za nadmiar entuzjazmu czy też miłości — a to właśnie zawierały jego słowa. Kiedy więc uniósł brwi pytająco, odpowiedziała mu uśmiechem i skinięciem, a on wydał się jeszcze bardziej zadowolony i szczęśliwy. W pewnej chwili zatrzymał się przed gablotką z drobną porcelaną i cicho gwizdnął. Nie zwracając uwagi na obecnych odstawił filiżankę z herbatą, otworzył szafkę, wyjął jeden z eksponatów i zaczął go dokładnie oglądać. Lawrence zeszytywniał cały, widząc tę bezceremonialność, zaś na twarzy Vanessy ukazał się wyraz rozbawienia.

Ale osobą, która się odezwała, była Ginny.

— Odłóż to, Mark!

Odwrócił się w jej stronę z pociemniałą z furii twarzą.

— Wydaje ci się, do cholery, że do kogo mówisz? Jesteś jak ona, zupełnie jak ona!

Ginny zacisnęła nerwowo dłoń na krawędzi tacy. Poczwała się niepewnie, sama wystraszona, że pozwoliła sobie na rozkazywanie mu.

— Przepraszam... Nie to miałam na myśli. Chciałam... Chciałam ci tylko coś powiedzieć. — Rozejrzała się dookoła. — Chciałam powiedzieć coś wam wszystkim.

Mark z niechęcią odłożył bibelot na miejsce i zamknął gablotkę. Podszedł powoli do kominka. Nikt nie odezwał się słowem. Cisza była tak głęboka, że słycać było szmer jedwabnej nitki przesywającej płótno robótki, nad którą nieprzerwanie pracowała Margaret.

— No więc? — zapytał. Wyglądało na to, że tylko on czeka na jej słowa.

— Chciałabym, żebyście wiedzieli... — zaczęła zdenerwowana. Popatrzyła po ich twarzach, czujnych i badawczych, i od razu poczuła ten sam nastrój co rano, to samo osamotnienie. A wraz z nim narastającą złość. Odłożyła niecierpliwym ruchem filiżankę na tacę, aż głośno zabrzęczała łyżeczka.

— Spotkałam się dzisiaj z Williamem Randallem — podjęła. — Żałuję, że to nie od was, a od obcego — od dziennikarza — i z wycinków prasowych, musiałam dowiedzieć się o rozmiarach nieporozumienia między moim ojcem a Isobel. Chciałam więc powiedzieć wam wszystkim, że nie pochwalam i nie będę tolerować waszych prób decydowania za mnie, o czym powinnam czytać i z kim rozmawiać. Jeśli zechcę porozmawiać z dziennikarzem, zrobię to! Uważam też, że było z waszej strony bardzo głupio myśleć, że zdołacie utrzymać mnie przez dłuższy czas w całkowitej niewiedzy o procesie. Jak sądzicie — zapytała — jak długo mogłabym pozostawać jedyną osobą w hrabstwie, która o niczym nie wie?

Lawrence odchrząknął.

— To był pomysł Randalla, i muszę powiedzieć, że uważałem go za całkowicie nierealny. Wiedział od Isobel, że nie powiedziano ci nigdy o tym, co wydarzyło się tu, w Anglii. Uważał, że jak na pierwsze dni, miałas wystarczająco...

— Randall — przerwała Vanessa — jest sentymentalnym głupcem. Czasami wydaje mi się nawet, że jest bardzo złym prawnikiem.

— Tu nie o to chodzi — kontynuowała Ginny. — Chodzi o to, że teraz już wiem... o sprawie sądowej i powodach wyjazdu ojca. I chciałabym, żebyście dłużej nie udawali, że był jeszcze jakiś inny powód. Wiem, że mój ojciec nienawidził... tak, nienawidził... swojej siostry. Miał po temu powód... według mnie wystarczający.

— Może i wystarczający, ale na pewno nie słuszny. John miał rację, że oszczędził ci szczegółów. Nie było konieczne, byś dowiedziała się o wszystkim.

— Ale teraz jest konieczne — półprawda jest na ogół gorsza niż cała prawda.

Lawrence wzruszył ramionami.

— Jeśli sobie tego życzysz... proszę bardzo. Czasami jednak nieświadomość jest dużo szczęśliwszym stanem.

— Z pewnością — przyznała Ginny. — Ale ja nie prosiłam o wydobycie mnie z tego stanu. Zdecydowała za mnie Isobel.

Lawrence skinął głową.

— To prawda. Masz oczywiście prawo pytać. Ale uważam, że te sprawy nie dotyczą tu nikogo poza mną. W końcu spośród wszystkich zamieszkujących Tilsit w czasach, gdy toczył się proces, żyję tylko ja.

— Ale wy wszyscy włączyliście się do zмовy milczenia. I dlatego chciałam, żebyście wiedzieli, że znam już okoliczności wyjazdu mojego ojca i że nie musicie dłużej chronić mnie przed kontaktem z dziennikarzami.

Lawrence poprawił się w fotelu.

— Nie jest to najszczęśliwszy okres do wspominków... czy możesz mieć mi za złe, że przystałem na sugestię Randalla, żeby zostawić to na jakiś czas? Wtedy wydarzenia zdawały się nakładać jedne na drugie. Wydano wyrok w sprawie o dziedziczenie, a zaraz potem doszło do poważnego wypadku w wytwórni, którego można było przecież uniknąć. No i to straszne nieszczęście Isobel. Nie było mnie akurat w Tilsit... twój ojciec wyjechał. Posłali po mnie... Isobel posłała po mnie.

— To wtedy okaleczyła sobie twarz?

— Nie tylko twarz... została również ciężko ranna w głowę, ale oczywiście kiedy odrosły jej włosy, blizny nie było widać...

Mark odwrócił się i w odruchu desperacji kopnął z powrotem węgielek, który wypadł z paleniska.

— Na miłość Boską! — krzyknął. — Czy musimy znów przechodzić przez to wszystko? Ta kobieta została zeszpecona, okropnie zeszpecona! Czy szeregóły są tu ważne?

Lawrence odwrócił głowę od Ginny i wbił wzrok w Marka. Ich oczy spotkały się; Mark odszedł od kominka i spojrział w stronę pozostałych.

— Może nie są. Życie Isobel było tragiczne. Tym bardziej że musiało spotkać ją po raz drugi takie samo nieszczęście.

— Nie rozumiem... — Ginny nie kryła zdziwienia. A Lawrence, nie spuszczać wzroku z Marka, odpowiedział:

— Nie wiesz? Zraniła się podczas upadku z urwiska. Isobel spadła dwa razy z tego samego urwiska. Za drugim razem, dziesięć dni temu, poniosła śmierć.

Rozdział czwarty

Po kilku dniach Ginny bezwiednie podporządkowała się odwiecznym zwyczajom panującym w Tilsit. Śmierć Isobel i przyjazd młodej dziedziczki zakłócił co prawda na moment dotychczasową egzystencję posiadłości, ale jej historia i rytm życia trwały zbyt długo, by takie wydarzenia mogły pociągnąć za sobą istotniejsze zmiany. Ginny wstawała i kładła się o tej samej porze, przyjętej tu przez wszystkich; domownicy dostosowali się do dawnych przyzwyczajień Isobel, a ta z kolei przejęła nawyki po Jane, której ojciec, sir Henry Tilsit, wprowadził taki zwyczaj. Tak więc ciągłość tradycji nie została przerwana. Ginny miała dziwne przeczucie, że gdyby dokładnie przeszukała dokumenty w gabinecie Isobel, znalazłaby odpowiednie pisemne rozporządzenia. Codziennie wmawiała sobie, że od jutra zacznie wprowadzać pierwsze zmiany, choćby najdrobniejsze, żeby podkreślić, że czas płynie naprzód. Nie robiła jednak w tym kierunku niczego, a monotonne życie Tilsit wciągało ją w swój nurt.

Zwyczaje były tu niezmiennie; potrafiły wchłonąć bez śladu wstrząsy, które zburzyłyby bardziej chwiejne instytucje. Tilsit pozostał nie zmieniony mimo śmierci Isobel, mimo tego, jak umarła. Szerzyły się plotki, padały oskarżenia, mówiono o skandalu... a potem wszystko ucichło. Lawrence nadal spotykał się i pracował z Markiem, ponieważ Tilsit go potrzebował; Brown również tolerowała Marka, chociaż nienawidziła go i mu nie ufała. Wszyscy oni prawdopodobnie ubolewali z powodu rosnącej zażyłości między nim a Ginny, ale jednocześnie akceptowali to, ponieważ to ona była spoiwem, które miało utrwalić ten dziwny związek między Markiem a posiadłością. Był on tak samo częścią Tilsit, niezależnie czy chciał tego czy nie, jak gdyby urodził się w jego murach i wciąż tam mieszkał. Przesądziła o tym Isobel wiele lat temu i tak już zostało. W momentach, kiedy samotność zaczynała być nie do zniesienia, a wspomnienie St. Nicolaas, Jima i Katrien uzmysławiało jej z całą ostrością dziwaczność świata, który teraz zamieszkuje, Ginny

zaczynała zastanawiać się, czy przypadkiem przyzwyczajenie nie odgrywa w Tilsit roli decydującej.

Listy od Jima i Katrien były odpryskami tego, co tak dobrze znała, a co stało się dla niej — nawet po tak krótkim okresie pobytu tutaj — niewiarygodnie odległe. Listy Katrien były takie jak ona sama — rozsądne, spokojne, zabarwione charakterystyczną dla niej przyziemną mądrością. Pisała o sprawach wyspy, nie zadawała pytań, niemal nie zauważała faktu, że córka prowadzi teraz życie, jakie John zamknął w pamięci na wszystkie te lata, kiedy się znali. Cierpliwość Katrien była niewzruszona. Potrafiła czekać, żeby mąż zaczął mówić pierwszy, co nigdy nie nastąpiło, może więc poczekać jeszcze trochę. „Tu nic się specjalnego nie dzieje — pisała — a jednocześnie dzieje się coś każdego dnia. Tęsknimy za tobą”. Nie pytała Ginny, kiedy wraca i czy wraca w ogóle.

Listy od Jima były inne. „Co, na Boga, się z tobą dzieje? — Jego irytacja i niepokój wybuchały słowami, które miały w zamyśle być zabawne, ale takimi nie były. — Czy na twoim piętrze w Tilsit stoją może jakieś zbroje rycerskie? — pytał. — Poproś jedną z nich, żeby do mnie napisała, może od niej dowiem się czegoś więcej”. — Przedstawiał długie wyliczenia osiągnięć na budowie, pisał trochę o Willemstad, o przybyciu nowego inwestora, o dyskusji wokół nowej szkoły. O wszystkim tym Ginny wiedziała jeszcze przed wyjazdem z St. Nicolaas. Jim wyczuwał, zresztą całkiem prawidłowo, jak wiele się w niej zmieniło, dlatego malował przed nią barwy wyspy tak śmiało i ostro, jakby ich zupełnie nie znała.

Musiał wciąż nawiązywać do własnego spojrzenia na świat, żeby choć próbować przeciwdziałać wpływowi, jaki mógł wywierać na nią Tilsit. A ponieważ przyszło mu walczyć z czymś, czego nie znał, usiłował w desperacji odwoływać się do obrazów, które były mu bliskie i były też najprawdziwsze dla Ginny. „Wpatruję się każdego ranka w plażę i nie widzę ciebie; gdzie jesteś i czy wrócisz tu kiedykolwiek? Bo również o to pyta. Robi się coraz starszy i nie jest już takim optymistą, jakim był przed twoim wyjazdem. Czasem próbuje ciebie szukać. Mówię mu »Nie dzisiaj, Bo. Dzisiaj ona nie przyjedzie«, a on tylko powarkuje i kładzie się z powrotem”.

Ginny odkładała listy na bok, nie wiedząc co odpisać, na próżno szukając sposobu wyrażenia tego, co przeżywa. Jej odpowiedzi były suche i niezręczne. Chciała ich poprosić, by wstrzymali się jeszcze trochę z opinią, ale wtedy mogliby zapytać: „Z opinią? W jakiej sprawie?” Tak więc pisała do nich jak dziecko, jak gdyby nic się z nią nie działo. I wszyscy troje zdawali sobie sprawę, że w jej listach brzmiał fałsz.

Przeciwagą listów były pamiętniki; mówiły one własnym głosem i wciągały ją w sprawy Tilsit. Czekwały na nią każdego wieczoru, tak niezawodnie jak Brown; ich obecność była tak samo realna jak obecność Brown, tyle że sekretna. Były nicią, łączącą ją z dwiema kobietami, spoczywającymi już w ziemi, niewidoczną, ale bardzo mocną; pociągnęła Ginny w przeszłość tak silnie, że stała się współniczką myśli i woli tych

dwóch kobiet — kobiet, które przetrwały dłużej niż ich mężczyźni, których siła była życiem Tilsit przez ostatnie sto lat, których ślad odbił się na każdym jego kamieniu. Ginny spoglądała na zapisane linijki jak w lustro, widząc w nich, z lekkim przerażeniem, niewyraźny i zamazany obraz osoby, która mogła być nią samą.

Obie kobiety opisywały w wyczerpujących detalach każdą minutę życia w Tilsit. W jednym z oprawionych w aksamit zeszytów Jane pisała: „Mur przy dolnym tarasie kruszy się i trzeba go naprawić. Brzeg obsadzamy”... — i tu następowała cała lista bylin. Wyliczała zakupy obrusów adamaszkowych i noży kuchennych, odnotowała zwolnienie drugiego lokaja za rozbicie porcelanowej figurki z Chelsea. Rozrywkom w Tilsit prawie się nie oddawano, mimo okazałości majątku. Jane odwróciła się plecami do całego życia, toczącego się poza jego murami i poza fabryką porcelany. „Otrzymaliśmy zaproszenie na przyjęcie u Ecclestonów, niewątpliwie tylko dlatego, że potrzebują, by George Martin zachęcił pracowników fabryki do pójścia na głosowanie. Oczywiście nie wybieramy się tam. Powinni byli to zrobić całe lata wstecz”. Była też wzmianka o pogodzeniu się z wikarym. „Wikary przyszedł na herbatę. Liczył na dotację na nowy dach, ale odmówiłam, ponieważ nie chodzimy do kościoła. Nowy przepis na placek ze śliwkami jest wspaniały. George Martin zjadł połowę za jednym posiedzeniem. Musiał później ratować się sodą oczyszczaną”.

Było tam mnóstwo spraw banalnych, prosto z poradnika domowego. Sprawy, które raniły jej serce, Jane relacjonowała bardzo oszczędnie, jakby ból był zbyt silny, by o nim pisać.

„Dziecko, które się urodziło, zmarło. Daliśmy mu imię Henry John”.

Równie lakoniczne były zapiski o zdarzeniach radosnych. Dwa lata później notatka informowała krótko: „Córka, Elizabeth, zdrowe dziecko”. W następnych latach było sporo wzmianek na temat Elizabeth, jak rosła i rozwijała się. W pewnym miejscu przez tematy związane z gospodarstwem przebił się krzyk udręki: „Czyżby nie miało być więcej dzieci w Tilsit?”

Gorycz, którą nadzieja trzymała na uwięzi, stopniowo w niej narastała. Notatki w dzienniku wyraźnie wskazywały, że Jane przygasła i zamknęła się w sobie. Wraz z wiekiem uwypuklało się jej poczucie dumy i obojętność wobec spraw hrabstwa. Wspominała, co prawda, o większych towarzyskich wydarzeniach w okolicy, ale zawsze podkreślając, że albo nie zostali zaproszeni, albo nie wzięli w nich udziału. Aż wreszcie zabiegi sąsiadów ustały i Tilsit pograżył się w izolacji. Jane ubolewała nad tym, chociaż sama do tego doprowadziła. „Czy mam to znosić przez całe życie, ja i moje dzieci?” Nie zauważała, że przyczyniło się do tego jej własne zgorzknienie. Wciąż podsyciała w sobie wiarę, że będzie miała więcej dzieci. „To niemożliwe, żeby nie miało być ich więcej!” — pisała. Ale nie mogła powołać ich do życia w ten sam sposób, w jaki decydowała o egzystencji George’a Martina.

Wytwórnia porcelany prosperowała, stawała się coraz bardziej znana, dostarczając na rynek miliony starannie zdobionych kubków, waz, półmisek.

George Martin łątowo wyrósłby ponad granice Tilsit, gdyby tylko pozwoliła mu na to Jane. „Przybyli prosić George'a Martina, by kandydował do Parlamentu. Kazałam mu zdecydowanie odmówić. Czy wydaje im się, że przekonają nas o swoim szacunku, bo uznali, że możemy im się przydać?”

Sześć miesięcy później na kolejnej stronie widniała samotna wzmianka: „Królowa wydaje wielkie przyjęcie w ogrodach Osborne, na wyspie Wight. Zaproszono tam całe hrabstwo, wszystkich, poza Tilsitami”.

To przeoczenie, czy może afront, bolało latami. Sześć lat później Jane pisała: „Królowa zaproponowała George'owi Martinowi tytuł szlachecki. Kazałam mu odmówić”.

W 1887 roku nastąpiła informacja: „George Martin Tilsit zmarł dzisiaj w spokoju”.

Jedynе dziecko Jane, Elizabeth, przyniosło jej rozczarowanie. Odnotowywała różne wydarzenia z życia córki, na przykład jej małżeństwo z Johnem Bowenem, który przybrał nazwisko Tilsit, lecz raczej z obowiązku niż z prawdziwego zainteresowania. „Liczyłam, że dojrzałość zmieni Elizabeth, ale muszę stwierdzić, że mimo swego wieku jest ona nadal osobą płochą, a jej mąż ma wręcz słaby charakter. Moje nadzieje spoczywają w ich dzieciach”. Elizabeth i John Bowen-Tilsit zmarli w tym samym tygodniu podczas epidemii w Paryżu, a Jane poleciła, by ich ciała pochowano w grobowcu rodzinnym w Tilsit.

Odtađ pamiętniki koncentrowały się na Isobel i Johnie; od samego początku Jane zwracała uwagę przede wszystkim na wnuczkę. „John zdradza cechy swego ojca, słabość i niezdecydowanie. Trzeba go pilnować i kierować nim”. Zanim jeszcze skończył osiemnaście lat i wstąpił do Cambridge, decyzja co do przyszłości majątku wydała się przesądzona. John nigdy nie stanie się człowiekiem odpowiedzialnym. Zawsze będzie musiała kierować nim Isobel. Tak też zdecydowałam w moim testamencie”.

Podobnie jak u Jane, również w dziennikach Isobel dominowały kwestie domowe, i Ginny musiała uważnie się czytywać, by wyłoić te momenty, które zaciążyły na jej życiu. Isobel również nie poświęcała wiele miejsca ważniejszym wydarzeniom, zaledwie napomykając o nich. Wzmianek o procesie, który wytoczył jej brat, by obalić testament, prawie nie było. Zaledwie jeden zapis po odnotowaniu śmierci Jane Tilsit. Choć nie było ani słowa o pogrzebie, na pustkę w jej sercu wskazywała krótka wzmianka: „Babcia nie żyje”. A tydzień później napisała: John okazał się na tyle głupi, że zakwestionował testament w sądzie. Oczywiście nie uda mu się to”. I następnie: „Biedny John, niczego się do tađ nie nauczył i trzeba będzie wziąć się za niego od początku”.

W ciągu następnych sześciu miesięcy nie wspominała prawie o przebiegu procesu — tak jakby była przekonana, że żadnej sprawy nie ma. Można było natomiast wyczuć w jej zapiskach, jak bardzo boli ją zakaz wstępu do wytwórni porcelany; odnotowywała tajne spotkania poza fabryką z głównym projektantem, snuła plany na przyszłość, kiedy przejmie pełną kontrolę.

Wielokrotnie przewijało się w dziennikach nazwisko Edwarda Ashleya. Nigdzie jednak Ginny nie znalazła słowa o miłości. Kulminacją tematu było suche stwierdzenie: „Zaręczyłam się z Edwardem Ashleyem”. Albo go nie kochała, albo też niezdolna była, jak jej babka, do wyrażania na piśmie najłagodniejszych uczuć.

Zakończenie sprawy sądowej skomentowała krótko: „Wyrok został wydany. Było nieuniknione, że zapadnie na moją korzyść”. I zaraz potem, napisane naprędce, jakby pod wpływem ciosu zadanego w najczulsze miejsce: „Okropny wypadek w wytwórni... To wina Johna, który zatrzymał modernizację w złym momencie, ale oczywiście ja będę musiała odpowiadać za to nieszczęście przed wszystkimi. Dla nich Fabryka Porcelany Tilsit — to ja”.

Na następnej stronie Ginny znalazła ostatnią wzmiankę, bez daty, napisaną już spokojną, pewną ręką Isobel: „John porzucił Tilsit i Anglię, a ja... ja jestem stracona”.

Pozostałe kartki w zeszycie były puste.

Ku zdumieniu Ginny następny tomik pamiętnika Isobel zaczynał się dopiero w rok po tym, jak poprzedni urwał się tak nagle. Pismo było staranne, wystudiowane, jakby autorka dziennika dużą wagę przywiązywała do nowego początku i do tego, co znajdzie się na nie zapisanych jeszcze stronicach.

„Wróciłam z Wiednia. Nie jest ani lepiej, ani gorzej niż przed wyjazdem. Nic nie mogli zrobić... Będę musiała zapomnieć, jak wyglądałam, nauczyć się patrzeć w lustro i nie widzieć swojego odbicia”. I dalej, jednym ciągiem, jakby następne zdania były ściśle związane z poprzednimi: „Oczywiście teraz już nie ma mowy o małżeństwie. Zerwałam zaręczyny z Edwardem Ashleyem”.

W ten sposób, tak niezwykle lakonicznie, Isobel skwitowała najbardziej doniosłe wydarzenia w jej życiu. Kolejne zapiski dotyczyły już tylko spraw codziennych Tilsit, dalszej przebudowy wytwórni... Jeśli Isobel miała w ogóle serce, stygło ono powoli pod nawałem drobnych zdarzeń, które składały się na jej życie. Ginny skończyła swe nocne sesje z Jane i Isobel, kiedy świeca zaczęła się dopalać. Czowała zawód, że lektura dała jej zaledwie mgliste pojęcie o tym, co dręczyło obie te kobiety, że cała lawina faktów z ich życia pozostała dla niej niedostępna. Nie uzyskała odpowiedzi na nekające ją pytania: co tak naprawdę wydarzyło się w czasie, gdy ojciec wyjeżdżał z Tilsit, co się kryło za przerażającymi słowami Isobel: „Jestem stracona”?

W conocnej lekturze dzienników, będących opowieścią o dumie i śmierci, Ginny szukała sensu życia i miłości. Zdusiła knot dopalającej się świecy, stanęła przy oknie, wypatrując w ciemności zarysów drzew na wzgórzu w poświacie płynącej z okna w dachu studia Marka. Nie mogła stąd dostrzec samej pracowni, ale jaśniejące nad nią niebo przekonywało o jej bliskości i przywracało nadzieję. Mark stanowił dla niej pełną afirmację życia.

Wyrobiła teraz w sobie zwyczaj porannych wypraw przez wzgórza, obok warowni i ścieżką wzdłuż urwiska do jego domku. Już nie przeszkadzało jej, że Trip nie zapuszczał się dalej i że głośno szczekał, jakby chcąc powstrzymać ją przed dalszą drogą. Teraz rozumiała jego strach, związany ze śmiercią

Isobel, i przestała zastanawiać się, czy ma on coś wspólnego z Markiem. Zdołała nawet ignorować fakt, że Trip wykazuje wciąż lęk na jego widok i że Mark z trudem powstrzymuje niechęć wobec psa. Wśród całej niezwykłości Tilsit były to w końcu tylko drobiazgi. Ginny udawało się nie przywiązywać do tego wszystkiego wagi, choć zdawała sobie sprawę, że trochę była wobec siebie samej nieuczciwa.

Znacznie większe znaczenie miał dla niej fakt, że za każdym razem, gdy wchodziła do studia, czuła uniesienie. Miejsca tego nie uważała już za surowe, a ostre, północne światło nie wydawało się nieprzyjemne. Nie przejmowała się więcej, że Mark nie przerywał pracy, kiedy przychodziła. Jakaż byłam głupia, myślała teraz, że tego oczekiwałam. Jeżeli pracował akurat za kołem garncarskim, szybkość, z jaką wirowało, nie zmieniała się ani na moment, nawet jeśli rzucał jej krótkie spojrzenie, które od razu nabierało ciepła. Ponad tydzień polerował nierdzewną stal nowej abstrakcyjnej rzeźby. Teraz przerwał na chwilę, by dać odpocząć zmęczonym rękom.

— Znowu przyszedł mi przeszkadzać? — powiedział z wyraźnym zadowoleniem. Skinęła głową i poszła do kuchni zaparzyć kawę. Mark skrzywił się, pijąc. — Spodziewałem się, że umiesz robić dobrą kawę, może dlatego, że mieszkasz w Nowym Jorku. Ale widzę, że posiadaś już angielski talent do psucia jej smaku.

Nie miała mu za złe tego dogryzania. Traktowała to jako swoisty język miłości, pełen złośliwostek i prowokacji. Mark wtedy często przyciągał ją do siebie, trochę szorstko, a trochę władczo.

— Boże, jaka ty jesteś piękna rano. Czy wiesz o tym, moja panno? Taka błada i złota, i nie całkiem obudzona. Daj mi teraz całusa i skończmy z tym... Dobrze wiesz, że te trele-morele nie prowadzą do bogactwa ani do sławy... — Całował ją, a następnie odpychał żartobliwie od siebie, wracał do pracy i zapominał o jej istnieniu.

Niepokoilo ją, że wtedy właśnie, taki pochłonięty pracą, najbardziej przypominał jej Jima.

Pracował nieustannie. Wbrew temu, co sugerował Lawrence, co twierdziła Brown — że niby idzie na łatwiznę — harował jak nawiedzony. Ginny często znajdowała na desce szkice, jakie kreślił na różnych etapach projektowania wzoru, by zbliżyć się do tego, co chciał zobaczyć na okrągłej płycie talerza, a potem na Filizance i spodeczku. Powtarzały się w nieskończoność, kiedy dążył do tego, by znaleźć wzór, który najbardziej odpowiadał jego wyobrażeniu. Codziennie pojawiała się na szkicach coś nowego i Ginny wiedziała, dlaczego w studio pali się światło o świcie. Projekty rzeźb leżały na stole obok siebie i nigdy nie wiadomo było, który z nich zamierzał wybrać. Obojętne, czy pracował nad ukochanymi abstrakcjami w brązie i stali nierdzewnej, czy nad projektami desenu na zwykły, codzienny dzbanek do kawy — był tym pochłonięty całkowicie i bez reszty. Nie zajęło jej zbyt dużo czasu upewnienie się, że nigdy nie proponował Isobel byle czego.

Pewnego razu, gdy weszła do pracowni w mglisty poranek, z kroplami

wilgoci na włosach i płaszczu, odłożył na bok narzędzia, podniósł się i przeciągnął z jakimś nieokrzesanym wdziękiem i witalnością; patrząc na niego Ginny zrozumiała, dlaczego wciąż tutaj przychodzi. Miał przekrwione oczy, ale emanowała z niego energia i magnetyzm, które przyciągnęły ją już za pierwszym razem. Nawet zmęczenie nie potrafiło przygasić wewnętrznego blasku tej energii.

— Boże, która godzina? — zapytał. — Jeszcze się nie zdążyłem położyć. — Objął ją lekko ramieniem i przeszli do kuchni.

— Kochanie, ugotuj mi dwa jajka, dobrze? Strasznie jestem głodny. — Odkroił parę grubych kromek chleba z bochna i zaczął się opychać. Przy drugiej kromce zatrzymał się, by rozsmarować na niej tłuszcz, który wyciągnął z lodówki. — Smalec — wykrztusił z wypchanymi ustami. — Najlepiej smakuje, gdy jest się głodnym. Kiedy byłem dzieckiem, przywykłem żyć o chlebie ze smalcem. Byłem biedny i głodny, i zawsze wydawało mi się, że czuję wtedy smak mięsa z poprzedniego tygodnia.

Uśmiechnął się, ziewnął szeroko otwartymi ustami, pełnymi nie przekniętego chleba. Jego prostackie zachowanie łagodziła bijąca z niego naturalność i ciepło. Zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się.

— Ależ ze mnie prymityw, prawda, Ginny?

— Ciężko pracujesz — odparła, zapalając gaz pod rondelkiem.

— Pracuję! — Nagle spowaźniał. — Mój Boże, nawet jeszcze nie zacząłem. Daj mi tylko dziesięć takich lat jak ostatni rok! — Ręka zacisnęła mu się w napięciu na krawędzi stołu. Jego głos wydawał się odbijać głośnym echem od ścian kuchenki. — Nie wystarczy mi godzin i dni. Głowę mam pełną pomysłów, które chciałbym wypróbować. Jest tego tyle, że chyba zwariuję. Spieszę się jak szalony, żeby nic mi nie umknęło...

Była w nim także wewnętrzna dyscyplina. Koło południa ściągał poplamiony sweter i spodnie, i szykował się na wizytę w fabryce.

— Krawat i czysta koszula... Jestem w końcu członkiem zarządu i szefem działu wzornictwa w Tilsit, a to zobowiązuje... Ale wciąż mi się wydaje, że wkładanie dzień w dzień czystej koszuli jest grzechem. I rozrzutnością.

Nigdy nie brał Ginny ze sobą do fabryki.

— Nie poprawiłoby morale pracowników, gdyby widzieli cię tu codziennie ze mną. Nie byłoby w porządku...

Drogę do wytwórni poznała jednak bardzo szybko. Chodziła tam często, i to bynajmniej nie po to, by spotkać Marka. Po jakimś czasie stało się to jej zwyczajem, tak jak czytanie pamiętników, poranne wizyty na śniadaniu i spacer z Tripem. Z czasem robotnicy przestali zwracać na nią uwagę, a Lawrence skłaniał tylko lekko głowę znad swego biurka pod oknem i nie przerywał pracy. Wolnym krokiem obchodziła halę, zatrzymując się gdzieśgdzie, przypatrując się ruchom rąk garncarzy i czując wdzięczność, jeśli któryś z nich podnosił wzrok, by skinąć głową jak komuś znajomemu, po czym wracał do swego zajęcia. Nie orientowała się jeszcze w całym procesie

produkcji, ale było jej łatwiej zadawać pytania tu na miejscu, słuchać wyjaśnień obserwując tok pracy, czekając, aż odpowiedź zacznie nabierać dla niej sensu.

— Dlaczego zabarwiasz glinę na różne kolory — na różowo, niebiesko i zielono?

— Żeby oznaczyć różne jej rodzaje. Na przykład ta jest na porcelanę, a tamta na fajans. W ten sposób nie popełnię błędu. To barwniki roślinne. Gliną przy wypalaniu.

Zaczynała poznawać terminy, a nawet używać ich odczuwając wyraźną satysfakcję — biskwit i wysoki połysk, fryta i glinka garncarska, wzór na szkliwie i pod szkliwem, aerografia... Z początku odzywała się nieśmiało, obawiając się popełnić gafę. Szybko jednak zrozumiała, że jej próby i sukcesy spotykają się u robotników z uznaniem, a nawet z pomocą, jakby była dzieckiem uczącym się stawiać pierwsze kroki.

Najwspanialsze jednak było — jak to zapowiedział Mark — obserwowanie toczenia na kole garncarskim. Potrafiła stać w nieskończoność, patrząc, jak z grudy surowej gliny ze zdumiewającą szybkością wyłaniają się różne kształty. Jej obecność przyjmowana była przez robotników jak coś normalnego. Czasami wydawało jej się, że kształty misek, waz i dzbanków wytryskają po prostu z ich rąk. Poczwała się niesamowicie, gdy wreszcie zaczęła rozumieć, że sprawia to siła odśrodkowa kręcącego się koła i nacisk rąk na mokrą glinę. Coraz większe wrażenie robił na niej fakt, że spośród setek naczyń, jakie wychodziły spod ich palców w tej masowej przecież produkcji, przy której każdy egzemplarz miał dokładnie powielać ustalony wzór i kształt, ani jedno naczynie nie było identyczne z następnym. Wspominała wówczas słowa Marka o garncarzach z małych warsztatów: „We wszystkich ich produktach wyczuwa się dotknięcie ręki człowieka. Wiesz od razu, że zrobił je człowiek, nie maszyna. Dlatego właśnie waza grecka czy dzban rzymski, nawet zrobione przez najzwyczajniejszego ówczesnego garncarza, mają w sobie moc, która wciąż oddziałuje na nas mimo upływu wieków. Sztuka garncarska przemawia najstarszym językiem, jaki znamy”.

Przyglądanie się powstającym kształtom rodziło w niej pokorę i szacunek do tej pracy. Jeden z pomocników urabiających glinę zapomniał o jej obecności, więc kiedy podniósł nagle głowę, na jego twarzy ukazał się wyraz zaskoczenia.

— Pani ciotka też zwykła tu przystawać. Zawsze przyglądała się i podpowiadała nam, jeśli coś nie szło jak trzeba. Ale żeby stać tak cichutko jak pani, kiedy wszystko jest w porządku... Wygląda, że gotuje się pani do zajęcia jej miejsca...

Ginny odwróciła się i wyszła w nagłej panice.

Również świat spoza Tilsit dał znać o sobie. Stopniowo, z początku nieśmiało, zaczęły składać wizyty rodziny z sąsiedztwa. Ginny zostawiła

w łaźnicy na dole grzebiń i szminkę, żeby móc poprawić wygląd w razie nieoczekiwanego przywołania do salonu. Pierwszy zjawił się wikary, który mówił w bardzo konwencjonalny sposób, głównie o Isobel i o nabożeństwie żalobnym, tak jakby to miało znaczenie dla Ginny, która ciotkę widziała tylko raz w życiu. Odwiedzający byli podobni do siebie — twarze ludzi dobrze wychowanych, mężczyźni na ogół przystojniejsi niż kobiety, ubrani starannie, w niegustowne, prowincjonalne stroje. Ich nieśmiałość dziwiła ją, bo nie wyglądało na to, by zachowywali się tak na co dzień. Wyjaśniła jej to jedna z kobiet, z brzydką, zdenerwowaną twarzą, wyglądającą spod kapelusza identycznego jak ten, który nosiła w San Juan Isobel.

— Musi pani wybaczyć, moja droga, że zachowujemy się tak, jakbyśmy w każdej chwili mogli być stąd wyproszeni. Minęło tyle czasu, wie pani, a Tilsit nie potrafił wybaczyć hrabstwu, i na odwrót. Tę absurdalną tradycję Isobel przejęła od tej śmiesznej starszej pani, swojej babki. Czasami myślę, że miała trochę nie po kolei w głowie — zresztą one obie; jestem wystarczająco stara, by ją pamiętać. Cieszę się, że teraz będzie inaczej. Najwyższy czas, żeby Tilsit włączył się jak należy w nasze sprawy. Nie zniesiemy dłużej kolejnych pustelników. Czasy są przeciwko nim, moja droga.

Nie wszyscy zachowywali się jak ona. Któregoś dnia wizytę złożyła drobna kobieta o zmęczonym wyglądzie, w spłowiełej brązowej sukni.

— Przyszłam, panno Tilsit, w sprawie mojego syna, Ricka. Pani ciotka interesowała się nim... widziała jego prace na wystawie w tutejszej szkole. Obiecała, że w odpowiednim czasie pomoże mu dostać się do jakiejś szkoły plastycznej. Jej śmierć złamała mu serce, panno Tilsit. Zastanawiam się, czy pani nie mogłaby...

A kiedy Ginny próbowała wytłumaczyć jej, że na razie nie ma żadnych uprawnień do majątku, nie ma pieniędzy ani możliwości pomocy komukolwiek, popatrzyła na nią w osłupieniu.

— Ale przecież pani jest panną Tilsit, nieprawdaz?

Spośród wszystkich odwiedzających najlepiej zapamiętała lorda Chardleya. Nawet sposób zaanonsowania jego przybycia przez Gartha wbił się jej w pamięć — na białych, zapadniętych policzkach starego człowieka nieoczekiwanie pojawiły się rumieńce.

— Lord Chardley do pani, panno Virginio.

Na widok podniecenia na twarzy Gartha zerwała się.

— Co się stało, Garth?

— Nic takiego, proszę pani... tylko że jego lordowska mość...

Wtedy przypomniała sobie, że to właśnie Chardley był tym, który pożyczył ojcu pieniądze w czasie procesu. Z zachowania Gartha domyśliła się, że od tej pory nie był w Tilsit ani razu. Doznała szoku, gdy zobaczyła zwiotczącą twarz mężczyzny, który na jej widok usiłował podnieść się pomagając sobie łaską. Pamiętała bowiem słowa Randalla, że Chardley i jej ojciec byli przyjaciółmi w Cambridge. Ojciec przecież nie mógł być w tym samym wieku co on?

— Cieszę się, że cię widzę, moja droga. — Ujął jej dłoń, jakby chciał się na niej oprzeć. — Dużo czasu minęło, odkąd byłem tu ostatni raz. Jeszcze przed wyjazdem Johnnie'ego...

A więc ktoś, kiedyś, nazywał jej ojca Johnnie. Zupełnie nie mogła sobie wyobrazić człowieka nazwanego Johnnie, który był młody w tym samym czasie, co ten przywędnięty mężczyzna.

— Kochałem Johnnie'ego — powiedział lord. — Wielu z nas go kochało, ale dla mnie był najlepszym przyjacielem. Bardzo mi go brakowało, kiedy wyjechał... Musiałem tu przyjść i zobaczyć, jaka jest jego córka. — Uśmiechnął się, a zmarszczki głęboko przeorały mu twarz. — Myślisz pewnie, że jestem stary, starszy niż ojciec. Nie, byliśmy w jednym wieku... Widzisz sama, co artretyzm robi z człowieka w tym klimacie. Słyszałem, że Johnnie miał szybką śmierć. Miał szczęście.

Przechylił się, zaglądając jej w twarz.

— Musiałem tu przyjść i przekonać się. Musiałem cię zobaczyć. Słyszałem, że jesteś bardzo podobna do Isobel. Oczywiście to nieprawda. — Rękę, powykręcaną i spuchniętą w stawach, położył lekko na ramieniu Ginny. — Jesteś sobą... dostrzegłem to w chwili, kiedy tu weszłaś. Nie ma w tobie ani Johnnie'ego, ani Isobel. Trochę żałuję, że nie jesteś bardziej podobna do niego. Ale jednocześnie cieszę się, że odwiedziłem cię, póki tu jeszcze jesteś.

— Zostanę...

Przerwał jej, kręcąc przecząco głową.

— Nie widzę ciebie tutaj. Należysz do siebie samej, nie do Tilsit. Dla mnie jesteś jak przelotny ptak... — Podniósł się z trudem. — Muszę już iść. Jechałem właśnie na zebranie, gdy poczułem nieodpartą chęć poznania ciebie. Chciałbym, żebyś odwiedziła mnie kiedyś w Long Knedston, jeśli znajdziesz czas. Ale nie myślę, żebyś została tu tak długo.

Zadzwoniła po Gartha, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego nie znalazła słów, żeby zaprzeczyć jego przepowiedni.

Jedynym człowiekiem, który protestował przeciwko poddawaniu się przez Ginny rutynie, ustalonej kiedyś przez inną kobietę, był Mark.

— Na Boga, dziewczyno, zerwij z tym. Wyrwij się stąd na parę dni. Gdzie twoja ciekawość? Nie byłaś dotychczas dalej niż w Bournemouth! Weź sobie tydzień wolnego i jedź do Londynu. Albo nie, ja cię wezmę do Londynu... to właśnie zrobię!

Ale nic z tego nie wyszło. Rozmawiali o wyjeździe... w nieokreślonej przyszłości, bo na razie było zbyt dużo pilniejszych spraw na miejscu. Jak Mark mógłby wyjechać, skoro właśnie przygotowano formy na nowy wzór porcelany? Czy mógłby zostawić pomysł nowej rzeźby "Zmartwychwstanie", który zaczął dopiero przelewać na papier? Wyjechać ryzykując, że jego koncepcja i nastrój podniecenia uleci i nigdy nie wróci? A Ginny? Czy

mogłaby wyjechać, kiedy z każdym dniem dowiadywała się czegoś nowego o historii rodu, o sztuce garnarstwa?

Tak to tłumaczyli sobie nawzajem. Prawda była jednak inna: oboje obawiali się, że poza obrębem posiadłości poczują się sobie obcy. Tu rutyna podtrzymywała ich bliskość. Zewnętrzny świat również przypominał o sobie. Listy od Katrien zdawały się wciąż potwierdzać jego wartość w zwykłych, nieskomplikowanych słowach; tę wartość Ginny starała się odsunąć na drugi plan przy każdym spotkaniu z Markiem. Gdyby Katrien знаła Marka i świat, jaki go otaczał, podsumowałaby: „Pięta — nie zabijaj”. Lecz co by zrobiła, gdyby zetknęła się z nim bezpośrednio? Czy nie zapomnieliby o tym, pod pretekstem, że to Isobel decydowała i nadal decyduje w Tilsit o wszystkim? Jakież zresztą miałoby sens pytać Katrien, co by zrobiła, skoro to ona, Ginny, musiała nieść na własnych barkach ciężar wyboru. Rozpalała ją gorączka miłości, a ceną, jaką za to płaciła, było poczucie winy oraz udręka rozdarcia między jednym uczuciem a drugim. Gdy jednak pojawiał się Mark, z każdym jego dotknięciem wahanie znikało. Potrzebowali siebie i Ignęli jedno do drugiego. Byli dla siebie wszystkim, tylko nie kochankami.

Domek nad urwiskiem stał się ich przystanią i azylem Ginny. Zaczęła przychodzić tu wieczorami, po kolacji. Wiedziała, że robi to zbyt często, że z każdym spotkaniem siła, która ich do siebie popycha, staje się coraz potężniejsza. Byli sami; siadywali przed kominkiem wsłuchując się w odgłos fal uderzających o skały i zapominając o otoczeniu. Tu był ich własny świat, mała enklawa przestrzeni i czasu, gdzie ich usta i ciała przywierały do siebie z coraz mocniejszym pożądaniami, a ręce nabierały coraz większego doświadczenia. Byli gotowi do miłości, a jednak powstrzymywali się od niej.

— To nie może dłużej trwać — skarżył się Mark. — Pragnę cię tak bardzo, że jeśli nie zaczniemy się kochać, będziemy musieli przestać się spotykać.

Zerwał się w gwałtownym proteście, zostawiając ją na sofie samą. Dotknęła swych nagich piersi, na których jeszcze przed chwilą spoczywały jego ręce. Wydały jej się zimne i samotne.

— Jeszcze nie teraz... — wyszeptwała.

Wpatrzony w kominek zapalił papierosa.

— Dobrze o tym wiem. I dlatego boję się ciebie.

— Boisz się?

— Zawładniesz mną całym, zanim mi się uda zdobyć choć małą cząstkę ciebie. Będziesz mi potrzebna, niezbędna i niezastąpiona, zanim oddasz mi to cudowne ciało. Nie wiem, czy potrafię zaakceptować te warunki.

— Czy ja stawiam jakieś warunki? — wykrztusiła głosem stłumionym przez poduszki, odwracając głowę od niego w nowym przypływie samotności i poczuciu odrzucenia.

— Oczywiście nieświadomie. Lecz rodzaj związku między nami został ustanowiony już dawno, na długo zanim się poznaliśmy. Ty pochodzisz z rodu Tilsit, a ja jestem tym, którego ród ten podźwiгнаł w górę. A więc

moja pozycja wobec ciebie może być jedynie całkowitą i ostateczną kapitulacją. Nie jestem chyba na to przygotowany. Kocham cię...! — Gwałtownym ruchem odwrócił się do niej i spojrzał jej prosto w twarz. — Tak bardzo cię kocham... ale czy na tyle, by oddać ci się w ręce jak zapakowany odświętnie prezent, powierzyć ci, jak przedmiot, moje ciało, duszę, los? Powinienem zapytać, czy już nie dość oddałem z siebie w posiadanie Tilsit. Co zostało dla mnie samego...?

Nagle zrobiło jej się wstyd i sięgnęła po sweter. Wtedy znowu poczuła jego dłoń i falę uspokojenia.

— Nie, pozwól mi patrzeć na siebie... jeśli tylko tyle mi pozostało. Czy ty mnie kochasz, Ginny?

— Tak — odpowiedziała. Czy była to jednak całkowita prawda? Czy nie powinna powiedzieć: „Kocham cię, ale tu i teraz, w tym miejscu i w tej chwili”? A gdyby znalazła się daleko stąd, czy wciąż czułaby do niego to, co czuje do Jima, czy wciąż rozmyślałaby o nim tak usilnie jak o Jimie? W głowie miała zamęt, dręczyła ją niepewność. Opadła na poduszki, wyciągnęła rękę do Marka i położyła jego dłoń na swej piersi, bojąc się nowego przypływu samotności i chłodu.

— Kochałeś już kogoś?

— Oczywiście... jak każdy mężczyzna. Parę razy... przynajmniej tak mi się wydawało. Do tej pory jednak to było dość powierzchowne i zawsze z przekonaniem, że nie ostateczne. Chociaż raz o mało się nie ożeniłem...

Ożywiła się.

— Dlaczego do tego nie doszło?

— Przez Isobel. Byłem wtedy studentem w Royal College w Londynie.

— W jaki sposób udało jej się przeszkodzić temu?

Wzruszył ramionami.

— Bardzo prosty. Spotkała się z dziewczyną i powiedziała jej, że jeśli się ożenię, wstrzyma finansowanie mojej nauki. To oznaczało zerwanie. Miałem wtedy dwadzieścia lat... i ani grosza przy duszy.

W ten sposób, pomyślała Ginny, Isobel zachowała Marka dla mnie. Nie wiedziała, czy ma być jej za to wdzięczna.

— Zgodziłeś się na to?

Skinął głową i pogłaskał ją lekko, niemal bezwiednie.

— Isobel miała rację. Dziewczyna byłaby dla mnie ciężarem... Miałem szczęście, że nie była w ciąży. Zaczynałem piąć się w górę, a ona przytrzymałaby mnie w miejscu. Isobel zdawała sobie z tego sprawę. Miała cholerne wyczucie do takich rzeczy. Bez względu na to, jak bardzo była bezlitosna w swoich decyzjach, prawie zawsze okazywało się, że ma rację. Tak więc nie ożeniłem się z tą dziewczyną, a Isobel od tej pory nie wtrącała się do moich różnych miłości. W każdym razie nie zauważyłem, by tak było. Chyba wiedziała, że się dla mnie zbyt nie liczyły. Aż do tej chwili miałyby rację.

Ginny poczuła, jak dłoń Marka zaciska się mocniej na jej piersi. Spojrzała mu w oczy.

— A ze mną byś się ożenił?

Przysunął się bliżej.

— Tak. Chcę się z tobą ożenić. Ale nie tak jak to wymyśliła Isobel. Nie chcę poślubić całego rodu, nazywać się Tilsit... Nie chcę wiązać się z tym wszystkim, co pozostawiła tu Isobel. Gdybyś była Ginny NN, ożeniłbym się z tobą już jutro. Lecz zbyt długo mnie wykorzystywano i muszę wreszcie stać się wolny. Gdybyś nie była z Tilsitów... — Mówił głosem coraz bardziej zduszonym, aż wreszcie zamilkł z twarzą wtuloną w jej piersi. Objęła go, jakby w geście pocieszenia. Do głowy przysła jej gorzka, smutna myśl, że może to fakt, że należała do Tilsitów, spowodował to nieuniknione zauroczenie. Że może było przeznaczeniem Marka, by Tilsitowie nie dawali mu spokoju, zawładnęli nim, przywiązali go do siebie. Walczył z tym, ale jakby bez przekonania.

Nieoczekiwanie dla siebie samej Ginny przywarła ustami do jego ust ze złością i bólem.

— Kochaj mnie — poprosiła. — Kochaj mnie dla mnie samej.

Kiedy jednak poczuła natychmiastową odpowiedź jego ciała, cofnęła się zawstydzona, że chciała go wykorzystać w momencie, gdy pożądanie uczyniło go całkowicie bezsilnym i bezbronnym.

— Nie... — wyszeptała. — Nie mogę tego zrobić. Nie w ten sposób. Kiedy będziesz już wolny, wtedy będziemy się mogli kochać.

2

O przyjeździe Eliota Garth przyniósł wiadomość aż na drugi taras, gdzie Ginny pielęła grządki pod okiem Crawleya, szefa ogrodników. Wyłonił się na zwirowanej ścieżce tuż nad nią, z miną mocno zatroskaną.

— Amerykański dżentelmen do pani, panno Virginio. Pan Eliot Russell. Przyszedłem z tą wiadomością osobiście, gdyż...

Ginny zerwała się na równe nogi.

— Eliot? Eliot tutaj? Gdzie on jest?

— Przybył wejściem dla zwiedzających, panienko. Teraz jest w Wielkim Holu. Nie bardzo wiedziałem, gdzie go umieścić. Ma spory bagaż. Czy jest oczekiwany? — W tonie Gartha brzmiała uraza, że takie wydarzenie nie zostało z nim wcześniej uzgodnione.

Ginny rzuciła w stronę Crawleya szpadek i rękawice robocze.

— Nie, nie jest. Nie jest oczekiwany, ale bardzo mile widziany. — Puściła się biegiem w kierunku schodów, ale zaraz uświadomiła sobie wiek Gartha, zatrzymała się i poczekała na niego.

— Czy mam wnieść jego walizy, panienko?

Z podnieceniem i radością zwróciła promieniejącą twarz w stronę starego sługi.

— Tak, Garth. Z całą pewnością tak.

— W którym pokoju mam go ulokować?
— Cóż... — Nie mogła sobie przypomnieć żadnego konkretnego pokoju spośród tych, które oglądała w południowym skrzydle. — Który jest dobrze przewietrzony i suchy?

Garth spojrzał na nią z wyrzutem.

— Wszystkie pokoje w południowym skrzydle są dobrze przewietrzone i suche, panno Virginio. Zawsze tak było.

— Tak, tak... oczywiście — powiedziała pospiesznie, wspinając się po schodach w tempie, któremu mógł sprostać. — Ale czy jest tam jakiś specjalny pokój, bardziej okazały niż inne?

Chwilę się wahał, po czym zapytał z nutką wątpliwości w głosie: — Ma panienska na myśli Różową Komnatę? Bardzo rzadko jej używano. Meble tam są w pokrowcach, a poza tym, panno Virginio, znajduje się tam kilka nadzwyczaj cennych przedmiotów. Czy jest panienska pewna, że ten młody człowiek...

— Ten młody człowiek — powiedziała Ginny z naciskiem — w pełni doceni wartość każdego z nich, Garth. Możesz bez obaw powierzyć mu Różową Komnatę. I jeszcze jedno...

— Tak, panienko?

— Powiedz Crawleyowi, żeby naciął kwiatów... i niech Brown pomoże ci urządzić wszystko jak trzeba. — Mówiła w pośpiechu, świadoma faktu, że po raz pierwszy wykorzystuje swoje prawo do wydawania poleceń i rozporządzeń. — A do kolacji wyjmij najlepszy serwis...

Garth poddał się nastrojowi podniecenia. Nieufność do człowieka, który przybył tu bez uprzedzenia, zniknęła pod wpływem radości panienki.

— Ten złoty, panienko?

— Złoty...? — Ginny stanęła jak wryta. — Chcesz powiedzieć, Garth, że mamy serwis ze złota?

— Tylko na dwanaście osób, panienko — odrzekł z dezaprobatą. — Wchodził w skład posagu panny Arabell Lacy, kiedy była narzeczoną Sir Johna, ojca Sir Henry'ego.

Ginny złapała się poręczy schodów, czując ten sam zamęt w głowie, jaki ogarnął ją pierwszej nocy w Tilsit. Garth popatrzył na nią z troską w oczach.

— Źle się panienska czuje?

Pokręciła głową opanowując się.

— Nie, wszystko w porządku. Tyle tylko, że odkryłam kolejną rzecz, od której trzeba będzie zapłacić podatek spadkowy. — Po czym odwróciła się i pognała przed siebie, nie zwracając już na niego uwagi.

Eliot stał pośrodku Wielkiego Holu, z rękami — jak zwykle — w kieszeniach, patrząc w górę, na chorągwie zwisające z galerii. Wzrok miał uważny, nie tak jak niewidzące spojrzenie przeciętnego turysty, pełen ciepła i uznania. Prezentował się, jak zwykle, nieskazitelnie, bez śladu zmęczenia

podróżą. I jak zwykle, gdy spoglądała na niego po okresie niewidzenia, uderzało ją piękno tych precyzyjnie ukształtowanych rysów i poczuła na jego widok ukłucie smutku.

— Eliot!

— Ginny! — Jak to, on nie ruszył się nawet w jej stronę, tylko czekał, żeby to ona podeszła do niego. Kiedy się zbliżyła, rozłożył szeroko ręce wskazując na otoczenie. — Wspaniałe... Nie doceniasz tego, Ginny.

Zignorowała jego słowa.

— Cieszę się, że przyjechałeś.

Pochylił się i pocałował ją zdawkowo w policzek.

— Cieszysz się? Mój przyjazd wyraźnie zaniepokoił twojego major-domusa. Nie wiedział, czy może mnie tu zostawić samego.

— Zostaniesz? Musisz zostać, Eliot.

— Owszem, zostanę — odparł, jakby to już było dawno ustalone. Nagle wyciągnął do niej ręce, przytrzymując ją na długość wyprostowanych ramion i mierząc wzrokiem od góry do dołu.

— Mój Boże, Ginny. Jak ty to zrobiłaś?

— Co mianowicie?

— Jesteś w tym kraju zaledwie od paru tygodni, a już stałaś się kopia typowej młodej Angielki z dobrego domu. Przyznaj się, tę spódnicę też odziedziczyłaś po swojej ciotce? A sweter... z pewnością widział lepsze czasy... powiedzmy... sprzed pięciu lat. Gdybym wiedział, przywiózłbym ci nieskończenie długi sznur pereł do kompletu. Ginny, co się stało z tą zachwycającą dziewczyną, która dotrzymywała mi towarzystwa w Nowym Jorku? Popatrz na swoje paznokcie...

Schowała ręce za plecami.

— I to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Nie uważam, że warto było po to wybierać się w podróż. Nie zawsze tak wyglądam... Właśnie pracowałam w ogrodzie.

— No, coś musiałaś robić, żeby dojść do takiego rezultatu. Przypuszczam, że coś tu w ogóle robiłaś... — Zajrzał jej w twarz. — Nie, nie odwracaj się ode mnie. Te niedorzeczne listy, które do mnie pisałaś... Chyba nie masz mnie za głupca, który by się dał nabrać na tę szkolną paplaninę. Odziedziczyłaś jedną z najpiękniejszych posiadłości w całej Anglii i niezłą wytwórnię porcelany, a piszesz mi tylko, że mają tu ładny ogród? Ładny! Czy uważasz mnie za półgłównika?...

Ginny przerwała mu.

— Daj spokój, Eliot. Jeśli przyjechałeś tylko po to, by robić mi wymówki, to lepiej by było, gdybyś został w domu.

Wzruszył ramionami z bładym uśmiechem.

— Przepraszam cię. Nie chciałem cię pouczać. To znaczy, nie w ten sposób... Jest jeszcze inny powód, dla którego przyjechałem.

— Inny?

Ujął jej ramię z niezwykłym dla niego ciepłem, pochylając się ku niej tajemniczo i prowadząc przez hol, jakby dobrze znał dom i długo tu mieszkał.

— Inny — powtórzył. — W jednej z nowojorskich gazet ukazała się interesująca wiadomość o tym, że ty i ja mamy zamiar się pobrać.

— To ten człowiek! — wybuchnęła. — Ten okropny człowiek... posunął się jednak do tego i wydrukował! Nie powinien być z nim rozmawiać. Jaka ja jestem głupia i naiwna! Powinnam wiedzieć, że jeśli nie zaprzeczę, wydrukuje to.

Twarz Eliota przybrała wyraz niewzruszonego, lodowatego spokoju.

— Moja droga Ginny, nie szalej. To przecież nie ma żadnego znaczenia. — Po czym niechętnie, jakby wbrew sobie, z konieczności, dodał: — Nie zaprzeczyłaś, ale to nie jest prawda, tak?

— Tak. To nie jest prawda. — Chciała uciec wzrokiem, ale spojrzała mu prosto w twarz. — Przecież nie chciałybyś, żeby to była prawda?

Tylko przez moment się wahał.

— Masz rację. Nie chciałbym.

Po czym ponownie ujął jej ramię. Z pozornym ożywieniem, ukrywając uczucie ulgi — a może rozczarowania — stwierdził: — No cóż, skoro już sobie to wyjaśniliśmy, możemy wreszcie zacząć zachowywać się normalnie. Oprowadź mnie po domu, Ginny. Ostatnio poczytałem trochę o nim. To prawdziwy klejnot! Sprawiasz wrażenie, jakbyś nie całkiem zdawała sobie z tego sprawę, nie myślę się? Musi tu jednak być ktoś, kto zna dokładnie całą posiadłość. Uprzedzam cię, że mam zamiar obejrzeć każdy jej zakątek. A co do Porcelanowej Kolekcji... Kiedy moja matka przeczytała o nas w gazecie, zatelefonowała do mnie pytając z nadzieją w głosie — chociaż właściwie już dawno ją porzuciła — czy to prawda. Kiedy rozwiąłem jej złudzenia, powiedziała, że była kiedyś w Tilsit i widziała dom oraz Kolekcję. Myślę, że bardzo by chciała, żeby gazeta napisała prawdę...

Ruszyli przed siebie. Kiedy szli przez Wielki Hol, a potem korytarzem do południowego skrzydła, Eliotowi nie zamykały się usta. Komentował dosłownie wszystko, co mijali — czasem żartem, często z podziwem, a niekiedy bezlitośnie wychwytyjąc nieudane elementy wiktoriańskiej modernizacji domu. Zanim dotarli do salonu, Ginny zorientowała się, że mówił tak dużo dlatego, by ukryć to, co czuł głęboko w sercu, nie dopuścić do tego, by zdradził go wyraz twarzy. Z niedowierzaniem uznała, że przygotowany był na każdą odpowiedź. Tak naprawdę nie chciał się żenić, ale gdyby Ginny się zgodziła, przystałby na to. Był już zmęczony sobą samym i walką o zachowanie twarzy przed światem. Byłby zadowolony, gdyby ciężar dwuznaczności przejęła na siebie ona, która tak niewiele od niego wymaga. Traktował ją jak swoją uczennicę, niemal jak swoje dziecko; była mu posłuszna, dawała sobą kierować, nie narzucała swoich uczuć. Potrafiła mu się podporządkować i choćby z tego powodu chętnie widziałby ją u swego boku. Zdała sobie teraz sprawę, chyba po raz pierwszy, jak przeraźliwie pusta i samotna jest jego egzystencja, i że dlatego właśnie gotów byłby przyjąć ją do swego życia.

I jednocześnie zdała sobie sprawę z odrobiną satysfakcji, że w wielu sprawach przerasta go o głowę.

W salonie zastali Vanesę, gładką, piękną i zimną, z gracją zapalającą papierosa od żarzącego się węgielka.

— Oto osoba — zapowiedziała Ginny — która pokaże ci dom. Zna go doskonale. — Bez żalu doprowadziła Eliota do kuchni.

3

Tilsit było miejscem tak różnorodnym i urozmaiconym, że Eliot ze swoją egzotyczną, przesubtelnią osobowością bez trudu, a nawet niezauważalnie wtopił się w nie. Zaledwie po dwóch dniach wydawało się, że jest tu od zawsze — w Długiej Galerii, spacerując z Vanesą i dzieląc się z nią trafnymi uwagami na temat obrazów prowincjonalnych malarzy, wiszących obok dzieł Gainsborough czy Reynoldsa; podziwiając w samotności całymi godzinami Porcelanową Kolekcję, przyprawiając o zaniepokojenie Brown, która wciąż nie wierzyła, że chodzi mu tylko o oglądanie porcelany; myszkując w magazynach z meblami, do których — o dziwo — Garth powierzał mu klucze, i zaglądając pod pokrowce w poszukiwaniu jakichś szczególnych a niedocenionych egzemplarzy. Do Ginny wciąż dobiegał skądś jego głos — dyskutujący ze zjawstwem w Margaret na temat przypuszczalnego pochodzenia i wieku gobelinów w Wielkim Holu, czy też sugerujący Lawrence'owi, że topole z dolnego tarasu lepiej wyglądałyby nad strumieniem. Bez końca też wytykał Ginny, na co, według niego, powinna zwrócić uwagę.

Trzeciego dnia przyszedł do niej do gabinetu.

— Czy wiesz, że w pokoju obok znajduje się wielki zbiór książek we wspaniałych oprawach? Prawdopodobnie są wśród nich białe kruki. Wyobraź sobie, że jest zamknięty od dwudziestu lat!

Ginny odłożyła na bok sprawozdanie finansowe wytwórni, które z trudem próbowała rozgryźć. Westchnęła.

— Nie podejrzewam Isobel o czytanie książek. Mogłyby zawierać niebezpieczne idee...

— Nie żartuj sobie! — zareagował ostro. — Jak można posiadać taką bibliotekę i nie korzystać z niej? Musiała mieć nie po kolei w głowie.

— Pewnie zamknęli pokój w czasie wojny... A potem... trzeba by było zatrudnić dodatkową osobę, by trzymać go otworem. Nie byłoby jej na to stać. To znaczy, nas nie byłoby na to stać... Isobel nie była szalona. — Ginny stuknęła ręką w papiery na biurku. — Każdy, kto był w stanie pojąć to wszystko, musiał mieć wyjątkowo mądrą głowę.

— Nie ma sprawy — pocieszył ją Eliot. — Jeśli naprawdę chcesz to zrozumieć, wyjaśnię ci wszystko. Jestem bardzo dobry w zestawieniach finansowych. Muszę, ponieważ nie zamierzam pozwolić się okradać. Mogę wydawać pieniądze, ale nie dopuszczę do tego, by ktoś mi je sprzątnął sprzed nosa.

— Jesteś nadzwyczajny — w spokojnym tonie Ginny kryło się lekkie rozbawienie. Wstała. — Zostawmy te cyfry i chodźmy się przejść. Nie widziałeś jeszcze wieży...

— Byłem tam dziś rano, jeszcze zanim ktokolwiek wstał. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym pójść do Długiej Galerii i popatrzeć jeszcze trochę na Gainsborough. I na tę niezwykłą młodą damę namalowaną przez Millais, tak do ciebie podobną.

— Pewnie Jane Tilsit?

— Tak... Jane — odparł, jakby był jej dawnym znajomym.

Rzeczywiście, wydawało się, że Eliot od dawna przebywa w Tilsit. Szybko został zaakceptowany przez domowników; przyzwyczaili się do jego pytań, do stanowczych, choć uprzejmych dociekań i nawet nie mieli mu tego za złe. Trudno było bowiem mieć za złe pytania wynikające z głębokiego zainteresowania, a nie powierzchownej, plotkarskiej natury. W ciągu trzech dni poznał całą historię Tilsitów z ostatnich dwustu lat. Taktownie, choć zdecydowanie zapytał Ginny o spór między jej ojcem a Isobel, a ona opowiedziała mu całą prawdę. Mówiła z taką samą łatwością jak wtedy, gdy pierwszej nocy siedzieli w samochodzie na Palisades w New Jersey, patrząc na rozświetlone wieżowce Manhattanu. Tym razem jednak, zamiast o miłości do Jima MacAdama, opowiadała o Jane Tilsit i jej małżeństwie, o Isobel, o jej zeszpeceniu i śmiertelnym wypadku, o walce o spadek i wyjeździe ojca na zawsze z Anglii. Wreszcie opowiedziała mu także o Marku.

O gościu w Tilsit doniesiono Markowi jeszcze zanim został zaproszony do majątku, by spotkać się z Eliotem. Przybył jak młody byczek, rozjuszony złością i zazdrością, gotów stratawać lalusiowatego elegancika. Nieoczekiwanie napotkał stalowy chłód Eliota, z którym nie sposób było walczyć.

— Cholerny pedzio! — wymamrotał do Ginny.

Ginny wyczuła jednak, że to nie tyle sam Eliot zirytował Marka, co wpływ, jaki wywarł na cały dom. Jednym zazdrosnym spojrzeniem ocenił, co obecność Eliota zrobiła z wszystkimi trzema kobietami. Ginny wyciągnęła z walizki nowojorskie sukienki. Vanessa zjawiła się na kolacji w czarnej wieczorowej sukni, którą Eliot od razu rozpoznał jako model Balenciagi, sprawiając jej wyraźną przyjemność.

— Pierwszy raz od paru lat wyjęłam ją z garderoby. Nie było dotąd okazji... że też poznałeś, że to Balenciaga...

A Eliot odpowiedział: — Wielcy kreatorzy pozostawiają na swoich dziełach tak samo wyraźne ślady jak... garncarze. — I lekko skłonił głowę w stronę Marka — nieznaczna, subtelną zachętą do pojednania.

Ten jednak prychnął pogardliwie, próbując ukryć zazdrość z powodu wpływu, jaki w tak krótkim czasie zaczął wywierać Eliot na życie w Tilsit. Zauważył serwis ze złota, pełną uszanowania wobec Russella postawę Gartha, a także podejmowane przez Lawrence'a wysiłki ożywienia rozmowy przez cytowanie starych historyjek z Puncha. Widział też, jak bardzo Lawrence stara się doprowadzić do wizyty Eliota w wytwórni, a jednocześnie nie

popętnić gafy, gdyż nie do niego należało zapraszanie kogoś do fabryki. Największą zmianę Mark zauważył jednak w Margaret, której twarz nagle wypiękniła i nabrała życia. Miała na sobie granatową aksamitną suknię i sznur akwamarynów, którego nigdy na niej nie widział. Jak zwykle nie mówiła wiele, lecz słuchała z zainteresowaniem, a po kolacji nie wzięła nawet do ręki swojego nieodłącznego tamborka. Był wstrząśnięty.

— Co tu się dzieje? — zapytał Ginny, kiedy oboje odeszli na bok. Stał tuż przy niej, jakby chciał tym podkreślić swoje prawa. — Ten facet przewrócił tu wszystko do góry nogami.

— Przeszkadza ci to?

— Owszem, przeszkadza. Przeszkadza, bo jemu udało się to zrobić... bo jestem zazdrosny. — Wskazał głową pozostałych, stojących przy kominku. — Tyle razy chciałem do tego doprowadzić, a tylko wywoływałem w nich złość. Gdyby tu chodziło tylko o pieniądze, nie przejmowałbym się. Z tym dałbym sobie radę... ale on ma w sobie coś niesamowitego. Nie mogę patrzeć, jak wszyscy tu jedzą mu z ręki, nawet nie próbując protestować... A w dodatku szlag mnie trafia, bo zaczynam wierzyć, że nie warto być mężczyzną, kiedy kobiety dużo chętniej stroją się i wdzięczą dla takiego pseudomężczyzny... — W głosie i na twarzy Marka zaznaczało się napięcie; wyraźnie nie potrafił ukryć frustracji. Stracił swą zwykłą buńczuczność, mówił niemal szeptem, nieswoim głosem. Ręce zacisnęły mu się w pięści.

— Mój Boże, nigdy nie sądziłem, że mogę być w ten sposób zazdrosny, że mogłoby mnie obchodzić, co taki jak on robi czy powie. Tacy ludzie nic dla mnie nie znaczą — ich pieniądze, pochodzenie, eleganckie stroje... Zawsze uważałem, że dzięki memu talentowi jestem im równy, a nawet lepszy od nich. A teraz? Co się ze mną dzieje? Wściekam się na niego i kipię w środku z zazdrości, bo ubrałaś się inaczej niż zwykle, inaczej się uczesałaś, i widzę w tobie ród Tilsitów bardziej niż kiedykolwiek... a ja czuję się jak toporny wół, który zaplątał się tu przez przypadek. — Uderzył pięścią w otwartą dłoń. — Nie chcę się tak czuć. Nigdy dotąd tak się nie czułem. Zupełnie nie wiem, co robić...

Na oczach wszystkich Ginny wyciągnęła ręce i chwyciła go za kłapy marynarki.

— Po prostu nic — powiedziała. — Nie rób nic. Przecież to Eliot tobie zazdrości, Mark.

Gwałtownie ujął jej ręce. Rozmowa przy kominku urwała się, oczy wszystkich czworga zwróciły się w ich stronę. Chociaż Mark zauważył to, zignorował ich i odezwał się cicho do Ginny:

— Poza tym boję się o ciebie. Ty jeszcze nie wiesz, co to miejsce może dla ciebie znaczyć... ale obawiam się, że on ci to wszystko wyjaśni. Chcę, żebyś tu została... bez uświadomienia sobie tego wszystkiego. Nie chcę, żebyś stała się drugą Isobel.

Delikatnie wyswobodziła ręce z jego uścisku.

— Jeżeli ja się o to nie martwię, to tym bardziej nie powinieneś martwić się ty.

Wraz z pojawieniem się Eliota w Tilsit nastały nowe czasy.

— Ależ on potrafi wszystko rozruszać — oceniła Vanessa z zadowoleniem. — W dodatku ma takie wyczucie sytuacji. — Z radością oglądała duży flakon perfum, który zamówił telefonicznie u Fortnuma i Masona, dostarczony przez posłańca. — Marnie jest z kobietą, jeśli musi sama kupować sobie perfumy. Tak właśnie było ze mną od powrotu do Tilsit...

Ginny dostała kilka skrzynek szampana, który wspaniale uzupełnił zapasy w piwnicy, a także puszkę kawioru i sery.

— Powinniśmy wydać przyjęcie — zapaliła się Ginny. — Tylko nie wiem, kogo moglibyśmy zaprosić... A poza tym, chyba nie wypada robić przyjęcia zaledwie w kilka tygodni od śmierci Isobel...

Eliot spojrzął znad książki *A Scholehouse for the Needle*, datowanej na 1624 rok; ten podręcznik sztuki krawieckiej londyński antykwariusz znalazł dla niego na prezent dla Margaret.

— Chyba zdajesz sobie sprawę — powiedział — jak wiele jeszcze czasu upłynie, zanim w tym domu poczują, że Isobel naprawdę nie żyje i została pochowana. Kiedykolwiek wydasz przyjęcie, zawsze jej duch będzie na nim obecny.

Również Eliot skłonił ją do ruszenia się poza krąg oddziaływania Tilsit.

— Dobry Boże, Ginny, jesteś w Anglii! Czy ty naprawdę nie chcesz zobaczyć tutaj czegoś więcej? Poza waszą są tu jeszcze inne wspaniałe posiadłości.

W wynajętym austinie healeyu on, Vanessa i Ginny robili wycieczki do sąsiednich hrabstw, do Salisbury i Bristolu oraz wzdłuż wybrzeży Devonu. Czasem pozwalał prowadzić Vanessie, podziwiając jej umiejętności i opanowanie. — Ma swój styl — stwierdzał, a Ginny wiedziała, że ma na myśli nie tylko prowadzenie samochodu. Patrząc na Vanesę, w spodniach i bluzce od Emilia Pucci, z pulowerem narzuconym niedbale na ramiona, Ginny musiała mu przyznać rację.

Obecność Eliota oderwała ją od Marka, który nie mógł mu tego darować. Oczywiście nie mógł się przyznać, że brakuje mu jej porannych wizyt w studio oraz odwiedzin wieczorem, po kolacji. Zamiast tego uskarżał się na Eliota.

— Ile razy ostatnio chcę cię zobaczyć, muszę przychodzić tu, siedzieć i patrzeć, jak wszyscy robicie z siebie głupców przed tym nadętym pajacem. Jak długo ma zamiar tu jeszcze siedzieć? Czy on nigdzie nie pracuje?

— Owszem, pracuje — odpowiedziała Ginny lodowatym tonem.

— Ja myślę... Gonienie za pieniędzmi to musi być straszna harowa. Wyobrażam sobie, jaki jest zmordowany...

Minęły prawie dwa tygodnie, zanim Eliot wybrał się do pracowni Marka. Zarówno on, jak i Ginny odwiekali tę wizytę. Eliot — z powodu naturalnej

irytacji, jaką wywoływała w nim nie ukrywana niechęć Marka. Ginny — ponieważ obawiała się jego opinii o pracach ukochanego.

Wybrali się tam pewnego popołudnia, gdy Ginny wiedziała, że Mark będzie w wytwórni. Dzieli był ciepły, od dziesięciu dni nie spadł deszcz i ścieżka wśród drzew, prowadząca zboczem w kierunku wieży, pachniała suchymi liśćmi i ziemią. Trip trzymał się z przodu, zbaczając w zarośla w poszukiwaniu królików, wyłaniając się w oddali, to znów nurkując między powalone głązy. Zatrzymali się na chwilę na szczycie wzgórza, patrząc w dół na morze, spokojne i jakby ciepłe, nieoczekiwanie błękitne od angielskiego lata. Ginny od razu poczuła się raźniej. Domek Marka na cyplu wyglądał bezpiecznie i swojsko, wokół panował spokój i cisza. Jedyne co ją niepokoiło, to poczucie winy z powodu klucza, który trzymała w ręku. Klucz od domku Marka, którym dysponowała zawsze Isobel, wzięła tego popołudnia od Gartha. Wcześniej zapytała Marka, czy może przyprowadzić Eliota, a ten zgodził się, choć niechętnie.

— Rób co chcesz. Nie obchodzi mnie, co on myśli o moich pracach.

Ruszyli zboczem w dół, w stronę ścieżki nad urwiskiem, kiedy gwałtowne ujadanie Tripa zatrzymało Eliota. Zdziwiony spojrzął na spaniela, który stał jak wryty przy jednym z głazów u podnóża walącego się muru.

— Co się z nim dzieje? — zapytał Ginny. — Dlaczego nie idzie z nami?

— Och, on zawsze tu przystaje — odparła krótko. — Zostaw go.

Eliot, swoim zwyczajem, nie ustępował.

— Ale dlaczego? Przecież wszędzie za tobą chodzi.

— Ponieważ... — Już miała wymyślić jakieś kłamstwo, gdy uznała, że to nie ma sensu. — Ponieważ boi się Marka. Boi się ścieżki nad urwiskiem i domku... odkąd zginęła tu Isobel. No, chodź już — dodała — jeśli rzeczywiście chcesz obejrzeć jego prace...

Chwilę potem, gdy zeszli w dół, w złotawym ciepłym popołudniu przeszedł ich dreszcz chłodu; dzikie czerwcowe róże, bujnie zwieszające się z ogrodzenia na tyłach domku, straciły nagle swoje piękno, a w ich dusznej woni czuło się zapach śmierci.

W studio jednak panował inny nastrój. Jak wszędzie, gdzie znajdowało się coś stworzonego przez Marka, wybijało się to na pierwszy plan. Wyrzeźbione kształty, podwieszane mobile obracające się wolno w swym nieustającym locie, wszystko to wydawało się Ginny wołaniem o afirmację, o prawo do życia i witalność, o dążenie ku przyszłości. Eliot chodził między nimi w milczeniu; słychać było tylko stukanie jego obcasów po cementowej podłodze. Długo stał przed największą rzeźbą z brązu, męczyzną z wyciągniętymi ramionami, w porównaniu z którym sam wydawał się karłem. Obejrzał szkice do "Zmartwychwstania", jeden po drugim, uważnie. Dłuższy czas dumał przed półkami z porcelaną, oglądając poszczególne naczynia, próbując wyczuć palcami materiał, podczas gdy Ginny stała z zaciśniętymi dłońmi, coraz bardziej spoconymi ze zdenerwowania. Kiedy cisza stała się dla niej nie do zniesienia, Eliot wreszcie przemówił.

— Jest dobry. W kilku przypadkach nie ma racji, ale jest niesamowicie, cudownie pewny siebie i ma tu parę naprawdę wspaniałych rzeczy. Co prawda technika dominuje tu nad duchem, ale w końcu jest jeszcze młody i może się zmienić, zrozumie, że jest taki sam jak inni. Trochę więcej uczucia, subtelności, a może być wielki. — Podszedł do Ginny; na jego twarzy malowało się napięcie, jak zawsze, gdy zagłębiał się w studiowanie dzieła, które powstało dzięki darowi niebios. I jak zawsze wydał jej się starszy i trochę przygaszony. — Gdyby jednak nie zmienił się, gdyby jego bezwzględność nie ustąpiła, nie złagodniała, to i tak dzięki swojej technice zyska uznanie wszystkich, poza tymi nielicznymi, dla których liczy się głównie dusza artysty. — Skinął głową w geście obejmującym całe wnętrze pracowni. — Sądzę, że ten twój chłopak stanie się bardzo modny, a jeśli coś zdoła nim wstrząsnąć, poruszyć go tak naprawdę, ma szansę stać się wielkim.

Po czym odwrócił się do Ginny plecami i z rękami w kieszeniach dodał:

— Powiem ci jednak coś jeszcze. Nie chciałbym mieć u siebie żadnej z jego prac... może z wyjątkiem kilku rzeczy z porcelany, które wykonał, kiedy jeszcze nie zaczął poznawać życia. Ale cała reszta — chociaż zrobiona z dużym talentem — jest dla mnie zbyt zimna. Nie czułbym się z nimi dobrze. Może chodziło mu o to, by uderzać ludzi prosto w twarz, tak by czuli, że ich boli, że żyją... Nie rozumiem, dlaczego on odczuwa taką piekielną rozkosz udowadniania wszystkim dookoła, że życie jest straszne?

Wracali w milczeniu. Trip czekał na nich przy warowni. Ginny schyliła się, by go pogłaskać, czując, że nie jest w stanie dłużej hamować łez w przejmującym poczuciu pustki i żalu, wywołanym słowami Eliota.

Kiedy wrócili do Tilsit, nie poszła do siebie, jak to miała zamiar zrobić. W bramie od południowego dziedzińca poprosiła Eliota: — Przejdź się ze mną po domu, dobrze? Najbardziej lubię tę właśnie porę, kiedy odwiedzający już wyszli i późne słońce zagląda do pokojów... Czuję się wtedy, jakby to wszystko rzeczywiście mogło należeć do mnie.

Skinął głową i ruszył wraz z nią do Wielkiego Holu. W ciszy rozlegało się jedynie delikatne stukanie pazurów Tripa po kamiennej posadzce. Zachodnie słońce sięgało jeszcze szczytów okien, lecz cienie pod galerią stawały się coraz głębsze. Nad nimi lekko kołysały się poruszane przeciągiem proporce. Eliot przystanął przed wysokim stołem; odwrócił się, żeby spojrzeć raz jeszcze na rzeźbione panele — wzrokiem, który zdawał się obejmować w ciągu jednej sekundy setki lat ich istnienia.

— Gdyby to wszystko należało do mnie — podjął jej tok myślenia — nikogo bym tu nie wpuścił, poza bliskimi osobami. Nikt nie mógłby przyjść tu i gapić się za nędzną półkoronówkę. Chciałbym mieć to tylko dla siebie.

Ginny pokręciła głową.

— Nie miałbyś racji. Doszłam do wniosku, że to nie byłoby słuszne. Nawet gdyby można byłoby obyć się bez tych półkoronówek, nie powinno się zamykać drzwi przed ludźmi, którzy chcieliby zobaczyć posiadłość. Ona

żyje tylko dzięki ludziom... ludziom w jej murach. Nikt nie byłby w stanie tchnąć w nią życia w pojedynkę... Przecież to wszystko — wskazała gestem cały dom — nie zostało zaplanowane jako muzeum. Nawet jeśli byłbyś w stanie sam utrzymać posiadłość, nigdy nie miałbyś jej tylko dla siebie. Zbyt wielu ludzi było tu przed tobą. I każdy zaznaczył swoją obecność. Musisz pamiętać, że wciąż są tutaj i należy im wyznaczyć właściwe miejsce — jak dodatkowe nakrycie przy stole...

Eliot spojrział na nią bacznie.

— Ginny, wydaje mi się, że stajesz się tak samo zwariowana jak twoja ciotka.

— Może i tak — przyznała. — Chodźmy do Żłocistej Sali.

Poszła przodem, już prawie nie pamiętając, jak obco się czuła, gdy Garth prowadził ją tam pierwszego ranka na otwarcie testamentu. Żłocista Sala była przepiękna, teraz bliska jej, zachwycająca i przyjazna. Słońce przestało zaglądać do środka, więc na obrazy kładł się cień. Aksamitne sznury zostały usunięte, sprawiając wrażenie, że ten cudowny, wyjątkowy pokój jest naprawdę zamieszkały. Ginny podeszła do jednego z okien i wyjrzała na ogród. Ogrodnicy, podobnie jak zwiedzający, zniknęli. Balustrady rzucały długie cienie na wyżwirowane alejki. Odetchnęła ciepłym, wonnym powietrzem. Nastrój lęku i zdenerwowania powoli ją opuszczał.

— Przychodzę tutaj codziennie — wyznała.

Eliot stanął obok.

— Pewnie twoja ciotka robiła to samo — odparł. — I ta sztywna młoda dama z Długiej Galerii, tak bardzo do ciebie podobna, również. Uważaj, Ginny. Stąpasz po niebezpiecznym gruncie. Ten dom... ta rodzina jest wypaczona. W ciągu ostatnich stu lat nie było w niej dość mężczyzn, by nadać rodzinie i domowi niezbędną równowagę. Brakuje tu właściwych proporcji.

— Mężczyźni znajdowali się, kiedy byli potrzebni — stwierdziła sucho Ginny.

— Jacy to byli mężczyźni? — Eliot obstawał przy swoim. — Twój ojciec został stąd usunięty w wyniku ostatniej woli Jane Tilsit. Mógł zostać jedynie pod warunkiem podporządkowania się Isobel. Jane Tilsit musiała stracić rozsądek wydzierając go — jakby uparła się, by zniszczyć całą swoją pracę tutaj i w fabryce. Jak sobie wyobrażała przyszłość rodu? Przecież nie każdy mógł mieć jej szczęście. Nie znajduje się zbyt często George'ów Martinów, przynajmniej nie w zasięgu ręki...

— Isobel się udało. Znalazła Marka.

— I sądzisz, że został przeznaczony tobie? — Eliot przysunął się do niej, w jego oczach pojawił się nagły, intensywny, nietypowy dla niego błysk. — Sądzisz, że możesz stać się drugą Jane Tilsit ze swym pokornym garniarzem? Jeśli tak myślisz, to przestrzegam cię — on nie jest pokornym garniarzem, którym mogłabyś rządzić. Jest człowiekiem z tak silną twórczą pasją, że jest w stanie zniszczyć ciebie, ten dom i wszystko, co tylko zechce. Tak jak zniszczył Isobel.

— Nieprawda! On tego nie zrobił! — Ginny natarła na niego w desperackiej furii. — Jak Mark mógłby kogoś zniszczyć? Sam powiedziałeś — on jest twórcą! On tworzy, buduje, a nie niszczy!

Eliot pokręcił głową.

— Jest człowiekiem tak o władniętym własną wizją tego, co chce osiągnąć, że jest zdolny unicestwić każdego, kto stanie mu na przeszkodzie. Jest zazdrosny, nie ma zamiaru dzielić się z nikim tym, co sam stworzył. Isobel tak go ukształtowała. Ona zaszczerpiła mu gniew i złość, które zmieniły rzemieślnika w artystę. Ale on się do tego nie przyzna. Byłby zdolny pozwolić Isobel umrzeć, by się od niej wyzwolił.

Ginny nie mogła opanować przerażenia.

— Tak ci się tylko wydaje. Nie wiesz tego na pewno... nikt nie wie.

— Mark wie. Zapytałaś go o to, Ginny? Miałaś odwagę zadać mu to pytanie?

Ujął jej ramię. Było to tak niespotykane u Eliota, że aż się przestraszyła.

— Znam tego człowieka — powiedział. — Znam mężczyzn tak dobrze, jak tobie się nigdy nie uda. Znam ich siłę i ich słabości, bo szukam w nich tego, na co kobiety w ogóle nie zwracają uwagi... zresztą normalni mężczyźni również. W Marku Barstow nie ma nic, co mogłoby mnie ująć, oczywiście poza jego talentem. Dlatego właśnie boję się o ciebie. Tak jak potrafi skręcać metalowe taśmy w spirale i wykuwać w kamieniach wizje potęgi i władzy, tak samo jest zdolny zniszczyć wszystko to, co mogłoby zakłócić jego egocentryzm. Mężczyzna, Ginny, zrobi dla ciebie wszystko, lecz nie zdołasz podporządkować sobie Marka. Nie jesteś tak zręczna jak Vanessa ani tak silna jak Isobel. Nie jesteś też tą biedną, strapioną istotą z portretu na górze — wystarczy mi przypomnieć sobie twoją dumną sylwetkę tej nocy w Nowym Jorku, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz. Nie nadajesz się do tutejszego życia. Nie bądź głupia, Ginny... — I powtórzył raz jeszcze, dobitniej, swoje ostrzeżenie, wbijając palce w ramię dziewczyny: — Nie pozwól zamącić sobie tym wszystkim w głowie.

A ściany długiego pokoju wydawały się odbijać jego słowa echem, cichym szeptem, przestrogą przed niebezpieczeństwem: „nie bądź głupia... głupia... głupia"... Opuścił rękę, a ona szybko wyszła, ogarnięta nowym przyływem lęku.

5

Eliot opuścił Tilsit następnego dnia, informując o wyjeździe tak niespodziewanie, że Ginny aż trudno było w to uwierzyć. Patrząc, jak Garth starannie pakuje jego bagaże do austina healeya, uznała, że nie tylko jej jest z tego powodu smutno. Vanessa, która przyszła się z nim pożegnać, również wydawała się żałować, że Eliot wyjeżdża, i nawet Margaret przerwała swoje robótki ręczne i zeszła na dół. Wszyscy żegnali go ze sztucznymżywieniem,

tylko on jeden zachowywał się normalnie. Znowu w Tilsit zrobi się pusto, pomyślała Ginny, i znowu zaczną się problemy, które jego obecność zepchnęła na drugi plan. Nikomu znów nie będzie się chciało przebierać do posiłków, a rozmowy przy stole umrą powolną śmiercią. Nie będzie tego, który potrafił osłabić napięcia między nimi.

Monotonny warkot silnika prawie zagłuszył słowa Eliota, towarzyszące krótkiemu, chłodnemu cmoknięciu Ginny w policzek: — Ratuj się, póki jeszcze możesz.

Po czym odjechał — w dół podjazdu i dalej, przez most. Przeszyło ją dojmujące uczucie zawiedzionej nadziei. Pomachała mu, ale z jego strony nie było reakcji. Zza pleców, od strony drzwi dobiegł ją głos Vanessy: — Tak, to była przyjemna odmiana. — I krótki, urywany śmiech. — A teraz możemy wracać do naszych cel.

Ginny już chciała zawołać Tripa i przejść się do domku Marka, ale coś ją nagle powstrzymało. Przypomniała sobie nieuniknione pytanie Eliota, jakie zadał poprzedniego dnia w Długiej Galerii: „Mark wie. Zapytałaś go o to, Ginny? Miałaś odwagę zadać mu to pytanie?” Nie miała tej odwagi... Teraz też nie ma. I boi się stanąć z nim teraz twarzą w twarz, z udręką i lękiem obudzonym w niej na nowo. Odwróciła się więc i weszła do środka razem z innymi. Garth zamknął drzwi dokładnie i powoli, Ginny jednak wydawało się, że zatrzasnęły się nieodwołalnie, pogrążając ją w ciemności. Dom pochłonał ją i osaczył; a na górze, po pokoju, krążyła Brown, patrząc na nią z dziwnym napięciem, jakby wróciła przed chwilą z dalekiej podróży.

Rozdział piąty

Zaraz po wyjeździe Eliota pogoda się zepsuła — zaczął się okres deszczów, a od kanału nieustannie wiały porywiste wiatry. Żwirowe alejki pokryły się mokrymi płatkami róż. Życie w Tilsit wróciło do dawnego rytmu, odświeżony nastrój prysł. Zegary ciężko odmierzały godziny, dni ciągnęły się tak powoli, że Ginny wydawało się, jakby podwoiły swoją długość. Od wyjazdu Eliota minęły trzy długie dni, gdy nagle monotonna egzystencję posiadłości zakłóciło zniknięcie Tripa.

Gdy Ginny wróciła po kolacji do swego pokoju, nie zastała w nim spaniela. Zwyczajowo sięgnęła po pamiętniki, nasłuchując jednocześnie delikatnego skrobania do drzwi. Do tej pory udawała, że jedynie toleruje obecność psa, tęskniącego do miejsca, gdzie przebywała jego ukochana pani, ale teraz, bez jedwabistego ciałka zwiniętego w kłębek w koszyku przed kominkiem, pokój wydawał jej się bardziej niż kiedykolwiek pusty i nieprzytulny. Brak jej było pieska, łebka unoszącego się od czasu do czasu, brązowych oczu nieustannie szukających czegoś po pokoju, westchnień i dreptania, zanim wreszcie ułożył się w wygodnej pozycji. Wszystko to dawało jej poczucie komfortu psychicznego, ale aż do tej chwili nie zdawała sobie z tego sprawy.

Zanim położyła się do łóżka, zeszła jeszcze raz na dół, przeszukała wszystkie pokoje, otworzyła nawet antabę drzwi wychodzących na południowe wejście i wyjrzała na zewnątrz. Padał deszcz i wiał wiatr — w ciemności niczego nie udało jej się dostrzec, a pies nie odpowiadał na jej wołanie. Kiedy zamykała drzwi, na schodach pojawiła się Brown — jej postać w długim, wyblakłym szlafroku, z siwym warkoczem wyglądała jak strach na wróble.

- Czy coś się stało, panno Virginio?
- Trip chyba nie wrócił do domu. Nie mogę go znaleźć.
- Sama dałam mu jeść i wypuściłam na dwór. Byłam pewna, że ktoś z kuchni wpuścił go z powrotem. Zawsze dotąd wracał... Nigdy nie było z nim

kłopotów, trzymał się panny Isobel i nikt nie musiał go szukać... Czy mam zawołać Gartha?

— Nie, nie trzeba. Na pewno wróci rano. Może został w stajniach... Nie sądzę, żeby pobiegł za... no cóż, jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

Ginny nie bardzo jednak wierzyła własnym słowom. Była dziwnie zdenerwowana. Spała źle, ciągle budziła się i wstawała, by wyrzecz na korytarz i zobaczyć, czy nie ma tam Tripa. I za każdym razem, gdy wracając do łóżka mijała okno, widziała jasną poświatę w oddali, na niebie nad studiem Marka; zawsze była to jakaś pociecha...

Rano wstała jeszcze przed wschodem słońca. Deszcz przestał padać, wiatr ustał. Przeszukała ogród, teren nad strumieniem, nad brzegiem morza, wstąpiła nawet do kilku pobliskich farm wypytując o psa. Godzinę wędrowała po okolicy, potem wróciła do Tilsit i skierowała się w drugą stronę, przez pola, w kierunku kamiennego mostu. Kiedy dotarła w pobliże wieży, przystanąła, zastanawiając się, czy pójść wzdłuż strumienia, czy wspiąć się po zboczu i zacząć przeszukiwać na wprost zasypane piwnice ruin i królicze jamy. Na moment odwróciła się, by popatrzeć na posiadłość. Widok był oszałamiający. W powietrzu unosiła się mgiełka, która sprawiała, że Tilsit wyglądał jak zamek z bajki. Kominy i krenelaże na dachach, w których odbijało się błękitne poranne niebo pokrywając je jakby jedwabistą kotarą, kamienne, wyniosłe wieżycy, wszystko to przypominało migocące nierealnym blaskiem miasto. Każdy liść i każde źdźbło trawy drżały od ciężaru rosy połyskującej w słońcu, ziemia była ciemna od wilgoci i słodko pachniała. W tej scenerii Tilsit wyglądał jakby dopiero co go zbudowano, jakby właśnie położono na wzniesionych murach dach, jakby nie miał żadnej przeszłości — taki był świeży i nietknięty.

Nagle w ten sielankowy świat wdarły się przeraźliwe krzyki Brown. Pojawiła się zza ruin warowni, pędząc susami przez głazy i powalone płyty jak rozwścieczona furia. W objęciach tuliła coś do siebie, jak dziecko. Ginny pobiegła w jej kierunku.

Ciało Tripa, z zakrwawioną sierścią, zadrzało w jej ramionach w parokszym bólu, po czym zeszywniało.

— On to zrobił! — wrzasnęła skrzekliwym głosem. — Zabił to nieszczęsne stworzenie, tak samo jak zabił Isobel!

Ginny lekko dotknęła zimnego, mokrego ciała, czując, jak przesywa ją dreszcz trwogi.

— Gdzie go znalazłaś?

— Pod urwiskiem, tam gdzie ten człowiek go zrzucił. Musiałam zejść aż na dół. — Kobietą wstrząsnął szloch rozpaczny. — Nie mógł pozwolić żyć temu biednemu, niememu zwierzęciu, bo zdawał sobie sprawę, że ono o wszystkim wiedziało. Nie mógł zaznać spokoju, dopóki pies żył — więc zabił go!

Ginny ogarnęła nagle dojmująca fala wątpliwości.

— Zabierz go do domu — poleciła. — Ja zaraz wrócę.

Gniew Brown zamienił się w przerażenie. — Chyba panienska nie chce pójść do tego człowieka...? Panienko, proszę wracać! Panno Virginio!

Mark siedział w saloniku; przepiętna popielniczka stała na podłodze obok jego stóp. Kiedy Ginny weszła, akurat nie palił; rozpierał się półleżąc w fotelu z rękami zwieszonymi po bokach, jakby nie miał siły utrzymać ich ciężaru. Twarz miał bladą; kilkunniowy zarost wyglądał na niej jak głęboki cień. Ledwo zwrócił głowę w jej kierunku. Zamknęła za sobą drzwi i stanęła na wprost niego.

— Brown znalazła Tripa — oznajmiła.

Nie odpowiedział; zauważyła tylko lekkie drgnięcie ust.

— Powiedziałam — powtórzyła — że Brown znalazła Tripa.

— Co? — Popatrzył na nią zaczerwienionymi, otępiętymi oczyma. — Co powiedziałaś?

— Czyżbyś nie dosłyszał?

Wstrząsnął głową, jakby chciał otrzeźwieć.

— Jestem zmęczony. Pracowałem całą noc. Która jest teraz godzina?

— Nie słyszałeś, co powiedziałam? — naciskała Ginny.

— No więc, co takiego powiedziałaś?

— Że Brown znalazła Tripa.

— I co z tego? Zgubił się?

— Nie żyje. Znalazła go pod urwiskiem. — Zaciskając zęby musiała mu zadać to straszliwe pytanie: — Mark, czy ty zabiłeś Tripa? Czy uderzyłeś go... i rzuciłeś w dół urwiska?

Ożył raptownie. Zerwał się z fotela, nadepnął na popielniczkę przewracając ją.

— O czym ty, na Boga, mówisz?

— O Tripie! O Tripie mówię! — Jej drżący, coraz wyższy głos zdawał się przesywać powietrze. — Zrobiłeś mu krzywdę? Zabiłeś go?

— Tak sądzisz?

— Czy to ty zrobiłeś?

— Dlaczego miałbym to zrobić? — Do twarzy napłynęła mu krew. Żyłki na szyi nabrzmiały jak struny. Zacisnął z całej siły pięści. Teraz przeraziła się jego siły.

— Ponieważ... ponieważ... — Nagle przycisnęła rękę do ust. Po chwili wyszeptała słabym głosem: — Wybacz mi... sama nie wiem co mówię.

Gniew Marka nie ustępował.

— Dobrze wiesz, co powiedziałam. Myślisz, że zabiłem to nieszczęsne stworzenie, ponieważ było jej psem! Myślisz, że jestem na tyle szalony, by móc to zrobić!

— Według Brown...

Przerwał jej.

— Brown! Co, u diabła, Brown ma z tym wspólnego? Słuchamy teraz, co Brown nam mówi, tak? Nagle to stało się ważniejsze niż moje słowa? No

wiec — dlaczego? Dlaczego miałbym zabić tego cholernego psa? No, mów! Dlaczego?

— Bo on wiedział.

— Wiedział? Co wiedział?

— Co się stało tej nocy, gdy zginęła Isobel. Tylko on wiedział... poza tobą.

Mark podniósł się, w ciężkich ruchach widać było zmęczenie. Włożył ręce do kieszeni spodni i stanął w swej zwykłej postawie, z szeroko rozstawionymi nogami. W głosie zabrzmiał niski pomruk gniewu. Starał się opanować.

— Podczas śledztwa wyjaśniałem już, że nie wiem, co się przydarzyło Isobel po wyjściu stąd.

— Tak powiedziałeś policji.

— A ty uważasz, że skłamałem?

— Chcę usłyszeć całą prawdę. Od ciebie, Mark, teraz!

Odwrócił się powoli, z namysłem. Znowu nogą potrącił popielniczkę. Ruszył w stronę korytarza prowadzącego na tyły domu. Od razu wiedziała, że jeśli go nie zatrzyma, nie dowie się od niego niczego więcej.

— Gdzie idziesz?

— Gdzie? A jakie to ma znaczenie? — W drzwiach odwrócił się raz jeszcze i popatrzył jej w twarz. — Gdziekolwiek, byle daleko stąd.

— Chcesz powiedzieć, że wyjeżdżasz... wyjeżdżasz z Tilsit?

— A co, jesteś zaszokowana? Czy tak bardzo jesteś do niej podobna, że myśl o wyjeździe z Tilsit nie może ci przyjść do głowy? A więc owszem, wyjeżdżam. Powinienem to zrobić dawno temu, zanim Isobel zdołała spętać mnie tak mocno, że prawie przestałem oddychać. I zanim zwariowałem na tyle, żeby zacząć wyobrażać sobie, że miłość do ciebie potrafi wszystko zmienić, a ty, pod wpływem mojej miłości, potrafisz stać się inna. Jednak nie potrafisz tego. Jesteś typową Tilsit — nie, nie zaprzeczaj, nie masz przecież możliwości popatrzeć na siebie z zewnątrz i stwierdzić, jaka naprawdę jesteś. Jak tylko zobaczyłem cię po raz pierwszy, powiedziałem ci to i nie ma sensu zapewniać teraz, że miałem rację. Zresztą byłaś nią już dużo wcześniej, jeszcze zanim to zrozumiałaś. Tilsitowie nigdy nie potrafili kochać bezinteresownie. Zwykli przede wszystkim pytać: „Co jest dobre dla Tilsit?” — a cała reszta była na drugim planie.

— Ja nic takiego nie mówiłam! Przyszłam tu z powodu Tripa...

— Bo uznałaś, że byłbym zdolny zabić tego cholernego zwierzaka? A to oznaczałoby, że ponoszę odpowiedzialność — pośrednią czy bezpośrednią — za śmierć Isobel.

Unióś nagle rękę i wskazał wprost na nią.

— I powiem ci coś jeszcze. To, że tu teraz przyszłaś, potwierdza tylko, że jesteś z Tilsitów. Przyszłaś wystawić mi rachunek. Gdybyś wierzyła, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Isobel, nie musiałabyś pytać mnie o Tripa. A jeśli masz wątpliwości co do tego, muszą one tkwić głęboko w twoim

sercu. A tam, gdzie istnieją wątpliwości, nie może być mowy o miłości. Te dwie rzeczy wykluczają się wzajemnie. Jaki ja byłem głupi myśląc, że można kochać kogoś z rodu Tilsit.

Ręka opadła mu bezsilnie i nagle wybuchnął szalonym, gorzkim śmiechem.

— Kochać pannę Tilsit? I wyobrazić sobie, że ona pokocha mnie? Musiałem do reszty stracić rozum. Kobiety z tej rodziny nie potrafią kochać mężczyzn — one potrafią ich tylko wykorzystywać!

Ginny oparła się bezwładnie o drzwi; gniew i podejrzenia, które przywiodły ją tutaj, zniknęły bez śladu. Poczuła w sercu smak goryczy, który jej ojciec nosił w sobie przez dziesiątki lat. Nie miała odpowiedzi dla Marka.

— I jeszcze jedno — dodał. — Nie dostaniesz mnie w spadku wraz z całą resztą. Ja należę tylko do siebie. Zapamiętaj to!

Kiedy oddalał się korytarzem w stronę pracowni, dobiegł ją jeszcze jego dudniący głos.

— Będziecie musieli znaleźć kogoś na moje miejsce w fabryce — i innego lokatora tego domku. Ja z tym wszystkim skończyłem! — Jego ostatni, triumfalny okrzyk był jak uderzenie. — Od tej chwili koniec z Tilsitami!

Rozdział szósty

Tak więc Mark wyjechał... — powiedziała Vanessa. — Na pewno wróci. On zawsze wraca.

Ginny zwróciła głowę w kierunku kuzynki, stojącej przed nią na jednej z alejek. Odkąd wróciła z domku, siedziała skulona na ławce w ogrodzie, trzęsąc się z zimna mimo ciepłego, południowego słońca.

— Skąd wiesz, że wyjechał?

— Dzwonił do fabryki, a ojciec zatelefonował do domu. Zniknie na jakieś dziewięć dni. Niektórzy będą mieli nadzieję, że nie wróci, ale wróci na pewno.

— Nie — stwierdziła Ginny. — Nie sądzę, żeby tym razem wrócił.

— Nonsens — roześmiała się Vanessa. — Tilsit jest jak krew, która płynie w jego żyłach, tak samo jak w moich czy twoich. Żeby tak można było nie urodzić się tu... Tilsit jest chorobą, nałogiem. Mark na to cierpi. I wróci tu.

Ginny nie wierzyła w słowa Vanessy; dni, pełne żalu, dłużyły się jej w nieskończoność. Były zaprawione goryczą i wątpliwościami; ich pustki nie potrafiła niczym zapełnić. Przestała chodzić do fabryki, zaniechała przekopywania się przez sterty papierów Isobel. Nie było Tripa, z którym mogłaby chodzić na spacer, nie było po co wędrować do domku nad morzem. Od Randalla przychodziły jakieś listy, zapewne w sprawach posiadłości, ale odkładała je na bok nie czytając. Dni odarte z porannych wizyt u Marka, z codziennego przypatrywania się jego pracy, z cichych i czułych wieczorów przy kominku, straciły dla niej sens i znaczenie. Snuła się po korytarzach i galeriach Tilsit, zaglądając do pokoi, których nigdy dotąd nie otwierała, odmykając drzwiczki różnych kredensów i szaf, zdzierając pokrowce z mebli w magazynach. Nie było w niej jednak ciekawości, która charakteryzowała podobne poczynania Eliota. Robiła to tylko po to, by czymś się zająć, by zmęczyć się na tyle, by móc w nocy usnąć i dać sobie parę godzin wytchnienia.

— Czy ja go Kocham? — zadała sobie wreszcie na głos to pytanie, gdy

stanęła przed własnym odbiciem w jednej z gablot w Porcelanowej Galerii. Spojrzała na nią ściągnięta, stężała twarz obcej osoby. — Gdybym go kochała, czy zwątpiłabym w niego? On przekonał się o tym i odszedł... i straciłam go. A jeśli rzeczywiście zabił Tripa? Jeśli pozwolił umrzeć Isobel? Czy przejmowałabym się tym? Czy kocham go na tyle, żeby nie miało to dla mnie znaczenia?

Nie znalazła w swej twarzy odpowiedzi... Uświadomiła sobie natomiast, że w galerii dwie obce osoby patrzą na nią i przysłuchują się jej dialogowi z własną rozpaczą i wyobraźnią. Zapomniała, że był to akurat w posiadłości otwarty dzień, kiedy każdy za cenę pół korony miał prawo tu wejść, gapić się na nią i słuchać, co mówi. Na twarzach zwiedzających malowało się zdziwienie i podejrzenie, że stoją wobec osoby niespełna rozumu.

Odwróciła się i pobiegła prosto, na górę, do swojego pokoju, gdzie nie było Tripa, nie było nawet Brown, czekały tylko cierpliwie pamiętniki Isobel.

Były jedyną rzeczą, dzięki którym trzymała się jakoś przez te ostatnie dni. Studiując je uważnie, znajdowała liczne wzmianki na temat Marka, z czasów kiedy dorastał, pracował w fabryce i w domku. Natrafiła nawet na pierwszą uwagę, jaką Isobel kiedykolwiek zrobiła na jego temat: „Odkryłam młodego chłopca, prawie dziecko, który posiada niezwykły talent i wrażliwość w rękach. Czy to jest tylko dziecięca smykałka, czy zapowiedź prawdziwego artysty — przekonamy się w swoim czasie”. A rok później Isobel napisała: „Odwiedził nas dzisiaj Mark Barstow. Ależ ten chłopiec jest prostaczkim, i w dodatku pechowcem. Ma w sobie jednak ogromną energię, a jego talent rozwija się”. W notatce na temat Marka, gdy ten miał siedemnaście lat, Ginny przeczytała: „Ostatnie lato Mark spędził w Tilsit, pracował także w wytwórni. Pod wieloma względami była to klęska — mnóstwo rzeczy uległo uszkodzeniu, w wyniku zaniedbania i złej diagnozy straciliśmy konia, pomoc kuchenna dostała ataku hysterii. Jednocześnie wszyscy byliśmy świadomi tego, że musimy znosić jego dynamiczną obecność i jego wybrki w zamian za to, co nam daje. Nie wolno nam zachwiać jego pewnością siebie. Sposobem na niego jest jednak stanowczość”. Trochę dalej znajdowała się następna wzmianka: „Kiedy udaje mu się zapanować nad sobą i materiałem, wykazuje nieprzeciętny talent. Bardzo go tu potrzebujemy. Muszę znaleźć sposób, by go zatrzymać”.

Przeglądając zapiski z następnych lat Ginny zatrzymywała się głównie na tematach związanych z Markiem, jego sukcesami i porażkami, na rosnącym zaniepokojeniu Isobel, by go nie utracić. Nie mogła jednak nie zauważyć, że najwięcej emocji u ciotki wzbudzało w tym okresie małżeństwo Vanessy; wysiłki w celu jego rozwiązania, a potem — w celu ściągnięcia Vanessy z powrotem do Tilsit. Gdy się nie udało, zaniechała pisania na ten temat. Vanessa przestała dla niej istnieć.

Pod datą nieco wcześniejszą od dnia, gdy Isobel zjawiła się w klasztorze Santa Maria, Ginny znalazła następujący zapis: „Mark wykazuje oznaki zbytniego zainteresowania dziewczyną z Bournemouth, Sarą Conyngham.

Trzeba położyć temu kres. Nie chcę jej w Tilsit". A w dwa tygodnie później: „Rozmawiałam z Sarą Conyngham. Nie sądzę, żeby sprawiała nam dłużej kłopot". W ten sposób — za wiedzą Marka, czy też bez niej — rozporządziła jego dalszym życiem.

Na ostatniej stronie tomu pamiętników Ginny znalazła pierwszą wzmiankę na swój temat:

„Córka Johna jest już wystarczająco dorosła, by zdecydować, gdzie leżą jej najżywotniejsze interesy. Mam zamiar sprowadzić ją do Tilsit".

Była to ostatnia notatka w zeszycie. Pozostałe strony zostały przez kogoś wyrwane. Z poczuciem niedosytu Ginny przerzuciła resztę tomików oprawionych w ciemnoniebieską skórę z inicjałami Isobel; wszystkie one jednak dotyczyły okresów wcześniejszych. Wyglądało na to, że ciotka nigdy nie odnotowała swej wizyty w Santa Maria, ani też wysłanej na St. Nicolaas paczuski z nożem do sera. Relacje Isobel urywały się w tym momencie, tak jakby umarła właśnie wówczas, a nie dwa lata później.

2

Margaret podniosła głowę i ze zdziwieniem spojrzała na Ginny wchodzącą do pokoju. Przez chwilę patrzyła w milczeniu, po czym skinęła głową.

— A więc przyszłaś. Już myślałam, że nigdy się nie zdecydujesz. — W jej głosie nie było jednak wyrzutu, a jedynie stwierdzenie faktu. Ginny miała wrażenie, że Margaret mogła spędzić całe lata czekając w tym pokoju na tych, którzy nigdy nie przyjdą, a gdyby tak było w istocie, nie przejęłaby się tym za bardzo.

Ginny nie próbowała przeproszać czy tłumaczyć się przed nią. Żeby dotrzeć tu, musiała przejść przez alkierz i Wielką Sypialnię, gdzie wisały rysunki Memlinga i Holbeina, które tak podobały się Eliotowi, minąć aksamitne sznury i przedpokój z pozłacanym sufitem. Pokój Margaret do pracy znajdował się na samym krańcu skrzydła; jego okna wychodziły na północ, południe i wschód, dając dość światła, by rozjaśnić pomieszczenie dość ciemne z powodu starych kasetonów zdobiących sufit. Było ono niewielkie, przytulne i bardzo piękne. Wypełniał je zapach wełny, płótna i kwiatów, stojących w wazonie na stoliku. W ukośnych promieniach zachodzącego słońca widać było pyłki kurzu unoszące się w powietrzu. Włosy Margaret, pochylającej się nad stojącą ramą do haftu, wyglądały jak posrebrzone. Mebli było niewiele — dwa krzesła, duży dębowy stół i dwie dębowe serwantki stojące pomiędzy oknami. W jednym rogu stał warsztat tkacki.

Ginny zamknęła za sobą drzwi i wolnym krokiem przeszła przez pokój, załując, że tak długo zwlekała. Prawdę mówiąc, przyszła tu tylko dlatego, że jej wewnętrzne rozterki przywiodły ją w końcu i do tych drzwi, których do tej pory nie otwierała. Wrażenie, jakie odniosła, było znacznie silniejsze od

tego, które zapowiadała niegdyś Margaret. Głęboki, nie zmacony niczym spokój tworzył z tego pomieszczenia fortecę, niedostępną natręctwu zewnętrznego świata. Ginny zrozumiała, że Margaret wcale nie ucieka do tego miejsca, a po prostu wycofuje się tu przed innymi.

— Jaki to piękny pokój — powiedziała.

Margaret wróciła do swego zajęcia.

— Owszem — odparła. — Isobel przeznaczyła go dla mnie, gdy podjęłam się reperatury tych wielkich kilimów. Musieliśmy zdobyć specjalne ramy, no i potrzebne było miejsce, gdzie można jak najdłużej pracować przy naturalnym świetle. W tym skrzydle oczywiście nie ma sztucznego oświetlenia, tak więc w lecie moje godziny pracy są znacznie dłuższe niż w zimie. Dzięki temu mam pełną świadomość pór roku.

— Musisz mieć dobry wzrok...

— O, tak. Oszczędzam oczy... co pół godziny przerywam pracę i wyglądam przez okno. Szczególnie lubię patrzeć na tereny rozciągające się za ogrodem. Ze wschodnich okien widać całą dolinę... tylko z Porcelanowej Galerii był ten sam widok, jednak zamurowano tam wschodnie okna i zburzono strop drugiego piętra, by dodać galerii wysokości. — Jej głos płynął spokojnie i łagodnie, w dłoniach śmigała przez płótno igła, szybko i dokładnie. Ginny podeszła bliżej.

— Nad czym teraz pracujesz?

— To środkowa część nowej kapy na łożo w Wielkiej Sypialni. Będzie z tego aplikacja na niebieskim, aksamitnym tle.

— Chyba się trochę różni od starej?

Margaret skinęła głową.

— Jak zdołałam ustalić, tamtą zrobiono w czasach Jane Tilsit; ma dekorację w postaci herbu. Było to wówczas coś nowego, ale nie pasowało do charakteru Tilsit. Wróciłam więc do motywu kwiatów i ptaków, jaki występuje na kilimach w alkierzu. To jest niemal jego kopia, z kilkoma moimi własnymi dodatkami. Utrzymana w oryginalnym stylu z siedemnastego wieku... wtedy właśnie kładziono nowe panele we wszystkich pokojach po tej stronie, wtedy też zbudowano Długą Galerię.

Ginny oparła się o niszę okienną.

— Znasz historię tego domu równie dobrze jak Vanessa.

— Miałam mnóstwo czasu, by ją poznać — odparła Margaret, lecz Ginny nie mogła odczytać wyrazu jej twarzy, pochylonej nad ramą.

— Czy... czy znałaś ten dom, zanim wyszłaś za męża?

— Tak, wychowałam się niedaleko stąd. W tych dniach, gdy Isobel i jej brat dorastali, nasze rodziny odwiedzały się nawzajem, chociaż w Tilsit nigdy nie prowadzono ożywionego życia towarzyskiego. Było jednak trochę weselej niż wtedy, gdy Jane Tilsit była młoda, a jej córka Elizabeth dorastała. Kiedy Jane stała się już starszą panią — zetknęłam się z nią parę razy — próbowała prowadzić bardziej otwarty dom, by zachęcić młodych mężczyzn do zabiegania o względy Isobel. Zawsze się jednak czuło, że to przejściowe, i kiedy tylko

Isobel i jej brat założyli rodziny, posiadłość znów zamknie swoje bramy. Taki Tilsit znałam z czasów mojej młodości.

— Musiałaś więc znać mego ojca. Dobrze go znałaś?

W miarowym rytmie śmigającej igły nastąpiła krótka, ledwo zauważalna przerwa. Była ona bardziej wymowna niż lekka zmiana w głosie Margaret.

— Tak, dobrze go znałam.

Przez następną minutę tempo, w jakim haftowała, zwiększyło się, jakby chciała nadrobić stracone sekundy. Wreszcie przemówiła, a w jej tonie wyczuwało się napięcie.

— Często zastanawiałam się, jakie życie prowadził twój ojciec po wyjeździe. Trudno było wyobrazić go sobie z dala od Tilsit. Jedyne co wiedziałam... co wiedzieliśmy... to że mieszka gdzieś w Indiach Zachodnich. Ja nigdy nie podróżowałam, więc trudno mi było wyobrazić go sobie tam...

— Na St. Nicolaas...?

Po chwili Ginny wzięła głęboki oddech i zaczęła, po raz pierwszy od przyjazdu do Tilsit, opowiadać swobodnie o wyspie i o życiu na St. Nicolaas, nie dobierając szczególnie słów i nie zastanawiając się, czy nudzi tym swojego słuchacza. Igła znowu pobłyskiwała w słońcu w stałym tempie, a Ginny mówiła o Oranje Huis, o ogrodach tak podobnych do tarasów Tilsit, choć nieco mniejszych, o dniach w palącym słońcu i nocach pod bezchmurnym niebem, z gwałtownymi, krótkimi ulewami... Opowiadała o łagodnej monotonii tamtejszego życia, o pospiesznych, wyczerpujących miesiącach żniw i spokojnych, powolnych okresach uprawy pól trzcinowych. Jej słowa wydawały się świadczyć o bogactwie ich życia, przebiegającego na krawędzi ubóstwa, o ich zgodnej i lojalnej egzystencji. Gdzieś w podtekście musiało zabrznieć przekonanie o łączącej ich wszystkich miłości, gdyż nagle Margaret przerwała jej.

— A twoja matka... jaka ona jest? Zastanawiałam się... trudno mi sobie wyobrazić, jaka może być kobieta, którą poślubił twój ojciec... — Powiedziała to tak delikatnie, że Ginny nie mogła poczuć się tym pytaniem dotknięta, a to, że Margaret je w ogóle zadała, wykluczało możliwość odmówienia jej odpowiedzi.

— Moja matka... myślę, że jest piękna... — Przed oczami Ginny stanął obraz matki i natychmiast zdała sobie sprawę, jak wielki kontrast istnieje między tymi dwiema kobietami. Nie bardzo wiedziała, jak opisać solidny, trwały i przyjemny charakter Katrien tej wiotkiej, efemerycznej istocie, która jedynie w tym pokoju nabrała realnych kształtów. — Jest zupełnie inna niż mój ojciec — stwierdziła tylko. I dodała: — Myślę jednak, że bardzo mu odpowiadała. Była dla niego... taka dobra.

Margaret pochyliła się nad ramą.

— Nigdy nie wiadomo, jak ułoży się czyjeś życie... On tak kochał Tilsit... Jak on mógł wytrzymać tak daleko stąd...? — Jej słowa, choć wypowiedziane łagodnie i miękko, wydawały się sugerować, że to, co mówiła Ginny, nie było całą prawdą. Ginny uświadomiła sobie nagle, że Margaret

chciałaby, żeby tak było. — To tak do niego nie pasuje... ciężka praca przez długie lata, bez tego wszystkiego, co tak lubił — tenisa, żeglarstwa, spotkań z przyjaciółmi. Ale cieszę się, że był szczęśliwy.

Szczęśliwy? Nigdy nie zadała sobie do końca tego pytania, gdyż wydawało jej się, że nie ma prawa rozsądzać za ojca tej kwestii, a poza tym uważała, że takie łatwe podsumowywanie całego życia jest dziecinadą. Może więc — zadowolony z życia? Nie, tego o Johnnie Tilsicie nie można było powiedzieć, w żadnym razie. Musiała więc zaryzykować odpowiedź.

— Szczęśliwy?... tak, był szczęśliwy. Tak uważam. I on sam w końcu też zdał sobie z tego sprawę. Chyba to właśnie chciał mi powiedzieć. Bardzo późno sobie to uświadomił, ale jednak zdażył.

— Cieszę się. — Tym razem słowa Margaret nie były tylko cczą formułką; w jej tonie można było wyczuć przekonanie, a nawet nutkę zadowolenia. — Cieszę się, że Johnnie był szczęśliwy.

Johnnie... To imię wypowiedziała z taką radosną delikatnością, jakby było słowem, które bardzo ceniła i nadzwyczaj rzadko używała. Jedynie lord Chardley, przyjaciel ojca, tak go nazywał.

— Powiedziałaś o nim „Johnnie”...

Igła zatrzymała się na dobre; ręce Margaret oparły się na ramie do haftu, jakby szukały odpoczynku.

— Wszyscy, których kochał, zawsze nazywali go Johnnie. A mnie kochał.

Głośne westchnienie Ginny spowodowało, że Margaret uniosła głowę. Spojrzała wprost na dziewczynę, a w jej niezdecydowanym zazwyczaj głosie zabrzmiała szorstkość i stanowczość.

— Nie wierzysz mi? Zapewniam cię, że mnie kochał. A ja kochałam jego. Pobralibyśmy się, gdyby nie Isobel.

— Isobel? Nie sądzę, żeby mój ojciec pozwolił Isobel... — W głosie Ginny pojawiła się jednak nuta wątpliwości, która nasiliła się pod wpływem dziwnego, niemal hipnotyzującego przekonania w pięknych, niebieskich oczach Margaret. Uzmysłowiła sobie, że dotychczas prawie nie miała okazji, by spotkać bezpośrednie spojrzenie kuzynki — zawsze umykało w bok, wędrowała wzrokiem w różne strony, o ile oczywiście nie skupiała go na tamborku. Teraz nie odwracała oczu od Ginny.

— Isobel nie dopuściła do tego! Tak, to właśnie ona do tego nie dopuściła! — wybuchnęła, jakby przez wiele lat siłą powstrzymywała te słowa. — Johnnie nic tu nie mógł zrobić. Kochał mnie — wiem, że mnie kochał. Ale Isobel nie chciała, byśmy się pobrali. Widzisz, dla Lawrence'a byłam dobra, ale nie dla Johnnie'ego. Johnnie był Tilsitem i musiał mieć kogoś postawionego wyżej niż ja, no i z pieniędzmi. Tak postanowiła Isobel. Ona nie rozumiała, co to znaczy kochać kogoś i cierpieć z tego powodu. O tak, cierpiałam. Cierpiałam tak bardzo, że dałam się jej oszukać. Gdybym naprawdę wierzyła w miłość Johnnie'ego, nie dałabym się oszukać. Lecz byłam młoda, a Isobel była taka silna. Każdy zawsze robił to, czego chciała Isobel. Ja też... Nie pomyślałam, że może mnie tak podejść... Nie przyszło mi

do głowy, że może skłamać, żeby osiągnąć swój cel. Nikt nigdy nie pomyślał nawet, że Isobel mogłaby skłamać. Zawsze wystarczyło, żeby powiedziały, że czegoś chce — i już to miała. Nie wyglądała na osobę, która musiałaby kłamać...

Jej szczupłe, białe dłonie zacisnęły się w pięści, na policzki wystąpiły ostre rumieńce, zupełnie nie pasujące do jej delikatnego wyglądu. Ze współczuciem w głosie Ginny zapytała miękko:

— W jaki sposób cię oszukała?

Słowa popłynęły jak wodospad. Nie musiała zadawać więcej pytań.

— To zdarzyło się tuż po wydaniu niekorzystnego dla Johnnie'ego wyroku, wtedy kiedy doszło do wypadku w wytwórni. Przez cały czas, kiedy toczyła się sprawa, nie widziałam Isobel — ona wiedziała, po czyjej jestem stronie, ponadto w tym czasie Johnnie nie mieszkał w posiadłości. Sąd, co prawda, zezwolił mu na mieszkanie w Tilsit, lecz on wolał pozostać w domku, w którym obecnie mieszka Mark. Było to kiedyś miejsce, gdzie bawili się Isobel i John, gdy byli mali. Tak więc tam się z nim spotykałam i nigdy nie zbliżałam się nawet do posiadłości. Kiedy usłyszałam o wypadku, od razu domyśliłam się jak bardzo musiał on przygnębić Johnnie'ego. Musiałam przyjść i zobaczyć się z nim, ale nie było go w domku. A ja tak bardzo pragnęłam go zobaczyć, rozumiesz chyba. Nie widziałam się z nim od wydania wyroku, dzień wcześniej. Bardzo się nim przejęliśmy... Właściwie nigdy nie prosił, bym za niego wyszła — miałam wtedy osiemnaście lat — ale oboje byliśmy pewni, że podejmiemy tę decyzję, jak tylko rozstrzygnie się sprawa spadku. Nie spodziewaliśmy się, Johnnie i ja, że on przegra. A jednak... Nie bardzo wiedziałam, jak on teraz postąpi, czy zostanie w Tilsit, czy wyjedzie. Tymczasem nie było go w domku, więc poszłam do posiadłości licząc, że tam będzie. Nie było go. Zamiast niego spotkałam się z Isobel.

Przeszedł ją lekki dreszcz.

— Doskonale pamiętam to spotkanie. Isobel była wtedy młoda — miała dwadzieścia parę lat — i bardzo ładna z tymi swoimi jasnymi włosami. Miała bardzo silny, jak na kobietę, charakter. Trochę jej się bałam, jak zresztą zawsze. Poproszono mnie do jej gabinetu. Wyglądał wtedy zupełnie tak samo jak teraz. Przypuszczałam, że jest bardzo zdenerwowana tym, co się stało w wytwórni, ale kiedy zaczęłam mówić coś na ten temat, przerwała mi w pół słowa. Tak jakby chciała powiedzieć, że to nie moja sprawa, że nie mam prawa się wtrącać. Zrobiło mi się przykro, ponieważ wiedziałam, że orientuje się, jak wyglądają sprawy między Johnnie'em a mną. Nie powiedziała nic o wytwórni ani o Johnnie'em. Otwierała paczkę z porcelaną, która dopiero co nadeszła z fabryki, i obserwowała, jak stoję i patrzę na nią. Powiedziała, że to jej nowy wzór, a ja zapytałam, jak jej się to udało, skoro nie miała prawa kontaktować się z wytwórnią. Roześmiała mi się w twarz, mówiąc: — Chyba nie myślisz, że traktowałam poważnie te bzdury? Robiłam to co zwykle, że bardziej dyskretnie. W końcu ktoś z nas musiał zająć się sprawami wytwórni — musiano przygotować nowe linie na czas, gdy wróce, by oficjalnie nią zarządzać. Przecież nie mogłam zostawić wszystkiego swojemu biegowi, podczas gdy John prowadził tę niebezpieczną grę. Wiedziałam,

że podziękuję mi, kiedy zrozumie, jaki był głupi. Jestem przekonana, że w końcu odzyska zdrowy rozsądek i zacznie postępować tak, jak powinien był robić od samego początku". Pamiętam bardzo dobrze, co mówiła, ponieważ równocześnie cały czas rozpakowywała porcelanę. Wreszcie wyjęła pierwszą filiżankę. „Jak ci się podoba?” zapytała i podała mi ją. Było to okrutne — tak bardzo okrutne. Pamiętam, że nie byłam w stanie jej utrzymać. Upadła i rozbiła się.

Margaret zacisnęła mocno dłonie w bolesnym wspomnieniu.

— Ozdobiona była wzorkiem z niebieskich dzwonek; ten pomysł zrodził się pewnego dnia, niedługo przed śmiercią Starszej Pani, gdy Johnnie, ja i Isobel spacerowaliśmy w lesie po drugiej stronie strumienia i Johnnie zerwał dla mnie parę kwiatków. Powiedziałam wtedy, że bardzo ładnie wyglądałyby na porcelanie, a Johnnie zasugerował, że zaprojektuje deser i jeśli będzie się nadawał, skieruje go do produkcji. ...Ale ona wyprzedziła go, zrobiła to za jego plecami, a teraz miałam filiżankę w ręku. Odwróciłam ją do góry dnem, a na odwrocie, obok sygnatury Tilsit odbita była nazwa „Edgeley”. Od razu wiedziałam, co to oznacza. Nie umieszcza się na ogół nazw wzorów na porcelanie. Powiedziałam tylko: „Nazywa się Edgeley”. „Tak, odparła. Sądzę, że to miły gest wobec Diany Edgeley w związku z ogłoszeniem ich zaręczyn”. „Zaręczyn?” — zapytałam. A Isobel wzruszyła ramionami ze zdziwieniem, tak jakbym powinna była o tym wiedzieć. „Widzę, że nie jesteś na bieżąco, stwierdziła. Były postanowione od dawna, jeszcze kiedy John i Diana byli dziećmi. Oczywiście nie można było tego ogłosić, póki ten cały niedorzeczny proces się nie skończył. Ale teraz John wie, jak musi postąpić. Zamierza poślubić Dianę, jak to zawsze planowaliśmy, a pieniądze Edgeleyów zasilą wytwórnię. Ona nie byłaby jakąś outsiderką w rodzinie, a poza tym wniosłaby do niej pieniądze, a to bardzo nam się przydadzą. I wszyscy będą zadowoleni, nieprawdaż?” I uśmiechnęła się do mnie tym swoim fałszywym uśmieszkiem. „A ja? Co ze mną będzie?” — zapytałam. Uśmiechnęła się znowu, jakbym była dzieckiem. „Ty? Myślę, że poślubisz Lawrence’a, który tak na to czeka. Jest taki cierpliwy... wiesz, że odkąd skończyłaś czternaście lat, pragnie ożenić się z tobą. I powinnaś zdecydować się na to. Powinnaś wyjść za Lawrence’a”.

Margaret ponownie wbiła szklany wzrok w Ginny, próbując otrząsnąć się ze wspomnień sprzed trzydziestu lat.

— Uwierzyłam jej — wyznała. — Uwierzyłam, że Johnnie postanowił pozostać w Tilsit, bez względu na wszystko. I że nie było tam miejsca dla mnie. Uwierzyłam jej, a ona była pewna, że tak właśnie będzie. Wiedziała, że nigdy nie pójde zapytać Johnnie’ego, czy to prawda. Nie miałam dość pewności siebie, by tak zrobić. Nie byłam pewna Johnnie’ego. I nie byłam wtedy do końca pewna, czy mnie kocha.

— A jak się o tym upewniłaś... już po wszystkim?

Błysk triumfu i satysfakcji pojawił się w oczach Margaret. Wydawała się wracać do siebie, a Ginny uświadomiła sobie w tym momencie, że w jej zachowaniu zawsze przewijają się niezrozumiała dotąd nutka samozadowolenia.

— Dowiedziałam się. Stałam się tego całkiem pewna... potem. Widzisz, postąpiłam, jak chciała Isobel. — Bezradnie rozłożyła ręce. — W końcu, cóż więcej mogłam zrobić, skoro nie mogłam mieć Johnnie'ego? Poszłam do Lawrence'a i powiedziałam, że wyjdę za niego.

Zafascynowana jej zdecydowaniem Ginny zapytała: — Naprawdę wiedziałaś wcześniej, że Lawrence chce się z tobą ożenić?

— Oczywiście — odparła Margaret z lekkim zniecierpliwieniem. — Pragnął tego od dawna... ale naturalnie Johnnie był lepszą partią. Powiedziałam Lawrence'owi, że wyjdę za niego natychmiast, że nie chcę dłużej czekać. Wsiadliśmy po prostu do jego samochodu i pojechaliśmy do Szkocji. Nie chciał brać ślubu w ten sposób, ale ostatecznie ustąpił. Pobraliśmy się tam rano i wysłaliśmy depesze do moich rodziców i do Isobel. Po czym wróciliśmy. W tym czasie Isobel spotkał ten straszliwy wypadek, który tak oszpecił jej twarz, a Johnnie zniknął. W ten właśnie sposób ostatecznie dowiedziałam się, że mnie kochał. Wyjechał. Nie było żadnych zaręczyn. A kiedy nowy deseń na porcelanie wszedł do produkcji, nazwano go Błękitnym Dzwonkiem, nie inaczej. Widzisz? Odzyskałam swój wzór.

Głos Margaret odzyskał swój zwykły martwy spokój. Ręce przestały nerwowo gestykulować. Klasnęła w dłonie, jakby chciała przywrócić im normalny stan, po czym wzięła igłę i przewlekła przez uszko nową jedwabną nitkę. Igła zaczęła śmigać ponownie przez płótno, tam i z powrotem.

— Często myślałam o Johnnie'em — dodała — zastanawiałam się, jak wygląda jego życie. Zawsze widzę go takim, jak dawniej — młodego i przystojnego. Dla mnie się nie zmienił. A jeśli chodzi o mnie... cóż, mam swoją pracę, tutaj, w Tilsit.

— I to ci wystarczało?

Tajemniczy uśmiezek przemknął po jej twarzy.

— Tak, miałam swoją cichą satysfakcję, widząc, jak bardzo przez te wszystkie lata Isobel załowała, że nie dopuściła do naszego małżeństwa. Johnnie zostałby tu, gdybyśmy się pobrali. A za każdym razem, gdy patrzyłam na Isobel, na jej zeszeconą twarz, miałam najlepszy dowód, że Johnnie mnie kochał.

Niezdrowe zadowolenie w głosie Margaret zmroziło Ginny.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Potok słów już jednak wysechł. Na oczach dziewczyny wewnętrzna istota Margaret zadrżała, zbladła i zamknęła się jak nocny kwiat przed upałem dnia. Szybkie ruchy jej rąk wskazywały, że padło o jedno pytanie za dużo. Ponownie ukryła się przed światem.

— Tylko to, co powiedziałam. Nic więcej. Nie ma potrzeby, żebyś wiedziała o wszystkim. Wystarczy, że ja wiem. — Zręcznym ruchem małych, hafciarskich nożyczek przecięła nitkę.

Dopiero teraz Ginny, wpatrując się machinalnie w robótkę rozciągniętą na ramie, dostrzegła to, co było wieloletnią obsesją Margaret. Wokół centralnego motywu rozciągał się stylizowany szlaczek błękitnych dzwonek. Niewinne, bezpretensjonalne kwiatki wypracowane były tak szczegółowo, że

można było zauważyć, iż krawędzie ich płatków zaczynały ciemnieć, zwiąca się, jakby zwarzone przez mróz lub chorobę. I uświadomiła sobie od razu, jak często na wszystkich haftowanych tkaninach w Tilsit — kapach, zasłonach i obiciach — powtarzał się ten sam wzór. Uświadomiła sobie też, że wzrok Isobel, gdziekolwiek się znajdowała, nie był w stanie go ominąć. Ginny cofnęła się przerażona niemią zemstą, jaką zaplanowała ta kobieta przez lata spędzone w Tilsit, i tym, jak pokornie Isobel musiała to znosić.

3

Po wyjściu od Margaret Ginny na nowo podjęła wędrowkę po korytarzach i pokojach domostwa, z coraz głębszym przekonaniem, że mimo jego rozległości nie bardzo ma dokąd pójść. Gdziekolwiek spojrzeła — na obrazy, książki, zdobienia czy makaty — wszędzie widziała ślady, czasem w postaci plam brudu, pozostałości po cenie, jaką przyszło zapłacić za prawo pobytu każdej mieszkającej tu osobie. Coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że tę cenę zawsze trzeba zapłacić, bez względu na to w jakiej walucie. Tak bardzo chciała o tym zapomnieć, zaprzeczyć temu, że zdecydowała się wyjść z domu. Bezwiednie znalazła się na bliskiej sercu ścieżce prowadzącej na urwisko i dalej, do domku Marka.

Puste pokoje przywitały ją niemią wymówką, poczuła ostry ból po utracie bliskiej osoby. — Dlaczego pozwoliłam mu odejść? — zapytała na głos pustych ścian, wygasłego popiołu w kominku. Wolno ruszyła przed siebie, dotykając przedmiotów, które należały do Marka. Lekko gładziła palcami rozstawione wszędzie naczynka z porcelany — żywo uświadomiła sobie kontrast z Tilsit, gdzie niczego nie miała ochoty dotykać. Niewiele stąd zabrał; większość ubrań wisiała w szafie, książka leżała otwarta tak jak ją zostawił, przewrócona popielniczka wciąż walała się po podłodze. Miejsce to było tak przesiąknięte osobowością właściciela, że Ginny cały czas zerkała w stronę drzwi studia, jakby czekając na jego wejście. Nie pojawił się jednak. Wiedziała zresztą, że telefonował do Randalla, by poinformować go, że poczynił przygotowania do opróżnienia domku. Chciał zabrać to, co do niego należało oraz usunąć porcelanę i rzeźby. Domek wciąż oddychał życiem, które w niego tchnął, i Ginny znajdowała w tym pocieszenie.

Robiło się coraz ciemniej, ale ona nie miała ochoty wracać. W nieruchomym powietrzu nad powierzchnią morza zaczęła unosić się mgła, gęstniejąc nad skrajem urwiska. Bardziej po to, by odegnąć uczucie samotności, niż z chłodu rozpaliła kominek i przygotowała sobie kolację złożoną z puszki sardynek, biszkoptów i herbaty. Z kredensu w kuchni wyjęła butelkę szkockiej i wlała trochę do herbaty. Rozgrzała sobie nią gardło, ale w sercu zrobiło jej się jeszcze zimniej. Ogarnęła ją tęsknota za Markiem, poczucie odtrącenia i własnej winy; wiedziała dobrze, że tydzień temu, w tym samym pokoju umieściła Tilsit na pierwszym planie, przed Markiem. I straciła go. Mówił

prawdę, kiedy stwierdzał: "Jesteś typową Tilsit...". Tak, wtedy nią była; była rzecznikiem Isobel, tak jakby ta nieżyjąca kobieta przemówiła jej głosem. A Mark wolał wolność niż posłuszeństwo.

Ciekawe, pomyślała, czy ojciec zdawał sobie kiedykolwiek sprawę z wolności, jaką uzyskał dzięki temu, że musiał uciekać z Tilsit? Wolności od dwóch kobiet, Margaret i Isobel, na wpół opętanych swymi obsesjami? Czy wyjechał uznając, że będzie to jego jedynym ratunkiem, czy w bolesnym poczuciu przegranej walki z siostrą i utraty Margaret, która poślubiła innego mężczyznę? Miała nadzieję, że ojciec uświadomił sobie — nawet jeśli późno — jakim darem niebios była wolność, możliwość dysponowania własnym życiem. Pomyślała o Katrien i zapragnęła, by John wiedział, jak cenną nagrodą dla niego była jej siła, jej rozum, obdarowanie go swobodą, jej wspaniała powściągliwość i zdolność trzymania rąk z dala od tych, których kochała. Kiedy tak dumiała przy kominku, nagle ogarnęła ją pewność, że Katrien zrozumiałaby odejście Marka, uznałaby je wręcz za konieczne i słuszne.

Poczekwała, aż drewno na palenisku spłonie, płomienie przygasną i zostanie po nich tylko żar. Starannie umieściła kratę przed rusztem, myśląc, że jedyną dobrą rzeczą, którą teraz może dla Marka zrobić, jest zadbanie o rzeczy, które cenił. Wzięła latarkę i ruszyła przed siebie ścieżką nad urwiskiem, z trudem znajdując drogę w przyćmionym przez mgłę świetle.

4

— Rodzina zaczęła się niepokoić, panno Virginio — powiedział Garth z wyrzutem w głosie, gdy weszła do hallu z puszystymi od mgły włosami. — Gdyby w przyszłości, panienko... — przerwał, bo było oczywiste, że Ginny nie zwraca na niego uwagi i nie słyszy jego słów.

— Oczywiście, Garth — odparła automatycznie, będąc już na schodach — oczywiście.

Został na dole w hallu przeczuwając coś złego. Patrzył za nią, jak szła sztywno, nie dotykając poręczy, jakby nieobecna. Chciał ją zawołać, mimo iż nie było przyjęte, by podnosił głos. — Panienko... — zaczął, lecz dalsze słowa uwięzły mu w gardle; zrozumiał, że Ginny jest teraz jak w transie, a on nie powinien tego przerywać. Patrzył więc tylko na jej bujne jasne włosy, wyglądające na tle ciemnej boazerii schodów jak ciepła poświata. Po chwili zniknęła, odgłos jej kroków stłumił dywan rozłożony w przedpokoju. Usłyszał, jak otwiera, a następnie zamyka drzwi sypialni. Westchnął ciężko i ruszył w długą, codzienną wędrówkę, aby pozamykać na noc wszystkie drzwi.

Ginny weszła do pokoju. Jedyne światło dawały tu płomienie bijące od paleniska. Nie wcisnęła kontaktu, zapalającego elektryczne kinkiety na ścianach; niepotrzebne jej było teraz ostre oświetlenie.

Wolnym krokiem podeszła do biurka, by zapalić świecę, rzucając mimo woli spojrzenie na pusty koszyk Tripa przy kominku. Brown powinna była go uprzatnąć, pomyślała. Natychmiast jednak poprawiła się: nie, ja powinnam była jej to polecić, ona nigdy samodzielnie nie usunie w Tilsit niczego, co mogłoby świadczyć o ciągłości rodu. Puste posłanie Tripa powinno pozostać tu jako dowód oskarżenia i przemocy, by w odpowiednim czasie zostać przejęte przez jego następcę. Ginny westchnęła i odwróciła się z uczuciem beznadziei i zamętu w głowie. Bardzo tęskniła za Markiem. Potrzebne było jej ludzkie ciepło jego obecności, szorstka żywotność i siła, która przywracała zaufanie do niego, świadomość, że rozsadza go życie, podczas gdy reszta tego miejsca jest martwa. Podeszła do okna i stanęła przy nim, mocno trzymając się parapetu, pragnąc z całej mocy, by nad ciemną krzywizną wzgórze pojawiło się blade światło. Wokół rozciągała się jednak tylko nieprzenikniona ciemność.

— Wreszcie pozbyliśmy się go.

Ginny odwróciła się gwałtownie, spoglądając w głąb ciemnego pokoju, skąd dochodził matowy, ponury głos Brown. W jednym z foteli poruszył się jakiś kształt, po czym sylwetka pokojówki przekroczyła smugę światła bijącego od kominka.

— Wreszcie pozbyliśmy się go na dobre — powtórzyła.

Posępna postać wyłoniła się tuż obok Ginny.

— Marka...? — zapytała. Przywarła plecami do parapetu, próbując uniknąć bliskości Brown. — Masz na myśli Marka?

— Jego... tego mordercy! Nic dobrego nie wyjdzie z tego wypatrywania światła na horyzoncie. Odkąd wyjechał, wciąż ich panienka wyczekuje. Nic dobrego nie spotkałoby tam panienki. On jest złym człowiekiem, miał zły wpływ na Tilsit i na panienkę. Bardzo dobrze, że pozbyliśmy się go, tak jak kiedyś tamtego.

— Tamtego? — wyszeptała Ginny w ciemności. Tłumiony dotąd strach przed tą kobietą wydobył się nagle na powierzchnię. Przeraziła ją fizyczna obecność Brown oraz ledwo powstrzymana histeria w jej głosie.

— Johna.

Ginny zeszywniała gotowa bronić ojca.

— Mój ojciec nie zrobił nic złego. Isobel zasłużyła sobie na pogardę, z jaką wymawiał jej imię. Nienawidził jej i wcale się temu nie dziwię. Pozbawiła go Tilsit i nie dopuściła do poślubienia kobiety, którą...

Nieoczekiwanie poczuła żelazny uścisk ręki Brown na ramieniu. Przeszły ją ciarki.

— A więc powiedziała ci! Od razu wiedziałam, że zaciągnie cię w końcu do tego pokoju, że nie zdoła oprzeć się chęci opowiedzenia o tym. Nie śmiała powiedzieć tego w oczy pannie Isobel przez wszystkie te lata... Długo czekała, żeby wreszcie wyrzucić to z siebie. Powiedziała to tobie, prawda? — Przy tych ostatnich słowach Ginny gwałtownie szarpnęła ramieniem. — Powiedziała?

— Owszem, Margaret powiedziała mi o wszystkim.

— Czy rzeczywiście o wszystkim? Czy powiedziała, czym John odpłacił pannie Isobel?

— Nic nie mówiła o moim ojcu i Isobel.

— No oczywiście! Nie przyznałaby się, że wie, co się stało. Później przez całe miesiące trzymała się z dala od panny Isobel udając, że nic się nie zdarzyło. Jest słaba i głupia, panna Isobel wiedziała o tym od dawna. Nie nadawała się na żonę dla Tilsita. Ród trzeba wzmacniać dobrą krwią, a ona takiej nie miała. Panna Isobel postąpiła jak najśluszniej nie dopuszczając do tego małżeństwa, ale John tego nie rozumiał. Widział tylko jej twarz... O tak, była rzeczywiście piękna, zapewniam cię, ale za piękną twarzą nie kryło się nic, tylko słabość i głupia ambicja, żeby wejść do rodziny. Ona nie była dla Johna, tylko on tego nie widział. Tego ranka, gdy przyszła depesza ze Szkocji, Isobel nie spotkało z jego strony podziękowanie za ratunek — tylko zguba, nieomal śmierć. Czy o tym też wiesz? Nie żyłaby, gdyby dopiął swego.

Ginny ponownie szarpnęła ramieniem próbując strząsnąć dłoń Brown. Ta jednak trzymała je jak w kleszczach.

— Sama nie wiesz, o czym mówisz! Nie wierzę ci, jesteś obłąkana!

— Obłąkana? Ja? Czyż nie widziałam tego na własne oczy? To był widok, którego nie zapomnę do samej śmierci. John Tilsit też tego nie zapomniał... gwarantuję ci.

Ginny za wszelką cenę próbowała się opanować. Usta jej drżały.

— Co takiego widziałas?

— Poszła z depeszą do domku. Wzięła ze sobą próbkę nowego wzoru porcelany, myśląc, że go tym ucieszy. Długo nie wracała... Nie wróciła na lunch, więc poszłam tam po nią. Już z daleka, jak tylko weszłam na ścieżkę prowadzącą nad urwiskiem, spostrzegłam, że drzwi do domku są otwarte, ale wokół było bardzo cicho, jakby nikogo nie było.

— Ona spadła... — wyszeptwała Ginny. — To wtedy spadła z urwiska...

— Ach! — W ciemności głos Brown rozbrzmiewał pogardą. — To nie był żaden upadek, nie chodziła wcale na urwisko. Znalazłam ją w domku, leżącą tuż przed paleniskiem. To był przerażający widok, ściskający serce. Całe pomieszczenie było zdemolowane, jak przez szaleńca. Wszystko było poprzewracane, połamane, roztrzaskane, a ona miała rozbitą głowę i poranioną twarz. Jeden Bóg wie, co uratowało jej życie...

— On tego nie zrobił! Nie mógłby!

— Owszem, zrobił. John to zrobił. I zostawił ją leżącą w kałuży krwi. Gdybym nie przyszła, pewnie by umarła. Była jednak silna i odporna, miała w sobie więcej wytrzymałości i odwagi niż niejeden mężczyzna. Nie poddała się więc i przeżyła. To ja ją znalazłam w tym stanie.

— A on odszedł... — nie było już pytania w głosie Ginny.

— Odszedł. Uciekł jak tchórz, którym zresztą był. Musiałam dla niej zrobić wszystko, co było w mojej mocy — ja sama, ponieważ ona nie chciała, bym zawołała lekarza do domku. Powiedziała, że musimy wrócić same do Tilsit i nie wolno nam nikomu mówić, co tu się stało.

— Sama dotarła do Tilsit? W takim stanie?

— Mówiłam już, że miała nadludzką wytrzymałość i odwagę! Przestała w końcu krwawić i kazała się zabandażować paskami z rozdartych prześcieradeł. Miała wstrząs mózgu — nawet ja mogłam to stwierdzić i wiedziałam, jak niebezpieczne jest poruszanie się w tym stanie. Poraniona twarz i nos wyglądały paskudnie, ale rany głowy były bardziej niebezpieczne. Kazała mi jednak czekać, aż się ściemni, i dopiero wtedy ruszyliśmy w drogę. To było okropne. Znowu zaczęła krwawić; krew sączyła się przez bandaż, zalewała jej oczy. Dotarliśmy na miejsce, a ona miała dość odwagi, by zostać sama, póki nie otworzyłam głównych, wielkich drzwi, byśmy mogły wejść do Środka nie zauważone. Dopiero gdy znalazła się na własnym łóżku, poleciła mi wezwać doktora. Kazała mi mówić wszystkim, że spadła z urwiska i zabroniła komukolwiek poza mną wchodzić do sypialni.

Uścisk na ramieniu Ginny nie zelżał ani na chwilę, a Brown mówiła dalej.

— Doktor zorientował się, rzecz jasna, że upadek nie mógł spowodować tego typu ran. Chciał poinformować o wszystkim policję i zabrać pannę Isobel do szpitala. Nie zgodziła się. To był lekarz Starszej Pani i rozumiał sprawy Tilsit. Przekonała go więc, że wciągnięcie w to policji nie przyniesie nam nic dobrego, i że ja poradzę sobie z pielęgnowaniem jej tu, na miejscu. I dałyśmy sobie radę. Tylko my dwie. Doktor przychodził codziennie, zmienialiśmy opatrunki, a panna Isobel leżała w łóżku przez długie cztery miesiące. Najpierw musiała wyjść ze wstrząsu, potem czekać, aż będzie można zdjąć bandaż i aż odrosną jej włosy w miejscu, gdzie doktor ogolił jej głowę. Była taką piękną młodą kobietą, a kiedy zrzuciła bandaż, okazała się ruiną — z potwornie oszpeconą twarzą, z posiwiałymi nagle włosami. Wystarczyło jej odwagi, by pokazać się światu i powiedzieć, że miała wypadek. Miała dość odwagi, by zadbać o wszystko. Pomyśl tylko! Jeszcze tej samej nocy kazała mi wrócić do domku, wszystko posprzątać i zamknąć go na klucz, by nikt nie mógł wejść do środka. Zrobiłam tam porządek jak potrafiłam najlepiej, wyrzuciłam wszystko, co zostało rozbite. Miałam okropne uczucie dotykając tych rzeczy — nie wiedziałam przecież, czym on ją uderzał, poza tym nie byłam pewna, czy czegoś nie przeoczyłam. Wszędzie było mnóstwo krwi... poplamiony dywanik sprzed kominka spaliłam następnego dnia. Pamiętam to dobrze, pamiętam nawet rozbite kawałki porcelany powbijane w podłogę.

— Więc... więc czuła się winna z powodu tego wszystkiego, co mu zrobiła i za wszelką cenę chciała go ochronić...

— Winna? Nie miała powodu, by czuć się winną — niby dlaczego? Nie jesteś Tilsit, jeśli nie rozumiesz, dlaczego trzymała to w tajemnicy. Było dość gadania i plotek na temat rodziny w ciągu ostatniego roku, gdy twój ojciec próbował w sądzie ukraść to, co należało się jej. A gdyby wyszło na jaw, co tu się stało, władze wydałyby nakaz aresztowania twojego ojca. To nie była błahostka. Chciał ją zabić, wiem o tym. Chciał, żeby nie żyła.

— Nie! — krzyknęła; musiała zaprzeczyć, mimo narastającego aż do bólu przekonania, że Brown mówi prawdę. — On nie mógł chcieć jej zabić! Nie był takim człowiekiem!

— Nie był? Jesteś pewna? W takim razie powiedz mi, dlaczego się jej bał? Dlaczego nigdy, póki żył, nie zbliżył się nawet do Tilsit i nie pozwolił, żeby ona zbliżyła się do ciebie? Czy to nie jest odpowiedź? Doskonale wiedział, co chciał zrobić wtedy, w domku. Nigdy od tej pory nie widziałam Johna Tilsita, ale mogę przysiąc, że dzień w dzień myślał o tym, co zrobił, i jeśli któreś z nich dwojga było winne — to tylko on! Mogę przysiąc, że prześladowało go to do końca jego życia.

Dłoń Brown opadła w dół i Ginny wreszcie była wolna.

Odwróciła się do pokojówki plecami, oparła ręce o parapet i przycisnęła czoło do zimnej szyby. Nie była w stanie zaprzeczyć temu, co powiedziała Brown; zresztą, czy mogłaby wymyślić coś tak nieprawdopodobnego? Wyobraziła sobie ojca, milczącego, zamkniętego w sobie, nie dopuszczającego, by najmniejszy choć skrawek jego przeszłości dotknął ich życia na St. Nicolaas, bojącego się chorobliwie, by ktoś nie odkrył jego tajemnicy. Rozum podpowiadał jej teraz, że jego samowynaganie i ukrywanie się przed światem było zbyt absolutne i nieodwołalne, by wytłumaczyć je zwykłym sporem o spadek. Człowiek z natury pełen spokoju i powściągliwości dokonał zatem gwałtownego aktu przemocy, który mógłby skończyć się morderstwem. Musiało to być dla niego tak straszne przeżycie, że pozostawiło piętno na całym późniejszym życiu. Ginny zdała sobie sprawę, że straciła w tej chwili resztkę niedojrzałości, resztkę młodzieńczych złudzeń.

Nagle podniosła głowę i ujrzała nad pracownią Marka blask kładący się pasmem na horyzoncie.

— To on! Wrócił! — Z gardła Ginny wyrwał się okrzyk radości, niemal okrzyk wyzwolenia.

Odwróciła się od okna i natychmiast ręka Brown chwyciła ją znów za ramię.

— Nie wolno ci tam iść! Nigdy więcej... — Nie skończyła, ręka opadła jej luźno w dół.

Ginny zbiegała już po schodach, jakby frunęła ku wolności, radośnie stukając pantoflami po drewnie. W biegu chwyciła latarkę ze stolika, gdzie zostawił ją Garth. Gdy otwierała zamki w drzwiach od strony południowego wejścia, zdała sobie sprawę, że ktoś — Vanessa, Lawrence, a może Margaret — wyjrzał z salonu, by zobaczyć, co to za hałas. Energiczne i buntownicze trzaśnięcie drzwiami było deklaracją uczuć Ginny dla całego Tilsit.

Ogarnęła ją mgła, gęsta i ciężka. Na początku droga była łatwa, ale ścieżka w stronę wieży, między krzewami i drzewami, przybierającymi w ciemności przedziwne kształty, wydała jej się obca i odpychająca. Gałęzie chwytały ją za spódnicę, a jedna z nich mokrymi liśćmi przejechała jej po twarzy, aż Ginny z trudem zdusiła krzyk przerażenia. Powalone głązy warowni wyrastały przed nią większe niż kiedykolwiek, mury niknęły we mgle. Odszukanie ścieżki po drugiej stronie wzgórza zajęło jej trochę czasu, dwukrotnie pobłądziła między głazami, trafiając raz na powalony mur, a raz na stertę gruzu. Wreszcie znalazła właściwą drogę, choć przez zasłonę mgły nie widziała dalej niż na krok.

Wtem usłyszała jego kroki, choć światło latarki nie było w stanie przebić się przez białe kłęby.

— Mark? — zawołała.

Wyłonił się przed nią jak zza kurtyny. Przez moment poczuła znowu niepewność — był taki silny i tak bardzo nienawidził Tilsit. Latarka oświetliła jego twarz, ciemną i niedostępną, wyrażającą ból i rozpacz. Zatrzymała się w przestrachu jak wryta.

Pochwyił ją w ramiona.

— Ginny! To ty! Wróciłem... wróciłem do ciebie. — Przytulił ją mocno. Z twarzą ukrytą w jego swetrze dała się kołysać jak dziecko, czule, z radością. — Ginny! Musiałem wrócić. Kocham cię. Słyszysz? Kocham cię, mój rajski ptaku.

Utonęła cała w jego ramionach.

5

— Musiałem wrócić, bo cię kocham — powiedział znowu, już chyba po raz czwarty.

Kochali się pospiesznie i z oddaniem, w szalonym i ostatecznym zapamiętaniu. Rozstawali się z bólem i z radością wracali do siebie, szukając w sobie nawzajem pocieszenia, lekarstwa na własne rany. Dopełniali się wzajemnie, jakby się razem urodzili, ich ciała rozumiały się w tym samym momencie i całkowicie. Jakby po tych wszystkich tygodniach wahania chcieli wreszcie poznać się do końca, wszystkimi zmysłami, by więcej nie dzieliła ich wzajemna obcość. Ale mimo wszystko, po chwilach szczęścia nie do opisania, Ginny poczuła ukłucie smutku.

— Było, tak jakbyśmy w tej jednej chwili spełnili całą naszą miłość — powiedziała. — Jak może być lepsze coś, co jest doskonałe? Czy mogłoby trwać tak dalej? Każda, najmniejsza nawet zmiana oznaczałaby utratę jakiejś części doskonałości. A przecież wszystko ulega zmianom...

Przerwał jej namiętnym pocałunkiem, a kiedy się cofnął, nie miała już siły dodać nic więcej.

— Musisz nauczyć się przestać mówić — powiedział. — Nie cierpię kobiet, które gadają w łóżku. Nie, nie... mów, jeśli tylko chcesz. Rób wszystko, na co masz ochotę, tylko niech to będzie moje łóżko, a ja — jedyny, który cię słucha. Boże, dziewczyno! Kocham cię! Słyszysz? Kocham cię! Będę ci to mówił każdego dnia mojego życia. Kiedy się pobierzemy, będziesz najbardziej kochaną kobietą na świecie. Będę cię kochał tak bardzo, że wszyscy pozostali mężczyźni przestaną dla ciebie istnieć. Rozumiesz? Nasza miłość będzie wyjątkowa, reszta świata zapadnie się dla nas w niebyt.

— Chcesz, żebyśmy się pobrali?

— Tylko dlatego wróciłem. Nie może dalej być jak dotąd. A ja nie mogę żyć bez ciebie.

— A ze mną możesz? Gotów jesteś zaakceptować wszystkie warunki? — Niemal niezauważalnie skinęła głową w kierunku Tilsit.

Przez chwilę wyraz niezadowolenia zagościł na jego twarzy, szybko jednak zniknął. Może zresztą tak jej się tylko wydawało...

— Gdybym musiał... Widzisz... wróciłem, prawda? Jestem tu i wyznaję ci miłość. Po raz pierwszy mówię to szczerze. Poddałem się. Cytadela padła. Jestem tu z powrotem... zrezygnowałem z ukochanej wolności i niezależności. Czuję się uwiązany i zniewolony, ale jakoś mnie to już nie obchodzi.

— I nigdy nie będzie cię obchodzić? Zawsze będziesz się czuł tak jak teraz?

— Ależ z ciebie dziecko! Oczywiście nie zawsze. Czasami będzie lepiej, a wiele razy gorzej. Powiem ci jednak coś, dziewczyno. Mamy szczęście, cholerne szczęście. Wiemy, co osiągnęliśmy i czym to jest dla nas.

Znowu wróciła świadomość, teraz potwierdzona słowami Marka, że wszystko, co najlepsze, mają już za sobą.

— Powiem ci coś jeszcze. — Odwrócił się na plecy i wbił wzrok w sufit. — Przecież nie musimy godzić się na to, by wszystko tu pozostawić po staremu. Nie musimy kontynuować legendy Tilsit. Jesteśmy sobą, Ginny, nie zapominaj o tym. Nie musimy powielać dawnych wzorców. Nie musisz być Isobel czy też Jane Tilsit. A ja wcale nie muszę być George'em Martinem. Przecież, do cholery, nie jesteśmy nimi. Trzeba tylko zerwać z tymi mitami... oboje musimy tego dokonać.

Nagle wyciągnął spod niej ramię i sięgnął po stojącą na tacy filiżankę, którą Ginny pozostawiła tam po swej samotnej kolacji przy kominku. Gwałtownie roztrzaskał ją o ceglana ścianę okalającą palenisko.

— Widzisz... rozbić je, tak jak tę filiżankę. To jedyne, co musimy zrobić.

Odwrócił się na bok i patrzył na nią czułym, tklwym wzrokiem, wierząc we wszystko, co przed chwilą powiedział. Przyciągnął ją do siebie, jego ręce znów zaczęły wędrować po jej ciele, jednak nie tak władczo jak przedtem.

— Chodź tu do mnie, dziewczyno, zacznijmy od początku. Kocham cię i potrzebuję... Jeśli dla ciebie stracę cały świat — trudno, widać tak musi być. A wtedy... Boże dopomóż, bo ja już sobie nie pomogę.

Pierwsze przeczucie Ginny okazało się słuszne. Ich namiętność wynikała bardziej z siły niż z miłości — z tej mocy, która w podświadomości Marka uosabiała Tilsit. A jeśli, pomyślała, nie zdołają zerwać z mitami? Jeśli ich przeznaczeniem jest powielać to, co działo się tu do tej pory? Jeśli wzorce i legendy są silniejsze od nich, jeśli przyzwyczajenie stanie się silniejsze od miłości, a nawyk tyranii odżyje? Czy w przyszłości siła i zdecydowanie tego mężczyzny nie ulegnie stopniowej erozji? Jeżeli uzna, że jednak tradycji należy dochować? Byłoby to dla niego początkiem końca.

Odpędziła jednak te myśli i oddała się całkowicie rozkoszy, tłumacząc sobie, że przecież jest teraz tylko odrobinę gorzej niż przedtem, i nawet by tego nie zauważyła, gdyby za pierwszym razem nie osiągnęła wszystkiego — początku i końca.

W świetle brzasku twarz Brown była szara i ściągnięta. Sztynno i ociężale podniosła się z fotela; jej monotonne, powolne ruchy oznaczały rezygnację, jaka ją ogarnęła podczas minionych godzin. Ginny była pewna, że przesiedziała tak całą noc.

— A więc będziemy go tutaj mieli... — odezwała się Brown.

Ginny nie odpowiedziała. Stała przed kominkiem, obok pustego koszyka Tripa i spojrzała na nią hardo.

— Taak, będziemy go tu mieli — powtórzyła Brown z naciskiem. — Wyszło dokładnie tak, jak chciała Isobel.

— Kto? Isobel? — Wbrew sobie Ginny dała się wciągnąć w rozmowę na temat Marka. Miała zamiar powstrzymać się od jakichkolwiek dyskusji, poinformować tylko wszystkich, że się pobierają, i wreszcie z tym skończyć. Wracając postanowiła, że wezmą ślub bez zwłoki, bez stwarzania okazji do dyskusji. Brown jednak siedziała tu całą noc, wiedząc, co się dzieje w domu, tylko po to, żeby powiedzieć swoje. Ginny czekała na dalszy ciąg.

— Wiedziała o tym cały czas. Zobaczyła ciebie tylko jeden jedyny raz i już wiedziała, że tak się stanie. Zresztą chciała tego, planowała to. Pragnęła, żeby Mark Barstow tu został, no i chciała mieć ciebie.

Ginny zmartwiła, a na jej twarzy odmalował się wyraz niedowierzania. Na szarawych policzkach staruchy wystąpiły siniofioletowe wypieki. Ciągnęła dalej ochrypłym głosem:

— Myślisz, że nie była w stanie zaplanować tego już wtedy? Ty jesteś jedyną prawdziwą kontynuatorką rodu, a on ma talent. Liczyła, że zrobi dla Tilsitów to, co kiedyś uczynił George Martin. A w dodatku świeża krew — jego krew — przyda się przyszłym pokoleniom. Zapewniam cię, ona to zaplanowała i sama widzisz, że dopięła swego.

— To nieprawda — zaprotestowała Ginny blado. — Jak ona mogła być pewna, że tu kiedykolwiek przyjadę? Że Mark nie poślubi kogoś innego?

— Miała własne sposoby, by do tego doprowadzić. Dwukrotnie powstrzymała Marka Barstowa od żeniaczki i teraz zrobiłaby to również. Pojechałaby spotkać się z tobą jeszcze raz, kiedy byłabyś trochę starsza. Wtedy ojciec nie mógłby już decydować za ciebie. Decyzja należałaby do ciebie, a nikt o zdrowych zmysłach nie odmówiłby propozycji Isobel. No cóż, umarła, zanim jej plany się spełniły. Ale jednak doszło do tego. Dokładnie tak, jak zaplanowała, jak napisała.

— Napisała...? — Ginny rzuciła błyskawiczne spojrzenie na zamknięty sekretarzyk. Trochę się uspokoiła — było oczywiste, że Brown kłamała. — Nieprawda — powiedziała dobitnie. — Nie napisała tego. Nic takiego nie ma w jej zapiskach. Niczego nie napisała o mnie, ani słowa.

Kolory zeszyły z twarzy Brown. Wyglądała teraz jak ktoś, kto wie, że ma rację; wzruszyła ramionami ze znużeniem.

— Nie sądzisz chyba, że jest w tym domu coś, co mogłoby się ukryć przede mną? Tilsit zawsze było moim życiem, tak samo jak jej. Mam prawo do wszystkiego, co zostało napisane w tych zeszytach. Mam prawo, rozumiesz?

— Czytałaś je?

— A tak, czytałam. One są też częścią mojego życia, nie zapominaj o tym. Czytałam je wszystkie. Usunęłam z nich kartki, których nigdy nie powinnaś przeczytać. Wiem, co zrodziłoby się w twej głowie na temat Marka Barstowa, gdybyś je przeczytała. Więc wyrwałam je. Uważam, że Isobel nie miała racji, jeśli chodzi o niego. On nie jest właściwym człowiekiem dla Tilsit... ma na swoich rękach krew... nie byłoby tu spokoju z jego nieobliczalnością i skłonnością do kobiet. No, ale to, co ja myślę, nie ma teraz znaczenia. Musiało tak się skończyć. Linia rodu musi przetrwać, jak zwykła mówić Isobel. Uznała, że to będzie najlepsze rozwiązanie.

Wyciągnęła z kieszeni fartucha plik dobrze Ginny znanych białych kartek z postrzępionym brzegiem.

— Wyrwałam je z ostatniego zeszytu. Możesz sobie wziąć, jeśli chcesz. Teraz już nie ma powodu, by je chować przed tobą.

Przez moment Ginny nie mogła się zmusić, by dotknąć tych stronic. Brown wyciągała rękę w jej stronę, przynaglając ją wzrokiem. Zmęczone, szare oczy staruchy zdawały się zmuszać ją do czytania. Niechętnie, drżącą ręką, wzięła kartki. Ta, która leżała na wierzchu, była datowana w parę dni po wizycie Isobel w klasztorze Santa Maria. Litery były duże, nierówne, jakby pisane w uniesieniu, tuż po powrocie do Tilsit:

„Widziałam ją... Tym razem nie udało mi się, lecz jestem pewna, że kiedyś tu przyjedzie. To prawdziwa Tilsit. Ma naszego ducha i odwagę, a jej twarz jest twarzą Jane z portretu. Jest dziecinna jak na swój wiek, ale czuje się w niej siłę i jestem pewna, że szybko się rozwinie. Jest na szczęście piękna, ponieważ Mark zawsze miał słabość do pięknych kobiet... Zresztą nieważne, czy zaakceptuje ją samą — weźmie ją, ponieważ ma słabość do tradycji Tilsit, którą ona bez wątpienia uosabia. Z nimi dwojgiem ród z pewnością będzie bezpieczny. To tylko kwestia czasu i cierpliwości. Trzeba będzie nad nią popracować, zasiać ziarno ciekawości, aż w końcu wyspa stanie się dla niej za ciasna, a John nie zniesie jej nieustannego wypytywania. I wtedy przybędzie tutaj, a kiedy się spotkają, jestem pewna, że zakochają się w sobie — i tak będzie najlepiej dla Tilsit. Uważam ich za najlepsze narzędzie kontynuacji rodu i tradycji”...

Ginny nie czytała dalej. Zmięta papier w dłoni i rzuciła na wygasły popiół w kominku. Brown wydała głośny okrzyk przerażenia i protestu, lecz Ginny już zapaliła zapałkę i rzuciła ją na palenisko.

— Nie wolno ci...! Nie wolno niszczyć tego, co napisane!

Płomyk tańczył już jednak po papierze. A Ginny powiedziała głośno, nie do Brown, a do siebie samej:

— Eliot powiedział, że muszę się ratować, póki jeszcze czas. A może, mimo wszystko, nie jest jeszcze za późno, by uratować Marka?

W chwili, gdy kartki zajęły się ogniem, wydawało się jej, że ból rozstania poczuje dopiero w momencie wyjazdu. Poczwała go jednak natychmiast; utrata Marka i świadomość, że więcej go nie zobaczy, uderzyła ją z całą siłą, gdy tylko pamiętnik Isobel zaczął płonąć, zamieniając się w popiół bielszy niż spopielone drewno.

Spakowała walizkę. Brown nie wierzyła własnym oczom. Spróbowała jeszcze raz.

— Nie wolno ci wyjeżdżać. Nie wolno ci nas opuszczać. Ktoś musi się tym wszystkim zająć... — Ale gdy ujrzała twarz Ginny, wyrazistą w coraz jaśniejszym świetle poranka, dalsze słowa zamarły jej w gardle.

— Zajmie się... Bez obaw. Isobel przewidziała i to.

Gdy Ginny schodziła na dół, w domu było jeszcze zupełnie cicho. Było za wcześniej nawet na dzwonek pierwszego budzika. Słońce już wstało, lecz wokół panowała taka cisza, że odgłos wysłużonego silnika samochodu Isobel zabrzmiał jak eksplozja bomby. Nic jednak wokół się nie poruszyło i nikt się nie obudził. Pomyślała o Marku pogrążonym we śnie i uzmysłowiła sobie, że nigdy nie dowie się, jak on wygląda, gdy śpi. Pomyślała o niezliczonych rzeczach, które traci — dniach, latach, a nawet dekadach jego życia, o których nie będzie miała pojęcia. Niewykluczone, że Mark zrozumie, dlaczego odeszła, ale nie bardzo w to wierzyła. Był taki pewny, że uda im się zerwać z przeszłością. Nie wiedział przecież, że już stali się jej fragmentem.

Szybko ruszyła przed siebie; bała się, że mogłaby nie wytrwać w swoim postanowieniu, gdyby Mark pojawił się nagle, gdyby poczuła jego dotyk i usłyszała jego głos. Miała wrażenie, że nie może zaprzestać ucieczki, bo w przeciwnym wypadku zostanie złapana; już teraz poczuła, że zaczyna brakować jej tchu.

Główna brama była zamknięta, musiała więc nacisnąć klakson, by ktoś ze stróżówki wyszedł otworzyć. Nie wiedziała dotąd, że jest zamykana na noc; wyjeżdżała nie wiedząc o tak wielu sprawach dotyczących Tilsit. Pojawiła się żona stróża, która jednocześnie zajmowała się ogrodem — była w szlafroku, z papilotami we włosach. Na jej twarzy, jeszcze nie całkiem obudzonej, pojawiło się zdziwienie.

— Dzień dobry, panno Virginio. Tak wcześnie panienka wyjeżdża?

— Dzień dobry, pani Taylor. Tak... tak wcześnie...

Ze ściśniętym sercem czekała, aż kobieta otworzy bramę. Nie mogła się powstrzymać, by nie odwrócić się i ostatni raz spojrzeć na Tilsit. Od razu wiedziała, że postępuje niemądrze. Zawsze, gdy rozstawiała się z tym co kochała, ostatnie spojrzenie sprawiało największy ból.

— Proszę bardzo, panno Virginio. Życzę przyjemnej podróży. Późno panienska wróci? Pytam, by powiedzieć Taylorowi, czy ma zamknąć bramę.

Ginny odwróciła wzrok; z trudem przyszło jej wydobyć głosu z zaciśniętego gardła.

— Nie — skłamała — nie wrócę późno.

7

Wąska, kręta droga przez miasteczka i wsie wyglądała tak samo jak w czasie podróży z londyńskiego lotniska z Randallem; te widoki wcale nie wydały jej się teraz bliższe. Wciąż był to dla niej obcy kraj. Czuła się tak, jakby w ogóle nie była w Anglii, a jedynie w Tilsit, który był jakby państwem w państwie, istniejącym dla niej jedynie jako kraina przodków. Zakładała, że przyjedzie jeszcze kiedyś do Anglii, kiedy obecny ból ustąpi. Wiedziała jednak, że nigdy nie wróci do Tilsit.

Kiedy minęła Bournemouth i zaczęła sobie zdawać sprawę z praktycznych aspektów wyjazdu, postanowiła wysłać z najbliższej poczty depeszę do Eliota i poprosić, by przekazał jej pieniądze na bilet powrotny do biura PanAmu na londyńskim lotnisku. Kiedy jednak pijąc kawę na stacji benzynowej spojrzała na bilet lotniczy, zauważyła, że Katrien zapłaciła na St. Nicolaas za bilet w obie strony. Ginny zdumiała się, a jednocześnie z wdzięcznością pomyślała, że matka, nie wiedząc absolutnie nic o Tilsit, miała jednocześnie pewność, że ona wróci.

Na lotnisku zaparkowała samochód; kluczyki włożyła do koperty, dołączając jednocześnie kartkę z przeprosinami za kłopot z odebraniem samochodu. Przy stanowisku PanAmu poczekała, aż umieszczą ją na liście oczekujących, po czym odszukała drobne w portmonetce i poszła do budki telefonicznej, by zadzwonić do Randalla.

Podniósł słuchawkę ze słowami: — Czekałem na twój telefon. Lawrence zadzwonił do mnie i powiedział, że wyjechałaś.

Próbowała mu odpowiedzieć, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Wydała tylko jakiś nieokreślony dźwięk.

— Ginny, jesteś tam? Czy ty wiesz, co robisz? Rozumiesz, co to oznacza? Wreszcie znalazła właściwe słowa.

— Nie mogę wypełnić warunków testamentu, panie Randall. A więc nie mogę przyjąć spadku.

— Rzeczywiście są takie trudne do spełnienia...? W zamian za to wszystko, co otrzymasz? — pytał uprzejmie, ale z tonem perswazji, jakby nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji i powinna się nad nią zastanowić.

— To zbyt wiele kosztuje — powiedziała Ginny powoli, ale pewnie. — Przekonałam się, że spadek to nie tylko posiadłość i wytwórnia porcelany; to pewien sposób życia. Sposób życia obu tych kobiet, do których ja nie zamierzam się upodabniać. — Przerwała. Nie mogła przyznać się, że oto już zaczęła poznawać słodki smak władzy i że obawia się, by przyszłość nie

uczyniła ją jeszcze słodsza. Żeby wreszcie z tym skończyć, podkreśliła: — Tak, panie Randall, to kosztuje zbyt wiele.

On jednak nie poddawał się.

— A pieniądze? Przecież tu chodzi o duże pieniądze, nawet jeśli weźmie się pod uwagę podatki.

— Pieniądze? — Pomyślała o Eliocie, który rozumiał, co one znaczą i sam jej ukazał ich prawdziwą wartość. — Pieniądze w Tilsit nie są czymś, co można posiadać, panie Randall. Tutaj trzeba tylko ich pilnować. Wyłoniły się z przeszłości i należą do przyszłości. Trzeba za nie płacić olbrzymie procenty.

Po dłuższej pauzie Randall oznajmił: — Wiesz, że masz jeszcze czas, żeby zmienić zdanie. Nie jesteś jeszcze w odpowiednim wieku i wszystko będzie czekać na ciebie do następnych urodzin.

— Rozumiem — powiedziała zmęczonym głosem. — Ale to nie ma znaczenia. Nic się nie zmieni. Aha, może mi pan przysłać odpowiednie papiery, to we właściwym czasie je podpiszę, żeby wszystko było zgodne z prawem. Ale nic się zmieni. Jeśli chodzi o Tilsit i wszystko, co jest z tym związane... właśnie osiągnęłam odpowiedni wiek.

— Ginny, nie rozłączaj się.... A co z Markiem?

Mark... A więc Randall wiedział... Pewnie wszyscy w Tilsit wiedzieli. Oparła się o szklaną ściankę budki telefonicznej i mocniej ścisnęła słuchawkę. Przymknęła oczy walcząc z falą bólu i tęsknoty, która zdawała się ją zatapiać.

— Nie chcę być łańcuchem, który przykuje go do Tilsit. Nie chcę go złamać, on nie może stracić swojej siły i talentu. Dla mnie jedynym sposobem zerwania z wzorcami Tilsit jest wyjazd stąd. Jeśli Mark nie oprze się pokusie, jeśli zostanie z Vanessą — to już nie moja wina. Nie, proszę! — zawołała czując, że Randall znów chce jej przerwać. — Proszę nic więcej nie mówić. Trudno mi jest zrezygnować z Tilsit, ale zbyt wysoką cenę musiałam za niego zapłacić. Nie jestem gotowa na to, panie Randall. — Obraz Tilsit i Marka złał się w jej oszołomionym umyśle w jedno. — Zbyt mocno go kocham.

Randall jeszcze coś mówił do telefonu, ale już nie słuchała jego słów. Z głośników apelowano do pasażerów o uwagę. Otworzyła drzwi budki. Usłyszała swoje nazwisko, powtórzone dwa razy; proszono, by zgłosiła się do stanowiska PanAmu. Wiedziała, że czeka na nią samolot. Delikatnie odłożyła słuchawkę.

Podczas lotu nad Atlantykiem, gdy światła w kabinie przygasły, by pasażerowie mogli się zdrzemnąć, Ginny nie mogła przestać myśleć o tych wszystkich wydarzeniach. Wiedziała, że długo jeszcze będzie ją to dręczyć. Nieoczekiwanie przysła jej do głowy myśl, nie mająca pozornie związku z Tilsit. Co się stanie ze strojami od Eliota, z pięknymi, prawie nowymi sukniami, z białym jedwabnym płaszczem? Czy Brown przyśle je na St. Nicolaas? Niemal w tym samym momencie uświadomiła sobie, że nie obchodzi jej, co z nimi zrobi Brown. Nie będzie ich potrzebowała. Nie w swoim domu.

Rozdział siódmy

Katrien stała oparta o framugę drzwi sypialni, patrząc jak córka się rozpakowuje. Niewiele ponad godzinę minęło, odkąd zadzwonił w Oranje Huis telefon i głos Ginny oznajmił, że przylatuje dzisiaj ostatnim samolotem z San Juan. Katrien pojechała po nią na lotnisko razem z Bo; wciąż nie mogła się otrząsnąć z zaskoczenia i radości z powodu jej przyjazdu. Zdążyły już wypić swój poncz na galerii, wspólnie poczuć ciepły wiatr od morza i wieczorny zapach ogrodu. Katrien powstrzymywała się od pytań czekając, aż Ginny sama zacznie mówić. Wiedziała, że w ten sposób utrzymała przy sobie Johna Tilsita przez wszystkie lata małżeństwa; wiedziała też, że niczym innym nie zdoła pozyskać zaufania córki. Milczała więc i przyglądała się.

Nieduża walizka Ginny leżała otwarta na łóżku. Widać było, że rzeczy — niewiele więcej niż przybory toaletowe i bieliznę — wrzucano do niej w pośpiechu. Szczupłość bagażu mocno uderzyła Katrien; wyglądało to tak, jakby Ginny w powrotną podróż zabrała tylko to, co było najniezbędniejsze do życia. Wszystko inne zostawiła za sobą.

Dlatego też zaintrygowana patrzyła, jak Ginny wyjmuje z podręcznej torby, starannie zapakowaną i owiniętą w sweter małą, szarą czarkę, której szlachetna, chropowata powierzchnia po poruszeniu rzucała błyski zieleni i granatu. Ginny postawiła ją ostrożnie na szerokim parapecie okna, przy łóżku, w zasięgu ręki. Tam właśnie przez całe życie trzymała swoje najcenniejsze skarby — ukochaną lalkę, tomik poezji, pierwszy flakonik perfum. Z niezwykłą czułością ustawiła czarkę tak, by najpiękniej mieniła się kolorami, a sposób, w jaki to zrobiła, nasunął Katrien myśl, że to już ostatnia rzecz, jaką córka umieści na swoim parapecie. Nic już nie będzie tak cenne jak to małe szare naczynko.

Ginny odwróciła się i napotkała utkwiony w nią wzrok matki. Rzuciła szybkie spojrzenie na prawie pustą walizkę na łóżku, potem na czarkę na parapecie, wreszcie znowu na Katrien.

Jakby chcąc wytłumaczyć brak większego bagażu, powiedziała:

— W Tilsit zostawiłam dużo więcej, niż dałoby się spakować i zabrać. A wróciłam z dużo większym bagażem niż to, co znajduje się w tej walizce.

Katrien obudziła się z pierwszym brzaskiem. Usnęła zaledwie godzinę temu, ale ostatniej nocy nie odczuwała pustki, jaka nękała ją od śmierci męża. Radowała się ożywieniem i siłą wrażeń, jakie przywiozła ze sobą córka. Całą ostatnią noc siedziała z Ginny w ciemności na galerii, nie zapalając światła, więc nie mogła widzieć zmiennych emocji na twarzy młodej kobiety. Słuchała jej opowieści o Marku Barstow i o Tilsit, pełnej zachwytu i cierpienia. Ostatnie słowa Ginny uderzyły matkę swoją siłą i zdecydowaniem.

— Widzisz, mamó, wróciłam w miejsce, do którego należę. Tutaj przynajmniej wiem, kim jestem.

Katrien leżała cicho, myśląc o przeżyciach córki z troską i zrozumieniem. Lekki dźwięk, który ją obudził przed chwilą, dochodził z kuchni. Wyszła na galerię i zobaczyła, że pali się tam światło, a Ginny szykuje coś w pośpiechu. Kiedy weszła do środka z zaczerwienionymi z niewyspania oczami, dziewczyna spojrzała na nią z uśmiechem znad koszyka, do którego pakowała prowiant na piknik.

— Tak wcześnie wstałaś... chcesz herbaty? Jest już zaparzona.

Katrien wzięła filiżankę i usiadła przy stoliku. Popijając, patrzyła bez komentarza na przygotowania córki, choć nietrudno było zauważyć, że pakuje do koszyka dużo więcej jedzenia, niż potrzeba na jedną osobę.

Potem stanęła na galerii i przyglądała się, jak Ginny rusza w dół ścieżką na plażę w nieodłącznym towarzystwie Bo. Przekonała się, że chociaż mała szara czarka uzyskała poczesne miejsce na parapecie, Ginny wróciła na St. Nicolaas nie po to, żeby żyć przeszłością, lecz po to, by z nią zerwać.

Pokiwała głową z satysfakcją, po czym wróciła do łóżka i natychmiast usnęła.

2

Na wyspach panował teraz martwy sezon — pora letnia, podczas której stali mieszkańcy wyspy nabierali oddechu. W pawilonach nad Oranje Cove, już ukończonych, obrośniętych dzikim winem i innymi pnączami, które je niemal zasłaniały, panowała cisza i spokój. Na plażowiczów było za wcześnie, prawie wszyscy jeszcze spali, poza Jimem, który budził się, jak zwykle, wraz z pierwszym brzaskiem i leżał, dopóki nie poderwało go skrobanie Bo do drzwi.

Tego ranka jednak pies nie przybiegł, chociaż zrobiło się już widno. Jim wreszcie wstał, wziął prysznic, włączył ekspres do kawy i zapalił swego pierwszego papierosa. Po chwili podszedł z filiżanką w rękę do okna i przypalił następnego. Zapowiadał się jeden z tych skwarnych i niespokojnych

dni, kiedy nurtowało go denerwujące, dręczące oczekiwanie. Później, gdy pojedzie na pocztę, przede wszystkim sprawdzi, czy nie ma do niego listu z Anglii... Pewnie nie będzie, jak przez wszystkie ostatnie tygodnie, i zacznie się kolejne oczekiwanie na następny dzień i następną pocztę. Pierwszy promień słońca wystrzelił spoza grzbietu wzgórz i dotknął dachu Oranje Huis.

Wtedy ją zobaczył, jak niegdyś, za pierwszym razem — długonogą dziewczynę w wypłowiałych szortach, z jasnymi włosami opadającymi na ramiona, z psem u boku, brodzącą w wodzie na skraju plaży. Przez chwilę nie mógł ruszyć się z miejsca. Stał wstrzymując oddech, a ona zatrzymała się przy łodzi ojca, spoczywającej na piasku w miejscu, gdzie wyciągnęła ją na brzeg tego ranka, gdy wyjechała i zostawiła go samego. Wreszcie ruszyła dalej, a on wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi i szalonego szczęścia. Szła w stronę jego kawałka plaży.